

Bolesław Prus

# NOWELE

**Zixo** Reader

## Zawartość

ANTEK .....	4
CENIE .....	25
GRZECHY DZIECIŃSTWA .....	28
KAMIZELKA .....	70
KATARYNKA .....	79
MICHAŁKO .....	90
MILKNĄCE GŁOSY .....	109
NA WAKACJACH.....	116
OMYŁKA.....	119
ON.....	171
OPOWIADANIE LEKARZA .....	176
PAŁAC I RUDERA.....	184
ROZDZIAŁ 1 w którym czytelnik poznaje wielką fajkę w niewielkim pałacu .....	184
ROZDZIAŁ 2 przeznaczony dla rozrywki dam, nudzących się skutkiem braku zajęcia.....	191
ROZDZIAŁ 3 Szatan i rodzina Joba .....	197
ROZDZIAŁ 4 w którym pałac okazuje dużo sympatii dla rudery .....	206
ROZDZIAŁ 5 z którego widać, że dla ulżenia nędzy nie wystarcza ani dobre serce, ani chora wątroba .....	216
ROZDZIAŁ 6 w którym opowiadanie niejakiej pani Maciejowej okazuje się bardziej interesującym od obserwacji niejakiego pana Teofrasta.....	222
ROZDZIAŁ 7 pająk i mucha.....	226
ROZDZIAŁ 8 z którego okazuje się, że nawet szczęśliwi ludzie mają swoje zgryzoty .....	232
ROZDZIAŁ 9 w którym pan Zenon wyzwiał na pojedynek Rejenta, a pan marszałek Fajtaszko twardo zasnął.....	242
ROZDZIAŁ 10 Sabbath.....	250
ROZDZIAŁ 11 wuj i siostrzeniec .....	258
ROZDZIAŁ 12 z którego widać, że w kółku ludzi bardzo znakomitych najtrudniejszą jest zgoda....	265
ROZDZIAŁ 13 bez tytułu .....	272
EPILOG .....	278
POWRACAJĄCA FALA.....	282
Rozdział I.....	282
Rozdział II.....	292
Rozdział III.....	295
Rozdział IV .....	305

Rozdział V .....	311
Rozdział VI .....	320
Rozdział VII .....	329
SEN .....	342
WIDZIADŁA .....	353
Z LEGEND DAWNEGO EGIPITU .....	361
ŻYWY TELEGRAF .....	367

## ANTEK

Antek urodził się we wsi nad Wisłą.

Wieś leżała w niewielkiej dolinie. Od północy otaczały ją wzgórza spadziste, porośnięte sosnowym lasem, a od południa wzgórza garbate, zasypane leszczyną, tarniną i głógiem. Tam najgłośniej śpiewały ptaki i najczęściej chodziły wiejskie dzieci rwać orzechy albo wybierać gniazda.

Kiedyś stanął na środku wsi, zdawało ci się, że oba pasma gór biegną ku sobie, ażeby zetknąć się tam, gdzie z rana wstaje czerwone słońce. Ale było to złudzenie.

Za wsią bowiem ciągnęła się między wzgórzami dolina, przecięta rzeczulką i przykryta zieloną łąką.

Tam pasano bydłatka i tam cienkonogie bociany chodziły polować na żaby kumkające wieczorami.

Od zachodu wieś miała tamę, za tamą Wisłę, a za Wisłą znowu wzgórza wapienne, nagie.

Każdy chłopski dom, szarą słomą pokryty, miał ogródek, a w ogródku śliwki węgierki, spomiędzy których widać było komin, sadzą uczerniony, i pożarną drabinkę. Drabiny te zaprowadzono nie od dawna, a ludzie myśleli, że one lepiej chronić będą chaty od ognia, niż dawniej bocianie gniazda. Toteż gdy płonął jaki budynek, dziwili się bardzo, ale go nie ratowali.

- Widać, że na tego gospodarza był dopust Boski - mówili między sobą. - Spalił się, choć miał przecie nową drabinę i choć zapłacił śtraf za starą, co to były u niej połamane szczeble.

W takiej wsi urodził się Antek. Położyli go w niemalowanej kołysce, co została po zmarłym bracie, i sypiał w niej przez dwa lata. Potem przyszła mu na świat siostra, Rozalia, więc musiał jej miejsca ustąpić, a sam, jako osoba dorosła, przenieść się na ławę.

Przez ten rok kołysał siostrę, a przez cały następny - rozglądał się po świecie. Raz wpadł w rzekę, drugi raz dostał batem od przejezdnego furmana za to, że go o mało konie nie stratowały, a trzeci raz psy tak go pogryzły, że dwa tygodnie leżał na piecu. Doświadczył więc niemało. Za to w czwartym roku życia ojciec podarował mu swoją sukienną kamizelkę z mosiężnym guzikiem, a matka - kazała mu siostrę nosić.

Gdy miał pięć lat, użyto go już - do pasania świń. Ale Antek nie bardzo się za nimi oglądał. Wolał patrzeć na drugą stronę Wisły, gdzie za wapiennym wzgórzem raz na raz pokazywało się coś wysokiego i czarnego. Wyłaziło to z lewej strony, jakby spod ziemi, szło w górę i upadało na prawo. Za tym pierwszym szło zaraz drugie i trzecie, takie same czarne i wysokie.

Tymczasem świnię, swoim obyczajem, wlaży w kartofle. Matka spostrzegłszy to zawinęła się wedle sukiennej kamizelki Antkowej tak, że chłopiec prawie tchu nie mógł złapać. Ale że

nie miał w sercu zawziętości, bo było z niego dziecko dobre, więc wykrzyczawszy się i wydrapawszy kamizelkę, zapytał matki:

- Matulu! a co to takie czarne chodzi za Wisłą? Matka spojrzała w kierunku Antkowego palca, przysłoniła oczy ręką i odparła:

- Tam za Wisłą? Cóż to nie widzisz, że wiatrak chodzi? A na drugi raz pilnuj świń, bo cię pokrzywami wysmaruję.

- Aha, wiatrak! A co on, matulu, za jeden?

- At, głupiś - odparła matka i uciekła do swojej roboty. Gdzie ona miała czas i rozum do udzielania objaśnień o wiatrakach! ...

Ale chłopcu wiatrak spokojności nie dawał. Antek widywał go przecie co dzień. Widywał go i w nocy przez sen. Więc taka straszna urosła w chłopcu ciekawość, że jednego dnia zakradł się do promu, co ludzi na drugą stronę rzeki przewoził, i popłynął za Wisłę.

Popłynął, wdrapał się na wapienną górę akurat w tym miejscu, gdzie stało ogłoszenie, aby tędy nie chodzić, i zobaczył wiatrak. Wydał mu się budynek ten jakby dzwonnica, tylko w sobie był grubszy, a tam, gdzie na dzwonnicy jest okno, miał cztery tęgie skrzydła, ustawione na krzyż. Z początku nie rozumiał nic - co to i na co to? Ale wnet objaśnili mu rzecz pastusi, więc dowiedział się o wszystkim. Naprzód o tym, że na skrzydła dmucha wiatery i kręci nimi jak liśćmi. Dalej o tym, że w wiatraku miele się zboże na mąkę, i nareszcie o tym, że przy wiatraku siedzi młynarz, co żonę bije, a taki jest mądry, że wie, jakim sposobem ze spichrzów wyprowadza się szczury.

Po takiej pogłądowej lekcji Antek wrócił do domu tą samą drogą, co pierwej. Dali mu tam przewoźnicy parę razy w łeb za swoją krwawą pracę, dała mu i matka coś na sukienną kamizelkę, ale to nic: Antek był kontent, bo zaspokoił ciekawość. Więc choć położył się spać o głodzie, marzył całą noc to o wiatraku, co miele zboże, to o młynarzu, co bije żonę i szczury wyprowadza ze spichrzów.

Drobny ten wypadek stanowczo wpłynął na całe życie chłopca. Od tej pory - od wschodu do zachodu słońca - strugał on patyki i układał je na krzyż. Potem wystrugał sobie kolumnę; próbował, obciosywał, ustawiał, aż nareszcie wybudował mały wiatraczek, który na wietrze obracał mu się tak, jak tamten za Wisłą.

Cóż to była za radość! Teraz brakowało Antkowi tylko żony, żeby mógł ją bić, i już byłby z niego prawdziwy młynarz!

Do dziesiątego roku życia zepsuł ze cztery koziki, ale też strugał nimi dziwne rzeczy. Robił wiatraki, płoty, drabiny, studnie, a nawet całe chałupy. Aż się ludzie zastanawiali i mówili do matki, że z Antka albo będzie majster, albo wielki gałgan. . Przez ten czas urodził mu się jeszcze jeden brat, Wojtek, siostra podrosła, a ojca drzewo przytłukło - w lesie.

W chacie była z Rozalią wielka wygoda. Dziewczyna zimą zamytała izbę, nosiła wodę, a nawet potrafiła krupnik ugotować. Latem posyłano ją do bydła z Antkiem, bo chłopak, zajęty

struganiem, nigdy się nie dopilnował. Co go nie nabili, nie naprosili, nie napłakali się nad nim! Chłopak krzyczał, obiecywał, płakał nawet razem z matką, ale robił swoje, a było wciąż w szkodę wchodziło.

Dopiero gdy siostra razem z nim pasła, było lepiej: on strugał patyki, a ona pilnowała krów.

Nieraz matka, widząc, że dziewczucha choć młodsza ma więcej rozumu i chęci aniżeli Antek, załamywała z żalu ręce i lamentowała przed starym kumem, Andrzejem:

- Co ja pocznę, nieszczęsna, z tym Antkiem odmieńcem? Ani to w chacie nic nie zrobi, ani bydła dogładnie, ino wciąż kraje te patyki, jakby co w niego wstąpiło. Już z niego, mój Andrzeju, nie będzie chyba gospodarz ani nawet parobek, tylko darmozjad, na śmiech ludziom i obrazę boską!...

Andrzej, który za młodu praktykował flisactwo i dużo świata widział, tak pocieszał strapioną wdowę:

- Jużci gospodarzem on nie będzie, to darmo, bo on na to nie ma nawet dobrego rozumu. Jego by zatem trza naprzód do szkoły, a potem do majstra. Nauczy się z książki, nauczy się rzemiosła i jeżeli nie zgałanieje, będzie żył.

Na to wdowa odpowiedziała, wciąż łamiąc ręce:

- Oj, kumie, co wy też gadacie! A czy to nie wstyd gospodarskiemu dziecku rzemiosła się imać i byle komu na obstalunek robotę robić?

Andrzej puścił dym z drewnianej fajeczki i rzekł:

- Jużci, że wstyd, ale rady na to nie ma nijakiej.

Potem, zwracając się do Antka siedzącego na podłodze przy ławie, zapytał:

- No, gadaj, wisus, czym ty chcesz być? Gospodarzem czy u majstra?

A Antek na to:

- Ja będę stawiał wiatraki; co zboże miela.

I odpowiadał tak zawsze, choć nad nim kiwano głowami, a jak czasem to i miotłą.

Miał już dziesięć lat, kiedy pewnego razu ośmioletnia wówczas siostra jego, Rozalia, strasznie zaniemogła. Jak się położyła z wieczora, to się jej na drugi dzień dobudzić było trudno. Ciało miała gorące, oczy błędne i gadała od rzeczy.

Matka z początku myślała, że dziewczyna przyczaja się; dała jej więc parę szturchańców. Ale gdy to nie pomogło, wytarła ją gorącym octem, a na drugi dzień napiła wódką z piołunem. Wszystko na nic, a nawet gorzej, bo po wódcie wystąpiły na dziewczuchę sine plamy. Wtedy wdowa przetrząsnąwszy szmaty, jakie tylko były w skrzyni i w komorze, wybrała sześć groszy, i wezwała na ratunek Grzegorzową, wielką znachorkę.

Mądra baba obejrzała chorą uważnie, opluła koło niej podłogę, jak należy, posmarowała ją nawet sadłem, ale - i to nie pomogło.

Wtedy rzekła do matki:

- Napalcie, kumo, w piecu do chleba. Trza dziewczynie zadać na dobre poty, to ją odejdzie.

Wdowa napaliła w piecu jak się patrzy i wygarnęła węgle czekając dalszych rozkazów.

- No, teraz - rzekła znachorka - położyć dziewuchę na sosnowej desce i wsadzić ją w piec na trzy Zdrowaški. Ozdrowieje wnet, jakby kto ręką odjął!

Istotnie, położono Rozalię na sosnowej desce (Antek patrzył na to z rogu izby) i wsadzono ją nogami naprzód do pieca.

Dziewczyna, gdy ją gorąco owiało, ocknęła się.

- Matulu, co wy ze mną robicie? - zawołała.

- Cicho, głupia, to ci przecie wyjdzie na zdrowie.

Już ją wsunęły baby do połowy; dziewczyna poczęła się rzucać jak ryba w sieci. Uderzyła znachorkę, schwyciła matkę obu rękami za szyję i wniebogłose krzyczała: .

- A dyć wy mnie spalicie, matulu!...

Już ją całkiem wsunięto, piec założono deską i baby poczęły odmawiać trzy Zdrowaški...

- Zdrowaś Panno Mario, łaski pełna ...

- Matulu! matulu moja... - jęczała nieszczęśliwa dziewczyna. - O matulu! ...

- Pan z tobą, błogosławionaś ty między niewiastami...

Teraz Antek podbiegł do pieca i schwycił matkę za spódnice.

- Matulu! - zawołał z płaczem - a dyć ją tam na śmierć zaboli! ...

Ale tyle tylko zyskał, że dostał w łeb, ażeby nie przeszkadzał odmawiać Zdrowasiek. Jakoś i chora przestała bić w deskę, rzucać się i krzyczeć. Trzy Zdrowaški odmówiono, deskę odstawiono.

W głębi pieca leżał trup ze skórą czerwoną, gdzieniegdzie oblazłą.

- Jezu! - krzyknęła matka ujrawszy dziewczynę niepodobną do ludzi.

I taki ogarnął ją żal za dzieckiem, że ledwie pomogła znachorce przenieść zwłoki na tapczan. Potem uklękła na środku izby i bijąc głową w klepisko wołała:

- Oj! Grzegorzowa! ... A cóż wyście najlepszego zrobili! ...

Znachorka była markotna.

- Et! ... cicho byście lepiej byli. Wy może myślicie, że dziewczusko od gorąca tak sčerwieniło? To tak z niej choroba wylazła, ino że trochę za prędko, więc umorzyła niebogę. To wszystko przecie w mocy boskiej.

We wsi nikt nie wiedział o przyczynie śmierci Rozalii. Umarła dziewczucha - to trudno. Widać, że już tak było przeznaczone. Alboż to jedno dziecko co rok we wsi umiera, a przecie zawsze ich jest pełno!

Na trzeci dzień włożono Rozalię w świeżo zheblowaną trumienkę z czarnym krzyżem, trumnę ustawiono w gnojownicach i powieszono dwoma wołami za wieś, tam, gdzie nad zapadniętymi mogiłami czuwają spróchniałe krzyże i białokore brzozy. Na nierównej drodze trumienka skrzywiła się trochę na bok, a Antek, trzymający się fałdów spódnicy matczynej, idąc za wozem myślał:

- Musi tam być źle Rozalce, kiedy się tak poprawia i na bok przewraca! ...

Potem - pokropił ksiądz trumnę święconą wodą, czterech parobków spuściło ją na szlach do grobu, przywaliło ziemią - i tyle wszystkiego.

Wzgórza z lasem szumiącym i te, na których krzaki rosły, zostały tam, gdzie były. Pastusi jak dawniej grali na fujarkach w dolinie i życie szło, wciąż szło swoją koleją, choć we wsi nie stało jednej dziewczuchy.

Przez tydzień mówiono o niej, potem zapomniano i opuszczono świeży grób, na którym tylko wiatr wzdychał i świergotały polne koniki.

A jeszcze potem spadł śnieg i nawet koniki wystraszył.

W zimie gospodarskie dzieci chodziły do szkoły. A że z Antka nie spodziewała się matka żadnej pomocy w gospodarstwie, raczej zawadę, więc poradziwszy się kuma Andrzeja postanowiła oddać chłopca na naukę.

- A czy mnie we szkole nauczą wiatraki budować? - pytał Antek.

- Oho! nauczą cię nawet w kancelarii pisać, byleś ino był chętny.

Wzięła tedy wdowa czterdzieści groszy w węzełek, chłopca w garść i ze strachem poszła do nauczyciela. Wszedłszy do izby zastała go, jak sobie łątał stary kozuch. Pokłoniła mu się do nóg, doręczyła przyniesione pieniądze i rzekła:

- Kłaniam się też panu profesorowi i ślicznie proszę, żeby, mi wielmożny pan tego oto wisusa wziął do nauki, a ręki na niego nie żałował jak rodzony ojciec...

Wielmożny pan, któremu słoma wyglądała z dziurawych butów, wziął Antka pod brodę, popatrzył mu w oczy i poklepał.

- Ładny chłopak - rzekł. - A co ty umiesz?

- Jużci prawda, że ładny - pochwyciła zadowolona matka - ale musi, że chyba nic nie umie.



- Jakże więc wy jesteście jego matką i nie wiecie, co on umie i czego się nauczył? - spytał nauczyciel.

- A skądbym ja miała wiedzieć, co on umie? Przecie ja baba, to mi do tych rzeczy nic. A co uczył się on, niby mój Antek, to wiem, że uczył się bydło paść, drwa szczypać, wodę ze studni ciągnąć i chyba już nic więcej.

W taki sposób zainstalowano chłopca do szkoły. Ale że matce żal było wydanych czterdziestu groszy, więc dla uspokojenia się zebrała pod domem paru sąsiadów i radziła się ich, czy to dobrze, że Antek będzie chodzić do szkoły i że taki wydatek na niego poniosła.

- Te! ... - odezwał się jeden z gospodarzy - niby to nauczycielowi z gminy się płaci, więc na upartego moglibyście mu nic nie dawać. Ale zawsze on się upomina, a takich, co nie płacą mu osobno, gorzej uczy.

- A dobry też z niego profesor?

- No! Niczego! ... On niby, jak z nim gadać, to taki jest trochę głupowaty, ale uczy - jak wypada. Mój przecie chłopak chodzi do niego dopiero trzeci rok i już zna całe abecadło - z góry na dół i z dołu do góry.

- E! cóż to znaczy abecadło - odezwał się drugi gospodarz.

- Jużci że znaczy - rzekł pierwszy. - Nibyście to nie słyszeli, co nieraz nasz wójt powiadają: "Żeby ja choć umiał abecadło, to bym z takiej gminy miał dochodu więcej niż tysiąc rubli, tyle co pisarz!"

W parę dni potem Antek poszedł pierwszy raz do szkoły. Wydała mu się taka prawie porządna jak ta izba w karczmie, co w niej szynkwias stoi, a ławki były w niej jedna za drugą jak w kościele. Tylko że piec pękł i drzwi się nie domykały, więc trochę ziębiło. Dzieci miały czerwone twarze i ręce trzymały w rękawach - nauczyciel chodził w kozuchu na sobie i w baraniej czapce na głowie. A po kątach szkoły siedział biały mróz i wytrzeszczał na wszystko iskrzące ślepie.

Usadzono Antka między tymi, co nie znali jeszcze liter, i zaczęła się lekcja.

Antek, upomniany przez matkę, ślubował sobie, że musi się odznaczyć.

Nauczyciel wziął kredę w skostniałe palce i na zdezelowanej tablicy napisał jakiś znak.

- Patrzcie, dzieci! - mówił. - Tę literę spamiętać łatwo, bo wygląda tak, jakby kto kozaka tańcował, i czyta się A. Cicho tam, osły! ... Powtórzcie: a ... a ... a ...

- A! ... a! ... a! ... - zawołali chórem uczniowie pierwszego oddziału.

Nad ich piskiem górował głos Antka. Ale nauczyciel nie zauważył go jeszcze.

Chłopca trochę to ubodło; ambicja jego została podrażniona.

Nauczyciel wyrysował drugi znak.

- Tę literę - mówił - zapamiętać jeszcze łatwiej, bo wygląda jak precel. Widzieliście precel?

- Wojtek widział, ale my to chyba nie... - odezwał się jeden.

- No, to pamiętajcie sobie, że precel jest podobny do tej litery, która nazywa się B. Wołajcie: be! be!

Chór zawołał: be! be! - ale Antek tym razem rzeczywiście się odznaczył. Zwinął obie ręce w trąbkę i beknął jak roczne cielę.

Śmiech wybuchnął w szkole, a nauczyciel aż zatrzęsł się ze złości.

- He! - krzyknął do Antka. - Toś ty taki zuch? Ze szkoły robisz cieleńnik? Dajcie go tu na rozgrzewkę!

Chłopiec ze zdziwienia aż osłupiał, ale nim się upamiętał, już go dwaj najsilniejsi ze szkoły chwycili pod ramiona, wyciągnęli na środek i położyli.

Jeszcze Antek nie dobrze zrozumiał, o co chodzi, gdy nagle uczył kilka tęgich razów i usłyszał przestrozę:

- A nie becz, hultaju! A nie becz!

Puścili go. Chłopiec otrząsnął się jak pies wydobyty z zimnej wody i poszedł na miejsce.

Nauczyciel wyrysował trzecią i czwartą literę, dzieci nazywały je chórem, a potem nastąpił egzamin.

Pierwszy odpowiadał Antek.

- Jak się ta litera nazywa? - pytał nauczyciel.

- A! - odparł chłopiec.

- A ta druga?

Antek milczał.

- Ta druga nazywa się be. Powtórz, ośle.

Antek znowu milczał.

- Powtórz, ośle, be!

- Albo ja głupi! - mruknął chłopiec dobrze pamiętając, że w szkole beczeć nie wolno.

- Co, hultaju jakiś, jesteś hardy? Na rozgrzewkę go! ...

I znowu ci sami co pierwszej koledky pochwycili go, położyli, a nauczyciel udzielił mu taką samą liczbę pretów, ale już z upomnieniem:

- Nie bądź hardy! ... nie bądź hardy! ...

W kwadrans później zaczęła się nauka oddziału wyższego, a niższy poszedł na rekreację do kuchni profesora. Tam jedni pod dyrekcją gospodyni skrobali kartofle, drudzy nosili wodę, inni pokarm dla krowy, i na tym zajęciu upłynął im czas do południa.

Kiedy Antek wrócił do domu, matka zapytała go:

- A co? Uczyłeś się?

- Uczyłem.

- A dostałeś?

- O! i jeszcze jak! Dwa razy.

- Za naukę?

- Nie, ino na rozgrzewkę.

- Bo, widzisz, to początek. Dopiero później będziesz brał i za naukę! - pocieszyła go matka.

Antek zamyślił się frasobliwie.

- Ha, trudno - rzekł w duchu. - Bije, bo bije, ale przynajmniej pokaże, jak się wiatraki stawiają.

Od tej pory dzieci najniższego oddziału uczyły się wciąż czterech pierwszych liter, a potem szły do kuchni i na podwórze pomagać profesorskiej gospodyni. O wiatrakach mowy nie było.

Jednego dnia na dworze mróz był lżejszy, profesorowi także jakoś serce odtajało, więc chciał wytłomaczyć najmłodszym swoim wychowañcom pożytek pisma.

- Patrzcie, dzieci - mówił pisząc na tablicy wyraz dom jaka to mądra rzecz pisanie. Te trzy znaczki takie małe i tak niewiele miejsca zajmują, a jednak oznaczają - dom. Jak tylko na ten wyraz popatrzysz, to zaraz widzisz przed oczami cały budynek, drzwi, okna, sień, izby, piece, ławy, obrazy na ścianach, krótko mówiąc - widzisz dom ze wszystkim, co się w nim znajduje.

Antek przecierał oczy, wychylał się, oglądał napisany na tablicy wyraz, ale domu żadnym sposobem zobaczyć nie mógł. Wreszcie trącił swego sąsiada i spytał:

- Widzisz ty tę chałupę, co o niej profesor gadają?

- Nie widzę - odparł sąsiad.

- Musi to chyba być łgarstwo! - zakonkludował Antek. Ostatnie zdanie usłyszał nauczyciel i krzyknął:

- Jakie łgarstwo? Co łgarstwo?

- A to, że na tablicy jest dom. Przecie tam jest ino trochę kredy, ale domu nie widno - odparł naiwnie Antek.

Nauczyciel porwał go za ucho i wyciągnął na środek szkoły.

- Na rozgrzewkę go! - zawołał i znowu powtórzyła się z najdrobniejszymi szczegółami dobrze już chłopakowi znana ceremonia.

Gdy Antek wrócił do domu czerwony, splakany i jakoś nie mogący znaleźć miejsca, matka znowu go zapytała:

- Dostałeś?

- A może matula myśla, że nie? - stęknął chłopiec.

- Za naukę?

- Nie za naukę, ino na rozgrzewkę!

Matka machnęła ręką.

- Ha! - rzekła po namyśle - musisz jeszcze poczekać, to ci tam kiedy dadzą i za naukę.

A potem dokładając drew do ognia na kominie mruzczała sama do siebie:

- Tak to zawsze wdowie i sierocie na tej ziemi doczesnej! Żebym ja profesorowi miała dać z pół rubla a nie czterdzieści groszy, to by mi chłopca od razu wziął. A tak baraszkuje sobie z nim i tyle.

A Antek słysząc to myślał:

- No, no! jeżeli on tak baraszkuje ze mną, to dopiero będzie, jak mnie uczyć zacnie!

Na szczęście czy nieszczęście obawy chłopca nie miały się nigdy ziścić.

Jednego dnia, było to już we dwa miesiące po wstąpieniu Antka do szkoły, przyszedł do jego matki nauczyciel i po zwykłych przywitaniach zapytał:

- Jakże, moja kobieto, będzie z waszym chłopakiem? Daliście za niego czterdzieści groszy, ale na początku, i już trzeci miesiąc idzie, a ja szeląga więcej nie widzę! To się tak przecie nie godzi; płacicie choć i po czterdzieści groszy, ale co miesiąc.

A wdowa na to:

Skądże ja wezmę, kiedy nie mam! Co jaki grosz zarobię, to wszystko idzie do gminy. Nawet dzieciskom szmaty nie ma za co kupić.

Nauczyciel wstał z ławy, nałożył czapkę w izbie i odparł:

- Jeżeli tak, to Antek nie ma po co chodzić do szkoły. Ja tam sobie nad nim darmo ręki zrywać nie będę. Taka nauka jak moja, to nie dla biedaków.

Zabrał się i wyszedł, a wdowa patrząc za nim myślała:

- Jużci prawda. Jak świat światem, to ino pańskie dzieci chodziły do nauki. A gdzie zaś prosty człowiek mógłby na to wystarczyć! ...

Zawołała znowu kuma Andrzeja na radę i poczęli oboje egzaminować chłopca.

- Cóż się ty, wisusie, nauczył przez te dwa miesiące? - pytał go Andrzej. - Przecie matka wydali na cię czterdzieści groszy...

- Jeszcze jak! - wtrąciła wdowa.

- Com się tam miał nauczyć! - odparł chłopiec. - Kartofle skrobią się tak we szkole jak i w domu, świniom tak samo daje się jeść. Tylko tyle, żem parę razy profesorowi buty wyczyścił. Ale za to porwali na mnie odzienie przy tych tam... rozgrzewkach...

- No, a z nauki toś nic nie połapał?

- Kto tam co połapie! - mówił Antek. - Jak nas uczy po chłopsku - to łże. Napisze se na tablicy jakiś znak i mówi, że to dom z izbą, sienią, z obrazami. Człowiek przecie ma oczy i widzi, że to nie jest dom. A jak nas uczy po szkolnemu, to kat go zrozumie! Jest tam paru starszych, co po szkolnemu pieśni śpiewają, ale młodszy to dobrze, jak się trochę kłąc nauczy...

- Ino kiedy spróbuj gadać tak paskudnie, to ja ci dam! - wtrąciła matka.

- No, a do gospodarstwa nigdy, chłopaku, nie nabierzesz ochoty? - spytał Andrzej.

Antek pocałował go w rękę i rzekł:

- Poślijcie mnie już tam, gdzie uczą budować wiatraki.

Starzy jak na komendę wzruszyli ramionami.

Nieszczęsny wiatrak, po drugiej stronie Wisły mielący zboże, tak ugrzązł w duszy chłopca, że go już stamtąd żadna siła wydobyć nie mogła.

Po długiej naradzie postanowiono czekać. I czekano.

Upływał tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, nareszcie chłopak doszedł do dwunastu lat, ale w gospodarstwie wciąż niewielkie oddawał usługi. Strugał swoje patyki, a nawet rzeźbił cudaćkie figury. I dopiero gdy mu się kozik zepsuł, a matka na nowy nie dawała pieniędzy, wynajmował się do roboty. Jednemu nocą koni na łące pilnował, zatopiony w siwej mgłę wieczornej i zapatrzony na gwiazdy; innemu woły prowadził przy orce; czasem poszedł do lasu po jagody lub grzyby i sprzedawał szynkarzowi Mordce za kilka groszy cały kosz.

W chacie im się nie wiodło. Gospodarstwo bez chłopca to, jak ciało bez duszy; a wiadomo, że ojciec Antka już od kilku lat wypoczywał na tym wzgórzu, gdzie przez żywopłot czerwonymi jagodami okryty spoglądają na wioskę smutne krzyże.

Wdowa do obrządzenia roli najmowała parobka, resztę pieniędzy musiała odnosić do gminy, a dopiero za to, co zostało, karmić siebie i chłopców.

Jadali też co dzień barszcz z chleba i kartofle, czasem kaszę i kluski, rzadziej groch, a mięso - chyba tylko na Wielkanoc. Niekiedy i tego w chacie nie stało, a wówczas wdowa nie potrzebując pilnować komina łątała synom sukmanki. Mały Wojtek płakał, a Antek z nudów w porze obiadowej łapał muchy i po takiej uczcie znowu szedł na dwór do strugania swoich drabin, płotów, wiatraków i świętych. Bo także wystrugiwał i świętych, co prawda na początek bez twarzy i rąk. .

Nareszcie kum Andrzej, wiemy przyjaciel osieroconej rodziny, wyrobił Antkowi miejsce u kowala w drugiej wsi. Jednej niedzieli poszli tam z wdową i chłopcem. Kowal przyjął ich niezgorzej. Wypróbował chłopca w rękach i krzyżu, a widząc, że na swój wiek jest wcale mocny, przyjął go do terminu bez zapłaty i tylko na sześć lat.

Straszno i smutno było chłopcu patrzeć, jak płacząca matka i stary Andrzej pożegnawszy jego i kowala skryli się już za sadami idąc z powrotem do domu: Było mu jeszcze smutniej, kiedy spał pierwszą noc pod cudzym dachem, w stodółce, między nieznanymi sobie chłopakami kowala, którzy zjedli jego kolację i jeszcze dali mu do snu parę kułaków na zadatek dobrej przyjaźni.

Ale kiedy na drugi dzień równo ze świtem poszli gromadą do kuźni, gdy rozniecili ognisko, Antek począł dąć pękatom miechem, a inni śpiewając z majstrem: "Kiedy ranne wstają zorze" poczęli kuć młotami rozpalone żelazo - w chłopcu zbudził się jakby nowy duch. Dźwięk metalu, rytmiczny huk, pieśń, której aż las odpowiadał echem - wszystko to upoiło chłopca... Zdaje się, że w sercu jego aniołowie niebiescy naciągnęli kilka strun, nieznanym innym chłopskim dzieciom, i że struny te odezwały się dopiero dziś, przy sapaniu miecha, tętnieniu młotów i pryskających z żelaza iskrach.

Ach, jaki by z niego był dziarski kowal, a może i co więcej ... Bo chłopak, choć nowa robota podobała mu się okrutnie, wciąż myślał o swoich wiatrakach.

Kowal, dzisiejszy opiekun Antka, był człowiek nijaki. Kuł żelazo i piłował je ani źle, ani dobrze. Czasami walił chłopców, aż puchli, a najwięcej dbał o to, ażeby się zbyt prędko nie wyuczili kunsztu. Bo taki młodzik wyszedłszy z terminu mógłby pod boki swemu rodzonemu majstrowi kuźnię założyć i zmusić go do staranniejszej roboty! ...

A trzeba wiedzieć, że majster miał jeszcze jeden obyczaj.

Na drugim końcu wsi mieszkał wielki przyjaciel kowala – sołtys, który w zwykłe dni prawie nie odchodził od pracy, ale gdy mu co kapnęło z urzędu, rzucał gospodarstwo i szedł do karczmy mimo kuźni. Bywało tego raz albo i dwa razy na tydzień.

Idzie sobie tedy sołtys z zapracowanym na urządzie groszem pod sosnową wiechą i niechcący zbacza do kuźni.

- Pochwalony! - woła do kowala stojąc za progiem.

- Pochwalony! - odpowiada kowal. - A jak tam w polu?

- Niczego - mówi sołtys. - A jak u was w kuźni?

- Niczego - mówi kowal. - Chwała Bogu, żeście choć aby raz wyleźli z chałupy.

- A tak - odpowiada sołtys. - Takem ci się zgadał w kancelarii, że muszę choć odrobinę zęby popłukać. Może pójdziecie i wy od tego kurzu?

- Ma się rozumieć, że pójdę, przecie zdrowie jest najpierwsze - odpowiadał kowal i nie zdejmując fartucha szedł wraz z sołtysem do karczmy.

A kiedy już raz wyszedł, mogli chłopcy na pewno gasić ognisko. Żeby robota była najpilniejsza, żeby się walił świat, ani majster, ani sołtys przed wieczorem nie wyszli z karczmy, chyba że sołtysowi narzuciła się jaka urzędowa czynność.

Dopiero późno w nocy wracali do domu.

Zwykle sołtys wiódł kowala pod rękę, a ten dźwigał butelkę "płukania" na jutro. Na drugi dzień sołtys był zupełnie trzeźwy i gospodarował aż do nowego zarobku na urzędzie, ale kowal wciąż zaglądał w przyniesioną butelkę, dopóki się dno nie pokazało, i tym sposobem od jednego zamachu wypoczywał przez dwa dni.

Już półtora roku nadymał Antek miechy w kuźni nie robiąc, zdaje się, nic więcej i półtora roku majster z sołtysem regularnie płukali zęby pod sosnową wiechą. Aż raz zdarzył się wypadek.

Kiedy sołtys z kowalem siedzieli w karczmie, nagle po pierwszym półkwatku dano znać, że ktoś tam powiesił się - i gwałtem wyciągnięto sołtysa zza stołu. Kowal nie mając odpowiedniego towarzystwa musiał zaprzestać płukania, ale kupił niezbędną butelkę i powoli wracał z nią ku domowi.

Tymczasem do kuźni przyszedł chłop z koniem do okucia.

Ujrzawszy go terminatorzy zawołali:

- Nie ma majstra, dziś robi z sołtysem płukanie!

- A z was to żaden nie potrafi szkapy okuć? - spytał markotnie gospodarz.

- Kto tam potrafi! - odparł najstarszy terminator.

- Ja wam okuję - odezwał się nagle Antek.

Tonący chwyta się brzytwy, więc i chłop zgodził się na propozycję Antka, choć niewiele mu ufał, a jeszcze inni terminatorzy wyśmiewali go i wymyślali.

- Widzisz go, niedorostka! - mówił najstarszy. - Jak żyje, nie trzymał młota w garści, tylko dymał i węgli dokładał, a dziś porywa się na kucie koni! ...

Widać jednak, że Antek miał młot w garści, bo zwinawszy się w nie długim nawet czasie odkuł kilka gwoździ i podkowę. Wprawdzie podkowa była za wielka i niezbyt foremna, ale swoją drogą terminatorzy pootwierali gęby.

Jak raz przyszedł na tę chwilę i majster. Opowiedziano mu, co się stało, okazano podkowę i gwoździe.

Kowal obejrzał i aż przetarł krwią nabiegłe oczy.

- A ty gdzieś się tego nauczyłeś, złodzieju? - zapytał Antka.

- A w kuźni - odparł chłopiec, zadowolony z komplimentu. - Jak pan majster poszedł na płukanie, a oni rozbiegli się, to ja wykuwałem różne rzeczy z ołowiu albo i z żelaza.

Majster tak był zmieszany, że nawet zapomniał zbić Antka za psucie materiałów i narzędzi. Aż poszedł na radę do żony, skutkiem czego chłopca wydano z kuźni i przeznaczono do gospodarstwa.

- Za mądryś ty, kochanku! - mówił mu kowal. - Nauczyłeś się fachu we trzy lata i później byś uciekł. A przecież matka oddała mi cię na sześć lat - do służby.

Pół roku jeszcze był Antek u kowala. Kopał w ogrodzie, peł, rąbał drzewo, kołysał dzieci, ale już nie przestąpił progu kuźni. Pod tym względem wszyscy go rzetelnie pilnowali: i majster, i majstrowa, i chłopcy. Nawet własna matka Antkowa, i kum Andrzej, choć wiedzieli o dekrecie kowalskim, nic przeciw niemu nie mówili. Według umowy i obyczaju chłopiec dopiero po sześciu latach miał prawo jako tako fuszerować kowalstwo. A że był dziwnie bystry i nieuczony przez nikogo nauczył się kowalstwa sam w ciągu roku, więc tym gorzej dla niego!

Swoją drogą Antkowi uprzykrzył się taki tryb życia.

- Mam ja tu kopać i drwa rąbać, więc wolę to samo robić u matki! Tak sobie myślał przez tydzień, przez miesiąc. Wahał się. Ale w końcu uciekł od kowala i wrócił do domu.

Te jednak parę lat wyszły mu na dobre. Chłopak wyrósł, zmężniał, poznał trochę więcej ludzi aniżeli w swojej dolinie, a nade wszystko poznał więcej rzemieślniczych narzędzi.

Teraz siedząc w domu pomagał czasem przy gospodarstwie, ale przeważnie robił swoje maszyny i rzeźbił figury. Tylko już prócz kozika miał dółtko, pilnik i świderkę i władał nimi tak biegle, że niektóre z jego wyrobów począł nawet kupować Mordko szynkarz. Na co? ... Antek o tym nie wiedział, chociaż jego wiatraki, chaty, sztuczne skrzynki, święci i rzeźbione fajki rozchodziły się po całej okolicy. Dziwiono się talentowi nieznanego samouka, niezgorzej nawet płacono za wyroby Mordce, ale o chłopca nikt się nie pytał, a tym bardziej nikt nie myślał o podaniu mu pomocnej ręki.

Alboż kto pielęgnuje polne kwiaty, dzikie gruszki i wiśnie, choć niby wiadomo, że przy staraniu i z nich byłby większy pożytek? ...



Tymczasem chłopiec podrastał, a dziewczuchy i kobiety wiejskie coraz milej na niego spoglądały i coraz częściej mówiły między sobą:

- Ładny bestyja, bo ładny!

Rzeczywiście Antek był ładny. Był dobrze zbudowany, w sobie zręczny i prosto się trzymał, nie tak jak chłopci, którym ramiona zwieszają się, a nogi ledwie posuwają się od ciężkiej pracy. Twarz także miał nie taką jak inni, ale rysy bardzo regularne, cerę świeżą, wyraz rozumny. Miał też jasne kędzierzawe włosy, ciemne brwi i ciemnoszafirowe oczy, marzące.

Mężczyźni dziwili się jego sile i sarkali na to, że próżnował. Ale kobiety wolały mu patrzeć w oczy.

- Jak on bestyja spoglądnie na człowieka – mówiła jedna z bab – to aż cię mrowie przechodzi. Taki jeszcze młodziak, a już patrzy na cię jak dorosły szlachcic! ...

- Bo to prawda! - zaprzeczyła druga. - On patrzy zwyczajnie jak niedorostek, ino ma taką słodkość w ślipiach, że aż cię rozbiera. Ja się na tym znam! ...

- Chyba ja się lepiej znam - odparła pierwsza. - Przecież służyła we dworze...

A gdy się kobiety spierały tak o patrzeć Antkowie, on tymczasem na nie nie patrzył wcale. U niego więcej jeszcze znaczył dobry pilnik aniżeli najładniejsza kobieta.

W tym czasie wójt, stary wdowiec, który już córkę z pierwszego małżeństwa wydał za mąż i miał jeszcze w domu kilkoro małych dzieci z drugiego małżeństwa, ożenił się trzeci raz. A jako zwykle łysi miewają szczęście, więc wynalazł sobie za Wisłą żonkę młodą, piękną i bogatą.

Kiedy para ta stanęła przed ołtarzem, ludzie poczęli się śmiać; a i sam ksiądz trochę pokiwał głową, że tak nie pasowali do siebie.

Wójt trząsał się jak dziad, co ze szpitala wyjdzie, i dlatego tylko był mało siwy, że miał głowę łysą jak dynia. Wójtowa była jak iskra. Czysta cyganka, z wiśniowymi ustami, nieco odchylonymi, i z oczami czarnymi, w których niby ogień paliła się jej młodość.

Po weselu dom wójta, zwykle cichy, bardzo się ożywił, bo raz w raz przybywali goście. To strażnik, który częstsze miewał niż zwykle interesa do gminy; to pisarz, który, znać nie dosyć nacieszywszy się wójtem w kancelarii, jeszcze go w domu odwiedzał; to znów strzelcy rządowi, których dotąd we wsi nie bardzo kiedy widywano. Nawet sam profesor odebrawszy miesięczną pensję cisnął w kąt stary kozuch i ubrał się – jak magnat, tak że niejeden wiejski człowiek począł go tytułować wielmożnym dziedzicem.

I wszyscy owi strażnicy, strzelcy, pisarze i nauczyciele ciągnęli do wójtowej jak szczury do młyna. Ledwie jeden wszedł do izby, już drugi wystawał za płotem, trzeci sunął z końca wsi, a czwarty kręcił się koło wójta. Jejmość rada była wszystkim, śmiała się, karmiła i poila

gości. Ale też czasem wytargała którego za włosy, a nawet i wybiła, bo humor u niej łatwo się zmieniał.

Nareszcie po półrocznym weselu zaczęło być trochę spokojniej. Jedni goście znudzili się, drugich wójtowa przepędziła, i tylko podstarzały profesor, sam lichy jedząc i morząc głodem swoją gospodynię, za każdą pensją miesięczną kupował sobie jakiś figlas do ubrania i siadywał u wójtowej na progu (bo go z izby wyganiano) albo klął i wzdychał pomiędzy opłotkami.

Jednej niedzieli poszedł Antek na sumę jak zwykle z matką i bratem. W kościele było już ciasno, ale dla nich znalazło się jeszcze trochę miejsca. Matka uklękła między kobietami na prawo, Antek z Wojtkiem między chłopami na lewo i każdy modlił się, jak umiał. Naprzód do świętego w wielkim ołtarzu, potem do świętego, co stoi wyżej nad tamtym, potem do świętych w ołtarzach bocznych. Modlił się za ojca, co go przytłukło drzewo, i za siostrę, co z niej za prędko choroba w piecu wyszła, i za to, ażeby Pan Bóg miłosierny i jego święci ze wszystkich ołtarzów dali mu szczęście w życiu, jeżeli taka będzie ich wola.

Wtem, gdy Antek już czwarty raz z kolei powtarzał swoje pacierze, uczuł nagle, że ktoś udeptał go w nogę i ciężko oparł mu się na ramieniu. Podniósł głowę. Przeciskająca się pomiędzy cizbą ludu stała nad nim wójtowa, na twarzy smagła, zaczerwieniona, zadyszana z pośpiechu. Ubierała się jak chłopka, a spod chustki spadającej z ramion widać było koszulę z cieniutkiego płótna i sznury paciorków z bursztynów i koralami.

I popatrzyli sobie w oczy. Ona wciąż nie zdejmowała mu ręki z ramion, a on... klęczał, patrzył na nią jak na cudowne zjawisko nie śmiejąc ruszyć się, aby mu nagle nie znikła.

Między ludźmi poczęto szeptać.

- Usuńcie się, kumie, pani wójtowa idą...

Kumowie usunęli się i wójtowa poszła dalej, aż przed wielki ołtarz. W drodze niby potknęła się i znowu spojrzała na Antka, a chłopca aż gorąco oblało od jej oczów. Potem usiadła na ławce i modliła się z książki, czasami podnosząc głowę i spoglądając na kościół. A kiedy na podniesienie zrobiło się cicho, jakby makiem zasiał, i pobożni upadli na twarze, ona złożyła książkę i znowu odwróciła się do Antka topiąc w nim ogniste źrenice. Na jej cygańską twarz i sznur paciorków spłynął z okna snop światła i wydała się chłopcu jako święta, wobec której ludzie milkną i rzucają się w proch.

Po sumie ludzie tłumem poszli do domów. Wójtową otoczyli pisarz, nauczyciel i gorzelnik z trzeciej wsi i już Antek nie mógł jej zobaczyć.

W chacie postawiła matka chłopakom doskonały krupnik, zabieleny mlekiem, i wielkie pierogi z kaszą. Ale Antek, choć lubił to, jadł ledwie jednym zębem. Potem zabrał się, poleciał w góry i położywszy się na najwyższym szczycie patrzył stamtąd na wójtową chatę. Ale widział tylko słomiany dach i mały niebieski dymek, wydobywający się powoli z obielonego komina. Więc zrobiło mu się tak czegoś tęskno, że schował twarz w starą sukmanę i zapłakał.

Pierwszy raz w życiu uczuł wielką swoją nędzę. Chata ich była najbiedniejszą we wsi, a pole najgorsze. Matka, choć przecie gospodyni, pracować musiała jak komornica i odziewała się prawie w lachmany. Na niego samego patrzono we wsi jak na straceńca, który nie wiadomo po co innym chleb zjada. A co go się nie nabili, co go się nawet psy nie nagryzły! ...

Jakże daleko było mu do profesora, gorzelnika, a choćby i do pisarza, którzy, ile razy chcieli, mogli wejść do wójtowskiej chaty i gadać z wójtową. Jemu zaś nie o wiele chodziło. Pragnął tylko, żeby jeszcze choć raz jeden, jedyny i ostatni raz w życiu, oparła mu kiedy wójtowa na ramieniu rękę i spojrzała w oczy tak, jak w kościele. Bo w jej spojrzeniu mignęło mu coś dziwnego, coś jak błyskawica, przy której na krótką chwilę odsłaniają się niebieskie głębokości, pełne tajemnic. Gdyby je kto dobrze obejrzał, wiedziałby wszystko, co jest na tym świecie, i byłby bogaty jak król.

Antek w kościele nie przypatrzył się dobrze temu, co mignęło w oczach wójtowej. Był nieprzygotowany, olśniony i szczęśliwą sposobność stracił. Ale gdyby ona tak jeszcze kiedy na niego chciała spojrzeć! ...

Marzyło mu się, że zobaczył przelatujące szczęście i strasznie do niego zatęsknił. Zbudziło się drzemiące serce i wśród boleści poczęło się jakby przeciągać. Teraz świat wydał mu się całkiem odmienny. Dolina była za szczupłą, góry za niskie, a niebo - bodaj czy się nie opuściło, bo zamiast porywać ku sobie, zaczęło go przygniatać. Chłopiec zeszedł z góry pijany, nie wiedząc jakim sposobem znalazł się nad brzegiem Wisły i patrząc w rzeczne wiry czuł, że go coś pociąga ku nim.

Miłość, której nawet nazwać nie umiał, spadła nań jak burza rozniecając w duszy strach, żal, zdziwienie i - albo on wiedział co jeszcze?

Odtąd co niedzielę chodził do kościoła na sumę i z drzeniem serca czekał na wójtową myśląc, że jak wtedy położy mu rękę na ramieniu i spojrzy w oczy. Ale wypadki nie powtarzają się, a zresztą uwagę wójtowej pochłaniał teraz gorzelnik, chłop młody i zdrowy, który aż z trzeciej wsi przyjeżdżał... na nabożeństwo.

Wówczas Antek wpadł na osobliwy pomysł. Postanowił zrobić piękny krzyżyk i ofiarować wójtowej. Wtedy ona chyba spojrzy na niego i może uleczy z tej tęsknicy, która mu wypijała życie;

Za ich wsią, na rozstajnych drogach, znajdował się dziwny krzyż. Od podstawy owijały go powoje. Nieco wyżej była drabinka, włócznia i cierniowa korona, a u szczytu, przy lewym ramieniu, wisiała jedna ręka Chrystusa, bo resztę figury ktoś ukradł - pewnie na czary. Ten to krzyż wziął Antek za model.

Strugał więc, przerabiał i na nowo zaczynał swój krzyżyk starając się, ażeby był piękny i wójtowej godny.

Tymczasem na wieś spadło nieszczęście. Wisła wylała, przerwała tamę i zniszczyła przybrzeżne pola. Ludzie wiele stracili, ale najwięcej Antkowa matka. W chacie jej pokazał się nawet głód. Trzeba było iść na zarobek; chodziła więc i sama nieboga, i Wojtusia oddała

na pastucha. Ale wszystko to nie wystarczało. Antek nie chcący jać się pracy gospodarskiej był dla niej prawdziwym ciężarem.

Widząc to stary Andrzej począł nalegać na chłopca, ażeby poszedł w świat.

- Jesteś przecie chłopak bystry, silny, zręczny do rzemiosła, więc udaj się między miejskich ludzi. Tam nauczysz się czego i jeszcze matce będziesz pomocny, a tu ostatni kęs chleba odejmujesz jej od gęby.

Antek aż pobladł na myśl, że przyjdzie mu opuścić wieś bez zobaczenia się choć raz z wójtową. Rozumiał jednak, że inaczej być nie może, i tylko prosił, żeby mu zostawili kilka dni.

Przez ten czas z podwojoną gorliwością rzeźbił swój krzyżyk i wyrzeźbił bardzo ładny, z powojem u dołu, z narzędziami męki i z ręką Pańską przy lewym ramieniu. Ale gdy skończył robotę, żadną miarą nie miał odwagi pójść do wójtowskiego mieszkania i swój dar ofiarować wójtowej.

Przez ten czas matka połatała mu odzienie, pożyczyła od Mordki rubla na drogę, wystarała się o chleb i ser do kobiałki, wyplakała się. Ale Antek wciąż marudził, z dnia na dzień odwlekając swoje wyjście.

Zniecierpliwiło to Andrzeja, który jednej soboty wywołał chłopca z chaty i rzekł mu surowo:

- No, a kiedyż ty, chłopaku, opamiętasz się? Czy chcesz, żeby przez ciebie matka z głodu i z pracy zmarła? Przecie ona swoimi starymi rękoma nie wykarmi siebie i takiego jak ty draba, co próżnuje po całych dniach! ...

Antek schylił mu się do nóg.

- Poszedłbym już, Andrzeju, ale kiedy mi strasznie żal porzucić swoich!

Nie powiedział jednak, kogo mu żal najwięcej.

- Oho! - zawołał Andrzej. - A cóżes ty dziecko przy piersi, że nie możesz się obejść bez matki? Dobry z ciebie chłopak, ani słowa, ale masz w sobie takiego niechcieja, co by cię tu do siwych włosów trzymał matce na karku. Dlatego ja ci powiem: jutro święta niedziela, wszyscy będziemy wolni i odprowadzimy cię. Więc po nabożeństwie zjesz obiad i pójdziesz. Dłużej tu z założonymi rękami nie ma co siedzieć. Ty najlepiej wiesz, że mówię prawdę.

Antek upokorzony wrócił do chaty i powiedział, że już jutro pójdzie w świat szukać roboty i nauki. Biedna kobieta połykając łzy począła szykować go do drogi. Dała mu starą kobiałkę, jedyną w chacie, i torbę parcianą. W kobiałkę włożyła trochę jadła, a w torbę pilniki, młotek, dłućka i inne narzędzia, którymi Antek od tylu lat wyrabiał swoje zabawki.

Nadeszła noc. Antek legł na twardej ławie, ale zasnąć nie mógł. Uniósłszy głowę patrzył na dogasające w kominie węgle, słuchał dalekiego szczekania psów albo świerkania świerszcza w chacie, który nad nim tak wołał, jak wołają polne koniki nad opuszczonym grobem małej jego siostry, Rozalii.

Wtem usłyszał jeszcze jakiś szmer w rogu izby. To bezsenna matka jego po cichu szlochała ...

Antek ukrył głowę pod sukmanę.

Słońce było wysoko, kiedy się obudził. Matka już wstała i drżącymi rękoma ustawiała garnuszki przy ogniu.

Potem wszyscy razem usiedli za stół do śniadania i trochę podjadłszy poszli do kościoła.

Antek miał na piersiach pod sukmaną swój krzyżyk. Co chwilę przyciskał go oglądając się niespokojnie, czy gdzie wójtowej nie widać, i myśląc z trwogą, jak też on jej swój dar doręczy?

W kościele nie było wójtowej. Chłopak klęcząc na środku machinalnie odmawiał modlitwy, ale co mówił? ... nie rozumiał. Gra organów, śpiew ludu, dźwięk dzwonek i własne cierpienie w duszy jego zlały się w jedną wielką zawieruchę. Zdawało mu się, że cały świat drży w posadach w tej chwili, kiedy on ma opuścić tę wieś, ten kościół i wszystkich, których ukochał.

Ale na świecie było spokojnie, tylko w nim tak kipiał żal.

Nagle organy ucichły, a ludzie pochylili głowy. Antek ocknął się, spojrzął. Jak wówczas tak i dziś było podniesienie i jak wówczas w ławce przy wielkim ołtarzu siedziała wójtowa.

Wtedy chłopiec ruszył ze swego miejsca między ciżbą ludu, zachołgał się na kolanach aż do owej ławki i znalazł się u nóg wójtowej. Sięgnął za pazuchę i wydobyl krzyżyk. Ale odbiegła go wszelka śmiałość, a głos mu zamarł tak, że jednego wyrazu nie mógł przemówić. Więc zamiast oddać krzyżyk tej, dla której rzeźbił go przez parę miesięcy, wziął i zawiesił swoją pracę na gwoździu, wbitym w ścianę obok ławki. W tej chwili ofiarował Bogu drewniany krzyżyk, a razem z nim swoją tajemną miłość i niepewną przyszłość.

Wójtowa zauważyła szmer i spojrzała na chłopca ciekawie, tak samo jak wtedy. Ale on nic nie widział, bo mu się oczy zasłoniły łzami.

Po sumie matka z dziećmi wróciła do chaty. Ledwie zjedli kartoflanekę i trochę klusków, ukazał się w izbie kum Andrzej i po przywitaniu rzekł:

- No, chłopcze! zabieraj się! Komu w drogę, temu czas.

Antek podpasał sukmanę rzemykiem, przewiesił torbę z narzędziami przez jedno ramię, a kobiałkę przez drugie. Gdy już wszyscy gotowi byli do drogi, chłopiec ukląkł, przeżegnał się i ucałował klepisko chaty jak podłogę kościelną. Potem matka wzięła go za jedną rękę, brat Wojtuś za drugą i jak pana młodego do ślubu, wiedli go oboje najukochańsi na próg świata.

Stary Andrzej włókł się za nimi.

- Masz tu rubla, Antku - mówiła matka wciskając chłopcu w rękę gałganek pełen miedzianych pieniędzy. - Nie kupuj za to, dziecko, statków do krajania, ino schowaj se ten grosz na złe

czasy, kiedy ci się jeść zachce. A jeżeli kiedy zarobisz taki pieniądz, to daj go na mszę świętą, ażeby ci Bóg błogosławił.

I szli tak wolno wężozem pod górę, aż im wieś z oczu znikła; tylko z karczmy dolatywało ciche granie skrzypków i dudnienie bębna z dzwonekami. Wreszcie i to ucichło; znaleźli się na wyżynie.

- No, wróćwa się już - rzekł Andrzej - a ty, chłopaku, idź wciąż drogą i pytaj się o miasto. Bo tobie nie na wsi mieszkać, ino w mieście, gdzie ludzie chętniejsi są do młotka niż do roli.

Wdowa na to odezwała się z płaczem:

- Kumie Andrzeju, doprowadźmyż go choć do figury świętej, gdzieby pobłogosławić go można.

A potem biadała:

- Czy kto kiedy słyszał, żeby rodzona matka dziecko swoje wiodła na stracenie? Wychodzili, prawda, od nas chłopacy do wojska, ale to był mus. Nigdy przecie nie widziano, żeby kto z własnej woli opuszczał wieś, gdzie się urodził i gdzie go przyjąć powinna święta ziemia. Oj! doloż ty moja, dolo! że ja już trzecią osobę z chaty wyprowadzam, a sama jeszcze żyję na świecie! ... A schowałeś, synusiu, pieniądze?

- Schowałem, matulu.

Doszli do figury i poczęli się żegnać.

- Kumie Andrzeju - mówiła wdowa łkając - wyście tyle świata widzieli, wyście z bractwa, pobłogosławcież tego sierotę - a dobrze, żeby się nim Pan Bóg opiekował.

Andrzej popatrzył w ziemię, przypomniał sobie modlitwę za podróżnych, zdjął czapkę i położył ją pod figurą. Potem wznosił ręce ku niebu, a gdy wdowa i obaj jej synowie uklękli, począł mówić:

O Boże święty, Ojczy nasz, któryś naród swój wyprowadził z ziemi egipskiej i z domu niewoli, który każdemu stworzeniu, co się rucha, dajesz pokarm, który ptaki powietrzne do ich starodawnych gniazd powracasz, Ciebie prosimy, bądź miłościw temu podróżnemu, ubogiemu i strapionemu! Opiekuj się nad nim, Boże nasz święty, w złych przygodach pocieszaj, w chorobie uzdrów, w głodzie nakarm i w nieszczęściu ratuj. Bądź mu, Panie, miłościw pośród obcych, jakoś był Tobiaszowi i Józefowi. Bądź mu Ojcem i Matką. Za przewodników daj mu aniołów Twoich, a gdy spełni, co sobie zamierzył - do naszej wsi i do jego domu szczęśliwie go powróć.

Tak się modlił chłop w świątyni, gdzie polne zioła pachniały, śpiewały ptaki, gdzie pod nimi błyszczała w ogromnych skrętach Wisła, a nad nimi stary krzyż szeroko otwierał ramiona.

Antek upadł do nóg matce, potem Andrzejowi, ucałował brata i - poszedł drogą.

Ledwie uszedł kilkadziesiąt kroków, aż wdowa zawołała za nim:

- Antku! ...

- Co, matulu? ...

- A jak ci tam będzie źle u obcych, wracaj do nas ... Niech cię Bóg błogosławi! ...

- Zostańcie z Bogiem! - odparł chłopak.

Znowu uszedł kawałek drogi i znowu zawołała za nim smutna matka:

- Antku! ... Antku! ...

- Co, matulu? - spytał chłopiec.

Głos jego już słabiej dolatywał.

A nie zapomnij o nas, synusiu! Niech cię Bóg błogosławi!

- Zostańcie z Bogiem!

I szedł, szedł, szedł, jak ów chłopak, co wybrał się po cyrograf, wystawiony na własną duszę. Wreszcie za wzgórkiem znikł. Na polu rozlegał się jęk zbolalej matki.

Ku wieczorowi niebo zaciągnęło się chmurami i spadł drobny deszcz. Ale że chmury nie były gęste, więc przedarły się przez nie blaski zachodzącego słońca. Zdawało się, że nad szarym polem i nad grząską, gliniastą drogą unosi się złote sklepienie powleczone żalobną krepu.

Po tym polu szarym i cichym, bez drzew, po drodze grząskiej posuwał się z wolna strudzony chłopiec w siwej sukmance, z kobiałką i torbą na plecach.

Zdawało się, że wśród głębokiego milczenia krople deszczu nucą tęskną melodię znanej pieśni:

Przez dolinę,

Przez pole,

Idzie sobie pacholę,

Idzie sobie i śpiewa,

Wiatr mu z deszczem przygrywa!

---

Może spotkacie kiedy wiejskiego chłopca, który szuka zarobku i takiej nauki, jakiej między swoimi nie mógł znaleźć. W jego oczach zobaczycie jakby odbłask nieba, które przegląda się w powierzchni spokojnych wód; w jego myślach poznacie naiwną prostotę, a w sercu tajemną i prawie bezświadomą miłość.

Wówczas podajcie rękę pomocy temu dziecku. Będzie to nasz mały brat, Antek, któremu w rodzinnej wsi stało się już za ciasno, więc wyszedł w świat oddając się w opiekę Bogu i dobrym ludziom.



## CIENIE

Kiedy na niebie dogasają blaski słońca, z ziemi wynurza się zmierzch. Zmierzch - wielka armia nocy o tysiącach niewidzialnych kolumn i miliardach żołnierzy. Potężna armia, która od niepamiętnych czasów pasuje się ze światłem, pierzcha każdego poranku, zwycięża każdego wieczora, panuje od zachodu do wschodu słońca, a w dzień, rozbita, chowa się po kryjówkach i czeka.

Czeka w górskich przepaściach i miejskich piwnicach, w gąszczu lasu i w głębi ciemnych jezior. Czeka kryjąc się w przedwiecznych jaskiniach ziemi, w kopalniach, po rowach, w kątach domów, w załawkach murów. Rozproszona i na pozór nieobecna wypełnia jednak wszystkie skrytki. Jest w każdej szczelinie kory drzew, w fałdach ludzkiego odzienia, leży pod najmniejszym ziarnem piasku, czepia się najcieńszej nici pajęczej i czeka. Wypłoszona z jednego miejsca, w okamgnieniu przenosi się na inne, korzystając z lada sposobności, aby powrócić tam, skąd ją wygnano, wdrzeć się na nie zajęte stanowiska i zalać ziemię.

Kiedy gaśnie słońce, armia zmroków gęstymi szeregami wysuwa się ze swych ucieczek, cicha i ostrożna. Zapelnia korytarze domów, sienie i źle oświetlone schody; spod szaf i stołów wypłzuje na środek pokoju i obsiada firanki; przez lufty piwnic i szyby okien wysuwa się na ulice, w głuchym milczeniu szturmując ściany i dachy i zaczajona na szczytach, cierpliwie czeka, aż na zachodzie zbledną różowe obłoki.

Jeszcze chwilka i nagle zerwie się olbrzymi wybuch ciemności sięgającej od ziemi do nieba. Zwierzęta skryją się po legowiskach, człowiek ucieknie do domu; życie, jak roślina bez wody, skurczy się i pocznie usychać. Barwy i kształty rozplyną się w nicestwie; trwoga, błąd i występki obejmą panowanie nad światem.

W takiej chwili na pustoszejących ulicach Warszawy ukazuje się dziwna postać ludzka, z drobnym płomykiem nad głową. Szybko biegnie przez chodnik, jakby ją ścigały ciemności, przy każdej latarni zatrzymuje się na mgnienie i roznieciwszy wesołe światło, znika jak cień.

I tak każdego dnia w roku. Czy na polach wiosna dyszy zapachem kwiatów, czy sroży się lipcowa burza, czy rozhukane na ulicach jesienne wichry miotają tumanami kurzu, czy w powietrzu kłębią się zimowe śniegi - on zawsze, skoro tylko nadejdzie wieczór, ze swym płomykiem przebiega miejskie chodniki, roznieca światło, a potem znika jak cień.

Skąd się ty bierzesz, człowieku, i gdzie kryjesz się, że nie znamy twoich rysów, ani słyszymy głosu? Czy masz ty żonę albo matkę, która czeka twego powrotu? Albo dzieci, które, pozostawiwszy w kącie twoją latarkę, wdzierają ci się na kolana i obejmują cię za szyję? Czy ty masz przyjaciół, którym opowiadasz swoje pociechy i zgryzoty, albo choć znajomych, z którymi mógłbyś porozmawiać bodaj o codziennych zdarzeniach?

Czy ty w ogóle posiadasz jaki dom, w którym by cię znaleźć można? imię, którym można by ciebie zawołać? potrzeby i uczucia, które by cię robiły takim jak my człowiekiem? Czyli też jesteś naprawdę istotą bezkształtną, milczącą i nieujęta, co ukazuje się tylko o zmroku, roznieca światło, a potem znika jak cień?

Odpowiedziano mi, że jest to naprawdę człowiek, a nawet dano jego adres. Poszedłem do wskazanego domu i zapytałem stróża:

- Czy u was mieszka ten, co zapala latarnie po ulicach?

- U nas.

- A gdzie?

- W tamtej komórce.

Komórka była zamknięta. Spojrzałem przez okno, ale tylko zobaczyłem tapczan przy ścianie, a obok niego na wysokim kiju latarkę. Latarnika nie było

- Powiedz mi przynajmniej, jak on wygląda?

- Kto go tam wie - odparł stróż wzduszając ramionami. - Sam go nawet dobrze nie znam - dodał - bo po dniu nigdy w izbie nie siedzi.

W. pół roku przyszedłem drugi raz.

- A dziś nie ma w domu latarnika?

- Oho! - rzekł stróż - nie ma i nie będzie. Wczoraj go pochowali. Umarł. Stróż zamyślił się. Zapytawszy o kilka szczegółów pojechałem na cmentarz.

- Pokażcie mi, grabarzu, gdzie tu wczoraj pochowano latarnika?

- Latarnika?... - powtórzył. - Kto go tam wie! Trzydziestu pasażerów było wczoraj.

- Ależ on pochowany w oddziale najuboższych.

- Takich zważyło się dwudziestu pięciu.

- Ale on leżał w niemalowanej trumnie.

- Takich zważyło szesnaście.

Tym sposobem nie poznałem ani twarzy, ani nazwiska, ani nawet nie widziałem jego grobu. I został tym po śmierci, czym był za życia: istotą widzialną tylko o zmroku, niemą i niepochwytą jak cień.

W pomroce życia, gdzie po omacku błądzi nieszczęsny rodzaj ludzki, gdzie jedni rozbijają się o zawady, inni spadają w otchłań, a pewnej drogi nikt nie zna, gdzie na skrópowanego przesądami człowieka poluje zły przypadek, nędza i nienawiść - po ciemnych manowcach życia również uwijają się latarnicy. Każdy niesie drobny płomyk nad głową, każdy na swojej ścieżce roznieca światło, żyje niepoznany, trzusi się nieoceniony, a potem znika jak cień...



## GRZECHY DZIECIŃSTWA

Urodziłem się w epoce, kiedy każdy człowiek musiał mieć przydomek, choćby niekoniecznie słuszny.

Z tego powodu naszą dziedziczkę nazywali hrabiną, mego ojca jej plenipotentem, a mnie bardzo rzadko Kaziem albo Leśniewskim, ale dość często urwisem, dopóki byłem w domu, albo osłem, kiedym już poszedł do szkół.

Ponieważ na próżno szukałby kto nazwiska naszej dziedziczki w słowniku rodzin arystokratycznych, zdaje mi się więc, że blask jej hrabiowskiej korony nie sięgał dalej niż plenipotencja mego śp. ojca. Przypominam sobie nawet, że tytuł hrabiny był rodzajem pomnika, którym śp. mój ojciec uczcił radosny wypadek podwyższenia mu pensji rocznie o sto złotych. Nasza pani w milczeniu przyjęła ofiarowaną jej godność, a w kilka dni później ojciec mój awansował z rządcy na plenipotentą i otrzymał zamiast dyplomu niesłychanej wielkości wieprzka, po sprzedaniu którego kupiono mi pierwsze buty.

Ojciec, ja i moja siostra Zosia (bom już nie miał matki) mieszkaliśmy w murowanej oficynie, o kilkadziesiąt kroków od pałacu. Pałac zaś zajmowała pani hrabina z córeczką Lonią, moją rówieśnicą, z jej guwernantką, ze starą gospodynią Salusią tudzież z wielką liczbą garderobianych i pańien służących. Dziewczęta te po całych dniach szyły, z czego wyprowadziłem wniosek, że wielkie panie są od tego, ażeby darły odzież, a dziewczęta - ażeby ją naprawiały. O innych przeznaczeniach wielkich dam i ubogich dziewcząt nie miałem pojęcia, co w oczach ojca stanowiło jedyną moją zaletę.

Pani hrabina była młodą wdową, którą mąż dość wcześnie pogrzyżył w nieutulonym smutku. O ile mi wiadomo z tradycji, nieboszczyka nikt nie tytułował hrabią ani on nikogo plenipotentem. Natomiast sąsiedzi z dziwną w naszym kraju jednomyślnością nazywali go półgłówkiem. W każdym razie był to człowiek niepospolity. Zajeżdżał wierzchowe konie, tratował na polowaniach chłopskie zasiewy, a z sąsiadami pojedynkował się o psy i zające. W domu męczył żonę zazdrością, a służbie zatruwał życie długim pieprzowym cybuchem. Po śmierci oryginała jego wierzchowce poszły do wożenia gnoju, a psy rozdarowano. Świat zaś otrzymał po nim w spadku małą córeczkę i młodą wdowę. Ach! przepraszam, bo został jeszcze olejny portret nieboszczyka z herbowym sygnetem na palcu i - ów pieprzowy wybuch, który skutkiem niewłaściwego użycia wygiął się jak turecka szabla.

Pałacu prawie nie znałem. Raz dlatego, że mnie wolał biegać po polach niż wywracać się na śliskiej posadzce, a po wtóre, że mnie tam nie wpuszczała służba, bo przy pierwszych odwiedzinach miałem nieszczęście stłuc duży wazon saski.

Z hrabianką, przed moim wejściem do szkół, bawiliśmy się tylko jeden raz, mając oboje niespełna po dziesięć lat. Przy sposobności chciałem ją nauczyć sztuki łażenia po drzewach i usadowiłem ją na żerdziowym płocie w taki sposób, że dziewczynka poczęła wniebogłose krzyżeć, za co jej guwernantka wybiła mnie niebieskim parasolem mówiąc, że mogłem Loni zrobić na całe życie nieszczęśliwą.

Od tej pory zbudził się we mnie wstręt do małych dziewcząt, z których żadna nie była w stanie ani łązić po drzewach, ani kąpać się ze mną w stawie, ani jeździć konno, ani strzelać z łuku albo rzucać kamieni z procy. W razie zaś bitwy, bez której - cóż znaczy zabawa! prawie każda zaczynała mazać się i biegła do kogoś na skargę.

Ponieważ z folwarcznymi chłopcami ojciec znowu nie pozwalał mi się wdawać, a siostra prawie całe dni spędzała w pałacu, więc rosłem i hodowałem się sam jak drapieżne piskle, które porzucili rodzice. Kąpałem się pode młynem albo w dziurawym czólnie pływałem po stawie. W parku, ze zwinnością kota, goniłem po gałęziach wiewiórki. Raz wyróciło mi się czólnie i pół dnia przesiedziałem na pływającej kępie, nie większej od balii. Raz przez dymnik wdrapałem się na dach pałacu tak nieszczęśliwie, że musiano związać dwie drabiny dla sprowadzenia mnie stamtąd. Innego dnia całą dobę błąkałem się po lesie, a jeszcze innego stary wierzchowiec nieboszczyka dziedzica, przypomniawszy sobie lepsze czasy, z godzinę ponosił mnie przez pola i w końcu - zapewne niechcący - przyprawił o złamanie nogi, która zresztą zrosła mi się dość prędko.

Nie mając z kim żyć, żyłem z naturą. Znałem w parku każde mrowisko, w polu każdą jamę chomików, w ogrodzie każdą ścieżkę kretów. Wiedziałem o ptasich gniazdach i o dziuplach, gdzie hodowały się młode wiewiórki. Odróżniałem szmer każdej lipy około domu i umiałem wyśpiewać to, co wiatr wygrywa na drzewach. Nieraz słyszałem jakieś wiekuiste chodzenie po lesie, choć nie wiedziałem, czyje ono. Wpatrywałem się w migotanie gwiazd, rozmawiałem z nocną ciszą, a nie mając kogo całować, całowałem psy podwórzowe. Matka moja dawno odpoczywała w ziemi. Już nawet pod przyciskającym ją kamieniem zrobił się otwór sięgający pewnie aż do wnętrza grobu. Raz, kiedy mnie za coś obito, poszedłem tam, wzywałem jej, nadstawiałem ucha, czy nie odpowie... Ale nie odpowiedziała nic. Widać naprawdę - umarła.

W owym czasie tworzyłem sobie pierwsze pojęcia o ludziach i o ich stosunkach. W mojej na przykład wyobraźni plenipotent musiał koniecznie być trochę otyły, mieć rumianą twarz, wąs zwieszony, duże brwi nad siwymi oczami, basowy głos i przynajmniej taką zdolność do krzyczenia - jak mój ojciec. Osoby zwanej hrabiną nie mogłem wyobrazić sobie inaczej, tylko jako wysoką damę, z piękną twarzą i smutnymi oczyma, chodzącą w milczeniu po parku w białej powłóczystej sukni.

Za to o człowieku noszącym tytuł hrabiego nie miałem pojęcia. Podobny człowiek, gdyby nawet istniał, wydawał mi się rzeczą mniej znaczącą od hrabiny, a nawet całkiem nieużyteczną i nieprzyzwoitą. Według moich poglądów tylko w obszernej sukni z drugim ogonem mógł przemieszkować majestat jaśnie wielmożności; wszelkie zaś odzienia krótkie, obcisłe, a tym bardziej złożone z dwu części mogły służyć tylko pisarzom prowentowym, gorzelnikom, a w najlepszym razie plenipotentom.

Takim był mój legitymizm oparty na przykazaniach ojca, który nieustannie zalecał mi - kochać i czcić panią hrabinę. Zresztą gdybym kiedy zapomniał o tych przepisach, dość mi było spojrzeć na czerwoną szafę w kancelarii ojca, gdzie obok kwitów i notatek wisiała na gwoździu pięciopalczasta dyscyplina, wcielenie zasad i społecznego porządku. Stanowiła ona

dla mnie pewien rodzaj encyklopedii, na którą patrząc przypominałem sobie, że nie należy drzeć butów, ciągnąć źrebiąt za ogony, że wszelka władza pochodzi od Boga itd.

Ojciec mój był człowiek niezłomny w pracy, nieskazitelnie uczciwy, a nawet bardzo łagodny. Z chłopów i służby nikogo nie tknął palcem, tylko strasznie krzyczał. Jeżeli zaś był nieco surowy dla mnie, to zapewne nie bez słuszych powodów. Nasz organista, któremu raz wsypałem do tabaki odrobinę ciemniejszego, skutkiem czego przez całą mszę świętą kichał zamiast śpiewać i wciąż mylił się w graniu, często mawiał, że gdyby miał takiego jak ja syna, to by mu strzelił w łeb.

Dobrze pamiętam to zdanie.

Panią hrabinę nazywał ojciec aniołem dobroci. Istotnie, w jej wsi nie było ludzi ani głodnych, ani obdartych, ani krzywdzonych. Komu zrobiono źle, szedł do niej na skargę; kto był chory, brał ze dworu lekarstwo; komu urodziło się dziecko, prosił dziedziczkę w kumy. Moja siostra uczyła się razem z hrabianką, a ja sam, choć unikałem arystokratycznych stosunków, miałem jednak sposobność przekonania się o nadzwyczajnej łagodności hrabiny.

Ojciec mój posiadał kilka sztuk broni, z której każda była przeznaczona do innego celu. Ogromna dubeltówka miała służyć do zabijania wilków, które dusiły cielecia naszej dziedziczki; skałkowy pistolet miał być użyty na obronę wszelkiej innej własności hrabiny, a wojskowy pałasz na obronę jej honoru. Swojej własności i honoru ojciec broniłby zapewne cywilnym kijem, bo cały ów bojowy rynsztunek, co kilka miesięcy pomazany tłustością, leżał gdzieś w takim kącie na strychu, że nawet ja nie mogłem go znaleźć.

Swoją drogą wiedziałem o tej broni i bardzo do niej tęskniłem. Nieraz marzyło mi się, że spełnię taki szlachetny czyn, za który ojciec pozwoli mi strzelić z ogromnego pistoletu, a tymczasem wymykałem się do gajowych i uczyłem się "wygarniać" z ich długich pojedynków, które posiadały tę własność, że przy wystrzale wyrządzały bezpośrednią szkodę tylko moim szczękom nie tykając żadnego stworzenia.

Pewnego dnia, podczas naoliwiania dubeltówki przeznaczonej na wilki, pistoletu na obronę własności i pałasza na obronę honoru hrabiny, udało mi się ukraść ojcu garść prochu, który o ile wiem, nie miał jeszcze specjalnego przeznaczenia. Gdy ojciec wyjechał w pole, schwyciłem olbrzymi klucz od spichrza, który posiadał otwór podobny do lufy tudzież dziurkę z boku, i poszedłem na polowanie.

Wielki klucz do połowy nabiłem prochem, wsypałem szczyptę połamanych guzików od nie dającej się wymienić części ubrania, przybiłem jak należy pakułami, a na wywołanie eksplozji wziąłem pudło hubczanych zapalek.

Ledwie wyszedłem za dom, ujrzałem kilka wron polujących na dworskie kaczęta. Prawie w moich oczach jedna ze szkodnic porwała kaczę, a nie mogąc go dość łatwo unieść przysiadła na obórce.

Na ten widok zagrała we mnie krew przodków spod Wiednia. Podkradłem się pod obórkę, zatliłem hubkę, wymierzyłem klucz w lewe oko wrony, dmuchnąłem, podпалиłem... Huknęło -

jakby piorun uderzył. Ze szczytu obórki stoczyło się już zaduszone kaczątko na ziemię, wrona dotknięta śmiertelną obawą uciekła na najwyższą lipę, ja zaś ze zdumieniem przekonałem się, że w moich rękach z wielkiego klucza zostało tylko ucho, ale za to ze słomianego dachu obory zaczyna wydobywać się niewielki kłębek dymu, jakby kto palił fajkę.

W kilka minut później obórka, wartująca około pięćdziesięciu złotych, stanęła w ogniu.

Zbiegli się ludzie, przygalopował na koniu mój ojciec, po czym w asystencji tych wszystkich dzielnych i uczciwych osób, nieruchomości "wypaliła się - do środka ziemi" - jak powiedział pan gorzelany.

Przez ten czas ze mną działy się nieopisane rzeczy. Naprzód pobiegłem do mieszkania i powiesiłem na właściwym miejscu ucho od rozerwanego klucza. Potem uciekłem do parku z zamiarem utopienia się w sadzawce. W sekundę później zasadniczo zmieniłem projekt, postanowiłem kłamać jak prowentowy pisarz i wyprzeć się klucza, strzelania i obórki. Gdy mnie zaś schwytano - od razu przyznałem się do wszystkiego.

Zaprowadzono mnie do pałacu. Na tarasie zobaczyłem mego ojca, panią hrabinę w powłóczystej sukni, hrabiankę ubraną dość kuso i moją siostrę, obie płaczące; potem - klucznicę Salusię, kamerdynera, lokaja, chłopca z kredensu, kucharza, kuchcika i cały rój pokojówek, garderobianych i dziewcząt. Gdym odwrócił oczy w przeciwną stronę, ujrzałem za budynkami - zielone wierzchołki lip, a nieco dalej żółtawobrunatny słup dymu, który, jakby umyślnie, unosił się nad pogorzelskiem.

W tej chwili przypomniałem sobie słowa organisty, który mówił o konieczności strzelania mi w łeb, i wywnioskowałem, że jeżeli kiedy, to chyba dzisiaj spotka mnie śmierć gwałtowna. Spaliłem oborę, zepsułem klucz od spichrza; siostra płacze, cała służba stoi w komplecie przed pałacem, cóż to więc znaczy?... Patrzyłem tylko, czy kucharz ma swoją fuzję - do jego bowiem obowiązków należało strzelanie zajęcy tudzież śmiertelnie chorych zwierząt domowych.

Przyprowadzono mnie do samej pani hrabiny. Ona spojrzała na mnie smutnymi oczyma, a ja, założywszy ręce w tył (jak to zwykłem był machinalnie czynić w obecności ojca), zadarłem głowę do góry, bo pani była wysoka.

W taki sposób przez kilka chwil przyglądaliśmy się sobie. Służba milczała, a w powietrzu czuć było spaleniznę.

- Zdaje mi się, panie Leśniewski, że ten chłopczyk jest bardzo żywego usposobienia? - rzekła melodyjnym głosem pani hrabina do mego ojca.

- Łajdak!... podpalacz!... zepsuł mi klucz od spichrza! - odparł ojciec, a potem prędko dodał:

- Upadnij do nóg pani hrabiny, ty łotrze!... I lekko popchnął mnie naprzód.

- Macie mnie zabić, to zabijcie, ale ja tam nikomu nie będę padał do nóg! - odpowiedziałem nie spuszczać oka z pani, która zrobiła na mnie dziwne wrażenie.

- Chy!... Jezu... - jęknęła zgorziona Salusia składając ręce.

- Uspokój się, mój chłopczyku, bo tu nikt nie zrobi ci krzywdy - rzekła pani.

- Aha! nikt... Niby ja nie wiem, że mi strzelicie w łeb... Przecie mi to obiecał organista! - odparłem.

- Chy!... Jezu... - zawołała po raz drugi klucznica.

- Hańbi moją starość! - odezwał się ojciec. - Trzy skóry bym z tego gałgana zdarł i posolił, żeby go pod swoją obronę nie wzięła pani hrabina.

W rogu tarasu stojący kucharz zasłonił usta ręką i śmiał się, aż zsiniał. Nie mogłem wytrzymać i - pokazałem mu język.

Służba zaszemrała ze zdziwienia, a ojciec, chwytając mnie za ramię, krzyknął:

- A ty znowu co?... Wobec pani hrabiny pokazujesz język?...

- Ja pokazałem język kucharzowi, bo on myślał, że mnie tak zastrzeli jak starego bułanka ...

Pani hrabina zrobiła się jeszcze smutniejsza. Odgarnęła mi włosy z czoła, spojrzała głęboko w oczy i rzekła do ojca:

- Kto wie, panie Leśniewski, co jeszcze będzie z tego dziecka?...

- Szubienicznik! - krótko odpowiedział stroskany ojciec.

- Nie wiadomo - odparła pani gładząc mi najeżone włosy. -Trzeba by go do szkół oddać, bo tu zdiczeje.

A potem, odchodząc do salonu, rzekła półgłosem:

- Jest materiał na człowieka, panie Leśniewski. Trzeba go tylko uczyć.

- Stanie się według woli pani hrabiny! - odpowiedział ojciec dając mi pięścią w kark.

Z tarasu odeszli wszyscy, ale ja zostałem, nieruchomy jak kamień, zapatrzony we drzwi, w których znikła nasza dziedziczka Teraz dopiero pomyślałem z żalem dlaczego nie upadł jej do nóg? - i uczułem jakieś dławienie w piersiach. Gdyby kazała, chętnie położyłbym się na zgliszczach obórki i tak dałbym się powoli upiec na niej. Nie za to, że mnie nie kazała zastrzelić kucharzowi ani zbić, ale za to, że miała taki słodki glos i takie smutne spojrzenie.

Od tego dnia byłem już mniej swobodny. Pani hrabina nie życzyła sobie tracić w ogniu reszty zabudowań, ojcu było przykro, że nie mógł uregulować ze mną rachunku za spaloną oborę, a ja sam musiałem przygotowywać się do szkół. Uczyli mnie organista i gorzelany na przemian. Mówiono nawet, że jakichś przedmiotów będzie mi wykładała guwernantka z pałacu. Ale gdy dama ta, przy zapoznaniu się ze mną, zobaczyła, że mam pełne kieszenie nożów, kamieni, śrutu i kapiszonów, złąkla się tak, że już nie chciała widzieć mnie po raz drugi.



- Ja takim bandytom nie daję lekcji - powiedziała do mojej siostry.

Ja jednak w tych czasach już bardzo spoważniałem. Tylko raz chciałem się, na próbę, powiesić. Ale później wypadło mi jakieś inne zajęcie, więc nie zrobiłem sobie nic złego.

Nareszcie w początkach sierpnia odwieziono mnie do szkół.

Egzamin zdałem wcale dobrze dzięki polecającym listom pani hrabiny, po czym ojciec umieścił mnie na stacji z korepetycją, rodzicielską opieką i wszelkimi wygodami za dwieście złotych i pięć korcy ordynarii na rok i - sprawił mi szkolny uniform.

Nowy strój tak mnie zajął, że nie mogąc nacieszyć się nim w ciągu dnia, wstałem cichutko w nocy, ubrałem się po ciemku w surdut z czerwonym kołnierzem, włożyłem na głowę czapkę z czerwonym lampasem i miałem zamiar posiedzieć tak kilka minut. Ponieważ jednak noc była dżdżysta, ode drzwi trochę ciągnęło, a ja poza obrębem munduru i czapki byłem w negliżu, więc trochę zdrzemnąłem się i przespałem w uniformie do rana.

Taki sposób nocowania bardzo rozweselił moich kolegów, ale w gospodarzu naszej stacji obudził podejrzenie, że ma w domu nadzwyczajnego urwisa. Pobiegł czym prędzej do zajazdu, gdzie stał mój ojciec, i powiedział mu, iż za żadne w świecie skarby nie chce mnie trzymać na stacji, chyba - że mu ojciec dołoży jeszcze pięć korcy kartofli na rok. Po długich targach stanęło na trzech korcach, ale swoją drogą ojciec pożegnał się ze mną w tak demonstracyjny sposób, że ani żałowałem go, kiedy wyjeżdżał, ani tęskniłem za domem, gdzie częściej mogły mnie spotykać podobne owacje.

Przebieg mojej edukacji w klasie pierwszej nie przedstawia żadnych wybitniejszych momentów. Dziś patrząc na owe czasy z historycznej odległości, koniecznej, jak wiadomo, dla sformowania obiektywnego sądu, wyznaję, że w ogólnych zarysach życie moje zmieniło się niewiele. W szkole trochę dłużej przesiadywałem w zamkniętej sali, w domu - trochę więcej biegałem po otwartej przestrzeni. Zmieniłem suknie cywilne na mundur, a osoby, pracujące nad harmonijnym rozwinięciem moich fizycznych i duchowych uzdolnień, zamiast dyscypliny - używały różgi.

I oto wszystko.

Szkoła, jak wiadomo, dzięki swemu zbiorowemu charakterowi przygotowuje chłopców do życia w społeczeństwie i daje im takie umiejętności, jakich by nie nabyli chowając się pojedynczo. O tej prawdzie przekonałem się w tydzień po przybyciu do szkoły, gdzie nauczyłem się sztuki dawania serów, która wymaga współdziałania najmniej trzech osób, a więc nie może istnieć poza obrębem społeczeństwa.

Teraz dopiero odkryłem w sobie ten rzeczywisty talent, którego natura chroniła mnie od teoretycznych zaciekań, a popychała w kierunku działalności zbiorowej. Należałem do pierwszorzędnych graczy w palanta, bywałem matką w bitwach, organizowałem pozaklasowe wycieczki, zwane wagusami, dyrygowałem w klasie ogólnym tupaniem lub beczeniem, cośmy sobie dla wytchnienia urządzali niekiedy, w sześćdziesięciu. Natomiast znalazłszy się samotnym wobec gramatycznych prawideł, wyjątków, deklinacyj i koniugacyj, tworzących,

jak wiadomo, podstawę filozoficznego myślenia, wnet uczuwałem w duszy jakąś pustkę, z której głębi wynurzała się - senność.

Jeżeli przy takim talencie do nieuczenia się wypowiadałem lekcje stosunkowo dość płynnie, to tylko dzięki silnemu wzrokowi, który pozwalał mi czytać z książki odległej o dwie lub trzy ławki. Zdarzało się niekiedy, że wydawałem zupełnie co innego, niż było zadane, lecz wówczas uciekałem się do modelowego w takich wypadkach usprawiedliwienia. Mówiłem mianowicie, że nie dostałem pytania albo że "się załakłem".

W ogóle byłem uczniem - przyszłości, nie tylko dlatego, że budził niezadowolenie w starych rutynistach, a posiadałem sympatią młodych, ale i dlatego, że dobre stopnie z różnych przedmiotów, a wraz z nimi nadzieję promocji widziałem tylko w marzeniach, wybiegających daleko poza terażniejszość.

Moje stosunki z nauczycielami były rozmaite.

Profesor łaciny pisał mi nie najgorsze stopnie za to, że pilnie uczyłem się gimnastyki, którą także on wykładał. Ksiądz prefekt wcale mi nie dawał stopni, ponieważ zasypywałem go kłopotliwymi pytaniami, na które jedyną odpowiedzią z jego strony było:

"Leśniewski, idź klęczeć!" Nauczyciel rysunków i kaligrafii protegował mnie jako rysownik, ale potępiał jako kaligraf; lecz ponieważ w jego umyśle sztuka pisania była najważniejszym szkolnym przedmiotem, więc przy głosowaniu z sobą samym przeważał na stronę kaligrafii i dawał mi jednostki, niekiedy dwójki.

Arytmetykę rozumiałem wcale dobrze, ten bowiem wykład oparty był na metodzie pogłądowej, to jest "na biciu łap" za nieuwagę. Nauczyciel języka polskiego wróżył mi świetną karierę, ponieważ raz udało mi się napisać mu na imieniny wiersz obejmujący pochwałę jego surowości. Nareszcie, stopnie z innych przedmiotów zależały od tego, czy moi sąsiedzi dobrze mi podpowiadali albo czy leżąca na poprzedniej ławce książka była otwarta we właściwym miejscu.

Najpoufalsze jednak stosunki łączyły mnie z inspektorem. Człowiek ten tak przyzwyczał się do wypukiwania mnie z klasy w czasie lekcji i do widywania się ze mną po lekcjach, że był szczerze zaniepokojony, gdy w którym tygodniu nie przypominałem się jego pamięci.

- Leśniewski! - zawołał pewnego dnia spostrzegłszy, że już idę z klasy do domu. - Leśniewski!... a dlaczego ty nie zostajesz?...

- Przecież nic nie zrobił - odpowiadam mu.

- Jak to, więc nie jesteś zapisany do dziennika?

- Jak ojca kocham, tak nie!

- I umiałeś lekcje?...

- Kiedy mnie dziś wcale nie wyrywali!... Inspektor zamyślił się.

- Coś w tym jest! - szepnął. - Wiesz, Leśniewski, zostań ty tu na chwilę.

- Mój złocisty panie inspektorze, przecież ja nic nie winien!... jak ojca Kocham!... jak Bożę Kocham!...

- Aha... przysięgasz się, ośle?... Chodźże mi tu zaraz!... A jeżeliś naprawdę nic nie zmalował, to - policzy ci się na drugi raz!...

W ogóle miałem u pana inspektora kredyt otwarty, co mi w szkole zrobiło pewną popularność, tym istotniejszą, że nikogo nie pobudzała do konkurencji.

Między kilkudziesięcioma pierwszoklasistami, z których jeden golił już wasy prawdziwą brzytwą, trzej po całych dniach grali w karty pod ławką, a inni byli zdrowi jak kantoniści, znajdował się kaleka - Józio. Był to chłopczyk garbaty, karzeł na swój wiek, mizerny, z małym noskiem sinym, bladymi oczyma i gładkimi włosami. Był tak wątły, że musiał odpoczywać idąc z domu do szkoły, a taki bojaźliwy, że gdy go wyrwano do lekcji, tracił mowę ze strachu. Nigdy nie bił się z nikim, tylko prosił innych, ażeby jego nie bili. Gdy mu raz "dano szczupaka" po suchej jak patyk ręczynie - zemdlał, ale otrzeźwiony - nie poskarżył się.

Miał on oboje rodziców, ale ojciec wygnał matkę z domu, a Józia zatrzymał przy sobie pragnąc sam kierować jego edukacją. Sam chciał odprowadzać syna do szkoły, chodzić z nim na spacer, dawać mu korepetycje, ale nie robił tego z powodu braku czasu, który mu dziwnie prędko ginął w handlu trunków i owsianego piwa u Moszka Lipy.

Tym sposobem Józio nie miał żadnej, opieki, a mnie się niekiedy wydawało, że na takiego malca nawet Bóg niechętnie patrzy z nieba.

Swoją drogą Józio miewał pieniądze, po sześć i po dziesięć groszy na dzień. Za to miał sobie kupować w czasie pauzy po dwie bułki i po serdelku. Ale że go wszyscy prześladowali, więc on, chcąc się choć jako tako zabezpieczyć, kupował po pięć bułek rozdawał je najsilniejszym kolegom, ażeby mieli dla niego łaskawe serca.

Podatek ten nie na wiele mu się przydał, bo poza pięcioma zjednanymi stało trzy razy tylu nieprzejednanych. Dokuczali mu bez ustanku. Ten go uszczypnął, tamten pociągnął za włosy, inny ukłuł, czwarty dał byka w ucho, a najmniej odważny nazywał go przynajmniej - garbusem.

Józio tylko uśmiechał się na te koleżeńskie żarty, czasami prosił: "Dajcie już spokój!..."- a czasami i nic nie mówił, tylko opierał się na chudych rękach i szlochał.

Koledzy wołali wtedy: "Patrzcie! jak mu się garb trzęsie!..."- i dokuczali mu jeszcze zawzięciej.

Ja z początku mało zwracałem uwagi na garbuska, który wydał mi się niemrawym. Ale raz ten duży kolega, który golił wasy brzytwą, usiadł za Józkiem i począł mu palić byki w oba uszy. Garbus zanosił się od płaczu, a klasa trzęsła się od śmiechu. Wtedy coś mnie ukłuło w

serce. Schwyciłem otworzony scyzoryk i drągala, który dawał garbusowi byki, pchnąłem w rękę do kości wołając, że tak zrobię każdemu, kto Józia dotknie palcem!...

Drągalowi trysnęła krew, zbladł jak ściana i zdawało się, że zemdleje. Cała klasa nagle przestała się śmiać, a potem zaczęła krzyczeć: "Dobrze mu tak, niech nie dokucza kalece!..." W tej chwili wszedł profesor, a dowiedziawszy się, że zranił nożem kolegę, chciał sprowadzić inspektora zdiadkiem i z różgą. Ale wszyscy zaczęli za mną prosić, nawet sam raniony drągala; więc pocałowaliśmy się naprzód ja z drągalem, potem on z Józiem, potem Józio ze mną - i tak mi się upiekło.

Uważałem, że przez całą lekcję garbusek odwracał głowę w moją stronę i uśmiechał się zapewne dlatego, że przez ten czas nie dostał ani jednego byka. Na pauzie także mu nikt nie dokuczał, a kilku oświadczyło, że będą go bronili. On dziękował im, ale - przybiegł do mnie i chciał mi dać bułkę z masłem. Nie wziąłem, więc trochę zawstydził się, a potem rzekł cicho:

- Wiesz co, Leśniewski, powiem ci sekret.

- Gadaj! - odparłem - ale prędko... Garbusek stropił się, a potem zapytał:

- Czy ty już masz przyjaciela?...

- A mnie co po tym?...

- Bo widzisz, gdybyś chciał, to ja mógłbym być twoim przyjacielem.

Spojrzałem na niego z góry. On zmieszał się jeszcze bardziej i znowu zapytał cieniem i stłumionym głosem:

- Dlaczego ty nie chcesz, żebym był twoim przyjacielem?

- Bo ja nie wdaję się z takimi trutniami jak ty!... - odpowiedziałem.

Garbuskowi bardziej niż zwykle pośmiał nos. Już chciał odejść, ale zwrócił się jeszcze raz do mnie mówiąc:

- To może chcesz, żebym przy tobie siedział?... Widzisz, ja uważam, co belfry zadają, robiłbym za ciebie przykłady... Umiem dobrze podpowiadać...

Ta argumentacja wydała mi się poważną. Po namyśle przyjąłem garbuska do ławki, a mój sąsiad zgodził się, za pięć bułek, odstąpić mu swego miejsca.

Już po południu Józio przeniósł się do mnie. Był to mój najszczęśliwszy pomocnik, powiernik i chwalc. On wybierał słówka i robił wszelkie tłumaczenia, on notował zadawane przykłady, nosił kałamarz, pióra i ołówki dla nas obu. A jak podpowiadał!... Przez czas pobytu w szkołach wielu mi podpowiadało, niektórzy nawet klęczeli za to, ale żaden w tej sztuce ani się umywał do Józia. W podpowiadaniu garbusek był mistrzem, bo umiał mówić z zaciśniętymi zębami i robił przy tym tak niewinną minę, że żaden z profesorów nawet nie podejrzewał...

Ile razy osadzono mnie w kozie, garbusek przynosił ukradkiem chleb i mięso ze swego obiadu. A gdy mnie spotkała jaka większa nieprzyjemność, ze łzami w oczach zapewniał kolegów, że ja nie dam sobie zrobić krzywdy.

- Ho! ho! - mówił - Kazio jest mocny. On jak złapie diadkę za ramiona, to nim ciśnie o ziemię jak piórkiem. Nie bójcie się!...

Istotnie koledzy moi nie bali się, tylko on, biedak, bał się za nas obu.

Jeżeli garbusek nie potrzebował na jakiej lekcji uważać, wówczas prawił mi komplimenta:

- Mój Boże!... żebym ja był taki jak ty mocny!.-Mój Boże!... żebym ja był taki zdolny... Wiesz, że gdybyś chciał, to za miesiąc zostałbyś prymusem...

Pewnego dnia, całkiem niespodzianie, nauczyciel języka niemieckiego wyrwał mnie na środek. Przerażony Józio ledwie miał czas podpowiedzieć mi, że do czwartej deklinacji należą wszystkie rzeczowniki rodzaju żeńskiego, na przykład die Frau - pani.

Ostro wyszedłem i z wielką pewnością zawiadomiłem nauczyciela, że do czwartej deklinacji należą wszystkie rzeczowniki rodzaju żeńskiego, na przykład die Frau - pani. Ale na tym skończyła się moja wiedza.

Profesor spojrział mi w oczy, pokiwał głową i kazał tłumaczyć. Przeczytałem po niemiecku płynnie i głośno raz, potem leszcze płynniej - drugi raz, ale gdy zacząłem czytać trzeci raz ten sam ustęp, nauczyciel kazał mi pójść na miejsce.

Wracając do ławki spostrzegłem, że Józio bardzo pilnie przypatruje się ołówkowi profesora i że ma bardzo zafrasowaną minę.

Machinalnie zapytałem garbuska:

- Nie wiesz, jaki mi dał stopień?

- Czy ja wiem - westchnął Józio.

- Ale jak ci się zdaje?

- Ja - rzekł garbusek - dałbym ci piątkę, no - zresztą czwórkę, ale on...

- A on ile mi dał? - pytałem.

- Zdałe mi się, że - pałkę. Ale to osioł, co on tam wie...- odpowiedział Józio tonem głębokiego przekonania.

Pomimo wątpliwości chłopczyzna ten był pracowity i bystry. Ja zwykle czytałem w klasie romanse, a on słuchał wykładu i później mi go powtarzał.

Raz zapytałem go o czym mówił nasz nauczyciel zoologii?

- Widzisz, o tym - odparł garbusek z tajemniczą miną - że rośliny są podobne do zwierząt.

- Głupi on jest - odpowiedziałem.

- Ale - mówił garbusek - on ma racją. Ja już go trochę rozumiem.

Zacząłem się śmiać i rzekłem:

- No, kiedyś taki mądry, to mi powiedz z czego jest podobna wierzba do krowy?

Chłopiec zamyślił się i powoli zaczął:

- Widzisz krowa rośnie, a wierzba także rośnie

- A co dalej?

- Widzisz krowa się karmi i wierzba się karmi sokami z ziemi.

- A co dalej?

- Krowa jest rodzaju żeńskiego, no - i wierzba jest rodzaju żeńskiego - objaśniał Józio.

- Ale krowa macha ogonem - rzekłem mu.

- A wierzba macha gałęzmi - odparł.

Taka suma argumentów nadwreżyła moją wiarę w istnienie różnicy między zwierzętami i roślinami. Sam pogląd podobał mi się, i od tej pory obudziło się we mnie zamiłowanie do zoologii streszczonej w książce Pisulewskiego. Dzięki wywodom garbuska zacząłem z tego przedmiotu miewać piątki.

Pewnego dnia Józio nie przyszedł do szkoły, a nazajutrz przed południem powiedziano, że ktoś mnie wypukuje. Wybiegłem na korytarz trochę niespokojny, jak zwykle w podobnych razach, lecz zamiast inspektora zobaczyłem tęgiego mężczyznę, z pąsową twarzą, fioletowym nosem i czerwonymi oczyma.

Nieznajomy odezwał się głosem nieco chrapliwym:

- To ty chłopcze jesteś Leśniewski?

-Ja.

Przestąpił z nogi na nogę, jakby chwiejąc się, i dodał:

- Zajdź tam do mego syna Jozia, do tego garbatego, wiesz? On jest chory, bo onegdaj trochę go przejechali.

Znowu zachwiał się, spojrział na mnie błędnym wzrokiem i odszedł, głośno tupiąc o podłogę. Mnie jakby kto oblał gorącą wodą. Zdawało mi się, że to ja raczej powinienem być przejechany, nie zaś biedny garbusek, on - taki dobry i wąły...

Po południu wypadła rekreacja. Nie poszedłem już do domu na obiad, tylko pobiegłem do Józia

Obaj z ojcem mieszkali na końcu miasta w dwu pokojach parterowego domu. Gdy wszedł, zastałem garbuska leżącego w krótkim łóżeczku. Był zupełnie sam, sam jeden. Ciężko oddychał i drżał z zimna, bo w piecu nie napalono. Żrenice jego rozszerzyły się tak, że miał prawie czarne oczy. W izdebce czuć było wilgoć, a z dachu padały krople topniejącego śniegu.

Pochyliłem się nad łóżkiem i spytałem:

- Co tobie, Józiu?

On ożywił się, otworzył usta jakby do uśmiechu, ale - tylko jęknął. Wziął mnie za rękę wyschłymi rączkami i zaczął mówić:

- Ja pewnie umrę... Ale boję się... tak sam... więc prosiłem, żebyś przyszedł. To... widzisz niedługo... a mnie będzie trochę weselej...

Jeszcze nigdy Józio nie wydał mi się takim jak dziś. Zdawało mi się, że z kaleki wyrasta olbrzym.

Zaczął głucho jęczeć i kaszłać, aż na usta wystąpiła mu różowa piana. Potem zamknął oczy i ciężko oddychał, a czasami wcale nie oddychał. Gdybym nie czuł uścisku jego rozpalonych rączek, myślałbym, że umarł.

Tak siedzieliśmy godzinę, dwie, trzy - milcząc. Ja prawie straciłem władzę myślenia. Józio odzywał się rzadko i z wielkim wysiłkiem. Powiedział mi. Tegoż tym najechał jakiś wóz, że go strasznie zabolął krzyż, ale już go nie boli, że ojciec wczoraj wypędził sługę, a dziś poszedł szukać innej...

Potem, nie uwalniając mi ręki, prosił, ażebym zmówił cały pacierz. Zmówiłem, a gdy zaczął: "Kiedy ranne wstają zorze", przerwał mi:

- Mów jeszcze - rzekł - "Wszystkie nasze dzienne sprawy..." Ja już się jutro pewnie nie obudzę...

Słońce zaszło, nadciągnęła jakaś szara noc, bo poza chmurami świecił księżyc. W domu nie było świecy, zresztą - nie myślałem nawet zapalać jej. Józio był coraz niespokojniejszy, bredził i tylko chwilami odzyskiwał przytomność.

Już było późno, kiedy od ulicy kołatnęła furtka z wielkim hałasem. Przez podwórze przeszedł ktoś i gwizdząc otworzył drzwi naszej izby.

- To tatko? - jęknął garbusek.

- Ja, mój synu! - odparł przybysz ochrypniętym głosem. - Jakże ci tam? Pewnie lepiej!... Tak być powinno!... Zawsze uszy do góry, mój synu...

- Tatku... nie ma światła... - mówił Józio.

- Głupstwo światło!... A to kto?... - zawołał potykając się o mnie.

- To ja... - odparłem.

- Aha! Łukaszowa? dobrze!... Prześpij się dziś, a jutro - sprawię ci wnyki... Ja gubernator!... Rum-jamajka!...

- Dobranoc, tatku!... dobranoc!... - szeptał Józio.

- Dobranoc, dobranoc, moje dziecko!... - odparł przybysz i schyliwszy się nad łóżkiem - mnie pocałował w głowę. Uczułem, że pod pachą miał butelkę.

- Wyśpij się - dodał - a jutro marsz do szkoły!... Krokiem maarrsz!... Rum-jamajka!... - wrzasnął i poszedł do drugiego pokoiku.

Tam ciężko usiadł, widocznie na kufrze, uderzył głową o ścianę, a po chwili - rozległo się miarowe bulgotanie, jakby ktoś pił.

- Kaziu!, ..szepnął garbusek-jak już będę... tam.. .przyjdź do mnie czasem. Powiesz mi, co zadano na lekcje... W drugim pokoju wrzasnął przybysz:

- Zdrowia życzymy panu gubernatorowi!... Wiwat!... Ja gubernator!... Rum-jamajka!...

Józio zaczął się trząść i mówić coraz niespokojniej:

- Tak mnie łamie!... Czyś ty na mnie usiadł, Kaziu? Kaziu!... O, nie bijcie mnie już!...

- Rum!... Rum-jamajka - wołano w drugim pokoju. Znowu coś zabulgotało, a potem - butelka z przeraźliwym brzękiem uderzyła o podłogę.

Józio przyciągnął moją rękę do ust, schwycił zębami za palce i - nagle puścił. Już nie oddychał.

- Panie! - zawołałem. - Panie! Józio umarł!...

- Co tam pleciesz? - mruknął głos z drugiego pokoju. Zerwałem się z łóżka i stanąłem we drzwiach patrząc w ciemność.

- Józio umarł!... - powtórzyłem cały drżący. Człowiek rzucił się na kufrze i wykrzyknął:

- Wynoś mi się stąd, błaznie!... Ja, jego ojciec, lepiej wiem, czy on umarł!... Wiwat pan gubernator!... Rum-jamajka!...

Uczułem trwogę i uciekłem.

Przez całą noc nie mogłem spać, miałem dreszcze, męczyły mnie jakieś straszne marzenia. Z rana obejrzał mnie gospodarz naszej stacji, powiedział, że mam gorączkę, że pewnie zaraziłem się od przejechanego Józia, i - kazał mi postawić na krzyżu dwanaście baniek ciętych. Po tym lekarstwie nastąpiło, jak mówił gospodarz, takie przesilenie, że tydzień leżałem w łóżku.



Nie byłem na pogrzebie Józia, którego odprowadziła cała nasza klasa z nauczycielami i księdzem prefektem. Mówiono mi, że miał czarną trumnę aksamitną, tak małą jak pudełko od skrzypców.

Ojciec jego strasznie płakał, a na cmentarzu złapał trumnę i chciał z nią uciekać. Ale pomimo to Józia pochowali, a jego ojca komisarz z policjantem wyprowadzili z cmentarza.

Gdy pierwszy raz poszedłem do szkoły, powiedziano mi, że ktoś co dzień wypytuje się o mnie. Jakoż o jedenastej wypukano mnie.

Wyszedłem - za drzwiami stał ojciec zmarłego Józia. Miał

twarz barwy bladofioletowej, a nos popielaty. Był zupełnie trzeźwy, tylko trzęsła mu się głowa i ręce.

Człowiek ten wziął mnie pod brodę i długo wpatrywał mi się w oczy, a potem nagle rzekł:

- Ty obroniłeś Józia, kiedy mu w klasie dokuczali?... "Czy zwariował ten stary?" - pomyślałem, alem mu nic nie odpowiedział.

On objął mnie rękoma za szyję i pocałował kilka razy w głowę szepcząc:

- Niech cię Bóg błogosławi!... Niech cię błogosławi!... Puścił mi głowę i znowu spytał:

- Byłeś przy jego śmierci?... Powiedz mi prawdę, bardzo on się męczył?...

Wtem cofnął się i rzekł prędko:

- Albo nie... nic mi już nie mów!... O, nikt nie wie, jakim ja nieszczęśliwy!...

Z oczu poczęły mu płynąć łzy. Schwycił się oburącz za głowę, odwrócił się ode mnie i pobiegł ku schodom krzycząc:

- Biedny ja!... biedny... biedny...

Wołał tak głośno, że na korytarz powychodzili profesorowie. Patrzyli za nim, pokiwali głowami i kazali mi wrócić do klasy.

Nad wieczorem jakiś faktor przyniósł na stancję spory kufer dla mnie i kartkę z tym tylko napisem:

"Od biednego Józia - pamiątka."

W kufrze było mnóstwo pięknych książek po nieboszczyku Józiu, a między nimi: Księga świata, Historia Cezara Cantu, Don Quichot, Galeria Drezdeńska i wiele innych. Książki te obudziły we mnie namiętną chęć do poważniejszego czytania.

Dobrze już na wiosnę wybrałem się pierwszy raz na grób Józia. Był taki mały i zgarbiony, jak on sam. Spostrzegłem, że ktoś obsadził go zielonymi gałązkami. O parę kroków dalej,

między trawą, znalazłem kilka butelek z napisem: Rum-Jamaica. Siedziałem z godzinę, ale nie powiedział Józio, co zadali na lekcje, bo i sam nie wiedziałem, i on się nie spytał.

W tydzień znowu przyszedłem na cmentarz. Znowu zobaczyłem gałązki świeżo zatknięte w grób Józia, a między trawą - znowu znalazłem kilka całych i nadtłuczonych butelek.

W początkach maja rozeszła się po mieście szczególna wiadomość. Oto z rana, przy grobie Józia, znaleziono martwe zwłoki jego ojca. Obok nich leżała wypróżniona do połowy butelka z napisem: Rum-Jamaica.

Mówili doktorzy, że człowiek ten umarł na aneurizm.

Wypadki te oddziały na mnie w szczególny sposób. Od tej pory ciężko mi towarzystwo kolegów i nudziły ich krzykliwe zabawy. Wówczas zatapiałem się w czytaniu książek, które mi zostawił Józio, albo wymykałem się za miasto, w jary zarosłe krzakami, i włócząc się tam rozmyślałem - Bóg wie o czym. Nieraz zapytywałem się, dlaczego tak nędźnie zginął Józio i dlaczego ojciec był tak samotny, że aż musiał tulić się do grobu syna. Czułem, że największym nieszczęściem jest opuszczenie, i zrozumiałem, dlaczego biedny garbusek szukał przyjaciela.

Mnie także potrzebny był teraz przyjaciel. Ale między kolegami jakoś żaden nie przypadł mi do smaku. Przypomniałem sobie siostrę. Nie!... siostra nie zastąpi przyjaciela.

Koledzy mówili o mnie, że zdziczałem, a gospodarz naszej stacji nie miał już żadnej wątpliwości, że zostanę wielkim zbrodniarzem.

Nadszedł akt uroczysty, na którym inspektor doniósł całemu światu, że otrzymałem promocję do klasy drugiej. Wypadek ten nappełnił mnie radosnym zdziwieniem. Nagle poczęło mi się zdawać, że jakkolwiek szkoła posiada wyższe klasy, żadna przecież nie jest tak doskonała jak - druga. Zapewniałem kolegów, że uczniowie pozostałych klas, od trzeciej do siódmej włącznie, powtarzają tylko to, czego nauczyli się w drugiej, w duszy zaś lękałem się, ażeby profesorowie nie spostrzegli się po wakacjach, że dostałem promocję tylko przez omyłkę, i nie cofnęli mnie do pierwszej klasy.

Następnego przecie dnia oswoiłem się poniekąd ze swoim szczęściem, a kiedy jechałem do domu na wakacje, to przez całą drogę tłumaczyłem furmanowi, że ja jeden w klasie dostałem zasłużoną promocję i że moja promocja była najlepsza. Przytaczałem mu tak niezbitą argumentację, że aż zaczął ziewać. Gdym jednak umilkł, przekonałem się ze strachem, że sam jestem pełen wątpliwości.

Drugiego dnia, dojeżdżając do domu, spotkałem w drodze siostrę Zosię, która wybiegła naprzeciw mnie. Zaraz doniosłem jej, że już jestem w drugiej klasie i że mój przyjaciel Józio umarł, bo go przejechali. Ona zaś powiedziała, że tęskniła za mną, że jej kura ma dziesięć kurcząt, że do pani hrabiny po dwa razy na tydzień przyjeżdża z wizytą jakiś pan, że mają guwernantkę, która kocha pisarza, i że nieboszczyk Józio nic ją - niby Zosię - nie obchodzi, ponieważ był garbaty. Ale swoją drogą żałuje go.

Mówiąc to udawała dużą pannę.

Ojca zobaczyłem w południe. Przywitał się ze mną bardzo serdecznie i powiedział, że na wakacje da mi konia i pozwoli strzelać z wielkiego pistoletu. A potem dodał:

- Pójdźże zaraz do pałacu i przywitaj się z panią hrabiną, chociaż...

W tym miejscu machnął ręką.

- Cóż się stało, proszę ojca?... - spytałem jak dorosły człowiek i ażem się zląkł swojej odwagi.

Nadspodziewanie ojciec odpowiedział bez gniewu, z odcieniem goryczy:

- Ona już teraz nie potrzebuje starego plenipotenty. Niedługo będzie tu nowy pan, a ten i sam potrafi...

Przerwał i odwróciwszy się mruknął przez zęby:

- Przegrać w karty majątek...

Zacząłem domyślać się, że przez czas mojej nieobecności zaszły tu wielkie zmiany. Swoją drogą poszedłem na przywitanie do dziedziczki. Przyjęła mnie łaskawie, a ja dostrzegłem, że jej smutne oczy mają dziś całkiem inny wyraz.

Wracając spotkałem na dziedzińcu ojca i powiedziałem, że pani hrabina jest taka wesola jak nigdy. Kręci się, klaszcze w ręce, zupełnie jak jej pokojówki.

- Bah! każda baba przed weselem ma dobry humor... - odparł ojciec jakby sam do siebie.

W tej chwili przed pałac zajechał lekki powozik, a z niego wyskoczył wysoki mężczyzna z czarną brodą i oczyma jak płomienie. Zdaje się, że pani hrabina wybiegła na ganek, bom zobaczył, jak przez drzwi wyciągnęła do niego obie ręce.

Ojciec szedł przede mną, śmiał się cicho i mruczał:

- Ha! ha!... Wszystkie baby powariowały!... Pani wzdycha za elegantem, a guwernantka za pisarzem... Dla Salusi zostałem ja albo proboszcz... Ha! ha!...

Miałem dwunasty rok i jużem wiele słyszał o miłości. Ten kolega, który golił wąsy i siedział trzy lata w pierwszej klasie, nieraz mówił nam o swoich uczuciach dla pewnej pani, którą po parę razy na dzień widywał na ulicy albo w lufciku. Zresztą sam czytałem kilka bardzo pięknych romansów i dobrze pamiętam, ile umartwienia kosztowali mnie ich bohaterowie.

Z tego powodu półsłówka ojca wywarły na mnie przykre wrażenie. Uczułem sympatią dla naszej dziedziczki, a nawet dla guwernantki, obok niechęci do brodatego pana i do pisarza. Nigdy bym tego głośno nie powiedział (nie śmiałybym nawet wyrażnie pomyśleć, lecz zdawało mi się, że i nasza pani, i guwernantka zrobiłyby daleko stosowniej, gdyby wzdychały za mną.

W ciągu kilku następnych dni obiegłem wieś, park, stajnie, jeździłem konno, pływałem czółnem, lecz- wnet spostrzegłem, że mi zaczyna być nudno. Wprawdzie ojciec coraz częściej rozmawiał ze mną jak z dorosłym człowiekiem, pan gorzelany zapraszał mnie na starkę, a pisarz prowontowy narzucał mi się z przyjaźnią i nawet obiecywał opowiedzieć cierpienia, jakich doświadcza z powodu guwernantki, ale - mnie to nie bawiło. I starkę pana gorzelanego, i zwierzenia pisarza oddałbym za jednego dobrego kolegę. Lecz gdym w myśli wybierał między tymi, którzy razem ze mną ukończyli pierwszą klasę, przekonywałem się, że żaden nie przystałby do moich dzisiejszych usposobień.

Niekiedy z głębi mojej duszy wynurzał się smutny cień zmarłego Józia i opowiadał mi rzeczy nieznane, głosem cichszym aniżeli powiew letniego wiatru. Wtedy ogarniała mnie jakaś rzewność i tęskniłem, ale sam nie wiem do czego... Gdy raz, pod wpływem takich przywidzeń, wałęsałem się po zarastających trawą ścieżkach parku, zabiegła mi niespodzianie drogę siostra Zosia i zapytała:

- Dlaczego ty się z nami nie bawisz? Zrobiło mi się gorąco.

- Z kim?...

- A ze mną i z Lonią.

Pozostanie wieczną zagadką, dlaczego w tej chwili imię Loni pomieszało mi się z widziadłem Józia i dlaczego się zaczerwienił tak, że mnie twarz piekła i pot wystąpił na czoło.

- Cóż to?... nie chcesz się z nami bawić? - pytała zdziwiona siostra. - Na Wielkanoc był tu jeden uczeń z trzeciej klasy i wcale się tak nie pysznił jak ty. Po całych dniach chodził z nami.

I znowu bez powodu uczułem nienawiść do owego trzecioklasisty, którego nigdy nie widział. Wreszcie odpowiedziałem Zosi tonem opryskliwym, choć w sercu nie miałem do niej urazy:

- Ja nie znam tej Loni.

- Jakże nie znasz? Czy nie pamiętasz, jak za nią wybiła cię tamta guwernantka? A czyś zapomniał, jak Lonia płakała za tobą i prosiła, żeby ci nic złego nie robili, kiedy spaliła się ta... obórka?...

Naturalnie, żem wszystko pamiętał, a najlepiej samą Lonię; muszę jednak wyznać, że mnemoniczne zdolności siostry rozgniewały mnie. Wydało mi się rzeczą nieodpowiednią godności mego munduru, że ludzie na wsi, a osobliwie podrastające dziewczynki, mają tak dobrą pamięć.

Pod wpływem tych uczuć odparłem jak brutal:

- Eh, daj mi spokój... i z sobą, i z twoją Lonią... I poszedłem w głąb parku, zarówno niekontent z niewczesnych wspomnień siostry, jak i z tego, że nie bawię się z dziewczynkami.

Sam zresztą nie wiem, czegom chciałem, ale byłem taki zły, że kiedyśmy się zeszli z Zosią w domu, nie chciałem z nią rozmawiać.

Zasmucona siostra starała się schodzić mi z oczu, ale wtedy ja jej szukałem czując, że mi czegoś brak, że kwestią wspólnej zabawy postawiłem zupełnie fałszywie. Więc dla poprawienia sytuacji, gdy strapiona Zosia wzięła się do cerowania, ja schwyciłem pierwszą z brzegu książkę i po kilkuminutowym przewracaniu kartek rzuciłem ją na stół mówiąc niby sam do siebie:

- Wszystkie dziewczęta są głupie!...

Zdawało mi się, że aforyzm ten będzie bardzo mądry. Ledwie go jednak skończyłem, uświadomiłem, że jest w nim coś niesmacznego. Zrobiło mi się żal siostry, wstyd... Nie mówiąc już nic, pocałowałem Zosię w oba policzki i poszedłem do lasu.

Boże! jakim był tego dnia nieszczęśliwy... Był to przecie dopiero początek moich cierpień.

Nie chcę nic ukrywać. Przez całą noc śniła mi się Lonia, i odtąd zamiast biednego garbuska jej cień widywałem w przywidzeniach. Zdawało mi się, że ona jedna mogłaby być tym przyjacielem, którego mi od tak dawna potrzebowałem. W marzeniach przemawiałem do niej tak długo i tak pięknie, jak piszą w romansach, a byłem taki grzeczny jak pewien margrabia. W rzeczywistości zaś nie umiałem zdobyć się nawet na to, ażeby pójść do parku, gdy w nim bawiły się dziewczynki, których wesołym śmiechom przeplatany upomnieniami guwernantki przysłuchiwałem się zza parkanu.

Dobrze pamiętam to miejsce, gdzie wyrzucano śmiecie z pałacu, a rosły wysokie pokrzywy i łośpian. Wystawałem tam całe kwadransy po to, żeby uchwycić kilka niewyraźnych frazesów, łoskot bucików na ścieżce i zobaczyć migającą sukienkę Loni, gdy skakała przez sznur.

Za chwilę wszystko milkło w parku i wtędym czułem piekący żar słońca, i słyszałem nieskończony brzęk much unoszących się nad śmietniskiem. Potem znowu dolatywały mnie odgłosy śmiechów i gonytwy, przed szczeliną w parkanie migły sukienki, a potem znowu górował szmer drzew, świergot ptaków, gorąco, i natrętne muchy włożyły mi prawie w usta.

Nagle rozległ się głos od pałacu:

- Lonia!... Zosia!... proszę do pokoju...

To guwernantka. Znienawidziłem ją, gdyby mi nie było wiadomo, że jej także smutno.

Podczas jednej z wycieczek pod parkan przekonałem się, że nie jestem sam. Z pagórka zobaczyłem między zielonym gąszczem łośpianu szary ze starości kapelusz słomiany, przez wierzch którego widać było jasnopłową czuprynę, bo kapelusz nie miał dna.

Gdy postąpiłem kilka kroków w tamtą stronę, czupryna i kapelusz podniosły się nad łośpian i ukazał się siedmio- a może ośmioletni chłopiec w długiej, ale brudnej koszuli, zaścięgniętej pod szyję na sznurek. Przemówiłem do niego, ale chłopiec zerwał się i uciekł, szybko jak

zając, w stronę pola. Czerwony kołnierz mego munduru i posrebrzane guziki robiły w ogóle silne wrażenie na wiejskich dzieciach.

Z wolna odszedłem w stronę folwarku, a w miarę tego chłopiec zbliżał się do parkanu. Gdym się ukrył za budynkiem, on wlaź na śmietnik i przyłożył oko do tej samej szczeliny, przez którą ja zaglądałem w ogród. Wątpię bardzo, ażeby co widział, ale wciąż patrzył.

Gdy na drugi dzień przyszedłem na stanowisko, ażeby śledzić zabawę pańienek, znowum spostrzegł między łopianem szary kapelusz, nad nim jasnopłową czuprynę, a pod oberwanym skrzydłem parę wlepionych we mnie oczu. Słońce bardzo piekło, więc chłopak po cichu urwał duży liść i zasłonił się nim jak parasolką. Wtedy już nie widział ani jego kapelusza, ani czupryny, tylko szarą koszulę nieco rozchyłoną na piersiach.

Gdym odszedł, chłopiec znowu wbiegł na śmietnik i znowu, jak wczoraj, przyłożył oko do szczeliny myśląc zapewne, że choć tym razem nie wypatrzyłem z parku wszystkich ciekawości, jakie tam były.

W tej chwili zrozumiałem śmieszność swoich postępów. Dopieroż bym miał, gdyby tak ojciec albo pan gorzelany, albo nawet - sama Lonia zobaczyła, że ja, uczeń drugiej klasy, w mundurze, wystaję pod parkanem na śmieciach luzując się z jakimś kandydatem na pastucha, który nie wiem, czy nosił kiedy wypraną koszulę.

Wstyd mnie ogarnął. Alboż ja nie mam prawa wchodzić jawnie do ogrodu, nie fryjąc się po kątach jak ten w oberwanym kapeluszu?...

Śmietnik i szczelina w parkanie obmierzyły mi, ale zarazem obudziła się ciekawość: co za jeden jest ten chłopiec? Dzieci w jego wieku już pasą gęsi, a on najpiękniejszą młodość marnuje wałęsając się za folwarkiem, podgląda cudze interesa, a spytany, zamiast przyzwoicie odpowiadać, ucieka jak królik przed obcym.

"Czekaj - pomyślałem - już mnie tu nie zobaczysz, ale za to ja wyśledzę, coś ty za jeden!"

Pamiętałem, że w romansach, obok bohaterów i bohaterek, bywają tacy zagadkowi nieznajomi, przed którymi trzeba się mieć na baczności i w porę ubezwładniać ich intrygi.

W parę dni, nie zapytując nikogo, dowiedziałem się wszystkiego o tajemniczym nieznajomym. To nie był intrygant. To był Walek, syn dworskiej pomywaczki, którego wszyscy znali, lecz nikt się nim nie zajmował. Dlatego chłopiec miał dużo swobodnego czasu i jakem sam doświadczył, używał go w sposób niekoniecznie przyjemny dla innych.

Walek nigdy nie miał ojca, za co wszyscy dokuczali jego matce, kobiecie nieco popędliwej. Na przycinki służby pomywaczka odpowiadała krzykiem i wymysłami, a że jej to widać nie wystarczało, więc resztę - odbijała na Walku.

Jeszcze chłopiec pełzał na czworakach i miał koszulę zebraną w węzeł na karku (co robiło taki efekt, jakby jej wcale nie posiadał, a jaz nazywano go znajdą.

- Tyś go znalazł?... - zapytywała wtedy matka i krzyczała dalej:

- Ażeby was Bóg skaral za moją krzywdę!... Ażeby wam ręce i nogi!... Ażebyś ty szczył, psiawiaro!...

Ostatnie życzenie odnosiło się do Walka, który bezpośrednio potem otrzymywał kopnięcie nogą poniżej owego węzła z koszuli. Dzieciak, dopóki był głupi, odpowiadał na taki poczęstunek rzewnym płaczem. Ale gdy nabrał rozumu, co nastąpiło dość prędko, wówczas milczał jak trusia i włożył pod tapczan, za wielki szaflik, w którym świniom jeść dawano. Widocznie nie chciał być obłany ukropem, jak mu się to raz zdarzyło.

Bywało i tak, że Walek przesiadywał pod tapczanem całe godziny, dopóki nie zeszli się ludzie na obiad albo na wieczerzę. Czasem, widząc głowę dziecka wytkniętą spod tapczanu i jego oczy, w których błyszczały łyzy niedawnego bólu i - ciekawość do klusków, pytali parobcy matki:

- A temu nie dacie, coście go zdybali w kartoflach?

- Bodaj on z tobą gryzł ziemię - odpowiadała rozdrażniona kobieta i choć poprzednio miała zamiar nakarmić Walka, teraz nie dała mu jeść.

- Przecież tak nie można, żeby chłopak, choć znajda, zdychał z głodu - reflektowały ją inne baby.

- Właśnie, że zdechnie na przekór wam, kiedy tak wydziwiacie!...

A ponieważ siedziała trochę tyłem do tapczanu, na konewce, więc Walek dostał piętą w zęby.

Wtedy parobcy na złość matce wydobywali go z ukrycia i karmili.

- No, Walek - mówił jeden - pocałuj Burka w ogon, to dostaniesz klusków.

Chłopiec punktualnie spełniał rozkaz, a za to łykał wielkie kluski nawet ich nie gryząc.

- No, a teraz daj matce w łeb, to dostaniesz mleka...

- O, bodajże wam ręce pokrzywiło! - wołała pomywaczka, a chłopiec - umykał za swój szaflik.

Czasem zziajany, strwożony, biegł pędem na dziedziniec i krył się w gęstych krzakach naprzeciw pałacu. A gdy mu łyzy obeschły, widział na ganku piękny stoliczek, przy nim dwa krzeselka, a na nich Lonię i moją siostrę, którym pokojówka wiązała serwetki pod brodą, Salusia nalewała zupę, a pani hrabina mówiła:

- Dmuchajcie, dzieci, nie poparzcie się, nie powalając... A może niesłodkie?...

Skoro parobcy odeszli do roboty i w kuchni nie było nikogo, pomywaczka wychodziła na podwórze i wołała:

- Walek!... Walek... Chodź ino tu...

Ze sposobu wołania chłopiec poznawał, że może wyjść, i biegł w stronę kuchni. Tam dostawał od matki kawał chleba, drewnianą łyżkę i trochę barszczu w ogromnej donicy, z której jadło sześć osób. Siadał na ziemi, matka stawiała mu donicę między nogi i poprawiwszy koszulę na plecach, rzekła:

- A jak kiedy pocałujesz psa w ogon, to ci wszystkie gnaty porachuję. Pamiętaj se!

Potem odchodziła zmywać statki.

Wnet jak spod ziemi wyłaził skądś pies podwórzowy i siadał naprzeciw chłopca. Z początku kłapał zębami na muchy, ziewał, oblizywał się. Potem powąchał barszczu raz i drugi i - ostrożnie zanurzył w nim język. Walek go pęc! łyżka w łeb. Pies cofnął się, znowu ziewnął i - znowu chlapanął parę łyków trochę śmieiej. Potem już mógł go chłopiec opukiwać po łbie łyżką, jak chciał, bo pies nabrawszy apetytu za żadne skarby nie wyjąłby pyska z donicy. Lecz i Walek zmiarkował, że ten będzie lepszy, kto pierwiej zje, i jadł, aż się zadyszał, z jednego brzegu, a pies chlapał sobie z drugiego.

Jeżeli matka miała dobry humor, a Walek był pod ręką, wówczas dostawały mu się przysmaki z dworskiego stołu.

- Naści, pobaw się - mówiła pomywaczka dając mu okruchy ciastek, talerz powalany sosem, rybi łeb, nie ogryzione skrzydełko albo szklanekę, na dnie której znajdowała się odrobina kawy i reszta nie rozpuszczonego cukru. Gdy wszystko wyssał ze szklanki albo do czysta wylizał talerz, zapytywała go matka:

- A co - dobre?...

Walek brał się pod boki, jak to robili parobcy po obiedzie, głęboko oddychał i przesunawszy na bakier swój stary kapelusz odpowiadał:

- Podjadł se człowiek. Bogu dziękować!... Trza iść do roboty...

Opuszczał kuchnię i szedł gdzieś na całe pół dnia. Swoje zabawy stosował do tego, co robili starsi. W czasie orki wydobywał zza koryta batożek, ujmował w rękę pierwszy lepszy kolek w płocie albo korzeń wywróconego drzewa i - orał całymi godzinami, naturalnie kiwając się w miejscu i wołając:

- Byś,ksy!ksy!...

Jeśli łapano ryby, wyszukiwał między śmieciami dziurawego sitka i z niezmordowaną cierpliwością zanurzał je w wodę. To znów siadał na kiju i jechał poić konie do studni. Raz znalazłszy koło owczarni stare łapcie z lipowego łyka, rzucał je na wodę i niby to pływał czółnem - naturalnie w myśli.

Słowem - bawił się doskonale, tylko nigdy się nie śmiał. Do jego dziecinnej twarzy przypił się wyraz niewzruszonej powagi, którą czasami tylko strach luzował. W dużych oczach siedziało wieczne zdumienie jak u ludzi, którzy przez długie lata patrzyli na niesłychane rzeczy.



Walek umiał zręcznie wymykać się z domu na całe dni. I nie dziwiło to parobków, jeżeli jakiego ranka znajdowali go w stogu albo w lesie pod drzewem. Umiał też na środku pola wystawać długie chwile bez ruchu jak szary słupek i z otwartymi ustami patrzeć nie wiadomo na co. Wyśledziłem go raz w takiej pozycji, a będąc dość blisko słyszałem, jak westchnął. Nie wiem dlaczego, westchnienie tak małej figurki przeraziło mnie. Uczułem jakiś żal, nie wiadomo do kogo, i w tej chwili polubiłem Walka. Ale gdym postąpił ku niemu parę kroków nieco śmieiej, chłopiec ocknął się i uciekł w krzaki z niepojętą zwinnością.

Wtedy zrodziła mi się w głowie myśl szczególna, że Bóg, który wciąż patrzy na takie dziecko, musi mieć duszę smutną. Zrozumiałem też, dlaczego na świętych obrazach jest zawsze poważny i dlaczego w kościele trzeba cicho rozmawiać i chodzić na palcach.

Taki to niepozorny człowieczek sprawił, że zamiast kryć się za parkanami postanowiłem wybrać się do parku oświadczywszy pierwszej Zosi, że odtąd będę się bawił - z nią i z Lonią.

Naturalnie siostrę zachwycił ten projekt.

- Bądźże w parku wtedy - mówiła - kiedy obie wyjdziemy na spacer. Przywitaj się także z guwernantką, która zawsze czyta książki w altanie; ale nie rozmawiaj z nią długo, bo ona nie lubi, ażeby jej przeszkadzać. A potem zobaczysz, jak nam będzie wesoło!

Tego samego dnia, przy obiedzie, rzekła do mnie z mmą tajemniczą:

- Przyjdź o trzeciej; powiedziałam już Loni, że będziesz. Jak wyjdziemy z pałacu, zakaszlę...

Siostra wzięła się do jakiejś roboty, a ja, naturalnie, wyszedłem, bo co prawda, nigdy nie lubiłem zabierać miejsca w pokoju. Już byłem na dziedzińcu, kiedy wybiegła za mną Zosia.

- Kaziu! Kaziu!...

- Cóż tam?...

- Kiedy zakaszlę, będziesz wiedział, co to znaczy?... - rzekła uroczyście.

- Rozumie się.

Wróciła do pokoju, lecz jeszcze zawołała do mnie przez okno:

- Ja zakaszlę... Pamiętaj!

I gdzieżem miał pójść, jeżeli nie do parku, choć do umówionej chwili brakowało tęgie półtorej godziny? Byłem tak zamyślony, że nie wiem, czy tego dnia śpiewał jakiś ptak w ogrodzie, zazwyczaj bardzo ożywionym. Obiegiem go parę razy wkoło, a następnie siadłem w czółno, przywiązane do brzegu, i nie mogąc pływać, przynajmniej kołysałem się w nim z nudów.

Układałem sobie plan odświeżenia znajomości z Lonią. Miało się to odbyć w następujący sposób. Gdy Zosia zakaszle, ja z bocznej ścieżki wyjdę ze spuszczoną głową w główną aleję. Wtedy Zosia powie:

"Patrz, Loniu, to mój brat, pan Kazimierz Leśniewski, uczeń klasy drugiej, przyjaciel tego nieszczęśliwego Józia, o którym ci tyle mówiłam."

Lonia wtedy zrobi dyg, a ja, zdjawszy czapkę, powiem:

„Dawno już miałem zamiar...” Nie, tak źle!... "Dawno już pragnąłem odnowić z panią..." O, nie!... Lepiej będzie tak:

"Dawno już pragnąłem złożyć pani moje uszanowanie."

Wtedy Lonia spyta się:

"Pan dawno bawi w naszych stronach?..." Nie, ona nie powie tak, ale tak: "Przyjemnie mi poznać pana, o którym tyle słyszałam od Zosi." A potem co?... Potem - to: "Czy nie przykrzy się panu w naszej okolicy?... pan przywykł do wielkiego miasta." A ja odpowiem: "Przykrzyło mi się, dopókim nie miał towarzystwa pani..."

W tej chwili pod powierzchnią wody mignął szczupak mający z pół łokcia... Wobec podobnej rzeczywistości pierzchnęły marzenia. Tu, w sadzawce, są takie ryby, a ja - nie mam wędki!...

Zerwałem się z czółna chcąc zobaczyć, czy w domu są haczyki, i - o mały włos - nie potraciłem Loni, która właśnie zabierała się do skakania przez czerwony sznurek.

Ryby, haczyki, plan zawarcia uroczystej znajomości - wszystko od razu pomieszało mi się w głowie. Oto - szczupak!... Nawet zapomniałem ukłonić się Loni, gorzej jeszcze - bom zapomniał mówić. Ale co za szczupak!...

Lonia, śliczna szatyneczka, z wyraźnie zarysowanymi ustami, które co chwilę układały się w inny sposób, spojrzała na mnie z góry i odrzuciwszy w tył bujne loki zapytała bez wstępu:

- Czy to prawda, że kawaler przedziurawił nam czółno?

- Ja?...

- Tak mi powiedział ogrodnik, a teraz mama nie pozwala nam pływać i kazała czółno przywiązać do brzegu, a wiosła pochować.

- Ależ jak ojca kocham, tak nie przedziurawiłem czółna! -domaczyłem się jak przed inspektorem.

- Czy tylko z pewnością? - pytała Lonia, bystro patrząc mi. w oczy. - Bo to do kawalera bardzo podobne...

Ton panienki nie podobał mi się. Do licha! najmocniejszy kolega nie przemówiłby do mnie w taki sposób.

- Kiedy ja mówię, że nie, to już jest z pewnością!... - odpowiedziałem, silnie akcentując odpowiednie wyrazy.

- W takim razie ogrodnik powiedział nieprawdę - rzekła Lonia marszcząc brwi.

- Dobrze zrobił - odparłem - bo młode panny flie umieją pływać czółnem.

- A kawaler umie pływać?

- Ja umiem i czółnem, i rękami, a także na wznak i stojący.

- A kawaler będzie nas woził?

- Jeżeli mama pani pozwoli, to będę.

- Więc niech kawaler zobaczy, czy czółno nie jest dziurawe.

- Nie jest.

- A skądże się tam wzięła woda?

- Z deszczu.

- Z deszczu?

Rozmowa urwała się. Tyłem jednak zyskał, zëm śmiało patrzył na Łonie, a ona, o ile dziś mi się ta rzecz przedstawia, nic sobie ze mnie nie robiła. Owszem, nie ruszając się z miejsca, zaczęła podskakiwać przez sznur, w odstępach rozmawiając ze mną.

- Dlaczego kawaler nie bawił się z nami?

- Bom był zajęty.

- Cóż kawaler robi?

- Uczę się.

- Przecież na wakacjach nikt się nie uczy.

- W naszej klasie trzeba się uczyć nawet przez wakacje. Lonia przeskoczyła sznur dwa razy i rzekła:

- Adaś jest w czwartej klasie, a jednak przez święta nie uczył się. Ach, prawda!... kawaler nie zna Adasia.

- Któż to pani powiedział, że nie znam? - zapytałem z dumą.

- Bo kawaler był w pierwszej klasie, a on w trzeciej... Znowu dwa skoki przez sznur... Myślałem, że mi się stanie coś dziwnego.

- Ze mną wdawała się nawet czwarta klasa - odparłem podrażniony.

- Wszystko jedno, bo Adaś chodzi do szkół w Warszawie, a kawaler... Gdzie to kawaler chodzi do szkół?... Gdzie?...

- W Siedlcach - ledwie odrzekł zdławionym głosem.

- A ja pojedę także do Warszawy - wyjaśniła Lonia i dodała:

- Może kawaler powie Zosi, że już tu jestem...

I nie czekając na moją zgodę lub odmowę, pobiegła ku altance wciąż skacząc.

Byłem odurzony; nie mogło mi się w głowie pomieścić, jak mnie ta dziewczyna traktuje.

"A dajcie mi spokój z waszą zabawą - pomyślałem naprawdę rozgniewany. - Lonia to niegrzeczna, niedelikatna, to - smarkacz!..."

Powyższe jednak uwagi nie przeszkodziły mi spełnić natychmiast jej rozkazu. Poszedłem do domu bardzo prędko, może nawet za prędko, zapewne skutkiem wewnętrznego wzburzenia.

Zosia brała już parasolkę, aby iść do ogrodu.

- No, wiesz - rzekłem rzucając czapkę w kąt - poznałem się z Lonia.

- I cóż?... - spytała siostra ciekawie.

- Nic... tak sobie!... - odparłem nie patrząc jej w oczy.

- Prawda, jaka ona dobra, jaka ładna?. -.

- Ach, nic mnie to nie obchodzi. Właśnie prosi cię, żebyś tam przysłała.

- A ty nie pójdziesz?

- Nie.

- Dlaczego? - spytała Zosia zaglądając mi w oczy.

- Dajże mi spokój!... - odburknąłem. - Nie pójde, bo mi się nie podoba...

Musiało być coś bardzo stanowczego w moim głosie, skoro siostra, już nie zadając mi dalszych pytań, wyszła. Widząc, że prawie biegnie, zawołałem ją przez okno:

- Zosiu, tylko proszę cię, nic tam nie mów... Powiedz, zem... że trochę boli mnie głowa.

- No, no, nie bój się. Ja ci nie zaszkodzę.

- Pamiętaj, Zosiu, jeżeli mnie choć trochę kochasz. Naturalnie, żeśmy się bardzo serdecznie ucałowali. Trudno dziś odgrzebać w pamięci uczucia, jakie mnie szarpały po odejściu Zosi. Jak ta Lonia śmiała rozmawiać ze mną w podobny sposób?... Wprawdzie nauczyciele, a szczególnie inspektor, traktowali mnie dość familiarnie, no - ale to starzy ludzie. Lecz między kolegami w pierwszej (obecnie już w drugiej klasie) cieszyłem się poważaniem. A tu

na wsi - proszę posłuchać, jak rozmawiał ze mną ojciec, jak mi się kłaniali parobcy, ile razy mówił pisarz: "Panie Kazimierzu, może pozwoli pan do mnie na fajeczkę?" Ja mu na to: "Dziękuję panu, nie chcę się przyzwyczajać." A on: "Jaki pan szczęśliwy, że pan ma taką moc nad sobą... Pan nie dałby się i guwernantce..."

Odpowiednio do postępowania starszych, ja także byłem poważny. Przecie sam ksiądz proboszcz mówił do ojca: "Patrzaj, mości dobrodzieju, panie Leśniewski, co to szkoła robi z chłopaka. Ten Kazio rok temu był wisus i pędziwiatr, a dziś, mości dobrodzieju, to statysta, to Metternich..."

Tak mnie sądzili ludzie... I trzeba wypadku, żeby jakaś koza, która ani jednej klasy nie widziała, ażeby ona śmiała mi powiedzieć, że - "to do kawalera bardzo podobne!..." Kawaler?... co mi za dorosła panna! Ze zna jakiegoś Adasia, to już zadziera głowę. Cóż ten Adaś? Skończył trzecią klasę, a ja idę do drugiej. Wielka różnica! Jak będzie osioł, to go dogonię, a nawet przegonię. Jeszcze, w dodatku do wszystkiego, każe mi iść po Zosie, jakbym ja był jej lokajczukiem. Zobaczymy, czy cię drugi raz usłucham!... Słowo daję, że jeżeli kiedy odezwie się z czymś podobnym, to po prostu - włożę ręce w kieszenie i odpowiem:

"Tylko proszę sobie tak nie pozwalać!" A nawet lepiej: "Moja Loniu, widzę, że nie nauczyłaś się grzeczności..." Albo nawet tak: "Moja Loniu, jeżeli chcesz, ażebym się z tobą wdawał..."

Czułem, że mi nie przychodzi dobra odpowiedź, i to mnie coraz więcej drażniło. Musiałem się nawet zmienić na twarzy, bo nasza gospodyni, stara Wojciechowa, dwa razy wchodziła do pokoju patrząc na mnie spod oka, aż nareszcie odezwała się:

- O, dlaboga, a czego to Kazio taki markotny?... Czy co Kazio zwojował, czy może z panem co?...

- Nic mi nie jest.

- Już ja widzę, że nie, nic przede mną się nie zatai. Jakaś co zmalował, to od razu idź do ojca i przyznaj się.

- Ale nic nie zrobiłem. Trochem się zmęczył, i tyle.

- Jakaś się zmęczył, to se odpocznij i podjedz. Zaraz dam ci chleba z miodem.

Wyszła i za chwilę powróciła z ogromnym kawałem chleba, z którego miód aż kapał.

- Ale ja nie będę jadł, dajcie mi spokój!...

- Co nie masz jeść? Bierz, ino prędko, bo mi miód po palcach ucieka. Podjesz se, to się zaraz rozweselisz. Człowieka zawsze trapi, kiedy głodny, ale jak se podje, zaraz mu się w głowie przetrze... No, ino weź do garści!

Musiałem wziąć bojąc się, ażeby mi nie okapała miodem włosów albo munduru. Machinalnie zjadłem, i naprawdę zrobiło mi się trochę lżej w sercu. Pomyślałem, że jakoś dam sobie radę z Lonią i że warto by także biednego Walka poczęstować, bo on pewnie miód rzadko jadał, a zresztą - już go lubiłem.

Na moje żądanie Wojciechowa, widząc tak błogi skutek lekarstwa, ukroiła mi jeszcze większy kawałek chleba, nie żałując miodu. Ostrożnie zabrałem prowiant i wyszedłem szukać chłopca.

Znalazłem go nie opodal od kuchni. Rozmawiali z nim śmiejąc się dwaj parobcy, którzy przywieźli drzewo z lasu.

- Jak cię jeszcze raz matka zbije - mówił jeden - to zabierz się i idź w świat. Co, pójdziesz?...

- Kiej nie wiem jak - odparł Walek.

- Weź buty na kij i aby za las. Tam światu dosyć.

- Kiej butów nie mam.

- To weź sam kij. Z kijem i bez butów zajdziesz... Zobaczywszy mnie chłopiec uciekł w stronę łąpianu.

- Co wy mu tak mówicie? - zapytałem parobków.

- Nic, kpinkujemy se z niego. Zwyczajnie jak z głupiego. Czując, że miód zaczyna mi walać palce, nie wdawałem się z nimi w dalszą rozmowę, lecz poszedłem za Walkiem. Stał między zielskiem i patrzył na mnie.

- Walku! - zawołałem - masz tu chleb z miodem. Nie ruszył się.

- No, chodźże... - i postąpiłem parę kroków. Chłopiec zaczął uciekać.

- Och! jakiś ty głupi... No, masz chleb, kładę ci go ot tu... Położyłem na kamieniu i odszedłem. Ale dopiero gdy się skrył za węglem kuchni, chłopiec zbliżył się do kamienia, począł ostrożnie chleb oglądać i nareszcie - zjadł go, o ile mi się zdaje, z apetytem. W godzinę później idąc w stronę lasu spostrzegłem, że chłopiec drepcze za mną w pewnej odległości. Zatrzymałem się i on stanął. Gdym zawrócił do domu, odskoczył na bok i skrył się w krzakach. Ale po malej chwili znowu biegł za mną.

Tego dnia dałem mu drugi raz chleba. Wziął go z ręki, lecz jeszcze z obawą, i zaraz uciekł. Wszelako od tej pory począł chodzić za mną, zawsze w pewnej odległości.

Od rana krążył pod naszymi oknami jak ptak, któremu przyjacielska ręka sypie ziarno. Wieczorem siadał pod kuchnią i patrzył na naszą oficynę. Dopiero gdy światło zgasło, szedł spać na płachtę za piec, gdzie mu świerkały nad głową świerszcze.

W kilka dni po pierwszym spotkaniu z Lonią, ulegając namowom Zosi, poszedłem z nią do parku.

- Wiesz - zapewniała mnie siostra - że Lonią bardzo tobą zajęta. Ciągłe mówi o tobie, gniewa się, żeś wtedy nie wrócił, i wypytuje, kiedy przyjdiesz.

Cóż dziwnego, że uległem, tym bardziej że mnie samego coś ciągnęło do Loni. Zdawało mi się, iż wtedy dopiero skończą się moje tęsknoty wywołane śmiercią Józia, gdy zacznę chodzić z Lonią pod rękę i prowadzić z nią poważne rozmowy. O czym mianowicie? - nie wiem do dziś dnia. Czułem tylko, że chcę pięknie mówić, dużo mówić i - mieć jedynego słuchacza w Loni.

Na myśl o przechadzkach we dwoje coś grało mi w piersiach jak arfy, migotało jak słońce w kropkach rosy. Ale rzeczywistość nie zawsze odpowiada marzeniom. Toteż gdy prowadzony przez siostrę, spotkałem znowu Łonie, odezwałem się do niej z zamiarem rozpoczęcia owych idealnych rozmów:

- Czy pani lubi łapać ryby?

W tej chwili dziewczęta wzięły się pod rękę, zaczęły szeptać, biegać po alei i śmiać się jak szalone. Osłupiałem obracając w palcach wędkę, dla zrobienia której malom nie dostał kopytem od siwego konia za to, że mu wyrywał z ogona włosień.

Już zabierałem się do odejścia obrażony, gdy wróciły dziewczęta, a Zosia rzekła:

- Lonia prosi cię, żebyście mówili sobie po imieniu. Ukłoniłem się milcząc z zakłopotania, a one znowu w śmiech i pobiegły w stronę sadzawki.

- Wie kawaler... - zaczęła Lonia, lecz wnet poprawiła się:

- Wiesz, Zosiu, że mama stanowczo nie pozwala nam pływać czółnem. Powiedziałam, że nas będzie woził twój brat, ale mama...

Wyszeptala Zosi jakiś długi frazes do ucha; ja jednak od razu zgadłem, o co chodzi. Pewnie mama boi się, ażebym nie potopił dziewcząt, ja, taki pływak i uczeń drugiej klasy!...

Byłem zawstydzony. Spostrzegła to Lorda i nagle rzekła:

- Niech kawaler... Znowu poprawiła się:

- Poproś, Zosiu, brata, ażeby nam urwał lilii wodnych. One takie ładne, a ja ich nigdy nie miałam w ręku.

Duch we mnie wstąpił. Przynajmniej teraz pokażę, co umiem.

Dużo lilii rosło na sadzawce, ale nie przy brzegu, tylko trochę dalej. Ułamałem pręt i wszedłem na huśtające się czółno.

Lilie mają jakby sprężyste łodygi. Zaczepione prętem zbliżały się, lecz wnet odpływały. Ułamałem kij dłuższy, zakończony rodzajem haczyka. Tym razem udało mi się lepiej. Mocno

pochwycona lilia przyplęnęła tuż, tuż... Wyciągam lewą rękę, jeszcze za daleko. Klękam na dziobie łódki, wychylam się i już mam zerwać kwiat, gdy nagle - padam na wodę jak długi, pręt wymyka mi się z ręki, a lilia nowu odpływa.

Panny w krzyk... Ja wołam: "To nic! to nic! tu płytko!..." Wylewam wodę z czapki, kładę ją na głowę i brodząc po pas w sadzawce, a po kolana w błocie, zrywam jedną lilią, drugą, trzecią, czwartą...

- Kaziu! na miłość boską, wracaj!... - woła z płaczem siostra.

- Dosyć, już dosyć!... - wtóruje jej Lonia.

Ja nie słucham. Rwę piątą, szóstą i dziesiątą lilią, a potem liście.

Wyszedłem z sadzawki zmoczony od stóp do głów, zabłocony powyżej kolan i na rękawach. Na brzegu Zosia płacze, Lonia nie chce brać kwiatów, a za nimi kryje się żółty ze strachu - Walek...

Widzę, że Lonia ma także łzy w oczach, lecz nagle zaczyna się śmiać:

- Patrz, Zosiu, jak on wygląda!...

- Boże! co powie tatko?... - woła Zosia. - Mój Kaziu, umyjże sobie przynajmniej twarz, boś cały zamazany.

Machinalnie dotykam nosa zabłoconą ręką. Lonia ze śmiechu aż siada na murawie. Zosia także śmieje się ocierając oczy, a nawet Walek otwiera usta i wydaje głos podobny do beczenia.

Teraz jego spostrzegają dziewczynki.

- Co to jest? - pyta Zosia - skąd on się tu wziął?

- On tu przyszedł za twoim bratem - odpowiada Lonia. - Widziałam go, jak się skradał między krzakami.

- Boże! jaki on ma kapelusz!... Czego on chce od ciebie, Kaziu?... - mówi siostra.

- Chodzi za mną od kilku dni.

- Aha! to pewnie Kazio z nim się bawił, kiedy od nas uciekał... - odzywa się ironicznie Lonia. - Patrz, Zosiu, jak oni obaj wyglądają - jeden zalany wodą, a drugi nie umyty... Oj, zaśmieję się!...

To zestawienie z Wałkiem wcale mi się nie podobało.

- No, mój Kaziu, umyjże się i idź do domu przebrać się, a my pójdziemy tymczasem do altanki - rzekła Zosia podnosząc Łonie, która z nadmiaru uciechy była bliską spazmów.

Odeszły. Zostałem ja, Walek i - pęk lilii na trawie, których nikt nie podniósł.



"Także to nagroda za moje poświęcenie?" - pomyślałem z goryczą, czując błoto w ustach. Zdjąłem czapkę. Strach, co się z niej zrobiło!... Podobna do ścierki, a daszek w jednym miejscu odłazi. Z munduru, z kamizelki, z koszuli strugami płynie woda. Pełno jej w butach, aż skwierczy, gdy się ruszę. Czuję, że z płótna robi się na mnie sukno, z sukna skóra, a ze skóry drewno. A tam, w stronie altanki, słyszę leszcze śmiech Loni, która moją przygodę opowiada guwernantce.

Za chwilę przyjdą tu. Chcę się umyć, lecz, nie dokończywszy, uciekam, bo już idą!... Już w alei widzę ich suknie, słyszę wydziwiania guwernantki. Przecięły mi drogę do domu, zawracam w inną stronę ku płotowi.

- Gdzież on jest? - pytuje krzykliwie guwernantka.

- O tam, tam!... uciekają obaj - odpowiada Lonia. Teraz widzę, że Walek krok w krok biegnie za mną. Dopadam płotu, on za mną. Włazę na żerdzie, on także. I kiedy obaj, zwróceni twarzami do siebie, siedzimy na płocie jak na koniu, w krzakach ukazuje się Lonia, Zosia i guwernantka.

- Ach! i ten przyjaciel!... - krzyczy Lonia ze śmiechem. Zeskoczyłem z płotu i pędzę przez pole w stronę naszej oficyny, a Walek wciąż dotrzymuje mi towarzystwa. Widocznie bawi go ta obława, bo otwiera usta i wydaje głos beczący, który ma oznaczać zadowolenie.

Stałem - wściekły z gniewu.

- Mój kochany, czego ty chcesz ode mnie?... Czego się za mną włóczysz?... - rzekłem do chłopca. Walek zdumiał się.

- Idź sobie ode mnie, idź sobie precz!... - mówiłem zaciskając pięści. - Narobiłeś mi wstydu, wszyscy śmieją się ze mnie... Jeżeli mi jeszcze kiedy wleziesz w drogę, zbiję cię...

Powiedziawszy to odszedłem, a chłopiec został. Gdy oddalił się o kilkanaście kroków i odwróciłem głowę, zobaczyłem go w tym samym miejscu. Patrzył na mnie i głośno płakał.

Wpadłem do naszej kuchni jak upiór, a gdziekolwiek stąpiłem, zostawała struga wody. Na mój widok spłoszone kury z gdakaniem i rozpuszczonymi skrzydłami rzuciły się do okien, dziewczuchy zaczęły się śmiać, a Wojciechowa uderzyła w rękę.

- Słowo stało się ciałem!... A tobie co?... - krzyknęła babina.

- Nie widzicie?... Wpadłem w sadzawkę, i basta!... Niech mi Wojciechowa da płócienne ubranie, buty, koszulę... Tylko pędzej.

- Zgryzota moja z tym Kaziem! - odpowiedziała Wojciechowa. - Do kitla pewno guziki nie przyszyte... Kaśka, rusz ino się, poszukaj butów!

Zaczęła mi rozpinąć i zdejmować mundur przy pomocy drugiej dziewczuchy. Poszło jako tako, ale z butami był ambaras. Ani w prawo, ani w lewo. Wreszcie zawołały do pomocy fornała. Musiałem położyć się na tapczanie, Wojciechowa z dziewczuchami trzymały mnie pod ramiona, a fornał ściągał buty. Myślałem, że mi nogi powykręca. Za to w pół godziny byłem

już jak lalka -wytarty, przebrany i uczesany. Nadbiegła Zosia i przyszyła mi guziki do płóciennego uniformu. Wojciechowa zmoczoną odzież wykręciła, wyniosła na strych, i - cicho.

Ojciec jednak, wróciwszy do domu, wiedział już o wszystkim. Popatrzył na mnie drwiąco, pokiwał głową i rzekł:

- Oj, ty ośle, ośle!... Pójdź teraz do Loni, żeby ci sprawiła nowe majtki.

Wnet ukazał się pan gorzelany. I ten mnie obejrzał, naśmiał się, ale podsłuchałem, jak mówił do ojca w kancelarii:

- Żwawy chłopak! za dziewczuchami wlezie w ogień... Tak jak my za młodych lat, panie Leśniewski.

Domyślałem się, że cały folwark wiedział o mojej uprzejmości dla Loni, i byłem bardzo zawstydzony.

Nad wieczorem przyszła dziedziczka, Lonia i guwernantka, a każda z nich, o dziwo! miała przy sukni - lilią wodną... Chciałem schować się pod ziemię, uciec, ale - zawołano mnie i stanąłem przed obliczem pań.

Uważałem, że guwernantka przypatruje mi się bardzo życzliwie. Zaś pani hrabina pogłaskała mnie po czerwonej twarzy i dała mi kilka cukierków.

- Mój chłopczyku - rzekła - bardzo pięknie, żeś taki grzeczny, ale proszę cię - nie woź nigdy panienek czółnem. Dobrze?... Pocałowałem ją w rękę i coś mruknąłem.

- Ale i sam także nie pływaj. Przyrzekasz-mi?

- Nie będę pływał.

Potem zwróciła się do guwernantki i coś pogadała po francusku. Usłyszałem kilka razy powtórzony wyraz: hero. Na nieszczęście, usłyszał go i ojciec i odezwał się:

- Oj, ma pani hrabina racją. Herod, prawdziwy Herod!... Panie uśmiechnęły się, a po ich odejściu Zosia usiłowała wytłomaczyć ojcu, że hero pisze się héros, a po francusku nie znaczy Heroda, tylko bohatera.

- Bohater? - powtórzył ojciec. - On taki bohater, że zamoczył mundur i podarł majtki, a ja beknę Szulimowi ze dwadzieścia złotych. Niech diabli wezmą bohaterstwo, za które inni muszą płacić!

Prozaiczne poglądy ojca dużo mi sprawiły przykrości. Dziękowałem jednak Bogu, że się tylko na nich skończyło.

Odtąd widywałem się z Lonią nie tylko w parku, ale i w pałacu. Jadłem tam parę razy obiad, co napędziło mi dużo kłopotu, i prawie co dzień podwieczorek, na który dawano kawę albo poziomki, albo maliny z cukrem i ze śmietanką.

Często rozmawiałem ze starszymi paniami. Hrabina dziwiła się memu odczytaniu, które zawdzięczałem bibliotece garbuska, a guwernantka, panna Klementyna, po prostu zachwycała się mną. Tę ostatnią sympatią zawdzięczałem nie tyle mojej erudycji, ile rozmowom o pisarzu, o którym wiedziałem, gdzie pilnuje roboty i co myśli o pannie Klementynie. W końcu światła ta osoba zwierzyła mi się, iż wcale nie myśli wyjść za mąż za pisarza, lecz pragnęłaby tylko podnieść go - moralnie. Oświadczyła mi, że według jej pojęć rola kobiet w świecie polega na podnoszeniu mężczyzn i że ja sam, gdy urosnę, muszę spotkać w życiu taką kobietę, która mnie podniesie.

Wykłady te bardzo mi się podobały. Coraz też gorliwiej znosiłem pannie Klementynie wiadomości o pisarzu, a jemu o pannie Klementynie, za co pozyskałem życzliwość obojga.

O ile dziś sobie przypominam, w pałacu życie było osobliwe.

Do hrabiny co kilka dni przyjeżdżał jej narzeczony, a panna Klementyna po parę razy na dzień odwiedzała te zakątki parku, z których mogła zobaczyć pisarza, a przynajmniej - jak mówiła - usłyszeć dźwięk jego głosu, zapewne wówczas, kiedy wymyślał parobkom. Ze swej strony panna służąca płakiwała kolejno w rozmaitych oknach za tymże pisarzem, a reszta fraucymeru, naśladowując zwierzchność, dzieliła swe uczucia między lokaja, chłopca kredensowego, kucharza, kuchcika i stangreta. Nawet serce starej Salusi nie było wolne. Panowały w nim indyki, gąsiory, kaczory, koguty i kapłony tudzież ich różnopióre i różnokształtne towarzyski, w gronie których gospodyni całe dnie przepędzała.

Rzecz prosta, że w tak zajęтым otoczeniu nam, dzieciom, schodził czas swobodnie. Bawiliśmy się od rana do wieczora i tylko wówczas widywaliśmy osoby starsze, gdy wołano nas na obiad, na podwieczorek albo na spoczynek.

Dzięki tej wolności moje stosunki z Lontą ułożyły się w sposób dość oryginalny. Ona mi mówiła przez parę dni "Kaziu", później "ty", posługiwała się mną, nawet krzyczała na mnie, a ja - wciąż nazywałem ją "panią", coraz rzadziej mówiłem, ale coraz częściej słuchałem. Niekiedy budziła się we mnie duma człowieka, który za rok może pójść do trzeciej klasy. Wtedy przeklinałem ową chwilę, kiedym to Lonię po raz pierwszy usłuchał idąc na jej rozkaz po siostrę. Mówiłem sobie:

"Cóż to ona myśli, że ja u niej jestem w służbie, jak mój ojciec u jej matki?..."

Tym sposobem buntowałem samego siebie, postanawiałem, że się to musi zmienić. Lecz na widok Loni całkiem opuszczała mnie odwaga, a jeżeli nawet i zdołał zatrzymać jakąś resztkę, 10 znowu Lonia wypowiadała swoje rozkazy z taką niecierpliwą prośbą, tak tupając nóżką, że musiał wszystko zrobić. A kiedy raz, złapawszy wróbla, nie oddałem jej go natychmiast, zawołała:

- Nie chcesz, to nie!... Obejdę się bez twego wróbla... Była tak obrażona i taka ciekawa, że zacząłem zaklinać, ażeby wzięła wróbla. Ona nie i nie!... Ledwie ją przebłagałem, naturalnie przy pomocy Zosi, i jeszcze mimo to przez kilka dni musiałem słuchać żalów:

- Ja bym ci takiej przykrości nigdy w życiu nie zrobiła. Wiem teraz, jakis ty stały! Pierwszego dnia skoczyłeś w wodę, ażeby mi lili narwać, a już wczoraj nie chciałeś mi nawet pozwolić, żebym trochę pobawiła się z ptaszkiem. Wiem już wszystko... O! żaden inny chłopiec nie postąpiłby ze mną w taki sposób.

A kiedy po wszelkich możliwych wyjaśnieniach prosiłem ją w końcu, ażeby się choć nie gniewała, odparła:

- Czy ja się gniewam?... Ty najlepiej wiesz, że się na dębie nie gniewam. Mnie tylko było przykro. Ale jak mi było przykro, tego sobie nikt nie wyobrazi... Niech ci powie Zosia, jak mi było przykro.

Wtedy Zosia, z uroczystą miną, wytłomaczyła mi, że Loni było bardzo, ale to bardzo przykro.

- Zresztą niech ci powie sama Lonia, jak jej było przykro -zakończyła moja kochana siostrzyczka.

Odsyłany od Annasza do Kaifasza po bliższe określenie stopnia owej przykrości, zupełnie straciłem głowę.

Stałem się maszyną, z którą panienki robiły, co im się tylko podobało, bo lada cień samodzielności z mojej strony wyrządzał przykrość albo Loni, albo Zosi, którą obie te panie odczuwały do spółki.

Gdyby biedny Józio wstał z grobu, nie poznałby mnie w tym cichym, posłusznym, zahukanym kawalerze, który wiecznie po coś chodził, coś nosił, czegoś szukał, o czymś nie wiedział, na czymś nie znał się i co kilka minut był strofowany. A gdyby to widzieli moi koledzy!...

Pewnego dnia panna Klementyna była bardziej zajęta niż zwykle. Pisarz bowiem miał jakiś dozór przy stajniach, o kilkanaście kroków od jej ulubionej altanki. Korzystając z tego wymknęliśmy się we troje za park, do tych krzaków, gdzie rosły jeżyny.

Strach, ile ich tam było! Co krok kępa, a na każdej gąszcz jeżyn czarnych i wielkich jak śliwki. Z początku zbieraliśmy je razem, zamieniając między sobą wykrzykniki podziwu i zadowolenia. Wkrótce jednak zamilkliśmy i rozeszliśmy się każde w swoją stronę. Nie wiem, jak tam dziewczęta, ale ja, utonawszy wśród najgęstszych kęp, zapomniałem o świecie. Co to były za jeżyny!... Dziś nie ma nawet takich ananasów.

Zmęczony staniem - usiadłem, zmęczony siedzeniem - położyłem się na krzakach jak na sprężynowym fotelu. Było tu tak ciepło, tak miękko i obficie, że nie wiem, skąd pomyślałem, iż właśnie tak musiało być Adamowi w raju. Boże! Boże! dlaczego ja nie byłem Adamem? Do dziś dnia na przeklętym drzewie rosłyby jabłka, bo dla zerwania ich nie chciałoby mi się nawet ręki podnieść nad głowę...

Rozciągając się jak wąż pod ciepłym słońcem na giętkich krzakach, czułem nieopisane szczęście głównie z tego powodu, że mogłem zupełnie nie myśleć. Czasem przewracałem się

na wznak, głową niżej niż reszta ciała. Poruszone wiatrem liście głąskały mnie po twarzy, a ja patrzyłem w ogromne niebo i z niezgłębionym zadowoleniem wyobrażałem sobie, że mnie - wcale nie ma. Lonia, Zosia, park, obiad, wreszcie szkoła i pan inspektor wydawały mi się snem, który niegdyś był, ale już przeszedł, może sto lat temu, a może i tysiąc. Biedny Józio w niebie wciąż zapewne doświadcza tych uczuć. Jaki on szczęśliwy!...

W końcu już mi się i jeżyn odechciało. Czułem, jak łagodnie unoszą mnie krzaki, widziałem każdą chmurkę, z wolna sunącą się po błękitnie, słyszałem szelest każdego liścia, ale sam nic nie myślał.

Nagle coś szarpnęło mnie. Zerwałem się na równe nogi nie pojmując, co się dzieje. Przez mgnienie było cicho jak i pierwej, lecz w tejże chwili usłyszałem płacz i krzyk Loni:

- Zosiu!... Panno Klementyno!... na pomoc!...

Jest coś strasznego w krzyku dziecka: "Na pomoc!..." Przemknęły mi przez głowę wyrazy: zmija! Tarnina chwyciła mnie za odzież, oplątywała nogi, szarpała, odpychała, nie!... ona mocowała się ze mną, biła się ze mną jak żywy potwór, a tymczasem Lonia wołała: "Na pomoc!... Boże, mój Boże!..." - a ja rozumiałem tylko jedną rzecz, jasną jak słońce, że tu muszę dać pomoc albo sam zginąć.

Zmęczony, podrapany, a najbardziej - przerażony, przedarłem się w końcu do tego miejsca, gdzie słyszał płacz Loni.

Siedziała na krzaku drząc i załamując ręce.

- Loni!... co tobie?... - zawołałem do niej pierwszy raz po imieniu.

- Osa!... osa!...

- Osa?... - powtórzyłem rzucając się ku niej. - Ukąsiła cię?...

- Jeszcze nie, ale...

- Więc cóż...

- Chodzi po mnie...

- Gdzie?...

Z oczu jej płynęły łzy. Była bardzo zawstydzona, ale strach przemógł.

- Wlazała mi w pończoszkę... O, Boże... Boże, Zosiu!... Ukląknę przed nią, ale jeszcze nie śmiała szukać osy.

- Więc wyjmij ją - rzekłem.

- Kiedy się boję. O, Boże!...

Drżała jak w febrze. Zdobyłem się na szczyt odwagi.

- Gdzie ona jest?

- Teraz chodzi mi po kolanie...

- Nie ma jej ani tu, ani tu.

- Już jest wyżej... Ach! Zosiu, Zosiu!...

- Ależ i tu jej nie ma... Lonia zasłoniła twarz rękoma.

- Musiała schować się w sukienkę... - rzekła płacząc jeszcze rzewniej.

- Jest!... - zawołałem. -To mucha...

- Gdzie?... Mucha?... - spytała Lonia. - Prawda, że mucha! Ach, jaka duża... Byłam pewna, że to osa. Myślałam, że umrę... Boże! jaka ja głupia.

Obtarła oczy i od razu zaczęła się śmiać.

- Zabić ją czy puścić? - spytałem Loni pokazując jej nieszczęsnego owada.

- Jak ci się podoba - odpowiedziała już zupełnie spokojnie. Chciałem muchę zabić, ale - nie miałem serca. A ponieważ i skrzydła, i ona sama była bardzo zmięta, więc - ostrożnie położyłem ją na liściu.

Tymczasem Lonia przypatrywała mi się nader pilnie.

- Co tobie?... - nagle spytała.

- Nic - odpowiedziałem usiłując się roześmiać. Uczulem, że siły gwałtownie mnie opadają. Serce uderzało mi jak dzwon, zaczęło mi się ćmić w oczach, zimny pot wystąpił na całe ciało i klęcząc - zachwiałem się.

- Co tobie, Kaziu?...

- Nic... tylko myślałem, że ci się trafiło jakie nieszczęście... Gdyby mnie Lonia nie pochwyliła i nie oparła mi głowy na swych kolanach, byłbym rozbił nos o ziemię.

Jakaś ciepła fala uderzyła mi do głowy, usłyszałem szum w uszach i znowu głos Loni:

- Kaziu!... kochany Kaziu... co tobie?... Zosiu!... o Boże, on zemdlał... Cóż ja tu pocznę, nieszczęśliwa?...

Objęła mnie rękoma za głowę i zaczęła całować. Na całej twarzy czułem jej łzy. Było mi jej tak żal, że zebrałem resztę sił i z trudem dźwignąłem się.

- Nic mi nie jest!... nie bój się!... - zawołałem z głębi piersi.

Istotnie chwilowe osłabienie minęło tak prędko, jak przyszło. W uszach przestało szumieć, wzrok mi się wyjaśnił, podniosłem głowę z kolan Loni i patrząc jej w oczy śmiałem się.

Teraz i ona zaczęła się śmiać.

- Ach, ty niepocziwy, ach, ty niedobry!... - mówiła - żeby mi narobić takiego strachu. Jakże ty mogłeś zemdleć przez takie głupstwo?... Gdyby to nawet była osa, to by mnie przecież nie zjadła... I co ja bym robiła tu z tobą?... Ani wody, ani ludzi, Zosia gdzieś poszła, a ja sama musiałabym ratować takiego dużego chłopca. Wstydz się!

Naturalnie, żem się wstydził. Czy można ją było tak przestraszać?

- Cóż, jakże ci jest? - pytała Lonia. - Eh! już pewnie dobrze, boś nie taki blady. Pierwej byłeś blady jak płótno.

No - dodała po chwili - będę ja się mieć z pyszna, jak się mama o tym dowie!... Ach, Boże! boję się nawet wracać do domu...

- O czym mama się dowie? - spytałem.

- O wszystkim, a najgorzej o tej osie...

- Więc nie mów nikomu.

- Cóż z tego, że ja nie powiem... - rzekła odwracając głowę.

- Może myślisz, że ja powiem?... - odparłem. - Jak ojca kocham, tak nikomu ani słówka.

- A Zosi?... Ona jest dobra do sekretu.

- Ani Zosi. Nikomu.

- Choć i bez tego wszyscy się dowiedzą. Ty jesteś taki podrapany, potargany... Ale, czekaj no!... - dodała po chwili i obtarła mi twarz chustką. - Boże! czy ty wiesz, że ja ciebie nawet pocałowałam ze strachu, bom już nie wiedziała, co robić. Żeby się kto o tym dowiedział, spaliłabym się ze wstydu, choć naprawdę -z osą byłby także kłopot. Ach! co ja mam zmartwienia przez ciebie...

- Ale nie masz się czego obawiać - pocieszałem ją.

- Tak, nie mam! Wszystko się wyda, bo masz pełno liści w głowie. Zresztą zaczekaj, ja cię uczeszę. Byle tylko z jakiego krzaka nie podglądała nas Zosia. Ona jest dobra do sekretu, ale zawsze...

Lonia wzięła ze swych włosów półkolisty grzebień i zaczęła mnie czesać.

- Ty zawsze jesteś potargany - mówiła. - Powinieneś czesać się tak jak wszyscy panowie. O tak!... Mieć przedział z prawego boku, nie z lewego. Gdybyś miał włosy czarne, byłbyś taki piękny jak narzeczony mojej mamy. Ale żeś blondyn, więc uczeszę cię inaczej. Będiesz teraz wyglądał jak aniołek, co jest pod Madonną. Wiesz, który... Szkoda, że nie mam lusterka.

- Kaziu! Loni!... - zawołała w tej chwili Zosia, gdzieś od strony parku.

Zerwaliśmy się oboje, a Lonia była naprawdę przelękniona.

- Wszystko się wyda! - rzekła.-Och! ta osa!...A najgorsze to, żeś zemdłał...
- Nic się nie wyda! - odparłem energicznie. - Ja przede nic nie powiem.
- Ani ja. Nie powiesz nawet, żeś zemdłał?...
- Naturalnie.
- No, no!... - dziwiła się Lonia. - Bo ja, żebym zemdłała, to bym nie mogła wytrzymać...
- Kaziu! Loni!... - wołała moja siostra już o kilkanaście kroków od nas.
- Kaziu! - szepnęła Lonia kładąc palec na ustach.
- Już nie bój się!

Zaszeleściły krzaki i ukazała się Zosia ubrana w fartuszek.

- Gdzieś ty była, Zosiu? - zapytaliśmy ją oboje.
- Chodziłam po fartuszek dla siebie i dla ciebie, Loni. Masz oto, bo jeżyny walają.
- Czy zaraz wracamy do domu?

- Nie ma po co - odparła Zosia. - U mamy jest ten pan, a panna Klementyna ani myśli wyjść z altanki. Możemy tu siedzieć choćby do wieczora. Ale już zaczynam rwać jeżyny, boście wy więcej zjedli ich niż ja.

Zaczęły rwać obie, a ja także jakoś nabrałem na nowo ochoty do jedzenia.

Widząc, że oddalam się, Lonia zawołała za mną:

- Kaziu, wiesz , o czym myślę!...

I pogroziła mi palcem.

W tej chwili po raz nie wiem który przysięgłem sobie, że nikomu nie wspomnę ani o moim zemdleńiu, ani o tej musze. Ledwie jednak odszedł kilka kroków, usłyszałem głos Loni:

- Żebyś ty wiedziała, Zosiu, co się tu działo!... Ale nie mogę ci powiedzieć ani słówka. Chociaż gdybyś mi przyrzekła, że dotrzymasz sekretu...

Uciekłem jak najdalej w gąszcz czując, że się wstydzę. No, chociaż Zosia...

Na owych nieszczęsnych jeżynach byliśmy jeszcze z godzinę. Gdyśmy stamtąd wracali do domu, dostrzegłem wielką zmianę sytuacji. Zosia patrzyła na mnie ze Zgrozą i ciekawością, Lonia wcale nie patrzyła, a ja byłem tak zmieszany, jakbym popełnił morderstwo.

Żegnając się z nami Lonia serdecznie ucałowała Zosię, a mnie-kiwnęła głową. Zdjąłem przed nią czapkę myśląc, że jestem wielki gałgan.

Po odejściu Loni Zosia wzięła mnie w obroty.



- Dowiedziałam się pięknych rzeczy! - rzekła z powagą.

- Cóżem ja zrobił? - zapytałem na dobre przestraszony. . - Jak to co? Naprzód - zemdlałeś (ach! Boże, i mnie przy tym nie było...), no - a potem ta osa czy mucha... Okropność... Biedna Lonia! Ja umarłabym ze wstydu.

- Ale cóżem ja temu winien? - ośmieliłem się spytać.

- Mój Kaziu - odparła - przede mną nie potrzebujesz się tłumaczyć, bo przecież ja ci nic nie zarzucam. Ale zawsze...

"Ale zawsze..." - to mi odpowiedź!... Z tego "ale zawsze" wypadało, że w całej sprawie ja jeden jestem winien. Mucha nic, Lonia, która wniebogłose krzyczała, także nic, tylko ja za to, że biegłem na ratunek.

Prawda, ale po co zemdlałem?...

Byłem niepokieszony. Na drugi dzień wcale nie poszedłem do parku, byle tylko nie pokazywać się Loni, a na trzeci - ona kazała mi przyjść. Gdym przyszedł, kiwnęła mi głową z daleka i rozmawiała tylko z Zosią, rzucając na mnie od czasu do czasu spojrzenia dumne i smutne jak na zbrodniarza.

Chwilami myślałem, że jednak dzieje mi się tu jakaś niesprawiedliwość. Wnet przecie tłumiliłem podobne podejrzenia mówiąc sobie, że naprawdę zrobiłem coś strasznego. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że taka metoda stanowi charakterystyczną cechę kobiecej logiki.

Tymczasem dziewczynki chodziły po ogrodzie poważnym krokiem ani myśląc o skakaniu przez sznur, tylko szepcząc coś między sobą. Nagle Lonia zatrzymała się i rzekła głosem bolejącym:

- Wiesz, Zosiu, taki mam apetyt na czarne jagody... Aż mi pachną...

- To ja zaraz przyniosę - odezwałem się z pośpiechem. - Znam w lesie jedno miejsce, gdzie jest ich bardzo dużo.

- Będziesz się fatygował?... - odpowiedziała Lonia obrzucając mnie melancholijnym wejrzeniem.

- Cóż to szkodzi? Niech idzie, kiedy chce - wtrąciła Zosia. Poszedłem tym spieszniej, że mi już w ogrodzie zaczynało być duszno wobec tylu grymasów. Mijając kuchnię usłyszałem, że panienki śmieją się, a gdym od niechcienia zajrzał przez parkan, spostrzegłem, że w najlepsze skaczą przez sznur. Widać, że tylko wobec mnie zachowywały tak uroczyste miny.

W kuchni był piekielny hałas. Matka Walka płakała i klęła, a stara Salusia wymyślała jej za to, że Walek stłukł talerz.

- Dałam mu - jęczała pomywaczka - temu hyclowi, talerz, żeby se wylizał, a on, podlec, buch! go na ziemię i jeszcze uciekł. Oj, jeżeli ja cię dziś nie zabiję, to mi chyba ręce i nogi odejmie...

A potem wołała:

- Walek!... Chodź mi tu zaraz, psiawiaro, bo z ciebie będę pasy darła, jak wnet nie przyjdiesz.

Zrobiło mi się żal chłopca i chciałem załagodzić sprawę. Pomyślałem jednak, że mogę zrobić to samo wróciwszy z lasu, bo Walek chyba dopiero w nocy pokaże się w kuchni, i - poszedłem w swoją stronę.

Las był odległy od folwarku na jakie pół godziny drogi, może i dalej. Rosły w nim dęby, sosny, leszczyna, a poziomek i czarnych jagód było tyle, ile kto mógł zebrać. Z brzegu trochę pastusi przerzedzili jagody, głębiej było ich więcej, zajmowały takie płaty ziemi jak dziedziniec.

Dostawszy się w te okolice narwałem jagód całą czapkę i całą chustkę sam mało jedząc, bom się śpieszył. Pomimo to upłynęła godzina albo i dłużej, nim obładowany zdobyczą zabrałem się do powrotu. Nie szedłem prosto, alem trochę nakładał drogi, gdyż w ogóle pociągała mnie przechadzka po lesie.

Gdy idziesz ku gąszczowi, drzewa wyraźnie ustępują ci, niby robią miejsce. Ale spróbuj, posuwając się naprzód, odwracać głowę. Podają sobie gałęzie jakby ręce, pień zbliża się do pnia, potem nawet zaczynają się stykać i ani się spostrzeżesz, kiedy wyrośnie za tobą pstra ściana, głęboka, nieprzebyta...

Nic łatwiejszego jak wtedy zbłądzić. Gdziekolwiek ruszysz się, wszędzie jest jednakowo, wszędzie drzewa rozsuwają się przed tobą, a zbiegają za tobą. Zaczynasz pędzić, one także pędzą wciąż za ciebie, byle ci odciąć odwrót. Stajesz - one stają i zmęczone chłodzą się gałęzmi jak wachlarzami. Poruszasz głową na prawo i na lewo, szukając drogi, i widzisz, że niektóre z drzew kryją się za innymi, jakby chcąc cię przekonać, że jest ich mniej, niż sądzisz.

O! las to rzecz niebezpieczna. Tam każdy ptak szpieguje, gdzie idziesz, każde ziółko chce ci oplatać nogi, a nie mogąc, przynajmniej szelestem donosi o tobie innym. Tak on widać tęskni za ludzką twarzą, że raz ją zobaczywszy używa wszelkich podstępów, by ją zatrzymać na zawsze.

Już słońce miało się ku zachodowi, kiedym wyszedł na pole. O paręset kroków spotkałem Walka. Szedł prędko w stronę lasu podpierając się wysokim kijem.

- Gdzie ty idziesz? - zapytałem go. Nie uciekał przede mną. Stał i wskazując żółtą rączyną na las odparł cicho:

- Het! het!...

- Niedługo będzie noc, wracaj do domu.

- Kiej mnie matula strasznie chcą zbić...

- Chodź ze mną, to cię nie zbije.

- O, zbije!...

- No, chodź, zobaczysz, że d nic nie robi - rzekłem zbliżając się do niego.

Chłopak cofnął się, ale nie uciekał; zdawało mi się, że się waha.

- No, chodźże...

- Kiedy boję się...

Znowum się zbliżył, a on znowu się cofnął. To wahanie się i cofanie obdartego chłopca zniecierpliwiło mnie. Tam Lorda czeka na jagody, a on targuje się ze mną o powrót?... Nie mam na to czasu.

Prędko poszedłem ku folwarkowi. Byłem chyba w połowie drogi do domu, gdy odwróciłem głowę i zobaczyłem Walka na wzgórku pod lasem. Stał ze swym kijem w ręku i patrzył na mnie. Wiatr powiewał szarą koszuliną, a podarty kapelusz w promieniach zachodzącego słońca błyszczał mu na głowie jak ognisty wieniec.

Coś mnie tknęło. Przypomniałem sobie, jak go namawiali parobcy, ażeby wziął kij i poszedł w świat. Czyżby?... Nie, on przecie taki głupi nie jest. Zresztą nie mam czasu wracać do niego, bo pogniotą mi się jagody, a tam Lonia czeka...

Pędem przybiegłem do domu chcąc przesytać jagody do koszyka. Na progu Zosia powitała mnie - rzewnym płaczem...

- Co to jest?...

- Nieszczęście - szepnęła siostra. - Wszystko się wydało... Tatko stracił miejsce u pani...

Jagody wysypały mi się z czapki i z chustki. Schwyciłem siostrę za rękę.

- Zosiu, co ty mówisz?... co się tobie dzieje?...

- Tak jest. Tatko już nie ma miejsca. Lonia po sekrecie powiedziała guwernantce o tej osie, a guwernantka pani... Kiedy tatko przyszedł do pałacu, pani kazała, żeby ciebie natychmiast wywiózł do Siedlec. Ale tatko odpowiedział, że - wszyscy wyjedziemy razem...

Zaczęła strasznie płakać.

W tej chwili zobaczyłem ojca na dziedzińcu. Pobiegłem naprzeciw i bez tchu upadłem mu do nóg.

- Mój serdeczny tatku, com ja narobił!... - szeptałem obejmując go za kolana.

Ojciec podniósł mnie, pokiwał głową i odparł krótko:

- Głupiś, idź do domu.

A potem rzekł jakby do siebie:

- Jest tu inny majster, który nas stąd wypędza, bo myśli, że stary plenipotent nie pozwoliłby mu przegrać majątku sieroty. I ma rację!

Odgadłem, że mówi o narzeczoną naszej pani. Zrobiło mi się lżej na sercu. Pocałowałem szorstką rękę ojca i odezwałem się trochę śmieiej:

- Bo, widzi tatko, byliśmy na jeżynach... Lonię ugryzła osa...

- Głupiś jak osa. Nie brataj się z paniętami, to nie będziesz polował na osy i nie zniszczysz majtek w sadzawce. Idź do domu i nie wyłaż mi za próg, dopóki stąd wszyscy nie wyjadą.

- Oni jadą?... - ledwie wyszeptał.

- Jadą do Warszawy za kilka dni, a wrócą, kiedy nas już tu nie będzie.

Smutno zeszedł wieczór. Na kolację były doskonałe kluseczki z mlekiem, ale żadne z nas nie jadło. Zosia obcierała czerwone oczy, a ja układałem desperackie projekta.

Przed położeniem się spać cicho wszedłem do pokoiku siostry.

- Zosiu - rzekłem do niej stanowczo - ja... muszę się ożenić z Lorda!... Spojrzała na mnie przestraszona.

- Kiedy?...-spytała.

- Wszystko jedno.

- Ależ teraz ksiądz proboszcz nie da wam ślubu, a później ona będzie w Warszawie, a ty w Siedlcach... Zresztą, co by powiedział tatko, pani?...

- Widzę, że nie chcesz mi pomóc - odpowiedziałem siostrze i nie pocałowawszy jej na dobranoc wyszedłem.

Od tej chwili nie pamiętam już nic. Mijały dni i noce, a ja wciąż leżałem w łóżku, przy którym siedziała albo moja siostra, albo Wojciechowa, a czasami felczer. Nie wiem, czy mówiono przy mnie, czy mi się tylko marzyło, że Lonia już wyjechała i że Walek gdzieś przepadł. Raz nawet zdawało mi się, że widzę nad sobą zapłakaną twarz pomywaczki, która łkając pytała:

- Paniczu, gdzieście widzieli Walka?...

Ja?... Walka?... Nic nie rozumiałem. Ale później przyszło mi do głowy, że zbieram jagody w lesie i że zza każdego drzewa patrzy na mnie Walek. Wołam go, on ucieka - gonię za nim, lecz nie mogę dopędzić. Tarnina chwyta mnie i odpycha, jeżyny oplątują nogi, drzewa tańczą, między pniami porośniętymi mchem miga szara koszulina chłopca.

Niekiedy marzyłem, że ja sam jestem Walek, to znowu, że Walek, Lonia i ja jesteśmy jedną osobą. Przy tym zawsze widywałem las albo gęste krzaki, zawsze ktoś wołał mnie na pomoc, a ja - nie mogłem ruszyć się z miejsca.

Strach, com wycierpiał.

Gdym podniósł się z łóżka, był już koniec wakacji i należało jechać do szkół. Parę dni jeszcze przesiedziałem w mieszkaniu i dopiero w wigilią wyjazdu, przed wieczorem, wywlokłem się na dziedziniec.

W pałacu okna były zasłonięte roletami. Więc oni naprawdę wyjechali?... Zaszedłem pod kuchnię upatrując Walka. Walka nie było. Spytałem o niego jakiejś dziewczuchy.

- Oho! paniczu - odparła - nie ma już Walka... Bałem się pytać o więcej. Poszedłem do parku. Boże, jak tu smutno... Bez myśli włóczyłem się po wilgotnych ścieżkach, bo niedawno deszcz padał. Trawa pożółkła, sadzawka jeszcze bardziej zarosła, w czółnie pełno wody. W alei głównej stały wielkie kałuże, w których przeglądał się mrok. Ziemia czarna, pnie czarne, gałęzie obwisły, liście wędną. Smutek szarpał mi duszę i z głębi raz po raz wydobywał jakiś cień. To Józia, to Loni, to Walka...

Wtem wionął wiatr, zaszumiały wierzchołki drzew i z chwiejących się gałęzi zaczęły padać duże krople jak łzy. Bóg widzi, że płakały drzewa. Nie wiem, czy nade mną, czy za moimi przyjaciółmi, ale to pewna, że - razem ze mną...

Ciemno było, kiedym wyszedł z parku. W kuchni parobcy jedli wieczerzę. Za kuchnią w polu zobaczyłem figurę kobiecą. Przy niepewnym świetle, które spływało na ziemię z jasnego paska obłoków, poznałem pomywaczkę. Patrzyła na las i mruzczała:

- Walek... Walek!... a wracajże do dom... O, coś ty mi zgryzoty narobił, ty niecnoto, niecnoto...

Uciekłem pędem do domu, bom myślał, że mi serce pęknie.

## KAMIZELKA

Niektórzy ludzie mają pociąg do zbierania osobliwości kosztowniejszych lub mniej kosztownych, na jakie kogo stać. Ja także posiadam zbiorzek, lecz skromny, jak zwykle w początkach.

Jest tam mój dramat, który pisałem jeszcze w gimnazjum na lekcjach języka łacińskiego... Jest kilka zasuszonych kwiatów, które trzeba będzie zastąpić nowymi, jest...

Zdaje się, że nie ma nic więcej oprócz pewnej bardzo starej i zniszczonej kamizelki.

Oto ona. Przód spłowiały, a tył przetarty. Dużo plam, brak guzików, na brzegu dziurka, wypalona zapewne papierosem. Ale najciekawsze w niej są ściągacze. Ten, na którym znajduje się sprzączka, jest skrócony i przyszyty do kamizelki wcale nie po krawiecku, a ten drugi, prawie na całej długości, jest pokłuty zębami sprzączki.

Patrząc na to od razu domyślasz się, że właściciel odzienia j zapewne co dzień chudnął i wreszcie dosięgnął, tego stopnia, na którym kamizelka przestaje być niezbędną, ale natomiast okazuje się bardzo potrzebnym zapięty pod szyję frak z magazynu pogrzebowego.

Wyznaję, że dziś chętnie odstąpiłbym komu ten szmat sukna, który mi robi trochę kłopotu. Szaf na zbiory jeszcze nie mam, a nie chciałbym znowu trzymać chorej kamizelczyny między własnymi rzeczami. Był jednak czas, żem ją kupił za cenę znakomicie wyższą od wartości, a dałbym nawet i drożej, gdyby umiano się targować. Człowiek miewa w życiu takie chwile, że lubi otaczać się przedmiotami, które przypominają smutek.

Smutek ten nie gnieździł się mnie, ale w mieszkaniu bliskich sąsiadów. Z okna mogłem co dzień spoglądać do wnętrza ich pokoiku.

Jeszcze w kwietniu było ich troje: pan, pani i mała służąca, która sypiała, o ile wiem, na kufierku za szafą. Szafa była ciemnowiśniowa. W lipcu, jeżeli mnie pamięć nie zwodzi, zostało ich tylko dwoje: pani i pan, bo służąca przeniosła się do takich państwa, którzy płacili jej trzy ruble na rok i co dzień gotowali obiady.

W październiku została już tylko - pani, sama jedna. To jest niezupełnie sama, ponieważ w pokoju znajdowało się jeszcze dużo sprzętów: dwa łóżka, stół, szafa... Ale na początku listopada sprzedano z licytacji niepotrzebne rzeczy, a przy pani ze wszystkich pamiątek po mężu została tylko kamizelka, którą obecnie posiadam.

Lecz w końcu listopada pewnego dnia pani zawołała do pustego mieszkania handlarza starzyzny i sprzedała mu swój parasol za dwa złote i kamizelkę po mężu za czterdzieści groszy. Potem zamknęła mieszkanie na klucz, powoli przeszła na dziedziniec, w bramie oddała klucz stróżowi, chwilę popatrzyła w swoje niegdyś okno, na które padały drobne płatki śniegu, i - znikła za bramą.

Na dziedzińcu został handlarz starzyzny. Podniósł do góry wielki kołnierz kapoty, pod pachę wetknął dopiero co kupiony parasol i owinąwszy w kamizelkę ręce czerwone z zimna, mrucał:

- Handel, panowie... handel!... Zawołałem go.

- Pan dobrodziej ma co do sprzedania? - zapytał wchodząc.

- Nie, chcę od ciebie coś kupić.

- Pewnie wielmożny pan chce parasol?... - odparł Żydek. Rzucił na ziemię kamizelkę, otrząsnął śnieg z kołnierza i z wielką usilnością począł otwierać parasol.

- A fajny mebel!... - mówił. - Na taki śnieg to tylko taki parasol... Ja wiem, że wielmożny pan może mieć całkiem jedwabny parasol, nawet ze dwa. Ale to dobre tylko na lato!...

- Co chcesz za kamizelkę? - spytałem.

- Jake kamizelkie?... - odparł zdziwiony, myśląc zapewne o swojej własnej.

Ale wnet opamiętał się i szybko podniósł leżącą na ziemi.

- Za te kamizelkie?... Pan dobrodziej pyta się o te kamizelkie?...

A potem, jakby zbudziło się w nim podejrzenie, spytał:

- Co wielmożnego pana po take kamizelkie?!...

- Ile chcesz za nią?

Żydowi błysnęły żółte białka, a koniec wyciągniętego nosa poczerwieniał jeszcze bardziej.

- Da wielmożny pan... rubelka! - odparł roztaczając mi przed oczyma towar w taki sposób, ażeby okazać wszystkie jego zalety.

- Dam ci pół rubla.

- Pół rubla?... taky ubjór?... To nie może być! - mówił handlarz.

- Ani grosza więcej.

- Niech wielmożny pan żartuje zdrów!... - rzekł klepiąc mnie po ramieniu. - Pan sam wi, co taka rzecz jest warta. To przecie nie jest ubjór na małe dziecko, to jest na dorosłe osoby...

- No, jeżeli nie możesz oddać za pół rubla, to już idź. Ja więcej nie dam.

- Ino niech się pan nie gniewa! - przerwał mięknąc. - Na moje sumienie, za pół rubelka nie mogę, ale - ja zdaję się na pański rozum... Niech pan sam powie: co to jest wart, a ja się zgodzę!... 'Ja wolę dołożyć, byle to się stało, co pan chce.

- Kamizelka jest warta pięćdziesiąt groszy, a ja d daję pół rubla.

- Pół rubla?... Niech będzie już pół rubla!... - westchnął wpychając mi kamizelkę w rękę. - Niech będzie moja strata, byle ja z gęby nie robił... ten wjatr!...

I wskazał ręką na okno, za którym kłębił się tuman śniegu. Gdym sięgnął po pieniądze, handlarz, widocznie coś przypomniawszy sobie, wyrwał mi jeszcze raz kamizelkę i począł szybko rewidować jej kieszonki.

- Czegóż ty tam szukasz?

- Możem co zostawił w kieszeni, nie pamiętam! - odparł najnaturalniejszym tonem, a zwracając mi nabytek dodał:

- Niech jaśnie pan dołoży choć dziesiątkę!...

- No, bywaj zdrów! - rzekłem otwierając drzwi.

- Upadam do nóg!... Mam jeszcze w domu bardzo porządne futro...

I jeszcze zza progu, wytknąwszy głowę, zapytał:

- A może wielmożny pan każe przynieść serki owczych?...

'W parę minut znowu wołał na podwórzu: "Handel! handel!..." - a gdym stanął w oknie, ukłonił mi się z przyjacielskim uśmiechem.

Śnieg zaczął tak mocno padać, że prawie zmierzchło się. Położyłem kamizelkę na stole i począłem marzyć to o pani, która wyszła za bramę nie wiadomo dokąd, to o mieszkaniu, stojącym pustką obok mego, to znowu o właścicielu kamizelki, nad którym coraz gęstsza warstwa śniegu narasta...

Jeszcze trzy miesiące temu słyszałem, jak w pogodny dzień wrześniowy rozmawiali ze sobą. W maju pani raz nawet - nuciła jakąś piosenkę, on śmiał się czytając "Kuriera Świątecznego". A dziś...

Do naszej kamienicy sprowadzili się na początku kwietnia. Wstawali dość rano, pili herbatę z blaszanego samowaru i razem wychodzili do miasta. Ona na lekcje, on do biura.

Był to drobny urzędniczek, który na naczelników wydziałowych patrzył z takim podziwem jak podróżnik na Tatry. Za to musiał dużo pracować, po całych dniach. Widywałem nawet go i o północy, przy lampie, zgiętego nad stolikiem.

Żona zwykle siedziała przy nim i szyła. Niekiedy spojrzawszy na niego przerywała swoją robotę i mówiła tonem upominającym:

- No, już dość będzie, połóż się spać.

- A ty kiedy pójdziesz spać?...

- Ja... jeszcze tylko dokończę parę ściągów...



- No... to i ja napiszę parę wierszy... Znowu oboje pochylali głowy i robili swoje. I znowu po jakimś czasie pani mówiła:

- Kładź się!... kładź się!...

Niekiedy na jej słowa odpowiadał mój zegar wybijając pierwszą.

Byli to ludzie młodzi, ani ładni, ani brzydzy, w ogóle spokojni. O ile pamiętam, pani była znacznie szczuplejsza od męża, który miał budowę wcale tęgą. Powiedziałbym, że nawet za tęgą na tak małego urzędnika.

Co niedzielę, około południa, wychodzili na spacer trzymając się pod rękę i wracali do domu późno wieczór. Obiad zapewne jedli w mieście. Raz spotkałem ich przy bramie oddzielającej Ogród Botaniczny od Łazienek. Kupili sobie dwa kufle doskonałej wody i dwa duże pierniki, mając przy tym spokojne fizjognomię mieszczan, którzy zwykli jadać przy herbacie gorącą szynkę z chrzanem.

W ogóle biednym ludziom niewiele potrzeba do utrzymania duchowej równowagi. Trochę żywności, dużo roboty i dużo zdrowia. Reszta sama się jakoś znajduje.

Moim sąsiadom, o ile się zdaje, nie brakło żywności, a przynajmniej roboty. Ale zdrowie nie zawsze dopisywało.

Jakoś w lipcu pan zaziębił się, zresztą nie bardzo. Dziwnym jednak zbiegiem okoliczności dostał jednocześnie tak silnego krwotoku, że aż stracił przytomność.

Było to już w nocy. Żona, utuliwszy go na łóżku, sprowadziła do pokoju stróżowę, a sama pobięła po doktora. Dowiadywała się o pięciu, ale znalazła ledwie jednego, i to wypadkiem, na ulicy.

Doktor, spojrzawszy na nią przy blasku migotliwej latarni, uznał za stosowne ją przede wszystkim uspokoić. A ponieważ chwilami zataczała się, zapewne ze zmęczenia, a dorożki na ulicy nie było, więc podał jej rękę i idąc tłumaczył, że krwotok jeszcze niczego nie dowodzi.

- Krwotok może być z krtani, z żołądka, z nosa, z płuc rzadko kiedy. Zresztą, jeżeli człowiek zawsze był zdrow, nigdy nie kaszlał...

- O, tylko czasami! - szepnęła pani zatrzymując się dla nabrania tchu.

- Czasami? to jeszcze nic. Może mieć lekki katar oskrzeli.

- Tak... to katar! - powtórzyła pani już głośno.

- Zapalenia płuc nie miał nigdy?...

- Owszem!... - odparła pani, znowu stając. Trochę się nogi pod nią chwiały.

- Tak, ale zapewne już dawno?... - pochwycił lekarz.

- O, bardzo... bardzo dawno!... - potwierdziła z pośpiechem. - Jeszcze tamtej zimy.

- Półtora roku temu.

- Nie... Ale jeszcze przed Nowym Rokiem... O, już dawno!

- A!... Jaka to ciemna ulica, a w dodatku niebo trochę zasłonięte... - mówił lekarz.

Weszli do domu. Pani z trwogą zapytała stróża: co słyhać? -i dowiedziała się, że nic. W mieszkaniu stróżowa także powiedziała jej, że nic nie słyhać, a chory drzemał.

Lekarz ostrożnie obudził go, wy badał i także powiedział, że to nic.

- Ja zaraz mówiłem, że to nic! - odezwał się chory.

- O, nic!... - powtórzyła pani ściskając jego spocniałe ręce. -Wiem przecie, że krwotok może być z żołądka albo z nosa. U ciebie pewnie z nosa... Tyś taki tęgi, potrzebujesz ruchu, a ciągle siedzisz... Prawda, panie doktorze, że on potrzebuje ruchu?...

- Tak! tak!... Ruch jest w ogóle potrzebny, ale małżonek pani musi parę dni poleżyć. Czy może wyjechać na wieś?

- Nie może... - szepnęła pani ze smutkiem.

- No - to nic! Więc zostanie w Warszawie. Ja będę go odwiedzał, a tymczasem - niech sobie poleży i odpocznie. Gdyby się zaś krwotok powtórzył... - dodał lekarz.

- To co, panie? - spytała żona blednąc jak wosk.

- No, to nic. Mąż pani wypocznie, tam się zasklepi...

- Tam... w nosie? - mówiła pani składając przed doktorem ręce.

- Tak... w nosie! Rozumie się. Niech pani uspokoi się, a resztę zdać na Boga. Dobranoc.

Słowa doktora tak uspokoiły panią, że po trwodze, jaką przechodziła od kilku godzin, zrobiło się jej prawie wesoło.

- No, i cóż to tak wielkiego! - rzekła, trochę śmiejąc się, a trochę popłakując.

Uklękła przy łóżku chorego i zaczęła całować go po rękach.

- Cóż tak wielkiego! - powtórzył pan cicho i uśmiechnął się. -Ile to krwi na wojnie z człowieka upływa, a jednak jest potem zdrów!...

- Już tylko nic nie mów - prosiła go pani.

Na dworze zaczęło świtać. W lecie, jak wiadomo, noce są bardzo krótkie.

Choroba przeciągnęła się znacznie dłużej, niż myślano. Mąż nie chodził już do biura, co mu tym mniej robiło kłopotu, że jako urzędnik najemny, nie potrzebował brać urlopu, a mógł wrócić, kiedy by mu się podobało i - o ile znalazłby miejsce. Ponieważ gdy siedział w

mieszkań, był zdrowszy, więc pani wystarała się jeszcze o kilka lekcji na tydzień i za ich pomocą opędzała domowe potrzeby.

Wychodziła zwykle do miasta o ósmej rano. Około pierwszej wracała na parę godzin do domu, ażeby ugotować mężowi obiad na maszynie, a potem znowu wybiegała na jakiś czas.

Za to już wieczory spędzali razem. Pani zaś, aby nie próżnować, brała trochę więcej do szycia.

Jakoś w końcu sierpnia spotkała się pani z doktorem na ulicy. Długo chodzili razem. W końcu pani schwyciła doktora za rękę i rzekła błagalnym tonem:

- Ale swoją drogą niech pan do nas przychodzi. Może też Bóg da!... On tak się uspakaja po każdej pańskiej wizycie...

Doktor obiecał, a pani wróciła do domu jakby spłakana. Pan też, skutkiem przymusowego siedzenia, zrobił się jakiś drażliwy i zwątpiały. Zaczął wymawiać żonie, że jest zanadto o niego troskliwa, że on mimo to umrze, a w końcu zapytał:

- Czy nie powiedział ci doktor, że ja nie przeżyję kilku miesięcy?

Pani zdrętwiała.

- Co ty mówisz? - rzekła. - Skąd ci takie myśli?... Chory wpadł w gniew.

- Oo, chodźże tu do mnie, o tu!... - mówił gwałtownie, chwytając ją za rękę. - Patrz mi prosto w oczy i odpowiadaj: nie mówił ci doktor?

I utopił w niej rozgorączkowane spojrzenie. Zdawało się, że pod tym wzrokiem mur wyszeptałby tajemnicę, gdyby ją posiadał.

Na twarzy kobiety ukazał się dziwny spokój. Uśmiechała się łagodnie, wytrzymując to dzikie spojrzenie. Tylko jej oczy jakby szkłem zaszyły.

- Doktor mówił - odparta - że to nic, tylko że musisz trochę wypocząć...

Mąż nagle puścił ją, zaczął drzeć i śmiać się, a potem machając ręką rzekł:

- No widzisz, jakim ja nerwowym!... Koniecznie ubrało mi się, że doktor zwątpił o mnie... Ale... przekonałaś mnie... Już jestem spokojny!...

I coraz weselej śmiał się ze swoich przywidzeń.

Zresztą taki atak podejrzliwości nigdy się już nie powtórzył. Łagodny spokój żony był przecie najlepszą dla chorego wskazówką, że stan jego nie jest złym.

Bo i z jakiej racji miał być zły?

Był wprawdzie kaszel, ale - to z kataru oskrzeli. Czasami, skutkiem długiego siedzenia, pokazywała się krew - z nosa. No, miewał też jakby gorączkę, ale właściwie nie była to gorączka, tylko - taki stan nerwowy.

W ogóle czuł się coraz zdrowszym. Miał nieprzepartą chęć do jakichś dalekich wycieczek, lecz - trochę sił mu brakło. Przyszedł nawet czas, że w dzień nie chciał leżeć w łóżku, tylko siedział na krześle ubrany, gotowy do wyjścia, byle go opuściło to chwilowe osłabienie.

Niepokoił go tylko jeden szczegół.

Pewnego dnia kładąc kamizelkę uczył, że jest jakoś bardzo luźna.

- Czybym aż tak schudł?... - szepnął.

- No, naturalnie, że musiałeś trochę zmizernieć - odparła żona. - Ale przecież nie można przesadzać...

Mąż bacznie spojrział na nią. Nie oderwała nawet oczu od roboty. Nie, ten spokój nie mógł być udany!... Żona wie od doktora, że on nie jest tak znowu bardzo chory, więc nie ma powodu martwić się.

W początkach września nerwowe stany, podobne do gorączki, występowały coraz silniej, prawie po całych dniach.

- To głupstwo! - mówił chory. - Na przejściu od lata do jesieni najzdrowszemu człowiekowi trafia się jakieś rozdrażnienie, każdy jest nieswój... To mnie tylko dziwi: dlaczego moja kamizelka leży na mnie coraz luźniej?... Strasznie musiałem schudnąć, i naturalnie dopóty nie mogę być zdrowym, dopóki mi ciała nie przybędzie, to darmo!...

Żona bacznie przysłuchiwała się temu i musiała przyznać, że mąż ma słuszość.

Chory co dzień wstawał z łóżka i ubierał się, pomimo że bez pomocy żony nie mógł wciągnąć na siebie żadnej sztuki ubrania. Tyle przynajmniej wymogła na nim, że na wierzch nie kładł surduta, tylko paltot.

- Dziwić się tu - mówił nieraz, patrząc w lustro - dziwić się tu, że ja nie mam sił. Ależ jak wyglądam!...

- No, twarz zawsze łatwo się zmienia - wtrąciła żona.

- Prawda, tylko że ja i w sobie chudnę...

- Czy ci się nie zdaje? - spytała pani z akcentem wielkiej wątpliwości. Zamyślił się.

- Ha! może i masz rację... Bo nawet... od kilku dni uważam, że... coś... moja kamizelka...

- Dajże pokój! - przerwała pani - przecież nie utyłeś...

- Kto wie? Bo, o ile uważam po kamizelce, to...

- W takim razie powinny by ci wracać siły.

- Oho! chciałabyś tak zaraz... Pierwej muszę przecież choć cokolwiek nabrać ciała. Nawet powiem ci, że choć i odzyskam ciało, to i wtedy jeszcze nie zaraz nabiorę sił...

A co ty tam robisz za szafą?... - spytał nagle.

- Nic. Szukam w kufrze ręcznika, a nie wiem... czy jest czysty. •'

- Nie wysilajże się tak, bo aż ci się głos zmienia... To przecież ciężki kufer...

Istotnie, kufer musiał być ciężki, bo pani aż porobiły się wypieki na twarzy. Ale była spokojna.

Odtąd chory coraz pilniejszą zwracał uwagę na swoją kamizelkę. Co parę zaś dni wołał do siebie żonę i mówił:

- No... patrzajże. Sama się przekonaj: wczoraj mogłem tu jeszcze włożyć palec, o - tu... A dziś już nie mogę. Ja istotnie zaczynam nabierać ciała!...

Ale pewnego dnia radość chorego nie miała granic. Kiedy żona wróciła z lekcy j, powitał ją z błyszczącymi oczyma i rzekł bardzo wzruszony:

- Posłuchaj mnie, powiem ci jeden sekret... Ja z tą kamizelką, widzisz, trochę szachrowałem. A żeby cię uspokoić, co dzień sam ściągałem pasek, i dlatego - kamizelka była ciasna... tym sposobem dociągnąłem wczoraj pasek do końca. Już martwiłem się myśląc, że się wyda sekret, gdy wtem dziś... Wiesz, co d powiem?... Ja dziś, daję ci najświętsze słowo, zamiast ściągać pasek, musiałem go trochę rozluźnić!... Było mi formalnie ciasno, choć jeszcze wczoraj było cokolwiek luźniej...

No, teraz i ja wierzę, że będę zdrow... Ja sam!... Niech doktor myśli, co chce...

Długa mowa tak go wysiliła, że musiał przejść na łóżko. Tam jednak, jako człowiek, który bez ściągnięcia pasków zaczyna nabierać ciała, nie położył się, ale jak w fotelu oparł się w objęciach żony.

- No, no!... - szeptał - kto by się spodziewał?... Przez dwa tygodnie oszukiwałem moją żonę, że kamizelka jest ciasna, a ona dziś naprawdę sama ciasna!...

- No... no!...

I przesiedzieli tuląc się jedno do drugiego cały wieczór.

Chory był wzruszony jak nigdy.

- Mój Boże! - szeptał całując żonę po rękach - a ja myślałem, że już tak będę chudnął do... końca. Od dwu miesięcy dziś dopiero, pierwszy raz, uwierzyłem w to, że mogę być zdrow.

Bo to przy chorym wszyscy kłamią, a żona najwięcej. Ale kamizelka - ta już nie skłamię!...

-----

Dziś patrząc na starą kamizelkę widzę, że nad jej ściągaczami pracowały dwie osoby. Pan - co dzień posuwał sprzączkę, ażeby uspokoić żonę, a pani co dzień - skracała pasek, aby mężowi dodać otuchy.

"Czy znowu zejda się kiedy oboje, ażeby powiedzieć sobie cały sekret o kamizelce?..." - myślałem patrząc na niebo.

Nieba prawie już nie było nad ziemią. Padał tylko śnieg taki gęsty i zimny, że nawet w grobach marzły ludzkie popioły.

Któż jednak powie, że za tymi chmurami nie ma słońca?...

Potem śmiech zamienił się w wesołą rozmowę, potem wielokrotnie powtórzono stówko: "dobranoc!" - i nareszcie wszystko umilkło. Zbudzony ptak mocniej objął palcami gałązkę i znowu zasnął. I śniło mu się w główce schowanej pod skrzydło, że jest, jak niegdyś, małym ptaszkiem i że śpi w gnieździe, otulony gorącą piersią matki.

## KATARYNKA

Na ulicy Miodowej co dzień około południa można było spotkać jegomościa w pewnym wieku, który chodził z placu Krasieńskich ku ulicy Senatorskiej. Latem nosił on wykwiłtne, ciemnogrnatowe palto, popielate spodnie od pierwszorzędnego krawca, buty połyskujące jak zwierciadła - i - nieco wyszarzany cylinder.

Jegomość miał twarz rumianą, szpakowate faworyty i siwe, łagodne oczy. Chodził pochylony, trzymając ręce w kieszeniach. W dzień pogodny nosił pod pachą laskę, w pochmurny - dźwigał jedwabny parasol angielski.

Był zawsze głęboko zamyślony i posuwał się z wolna. Około Kapucynów dotykał pobożnie ręką kapelusza i przechodził na drugą stronę ulicy, ażeby zobaczyć u Pika jak stoi barometr i termometr, potem znowu zawracał na prawy chodnik, zatrzymywał się przed wystawą Mieczkowskiego, oglądał fotografie Modrzejewskiej - i szedł dalej.

W drodze ustępował każdemu, a potrącony uśmiechał się życzliwie.

Jeżeli kiedy spostrzegał ładną kobietę, zakładał binokle, aby przypatrzeć się jej. Ale że robił to flegmatycznie, więc zwykle spotykał go zawód.

Ten jegomość był to - pan Tomasz.

Pan Tomasz trzydzieści lat chodził ulicą Miodową i nieraz myślał, że się na niej wiele rzeczy zmieniło. Toż samo ulica Miodowa pomyśleć by mogła o nim.

Gdy był leszcze obrońcą, biegał tak prędko, że nie uciekłyby przed nim żadna szwaczka wracająca z magazynu do domu. Był wesoły, rozmowny, trzymał się prosto, miał czuprynę i nosił wąsy zakręcone ostro do góry. Już wówczas sztuki piękne robiły na nim wrażenie, ale czasu im nie poświęcał, bo szalał - za kobietami. Co prawda, miał do nich szczęście i nieustannie był swatany. Ale cóż z tego, kiedy pan Tomasz nie mógł nigdy znaleźć ani jednej chwili na oświadczyzny będąc zajęty jeżeli nie praktyką, to - schadzkami. Od Frani szedł do sądu, z sądu biegł do Zosi, którą nad wieczorem opuszczał, ażeby z Józją i Filką zjeść kolację.

Gdy został mecenasem, czoło, skutkiem natężonej pracy umysłowej, urosło mu aż do ciemienia, a na wąsach pokazało się kilka srebrnych włosów. Pan Tomasz pozbył się już wówczas młodzieńczej gorączki, miał majątek i ustaloną opinią znawcy sztuk pięknych. A że kobiety wciąż kochał, więc począł myśleć o małżeństwie. Najął nawet mieszkanie z sześciu pokojów złożone, urządził w nim na własny koszt posadzkę, sprawił obicia, piękne meble - i szukał żony.

Ale człowiekowi dojrzałemu trudno zrobić wybór. Ta była za młoda, a tamtą uwielbiał już zbyt długo. Trzecia miała wdzięki i wiek właściwy, ale nieodpowiedni temperament, a czwarta posiadała wdzięki, wiek i temperament należyty, ale nie czekając na oświadczyzny mecenasa wyszła za doktora.

Pan Tomasz jednak nie martwił się, ponieważ panien me brakło. Ekwipował się powoli, coraz usilniej dbając o to, ażeby każdy szczegół jego mieszkania posiadał wartość artystyczną. Zmieniał meble, przestawiał zwierciadła, kupował obrazy.

Nareszcie porządki jego stały się sławne. Sam me wiedząc kiedy, stworzył u siebie galerię sztuk pięknych, którą coraz liczniej odwiedzali ciekawi. Że zaś był gościnny, przyjęcia robił świetne i utrzymywał stosunki z muzykami, więc nieznacznie zorganizowały się u mego wieczory koncertowe, które nawet damy zaszczycały swoją obecnością.

Pan Tomasz był wszystkim rad, a widząc w zwierciadłach, że czoło przerosło mu już ciemnie, i sięga w tył do białego jak śnieg kołnierzyka, coraz częściej przypominał sobie, że bądź co bądź trzeba się ożenić. Tym bardziej, że dla kobiet wciąż czuł życzliwość.

Raz, kiedy przyjmował liczniejsze niż zwykle towarzystwo, jedna z młodych pan rozejrzawszy się po salonach zawołała:

- Co za obrazy! A jakie gładkie posadzki! Żona pana mecenasa będzie bardzo szczęśliwa.

- Jeżeli do szczęścia wystarczą jej gładkie posadzki - odezwał się na to półgłosem serdeczny przyjaciel mecenasa. W salonie zrobiło się bardzo wesoło. Pan Tomasz także uśmiechnął się, ale od tej pory, gdy mu kto wspominał o małżeństwie, machał niedbale ręką, mówiąc:

- Iii!...

W tych czasach ogolił wąsy i zapuścił faworyty. O kobietach wyrażał się zawsze z szacunkiem, a dla ich wad okazywał dużą wyrozumiałość.

Nie spodziewając się niczego od świata, bo już i praktykę porzucił, mecenas całe spokojne uczucie swoje skierował do sztuki. Piękny obraz, dobry koncert, nowe przedstawienie teatralne były jakby wiorstowymi słupami na drodze jego życia. Nie zapalał się on, nie unosił, ale - smakował.

Na koncertach wybierał miejsca odległe od estrady, ażeby słuchać muzyki me słysząc hałasów i nie widząc artystów. Gdy szedł do teatru, obeznawał się wprzód z utworem dramatycznym, ażeby bez gorączkowej ciekawości śledzić grę aktorów. Obrazy oglądał wówczas, gdy było najmniej widzów, i spędzał w galerii całe godziny.

Jeżeli podobało mu się coś, mówił:

- Wiecie, państwo, że to jest wcale ładne. Należał do tych niewielu, którzy najpierwej poznają się na talencie. Ale utworów miernych nigdy nie potępiał.

- Czekajcie, może się jeszcze wyrobi! - mówił, gdy inni ganili artystę.

I tak zawsze był pobłażliwy dla niedoskonałości ludzkiej, a o występkach nie rozmawiał.

Na nieszczęście, żaden śmiertelnik nie jest wolny od jakiegoś dziwactwa, a pan Tomasz miał także swoje. Oto - nienawidził kataryniarzy i katarynek.



Gdy mecenas usłyszał na ulicy katarynkę, przyśpieszał kroku i na parę godzin tracił humor. On, człowiek spokojny - zapalał się, jak był cichy - krzyczał, a jak był łagodny - wpadał w gniew na pierwszy odgłos katarynkowych dźwięków.

Z tej swojej słabości nie robił przed nikim tajemnicy, nawet tłumaczył się.

- Muzyka - mówił wzburzony - stanowi najsubtelniejsze ciało ducha, w katarynce zaś duch ten przeradza się w funkcję maszyny i narzędzie rozboju. Bo kataryniarze są po prostu rabusie!

Zresztą - dodawał - katarynka rozdrażnia mnie, a ja mam tylko jedno życie, którego mi nie wypada trwonić na słuchanie obrzydliwej muzyki.

Ktoś złośliwy, wiedząc o wstręcie mecenasa do grających machin, wymyślił niesmaczny zań - i... wysłał mu pod okna dwu kataryniarzy. Pan Tomasz zachorował z gniewu, a następnie odkrywszy sprawcę wyzwał go na pojedynek.

Aż sąd honorowy trzeba było zwoływać dla zapobieżenia rozlewowi krwi o rzecz tak małą na pozór.

Dom, w którym mecenas mieszkał, przechodził kilka razy z rąk do rąk. Rozumie się, że każdy nowy właściciel uważał za obowiązek podwyższać wszystkim komorne, a najpierwej panu Tomaszowi. Mecenas z rezygnacją płacił podwyżkę, ale pod tym warunkiem wyraźnie zapisanym w umowie, że katarynki grywać w domu nie będą.

Niezależnie od kontraktowych zastrzeżeń pan Tomasz wzywał do siebie każdego nowego stróża i przeprowadzał z nim taką mniej więcej rozmowę:

- Słuchaj no, kochanku... A jak ci na imię?...

- Kazimierz, proszę pana.

- Słuchajże, Kazimierzu! Ile razy wrócę do domu późno, a ty otworzysz mi bramę, dostaniesz dwadzieścia groszy. Rozumiesz?...

- Rozumiem, wielmożny panie.

- A oprócz tego będziesz brał ode mnie dziesięć złotych na miesiąc, ale wiesz za co?...

- Nie mogę wiedzieć, jaśnie panie - odpowiedział wzruszony stróż.

- Za to, ażebyś na podwórzu nigdy nie wpuszczał katarynek. Rozumiesz?...

- Rozumiem, jaśnie wielmożny panie.

Lokal mecenasu składał się z dwu części. Cztery większe pokoje miały okna od ulicy, dwa mniejsze - od podwórza. Paradna połowa mieszkania przeznaczona była dla gości. W niej odbywały się rauty, przyjmowani byli interesanci i stawali krewni albo znajomi mecenasu ze wsi. Sam pan Tomasz ukazywał się tu rzadko i tylko dla sprawdzenia, czy wywoskowano posadzkę, czy starto kurz i nie uszkodzono mebli.

Całe zaś dnie, o ile nie przepędzał ich za domem, przesiadywał w gabinecie od podwórza. Tam czytywał książki, pisywał listy albo przeglądał dokumenta znajomych, którzy prosili go o radę. A gdy nie chciał forsować wzroku, siadał na fotelu naprzeciw okna i zapaliwszy cygaro zatapiał się w rozmyślaniach. Wiedział on, że myślenie jest ważną funkcją życiową, której nie powinien lekceważyć człowiek dbający o zdrowie.

Z drugiej strony podwórza, wprost okien pana Tomasza, znajdował się lokal, wynajmowany osobom mniej zamożnym. Długi czas mieszkał tu stary urzędnik sądowy, który spadłszy z etatu przeniósł się na Pragę. Po nim najął pokoiki krawiec; lecz że ten lubił niekiedy upijać się i hałasować, więc wymówiono mu mieszkanie. Później sprowadziła się tu jakaś emerytka, wiecznie kłócąca się ze swoją służką.

Ale od św. Jana staruszkę, już bardzo zgrzybiałą i wcale zasobną, pomimo jej kłótliwego usposobienia wzięli na wieś krewni, a do lokalu sprowadziły się dwie panie z małą, może ośmioletnią dziewczynką.

Kobiety utrzymywały się z pracy. Jedna szyła, druga wyrabiała pończochy i kaftaniki na maszynie. Młodszą z nich i przystojniejszą dziewczynka nazywała mamą, a starszej mówiła: pani.

I u mecenasa, i u nowych lokatorów okna przez cały dzień były otwarte. Kiedy więc pan Tomasz usiadł na swoim fotelu, doskonale mógł widzieć, co się dzieje u jego sąsiadek.

Były tam sprzęty ubogie. Na stołkach i krzesłach, na kanapie i na komodzie leżały tkaniny przeznaczone do szycia i kłębki bawełny na pończochy.

Z rana kobiety same zamiatały mieszkanie, a około południa najemnica przynosiła im niezbyt obfity obiad. Zresztą każda z nich prawie nie odstępowała od swojej turkoczącej maszyny.

Dziewczynka zwykle siedziała przy oknie. Było to dziecko z ciemnymi włosami i ładną twarzyczką, ale blade i jakieś nieruchawe. Czasami dziewczynka za pomocą dwu drutów wiązała pasek z bawełnianych nici. Niekiedy bawiła się lalką, którą ubierała i rozbierała powoli, jakby z trudnością. Czasami nie robiła nic, tylko siedząc w oknie przysłuchiwała się czemuś.

Pan Tomasz nie widział nigdy, ażeby dziecię to śpiewało lub biegało po pokoju, nie widział nawet uśmiechu na bledziutkich ustach i nieruchomej twarzy.

"Dziwne dziecko!" - mówił do siebie mecenas i począł przypatrywać się jej uważniej.

Spostrzegł raz (było to w niedzielę), że matka dała jej mały bukiet. Dziewczynka ożywiła się nieco. Rozkładała i układała kwiaty, całowała je. W końcu związała na powrót w bukiet, włożyła go w szklankę wody i usiadłszy w swoim oknie rzekła:

- Prawda, mamo, że tu jest smutno...

Mecenas zgorszył się. Jak mogło być smutno w domu, w którym on od tylu lat miał dobry humor!

Jednego dnia mecenas znalazł się w swoim gabinecie około czwartej. W tej godzinie słońce stało naprzeciw mieszkania jego sąsiadek, a świeciło i dogrzewało bardzo mocno. Pan Tomasz spojrzął na drugą stronę podwórza i widać zobaczył coś niezwykłego, gdyż z pośpiechem założył na nos binokle.

Oto, co spostrzegł:

Mizerna dziewczynka oparłszy głowę na rękę położyła się prawie na wznak w swoim oknie - i - szeroko otwartymi oczyma patrzyła prosto w słońce. Na jej twarzyczce, zwykle tak nieruchomej, grały teraz jakieś uczucia: niby radość, a niby żal...

- Ona nie widzi! - szepnął mecenas opuszczając binokle. W tej chwili doświadczył klucia w oczach na samą myśl, że ktoś może wpatrywać się w słońce, które ziało żywym ogniem.

Istotnie, dziewczynka była niewidomą od dwu lat. W szóstym roku życia zachorowała na jakąś gorączkę; przez kilka tygodni była nieprzytomna, a następnie tak opadła z sił, że leżała jak martwa, nie poruszając się i nic nie mówiąc.

Pojono ją winem i bulionami, więc stopniowo przychodziła do siebie. Ale pierwszego dnia, kiedy ją posadzono na poduszce, zapytała matki:

- Mamo, czy to jest noc?...

- Nie, moje dziecko... A dlaczego ty tak mówisz? Ale dziewczynka nie odpowiedziała: spać się jej chciało. Tylko nazajutrz, gdy w południe przyszedł lekarz, spytała znowu:

- Czy to jeszcze jest noc?...

Wtedy zrozumiano, że dziewczynka nie widzi. Lekarz zbadał jej oczy i zaopiniował, że trzeba czekać.

Ale chora im bardziej odzyskiwała siły, tym mocniej niepokoiła się swoim kalectwem...

- Mamo, dlaczego ja mamy nie widzę?...

- Bo tobie oczki zasłoniło. Ale to przejdzie.

- Kiedy przejdzie?...

- Niedługo. . - Może jutro, proszę mamy?

- Za kilka dni, moja dziecino.

- A jak przejdzie, to niech mi mama zaraz powie. Bo mi jest bardzo smutno!...

Mijały dni i tygodnie w ciągłym oczekiwaniu. Dziewczynka poczęła już wstawać z łóżeczka. Nauczyła się chodzić po pokoju omackiem; sama ubierała się i rozbierała powoli i ostrożnie. ' Ale wzrok nie wracał.

Jednego razu. mówiła:

- Prawda, mam, że ja mam niebieską sukienkę?...

- Nie, dziecko, masz popielatą.

- Mama ją widzi?

- Widzę, moje kochanie.

- Tak jak i w dzień?

- Tak.

- Ja także będę widziała wszystko za kilka dni?... Nie, może za miesiąc...

Ale ponieważ matka nie odpowiedziała jej nic, więc mówiła dalej:

- Prawda, mam, że na dworze ciągle jest dzień?... A w ogrodzie są drzewa, tak jak dawniej?... Czy do nas przychodzi ten biały kotek z czarnymi łapami?... Prawda, mam, że ja widziałam siebie w lustrze?... Nie ma tu lustra?...

Matka podaje jej lusterko.

- Trzeba patrzeć tutaj, o tu, gdzie jest gładkie - mówiła dziewczynka przykładając lustro do twarzy. - Nic nie widzę! - rzekła. - Czy i mama nie widzi mnie w lusterku?

- Widzę cię, moja ptaszyno.

- Jakim sposobem?... - zawołała dziewczynka żałośnie. - Przecie jeżeli ja nie widzę siebie, to już w lustrze nie powinno być nic...

A tamta, co jest w lustrze, czy ona mnie widzi, czy nie widzi?...

Ale matka rozplakała się i wybiegła z pokoju.

Najmilszym zajęciem kaleki było dotykać rękoma drobnych przedmiotów i poznawać je.

Jednego dnia przyniosła jej matka lalkę porcelanową, ładnie ubraną, za rubla. Dziewczynka nie wypuszczała jej z rąk, dotykała jej noska, ust, oczu, pieściła się nią.

Poszła spać bardzo późno wciąż myśląc o swej lalce, którą ułożyła w pudełku wysłanym wata.

W nocy zbudził matkę szmer i szept. Zerwała się z pościeli, zapaliła świecę i zobaczyła w kąciku swoją córkę już ubraną i bawiącą się lalką.

- Co ty robisz, dziecino? - zawołała. - Dlaczego nie śpisz?

- Bo już przecie jest dzień, proszę mamy - odparła kaleka.

Dla niej dzień i noc zlały się w jedno i trwały zawsze...

Stopniowo pamięć wzrokowych wrażeń poczęła zacierać się w dziewczynce. Czerwona wiśnia stała się dla niej wiśnią gładką, okrągłą i miękką, błyszczący pieniądz był twardym i dźwięcznym krążkiem, na którym znajdowały się jakieś znaki w płaskorzeźbie. Wiedziała, że pokój jest większy od niej, dom większy od pokoju, ulica od domu. Ale wszystko to jakoś - skróciło się w jej wyobraźni.

Uwaga jej skierowała się na zmysł dotyku, powonienia i słuchu. Jej twarz i ręce nabrały takiej wrażliwości, że zbliżywszy się do ściany czuła o kilka cali lekki chłód. Zjawiska odległe oddziaływały na nią tylko przez słuch. Przysłuchiwała się więc po całych dniach.

Poznawała posuwisty chód stróża, który mówił piskliwym głosem i zamiatał podwórko. Wiedziała, kiedy jedzie z drzewem chłopski wózek drabiniasty, kiedy - dorożka, a kiedy - kary wywożące śmiecie.

Najmniejszy szelest, zapach, oziębienie się albo rozgrzanie powietrza nie uszło jej uwagi. Z niepojętą bystrością pochwytywała drobne te zjawiska i wysnuwała z nich wnioski.

Raz matka zawołała służącą.

- Nie ma Janowej - rzekła kaleka siedząc jak zwykle w kąciku. - Poszła po wodę.

- A skąd wiesz o tym? - zapytała zdziwiona matka.

- Skąd?... Przecież wiem, że brała konewkę z kuchni, potem poszła na drugie podwórze i napompowała wody. A teraz rozmawia ze stróżem.

Istotnie zza parkanu dolatywał szmer rozmowy dwu osób, ale tak niewyraźny, że tylko z wysiłkiem można go było usłyszeć.

Lecz nawet rozszerzona sfera zmysłów niższych nie mogła kalece zastąpić wzroku. Dziewczynka czuła brak wrażeń i zaczęła tęsknić.

Pozwolono jej chodzić po całym domu i to ją nieco uspakajało.

Wydeptała każdy kamień na podwórzu, dotknęła każdej rynny i beczki. Ale największą przyjemność robiły jej - podróże do dwu całkiem odmiennych światów: do piwnicy i na strych.

W piwnicy powietrze było chłodne, ściany wilgotne.

Przygłuszony turkot uliczny dolatywał z góry; inne odgłosy niknęły. To była noc dla ociemniałej.

Na strychu zaś, szczególnie w okienku, działo się całkiem inaczej. Tam hałasu było więcej niż w pokoju. Kaleka słyszała turkot wozów z kilku ulic; tu skupiały się krzyki z całego

domu. Twarz jej owiewał ciepły wiatr. Słyszała świergot ptaków, szczekanie psów i szelest drzew w sąsiednim ogrodzie. Tu był dla niej dzień...

Nie dość na tym. Na strychu częściej niż w pokoju świeciło słońce, a gdy dziewczynka skierowała na nie przygasłe oczy, zdawało jej się, że coś widzi. W wyobraźni budziły się cienie kształtów i barw, ale takie niewyraźne i pierzchliwe, że nic przypomnieć sobie nie mogła...

W tej właśnie epoce matka połączyła się ze swoją przyjaciółką i przeniosła się do domu, w którym mieszkał pan Tomasz. Obie kobiety cieszyły się z nowego lokalu, ale dla niewidomej zmiana miejsca była prawdziwym nieszczęściem. Dziewczynka musiała siedzieć w pokoju. Na strych i do piwnicy nie wolno było chodzić. Nie słyszała ptaków ani drzew, a na podwórzu panowała straszna cisza. Nigdy tu nie wstępowali handlarze starzyzny ani druciarze, ani śmieciarki. Nie puszczano bab śpiewających pieśni pobożne ani dziada, który grał na klarncie, ani kataryniarzy.

Jedyną jej przyjemnością było wpatrywanie się w słońce, które przecie nie zawsze jednakowo świeciło i bardzo prędko kryło się za domami.

Dziewczynka znowu poczęła tęsknić. Zmizerniała w ciągu kilku dni, a na jej twarzy ukazał się wyraz zniechęcenia i martwości, który tak dziwił pana Tomasza.

Nie mogąc widzieć, kaleka chciała przynajmniej słuchać wciąż najrozmaitszych odgłosów. A w domu było cicho...

- Biedne dziecko! - szeptał nieraz pan Tomasz przypatrując się smutnemu maleństwu.

"Gdybym mógł dla niej co zrobić?" - myślał widząc, że dziecko jest coraz mizerniejsze i co dzień niknie.

Zdarzyło się w tych czasach, że jeden z przyjaciół mecenasa miał proces i jak zwykle oddał mu do przejrzenia papiery z prośbą o radę. Wprawdzie pan Tomasz nie stawał już w sądach, ale jako doświadczony praktyk umiał wskazać najwłaściwszy kierunek akcji i wybranemu przez siebie adwokatowi udzielał pożytecznych objaśnień.

Sprawa obecna była zawikłana. Pan Tomasz im więcej wczytywał się w papiery, tym bardziej zapalał się. W emerycie ocknął się adwokat. Nie wychodził już z mieszkania, nie sprawdzał, czy starto kurz w salonach, tylko zamknięty w swoim gabinecie, czytał dokumenta i notował.

Wieczorem stary lokaj mecenasa przyszedł z codziennym raportem. Doniósł, że pani doktorowa wyjechała z dziećmi na letnie mieszkanie, że zepsuł się wodociąg, że odźwierny, Kazimierz, zrobił awanturę ze stójkowym i poszedł na tydzień - do kozy. Zapytał w końcu: czy pan mecenas nie zechce widzieć się z nowo przyjętym stróżem?...

Ale mecenas, pochylony nad papierami, palił cygaro, puszczał kółka dymu, a na wiernego sługę nawet nie spojrzął.

Na drugi dzień pan Tomasz jeszcze siedział nad aktami; około drugiej zjadł obiad i znowu siedział. Jego rumiana twarz i szpakowate faworyty na szafirowym tle pokojowego obicia przypominały "studia z natury". Matka ociemniałej dziewczynki i jej współpracownica robiąca pończochy na maszynie podziwiała mecenasa i mówiły, że wygląda na czerstwego wdowca, który ma zwyczaj od rana do wieczora drzemać nad biurkiem.

Tymczasem -mecenas, choć przymykał oczy, nie drzemał wcale, tylko rozmyślał nad sprawą.

Obywatel X w roku 1872 zapisał swemu siostrzeńcowi folwark, a w roku 1875 - synowcowi kamienicę. Synowiec twierdził, że obywatel X był wariatem w roku 1872, a siostrzeniec dowodził, że X oszalał dopiero w roku 1875. Zaś mąż rodzonej siostry nieboszczyka składał nie ulegające wątpliwości świadectwa, że X i w roku 1872, i w 1875 działał jak obłąkany, a cały swój majątek jeszcze w roku 1869, czyli w epoce zupełnej świadomości, zapisał siostrze.

Pana Tomasza proszono o zbadanie, kiedy naprawdę X był wariatem, a następnie o pogodzenie trzech poważnionych stron, z których żadna nie chciała słuchać o ustępstwach.

Gdy tak mecenas nurzał się w powikłanych kombinacjach, zdarzył się dziwny, trudny do pojęcia wypadek.

Na podwórzu, pod samym oknem pana Tomasza odezwała się -katarynka!...

Gdyby zmarły X wstał z grobu, odzyskał przytomność i wszedł do gabinetu, aby pomóc mecenasowi w rozwiązywaniu trudnych zagadnień, z pewnością pan Tomasz nie doznałby takiego uczucia jak teraz, gdy usłyszał katarynkę!...

I żeby to przynajmniej była katarynka włoska, z przyjemnymi tonami fletowymi, dobrze zbudowana, grająca ładne kawałki! Gdzie tam! jakby na większą szykanę katarynka była popsuta, grała fałszywie ordynaryjne walce i polki, a tak głośno, że szyby drżały. Na domiar złego, trąba, od czasu do czasu odzywająca się w niej, ryczała jak wściekłe zwierzę.

Wrażenie było potężne. Mecenas osłupiał. Nie wiedział, co myśleć i co począć. Chwilami gotów był przypuścić, że przy odczytywaniu pośmiertnych rozporządzeń chorego na umyśle obywatela X jemu samemu pomieszało się w głowie i że uległ halucynacjom.

Ale nie, to nie były halucynacje. To była rzeczywista katarynka, z popsutymi piszczałkami i bardzo głośną trąbą!

W sercu mecenas, tego wyrozumiałego, tego łagodnego człowieka, zbudziły się dzikie instynkta. Uczuł żal do natury, że go nie stworzyła królem dahomejskim, który ma prawo zabijać swoich poddanych, i pomyślał, z jaką rozkoszą położyłby w tej chwili kataryniarza trupem!

A ponieważ u ludzi tego temperamentu, co pan Tomasz, bardzo łatwo w gniewnym uniesieniu przechodzi się od zuchwałych projektów do najstraszniejszych czynów, więc

mecenas skoczył jak tygrys do okna i postanowił - zwymyślać kataryniarza najgorszymi wyrazami.

Już wychylił się i otworzył usta, aby krzyknąć: "Ty... próżniaku jakiś!..." - gdy wtem usłyszał dziecięcy głos.

Spojrzał naprzeciwko.

Mała niewidoma dziewczynka tańczyła po pokoju klaszcząc w ręce. Błada jej twarz zarumieniła się, usta śmiały się, a pomimo to z zastygłych oczu płynęły łzy jak grad.

Ona, biedactwo, w tym domu spokojnym dawno już nie doświadczyła tylu wrażeń! Jak pięknym zjawiskiem wydawały się jej fałszywe tony katarynki! Jak wspaniałym był ryk trąby, która mecenasu mało nie przyprawiła o apopleksję.

Na dobitkę, kataryniarz widząc uciechę dziecka zaczął przytupywać wielkim obcasem w bruk i od czasu do czasu pogwizdywać niby lokomotywa przed spotkaniem się pociągów.

Boże! jak on ślicznie gwizdał...

Do gabinetu mecenasu wpadł wierny lokaj ciągnąc za sobą stróża i wołając:

- Ja mówiłem temu gałganowi, jaśnie panie, żeby natychmiast wygnał kataryniarza! Mówiłem, że od jaśnie pana dostanie pensję, że my mamy kontrakt... Ale ten cham! Tydzień temu przyjechał ze wsi i nie zna naszych obyczajów. No, teraz posłuchaj - krzyczał lokaj targając za ramię oszołomionego stróża - posłuchaj, co ci sam jaśnie pan mecenas powie!

Kataryniarz grał już trzecią sztuczkę tak fałszywie i wrzaskliwie jak dwie pierwsze.

Niewidoma dziewczynka była upojona.

Mecenas odwrócił się do stróża i rzekł ze zwykłą sobie flegmą, choć był trochę błady:

- Słuchaj no, kochanku... A jak ci na imię?...

- Paweł, jaśnie panie.

- Otóż, mój Pawle, będę ci płacił dziesięć złotych na miesiąc, ale wiesz za co?...

- Za to, ażebyś na podwórze nigdy nie puszczał katarynek! - wtrącił spieszenie lokaj.

- Nie - rzekł pan Tomasz. - Za to, ażebyś przez jakiś czas co dzień puszczał katarynki. Rozumiesz?

- Co pan mówi?... - zawołał służący, którego nagle rozzuchwiał ten niepojęty rozkaz.

- Ażeby, dopóki się z nim nie rozmówię, puszczał co dzień katarynki na podwórze - powtórzył mecenas wsadzając ręce w kieszenie.

- Nie rozumiem pana!... - odezwał się służący z oznakami obrażającego zdziwienia.



- Głupiś, mój kochany! - rzekł mu dobrotliwie pan Tomasz.

No, idźcie do roboty - dodał.

Lokaj i stróż wyszli, a mecenas spostrzegł, że jego wierny sługa coś towarzyszowi swemu szepcze do ucha i pokazuje palcem na czoło...

Pan Tomasz uśmiechnął się i jakby dla stwierdzenia ponurych domysłów famulusa wyrzucił katarynce dziesiątkę.

Następnie wziął kalendarz, wyszukał w nim listę lekarzy i zapisał na kartce adresy kilku okulistów. A że kataryniarz odwrócił się teraz do jego okna i za jego dziesiątkę począł przytupywać i wygwizdywać jeszcze głośniej, co już okrutnie drażniło mecenas, więc zabrawszy kartkę z adresami doktorów wyszedł mrucząc:

- Biedne dziecko!... Powinienem był zająć się nim od dawna...

## MICHAŁKO

Roboty przy kolei skończono. Podradczyk wypłacił, komu co należało, oszukał, kogo można, i ludzie poczęli rozchodzić się gromadami, każdy do swojej wsi.

Koło karczmy, co stała przy plancie, do południa było gwarno. Jeden obwarzankami napelniał kobiałkę, drugi kupował wódkę do domu, inny - upijał się na miejscu. Potem porobili zawiniątka z grubych płacht i zawiesiwszy je przez ramiona odeszli wołając:

- Bywaj zdrów, "durny Michałku!...

A on został.

Został na szarym polu i nie patrzył nawet za swoimi, tylko na błyszczące szyny, co biegły aż tam, het! nie wiadomo gdzie. Wiatr rozrzucał mu ciemne włosy, rozwiewał białą parciankę i z daleka przynosił ostatnią zwrotkę pieśni odchodzących.

Wkrótce za krzakami jałowca skryły się płachty; parcianki i okrągłe czapki. W końcu i pieśń umilkła, a on wciąż stał z założonymi rękoma, bo - nie miał gdzie iść. Jak ten zajęc, co w tej oto chwili przeskakuje szyny, tak on, chłopski sierota, gniazdo miał w polu, a spiżarnię - gdzie Bóg da.

Za piaszczystym wzgórzem rozległo się gwizdanie, zakłębił się dym i zaturkotało. Nadjechał roboczy pociąg i zatrzymał się przed nie wykończoną stacją. Otyły maszynista i jego młodzieńcy pomocnicy zeskoczyli z lokomotywy i pobiegli do karczmy. Toż samo zrobili brekowi. Został tylko inżynier, który przypatrywał się zamyślony pustej okolicy i przysłuchiwał szmerowi pary w kotle.

Chłop znał inżyniera, więc uklonił mu się nisko; do ziemi.

- A to ty, "durny Michałku"! Cóż tutaj robisz? - zapytał inżynier.

- Nic, panie! - odparł chłop.

- Dlaczego nie wracasz do wsi?

- Nie mam po co, panie.

Inżynier zaczął nucić, a potem rzekł:

- Jedź do Warszawy. Tam zawsze znajdziesz robotę.

- Kiedy nie wiem, gdzie to.

- Siadaj na wagon, to się dowiesz.

"Durny Michałko" skoczył na wagon jak kot i usiadł na stosie kamieni.

- A pieniędzy trochę masz? - spytał inżynier.

- Mam, panie, rubla i czterdzieści groszy i złoty dziesiątkami.

Inżynier znowu począł nucić i oglądać się po okolicy, a w lokomotywie wciąż warczało. Wreszcie z karczmy wybiegła obsługa pociągu z butelkami i węzełkami. Maszynista i jego pomocnik siedli na lokomotywie - i ruszono.

O jaką milę drogi stąd, na zakręcie, ukazały się dymy i wieś uboga, zbudowana między błotami. Na jej widok Michałko ożywił się. Zaczął się śmiać, wołać (choćby go nie usłyszano z takiej odległości), machać czapką... Aż jadący na wysokim koźle brekowsy ofuknęli go:

- A ty czego się wychylasz? Jeszcze zlecisz i diabli cię wezmą...

- Bo to nasza wieś, panie, o tam, o!...

- No, więc kiedy wasza, to siedź spokojnie odparł brekowsy.

Michałko usiadł spokojnie, jak mu kazano. Tylko że go coś bardzo nudziło w sercu, więc zaczął mówić pacierz. Ach! jakżeby on wrócił do swojej wsi, z gliny i słomy ulepionej, tam między błota... Ale nie miał po co. Choć go nazywali "durnym", tyle przecie rozumiał, że na świecie mniej przymiera się z głodu i łatwiej o nocleg aniżeli we wsi. O! na świecie chleb jest bielszy, na mięso można choć popatrzeć, domów więcej i ludzie nie tacy mizerni jak u nich.

Wymijali stację za stacją zatrzymując się tu dłużej, tam krócej. O zachodzie słońca kazał inżynier dać chłopu jeść, a on za to - do nóg mu się uklonił.

Wjechali w nową całkiem okolicę. Nie było tu rozlewających się bagien, ale wzgórzyste pola, kręte i szybko płynące rzeczki. Znikły kurne chaty i stodoły plecione z wici, a ukazały się piękne dwory i murowane budynki, lepsze niż u nich kościoły - albo karczmy.

Nocą stanęli pod miastem zbudowanym na górze. Zdawało się, że domy włożą jeden na drugi, a w każdym tyle światła, co gwiazd na niebie. Na stu pogrzebach nie zobaczyłby tyłu świec, co w tym mieście...

Grało coś bardzo pięknie, ludzie chodzili tłumem, śmiejąc się i rechocząc, choć już była taka noc wielka, że we wsi słyszałbyś tylko wołanie upiora i ujadanie strwożonych psów.

Michałko nie zasnął. Inżynier kazał mu dać funt kielbasy i bułkę chleba, a potem - przepędzili go na inny wagon, który wiozł piasek. Było tu miękko jak w puchu. Ale chłop nie kładł się, tylko siedział w kuczki, jadł kielbasę z chlebem, aż mu oczy wyłaziły na wierzch, i myślał:

„Nie bój się, jakie to są dziwne rzeczy na świecie!...”

Po kilkugodzinnym postoju, nad ranem, pociąg ruszył i jechali truchtem. Na jednej stacji wśród lasu zatrzymali się dłużej, a brekowsy powiedział chłopu, że inżynier pewnie wróci nazad, bo przyszła po niego depesza.

Istotnie inżynier zawołał do siebie chłopca.

- Ja muszę jechać na powrót - rzekł. - A ty sam czy puścisz się do Warszawy?

- Bo ja wiem... - szepnął chłop.

- No, przecie nie zginiesz między ludźmi?

- Komu ja, panie, zginę, kiedy nie mam nikogo?...

Rzeczywiście, komu on miał zginąć!

- A więc jedź - mówił inżynier. - Tam, zaraz przy stacji, budują nowe domy. Będziesz nosił cegłę i nie umrzesz z głodu, byleś się nie rozpił. Potem może ci być lepiej. Na wszelki wypadek masz rubla.

Chłop wziął rubla, uściśnął inżynierowi kolana i usiadł na swój wagon z piaskiem.

Wnet ruszyli.

W drodze zapytał brekowego:

- Daleko stąd, panie, do naszej stacji?

- Chyba ze czterdzieści mil. Czy ja wiem?

- A piechotą, panie, długo by szedł?...

- Może ze trzy tygodnie. Wreszcie nie wiem.

Niezmierny strach ogarnął chłopca. Po co on puścił się nieszczęśliwy tak daleko, że aż trzy tygodnie iść potrzeba do domu!...

W ich wsi opowiadano nieraz o parobku, co go wichur porwał i prędzej, niż przeżegnać się można; zaniósł i cisnął o dwie mile - już trupa. Czy z nim nie stało się to samo? Czy ta maszyna ziejąca ogniem, której boją się starzy ludzie, nie jest gorsza od wichru?... A gdzie go ona wyrzuci!

Na tę myśl schwycił się krawędzi wagonu i zamknął oczy. Teraz uczuł, jak go niesie, jak strasznie huczy, jak go wiatr bije po twarzy i śmieje się: hu! hu! hu!... hi! hi! hi!...

Porwał go dopiero burza, porwała!... Tyle że nie od matki ani od ojca, ani od własnej chaty, tylko z pola, sierotę.

Rozumiał, że jest z nim coś niedobrze, ale - cóż na to poradzić? Źle mu jest, gorzej mu pewnie będzie, lecz że już było źle, gorzej i najgorzej, więc otworzył oczy i puścił się wagonu. Taka wola boska. Od tego on przecie biedny chłop, żeby dźwigał nędzę na karku, a w sercu obawę i żal...

Lokomotywa przeraźliwie zagwizdała. Michałko spojrzał przed siebie i zobaczył z dala jakby las domów zasnutych płachtą dymu.

- Czy to pali się gdzie? - zapytał brekowego.

- To Warszawa!...

Chłopa znowu ścisnęło za piersi. Jak on tam ośmielił się wejść w ten dym?

Stacja. Michałko wysiadł. Pocałował brekowego w rękę i rozejrzawszy się poszedł z wolna do sklepu, gdzie na szyldach wymalowane były kufle z czerwonym piwem i zielona wódka we flaszkach. Nie ciągnęła go tam pijatyka, ale co innego.

Za szynkiem widać było murujący się dom; a przed sklepem stali mularze. Więc przypomniał sobie radę inżyniera i poszedł zapytać o robotę.

Mularze, chwaty chłopcy, powaleni wapnem i cegłą, sami go zaczepili.

- A cóżeś to za jeden?... A skądżeś to?... Jak twojej matce na imię?... Kto ci taką czapkę uszył?

Jeden ciągnął go za rękaw, drugi mu czapkę wbił na oczy. Parę razy obrócili go w kółko, tak że nie wiedział już, skąd przyszedł.

- Skądżeś to, chłopaku?...

- Z Wilczołyków, panie! - odparł Michałko.

Ale że mówił śpiewającym głosem i miał miną bardzo zakłopotaną, więc mularze poczęli się chórem śmiać.

On stał między nimi i choć go trochę sponiewierali, śmiał się także.

„To ci dopiero wesoły naród, nie bój się!” - myślał.

Ten jego śmiech i uczciwa mina przejednały mu ludzi. Uspokoili się, zaczęli go wypytywać. A gdy powiedział, że szuka roboty, kazali mu iść za sobą.

- Głupi bestia, ale zdaje się, że dobry chłopak - mówił jeden z majstrów.

- Trza go wziąć - dodał drugi.

- A wkupisz się ty? - pytał Michałka czeladnik.

- Kiedy nie wiem jak?

- Postawisz garniec wódki - dodał drugi.

- Albo dostaniesz basarunek! - wtrącił trzeci ze śmiechem.

Po namyśle chłop odparł:

- Jużci wolę dostać niż dawać...

Mularzom się i to podobało. Wsunęli mu znowu parę razy czapkę na oczy, ale ani upominali się o wódkę, ani mu nie sprawili basarunku.

Tak zabawiając się zaszli na miejsce i wzięli się do roboty. Majstrowie wleźli na wysokie rusztowania, a dziewczuchy i wyrostki zaczęli cegłę nosić. Michałkowi, jako nowotnemu, kazano przerabiać gracą wapno z piaskiem.

Tym sposobem zaciągnął się do mularki.

Na drugi dzień dali mu do pomocy dziewczuchę tak ubogą jak on. Za całe odzienie miała starą chustkę, dziurawą spódnicę i koszulinę - pożał się Boże! Nie była wcale ładna. Miała śniadą i chudą twarz, nos krótki, zadarty i niskie czoło. Ale Michałko nie był wybredny. Ledwie stanęła przy nim z gracą, zaraz nabrał do niej ciekawości; jak zwyczajnie chłop do dziewczuchy. A kiedy spojrzęła na niego spod wypłowiałej chustki, uczuł, że mu jakoś ciepło we środku. Nawet ośmielił się tak, że do niej zagadał:

- Skądęście to? Z dalekaście od Warszawy? Dawno robicie z mularzami?

O takie ją tam rzeczy wypytywał mówiąc: wy. Ale że ona zaczęła mu mówić: ty, więc i on jej - ty.

- Nie męcz się - mówił - już ja zrobię i za ciebie, i za siebie.

I robił sprawiedliwie, aż się z niego pot lał strumieniami; a dziewczyna tylko suwała gracą po wierzchu wapna tam i na powrót.

Od tej pory chodzili dwójką przez cały dzień zawsze razem i zawsze sami. Niekiedy łączył się z nimi jeden czeladnik. Dziewusze nawymyślał; z chłopą nakpił, i tyle. Wieczorem zaś Michałko zostawał spać w murującym się domu, bo nie miał gdzie, a jego towarzyszka szła w miasto razem z innymi i z owym czeladnikiem, który jej wciąż wymyślał, a czasem i dał w kark.

- Czegoś nie lubi dziewczuchy - mówił sobie Michałko. - Ale trudna rada! Od tego przecie jest czeladnik, żeby nas poszturgiwał...

Za to on sam starał się jej wynagradzać krzywdę, jak umiał. Robił wciąż za siebie i za nią. Na śniadanie dzielił się z nią chlebem, a na obiad kupował jej barszczu za pięć groszy, bo dziewczucha prawie nigdy nie miała pieniędzy.

Gdy przeznaczyci ich do noszenia cegieł na górę; chłop nie mógł już wyręczać swojej przyjaciółki, bo jej pilnowali majstrowie.

Ale po giętkich rusztowaniach chodził za nią krok w krok, a jak się bał, ażeby nie potknęła się i żeby cegły jej nie przywały!

Widząc taką troskliwość chłopą ów zły czeladnik drwił sobie i pokazywał go innym. Inni się także śmieli i krzyczeli na Michałka z góry:

- Na, głupi, na!...

Raz w południe odwołał czeladnik dziewczkę na bok, czegoś od niej chciał, nawet poturbował ją mocniej niż zwykle. Po tej rozmowie splakana przyszła do Michałka pytając, czy nie ma pożyczyć jej dwudziestu groszy.

Czego by on dla niej nie miał! Więc prędko rozwiązał węzełek, gdzie były pieniądze przywiezione jeszcze ze stacji, i dał jej żadaną sumę.

Dziewucha odniosła dwadzieścia groszy czeladnikowi i od tej pory nie było prawie dnia, ażeby jej chłop nie pożyczał na wieczne oddanie. A kiedy zapytał raz nieśmiało:

- Na co ty dajesz pieniądze temu piekielnikowi?

- A bo już tak! - odparła.

Jednego dnia czeladnik pokłócił się z pisarzem i rzucił robotę. Nie dosyć, że sam rzucił, ale jeszcze kazał dziewczynie, jakby jakiej służce, zrobić to samo - i iść za nim.

Dziewczyna zawahała się. Lecz gdy pisarz pogroził, że jeżeli nie dotrzyma do wieczora, to nie zapłaci jej za cały tydzień, wzięła się znowu do cegieł. Prostemu człowiekowi miły jest przecie grosz, jeszcze zapracowany tak krwawo.

Czeladnik wpadł w złość.

- Idziesz, psiawiaro - krzychał - czy nie idziesz?

- Jakże pójdę, kiedy mi nie chcą zapłacić? Dobrze by było za tego rubla spódniczyne sobie przynajmniej kupić!...

- No! - wrzasnął czeladnik - to teraz mi się na oczy nie pokazuj, progę nie przestąp, bo cię na śmierć zabiję!...

I poszedł ku miastu.

Wieczorem, jak zwykle, mularze rozbiegli się. W nowym domu został na nocleg Michałko i dziewczucha.

- Nie idziesz? - spytał ją chłop zdziwiony.

- Gdzież pójdę, kiedy powiedział, że mnie wygna...

Teraz dopiero Michałko zaczął się czegoś domyślać.

- Toś ty z nim siedziała? - rzekł z odcieniem żalu w głosie.

- A jużci - szepnęła zawstydzona.

- I jemuś wszystek swój zarobek oddawała, choć cię bijał?...

- A ino...

- Po cóżeś ty tak paskudnie robiła?...

- Bom go lubiła - odparła cicho dziewczka kryjąc się między słupy rusztowań.

Chłopu stało się tak, jakby go kto nożem kolnął. Nie darmo ludzie śmieli się z niego!...

Michałko przysunął się do dziewczki.

- Ale teraz nie będziesz go lubić? - zapytał.

- Nie! - odparła i zaczęła rzewnie płakać.

- Ino mnie będziesz lubić?

- Tak.

- Ja cię nie będę rozbijał ani twoich pieniędzy zabierał.

- Jużci prawda!

- Ze mną ci będzie ładniej...

Dziewucha nie odpowiadała nic, tylko płakała jeszcze mocniej i trzęsła się.

Noc była chłodna i wilgotna.

- Zimno ci? - spytał chłop.

- Zimno.

Posadził ją na kupie cegieł, szlochającą. Zdjął parciankę i otulił dziewczuchę, a sam został w jednej koszuli.

- Nie płacz!... nie płacz! - mówił. - Tylko jedną noc przesiedzisz tak. Masz przecie rubla, to jutro wynajmiemy za niego stancję, a spódniczyn ja sam kupię ci za swoje. Ino nie płacz...

Ale dziewczucha nie zważała na to, co mówił Michałko. Podniosła głowę i słuchała. Zdawało jej się, że z ulicy dolatuje głos znajomych kroków:

Stąpanie zbliżało się. Jednocześnie ktoś zaczął gwizdać i wołać:

- Chodź do domu... Ty!... Gdzie tam jesteś?

- Tu jestem! - zawołała dziewczucha zrywając się.

Wybiegła na ulicę, gdzie stał czeladnik.

- Tu jestem! - powtórzyła.

- A pieniądze masz? - spytał czeladnik.

- Mam! O tu... Naści! - rzekła podając mu rubla.

Czeladnik schował rubla do kieszeni. Potem schwycił dziewczkę za włosy i zaczął bić ją mówiąc:



- A na drugi raz słuchaj się, bo cię na próg nie puszcę... Rublem się nie wykupisz!... A słuchaj!.... A słuchaj!... - powtarzał okładając ją pięściami.

- O dlaboga!... - wołała dziewczka.

- A słuchaj... A słuchaj, co ci każe...

Nagle puścił dziewczuchę czując, że go ujęła za kark potężna ręka. Z trudnością odwrócił głowę i zauważył roziskrzzone oczy Michałka.

Czeladnik był chwata Mazur, więc grzebnał Michałka pięścią w łeb, aż mu w uszach zadzwoniło. Ale chłop nie popuścił mu karku. Owszem, ścisnął jeszcze lepiej.

- A uduś mnie, ty złodziejski portrecie... to zobaczysz! - stęknął chrapliwym głosem czeladnik.

- To jej nie bij! - rzekł chłop.

- Nie będę - mruknął i wysadził język.

Michałko otworzył garść, a czeladnik aż się zatoczył. Złapał kilka razy powietrza, a potem przemówił:

- Kiedy nie chce, żebym ją bił, to niech za mną nie chodzi. Lubi mnie, to i owszem, ale ja biję, bo mam taki obyczaj!... Co mi po dziewczce, żeby jej walić nie można?... Niech idzie na złamanie karku!

- To pójdzie... Wielka rzecz! - odparł chłop.

Ale dziewczucha złapała go za rękę.

- Daj ty już spokój - mówiła do Michałka drżąc i ściskając go. - Nie mieszaj się między nas...

Chłop oniemiał.

- A ty chodź do domu - rzekła do czeladnika biorąc go pod ramię. - Co cię tam ma kto poniewierać na ulicy...

Czeladnik wyrwał się jej i rzekł ze śmiechem:

- Idź sobie do niego! On cię nie będzie bił.., On ci przecie pieniądze dawał...

- Iii! daj mi tam spokój... - ofuknęła dziewczucha i poszła naprzód.

- Widzisz, z babą trzeba jak z psem!... - rzekł czeladnik wskazując ręką na dziewczuchę. - Wal ją, a ona za tobą w ogień pójdzie...

I zniknął. Tylko w ciszy nocnej rozlegał się jego złośliwy śmiech.

Chłop stał, spoglądał za nimi, przysłuchiwał się. Następnie wrócił między rusztowania i patrzył na to miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą siedziała dziewczucha.

W głowie czuł zamęt, a piersiami nie mógł tchu złapać. Ledwie co powiedziała mu, że tylko jego będzie lubić - i zaraz odeszła. Dopiero co - on był tak szczęśliwy, tak było tu dobrze z żyjącą istotą, jeszcze z dziewczuchą, a teraz - jak pusto i smutno!

Dlaczego ona odeszła?... Jużci dlatego, że taka jej wola, tak jej się podobało!... Cóż on na to poradzi, chociaż jest dobry i silny?... Instynktownie szanował jej przywiązanie do czeladnika, nie gniewał się, że daną obietnicę złamała, nie myślał narzucać gwałtem swoich uczuć. Ale pomimo to tak mu było żal jej, tak było żal...

Wyżartymi przez wapno rękami otarł oczy i podniósł swoją parciankę rozrzuconą na stosie cegieł i jeszcze jakby ciepłą. Wyszedł znowu na ulicę, powstał tam.

Nic nie widać, tylko wśród mgły połyskują czerwone ogniki latarni.

Wrócił między chłodne mury i legł na ziemi. Ale zamiast spać wzdychał ciężko, samotny, tęskniący za swoją dziewczuchą.

Za swoją, bo ona przecie sama powiedziała mu, że tylko jego będzie lubić!

Nazajutrz wziął się chłop jak zwykle do roboty.

Ale szła mu niesporo. Był znużony, a i ten budynek jakoś mu obmierzł. Gdzie stąpił, czego się dotknął, na co spojrzął, wszystko przypominało mu dziewczuchę i gorzki zawód. Ludzie także kpili z niego i wołali:

- A co, głupi Michałku, prawda, że drogie dziewczki w Warszawie?

Drogie, bo drogie! Chłop wydał na swoją wszystkie oszczędności, przymierał z głodu, nic sobie nie sprawił, nie miał z niej żadnej pociechy i jeszcze go tak brzydko opuściła.

Źle mu tu było, wstyd. Więc gdy usłyszał, że w Warszawie lepiej płacą pomocnikom mularskim, wybrał się tam pierwszy raz.

Szedł za jednym czeladnikiem, który obiecał zaprowadzić go na ulicę, gdzie najwięcej stawiają domów.

Wybrali się wczesnym rankiem i tęgi kawał czasu sunęli się do Wisły. Chłop, kiedy zobaczył most, aż gębę otworzył. Na tę chwilę i dziewczucha wywietrzała mu z głowy.

Przy budce strażniczej zawahał się.

- Co ci to? - spytał ów czeladnik.

- Nie wiem panie, czy mnie tędy puszczą? odparł Michałko.

- Głupiś! - zgromił go czeladnik. - Jakby cię kto zaczepił, to mu powiedz, że idziesz ze mną!

"Jużci prawda" - pomyślał chłop i dziwił się, że mu taka odpowiedź pierwszej nie przyszła do głowy.

Potem dziwił się łazienkom i berlinkom, że nie tonęły na wodzie, choć wielkie, a potem nie mógł dać wiary, że cały most był - z czystego żelaza.

- Musi w tym być jakieś złodziejstwo - mówił do siebie. - Tyle żelaza to chyba na świecie nie ma!...

Tak sobie szli czeladnik i Michałko, jeden za drugim, przez most, przez Nowy Zjazd, przez ulicę. Koło zamku chłop zdjął czapkę i przeżegnał się myśląc, że to kościół. Przed bernardynami mało go omnibus nie rozjechał. Przed figur Matki Boskiej, obok Dobroczynności, chciał uklęknąć i mówić pacierz, tak że ledwie odciągnął go czeladnik.

Na ulicach hałas, powozów szeregi, ludzi tłum. Michałko jednym ustępował z drogi, na innych wpadał i aż bladł ze strachu, żeby go nie wyprali. W końcu w głowie mu się na szczęt zamąciło - i zgubił czeladnika.

- Panie!.. panie!... - począł krzyczeć zrozpaczony i pędem biegł przez ulicę.

Ktoś go zatrzymał mówiąc:

- Cicho ty, sobaka!... Tu krzyczeć nie wolno!

- A bo mi mój pan zginął!

- Jaki pan?

- Czeladnik mularski.

- O to pan!... A gdziez tobie potrzeba?

- Tam, gdzie dom murują...

- Jaki dom?

- Taki... z cegły - odparł chłop.

- Ot głupi!... No, to i tutaj dom murują... I tam! I tu!

- Kiedy nie widzę...

Wzięto go za ramię i zaczęto pokazywać.

- O, patrz! Tu jeden dom budują... Tu drugi...

- Aha! ha! - rzekł Michałko i poszedł do tego drugiego, bo nie trzeba było przebiegać przez ulicę.

Dobrawszy się na miejsce zapytał o czeladnika. Tu go jednak nie znalazł, więc wskazano mu inny dom. Ale i tam o czeladniku Nastazym nie słyszano; musiał przeto chłop iść dalej.

Tym sposobem obiegł kilka ulic i obejrzał kilkanaście rozpoczętych budowli pytając w duchu: "gdzie mieszkają ci ludzie, co im dopiero teraz domy murują?"

Stopniowo oddalał się od środka miasta. Gwar uliczny słabnął, przechodnie ukazywali się rzadziej, powozów prawie nie było. Za to liczba rusztowań, stosów cegieł i czerwonych murów powiększyła się.

Chłop stracił już nadzieję znalezienia czeladnika i pomyślał o wyszukaniu roboty.

Wstąpił do pierwszej fabryki przy drodze, stanął między robotnikami i patrzył. Czasami wmieszał się do rozmowy albo komu usłużył. Jednemu pomógł układać cegłę, drugiemu podał szaflik, a tym, którzy gracowali wapno, powiedział, że nie tak się robi, tylko tak. I zaraz pokazał, aż ochlapał majstra od stóp do głów.

- Co się tu kręcisz, kundlu jakiś? - zapytał go pisarz.

- Roboty szukam, panie.

- Tu nie ma dla ciebie roboty.

- Nie ma teraz, to może znajdzie się potem. A państwu przecie nie ubędzie, jak któremu pomogę.

Pisarz, sprytna sztuka, zmiarkował, że chłop nie musi pachnąć groszem. Wyjął swoją książeczkę, ołówek, zaczął przekreślać, rachować - i w końcu przyjął Michałka.

Ludzie mówili, że zarabiał na nim dwadzieścia groszy dziennie - extra.

W tej fabryce był chłop do jesieni. Z głodu nie umarł, za nocleg nie zapłacił, ale też nawet butów sobie nie kupił. Tyle tylko, że upił się parę razy przy świętej niedzieli jak wieprzak. Chciał nawet awanturę zrobić w szynku, ale mu czasu zabrakło, bo go wyrzucili za drzwi.

Dom rósł jak rzeżucha. Jeszcze oficyn nie wykończyli mularze, a już front był dachem obity, otynkowany, oszklony, i nawet ludzie zaczęli się sprowadzać.

W końcu września rozpadały się deszcze. Robotę przerwano i pomocników odprawiono. W ich liczbie był Michałko.

Pisarz z tygodnia na tydzień urywał mu coś z płacy mówiąc, że razem odda. Gdy zaś przyszedł obrachunek ostateczny, chłop, choć niepiśmienny, zmiarkował, że go chyba pisarz oszwabił. Dał mu trzy ruble, a należało się z pięć albo i ze sześć.

Michałko wziął trzy ruble, zdjął czapkę i zaczął skrobać się w głowę przestępując z nogi na nogę. Ale pisarz był tak zajęty swoją książeczką, że ledwie w dziesięć pacierzy spostrzegł chłopca i spytał go surowo:

- No, czego jeszcze chcesz?

- Musi, panie, mnie się więcej należy.- rzekł chłop z pokorą.

Pisarz zaczerwienił się. Wlaził na Michałka, potracił go piersiami i powiedział:

- A paszport ty masz?... Coś ty za jeden?...

Michałkowi zamknęło gębę; pisarz mówił dalej:

- Ty może myślisz, chamski gnacie, że ja cię nakręciłem?...

- A ino...

- Więc chodź ze mną na policję, a ja ci tam dokumentnie pokażę, żeś ty złodziej i obieżyświat...

Paszport i policja zaniepokoiły Michałka. Rzekł zatem:

- Niech tam moja krzywda będzie panu pisarzowi na zdrowie!

I opuścił fabrykę.

A że widać i pisarza nie bardzo ciągnęło do policji, choć go tam znali, więc skończyło się na strachu...

Chłop znalazł się teraz jak w szczerym polu. Minał swoją ulicę, szedł na drugą i trzecią, wszędzie wstępując, gdzie zobaczył czerwone ściany i parę słupów wbitych w ziemię. Ale roboty były już ukończone albo kończyły się, a gdy pytał: czy go tu nie przyjmą? - nawet nie odpowiadano.

Przełaził tak jeden dzień i drugi, omijając stójkowych, żeby go nie zaczepili o paszport. Garkuchni z ciepłą strawą nie mógł znaleźć, więc żył kiszkami ze krwi i słoniny, chlebem, śledziem a popijał wódką.

Wydał już rubla nie używszy nic dobrego. Sypiał pod parkanami i tęsknił za towarzystwem ludzkim, bo nie miał do kogo gęby otworzyć.

Przyszła mu myśl, że może by lepiej wrócić do domu? Więc pytał przechodniów, gdzie tu do kolei? Idąc za ich wskazówkami trafił na kolej ale - nie na swoją.

Zobaczył jakąś stację wielką, ludną i pełno domów wkoło niej, a szyn ani śladu.

Zmieszał się bardzo i zląkł nie wiedząc, co się stało. Aż mu dopiero jakaś litościwa dusza wytłumaczyła, że są jeszcze trzy inne koleje, ale - za Wisłą.

Teraz przypomniał sobie, że szedł tu przez most. Więc przenocowawszy gdzieś w rowie pytał się nazajutrz o drogę do mostu. Opowiedzieli mu dokładnie, gdzie trzeba iść prosto, gdzie na lewo, a gdzie na prawo i gdzie skrócić. Zapamiętał sobie wszystko, ale jak zaczął iść i skręcać, tak trafił do Wisły, a mostu nie znalazł.

Wrócił tedy ku miastu. Na nieszczęście deszcz zaczął padać. Ludzie chowali się pod parasole, a kto parasola nie miał, uciekał. Michałko nie śmiał na taką ulewę zaczepiać przechodniów i pytać o drogę.

W czasie największej nawałnicy stanął pod murem skulony, zziębnięty w swojej przemokłej parziance i pocieszał się tym, że deszcz choć umyje mu bose nogi.

I gdy tak stał poblady, a z długich włosów woda spływała mu za koszulę, zatrzymał się przed nim jakiś pan.

- A co to - ubogi?... - zapytał pan.

- Ni.

Pan zrobił parę kroków naprzód i znowu wrócił z pytaniem:

- Ale jeść ci się chce?

- Ni.

- A nie zimno ci?

- Ni.

- Osioł jakiś! - mruknął pan. A potem dodał:

- Ale dziesiątkę byś wziął?

- Jakby pan dali, tobym wziął.

Pan dał mu złotówkę i odszedł mrucząc.

Potem znowu zatrzymał się, patrzył na chłopca, jakby wahał się, ale nareszcie poszedł naprawdę.

Michałko trzymał w garści złotówkę i mówił do siebie zdziwiony:

"Nie bój się, jakie to tu są dobre panowie!"

Wtem przyszło mu na myśl, że taki dobry pan może by mu pokazał drogę do mostu?... Ale - już było za późno.

Noc nadeszła, zapalono latarnie i deszcz się wzmógł. Chłop szukał ulic, gdzie było najciemniej. Skręcił raz i drugi. Spostrzegł nowe budowle i nagle poznał ulicę, na której przed kilkoma dniami pracował.

Oto tu bruk się kończy. Tu parkan. Tam skład węgla, a tam jego dom. W kilku oknach pałą się światła, a przez otwartą bramę widać nie wykończone oficyny.

Chłop wszedł na podwórze. Gdzie jak gdzie, ale tu sprawiedliwie należał mu się nocleg. Przecie on ten dom budował.

- Hej! hej! a gdzie to? - krzyknął za nim od schodów człowiek odziany w tęgi kozuch.

Musiało już być chłodno na dworze.

Michałko odwrócił się.

- To ja - rzekł. - Idę spać do piwnicy.

Człowiek w kozuchu oburzył się.

- A cóż to dziadowski hotel, żebyście noclegi odprawiali?

- Ja tu przecie robiłem całe lato - odparł zafrasowany chłop.

W sieni ukazała się stróżowa, niespokojna o męża.

- Co się tu dzieje?... Kto to?... Może złodziej? - pytała.

- I, nie! Tylko ten oto gada, że robił przy fabryce, więc mu się tu nocleg należy...  
Durnowaty!...

Michałkowi zaświeciły oczy. Roześmiał i pobiegł do stróża.

- To wy z naszej wsi? - zawołał, przejęty radością.

- A bo co? - spytał stróż.

- A bo tak na mnie wołacie jak w naszej wsi... Ja przecie "durny Michałko!"

Stróżowa zachichotała, a jej mąż wzruszył ramionami.

- Źeś ty durny, to widać - rzekł. - Ale ja nie ze wsi, ino z miasta... Z Łapów! - dodał takim tonem, że aż zesmutniały chłop westchnął:

- Oj, oj! To pewnie musi być takie miasto wielkie jak Warszawa?

- Takie, nie takie - odparł stróż - ale zawsze miasto porządne.

Po chwili milczenia rzekł:

- A ty swoją drogą wynoś się, bo tu sypiać nie wolno.

Chłopu ręce opadły. Żałośnie spojrział na stróża i spytał:

- Gdzież ja pójdę, kiedy tak leje?

Trafność tej uwagi uderzyła stróża. Jużci prawda: gdzie on pójdzie, kiedy tak leje?

- Ha! - odparł - to i zostań, kiedy tak leje. Ino niech ci się w nocy nie zachce kraść. A jutro zmykaj skoro świt, żeby cię gospodarz nie wypatrzył. Bo to bystry pan!

Michałko podziękował, poszedł do oficyn i po omacku wlaźł do znajomej piwnicy.

Roztarł skostniałe z zimna ręce, wykręcił zmoczoną parciankę i legł na okruchach cegieł i na wiórach, które sobie dawniej zniósł w to miejsce.

Gorąco mu nie było, owszem - nawet trochę chłodno i mokro. Ale on od dziecka przywykł do nędzy, więc na obecne niewygody wcale nie zważał. Gorzej go nudziła myśl: co począć? Czy szukać roboty w Warszawie, czy wracać do domu? Jeżeli szukać roboty, to gdzie i jakiej? A jeżeli wracać do domu, to którędy i po co?

Głodu nie obawiał się. Miał przecie dwa ruble, a zresztą - alboż głód dla niego nowina?

- Ha! wola boska – szepnął.

Przestał kłopotać się jutrem i cieszył się dniem dzisiejszym. Na dworze deszcz lał ciurkiem. Jak by to źle było spać dziś w rowie, a jak porządnie jest tutaj!

I zasnął, zwyczajnie jak strudzony chłop, który gdy mu się coś przyśni, to mówi, że go nawiedzały dusze.

A jutro... Będzie, co Bóg da!

Z rana wypogodziło się, nawet błysnęło słońce. Michałko jeszcze raz podziękował stróżowi za nocleg i wyszedł. Był zupełnie rześki, choć mu się od wczorajszego deszczu lepiły włosy, a parcianka stężała jak skóra.

Chwilę postął przed bramą namyślając się, gdzie iść: w lewo czy w prawo? Na rogu zobaczył otwarty szynk, więc wstąpił na śniadanie. Wypił duży kielich wódki i weselszy powlókł się w tą stronę, gdzie było widać rusztowania.

"Czy szukać roboty?... Czy wracać do domu?..." - myślał.

Wtem, gdzieś niedaleko, rozległ się huk podobny do krótkiego grzmotu; potem drugi - głośniejszy.

Chłop spojrział.

O paręset kroków, na prawo, widać było szczyty rusztowań, a nad nimi jakby czerwony dym...

Stało się coś niezwykłego. Michałka ogarnęła ciekawość. Popędził w tamtą stronę poślizgując się i brnąc w kałużach.

Na nie brukowanej ulicy, gdzie stało ledwie parę domów, kręcili się strwożeni ludzie. Krzyczeli i pokazywali rękami nie wykończoną budowlę, przed którą leżały deski, połamane słupy i świeże gruz. Nad wszystkim unosił się czerwony pył cegły.

Chłop przybiegł bliżej. Tam już zobaczył, co się zdarzyło. Oto nowy dom upadł.

Cała jedna ściana rozsypała się od góry do dołu, a druga - w większej połowie.

W poszczerbionych murach wisiały futryny a duże belki, przeznaczone do dźwignia sufitów, opadły, pogięły się i potrzaskały jak wióry.



W oknach sąsiednich domów ukazały się zaleknione kobiety. Ale na ulicy, prócz robotników, było ledwie kilka osób. Wieść o wypadku nie zdążyła jeszcze do środka miasta.

Pierwszy oprzytomniał główny majster,

- Czy nie zginął kto? - pytał drżący.

- Zdaje się, że nie. Wszyscy byli na śniadaniu. Majster począł rachować swoich, ale wciąż mylił się.

- Czeladnicy są?... - Jesteśmy!...

- A pomocnicy?... - Jesteśwa!...

- Jędrzeja nie ma!... odezwał się jeden głos.

Obecni na chwilę zaniemieli.

- Tak, on był we środku...

- Trzeba go szukać!... - rzekł majster ochrypniętym głosem.

I poszedł ku przewróconemu domowi, a za nim kilku śmielszych.

Michałko machinalnie zbliżył się także.

- Jędrzeju!... Jędrzeju!... - wołał majster.

- Usuń się pan! - ostrzegli go. - Ta ściana ledwo wisi.

- Jędrzeju!... Jędrzeju!...

Z wnętrza domu odpowiedział jęk.

W jednym miejscu ściana była rozdarta na szerokość drzwi. Majster zabiegł z tamtej strony, zajrzał i schwycił się oburącz za głowę. Potem jak szalony popędził do miasta.

Za ścianą wił się w boleściach człowiek. Obie nogi zdruzgotała i przycisnęła mu belka. Nad nim wisiało urwisko muru, który pękał coraz mocniej i lada chwila mógł się oberwać.

Jeden z cieślów począł oglądać miejscowość, a skamienieli z trwogi robotnicy patrzyli mu w oczy, gotowi pójść, jeżeli ratunek jest możliwy.

Ranny konwulsyjnie wykręcił się i stanął na dwu rękach. Był to chłop. Miał czarne z bólu usta, szarą twarz i zapadnięte oczy. Patrzył na ludzi stojących o kilkanaście kroków od niego, jęczał, ale wzywać o ratunek nie śmiał. Mówił tylko:

- Boże mój!... Boże miłosierny!...

- Tu nie można wejść! - rzekł głucho cieśla. Gromada cofnęła się w tył.

Między nimi stał Michałko, przerażony może więcej niż inni.

Strach, co się w nim działo!... Czuł wszystek ból rannego, jego bojaźń, rozpacz, a jednocześnie czuł jakąś siłę, która popychała go naprzód...

Zdawało mu się, że w tłumie nikt, tylko on jeden ma obowiązek i - musi ratować człowieka, co przyszedł tu ze wsi na zarobek. I w tej chwili, kiedy inni mówili sobie: "pójdę!", on myślał:

"Nie pójdę! nie chcę!..."

Obejrzał się bojaźliwie. Stał sam jeden przed gromadą, bliżej muru niż inni.

- Nie pójdę!... - szeptał i - podniósł drag, który leżał mu prawie przy nogach.

Między ludźmi zaszemrano:

- Patrzcie!... Co on robi?...

- Cicho!

- Boże miłosierny, zmiłuj się! - wołał ranny szlochając z bólu.

- Idę! Idę!... - rzekł Michałko i - wszedł między gruzy.

- Zginiecie obaj!... - krzyknął cieśla.

Michałko już był przy nieszczęśliwym. Zobaczył jego zdruzgotane nogi, kałużę krwi i pociemniało mu w oczach.

- Bracie mój! bracie! - szeptał ranny i objął go za kolana.

Chłop podsunął drag pod belkę i rozpaczliwym ruchem podważył ją. Rozległo się trzeszczenie, a z wysokości drugiego piętra spadło kilka kawałków cegły.

- Wali się!... - krzyczeli robotnicy rozbiegając się.

Ale Michałko nie słyszał, nie myślał, nie czuł nic. Silnym ramieniem podparł znowu drag i już całkiem usunął belkę ze zmiądzonych nóg leżącego człowieka.

Z góry posypały się gruzy. Czerwony pył zakłębił się, zgęstniał i wypełnił wnętrze budynku. Za ścianą słychać było jakieś szamotanie się. Ranny jęknął głośniejsze i nagle ucichł.

W otworze rozdartej ściany ukazał się Michałko zgięty, z trudnością dźwigający rannego. Powoli przeszedł niebezpieczną granicę i stanąwszy przed tłumem, zawołał z naiwną radością:

- Jedzie!.. jedzie!... Ino mu tam jeden but ostał!...

Robotnicy schwycili rannego, który omdlał; i ostrożnie zanieśli do najbliższej bramy.

- Wody!... - wołali. - Octu!...

- Po doktora!...

Michałko powlókł się za nimi myśląc:

- To ci dobry naród w tej Warszawie. Nie bój się!

Zobaczył, że ma ręce zakrwawione, więc umył je w kałuży - i stanął pod bramą domu, gdzie leżał ranny. Do środka nie pchał się. Alboż on doktor? Czy mu co poradzi?

Tymczasem ulica poczęła się bardzo zaludniać, biegli ciekawi, pędziły dorożki, a nawet z daleka słyhać było dzwonki straży ogniowej, którą także ktoś zaalarmował.

Nowy tłum już takich, co byli chciwi wrażeń, skupił się przed bramą, a gorętsi pięściami torowali sobie drogę dla zobaczenia krwawej hecy.

Jednemu z nich stojący przy furtce Michałko zawadzał.

- Usuń się, gapiu jakiś! - krzyknął jegomość, widząc, że bosy chłop nie bardzo ustępuje pod naciskiem jego ręki.

- A bo co?... - spytał Michałko zdziwiony tym zapędem.

- Coś ty za jeden, zuchwalcze jakiś? - wrzasnął ciekawy. - Co to, nie ma policji, żeby takich próżniaków rozpędzała?...

"Oj, na złe idzie!..." - pomyślał chłop i zląkł się, żeby go za taki występki nie wsadzano do kozy...

I nie chcąc budzić licha wcisnął się między gromadę...

W kilka minut później zaczęto z bramy wołać tego, który biedaka wyniósł spod gruzów...

Nie odezwał się nikt.

- Jak on wygląda? - pytano.

- To chłop. Miał białą sukmanę, okrągłą czapkę i był bosy...

- Nie ma tam takiego na ulicy?... Poczęto szukać.

- Był tu taki - krzyknął ktoś - ale poszedł!... Rozbiegła się policja, rozbiegli się robotnicy i - nie znaleźli Michałka.

Warszawa, 1880 roku.



## MILKNĄCE GŁOSY

Wróciwszy cało z piątej kampanii w życiu, pułkownik w końcu roku 1871 wziął dymisję i osiadł w Lyonie. Liczył sobie dopiero sześćdziesiąt pięć lat i wyglądał tak czerstwo, że przyjaciele namawiali go, aby się ożenił. Ale pułkownik nie chciał się żenić. Mówił, że wprawdzie ma jeszcze mocne nogi, lecz że go już znudziła adwokacka Francja, więc myśli wrócić do swoich. Z babą zaś miałyby w drodze dużo kłopotu.

Chciał jechać natychmiast; zaczął nawet szukać kupca na swój domek z ogródkiem. Tymczasem przybyło do Lyonu trzech rodaków i kolegów pułkownika z najpierwszej kampanii. Starzy odnaleźli się łatwo, jeszcze łatwiej odnowili znajomość i odtąd chodzili sobie we czwerek. Chcąc pijać razem czarną kawę w polskiej kawiarence, musieli razem jadać obiad w jednej restauracji. Potem każdy mógł iść, gdzie go oczy poniosą, byle wieczorem stanął na czas do wista. Ponieważ jednak trafiały się spóźnienia, więc dla porządku pilnowali się wzajemnie i - cały dzień chodzili razem, czasami po dwóch, czasem gęsiego, a zwykle rzędem.

Głównym zajęciem ich była rozmowa o dawnych kampaniach i o polityce bieżącej. W ciągu roku starzy odkryli wszystkie błędy Kossutha, Mac-Mahona, Bazaine'a i dawniejszych wodzów. W roku zaś następnym poukładali tak szczęśliwie plany wojen, że gdyby je wykonano, świat wyglądałby całkiem inaczej niż obecnie.

W trzecim roku jeden z nich umarł. Oplakali go jak brata, lecz w miesiąc po pogrzebie zdecydowali, że w polityce nieboszczyka

tkwił wielki błąd: bo Bismarck, choć Niemiec, jest jednak genialnym człowiekiem, i nie wiadomo, na co się jeszcze może przydać.

W czwartym roku umarł im drugi kamrat całkiem niespodzianie. Pułkownik aż położył się do łóżka ze zmartwienia i od tej pory z pozostałym kolegą nie grywał w wista, tylko w mariasza. Starzy mniej teraz rozmawiali ze sobą, ale za to czytywali więcej gazet. Rozejrzawszy się zaś i skombinowawszy to, co pisały dzienniki angielskie, z tym, co niekiedy bywało w niemieckich, doszli do wniosku, że Bismarck wcale nie jest taki zły, jak się wydaje, lecz musi być ostrożny...

- W polityce, kochany kapitanie - mówił pułkownik - najpierwszą cnotą jest ostrożność. To rzecz daremna!...

- Zawsze byłem tego zdania, kochany pułkowniku - odparł kapitan. - I nawet, jeżeli sobie przypominasz, często broniłem Bismarcka...

- No, częściej mówiłeś, że to gałgan.

- Ja, pułkowniku?... To nieboszczyk Kudelski, a głównie Domejko, Panie, świeć ich duszy... Potem dodał:

- Prawda, że dobrzy z nich oficerowie, ale - do polityki żaden nie miał głowy... choć obaj są już na boskim sądzie.

Nareszcie - pewnej zimy umarł i kapitan.

Pułkownik na razie nie okazał żalu; zajął się pogrzebem i sprawił taki, jaki należał się oficerowi dwóch armij. Nie uronił ani jednej łzy, ale gdy nad grobem rozległy się salwy piechoty żegnającej kolegę, starzec nagle zachwiał się i padł, jak gdyby wszystkie strzały skierowano w jego piersi.

Ledwie go otrzeźwili. Przez kilka minut odpoczywał, potem bez niczyjej pomocy wsiadł do fiakra i kazał się odwieźć do domu.

Na drugi dzień w miejscowych dziennikach ukazało się ogłoszenie o sprzedaży domu pułkownika. Kupiec znalazł się prędko, a w tydzień później starzec gotował się do pożegnania gościnnej Francji na zawsze.

- Nie żal ci też, pułkowniku, opuszczać nas? - spytał go rejent, u którego robiono akt sprzedaży.

- Żal i nie żal - odparł starzec. - Żal, boście szlachetny naród i warto za was krew przelewać. A nie żal - bo się u was dużo zmieniło... Gadacie tylko o handlu, pieniądzech, kuchni, zabawach... Wrócę ja lepiej do moich śniegów... Tam są inni ludzie, moi ludzie. Oni rozumieją mnie, ja ich. A tu, u was, jest mi już strasznie pusto...

Rejent pokiwał głową, ale widząc gorączkę starca nie wdawał się w perswazje. Zrozumiał on, że człowieka czasami porывa burza tęsknoty i niesie go jak liść, który gdyby umiał myśleć, może by i myślał, że wraca na swoje dawne drzewo i że znowu do niego przyrośnie.

Pułkownik udał się do Paryża, ułożył się o wypłacanie mu emerytury, przedstawił w ambasadzie swoje dokumenta i uzyskał paszport. Spotkał wielu przyjaciół, którzy namawiali go, ażeby odpoczął choć do lata. Ale na próżno. Starca, od chwili gdy powiedział sobie, iż wraca do kraju, ogarnął taki niepokój, że po prostu - nie mógł sobie znaleźć miejsca.

W rozmowie był nieuważny, w towarzystwie cierpki. Gdy dla rozerwania się wziął jakiś dziennik, zdawało mu się, że jest drukowany po polsku. Wszędzie na coś czekał, jakby lada chwilę miał ukazać się ktoś jeszcze nie znany, ale - od dawna wyglądany. Na bulwarach, ponad tysiącem świateł i gwarnym mrowiskiem ludzi, widywał ciche równiny śniegiem pokryte, na horyzoncie czarne lasy, gdzieś małe domy ze słomianymi dachami albo stare krzyże przy drogach.

Miał jakby dwie dusze. Jedną wywiózł z kraju, druga wyrosła w nim na obczyźnie i samowładnie rządziła przez lat czterdzieści kilka. Lecz nagle obudził się ów młody duch z całym zasobem wspomnień i pragnień. Było mu źle w Lyonie, źle w Paryżu, źle w teatrze, źle w pociągu. W dzień przeszkadzało myśleć, a w nocy zdawało się pułkownikowi, że ktoś rzuca nim po łóżku, wygania go z pokoju, że w nim szlocha i krzyczy rozdzierającym głosem:

- Odwieź mnie tam, do moich!...

Starzec opuścił Paryż, z wieloma osobami nie pożegnawszy się nawet, i dniem i nocą jechał do kraju. Wyprostowana figura i charakterystyczne ruchy zwróciły uwagę Niemców, którzy przypatrując się śniadej, suchej twarzy, jego podciętym białym wąsom i białej muszce na brodzie odgadywali, że to musi być jakiś generał, a bodaj czy nie marszałek francuski.

- Pewnie jedzie z misją do Petersburga!... - szeptali Niemcy. A że starzec wciąż wyglądał oknem, domyślali się, że bada niemieckie koleje, i - wróżyli wojnę na obu frontach.

Do granicy pociąg przyjechał nad ranem. Formalności paszportowe zabrały kilka godzin czasu. Jedni pasażerowie jedli, inni drzemali. Pułkownik nie mógł ani jeść, ani spać; wyszedł na spacer za stacją.

Szedł wzdłuż toru drogi żelaznej, może wiorstę, a może i dalej. Zaczęło świtać. Na wschodzie ukazał się jasny pasek, który stopniowo wzrastał, aż całe niebo przybrało barwę zielonego szkła, poplamionego szarymi, białymi i bladoróżowymi obłokami.

Po dusznej atmosferze bufetu chłodny wiatr orzeźwił starca, ale - nie uspokoił go. Pułkownikowi zdawało się, że gdy raz stanie na otwartym polu, na swoim polu, w jego piersi nie wytrzyma tęsknota, wyrwie się i gdzieś odleci, jak gołąb wypuszczony z klatki. Lecz stało się inaczej: zamiast ukojenia uczył zdziwienie. Horyzont, niegdyś taki szeroki, wydał mu się ciasnym. Lasów nie widać, tylko tu i owdzie sterczą dymiące kominy fabryk. Nie widać ani chat, ani ogrodów przy nich, tylko posępne, ceglane domy na śnieżnych wydmach. Nawet wiatr, zamiast szumieć między gałązkami wierzby, tłukł się o nieskończenie długi szereg słupów albo w telegraficznych dzwonek płakał jak zabłąkana sierota.

To już nie ta ziemia, którą przed pół wiekiem opuścił!...

Na dworcu zadzwoniono. Pułkownik ledwie zdążył zająć miejsce w wagonie - i pociąg ruszył.

Przez całą drogę starzec rozglądał się chcąc choć nie jakąś nitkę nawiązać między rzeczywistością i wspomnieniami. Daremna praca! Inny kraj leży na dnie duszy, inny przed oczyma. Chłopi bez sukman. Żydzi bez lisich czapek, domy bez drzew, ziemia bez lasów. Nie był nawet pewny, czy ptaki nie straciły głosu.

Do Warszawy przyjechał już późno wieczór i umieścił się w drugorzędnym hotelu, który z pozorów przypominał dawne "zajazdy". Lecz i tu spotkało go rozczarowanie. Zamiast prostych sprzętów, obitych włosieniem albo skórą, jakie bywały za jego czasów, zastał modne meble, obrazy kobiet z półświatka, popsute elektryczne dzwonki i służbę w poplamionych frakach. Nie był to już stary "zajazd", ale zagraniczny hotelik w złym gatunku.

Przespawszy noc jako tako, pułkownik od rana wyszedł na miasto. Wziął dorożkę i kazał obwozić się po wszystkich znanych niegdyś ulicach. Niepojęte zmiany... Znikły wysokie, w białe i czerwone pasy malowane słupy latarniowe, znikły dworki i rozległe ogrody, a miejsce ich zajęły szeregi ogromnych kamienic, zbudowanych po większej części bez ładu i smaku. Nawet tam, gdzie za jego czasów polowano na dzikie kaczki, stało dziś miasto duże, ruchliwe, ale - jakies inne...

Ludzi zupełnie nie poznawał, ani z ubiorów, ani z fizjonomij. Co dziwniejsza, chwilami raziło go to, że nie słyszy gwaru francuskich rozmów, do których przez pół wieku nawykło ucho!

Po tej przejażdżce uczuł pustkę jeszcze większą niż we Francji i postanowił wejść w towarzystwo ludzi.

Miał tu znajomych między różnymi osobami, które spotykał w Paryżu albo u wód.

Zanotował kilka nazwisk i poprosił hotelowego szwajcara o wyszukanie adresów. Na drugi dzień przyniesiono mu tylko jeden adres człowieka dość majątnego, z którym przed dziesięcioma laty poznał się w Vichy.

Pułkownik natychmiast udał się do niego i szczęściem zastał w domu.

Gospodarz na razie nie poznał go, a poznawszy zmieszał się. Gorączkowo ściskając gościa, troskliwie począł go wypytywać, czy nie miał kłopotów z paszportem? - a gdy uspokoił się co do tej kwestii, zapytał, jak też długo myśli bawić w Warszawie?

- Chciałbym tu osiedlić się, o ile, naturalnie, uda mi się zawiązać stosunki - odparł pułkownik.

- O!... stosunki u nas zawiązują się łatwo. Znajdzie tu pan może nawet i swego kolegę...

- Któż to?... - przerwał mu prędko starzec.

- Jest to także były oficer francuski. Biedaczysko!... przyjechał bez grosza i ledwo znalazł jakąś lichą posadę... Dziś nie może odżałować, że opuścił Francję. Och!... u nas bardzo trudno o zajęcie... tysiące młodzieży szuka go na próżno...

- No, ja tego nie potrzebuję - odparł gość śmiejąc się pierwszy raz od paru miesięcy. - Mam trochę gotówki i emeryturę pułkownika.

Uśmiech tak widać ozdobił marsowatą twarz starca, że gospodarz, poprzednio dość chłodny, nagle wpadł w entuzjazm. Porwał gościa w objęcia, kilkanaście razy nazwał go pułkownikiem, przypomniał mu mnóstwo przyjemnych chwil spędzonych razem w Vichy, przedstawił mu całą swoją rodzinę i zaklinał na wszystkie świętości, ażeby raczył uważać ten dom jak własny i ażeby jutro wieczorem zaszczyił go swoją wizytą.

- Będzie u nas parę osób - mówił zachwycony gospodarz - które z przyjemnością złożą hołd bohaterowi...

- Emerytowi!... - poprawił go pułkownik.

Pomimo tak szczególnego przyjęcia pułkownik przyszedł na wieczór. W przedpokoju przyjął go sam gospodarz, ledwie nie zdjął mu kaloszy i z wielkim szumem wprowadził do salonu.



Był to wieczór tańczący, więc starzec znalazł od razu kilkadziesiąt osób. Porobił prędko znajomości z damami, z których jedna zapewniała go, że pamięta kampanię włoską, choć mogła znać na palcach węgierską - druga dziwiła się, że opuścił "ten piękny Paryż", a najmłodsza zapytała nieśmiało: czy pan pułkownik nie tańczy już nawet kadryla?...

Ponieważ przeszło siedemdziesięcioletni weteran już nie tańczył, więc gdy odezwała się muzyka, pomimo całego szacunku -zapomniała o nim. Żołnierz spod Solferino i Gravelotte musiał ustąpić bohaterom walca i kontredansa, tak samo jak we Francji.

Wyszedł do dalszych salonów; tam grano w karty. Gościnnie gospodarz ofiarował się w tej chwili zebrać mu towarzystwo do wista z dwu radców i jednego prezesa; ale starzec podziękował, może przez pamięć dla swoich ostatnich kolegów od wista.

Więc i tu przestano się nim zajmować, z czego pułkownik był kontem mogąc przypatrzeć się ludziom.

Przysłuchiwał się rozmowom. W jednym kącie mówiono o karnawale, w drugim o giełdowych kursach, w trzecim o płci pięknej, w czwartym o polityce, a mianowicie o tym, że nas Niemcy nieodwołalnie zjedzą.

Do tej grupy przyłączył się pułkownik, ale rozmawiał niedługo. Przechodząc od kwestii do kwestii, usłyszał w końcu, że realna polityka powinna traktować wojnę jak interes przemysłowy i że tylko taki szarlatan jak Napoleon III mógł wojować za cudze sprawy, dla idei.

Toż samo niejednokrotnie słyszał we Francji - po cóż więc ją opuścił?...

Starzec cichaczem wymknął się z balu i wrócił do swego zajazdu. Położywszy się do łóżka począł marzyć, trochę we śnie, trochę na jawie. Gdy znużony tracił chwilami świadomość, zdawało mu się, że przestał być człowiekiem, lecz że jest krzyżem na zapadającym się grobie, w którym spoczęli jego dawni kamraci. Gdy zaś ocknął się, szeptał:

- Po com ja tu wróciłem?...

I uczuł tęsknotę za Francją.

Na drugi dzień przypadała niedziela. Starzec wstał późno i ubierał się powoli, namyślając się, kiedy wracać do Francji: dziś czy jutro?... Tu był już obcym dla wszystkich i wszyscy dla niego.

Miał numer na dole. Gdy około dziesiątej podniósł roletę, spostrzegł, że przed jego oknem chodzi tam i na powrót jakiś ubogi odziany człowiek z małym chłopcem.

Był silny mróz, więc ubogi człowiek dla rozgrzania się tupał nogami w chodnik, uderzał się w ramiona albo rozcierał zsiniałe z zimna ręce dziecka, które miało nieco przydługi surdut, słomiany kapelusz, nie obtarty nos i uszy podwiązane brudną chustką.

Ponieważ chodzący po podwórzu często spoglądał w okno pułkownika, starzec zwrócił na niego uwagę i spytał kelnera: co za jeden jest ten człowiek?

Kelner uśmiechnął się i odparł:

- To szewc!... Mieszka tu u nas pod strychem i chce swojemu chłopcu pokazać pana pułkownika...

- Mnie pokazać?... A skądże on wie, kto ja jestem?...

- Dowiedział się od służby...

Starzec zamyślił się, a tymczasem ubogi człowiek wciąż dreptał za jego oknem albo rozcierał zmarznięte rączyny dziecku.

Pułkownik miał iść na śniadanie do miasta. Ubrał się więc spieszniej i zciekawiony wyszedł na podwórze.

Na jego widok człowiek z dzieckiem stanął jak wryty. Wykręcił czapkę na bakier, zmarszczył brwi, wyprężył się i zacisnął pięści, co wyglądało tak, jak gdyby chciał rzucić się na pułkownika, ale według jego pojęć znaczyło oddanie honorów.

Ponieważ jego syn chuchał sobie przez ten czas w ręce, więc dla rozbudzenia uwagi uderzył chłopca pięścią w kark, a sam wciąż patrzył na starca jak na wilka, myśląc, że postępuje według najściślejszych reguł wojskowej etykiety.

Starzec - zatrzymał się. Chciał coś przemówić do ubogo ubranego człowieka, ale brakło mu wyrazów, a przy tym - było na podwórzu trochę ludzi. Więc tylko spojrzeli sobie w oczy i pułkownik z wolna poszedł w stronę ulicy.

Wtedy szewc odezwał się do dziecka:

- Wojtuś!...

- Abo co?

- Będziesz, hyclu, taki?...

- Co nie mam być, oj! jej!... - odparło dziecko z zawałanym nosem.

- Pamiętaj, żebyś był, bobym ci zęby powybił, choć urośniesz!...

Tymczasem pułkownik poszedł na śniadanie, ale jadł niewiele, bo śpieszył się. Potem wybiegł do miasta i wkrótce - wynajął sobie prywatne mieszkanie.

Brzydkie kamienice i nowi ludzie już go -nie razili. A gdy wypadkiem mijał ulicę Karową i z niej spojrzał na Wisłę, zobaczył znowu taki rozległy horyzont jak niegdyś, takie same lasy i uczył ten orzeźwiający powiew, którego mu brakowało przez pół wieku.

"Zostanę tu!" - pomyślał.



## NA WAKACJACH

Wieczorem, jak zwykle, przyszedł do mnie mój szkolny kolega. Mieszkaliśmy obaj na wsi o kilka wiorst od siebie i widywaliśmy się prawie co dzień. Był to przystojny blondyn, którego łagodne oczy mogły rozmarzyć niejedną kobietę. Mnie pociągał jego niewzruszony spokój i trzeźwość umysłu.

Tego dnia spostrzegłem, że mu coś dolega; patrzył w ziemię i gorączkowo uderzał się po nogach szpicrutą. Nie uważałem za stosowne pytać go o powód widocznego zakłopotania, ale on sam zaczął.

- Wiesz - odezwał się - miałem dziś głupi wypadek.

Zdziwiłem się; było rzeczą prawie niepodobną, ażeby, "głupi wypadek" mógł się zdarzyć tak panującemu nad sobą człowiekowi.

- Mieliśmy - mówi dalej - z rana we wsi pożar. Spaliła się chałupa...

- A tyś może skoczył w ogień?... - przerwałem mu trochę drwiącym tonem.

Wzruszył ramionami i zdawało mi się, że się lekko zarumienił; zresztą może mu padł na twarz blask zachodzącego słońca.

- Zapaliły się - ciągnął po przerwie - konopie na strychu u chłopa, a w kilka minut później strzecha. Czytałem w tej chwili jakiś zajmujący rozdział Saya, ale na widok kłębow czarnego dymu i płomyków wydobywających się ze szczelin przy kominie, opanowała mnie filisterska ciekawość i powlokłem się na miejsce. Ludzie byli przy robocie, więc zastałem zaledwie kilka osób: dwie baby lamentujące nad nieszczęściem, organiścinę, która obrazem św. Floriana zażegnywała pożar, i chłopa, który medytował trzymając w obu rękach pustą konewkę. Od nich usłyszałem, że chałupa zamknięta, bo gospodarz z kobieta wyszli w pole.

"Oto nasz system budowania!... - pomyślałem. - Dom płonie, jakby go prochem nabito..."

Istotnie, w ciągu paru minut cały dach stał w płomieniu: dym gryzł w oczy, a ogień tak mocno przypiekał, że z obawy o żakietę musiałem cofnąć się o parę kroków.

Tymczasem nadbiegło więcej ludzi z osękami, siekierami i wodą: jedni poczęli wywracać płot, któremu nic nie groziło, inni leli wodę z konewek w taki sposób, że nie tknąwszy ognia, przemoczyli do nitki zgromadzonych, a jedną babę wywrócili na ziemię. Nie robiłem im żadnych uwag wiedząc, że nic nie grozi dalszym budynkom; chata zaś była nie do uratowania.

Nagle ktoś krzyknął: "Tam jest dziecko, ten mały Stasiak!..." - "Gdzie?..." - spytano. - "W chałupie, śpi w nieckach pod oknem... Ino który wybij szybę, a jeszcze wyciągniesz żywego..."

Nikt się jednak nie ruszył. Słoma na dachu już spłonęła, a krokwie żarzyły się jak rozpalone druty.

Wyznaję, że gdym to usłyszał, serce drgnęło mi w niezwykle sposób.

"Jeżeli nikt nie idzie - pomyślałem - więc ja pójdę... Na uratowanie chłopca wystarczy pół minuty. Czasu aż nadto, ale - jakież piekielne gorąco!..."

"No, rusz się który! - wołały baby. - O wy, psie dusze, nie warcista nazywać się chłopami!..." - "To leż sama w ogień, kiedyś taka mądra! - ofuknął ktoś z tłumu. - Tam pewna śmierć, a dziecko, słabe jak kurczę, i tak już nie żyje..."

"Ładnie! - pomyślałem - nikt nie idzie, a ja jeszcze się waham! Chociaż - szepnęła mi rozwaga - jakie лихо ciągnie mnie do bezcelowej awantury?... Czy ja wiem, gdzie leży dzieciak?... Może wypadł z niecek?..."

Belki już były zwęglone i z głuchym trzaskiem zaczęły się wyginać.

"Ale trzeba w końcu wdrzeć się tam - myślałem - każda sekunda jest droga. Dzieciak przecie nie może spalić się jak robak. - Lecz jeżeli już nie żyje?... - odpowiedziało zastanowienie - w takim razie szkoda nawet surduta..."

Z daleka odezwał się straszny krzyk kobiecy: "Ratujcie dziecko!..." - "Trzymajcie ją!..." - zawołano w odpowiedzi. - Skocz w ogień i zginie..."

Usłyszałem za sobą jakieś szamotanie i ten sam krzyk: "Puszczajcie!... to moje dziecko!..." - „Ciągnij ją wpół!..." - odpowiedziano.

Nie mogłem wytrzymać i rzuciłem się naprzód. Owionął mnie żar, dym, dach zatrzeszczał, jakby go rozdarto, z komina posypały się cegły. Poczułem, że mi się tłą włosy, i - cofnąłem się rozgniewany. "Co za głupi sentymentalizm - pomyślałem - dla garstki ludzkich popiołów robić z siebie straszdyło?... Jeszcze powiedzą, że tanim kosztem chciałem zostać bohaterem!..."

Wtem potrafiła mnie jakaś młoda dziewczyna biegnąca do chaty. Usłyszałem brzęk wybitych szyb, a gdy nagły wiatr odgarnął tuman dymu, zobaczyłem ją w oknie tak silnie pochyloną do wnętrza izby, że widać było jej nie umyte nogi.

"Co ty robisz, wariatko?! - krzyknąłem - tam już jest trup, nie dziecko..." - „Jagna! chodź tu!..." - zawołano z tłumu.

Pułap zapadł się, aż iskry sypnęły do nieba. Dziewczyna znikła w dymie, a mnie pociemniało w oczach.

„Ja-gna!..." - powtórzył lamentujący głos.

„Zara!... zara!..." - odpowiedziała dziewczyna przebiegając koło mnie z powrotem.

Z wysiłkiem dźwigała w rękach chłopca, który obudziwszy się wrzeszczał wniebogłosey.

- Więc dziecko żyje? - spytałem.

- Jak najzdrowsze.

- A dziewczyna... czy to jego siostra?

- Gdzież tam! - odparł - zupełnie obca; nawet służy u innego gospodarza i ma najwyżej piętnaście lat.

- I nic się jej nie stało?

- Opaliła sobie chustkę i trochę włosów. Idąc tu widziałem ją; skrobała przed sienią kartofle i coś sobie nuciła fałszywym głosem. Chciałem jej wyrazić moje uznanie, nagle jednak przyszły mi na myśl: jej dziki zapach i mój rozsądny takt wobec cudzego nieszczęścia, i... taki mnie wstyd ogarnął, że nie śmiałem do niej przemówić ani wyrazu.

My już tacy!... - dodał i począł szpicróżgą ścinać rosnące przy drodze badyle.

Na niebie zaczęły się pokazywać gwiazdy i chłodny wiatr przyniósł od stawu rechotanie żab i kwilenie zabierających się do snu ptaków wodnych. Zwykle o tej porze obaj układaliśmy projekta na przyszłość, lecz dziś żaden ust nie otworzył. Za to zdawało mi się, że dokoła nas szepczą krzaki:

- Wy już tacy!...

## OMYŁKA

Dom mojej matki stał na brzegu miasteczka, przy ulicy obwodowej, wzdłuż której mieściły się budynki gospodarskie, sad i ogród warzywny. Za domem ciągnęły się nasze grunta, zawarte między drogą boczną i pocztowym gościńcem. Ze strychu, gdzie znajdował się pokój brata, w zwykłym czasie napelniony rupieciami, można było widzieć z jednej strony kościół, rynek, żydowskie sklepiki i starą kapliczkę Św. Jana, z drugiej - nasze pola, potem olszynę, dalej głębokie wąwozy zarośnięte krzakami, wreszcie - samotną chatę, o której ludzie wspominali z niechęcią, a niekiedy z przekleństwem.

Miałem wówczas lat siedem i chowałem się przy matce. Była to kobieta wysoka i silna. Pamiętam jej twarz rumianą i energiczną, kaftan podpasany rzemieniem i pukające buty. Mówiła głośno i stanowczo, a pracowała od rana do nocy. O świcie była już na dziedzińcu i oglądała krowy, konie, kury - czy nie dzieje się im jaka krzywda i czy dostały jeść. Po śniadaniu szła w pole zbaczając do chorych, których w miasteczku nigdy nie brakło. Gdy wracała do domu, czekali na nią różni interesanci: jeden chciał kupić bydłatko, drugi pożyczyć zboża lub pieniędzy; ta radziła się o kaszlące dziecko, a tamta przyniosła na sprzedaż garstkę lnu. Prawie nie mogę wyobrazić sobie matki samotnej; zawsze kręcili się przy niej ludzie jak gołębie przy gołębniku, prosząc o coś lub za coś dziękując. Ona w całej okolicy wszystkich znała, wszystkim pomagała i radziła. Rzecz, zdaje się, niegodna wiary, a przecie tak było, że nawet ksiądz proboszcz i pan burmistrz przychodzili zasięgać jej zdania. Ona rozmawiała z nimi robiąc pończochę, a następnie, jak gdyby nic, biegła doić krowy. Umiała też w razie potrzeby zaprząć konie do wozu i wyjechać po snopy, a nawet drzewa narąbać. Wieczorami szyła bieliznę albo łątała moje odzienie, w nocy, gdy psy mocniej ujadają, zrywała się z łóżka i ledwie odziana w gruby szlafrok obchodziła budynki. Raz wystraszyła złodzieja.

Chłopi, panowie, dzieci, chorzy, zwierzęta, drzewa, nawet kamień przy wrotach - wszystko ją obchodziło. Tylko o chacie stojącej za naszymi polami nie wspominała nigdy. Jej mieszkańcy musieli być bardzo zdrowi i szczęśliwi, gdyż mama wcale nie zaglądała do nich.

Ojciec mój od kilku lat nie żył; pamiętam go o tyle, że co dzień ofiarował Bogu pacierz za jego duszę. Raz, kiedy był bardzo senny i poszedłem spać bez pacierza, pokazała mi się w nocy dusza ojca na ścianie. Była jasnobiała, niewielka, z formy podobna do duszy w żelazku. Złakłem się nadzwyczajnie i do rana przeleżałem z głową schowaną pod kołdrę. Nazajutrz powiedzieli mi, że to blask księżycy padał na ścianę przez serce wycięte w okiennicy. Od tej jednakże pory nigdy nie zapomniałem modlić się za Ojca.

Miałem też brata o kilkanaście lat starszego ode mnie. Przypominam go sobie jak przez mgłę, ponieważ widziałem go zaledwie parę razy w życiu. Wiem, że nosił czarny mundur ze złotymi guzikami i szafirowym kołnierzem i że sposobił się na doktora.

Nieraz, zdjęty ciekawością, wychodziłem na strych, ażeby przez najwyższy dymnik zobaczyć stolicę, gdzie uczył się brat, a przynajmniej miasto, gdzie mama jeździła po kilka razy na rok. Nieraz śledziłem pocztową bryczkę szybko jadącą w tamtą stronę. Bryczka i

wiszący nad nią obłok kurzu ginęły w lesie, który wypełniał szczelinę między niebem i ziemią, a przede mną w dali stała tylko chata samotników, skulona i czająca się. Niekiedy słoneczne światło padało w jej okienka, wówczas nie mogłem oprzeć się złudzeniu, że widzę głowę dużego kota, który patrzy na mnie, jakby chcąc się rzucić. Ogarniał mnie strach i kryłem się za ramę dymnika ciesząc się, że teraz nie zobaczy mnie potwór. Wnet jednak ciekawość przemagała obawę, znowu wyglądałem i zapytywałem się w duchu - kto w chacie mieszka?... Czy to nie jest chałupka na kurzej nóżce, o której tyle słyszałem od przadek, i czy w niej nie siedzi czarownica zamieniająca ludzi w zwierzęta?...

Dzień za dniem upływał bardzo szybko. Ledwie wstałem, już trzeba było kłaść, ledwie się położyłem, już trzeba wstawać. Każdego prawie dnia chciałem coś zrobić, a gdy nadszedł wieczór, przypominałem sobie, że nic nie zrobiłem. Czas uciekał jak podróżni, na których niekiedy patrzyłem przez okno mignęły kome, furman i nim poznałem, kto jedzie, już było widać tył bryczki. Mogę powiedzieć, że całe dzieciństwo spłynęło mi w jeden dzień.

Było jeszcze ciemno w pokoju, kiedy stara moja mamka weszła z brzemieniem drewna i cicho położywszy je na podłodze, zaczęła układać polana w kominku. Matka siedziała już na łóżku szepcząc pacierz:

- "Zdrowaś, Panno Mario, łaski pełna " A jak tam na dworze, Łukaszowa?

- Niczego - odpowiedziała mamka.

- "Pan z Tobą, błogosławionaś Ty.. " A Walek już wyjechał?

- Już musi być za wrotami.

W okamgnieniu matka była ubrana i zdjąwszy ze ściany pęk kluczy z jelenim rożkiem, wyszła z alkierza. Z komina padły na pokój czerwone blaski, drzewo zatrzeszczało, ode drzwi pociągał rzeźwy chłód, a za oknami świergotały roje ptaków. Spocząłem na klęczącej przed kominem Łukaszową. Stara kobieta, w czepku z falbanami, podobną była do sowy, zwróciła ku mnie twarz koloru drzewa i okrągłe oczy i śmiejąc się rzekła:

- Już ci się chce zbytków!...

Udawałem, że śpię, lecz nagle ogarnęła mnie taka radość, nie wiem nawet z jakiego powodu, że zerwałem się z łóżka i jednym skokiem usiadłem na karku niańce. - A cóż to za zgryzota z tym chłopczyskiem - irytowała się baba spychając mnie na podłogę. - Idź zaraz do łóżka, ty sowizdrzale, bo się zaziębisz... Antoś mówię ci, idź, pókim dobra, bo pani zawoła.

Byłem znowu w łóżku. Wtedy mamka wzięła przed komin moją koszulę dzienną, aby ją wyrzucić, a ja tymczasem zdjąłem nocną.

- Uuu!... ty bezwstydniku paskudny - gniewała się - żeby też taki duży chłopiec goło chodził... Nie ma to w oczach ambicji za grosz... No - czegoż się znowu ubierasz w nocną koszulę, kiej ci chcę włożyć dzienną? Antoś, usatkuj ty się!...



Potem brała moje majtki, były one zeszyte razem z kaftanikiem. A żeby ubrać się w nie, należało przez tylne wejście włożyć jedną nogę, potem drugą, a następnie wsuwać ręce w ciasne rękawy...

- Antoś! stójże spokojnie... - upominała mamka zapinając mi na plecach cztery guziki. - Teraz se siedź, trza cię obuć. Antoś! trzymaj nogę prosto, bo ci pończochy nie włożę... O, widzisz, znowu pęknięty trzewik i zerwany sznurek. Moje nieszczęście z tym chłopczyskiem. Antoś! nie kręć się, bo pani zawołam. Stójże, wiozę ci sukienkę A gdzie pasik? Patrzajcie go, pasik w łóżku... Jak będziesz taki dokucznik, to cię złapię kiedy i zaniosę do starego za olszynę. On ci da!...

- Oj! oj! a co on mi zrobi? - odpowiedziałem zuchwale.

- Nie bój się, nie takim on robił, co ich pogubił do śmierci Niech Bóg broni każdego grzesznego.

- Ten stary?

- Jużci, on.

- Ten, co mieszka w chałupce??

- Jużci, tak.

- Za naszymi polami?

- A ino.

- On sam mieszka? - pytałem z ciekawionym.

- Któż by z mm mieszkał? Od takiego to i złodziei ucieka.

- Cóż on za jeden?

- A lichy go wie, chorobę! Zdrajca, i tyle. Tfu! w imię Ojca i Syna - mruzczała baba spluwając. - Ma kogo spotkać nieszczęście, lepiej niech jego spotka. Mów pacierz, dziecko, już śniadanie gotowe.

Ukląłem i mówiąc pacierz spluwałem za siebie jak Łukaszowa, bo mi wciąż na myśl przychodził niedobry człowiek, z którym nawet złodzieje nie chcą mieszkać.

Poszedłem do spiżarni ucałować ręce matki, a tymczasem Łukaszowa zaniosiła mi do jadalnego pokoju sitny chleb i talerz żurku zatartego czosnkiem i zasypanego kaszą hreczaną. Zjadłem go z pośpiechem i zaraz wybiegłem na dziedziniec wystrugać pałasz z gonta. Nimem wyszukał deseczkę, rumem wyostrzył nóż i zatamował krew ze skaleczonego palca, patrzę - a tu wlecze się pan Dobrzański.

"To nieprawda, a żeby już była jedynasta" - pomyślałem rozgniewany i uciekłem schować się za stajnię. Lecz nim ochłonąłem z prędkiego biegu, już słyszę niańkę, jak woła wniebogłosy:

- Antoś! Antoś! pan nauczyciel przyszedł.

- Nie pójde! - krzyknąłem pokazując w tamtym kierunku język.

Wtem odezwała się mama:

- Antoś! do nauki..

Boże, jaki byłem zły w tej chwili. No, ale co robić? Wyszedłem spoza stajni i wlokłem się do domu pragnąc, ażeby mi się droga wyciągnęła, jak stąd do stolicy. I dziwna rzecz, droga istotnie trochę się wydłużyła.

Zacząłem przez okno do pokoju jadalnego myśląc, iż może stało się coś takiego, że pan Dobrzański zniknął. Gdzie tam. Siedzi przy stole jak straszycie, w swoim surducie, z wysoką czupryną, z kołnierzykami do skroni, z szyją długą jak biczysko okręcone w czarną chustkę. Już wydobywa mosiężne okulary i zaciska je na nosie. Z prawej strony na stole czerwona chustka, z lewej - brzozowa tabakierka z rzemykiem... Boże, że też nie ma sposobu na takiego człowieka!... Przychodzi rano i po południu jak zmora, a ja nic zrobić nie mogę przez niego.

Wszedłem do pokoju i niedbale pocałowałem w rękę pana Dobrzańskiego, zacząłem wyciągać z szuflady książki i kajety. Szło to bardzo powoli, lecz nareszcie - skończyło się. Usiadłem do lekcji.

Dziś już nie wyobrażam sobie, jakim sposobem wytrzymałem dwie godziny strasznej męki nazywanej się lekcją. Byłem jak ptak przywiązany nitką za nogę. Ilem ja razy chciał zerwać się, wyskoczyć za okno i uciekać, gdzie oczy poniosą. Kręciłem się, jakbym siedział na szczotce do czesania lnu, a niekiedy z rozpaczą tak machałem nogami, że m uderzał w dno stołu. Wtedy siwy surdut pana Dobrzańskiego, a później jego głowa, osadzona na wysokiej szyi, zwracały się w moją stronę. Czerwieniłem się i cichłem czując nad sobą okrągłe okulary i niebieskie oczy patrzące przez wierzch szkieł - i już byłem od świętej pamięci spokojny, kiedy pan Dobrzański zaczynał:

- A to co za hałasy? Nie wiesz, że jesteś na lekcji i powinieneś zachowywać się jak w kościele? Mówiłem ci to już nieraz...

Potem brał tabakierkę z brzozowej kory, strzelał w nią palcami, ciągnął za rzemyk, zdejmował wieko, zażywał tabakę i znowu strzeliwszy z palców kończył:

- Ośle jakiś!...

Zdaje mi się, że największą dla mnie męką stanowiły długie przerwy w upomnieniach pana Dobrzańskiego. Z góry wiedziałem, co powie, dziesięć razy powtórzyłem sobie to samo w myśli, a on - dopiero zaczynał, przerywał i znowu mówił dalej. Ciągnęło się to bez końca.

Nareszcie pan Dobrzański brał długi kajet, liniował go kantówką i w pierwszym wierszu z góry wypisywał mi jako wzór do kaligrafii:

"Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie..."

Temperował pióro, układał mi ręce i kajet na stole i przysuwał kałamarz.

Po czym obowiązany byłem ten sam wiersz przepisać sześć razy, głośno go powtarzając. Pan Dobrzański drzemał sobie teraz w fotelu, a ja śpiewającym głosem mówiłem:

"... Ojczyzno moja, ty jesteś..."

- "Jak zdrowie!" - wrzasnąłem głośno. Pan Dobrzański ocknął się.

- Dziękuję! - odparł poważnie. Zdawało mu się, że kichnął, więc utarł nos w czerwoną chustkę i znowu zażył tabaki.

Powtarzało się to prawie co dzień i stanowiło dla mnie jedyną rozrywkę przy lekcjach, tym bardziej iż kaligrafia wypadła zawsze na końcu.

Zaraz po nauce jedliśmy razem obiad. Niekiedy gospodyni spóźniała się, więc po kaligrafii następowało jeszcze powtarzanie na wrywki.

- Kto cię stworzył? - pytał pan Dobrzański.

- Bóg Ojciec.

- Do...brze. A ile jest części świata?

- Siedem: poniedziałek, wtorek...

- Źle, ośle!... Pytam o części świata.

- Pięć! pięć! Europa, Azja, Afryka, Ameryka, Oceania...

- Do...brze. A sześć razy dziewięć?

- Sześć razy siedem... sześć razy osiem, sześć razy dziewięć - pięćdziesiąt cztery.

- Do...brze. A kogo najbardziej powinieneś kochać na tym świecie?

- Boga, ojczyznę, mamę i brata, pana nauczyciela, a potem wszystkich ludzi.

- Do...brze - odparł pan Dobrzański. Chcąc uwolnić się od dalszych badań na wrywki, raz zapytałem go:

- A Łukaszowę trzeba kochać?

- Mo...żna - odparł pan Dobrzański po namyśle.

- A Walka? ,

Nauczyciel spojrział przez wierzch okularów.

- Sam przecie mówiłeś, ośle jakiś, że - trzeba kochać wszystkich ludzi... Wszystkich.

Zwiesił głowę na piersi i po chwili rzekł głucho:

- Wszystkich - wyjąwszy tych, co nas zdradzili.

- A kto nas zdradził?

Pan Dobrzański jakby zaczerwienił się, wziął do ręki tabakierkę, lecz nagle postawił ją i odparł:

- Poznasz ich, gdy podrośniesz.

Z piersi jego wymknęło się westchnienie.

Musiała to być rzecz straszna, której mi nie wyjaśnił; zresztą, choć nic nie wiedziałem, czułem głęboki smutek na samą myśl o człowieku, którego nikt nie powinien kochać. Biedak ten mieszkał niedaleko nas, jego domek widywałem co dzień, lecz mimo to, gdybym go kiedy spotkał na drodze, nie mógłbym zdjąć przed nim czapki i powiedzieć: "Dzień dobry panu, a dlaczego pan tak dawno nie był u nas?..."

Jego u nas nikt nie wyglądał.

Gdy zegar wykukał pierwszą, wchodziła niańka do naszego pokoju ze stosem talerzy. Książki i kajety w okamgnieniu znikaly ze stołu, a ich miejsce zajmował czerwony obrus w białe kwiaty i trzy nakrycia. Po chwili ukazała się mama, a za nią waza barszczu z uszkami i salaterka grochu.

Pan Dobrzański przywitał się z matką, a gdy zupa już była rozlaną, powstał i odmówił modlitwę: "Pobłogosław, Boże, nas i te dary, które z Twojej świętej szczodroblewości pożywać mamy. Amen."

Potem siadaliśmy i jedli milcząc. Nim wnieśli drugą potrawę, mama zapytała:

- Cóż, panie Dobrzański, jak się dziś Antoś sprawował? Nauczyciel pokiwał głową, popatrzył na mnie apatycznym wzrokiem i odparł:

- Tak - jak to on.

- A co słyhać na świecie?

Pan Dobrzański poprawił stojącego czuba włosów i rzekł nieco ożywiony:

- Mówią na poczcie, że Francuz zaczyna się ruszać.

- Czegóż on chce?

- Jak to czego, mościa dobrodziejko?!... - zawołał stary głosem pełnym energii. - Cóż to, pani nie wie? Wojny chce...

- A nam co z tego?

Pan Dobrzański rzucił się na fotelu.

- Och, nie gadałabyś pani takich rzeczy przy dziecku! Co nam z tego? Nam wszystko z tego, i basta...

- Zobaczymy, zobaczymy - odpowiedziała mama.

- Rozumie się, zobaczymy!...- powtórzył stary z uniesieniem. - Tu niedługo ludzie przestaną w Boga wierzyć! - dodał.

Oczy mu błyszczały, a na zwiędłą twarz wystąpił silny rumieniec. Wziął w rękę nóż i począł dzwonić w talerz.

- Dałby Bóg - rzekła znowu matka - żeby się wróciły dobre czasy.

- Niech no by nie dał! - mruknął starzec zaciskając nóż w pięści.

Matka spojrzała mu ostro w oczy.

- Co pan mówi, panie Dobrzański?... Nauczyciel z gniewem ujął się ręką pod boki.

- A pani co mówi?...

Może byliby się pokłócili. Szczęściem niańka wniosła duży półmisek pachnącej kiełbasy z sosem i drugi - tartych kartofli ze słoniną.

Nastała cisza i przetrwała do końca obiadu, na zaokrąglenie którego mama i pan Dobrzański wypili po szklance piwa.

Niańka sprzątnęła półmiski. Powstaliśmy z krzeseł, a nauczyciel mówił:

"Dziękujemy Ci, Boże, za posiłek nam udzielony; bądź błogosławion w darach i we wszystkich dziełach Twoich. Amen!"

Szybko pocałowałem w rękę mamę i pana Dobrzańskiego i wybiegłem na podwórko. W chwilę potem, ukryty za płotem, widziałem, jak nauczyciel w wysokiej rogatej czapce dreptał ku swemu domowi opierając się na zakrzywionym kijku.

W dnię świąteczne, osobliwie podczas długich wieczorów, było u nas bardzo wesoło. Przychodził ksiądz proboszcz z siostrą, niziutki i okrągły pan burmistrz z żoną i trzema córkami, staruszka pani majorowa z dwoma wnuczkami, pan pocztmajster, kasjer, sekretarz magistratu i sekretarz z poczty. Starsi siadali do kart, młodzi grali w loteryjkę, w cenzurowanego, w ślepą babkę, a wszystko z ogromnym krzykiem. Znudzili się tym jednak bardzo prędko, więc najładniejsza panna burmistrzówna poprosiła pana kasjera, ażeby im zagrał do tańca.

- Dajcież mi, państwo, spokój - bronił się kasjer-nie wziąłem nawet gitary z domu.

- To poszlemy po nią! - wołały panny.

- Gitara jest już w kuchni! - odezwałem się nieproszony. Wszyscy w śmiech, pan kasjer chciał mnie pociągnąć za ucho, ale dwie panny schwyciły go za ręce, a tymczasem pan

sekretarz wybiegł z pokoju i za chwilę przyniósł gitarę - w zielonej koszulce. Kasjer wciąż się bronił.

- Moi państwo - mówił - na gitarze nie gra się do tańca, to za poważny instrument...

Ale swoją drogą już próbował dźwięku strun i kręcił kołeczki. Było pięć panien, a nas, kawalerów, tylko trzech; więc choć sprowadziliśmy do pomocy jeszcze pana pocztmajstra, niemało każdy miał roboty. Czasem moja matka znalazłszy chwilę wolną od zajęcia przy kolacji wyręczała pana kasjera w graniu, a on tańczył. Trwało to jednak niedługo, ponieważ panny mówiły, że mama grywa same stare polki i walce.

Na kolację podawano herbatę, zrazy z kaszą, czasami gęś pieczoną. Ogólne jednak zadowolenie dosięgało szczytu wówczas, gdy wnieśli krupnik. Była to gorąca wódka z miodem, zaprawiona goździkami i cynamonem. Dostawałem i ja tego specjału pół kieliszka, a gdym wypił, robił się ze mnie inny człowiek. Raz zdawało mi się, że już jestem zupełnie dorosły. Zacząłem mówić ty panu sekretarzowi magistratu, później oświadczyłem się po cichu starszej wnuczce pani majorowej, a nareszcie - zacząłem chodzić na rękach tak ładnie, że zarumieniony pan burmistrz powiedział, iż jestem chłopiec nadzwyczajnych zdolności.

- To będzie wielki człowiek!... - wołał uderzając ręką w stół. Alem reszty już nie dosłyszał, bo mama w tej chwili kazała mi iść spać.

Była to dla mnie wielka zgryzota, gdyż po kolacji, na zakończenie wieczoru, pan kasjer śpiewał przy gitarze.

Pamiętam go jak dziś. Był to człowiek dość młody. Miał trochę niższe kołnierzyki aniżeli pan Dobrzański, ale za to wyższą czuprynę. Chodził w ciemnozielonym surducie z krótkim stanem, w niebieskich spodniach ze strzemiączkami i z fartuszkami i w aksamitnej kamizelce w pąsowe kwiaty. Na szyi nie nosił chustki, tylko halsztuch.

Stawiano mu krzesło na środku pokoju. Siadłszy na nim zakładał nogę na nogę, dostrajając gitarę, odchrząknął i zaczynał:

Idę na szczyty Kaukazu,

Tak wyrok boski zażądał;

Może tam zginę od razu,

Już cię nie będę oglądał.

- Za pozwoleniem! - przerwał pan burmistrz. - Wyjrzyj no, panie sekretarzu, czy kto nie podsłuchuje pod oknem.

Pan sekretarz zapewnił, że nikt nie podsłuchuje, a pan kasjer po przegrywce śpiewał dalej:

Może pójdę do niewoli,

Między dzikie ludożercę -

Któż mnie pocieszy w niedoli,

Jeśli nie ty, lube serce?...

W tej chwili średnia panna burmistrzówna trąciła starszą.

- To do ciebie, Jadziu - szepnęła.

- Moja Meci! - zgromiła ją siostra rumieniąc się. Gdy pan kasjer skończył jedną pieśń - proszono go o drugą. Następowiała całkiem nowa przygrywka i wiersz:

Wiatrem i śniegiem pędzony,

Gdzie lecisz, ptaszyno mały?

Może zabłądzisz w te strony,

Które mnie dziecięciem znały?

Ach, powiedz mojej rodzinie,

Czy ich to nieszczęście smuci?

Uważaj, czy łza popłynie,

Gdy szepniesz - syn już nie wróci!...

- "Gdy szepniesz - syn już nie wróci..." - powtórzyła pani majorowa drżącym głosem. - Ślicznie! ślicznie! - wołała staruszka.

Po tej pieśni panny zgiełkliwie domagały się, ażeby śpiewał:

Lecą liście z drzewa...

Pan kasjer uderzył kilka nowych tonów na gitarze, znowu odchrząknął i śpiewał nieco niższym głosem:

Lecą liście z drzewa (ciszej), co tam rosły wolne.

Na mogile śpiewa jakieś ptaszę polne:

Nie było, nie było (ciszej), Matko, szczęścia w tobie,

Wszystko się zmieniło, a twe dzieci w grobie.

W pokoju było cicho jak w kościele, tylko pani majorowa szlochała. Nagle pan burmistrz schwycił się za głowę.

- Za pozwoleniem! wyjrzyj no, panie sekretarzu, na dziedziniec, czy czasem ten... nie podsłuchuje pod oknem...

Sekretarz wybiegł, a obecni coś szeptali między sobą. Na dziedzińcu nie było nikogo.

- No - rzekł skończywszy pan kasjer - teraz zaśpiewam państwu coś bardzo zakazanego.

- Bój się Boga, człowieku - przerwał mu pan burmistrz - nie gub zacnej kobiety, która nas tak gościnnie przyjmuje... -I wskazał na moją matkę.

Matka niedbale skinęła ręką.

- Ach! - odparła - niech robią, co chcą. Tyle naszego, że czasem piosenki wysłuchamy.

- Dobrze, że pani nic nie zrobią - mówił burmistrz - ale tu jest ksiądz proboszcz, urzędnik stanu cywilnego...

- Ja się tylko Boga boję - mruknął ksiądz.

- No, więc - ja jestem burmistrz... a jeżeli mi się stanie co złego, kto będzie opiekować się moimi dziećmi?

- Nie ma strachu - rzekł proboszcz. - Nigdy zresztą nie widziałem, ażeby ten tam... podsłuchiwał pod oknami.

- Nie potrzebuje chodzić pod oknami, bo jego dom stąd o trzy kroki - upierał się zmartwiony burmistrz.

- O wiorstę i dwieście sążni od poczty - wtrącił pocztmajster.

- Więc przynajmniej - nie drzyj się pan, śpiewaj cicho -zwrócił się burmistrz do kasjera.

- Cóż znowu tatko mówi! - oburzyła się najstarsza córka. - Jak można taki piękny śpiew nazywać darcieciem się?...

- Już to pan prezydent kroi na naczelnika powiatu - wtrącił ironicznie pan kasjer. - Nie ma strachu, nie ma! Jeżeli kto, to ja powinien bym na j pierwej paść ofiarą...

- I padniesz, padniesz!... - odparł burmistrz. - To największy w mieście rewolucjonista - szepnął do księdza.

Pan kasjer zadowolony publicznym uznaniem jego rewolucyjności wyprężył nogi tak, że wydawały się jeszcze cieńsze niż zwykle. Utopił wzrok w starszej pannie burmistrzównie i śpiewał półgłosem:

Już w gruzach leżą Maurów posady,

Naród ich dźwiga żelaza;

Bronią się jeszcze twierdze Grenady,

Ale w Grenadzie zaraza.

Broni się jeszcze z wież Alpuhary

Almanzor z garstką rycerzy...



- Prześliczne! - zawołały panny chórem, patrząc na wywrócone oczy pana kasjera.

- Co to jest? - spytał niespokojnie pan burmistrz.

- Mickiewicz! - odpowiedział pan kasjer.

- Mic-kie-wicz?... Przepraszam państwa, ale - wychodzę! Ja -mówił pan burmistrz bijąc się w piersi - ja zbyt wiele chcę zrobić dla kraju, ażebym miał ginąć za wiersze.

- Cóż pan widzisz złego w tej piosence? - zapytał niecierpliwie proboszcz.

- Co?... jegomość tak dobrze wie o tym jak ja! - odparł pan burmistrz. - A nuta?... Nuta, panie, jest taka, że gdyby mi ją zagrała kiedy kapela wojskowa, pierwszy, panie, wyszedłbym na rynek w czerwonej konfederatce. Tak! Niechby mnie zastrzelili, porąbali, roztratowali...

- Czyś zwariował, Franiu! - krzyknęła pani burmistrzowa.

- Taki jestem! - wołał zaperzony prezydent. - W razie, czego Boże nie dopuść, wojny wszystkie tutejsze zuchy wleżą w kąt, ale ja pokażę, co umiem.

- Franiu! tobie się w głowie przewraca - mitygowała go żona.

- Jestem zupełnie przytomny - rzucił się pan burmistrz - ale chcę, żeby tu wszyscy wiedzieli, do czego dojdzie, jeżeli mnie podrażnicie! Jestem jak bomba, co dopóki leży spokojnie, można ją nogą kopać, ale rzuć iskrę... Chryste, ratuj!...

Mówiąc tak podniesionym głosem, pan burmistrz kręcił się jak bąk między krzesłami. O ile sobie jednak przypominam, jego niebezpieczne męstwo nie robiło wrażenia. Ksiądz proboszcz machał koło ucha ręką, a pan kasjer niedbale brząkał na gitarze w takt wykrzykników pana burmistrza. Tylko moja matka życzliwie kiwała głową, a splakana pani majorowa wśród powodzi jego słów zdawała się zasypiać.

- No, moi państwo - odezwał się pan pocztmajster - czas do domu. Już dziesiąta.

- Czy być może? - zdziwił się pan kasjer, któremu, ile razy śpiewał, czas wydawał się za krótki.

Jakby w odpowiedzi, zegar wykukał dziesiątą. Panie były przestraszone tak późną godziną i wszyscy zabrali się do wyjścia.

Gdy niańka włożywszy mnie do łóżka zagasila świecę, zobaczyłem po raz drugi, jakby na jawie, całe wieczorne zebranie: ruchliwą figurkę pana burmistrza i żółte wstążki u czepka pani majorowej, i pana pocztmajstra, i pana sekretarza, i wszystkie panny. Goście kręcili się gorączkowo, rozprawiali, śpiewali, pan burmistrz straszył ich swoją odwagą, pan kasjer grał na gitarze, zupełnie jak w rzeczywistości. Ta tylko była różnica, iż między .zgrupowanymi widziałem jakiś cień, niby owego człowieka, którego na próżno pan sekretarz szukał za oknem. Chciałem go wskazać matce, ale nie mogłem podnieść ręki. Cień tymczasem snuł się po pokoju, cichy, nieujęty i dla nikogo oprócz mnie niewidzialny.

Potem wszystko znikło, a gdym otworzył oczy, zobaczyłem przed kominem Łukaszowę, która śmiejąc się do mnie bezzębnymi ustami, mówiła: .

- Oho! już ci się chce zbytków...

To był ranek. Anim się spostrzegł, że już przespał noc po zabawie.

W połowie marca przypadały moje urodziny, od których zacząłem ósmy rok. Na kilka dni przedtem pan Stachurski, szewc, brał mi miarę na pierwsze buty. I właśnie kiedym zdjął trzewik dla poddania się tej operacji, zajęchała przed nasz dom pocztowa bryczka i wysiadł z niej jakiś młody człowiek z listem do mamy od brata.

Nazwiska jego nie wiem do dziś dnia, ale na imię mu było Leon. Był to chłopiec może dwudziestoletni, śliczny jak obraz, wesoły i nadzwyczaj lgnący do ludzi. Mamę od razu pocałował w obie ręce i tyle nagadał jej wiadomości o bracie, że go prosiła, ażeby u nas zamieszkał na kilka dni. Jednocześnie, nim pan Stachurski zdążył mi wziąć miarę na buty, młody człowiek zaprzyjaźnił się z nim tak serdecznie, że nawet obiecał go odwiedzić w warsztacie. Potem sprowadził się do pokoiku na górę i w ciągu kilku minut chyba oczarował Łukaszowę, która za nim wniosła walizkę, bo nianka całe popołudnie mówiła tylko o nim. Panu Dobrzańskiemu, który przyszedł na lekcję, dał jakieś niesłychane cygaro, mnie na poczekaniu wystrugał wiatrak, a mamie powiedział sekret gotowania w domu piwa.

Po obiedzie wyszedł na miasteczko i wrócił późno wieczór. Toż samo robił przez cały czas swego pobytu. Widywaliśmy go rzadko i krótko, lecz mimo to tyle wszystkim robił usług, żeśmy przepadali za nim. Tylko mama miała mu trochę za złe, że wdaje się za pan-brat z panem Stachurskim, szewcem, panem Grochowskim, stolarzem, i panem Władzińskim, wędliniarzem. Ale pan Dobrzański wytłomaczył jej, że jeżeli ów młody człowiek przyjechał tu na zwiady - czy nie da się założyć w mieście sklep z korzeniami?... - to musi sobie skarbić przyjaźń nawet ludzi prostych.

Zdziwienie mamy jednak bardziej wzrosło, gdy zeszli się do nas na wieczór goście w dzień moich urodzin; okazało się bowiem, że pan Leon zna wszystkich. Już pan burmistrz obiecał go protegować, gdyby sklep założył, a pan pocztmajster miał mu nawet wynająć parę pokoików w swoim domu. Z sekretarzem magistratu i sekretarzem poczty pan Leon tykał się, obie wnuczki pani majorowej rumieniły się, gdy do nich mówił, a tylko z panem kasjerem jakoś krzywo patrzyli na siebie.

Tańców u nas tego dnia nie było, ale pan kasjer miał gitarę i jak zwykle śpiewał przy niej. Któraś z pań zapytała pana Leona, czy on śpiewać umie. Grzeczny młody człowiek natychmiast wziął do rąk instrument, ale zaśpiewał na tak smutną nutę, że pan burmistrz uciekł przy pierwszych słowach i już się nie pokazał, wszystkie panie popłakały się, a pan kasjer pobladł ze złości.

Na drugi dzień rano pan Leon wyjechał mówiąc mamie, że musi być jeszcze w innych miasteczkach w celu wyszukania najlepszego punktu na swój sklep.

W końcu kwietnia, jakoś w sobotę, zajechał do nas pan Leon po raz drugi. Mamie przywiózł list od brata i książkę kucharską, panu Dobrzańskiemu paczkę tabaki, a mnie - śliczny pałasz blaszany. Opowiadał, że pewno w tych czasach skończy interes ze sklepem, lecz że musi dokładniej rozejrzeć się w miejscowości. Potem wybiegł na miasto przywitać się ze znajomymi i wrócił do domu w nocy.

Nazajutrz, w niedzielę, poszliśmy na sumę. Siedziałem z matką przed wielkim ołtarzem, obok państwa burmistrzów i pani majorowej, a o kilka kroków od nas stał kasjer modląc się z książki.

Nabożeństwo już się skończyło i mieliśmy wychodzić, gdy nagle ze środka kościoła wysunęli się na przód zebranego ludu pan Stachurski, szewc, pan Grochowski, stolarz, i pan Władziński, wędliniarz, a wraz z nimi ich czeladzie i chłopcy tudzież sekretarz z poczty i sekretarz magistratu. Gdy zaś ksiądz proboszcz udzielił błogosławieństwa, pan Stachurski dał organiście jakiś znak. Zrobiło się cicho i...

...Nie pamiętam, co się stało dalej, ponieważ skutkiem doku i gorąca tak osłabłem, że mama wyniosła mnie z kościoła do mieszkania księdza proboszcza. Zastaliśmy tam pana kasjera, który biegał po pokojach targając sobie włosy i przysięgając, że on temu nie winien. Prosił też mamę, ażeby w razie czego świadczyła, jako on pierwszy wybiegł z kościoła.

W domu czekał na nas pan Leon. Gdy mu mama opowiedziała o tym, co zaszło w kościele, był bardzo zdziwiony. Odparł jednak, że podobne wypadki trafiają się wszędzie, same z siebie, a potem dodał, że zaraz po obiedzie musi jechać. Pragnął bowiem wstąpić do kilku innych miasteczek celem dokładniejszego zbadania, w którym z nich jego sklep może mieć najwięcej widoków.

Niezwykłe zachowanie się pana kasjera na plebani na jakiś czas zachwiało jego reputacją, tym bardziej że niepospolity ten człowiek od owego dnia zarzucił swoją amarantową czapkę i wrócił do urzędowego fraka z żony mi guzikami. Szczęściem trwało to niedługo. Pan burmistrz bowiem, skombinowawszy w umyśle wiele szczegółów, zawnioskował, że wypadek w kościele był -dziełem kasjera, który jest tym niebezpieczniejszy dla ogólnego spokoju, że wybornie udaje niewiniątko. Sąd ten znalazł wiarę w miasteczku, gdyż pan kasjer zaczął znowu robić poważne miny, a panowie Stachurski, Grochowski i Władziński odzywali się o nim lekceważąco w miejscach publicznych. Było widoczne, że agitator ten, chcąc zabezpieczyć się od podejrzeń, wydal podwładnym swoim stosowną instrukcję.

Zresztą fakt, na który sam patrzyłem, świetnie usprawiedliwił opinią ogółu.

Pewnego dnia prosiła mama pana Dobrzańskiego, ażeby poszedł ze mną do miasteczka i kupił papieru, paczkę piór i ołówek. Idąc tam zauważyliśmy na rynku tłum terminatorów, Żydków i starszych mieszczan, żywo rozprawiających. Nie opodał od nich, tuż przy magistracie, stał pan kasjer.

Załatwiwszy sprawunek mieliśmy już wracać do domu, gdy nagle rozległa się wrzawa na rynku. Wybiegłem przed sklep i zobaczyłem starego, wysokiego człowieka, który wychodził z piekarni z chlebem pod pachą. Tłum wyrostków zabiegł mu drogę i krzyżąc począł rzucać

bryłami. Przez chwilę napadnięty stał bez ruchu; gdy go jednak uderzyło parę kamieni i spadła mu czapka, upuścił chleb na ziemię i począł uciekać. Widok jego białej jak mleko głowy i sztywnych ruchów bolesne zrobił na mnie wrażenie. Przyszły mi na myśl owe męczące sny, w których wyobrażałem sobie, że mnie także ktoś goni i że nie mogę uciekać.

W tej chwili usłyszałem za sobą głuchy okrzyk. To pan Dobrzański wyszedł ze sklepu i żółty, z szeroko otwartymi oczyma, patrzył w stronę ściganego.

Krzyk ucichnął, zdyszany tłum wrócił na rynek, a pan Dobrzański jeszcze stał patrząc przed siebie martwymi oczyma. Teraz spostrzegł go pan kasjer i począł iść ku nam. Z jego twarzy biło takie zadowolenie, że na ten widok zapomniałem o skrzywdzonym człowieku.

- Dzień dobry, panie Dobrzański!... Udało nam się, nieprawda? - rzekł cicho pan kasjer. Nauczyciel milczał.

- To ja zrobiłem - szeptał kasjer stukając się palcem w wykrochmaloną koszulę - ja!... Tak należy karać zdrajców.

- To pan zrobiłeś?... - odezwał się głucho mój nauczyciel.

- Ja!... Będą teraz wiedzieli - dodał - kto tu znaczy... Stary podniósł z ziemi papier i laskę i zabierając się do powrotu rzekł szczególnym tonem:

- O, toś pan dużo zwojował!... A potem szepnął do siebie:

- Nie może być inaczej.

Odprowadziwszy mnie przed nasz dom pan Dobrzański oddał mi papier i wrócił do siebie. Gdym opowiedział matce, co się stało, pokiwała smutnie głową i rzekła:

- Straszne to nieszczęście; niech Bóg wszystkich od niego zachowa!...

Dopiero Łukaszowa objaśniła mi, że to tak wyszczuto złego człowieka, który mieszka w chacie za naszymi polami.

Zauważyłem, że od tej pory mój nauczyciel zrobił się posepniejszy i bardziej roztargniony przy lekcjach i że często z goryczą odzywał się do matki o panu kasjerze. Raz nawet, gdy wobec pana Dobrzańskiego pan burmistrz wychwalał kasjera nazywając go polityczną głową i 'niebezpiecznym agitatorom, stary nauczyciel uderzywszy pięścią w stół krzyknął z gniewem:

- A ja panu mówię, że to głupiec!...

- Kto? - zapytał zdumiony pan burmistrz.

- Ten pański kasjer.

- Ten wielki patriota?

- Wielki cymbał!

- Poruszył całe miasto!... - mówił zaperzony pan burmistrz.

- Dyrektor kocich muzyk - odparł pan Dobrzański.

- On nam wszystkim może narobić nieszczęścia - ciągnął pan burmistrz.

- Powiedz mu, pan prezydent, niech nie robi, bo inaczej kijem go wygrzmocę, ja, stary! - rzekł trzęsąc się z gniewu nauczyciel.

Pan burmistrz oniemiał i pilnie patrzył na moją matkę, czy ona nie zechce ująć się za kasjerem. Ale matka kiwała głową, zapewne z żalu nad zaślepieniem nauczyciela, który nie umiał ocenić nadzwyczajnego patrioty.

Anim spostrzegł, jak w duszy zarysował mi się niejasny obraz człowieka z chaty za polami. Niechętne wzmianki Łukaszowej, obawy pana burmistrza, czy kto nie podsłuchuje pod oknem, gonitwa na rynku, a nade wszystko dziwne zachowanie się pana Dobrzańskiego i milczenie mojej matki, wszystko to nasuwało mi tysiące pytań. Kim jest i co robi ten człowiek, z którym postępują jak z niebezpiecznym zwierzęciem? Jeżeli wolno chłopcom rzucać za nim kamieniami, więc musi to być zły człowiek, a więc dlaczego starsi nie oddali go do więzienia?

Im częściej myślałem o nim, tym silniej ważyły się we mnie dwa uczucia - strachu i ciekawości, sprawiając mi wielką mękę. Toteż ile razy miałem trochę wolnego czasu, przypasawszy swój pałasz wykradałem się w kierunku odludnej chaty. Co prawda, z początku nawet nie marzyłem, aby dojść do niej zbyt blisko; niemniej coś mnie ciągnęło w tamtą stronę. Przełaziłem płoty naszego ogrodu, docierałem do olszyny, później przechodziłem bagno, wreszcie błądziłem już po krzakach przylegających do chaty. Niekiedy spostrzegłszy, jak blisko jestem złego człowieka, a jak daleko od domu, drętwiałem z przerażenia - i uciekałem w stronę miasteczka, do ludzi. Stopniowo jednak oswoiłem się z nową miejscowością i czułem coraz większą ciekawość obejrzenia chaty.

Z każdym dniem poznawałem ją lepiej. Stała ona w dzikiej okolicy, o paręset kroków od bocznej drogi kreto biegnącej przez pola. Otaczały ją krzaki gęste i wysokie, pełne ptaków i gniazd, tudzież głębokie i zarośnięte wąwozy o ścianach stromych i poszarpanych. Często nad głową zaszumiało mi stado kuropatw albo spod nóg wrywał się zajac. W wilgotnych zakłęśnościach spotykałem węże, a w ścianach wąwozów ciemne otwory jam lisich. Krążąc w pewnej odległości od chaty obszedłem ją naokoło. W jednym miejscu uderzył mnie cichy, lecz ciągły szelest; z bijącym sercem podkradłem się bliżej i ujrzałem strumień wody prędko biegnący po łożysku z wapiennych kamyków.

Bąłem się, ale postąpił jeszcze kilkadziesiąt kroków. Ściany wąwozu zniżały się w tym miejscu, wreszcie znikły. Dotarłem do małego zagłębienia, skąd wypływał strumień kipiący jak woda w garnku. Rosła tu dziewanna wyższa ode mnie. Ścisnąłem pałasz mocno, postanowiwszy uciekać za najmniejszym szmerem - i zanurzyłem się między badyle. Po małej chwili dziewanna zmalala; podniosłem głowę i zobaczyłem chatę. Stała na opoczystym wzgórku oblana ciepłymi potokami słońca; przed nią leżało mnóstwo zaczętych i dokończonych koszów, między którymi przechadzał się kulawy bocian. Ze ścian od dawna

opadło wapno, szczeliny między deskami były zamazane kruszącą się gliną, okienka w niektórych miejscach zamiast szyb zasłonięte były pęcherzem.

Na szerniałych ze starości drzwiach bielił się jakiś wyraz napisany dużymi literami i nieco zalany. Wpatrzyłem się uważniej i przeczytałem:

## SZPIEG

W tej chwili bocian spostrzegłszy mnie opuścił ku ziemi skrzydła i gniewnie zasyczał. Rzuciłem się bez pamięci w tył i po kilkominutowym biegu znalazłem się wśród dobrze znanych krzaków. Niebawem wróciłem do domu nie chwając się przed nikim, gdzieś był i com widział. Zaprzestałem nawet chodzić w tamtą stronę.

Upłynęło półtora roku i nadeszła zima, krótsza niż zwykle, lecz ciężka. W listopadzie chwyciły tęgie mrozy, a w grudniu spadły tak duże śniegi, że dokoła naszego domu utworzył się biały wał. Walek niekiedy do południa pracował nad rozkopywaniem drogi.

Pewnego dnia zerwała się straszna zawiejka. Pan Dobrzański ani z rana, ani po południu nie był na lekcji i od nas nikt nie chodził do miasteczka. Wicher jęczał we wszystkich kątach domu, miałki śnieg zasypywał ogień w kuchni, powietrze było pełne białych tumanów. Około czwartej spadła na ziemię ciemność, wyło jeszcze żałośniej, śnieg bił w okna jeszcze gwałtowniej. Czasami wszystko milkło, ginęły tumany w powietrzu, rozsuwały się obłoki na niebie, a wtedy można było widzieć, że śnieg zasypał już płoty.

W jednej z takich chwil wyglądałem przez okna wychodzące na ulicę i nagle - zobaczyłem za szybą jakiś przedmiot. Wytężyłem wzrok. Na ławce, tuż pod oknem, siedział człowiek ze zwieszoną głową. Był ubielony śniegiem, który na wierzchu czapki i na ramionach skupił się w małe stożki.

Serce ścisnęło mi się na ten widok. Pobiegłem do kuchni i dałem znać mamie, że pod naszą ścianą śnieg zasypuje podróżnego. Matka z początku nie wierzyła mi, lecz wyjrzawszy oknem wysłała czym prędzej Walka, ażeby sprowadził biedaka do kuchni.

- Może on już zmarł?... - pytałem niespokojnie, trzymając się fałdów matczynej sukni.

Po kilku minutach w sieni rozległy się stapania, szelest, jakby się kto otrzepywał. Do kuchni wszedł Walek z podróżnym.

Był to ogromny człowiek w krótkim łatanym kożuszku i wysokich butach. Gdy zdjął czapkę, ukazały się włosy białe jak mleko. Z wolna postąpił na środek kuchni i stał milcząc.

Gospodyni rzuciła na komin łuczywo. Płomień buchnął silniej i oświetlił twarz podróżnego. W tej chwili matka moja cofnęła się ku drzwiom jadalnego pokoju, a stara Lukaszowa pilniej przypatrując się gościowi mruknęła z gniewem:

- Brakowało go tu... Jeszcze na nas nieszczęście sprowadzi - przeklęty!...

Teraz i ja go poznałem. To był on, postrach i przedmiot nienawiści całego miasteczka, człowiek z samotnej chaty.

Przybysz spostrzegł, co się koło niego dzieje, i odezwał się cichym głosem do matki:

- Niech się pani nie gniewa, zem usiadł po domem. Ale burza tak mnie zmęczyła, zem nie mógł iść dalej. Skostniałem z zimna...

Było coś żalosego w usprawiedliwianiu się człowieka, że w podobnym czasie usiadł pod domem.

Matka patrzyła jakby rozmyślając. Nagle rzekła do kucharki głosem dziwnie twardym:

- Niech Katarzyna da panu gorącego mleka. Gość wciąż stał i patrzył na matkę niebieskimi, łagodnymi oczyma.

- Prędezej! - z gniewem powtórzyła matka widząc, że nie spełniają jej rozkazu.

Mleko stało już ugotowane na kominie. Kucharka zdjęła z półki stary garnczek i z taką niechęcią naląła, że wychlapało się na podłogę.

- Podajcie tam, Łukaszowa - rzekła do niańki.

- Bo ja chcę! - odparła niańka. - Niech poda Walek...

- Bo ja głupi! - mruknął parobek.

- Podaj, Walek! - odezwała się moja mama.

- Taki to z ciebie i chłop, co się boisz - wstydziła go niańka. Chłop powoli wziął do rąk garnczek i postawiwszy go na ławce rzekł do przybyłego:

- Namcie ta...

Potem odszedł w najdalej kąt kuchni i zachmurzony usiadł na pieńku.

Śnieg wciąż bił w okna, a na kominie, pod wpływem zawiei, chwilami przygasał ogień.

Stary człowiek zatoczył się ku ławce i zaczął pić gorące mleko. Matka ze mną cofnęła się do jadalnego pokoju, a za nami Łukaszowa szepcząc:

- Cóż on tu chce nocować?... Przecie chyba pani nie wypędzi dla niego nawet psa z budy na taki czas, a ludzie pod jednym dachem spać z nim nie będą.

Taki człowiek - dodała po pauzie niańka - na kogo spojrzysz, to mu nieszczęście sprowadzi. Nawet drzewo usycha, kiedy on dotknie go ręką. Bóg go przeklął, a ludzie rady na to nie znajdują nijakiej...

Matka skrzyżowawszy ręce chodziła po pokoju wzburzona. Z kuchni dolatywało trzeszczenie palącego się drzewa i mlaskanie ust starego człowieka, który dmuchał w garnczek i chciwie pił.

Wtem z ulicy do pokoju wpadł jakiś blask i jednocześnie usłyszeliśmy głośne wołanie:

- Ho! ho! bywajcie!...

- To mój chłopiec - odezwał się stary człowiek w kuchni. Walek wybiegł na dziedziniec i po krótkiej rozmowie sprowadził nowego gościa. Przybysz trzymał w ręku zapaloną latarnią i od stóp do głów był zaśnieżony. Gdy się otrząsnął niehumanicznym ruchem, spostrzegłem, że miał włosy podobne do kudłów, które mu zasłaniały czoło i część twarzy, i że za odzież służyły mu straszne lachmany. Nigdy nie widziałem takiego zbioru szmat owiązanych powrozami w pasie i na nogach.

- Gadałem, że was zasypało - rzekł obdarty chłopiec do starca i zaśmiał się grubym głosem.

- Nie znasz ty go, Walek, co on za jeden?... - szepnęła kucharka, ze wstrętem patrząc na nowego gościa.

- Co nie mam znać? Wszyscy wiedzą, że łapał psy w mieście - odparł półgłosem nasz parobek.

Stary człowiek począł w miejscu dreptać nogami, widocznie gotując się do odejścia. Potem złożony ręce na piersiach schylił głowę i rzekł:

- Pokornie dziękuję...

Przez chwilę czekał na odpowiedź, potem drugi raz schylił głowę i dodał stłumionym głosem:

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus...

Nikt nie odpowiedział.

Stojąc za progiem, jeszcze raz obejrzał się i - zniknął w ciemnej sieni, a za nim jego chłopiec.

W kuchni było tak cicho, jak gdyby wszyscy wstrzymali oddech, ażeby odchodzący nie usłyszał ludzkiego głosu.

Gdy blask latarni wpadł przez okno pokoju, matka weszła do kuchni i wskazując na garnczek, z którego pił stary gość, rzekła do Walka:

- Wyrzuć to!

Chłop ostrożnie wyniósł garnczek na podwórze i cisnął nim tak, że skorupy zadźwięczały aż pod oborą.

Na ulicy jeszcze majaczyło chwiejąc się rudawe światło latarni. Mnie płacz ścisnął za gardło, a wicher na dworze tak jęczał, tak zawodził, tak dobijał się do naszych okien, jak gdyby chciał coś powiedzieć, lecz - nie mogąc - rozlewał się w żalnym wyciu. "Co się to dzieje. Boże!..." - myślałem nie mogąc opędzić się przed widmem starca, którego łagodne oczy patrzyły na mnie z wyrzutem. Zdawało mi się, że widzę go, jak wsunawszy ręce w



rękawy, przez pole, na którym znikła droga, idzie niepewnym krokiem, wygnany na śnieżycę. A ten jego towarzyszy w łachmanach!...

W kilka godzin później, gdym zmówił pacierz i "Zdrowaś Maria" na intencją podróżnych, których zaskoczyła burza, zapytałem matki:

- Prawda, mamó, że jeżeli podróżnych spotka zawieja, a oni modlą się, wtedy Bóg zsyła anioła, który im pokazuje drogę?

- Prawda, moje dziecko.

- Anioł idzie przed końmi i one same trafiają do domu, bez furmana?

- Tak, moje dziecko.

- A gdyby ten stary człowiek zgubił drogę i modlił się, czy jemu Pan Bóg już nie zesłałby anioła?

- Bóg jest miłosierny, moje dziecko, i nad najlichszym stworzeniem rozciąga swoją opiekę.

Położyłem się spokojniejszy i już bez trwogi przysłuchiwałem się zgiełkowi burzy. Zdawało mi się, że Bóg tej nocy nie śpi, lecz schylony nad zawiejką od czasu do czasu odgarnia kłęby śnieżycy patrząc, czy gdzie w polu nie błąka się podróżny, aby mu zesłać anioła. Byłem nawet pewny, że kiedy niekiedy nad szumem wichru, skrzypieniem drzew i klekotem wstrząsanych okiennic słyszę potężny głos mówiący:

- Wstawaj, anioł!...

Potem na chwilę robiła się cisza.

Nic nie będzie staremu człowiekowi - rzekłem do siebie i twardo usnąłem.

Nowy rok zaczął się bardzo dobrze. Pan Dobrzański pierwszy raz dał mi cenzurę, na pięknym papierze ozdobionym girlandą, gdzie wypisał wszystkie stopnie celujące, sprawowanie wzorowe i promocją do klasy wstępnej. Za to mama kazała mi zrobić sanki.

Były to malutkie saneczki, ale jakąż wielką miałem z nich uciechę! Zaraz za budynkami znajdował się pagórek. Na jego szczycie stawiałem sanki, siadałem na nie i - jazda w dół... W połowie wzgórza tylko wiatr świstał mi koło uszu, a potem jechałem już tak prędko, że pędem wydstawiałem się aż na otwarte pole. Za pierwszym razem poszło mi dobrze, za drugim -nie wiem, co się stało, lecz zacząwszy jechać na sankach nagle uczułem, że jadę na głowie, znowu na sankach, znowu na głowie, i tak aż na dół, gdzie dopiero puściłem sanki, które uciekły w pole, a ja po pas ugrzązłem w śniegu. W ogóle, w początkach, sanki równie często jeździły na mnie, jak ja na nich; lecz później nauczyłem się nimi tak doskonale kierować, że nieraz prosił mamę, ażeby ze mną siadła, to ją przewiozę. Ale mama nie miała czasu.

Pewnego dnia, gdym się ślizgał, przyszła na wzgórze niańka. Schwyciwszy ją za kark chciałem gwałtem babinę wpakować na sanki i zjechać na dół. Ale Łukaszowa odepchnęła mnie niecierpliwie i rzekła:

- O, zawsze d te zbytki w głowie! Ustatkowałbyś się choć dzisiaj.

- Albo co? - spytałem zdziwiony jej tonem.

- Dali znać, że jest wojna - odparła niańka.

- Wojna?... - powtórzyłem za nią - wojna?... Zarzuciłem sanki na plecy i poszedłem do domu. Wyraz

dopiero co usłyszany zawsze oznaczał dla mnie coś bardzo

odległego i dawnego. Lecz w tej chwili nabrał jakiejś nowej treści,

której zgoła nie pojmowałem. Przechodząc około stodoły zauważyłem, że parobcy nie młóca

żyta, lecz rozmawiają o wojnie. Utkwiło mi nawet w pamięci

zdanie Walka:

- Komu Pan Jezus miłosierny nazaczył śmierć, umrze i tak -a komu życie, temu i wojna nie da rady.

W kuchni kucharka wzdychając tłumaczyła dziewczkom, że dla niej wojna nie nowina, bo już od kilku lat widuje na niebie krwiste słupy i ogniste różgi.

- Znam ja się na tym! - mówiła gospodyni. - Służyłam za dziewczkę u gminnego w miasteczku, u Macieja, co to w dwunastym roku chodził z Francuzem. Ten ci się nam naopowiadał, niby Maciej... Mówię wam, nieraz stało drugiego wojska jak lasu, a przyszedł Francuz, ino się zamajtnął i już nie ma tamtych. Leżeli, gadał Maciej, jak snopy, kiedy się wóz wywróci.

- Jezu! Jezu! - szepnęła jedna z dziewcząt.

- I już się nie podnieśli, kiedy tak leżeli? - spytała Łukaszowa.

- Jakże się mieli podnosić, kiedy byli poprzetręcani? - odparła kucharka.

Niańka westchnęła.

- Dużo ludzi zmarniało bez te wojny! - rzekła.

- A tera musi zepsuje się najwięcej - zakonkludowała kucharka. - Maciej powiadał, że - jak Francuz idzie sam, to jest cała bieda, ale jak idzie z naszymi, to jest dwie biedy.

W saloniku byli goście. Przez uchylone drzwi sypialni zobaczyłem pana Dobrzańskiego, pana burmistrza i księdza proboszcza. Byli zajęci gwałtowną rozprawą, i właśnie zagniewany pan burmistrz wołał:

- Głupstwo jest porywać się z takimi siłami... Gdybyśmy mieli choć ze sto tysięcy wojska, sam poszedłbym pierwszy... Ale tak...

- No, Francuzi znajdą więcej - wtrącił proboszcz.
  - Znajdą dla siebie, nie dla nas... Pan Dobrzański śmiał się.
  - Ja wiedziałem - rzekł trzęsąc ręką - że pan prezydent jesteś czerwony - przy krupniku. Ale w razie wojny będziesz miał tylko czerwony kołnierz...
  - Co mi pan tu pleciesz? - wrzasnął prezydent uderzając w stół obu rękami. - Chyba zwariowałiby Francuzi, gdyby nam chcieli pomagać.
  - Pan już zwariował... - uśmiechnął się nauczyciel. Przez chwilę patrzyli na siebie jak dwa koguty. Burmistrz był pąsowy, nauczyciel z trudnością chwycił oddech.
  - Za pozwoleniem! - wtrącił proboszcz stając między nimi. -Panie Dobrzański - uspokój się. Panie prezydencie - a co mówi rok pięćdziesiąty dziewiąty i Włochy?...
  - Włochy leżą przy Francji - odparł burmistrz - znam przecie jeografią.
  - A my leżymy na sercu Francji! - krzyknął nauczyciel.
  - A pan przy żołądku Francji - mruknął burmistrz. Nauczyciel rzucił się naprzód.
  - Co mi ten... tu... jakiś... burmistrzyna puszcza finfy pod nos?
  - Niech ksiądz proboszcz powie temu bakałarzynie... - sapnął cofając się prezydent.
  - Jarmarki otrębywać na gościńcu, a nie gadać o polityce!... -wolał nauczyciel. Prezydent rozkrzyżował ręce.
  - Jak Boga kocham, tak wyzwę abecadlarza na pojedynek! -krzyknął.
  - Dobrze! - pochwycił nauczyciel - przypomnę sobie fechtunek na burmistrzowskiej skórze...
- W tej chwili ksiądz proboszcz i dotychczas milcząca mama moja pochwycili ich.
- A, panie prezydencie!...
  - A, panie Dobrzański!...
  - Zarąbię!... - rzucał się nauczyciel.
  - Zobaczymy!... - groził burmistrz.
  - W takiej chwili niezgoda!... panowie!... - błagała ich mama.
  - Nie ma zgody z awanturnikami!... - mówił burmistrz szukając czapki.
  - Takich wymieciemy najpierwej!... - odpowiedział nauczyciel zabierając się do wyjścia.

- A wy, stare dzieciaki!... - huknął proboszcz podnosząc pięści. - Warchoły!... Sejmikowicze!... Jeżeli w każdym domu naszego kraju jest choćby jeden taki jak wy, to was nie tylko Francuz, ale Pan Bóg nie ocali, bo się sami pomordujecie.

Przeciwnicy zaczęli spoglądać na siebie bokiem.

- Nie moja wina, że pan Dobrzański nie panuje nad sobą - ofuknął burmistrz.

- Z prezydentem zawsze tak kończą się dysputy - odparł nauczyciel. - Zamiast chłodno badać sytuację, unosi się...

Dla otarcia potu z czoła wydobyl kraciatą chustkę, a potem machinalnie tabakierkę.

- Każdy pogląd ma w sobie coś prawdy i coś fałszu, i dlatego ludzie spierają się - mówił proboszcz. - Ale niesłychana rzecz, ażeby w takich czasach różnica zdań prowadziła do nienawiści i zemsty... .

- Ja mściwy nie jestem, mnie wszyscy z tego znają - rzekł burmistrz.

- A ja w takiej chwili nie chcę niezgody - odparł nauczyciel i zażył tabaki.

- No, więc podajcie sobie, panowie, ręce i - razem!... Złe czy dobre - razem!...

- Moi drodzy! - wtrąciła matka, gwałtem zbliżając dłoń burmistrza do tabakierki nauczyciela.

- Niech i tak będzie! - mruknął nauczyciel i podawszy burmistrzowi jeden palec poczęstował go tabaką.

- Każdy zostanie przy swoim zdaniu - dodał burmistrz i dla ceremonii posypał sobie tabaką górną wargę.

- A Francuzi przyjdą! - bąknął pod nosem nauczyciel.

- Na guwernerów - dodał burmistrz.

Wychyliłem się przez drzwi tak, że mama mnie zobaczyła. Szybko wbiegła do sypialni i popychając mnie ku drzwiom szepnęła:

- Czego tu stoisz?... idź mi zaraz na drugą stronę.

- Ja pójdę na wojnę! - mruknąłem stąpając wielkimi krokami.

Zapomniałem już o sankach i ślizgawce, lecz wydobywszy z szafy mój pałasz kazałem przynieść z kuchni osełkę i zacząłem go ostrzyć. Opanował mnie tak wojowniczy nastrój, że gdy Łukaszowa ośmieliła się zażartować z mego uzbrojenia, palnąłem starowinę żelazem po rękę, aż jej wyskoczył siniak.

Zrobił się krzyk, wbiegła mama... W rezultacie musiałem niańkę przeprosić i długi czas klęczyć pod piecem.

Przez kilka dni kipiało w miasteczku. Przyjezdni opowiadali o wojskach, które gdzieś daleko od nas chodzą po kraju; panie szyły bieliznę, starsi panowie radzili, a młodzi znikali. Podział się gdzieś sekretarz z poczty z dwoma synami pana Stachurskiego, szewca; później sekretarz magistratu z siostrzeńcem pana Władzińskiego, wędliniarza; nareszcie znikł sam pan Grochowski, stolarz, ze swoim czeladnikiem. Chałupkę, w której miał warsztat, zamknęli sąsiedzi, i stała pustką przez parę lat, aż w niej zamieszkał nowy dziedzic. Pan Grochowski i jego czeladnik już nie wrócili.

Gdy mama rozmawiając z panem Dobrzańskim utyskiwała, że tyle młodzieży marnuje się na zimnie i słońcu, nauczyciel wzdychał, ale wnet odpowiadał z uśmiechem:

- To tylko do wiosny... Na wiosnę Francuz przyjdzie... Byle wytrwać!...

I na ściennym kalendarzu rachował, ile jeszcze dni do porównania wiosennego, ile do Wielkiej Nocy, a ile do maja.

- W maju sami się nie poznamy! - mówił.

Co do mnie, wybierałem się za innymi. Wystrugałem sobie łuk, pukawkę i wyostrzyłem pałasz tak, że wióry krajał. Miałem pełną głowę wojny i tylko wypadek wstrzymał mnie od opuszczenia domu.

Raz śniło mi się, że widzę długie szeregi żołnierzy w niebieskich frakach, białych spodniach i szkopkach na głowie. Każdy miał w lewej ręce karabin, za plecami pałasz, ceglaste rumieńce na twarzy białej jak kreda i szeroko rozwarte oczy. Wszyscy byli osadzeni na deszczułkach spojonych na krzyż jak nożyczki. Ktoś nieustannie zamykał i otwierał deszczułki, a żołnierze szykowali się w kolumnę albo w szereg, sztywni, nieruchomi na swoich kółeczkach, strasznie patrzący przed siebie.

Domyśliłem się, że będzie bitwa. Lecz że oprócz mnie nie było nikogo na placu, więc schwyciłem swój pałasz, machnąłem i całe wojsko upadło na ziemię obalone. Jeszcze parę razy z wielką trudnością sformowali szereg i kolumnę, potem skrzypiące deszczułki przestały się poruszać i - leżał żołnierz obok żołnierza, z wywróconymi oczyma, z włosami zaczesanymi na skronie, błyszczący farbą, którą był pomalowany.

Wtedy przypomniałem sobie opowiadanie naszej kucharki, że dotychczas tylko Francuz robił podobne spustoszenia, i obudziłem się pełen wielkiej odwagi.

O zwykłej porze niańka, napaliwszy w piecu, zaczęła mnie ubierać. Gdy mi wciągała buty, rzekłem grubym głosem:

- Trzeba mi na noc buty wysmarować łojem, bo jutro wychodzę.

- Gdzież ty chcesz iść?

- Na wojnę.

- Cóż byś tam robił?

- Już ja będę wiedział, co robić. Baba popatrzyła mi w oczy.

- W imię Ojca i Syna!... - zawołała. - Świat się kończy czy co, że i ten fąfel gada o wojnie?

Nie powiem, ażebym się rozgniewał; czułem jednak, że teraz nie wypada mi być łagodnym. Właśnie niańka wzuwała mi drugi but, gdy ja wyrwawszy nogę kopnąłem ją w kolano i w nie dociągniętym bucie wyskoczyłem na środek pokoju wołając:

- Właśnie, że pójdę, do stu diabłów!... A jak mi jeszcze co powiecie, to wam w łeb strzelę...

Nagle staruszka objęła mię rękami i stała się rzecz, której wcale nie przewidywałem. Nogi moje znalazły się tak prędko w górze, że mi but spadł, brzuch i piersi oparły się na kolanach staruszki, a przed oczyma, zamiast drzwi, zobaczyłem podłogę. Zarazem uczułem, że niańka jedną ręką opasuje mi tułów, drugą zaczyna odpinać guziki barchanowych majtek.

Wiłem się i rzucałem, ale na próżno. Wówczas zacząłem prosić.

- No, wojujże, wyrwij się, kiedyś taki chwyt!... - wołała niańka trzęsąc się ze zmęczenia. - A ty rozpustniku, ty wisielcze! ... W domu i tak pełno zgryzoty, a jeszcze ten nicpoń odgraża się...

Zapłakałem ze wstydu, a wtedy baba postawiła mnie aa podłódze i ocierając łzy mówiła już łagodniej:

- Oto widzisz, jak by ci było na wojnie. Złapaliby cię i nimbyś nogą grzebnał, dostałbyś z pięćdziesiąt nahajów. Już i ja bym d wtedy nie pomogła, nawet pani.

Ostatnia uwaga zrobiła na mnie wrażenie.

- Cóż to, na wojnie biją się nahajkami? - spytałem zachmurzony.

Doznałem przykrego zdziwienia, jak gdybym nagle usiadł w miejscu, z którego usunięto krzesło. Rzucić się z moim pałaszem na cały szereg wojska potrafiłbym, ale nahajki przerażały mnie. W głębi duszy nie wierzyłem, aby to mogła być prawda; swoją drogą, ile razy pomyślałem o wojnie, przywidywało mi się, iż ktoś chwyta mnie wpół i przewraca do góry nogami tak prędko, że nawet nie mam czasu sięgnąć po pałasz.

Ten osobliwszy pogląd na sztukę wojenną ochłodził mój heroizm. Nie wyrzekłem się wojny, ale postanowiłem iść nie prędzej, aż tyle urosnę, że mnie lada kto nie wywróci. Zrobiłem na piecu kreskę, jak mogłem dosięgnąć ręką, i mierzyłem się po kilka razy dziennie, patrząc, czy daleko do upragnionej wysokości?... I dziwna rzecz, kiedym był wesoły, tom podrastał, a gdym był smutny, tom tak malał, że prawie tracił nadzieję dosięgnięcia miary przed przybyciem Francuzów.

"Ha! - myślałem - to i tak pójdę. Wleżę w środek i niech mnie nie dają..."

Zajęty takimi planami nie zważałem na mamę, w której usposobieniu zaszły pewne zmiany. Prawie od dnia, kiedy usłyszałem o wojnie, matka źle sypiała, pobladła. Jej

energiczny głos przycichnął, coraz mniej biegła po domu, a częściej siadała na fotelu, zmęczona, i zaplótłszy palce o palce marzyła o czymś.

Listy do brata zwykle mama wysyłała przez okazję; w tych czasach zaczęła pisywać przez pocztę. Co dzień wypytywała się o bryftrygiera, a gdy nie nadchodził, wysyłała na pocztę parobka, nakazując mu, ażeby dowiedział się, czy nie ma listu.

Czasem przybywał list, ale nie zmniejszał niepokoju mamy. Odpowiadała natychmiast i znowu czekała, pytała się o bryftrygiera i wysyłała na pocztę.. Zresztą o bracie nie mówiła nic.

Jakoś przed Wielkanocą siedzieliśmy raz przy obiedzie: mama, pan Dobrzański i ja. Pamiętam, że był postny dzień, bo dali supę piwną. Właśnie na drugą potrawę niańka przyniosła talerz pierogów z powidłami, oblanych masłem i posypanych tartą bułką, kiedy ukazał się posłaniec z poczty i oddał mamie list.

Zaczęła go czytać tak długo, iż przyszło mi na myśl, że pierogi na nic wystygną. Machinalnie wziąłem do ręki widelec, który upadł na talerz z takim hałasem, aż mnie przeszło gorąco.

Zalękniony, rzuciłem okiem na pana Dobrzańskiego, ale ten siedział bez ruchu, ze spuszczoną głową. Spojrzałem na mamę i zdziwiłem się.

Mama była strasznie zmieniona. Zdawało się, że w jednej chwili twarz jej przybrała piaskową barwę, a oczy w głąb zapadły. Oparła głowę na jednej ręce, a w drugiej, daleko odsuniętej, trzymała list. Usta jej były zaciśnięte i blade.

Siedzieliśmy tak wszyscy troje milcząc, aż wreszcie na pierogach masło zakrzepło. Nagle mama rzuciła list na stół.

- Pan wie - rzekła do nauczyciela - że Władek poszedł? Pan Dobrzański poprawił się na krześle, spojrzał na list, ale nie odpowiedział.

Matka zaczęła mówić głosem trochę drżącym, lecz uśmiechając się chwilami:

- No, nie wiedziałam, że do tego prowadzi rozum uniwersytecki!.. .. Wydaliśmy na niego dziesięć tysięcy, a ja po śmierci męża pracowałam jak sługa, byle tylko jego popchnąć wyżej. Już nawet nie pamiętam, jak wyglądają całe trzewiki, a pomimo to mam długi. Gdybym dziś umarła, młodszy zostałby chyba pastuchem.

A on, głowa domu, tymczasem poszedł na wojnę.... Nie tylko nie pytał się, ale nawet nie radził matki. Może dlatego, że wygląda na prostą babę!...

Sam zadysponował moimi pieniędzmi, swoją przyszłością i losem tego oto smarkacza, który jednej klasy nie będzie miał za co ukończyć... Cóż pan na to, panie Dobrzański?

- Nie pierwszy on i nie ostatni - szepnął nauczyciel.

- Dla mnie pierwszy i ostatni... - odparła matka podniesionym głosem. - Komu nóż wbijają w serce, ten nie pyta, czy innych spotkało to samo, ale woła - że boli!... Co mnie obchodzą inni?... Inni nie wyrastali pod moim okiem, ja nie opłakiwałam ich, kiedy szli do szkół, nie myślałam, że po całych latach tęsknoty zobaczę ich choć na starość, ażeby się już nie rozłączać...

Oparła głowę na obu rękach.

- Myślałam, że wróci i tu osiadzie. Chciałam go ożenić, oddać cały dom, sama mieszkać na górze. Oni przyjmowaliby gości, a ja, w moim starym kaftanie, z kluczami, biegałabym za gospodarstwem. Chciałam go tylko widywać choć przy obiedzie, jeżeliby nie miał gości, to wszystko... Czym nawet tego niewarta?... Czym kiedy narzekała, że tylko raz na miesiąc pisuje, a po parę lat nie przyjeżdża?... A on tak mi zapłacił!...

Zasłoniła oczy nie mogąc powstrzymać łez.

- On nawet nie wie, com ja przy nim wycierpiała - mówiła szlochając. - Urodził się na j pierwszy, a był taki duży, zem mało nie zmarła... Chorowałam dwa miesiące... A jak ssał!... Rany mi porobił na piersiach... Czasem z bólu ćmiło mi się w oczach, łzy... płynęły jak groch... Ale kiedy przyszła mamka, żal mi go było jej oddać. Bałam się, że może mnie będzie mniej kochał... No - i zgadłam!... Człowiek, kiedy wyjeżdża z karczmy, gdzie popasał, to jeszcze rzuci łaskawym okiem na szynkarza i powie mu dobre słowo... A on wyrzekł się matki, jak nic... I pomyśleć tu, że go już może nie zobaczę...

Stary nauczyciel zwrócił na matkę szklę zasze oczy.

- Widzi pani - rzekł - to już takie czasy... Czasy!... Odetchnął zadyszany i mówił dalej:

- Znowu zaczerwieniła mi się blizna na piersiach i noga strasznie boli, jak zwykle na wilgoć... Dziś więcej niż kiedy nad tym cierpię... Ale co ja tu baję. Oto chciałem powiedzieć, że kiedy pani tak desperujesz po Władku, to sprowadzimy go na powrót.

Matka rzuciła się na krzesło.

- Skąd?... A gdzie jest?...

- Poszukamy, znajdziemy.

- Nie zechce wrócić.

- Wróci. On nie myślał, że pani tak będziesz rozpaczać. Matka zamyśliła się, a nauczyciel mówił:

- Napiszę do znajomych, dowiem się o jego adres, i - niech najgorsze czasy przesiedzi w domu.

Nauczyciel wstał od stołu oglądając się za czapką. Matka także podniosła się i przelotnie spojrzała w okno.



- Gdzie pan idziesz? - spytała.

- Napiszę list - odparł.

W tej chwili, za oknem, poślizgując się na śniegu albo grzęznąc w błocie, z wolna włókł się stary człowiek, którego nazywano zdrajcą. Pan Dobrzański nie widział go, ale matka spostrzegła. Drgnęły jej usta i na twarz wystąpił rumieniec.

- Cóż to, wahaś się pani? - spytał zdziwiony nauczyciel.

- Nie.

- Zatem - rzekł - powiem mu tak: matka pod błogosławieństwem nakazuje ci, ażebyś natychmiast wrócił.

- Nie.

- Więc nie pisać?...

- Owszem.

- Więc cóż pisać?... - rzucił się nauczyciel.

- Napisz pan - szepnęła łkając - że matka posyła mu swoje błogosławieństwo, o którym zapomniał...

I opuściła pokój.

Nauczyciel stał jak automat, bezmyślnie patrząc na drzwi. A gdy niańka zebrała talerze, głośno przeżegnał się i zaczął zwykłą modlitwę poobiednią:

"Dziękujemy Ci, Panie Boże, za Twe dary..."

Nagle przerwał, machnął ręką i wyszedł. Widać nie skończył modlitwy dlatego, że na obiad jedliśmy tylko zupę, a pierogi z powidłami zostały.

Tego samego wieczora zebrali się u nas państwo burmistrzowie z córkami i pani majorowa z wnuczkami, ażeby mamę rozerwać. Panie miały miny jak na pogrzebie. Potem przyszedł pan Dobrzański, podano herbatę i zaczęto rozmawiać. Panny utyskiwały, że niedługo zabraknie kawalerów, jeżeli wszyscy pójdą na wojnę, a pan prezydent rzekł:

- To jeszcze nic, bo tacy, co z wojny wracają, najskorsi są do małżeństwa. Ale będzie gorzej, jak z połowa ich wyginie... Co może zwojować garstka przeciw masie!...

- Przypomnij pan sobie Leonidasa albo Wilhelma Tella - wtrącił pochmurnie nauczyciel. Burmistrz przymrużył oczy.

- Wilhelm?... Wilhelm?... - powtarzał, na próżno usiłując przypomnieć sobie dwu wymienionych panów. Pan Dobrzański wzruszył ramionami.

- No - rzekł - nie męcz pan sobie pamięci. A co do tego, że jest ich garstka, nie może być inaczej, jeżeli wychodzą jednostki, a setki siedzą w domu. Czy na przykład nie wstyd, żeby taki basałyk jak wasz kasjer wygrzewał się tu u wszystkich pieców, kiedy inni giną?...

- Ma rację - wtrąciła majorowa. - Mój Boże! taki czerstwy mężczyzna...

- Dajcie pokój kasjerowi - odezwał się pan burmistrz. - On pójdzie, on nie wytrzyma, ale jako człowiek punktualny, musi pierwej odrobić biurowe zaległości.

Lecz było już za późno, bo panny naradzały się w kącie i o ilem zmiarkował, coś przeciw kasjerowi wymyśliły.

Od tej pory pan kasjer stał się prawdziwym męczennikiem. Każda panna, którą spotkał, zapytywała go:

- Pan jeszcze tutaj?

A prócz tego co kilka dni posyłały mu zajęczą skórkę albo kądziel.

Po każdym takim prezencie pan kasjer przybiegał do nas, siadał naprzeciw lustra i poprawiając wysoki kołnierzyk narzekał przed mamą:

- Głupie te panny i fałszywe - mówił. - Niby to chcą, żebym wyszedł, a każda aż piszczy, żebym się z nią ożenił... Płaczą, że brakuje kawalerów, a i tego chcą się pozbyć, który został. No, ale im pokażę!... - dodał z westchnieniem. - Już obstałowałem długie buty...

Istotnie w kilka dni zaczął pan kasjer składać wizyty w butach, które sięgały mu wyżej kolan. Napomykał przy tym, że może wypadnie mu opuścić miasto, i prosił każdą z panien na osobności, ażeby czasami pomodliła się na jego grobie. Następnie opowiadał mamie, że każda miała łzy w oczach, co sparaliżowało jego wojownicze zamiary.

Więc został. A panny znowu poczęły dziwić się, że jeszcze jest tutaj, i nadsyłać mu kądziel i zajęcze skórki przez rozmaitych posłańców. Doszło do tego, że pan kasjer pobił raz Żydka, który mu odnosił starannie zawiniętą kamizelkę, myśląc, że Żyd należy do spisku i że mu chce doręczyć jaki kompromitujący upominek. Nareszcie pokłóciwszy się ze wszystkimi pannami kasjer sprowadził sobie podróżną torbę, wziął urlop na dwadzieścia osiem dni i - wyjechał. W końcu zaś tygodnia moja mama, pan burmistrz i pani majorowa odebrali bezimienne listy donoszące, że zginął w bitwie. Pan burmistrz przybiegł do nas mocno zirytowany.

- Wyobraź sobie pani- zginął!... -mówił do mamy- zginął... taki punktualny urzędnik. Oto są skutki babskich agitacyj! Gnębiły go, nękały, aż poszedł i w tej chwili dostał w łeb... Trzeba by może sprawić nabożeństwo żałobne czy kiego diabła?...

- Nie godzi się tak mówić - zaoponowała moja matka. -Bohaterem, co prawda, nie był on nigdy, ale kiedy go już Bóg powołał, trzeba zmówić wieczny odpoczynek, a nie sadyzić diabłami.

Pan burmistrz słuchał, ale krzywił się i patrzył na list donoszący o śmierci.

- Widzisz, pani dobrodziejko, to prawda. Jest tu napisane, że zginął, że bil się walecznie, że nawet cały oddział nosi po nim w sercu żalobę, ale... kiedy ten list tak wygląda, jakby on go sam pisał zmienionym charakterem... Ha, możemy zresztą odprawić nabożeństwo. Nie przyda się jemu, to drugiemu, a zawsze naprawi chłopcu reputacją!...

Ale ksiądz proboszcz odczytawszy list radził nie spieszyć się z egzekwiami, co mocno oburzyło panny, z których dziś każda opłakiwała pana kasjera na własny rachunek i przed mamą nazywała go swoim rycerzem. Wszczęły się nawet spory o nieboszczyka, których wcale nie można było rozstrzygnąć, ponieważ każda z panien miała po nim takie same pamiątki: wiersze patriotyczne na welinowym papierze, zeschnięte kwiaty i pęczek włosów.

Tymczasem we trzy tygodnie ukazał się pan kasjer. W pierwszej chwili myślano, że jest przynajmniej ranny; władał jednak wszystkimi członkami i nawet utył. Gdy go zaś spytano, co znaczyła wiadomość o jego zgonie, zaczął opisywać tak straszne bitwy, w których przyjmował udział, że pan burmistrz o mało nie uznał go za nieboszczyka po raz drugi. Ciężkie przejścia nie zostawiły jednak śladów. Opatrzność czuwająca nad mężnymi strzegła nie tylko jego osoby, ale nawet jego podróźnej torby, wysokich butów i całej zresztą garderoby, od której wir politycznych wydarzeń ledwie zdołał mu oderwać kilka guzików. Wiem o tym, bo dla przyszycia ich pożyczął pan kasjer od mamy igły i nici.

Pan Dobrzański wysłuchawszy opisu wszystkich walk i tego, co pan kasjer dokazywał na prawym skrzydle, na lewym skrzydle, jako strzelec i jako kawalerzysta, zakonkludował krótko:

- On tak widział bitwę jak ja Chiny.

Nawet pan burmistrz miał niejaki wątpliwości nie co do męstwa i czynów kasjera, ale co do miejsca i czasu. Z jego bowiem opisów wypadało, że nie jadł i nie spał, tylko walczył, niekiedy od razu w kilku punktach.

Pan kasjer dowiedziawszy się o tym zaprosił do naszego domu księdza proboszcza, pana burmistrza i pana pocztmajstra. Gdy zasiedli w saloniku, a proboszcz podłożył sobie rękę pod ucho, ażeby lepiej słyszeć, rzekł:

- Doszło do mojej wiadomości, że są ludzie, którzy powątpiewają o moich zasługach...

- Ależ!... - przerwał zarumieniony pan burmistrz kręcąc się na fotelu.

- Owszem - pochwycił kasjer - powątpiewają, wiem, że powątpiewają... Otóż ja chcąc oczyścić się z podobnych zarzutów przedstawię panom - dowody.

Wydobył z kieszeni scyzoryk, otworzył go, rozpiął żakiet, potem kamizelkę i zaczął dolny jej brzeg odpruwać.

- Aha!... - szepnął do proboszcza pocztmajster - stan służby...

I podniósł brwi bardzo wysoko.

- Nie! - dumnie odpowiedział kasjer prując dalej.

- Pewnie lista bitew, w których się odznaczył - dodał burmistrz i niespokojnie uderzył się w udo.

- Wcale nie! - odparł już niecierpliwie pan kasjer i - położył na stole papieraś, mało co większy od bibułki do zwijania papierosów.

Pan burmistrz wsadził okulary i wzięwszy drżącą ręką kartkę przeczytał półgłosem:

- Aha!... Nominacja na... na pomocnika... na pomocnika naczelnika parafii... A co mówiłem! - wykrzyknął.

- Teraz, panowie, chyba wiecie, kim jestem? - zapytał kasjer. Ale ponieważ do saloniku w tej chwili wszedł pan Dobrzański, więc kasjer spojrzawszy na niego z góry pocałował mamę w rękę i wyszedł do miasta.

- Zawsze twierdziłem - rzekł pan burmistrz - że on będzie wielkim człowiekiem! No, panie Dobrzański, zgadnij, czym jest nasz kasjer?...

Nauczyciel oparł się na kiju i rzekł, bystro patrząc w oczy panu burmistrzowi:

- Był i jest chłystkiem...

Pan burmistrz rzucił się na kanapie.

- Ale w tej chwili czytaliśmy jego nominacją... - zawołał.

- Na osła dardanelskiego! - odparł gniewnie nauczyciel.

- Mógłbyś się pan nareszcie do niego przekonać... - wtrącił pocztmajster i machinalnie uderzył pięścią w stół, jakby przybijając stempel.

- Nie mam przekonania do dyrektorów kocich muzyk!... -krzyknął nauczyciel. - Nie lubię błaznów, a jego szczególnie, choćby miał nominacją wypisaną na własnej skórze.

Od tej pory pan kasjer pokazywał swój dokument paniom i pannom, a nawet mnie. Przed mamą skarżył się na ciężar władzy, a do mnie raz powiedział:

- Szczęśliwe dziecko, nie znasz, co to jest odpowiedzialność i troska o wszystkich.

- Wielkich trosk to chyba pan nie ma - zauważyła mama. - Nic pan nie robi, z nikim się nie widuje...

Pan kasjer, jak zwykle, usiadł naprzeciw lustra.

- Bah! - rzekł z westchnieniem, podgarniając palcami włosy. - Co to jest, proszę pani, wciąż myśleć, że tam są głodni, tam źle odziani, tam nie uzbrojeni. Że tu mogą wywieźć, tu spalić, tu pozabijać!... Bać się o wszystko i o wszystkich, słowo honoru - to nad siły człowieka!...

- Więc po cóż się pan tak boi? - spytała zdziwiona mama.

- Ja się nie boję! - skoczył pan kasjer na krzesło - ale troszczyć się o innych to mój obowiązek... Któż mnie zastąpi?...

Z panem Dobrzańskim wcale nie rozmawiali.

Tymczasem nadeszła wiosna, a mnie poczęła ogarniać nieokreślona tęsknota i ciekawość. Czy wstawałem, czy kładłem się spać, zawsze zdawało mi się, że usłyszę, a może zobaczę coś niezwykłego. Co to miało być? - nie wiem, lecz jestem pewny, że przeczucia te podsycala we mnie sama natura, jakaś dziwna w tym roku. Jednego dnia nagle znikły śniegi i ze wszystkich wzgórz zaczęły płynąć potoki wody, jakby ktoś przed nadchodzącymi świętami mył ziemię. Potem zerwał się wiatr i przez kilka dni z największym pośpiechem zbierał wilgoć aż do sucha. Słońce wstawało coraz wcześniej chcąc także zobaczyć: co będzie? Widziałem, że co dzień wyżej wznosi się nad ziemię i ogarnia szerokie widnokregi, a ku wieczorowi ociąga się z zachodem. Raz nawet schowawszy się za horyzont wychyliło się powtórnie, jak zbudzony człowiek, który podniósł głowę i pyta: a co tam?...

Wnet zazieleniły się pola, a z niektórych drzew pierwiej niż liście wyskoczyły kwiaty i patrzyły zdumione szemrząc: "Tu coś miało być?... czy jeszcze nie było?..." Zdawało mi się niekiedy, że wiatr płynący zza lasu coś im szepcze, a one chwieją gałęzmi i ze zdziwienia szeleszczą: "Aj,aj! aj!..."

Nieraz uważałem, że nauczyciel idąc do nas na lekcję stawał na ulicy i oglądał się za siebie. Po co?... Czasami mama biegła do okna i popatrzawszy chwilę wracała, jakby ją zawód spotkał. Nawet służba folwarczna bez powodu gromadziła się na dziedzińcu i milcząc śledziła horyzont.

Raz zobaczyłem coś nowego w pokoju. - Aha!... - krzyknąłem - jest!... - Lecz była to tylko pierwsza mucha w tym roku, pólenna i wygłodzona.

Przyleciały skowronki i pionowo wzbijając się nad polami ogłaszały coś w swoim zdrobniałym języku, a potem nagle padały na ziemię jak kamień, świegocząc zalęknione: "Już! już!" Przyleciały bociany i zasiadłszy w gnieździe na topoli po całych dniach opowiadały niesłychane historie, z niedowierzaniem kiwając głowami. Przeciągały obłoki, czasem pokłębione i spieszące się gdzieś, niekiedy poszarpane i jakby uciekające.

- Skąd one? dokąd one? o czym rozpowiadają bociany? czego lękają się skowronki? - pytałem. I paliła mnie ciekawość ujżenia nieznanymi rzeczami.

Nawet w domu nie miałem spokojności. Czasem wróbel siadał na gałęzi i pilnie przypatrywał się salonikowi; to znowu wpadał wiatr przez okno i z szelestem obiegał nasze pokoiki; to znowu słońce wysyłało na zwiady pęk światła, który ostrożnie zaglądał za piec, pod stół, za kanapę, i wreszcie - cofał się drżący, aby za kilka dni powtórzyć swoje śledztwo.

- Czego oni chcą od nas? czy to u nas ma coś być? - pytałem zatrwożony. A wtem zegar stanął. Gdy pobiegłem zobaczyć, co mu jest, spostrzegłem obok na stoliku książkę do

nabożeństwa, otwartą na słowach suplikacyj: "Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami..."

Od tej pory wszystko mnie przerażało. Czekałem na coś nieznanego, a gdy raz niańka krzyknęła głośniejsze:

- Już idzie!... idzie!...

Zerwałem się od lekcji i wpadłem do kuchni pytając:

- Co idzie?...

- Walek z miasta - odpowiedziała. - Ale cóżeś tak pobladł?...

- Nic, nic...

I wróciłem przekonany, że - już coś idzie tutaj, na co wszyscy oczekiwali.

Któregoś dnia, w pierwszej połowie maja, zrobił się u nas ruch. Po południu przyszedł pan kasjer.

- Boję się - mówił wzruszonym głosem do mamy - boję się, żeby u nas nie było jakiego głupstwa. Jedni z tej strony, drudzy z tamtej, a my - we środku... Może być źle...

I otrząsnął się jak na mrozie.

- Cóż tam panu? - odparła mama. - Pan już jesteś oswojony, ale my... A jednak... przyjmujemy wszystko, co Bóg da.

- Nie myśli pani wyjechać? - spytał nagle. - Bo ja w razie czego...

- Dokąd?... Zostają inni, zostaniemy i my. Co nas ma spotkać, niech spotka na miejscu. Nie wiadomo, czy uciekając przed imaginacją nie trafilibyśmy na nieszczęście.

Pan kasjer pobladł.

- To prawda, to prawda - rzekł. - Ha, więc i ja zostanę. Pożegnał mamę, lecz wrócił się ode drzwi.

- Jednakże dzisiaj można by jeszcze znaleźć wolną drogę... Kto wie, czy nie wyjadę...

Nagle - machnął zaciśniętą pięścią i tonem wielkiej energii dodał:

- Zresztą - pal diabli!... Zostanę. Raz kozie śmierć... Ale na ganku znowu widać opuściła go energia i z miną bardzo zafrasowaną oglądał się na wszystkie strony.

Dziwna rzecz, te wątpliwości kasjera obudziły we mnie złowrogi przeczuć, jak gdyby od jego pozostania w mieście zależało czyjeś życie. Byłem tak zmieszany, że pomimo nieśmiałości zapytałem matki:

- Moja złota mamó - co to będzie?... Nadspodziewanie matka, zamiast ofuknąć, pogłaskała mnie i odpowiedziała spokojnie:

- Nic nie będzie, moje dziecko, nic. Weź się do książki i nie rób takich wielkich oczu, bo będą śmiać się z ciebie jak z pana kasjera.

Słowa te od razu mnie uspokoiły. Rozejrzałem się. W kuchni, jak zwykle, krzątają się koło obiadu, na dziedzińcu chłopiec rąbie drzewo, ogród kipi śpiewem ptaków, a z nieba leją się potoki wiosennego światła.

"Co tu nabijać sobie głowę jakimiś strachami?" - pomyślałem i zamiast do książki - wziąłem się do robienia wózka.

W duszę zaczęło mi napływać majowe ciepło, szelest drzew, zapach kwiatów... Chwilami odkładałem na bok wózek, ażeby przypatrzeć się mrówce z wolna przechodzącej z trawy na trawę, albo schwyciwszy rękoma za gałąź huśtałem się i wywracałem koziółki, śmiałem się, sam nie wiem z czego. Czułem tylko, że jak tym oto ptakom, tak i mnie serce napelnia radość i że mi jest dobrze na świecie. Zdaje mi się, że była to najszcześniejsza chwila w moim dzieciństwie. Spadła bez powodu, trwała krótko i nieznacznie odeszła.

Dzień upłynął spokojnie. Około dziesiątej wieczór, jak zwykle, rozebrała mnie niańka i - twardo zasnąłem. Wkrótce ocknąłem się, ale niezupełnie; poczucie rzeczywistości mieszało się z marzeniem. Wiedziałem, że jest noc i że leżę na łóżku, lecz marzyłem, że w poduszce jest jakby czworokątne okienko, przez które patrzę na inny świat. To znowu zdawało mi się, że pływam w nieokreślonej przestrzeni, a jednocześnie słyszę, że ktoś stąpa po pokoju. Chciałem otworzyć oczy, ale zarazem mówiłem sobie: jeszcze chwilę, otworzę później... Nagle zatrząsałem się od stóp do głów i usiadłem na łóżku. Jakiś głos cicho, ale wyraźnie szeptał prawie nad moim uchem:

- Już idą...

- Kto tu jest? - zapytałem strwożony.

Żadnej odpowiedzi.

Zeskoczyłem na podłogę i po omacku doszedłem do łóżka mamy. Ale mamy nie było.

Wróciłem na swoją pościel i owinąwszy się kołdrą słucałem. Z ulicy dochodził jakiś ciągły szmer, podobny do rześistego deszczu. Przetarłem oczy; szmer nie ustal, ale zrobił się podobny do stąpania wielu ludzi po piasku. Czasami coś szcęknięło, czasami koń parsknął, to znowu coś ciężko toczyło się i na mgnienie oka ustawało. Potem rozległo się szarpnięcie i - znów dychać przytłumione toczenie się, parskanie, niekiedy szcęk, na tle jednostajnego szmeru, jakby ludzkich nóg, które szły, szły i szły bez końca.

Trwało to dłużej niż kwadrans, a gdy zegar wykukał drugą godzinę, szelest osłabnął, zagłuszony cichym turkotem wozów. Teraz dopiero usłyszałem na ulicy głos z ludzkiej piersi; ktoś przeciągle ziewnął: "A... a... a!..."

Potem i turkot przycichnął, po raz drugi odezwał się szmer jednostajny i toczenie się chwilami przerywane - i z wolna wszystko umilkło. A wtedy zauważyłem, że pod ścianą domu na dziedzińcu ktoś mówi jęklwym głosem: "Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami..."

Nie mogłem wytrzymać. Wstałem z łóżka i z wyciągniętymi rękoma, potykając się w ciemności o sprzęty, wyszedłem z pokoju do sieni mówiąc przyciszonym głosem:

- Mamo!... gdzie mama?...

Uderzyłem ręką o drzwi wychodzące na podwórze, ale drzwi były zamknięte. Już chciałem wołać, ażeby kto przyszedł, gdy wtem padło na mnie z góry skąpe światło. Przypomniałem sobie pokoik na strychu i wdrapałem się tam po schodach, które za każdym krokiem załośnie skrzypiały.

Stanąłem przy oknie. Owiął mnie świeży oddech nocy i pierwszy, niepojęty strach zaczął stopniowo zmniejszać się przechodząc w ciekawość.

"Nic nie ma - mówiłem w duchu. - Zwyczajni jacyś ludzie idą i jadą..."

I wyteżyłem wzrok kierując się odległym szmerem, który jeszcze dolatywał od czasu do czasu. Noc nie była ciemną ani pochmurną; był to raczej szary zmrok, nad którym unosiło się czarne niebo, słabo iskrzące gwiazdy, a nisko, nad horyzontem, pasek księżyca w ostatniej kwadrze, wąziutki i ponury. Przy tym świetle zobaczyłem coś, o czym nie marzyłem nawet we śnie. Na bocznej drodze, w lewo od naszego domu, sunęła między polami olbrzymia żmija!... Głową już sięgała samotnej chaty, a ogon jeszcze krył się w olszynie. Wypełniała całą szerokość drogi czołgając się powoli, w ogromnych skrętach. Od olszyny zginała się na prawo, od jaru wielkim łukiem zwracała się w lewo, około chaty znowu w prawo. Miejscami zapadała w doliny, miejscami pełzała po wzgórzach. Blask księżyca skośnie padający na ziemię oświetlał to niezmierne cielsko najeżone iglicami, których końce migotały w sposób nad wszelki wyraz dziwny. Niekiedy zdawało się, że to fale potoku, który niepojętym zrządzeniem wspina się sam na wzgórze, a czasem wyglądało jak iskierki ciemnego ognia, gdyby ogień mógł być ciemnym.

Przypadkiem spojrziałem na gościniec, który biegł na prawo do miasta, i tam, już niedaleko lasu, zobaczyłem - takiego samego potwora. Tylko ten zdawał się być jeszcze dłuższy, jeszcze grubszy i lśnił się jeszcze posepniejszym blaskiem.

Na podwórzu rozległ się szelest kroków; poznałem niańkę.

- Co to jest, Łukaszowo, tam na gościńcu?

- Wojsko!... - odparła chrypliwym szeptem.

- Wojsko?... - powtórzyłem. - Wojsko!... - i zeszedłem na dół.

Mama już wróciła do pokoju i zapaliła świecę. Myślałem, że mię wykrzyczy za to, że wyszedłem z łóżka i w jednej koszuli wlażłem na strych. Ale nie robiła mi żadnych wymówek.



Sam nie wiedząc dlaczego, zacząłem się ubierać, a następnie, już wciągnąwszy but na nogę, położyłem się i zasnąłem. Musiałem przez sen krzyczeć, bo mama zbudziła mnie, oglądała mi usta i dotykała głowy.

Około dziewiątej z rana (właśnie kończyłem jeść kaszę z mlekiem) przybiegł do nas pan kasjer. Był nie uczesany i już w progu zawołał:

- Nie zgadnie pani, co zdarzyło mi się dziś w nocy!... Mały figiel i nie zobaczylibyście mnie więcej... Ale... Dzień dobry pani!... Jestem tak wzruszony, że zapomniałem przywitać się.

Pocałował mamę w rękę, mnie pogłaskał i usiadł na krześle.

- Cóż się stało? - zapytała mama, ze zdziwieniem patrząc na niego.

- Nadzwyczajny wypadek, jaki tylko mnie mógł spotkać! - odparł kasjer.

I nagle dodał wysiłając się na słodką minę:

- Czy nie dostałbym u pani szklanki wody?...

- Może herbaty?... ,

- Z na j większą chęcią...

- A może z arakiem?...

- Pani taka łaskawa... Stokrotne dzięki!...

Wnet przyniesiono herbatę, cukier i arak. Pan kasjer upił trochę herbaty, dolał araku, znowu upił i znowu dolał, potem -jeszcze raz dolał i zaczął:

- Słyszała pani, że dziś w nocy przechodziło wojsko?...

Mama skinęła głową.

- Masa wojska... masa! Piechota, kawaleria... armaty!... -dodał ciszej. - Armaty tak wielkie, że ledwo konie mogły uciągnąć...

W tej chwili przyszło mi na myśl owo ciężkie toczenie się, które słyszałem w nocy.

- Masa wojska i masa armat - mówił kasjer popijając każde zdanie herbatą.

- Ja - prawil - już spałem. Śniła mi się - wtrącił niedbale - bitwa, w której odznaczyłem się najwięcej, gdy wtem - budzę się i słyszę, że idzie wojsko!...

Zrywam się, nie tracę przytomności, ale mówię w duchu: "Już po mnie." Wiadomo pani - dodał ciszej - jaką tu odgrywam rolę, a gdyby mnie schwytano...

Ostatni wyraz wypowiedział bolejącym tonem. Odgadłem, że bardzo by się żałował.

- Naturalnie pierwsza rzecz zniszczyć ślady. Sięgam do portmonetki, gdzie schowałem moją nominację, po ciemku wyszukuję ją i - połykam!...

No, teraz, myślę, niczego mi nie dowiodą, i spokojnie zasypiam. Uważa pani, zasypiam najspokojniej w świecie... Brm!...

Pan kasjer otrząsnął się i znowu dołał araku.

- Tymczasem - tu zniżył głos - niech sobie pani wyobrazi, wstaję rano, chcę słudze dać pieniądze na bułki, otwieram portmonetkę i - w pierwszej przegrodzie, wie pani, co znajduję?... Moją nominację!... O, tę samą!...

Istotnie trzymał w ręku niebieski papierek.

- Struchlałem - prawil - pot mnie oblał. Boże, gdyby tak w nocy zrobili rewizją!... Ale, czy wie pani, co połknąłem zamiast nieszczęśliwego dokumentu?...

Spoglądał kolejno na mamę i na mnie.

- Połknąłem... papierek trzyrublowy!... Połknąłem ostatnie trzy ruble, które mi były bardzo potrzebne, a zostawiłem nominację, która mogła mnie zgubić!...

Trzeba było tylko rewizji, nic więcej. Niebezpieczeństwo stało za oknem, otarło się o mnie... Przez pół godziny byłem nad grobem!...

Myślałem, że pan kasjer zemdleje z żalu nad swoim możliwym nieszczęściem, i nie wiem dlaczego, żałowałem, że nie połknął swojej nominacji.

- Także zdarzenie! - odezwała się mama.

- Więc i pani mówi o tym tak spokojnie? - zdziwił się kasjer.

- Nic przecież nie stało się panu.

- Ale mogło... mogło się stać! - zawołał.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz potrząsnął głową. Następnie zaprowadził mamę do pieca i szepnął kilka wyrazów. Zdaje się, że mówił o połkniętych trzech rublach i że nawet w tym interesie wyszedł z mamą do drugiego pokoju na poufniejszą rozmowę.

W południe ukazał się pan Dobrzański. Mama wybiegła do niego.

- Słyszał pan... dziś w nocy?... - zapytała.

Kiwnął głową.

- Dużo wojska... dużo!... - mówiła matka. - Szli z trzech stron...

Nauczyciel uśmiechnął się.

- Wszystko dobrze!... - odpowiedział. Wesołość jego wpłynęła na mamę.

- No, Antoś, a my siadajmy do roboty. Powiedz deklamacją. Zacząłem:

W noc księżycową na cecorskim bloniu,

Gdzie Żółkiewskiego spotkał los okrutny,

Jechał Sieniawski odważny i smutny.

Niebieskie oczy serce mu zraniły

I swą srogością...

W tej chwili w pokoju drgnęły szyby.

- "Niebieskie oczy - powtórzył nauczyciel - serce mu zraniły i swą srogością spokoju zbawiły." Czemu nie kończysz?... Szyby drgnęły powtórnie.

- "Niebieskie oczy..." Czemu nie kończysz?... Szyby drgnęły dwa razy, raz po raz.

- Na co się gapisz? - spytał nauczyciel. Widocznie nic nie zauważył.

- Ktoś chodzi po strychu - odparłem, zmieszany nie pytaniami nauczyciela, ale tym odgłosem, jakiego jeszcze nie słyszałem.

- Chodzi po strychu? - powtórzył nauczyciel podnosząc głowę.

Szyby znowu zadrżały.

- Nie, to nie na strychu - rzekłem - to coś zrzucają...

- Co? Gdzie?... Tobie się marzy?...

- Przecież okna drżą...

Nauczyciel zerwał się z krzesła przerażony.

- Co ty mówisz, dziecko? - zawołał chwytając mnie za rękę.— Gdzie okna drżą?...

- Drżą, panie...

- Ty kłamiesz...

- Nie, panie - ja słyszę... Wziął mnie za drugą rękę.

- Przyznaj się - mówił - nie umiesz deklamacji i straszysz starego nauczyciela... To szkaradnie!

Patrzyłem zdumiony myśląc, że stracił rozum. Cóż tak nadzwyczajnego, że trochę trzęsą się szyby?

W tej chwili weszła mama.

- Panie Dobrzański - rzekła niespokojnie - jest coś złego... Teraz ściany drgnęły, a szyby zadźwięczały. Nauczyciel cofnął się.

- Bitwa - rzekł głucho.

I usiadł na moim krześle opierając ręce na kolanach. Na podwórzu zrobił się hałas. Wybiegliśmy. Nasz parobek i dziewczyny rozmawiali z jakimś Żydkiem, który jechał biedą z za miasta. Pokazał batem w kierunku samotnej chaty wołając: -Tam! tam!...-! znowu popędził konia chudego i okrytego pianą.

- Tam!... tam!... - powtórzył parobek pokazując na las, na krawędzi horyzontu.

- Jezu!... Jezu!... - lamentowała niańka.

Wymknąłem się po schodach na górkę i spojrzałem. Nic nie widać. Na skraju nieba kilka białych obłoków, niżej - błękitny las - wygon, po którym chodzą kasztanowate i czarne krowy - nad olszyną bocian wracający do gniazda i - nic więcej. Słońce świeci jak zwykle, dzień spokojny, czasem powieje ciepły wiatr od południa, a w powietrzu - cisza. Nawet ptaki nie świergoczą...

Ściany znowu drgnęły. Znowu cisza i znowu kilka drgnięć. Wyjrzałem w stronę miasteczka. Z domów powychodzili ludzie i stojąc przed sieniami słuchali.

"Więc to jest bitwa? - pomyślałem. - Phy! i ja bym tak potrafił."

Nie schodziłem jednak licząc na to, że może pan Dobrzański zapomni o mnie i upiecze mi się lekcja. Ale nadspodziewanie nauczyciel zawołał mnie na dół.

- No - rzekł usiłując zapanować nad sobą - każdy robi, co do niego należy. A my wróćmy do naszego.

Siadł, kazał mi znowu zacząć deklamacją, ale zmienił zamiar i zaczął liniować kajet. Chciał wypisać pierwszy wiersz, ale nie mógł utrzymać pióra w ręku, więc zadał mi przepisywanie z książki.

Gdym wziął się do roboty, on zaczął chodzić po pokoju. Co chwilę zbliżał się do okna i słuchał, a czasami mruczał:

- To ariergarda... Wymknęli się... Nawet już nic nie słyszą...

- Prawda, że nic nie słyszą? - zapytał mnie. Pomyślałem, że nauczyciel jest głuchy. Nie tylko bowiem drżenia okien powtarzały się co chwilę, ale w dodatku towarzyszył im jakiś odgłos wyraźniejszy, jakby gdzieś bardzo daleko zrzucano belki z wozu.

Nareszcie odgłosy stały się już tak mocne, że i pan Dobrzański usłyszał je. Wziął kij i czapkę i rzekł do mnie:

- Nie będzie lekcji, możesz pochować książki. Na podwórzu stała mama, pan pocztmajster i kasjer. Pocztmajster trzymał w ręku długą lunetę, a kasjer zdawał się być bardzo

kontem.

- Teraz mogą wszyscy przekonać się - mówił kasjer, niespokojnie drecząc na miejscu - że mam diabelnie zimną krew. Nic a nic mnie to nie obchodzi. Ja taki zawsze w niebezpieczeństwach. ...

- Panu chyba nie grozi żadne - odparła mama chłodno.

- Kto wie?... Nam wszystkim może grozić... Przy ostatnich wyrazach zakrztusił się i umilkł.

- Stąd nic nie widać - mówił pan pocztmajster przykładając do oka lunetę. - Muszę wejść na górkę...

- Ja pana zaprowadzę! - zawołałem. • Weszliśmy tam i pan pocztmajster spojrział przez lunetę. Lecz wnet odjął ją, wytarł chustką szkła z obu stron i znowu patrzył.

- Widzi pan co? - spytałem zaciekawiony.

- Widzę... Pszenicę... Las, a za lasem... Nic - i stąd nic nie widać.

- Z dzwonnicy pewnie by pan zobaczył.

- Masz rację, kochanku! - wykrzyknął pan pocztmajster. -Z dzwonnicy - wyborna myśl!... I zbiegł ze schodów.

Na dole mówił kasjer do mamy:

- Słowo pani daję, mam tak swobodną myśl, że mógłbym tańczyć. Mnie to nawet zajmuje, a nawet powiedziałbym, że trochę bawi. Dziś dopiero przekonałem się, że niebezpieczeństwo to mój żywioł... Bum!... bum!... cóż to za muzyka...

W tej chwili wbiegła na podwórze pani pocztmajstrowa.

- Ach, co za nieszczęście! - mówiła do mamy całując ją dwukrotnie. - Straszny dzień... Ja i prezydentowa pakujemy rzeczy, a majorowa kazała nakryć się poduszkami. Słyszysz pani wystrzały?... Umarłabym, gdyby do nas wpadła kula!...

- Ale gdzie mój mąż? - spytała nagle. - Czy pani da wiarę, że chciał tam pojechać i przypatrywać się?... On nie ma serca... Musiałam aż zakląć go na nasze szczęście małżeńskie, a nawet powiedziałam, że pojedzie, ale - po moim trupie... Więc został, ale cóż z tego? Wziął lunetę i patrzy!... Umarłabym, gdybym spojrziała w lunetę... Co za huk!... Słabo mi się robi, kiedy pomyślę, że w tej chwili giną ludzie... Jakie szczęście, że to daleko...

- Giną ludzie?... - powtórzyłem, i mróz mnie przeszedł. Dotychczas nie pomyślałem nawet, że te stłumione odgłosy mogą oznaczać śmierć.

Raz widziałem utopionego chłopca. Był mało co większy ode mnie, a jednak przez kilka dni obraz jego zasłaniał mi cały świat. W tej chwili przypomniałem go sobie. I zdawało mi się, że widzę dwu, trzech... dziesięciu... stu takich chłopców, w rozpiętych koszulach, w wypłowiałych sukmanach, z nabrzmiałymi twarzami.

Powietrze napełniły nowe odgłosy. Dał się słyszeć nieustanny szmer, jakby groch sypano na blachę, i od czasu do czasu rozlegały się urywane, gniewne jakby szczekania olbrzymich psów: hau!... hau!... hau!... Przed oczyma coraz częściej przesuwały mi się obrazy martwych chłopców. Więc ukląknęłam przy oknie i pełen smutku zacząłem mówić pacierz.

Na podwórzu znowu usłyszałem rozmowę. Był to pan burmistrz, pan Dobrzański i mama.

- Fatalny dzień! - mówił pan burmistrz - ale jakoś nie upadamy na duchu.

- Wolałabym go nie doczekać - odpowiedziała mama. - Chodzę jak błędna, miejsca sobie znaleźć nie mogę. Zdaje mi się, że parę tych godzin to całe lata i że nigdy się nie skończą...

- Tak i mnie - mruknął nauczyciel. - Zestarzał się człowiek, kiedy słysząc armaty trwoży się jak baba... Tfy!...

- Dziwna rzecz - odezwał się burmistrz nadstawiając ucha - bitwa zbliża się...

- To źle! - rzekł nauczyciel. Przybiegł kasjer wołając:

- No, ja, panie prezydencie, wyjeżdżam z paniami... Tu może być awantura... Pocztmajster mówi, że zbliżają się...

- To pan jedź! - odparł gniewnie burmistrz - ja nie ruszę się z miasta...

- Ależ pan musi jechać z nami... Jedzie pani, panny...

- Żona i dzieci zostaną ze mną. Nie po to jestem burmistrzem, żebym w takiej chwili uciekał.

- Panie prezydencie...

- Nie zwracaj mi pan głowy! Panu wolno dbać o swoją skórę, boś wielki człowiek, ale ja...

Wyjrzałem. Pan burmistrz był czerwony i wywijał pięściami, aż mu czapka zsunęła się na bakier. Za to pan kasjer był bardzo mizerny i zdawało mi się, że ma nogi cieńsze niż zwykle.

Odgłosy wciąż zbliżały się, ale już byłem z nimi oswojony. Ogarnęło mnie uczucie, że trwają od początku świata i że tak być powinno. Około drugiej uczułem głód; a że dziś obiadu nie gotowano, więc niańka osoliła trochę gorącej wody, wrzuciła w nią masła i nadrobiła chleba. Jedząc taką zupę myślałem, że jest to dzień gorszy od Wielkiego Piątku, bo wtedy na obiad dają choć grzane piwo i śledzie z kartoflami, nie wodziankę.

Podnosiłem do ust łyżkę, kiedy nagle zatrzęsł się dom od huku bez porównania gwałtowniejszego niż dotychczas; zdawało się, że występują jakieś nowe potęgi. Aż pochyliłem się na stół, a przerażona niańka krzycząc zaczęła biegać po pokoju. Byłem pewny, że już za naszym ogrodem rozlegają się te częste i ogromne wystrzały.

Niańka zupełnie straciła przytomność. Wydobyła z komody kilka srebrnych łyżek i zawięła je w fartuch, a potem mnie zaczęła ciągnąć za rękę wołając:

- Chodź do lochu, bo tu śmierć!... Zabiją ciebie i mnie... zabiją wszystkich... słyszysz!...

Wyrwałem się jej, a starowina wybiegła z pokoju modląc się głośno.

Łoskot był tak straszny, jak gdyby waliło się miasto. Gorąco uderzyło mi do głowy, a potem uczułem spokój, jakbym skamieniał. Bez obawy spojrzałem w kierunku łąk i nie zobaczyłem nic.

W tej chwili przybiegła do nas zapłakana pani Stachurska, z krzykiem dopytując się o mamę:

- Niech no pani pójdzie na miasto! - wołała. - Wszyscy powariowali... wszyscy przez nich zginiemy!...

Chciałem i ja iść, ale mama kazała mi zostać w domu, a sama wyszła ku rynkowi.

W domu nie było nikogo. Parobek z najmłodszą dziewczką wleźli na stodołę, aby patrzeć, a kucharka z niańką ukryły się w lodowni.

- Bywaj!... Pali się!... - krzyczano na ulicy.

Nie pamiętam, jak i kiedy znalazłem się znowu na górze. Od strony lasu szeroką falą płynęło ku nam gęste trzaskanie, co chwilę przerywane wielkimi łoskotami. Zdawało się, że przy najpogodniejszym dniu biją pioruny. Padł jeden, potem dwa, znowu jeden - trzy - pauza - i znowu dwa...

Spoza lasu wznosił się słup dymu. Stał wysoko nad drzewami i począł rozciągać się na prawo i na lewo, podobny do grzyba na czarnej nodze, w rudym kapeluszu. Z ugoru pędem uciekało bydło; na niektórych podwórzach psy zaczęły wyć i szczekać. Od kościoła rozległ się głos dzwonu, przyspieszony, urywany, jak na pożar, kiedy serce uderza tylko w jedną krawędź. Dzwonił kilka chwil bez przerwy, nagle ustał i jeszcze odezwał się parę razy, jak gdyby ktoś przeszkadzał dzwonnikowi i gwałtem odrywał go od sznura.

Spojrzałem ku miastu. Na wielu dachach siedzieli ludzie, z domów wynoszono pościel i skrzynie. Na rynku Żydzi skupili się około magistratu, garstka kobiet klęczała przed figurą świętego Jana, a na środku widać było dziwną scenę.

Tłum mieszczan, między nimi pan Stachurski, szewc, i pan Władziński, wędliniarz, spierali się o coś z panem burmistrzem, panem Dobrzańskim i moją mamą. Widocznie chcieli iść ku gościńcowi, ale tam proboszcz zastąpił im drogę. Kilku siadło na wóz, który ruszył; ale pan Dobrzański uwiesił się przy lejcach i tak skrzył konie, że wóz wywrócił się.

Wtedy piesza gromada posunęła się naprzód. Gwałtem odepchnęli proboszcza, obalili burmistrza i wołając poczęli biec gościńcem. Ich krzyk mieszał się z łoskotem i trzaskiem od strony lasu, tworząc jedną burzę, od której zaczęły pękać szyby w oknach.

Nagle przeciągły łoskot ustał. Po chwili jeszcze kilka razy odezwał się huk bliżej i dalej, a potem - cisza, jak gdyby świat oniemiał...

Gromada biegnących mieszczan stanęła przysłuchując się. Wtem z jednego dachu ktoś krzyknął, nie wiem nawet co, i - cały dum, przed chwilą tak niepoohamowany, począł teraz uciekać. W kilka minut nie było już nikogo ani w rynku, ani na ulicy, ani na dachach.

Nad wieczorem część nieba zaciągnęła się chmurami i spadł rześisty deszcz. Ponieważ w kilku oknach brakowało szyb, więc mama kazała zamknąć okiennice. Czeladź zebrawszy się w kuchni opowiadała o minionych wypadkach, a my z mamą siedzieliśmy na kanapie, w ciemnym pokoju, do którego przez otwory okiennic wpadało purpurowe światło zachodzącego słońca.

Oboje milczeliśmy. Mama była znużoną i przymknąwszy oczy oparła głowę na krawędzi kanapy; ja wpadłem w jakieś odrętwienie. Przysłuchując się obecnej ciszy na próżno usiłowałem ożywić sobie w pamięci to, com widział i słyszał tak niedawno.

Chwilami myślałem, że wszystko było przywidzeniem. I znowu zdawało mi się, że czerwone smugi na ścianach to odbłask krwi przelanej niedaleko od nas.

Na ulicy rozległ się tętent i szcęk, jakby kilku konnych przyleciało galopem w stronę miasta. Podniosłem głowę i... znowu usłyszałem ten sam co w nocy szelest ludzkich nóg, ciężko toczące się wozy i uderzenia niezliczonych kopyt końskich. Nad tym wszystkim górował szmer głosów, jakby rozmawiały tysiące; czasami zerwał się śmiech albo gniewny okrzyk.

Hucząca fala stopniowo zbliżała się do miasta. Już dosięga opłotków, już mija stodoły, już jest przy naszym domu. Wtem rozległ się donośny głos komendy, wielokrotnie powtórzony przez jakieś echa, i - szmer ucichł... I oto dom znowu zatrzęsł się od posad do strychu. Zagwizdały piszczałki, zawarczały bębny i z tysiąca piersi wybuchła pieśń. Można było pomyśleć, że nieznanne siły przyrody stargawszy wędzidła rwą się i pędzą w szalonych skokach - to znowu, że biadają wszystkie jesienne wichry albo że z nieba runęła na ziemię burza i toczy się zapieniona i potężna.

Czasami chór milknął, a wtedy słyhać było ostry głos zawodzący dyszkantem i niecierpliwe tętnienie bębna. Wnet zrywał się nowy uragan, walił we drzwi i okna domów, natrząsał się z bólów ludzkich, kopał ziemię i rozbijał o niebo. Zdawało mi się w krwawym zmroku, jaki napełniał pokój, że zawieszane na ścianach drżą święte obrazy i patrzą na mnie zdziwionymi oczyma.

Nie mogłem wytrzymać tych spojrzeń ani tamtych głosów. Przypadłem do kolan matki, owinałem głowę jej fartuchem, zatkałem uszy i sam nie wiem dlaczego, zapłakałem z głębi serca Izami gorzkimi jak piołun.

Późno wieczorem przyszedł do nas pan Dobrzański. Wyglądał bardzo źle, może przy skąpym blasku łożowej świecy. W ciągu kilku godzin schudła mu twarz, włosy najeżyły się. Z początku milczał zwiesiwszy głowę na piersi; spostrzegł jednak, - że mama jest niezwykle smutną i zaczął opowiadać nowiny głosem apatycznym i ochrypłym.



Dowiedzieliśmy się, że wojsko od godziny wyszło z miasta, że pani majorowa jest chora, a pan pocztmajster, który przez swoją lunetę nic nie widział z dzwonnicy, pokłócił się z żoną o to, że nie pozwoliła mu wyjechać i na miejscu przypatrywać się bitwie.

Osobliwe też były dzieje pana kasjera. Pod koniec bitwy stracił on wszelką przytomność i chciał przebrać się albo za Żyda, albo za kobietę. Gdy zaś pan Stachurski z panem Władzińskim zaczęli dzwonić na trwogę, co przerwał im ksiądz proboszcz z organistą, pan kasjer schował się w magistracie do piwnicy. Dopiero gdy wszystko ucichło, wyszedł z ukrycia twierdząc z najlepszą miną, że on tylko na żarty udawał przestraszonego.

Lecz i tym razem niedługo trwał jego dobry humor. Któryś z mieszczan dał znać, że idzie wojsko, a pan kasjer tak się zmieszał, że uciekł z miasta i nie ma go do tej pory.

- Gdzie on może być? - spytała mama.

- Widzieli go, że biegł w tę stronę, za ogród pani. Zapewne siedzi w parowie i prześpi w nim całą noc.

- To chory człowiek - rzekła mama wzruszając ramionami. Nauczyciel kiwnął ręką.

- To jest osioł i strachopłoch, który chce udawać bohatera. Z obawy przed jedną stroną wybrał sobie jakąś nominację, a ta znowu spać mu nie daje. Wyobraża sobie, że jest znakomitością i że tylko jego ścigają; więc chowa się po piwnicach i jarach. Słaba głowa, słabe serce i pycha to najniebezpieczniejszy rodzaj ludzi - dodał nauczyciel, jakby do siebie.

Ostatnie wyrazy ukłuły mnie. Zdawało mi się, że słyszę w nich groźbę nowych nieszczęść, gorszych aniżeli wszystko, com widział dotychczas.

Było już późno, i pan Dobrzański parę razy chciał pożegnać się z nami. Ale mama zatrzymywała go.

- Zostań pan jeszcze chwilę - mówiła. - W dzień ukrzepiłam się jako tako, ale teraz jestem tak rozstrojona, że wszystko mnie przeraża. Posiedź pan...

I nauczyciel siedział.

Zegar wykukał jedynastą i świeca już się dopalała, kiedy usłyszeliśmy na ganku czyjeś kroki.

- Pewnie kasjer wraca ze spaceru - mruknął pan Dobrzański. Otworzyły się drzwi i ukazał się - człowiek z pustej chaty.

Kiedy przestąpił próg i podniósł białą głowę, zdawało się, że stoi olbrzym.

- Niech będzie pochwalony - rzekł.

Nikt mu nie odpowiedział. Jego przyście do nas po takim dniu i o takiej porze było czymś nadzwyczajnym.

On długą chwilę patrzył w twarz panu Dobrzańskiemu, który spuścił oczy. Następnie zwrócił się do mamy:

- Przyprowadziłem pani gościa - rzekł łagodnym tonem. Myślałem, że chyba mój ojciec wstał z grobu i przyszedł z tym człowiekiem-upiorem. Mama chciała coś odpowiedzieć, ale tylko otworzyła usta i patrzyła zdumiona. W ciemnej sieni ktoś stał.

- Gość jest trochę... niezdrowy, ale to nic wielkiego - mówił siwy człowiek. - Jest raniony, ale...

- Władek!... - krzyknęła mama, z rozkrzyżowanymi rękoma rzucając się do sieni.

- Ja, mammo!... - odpowiedział mój brat.

Gdy wszedł do pokoju, zobaczyłem, że ma głowę i lewą rękę owiniętą w szmaty.

Mama chciała go porwać w objęcia, ale nagle padła na kolana i objęła go za nogi.

- Moje dziecko... moja dziecina... - szeptała. - Ty żyjesz?... tyś ranny... O, com ja tu wycierpiała tęskniąc za tobą... Ty żyjesz?... Teraz już nie puszcę cię z domu, niech się dzieje, co chce... Nie cierpię wojny, nienawidzę!... dzisiejszy dzień zabrał mi całe życie.

- Co mama robi?... - mówił brat, na próżno usiłując jedną ręką podnieść ją z ziemi.

Siwy człowiek dotknął ramienia mamy.

- Niech mu pani pozwoli odpocząć - rzekł. - On jest zmęczony.

Mama wyprostowała się jak sprężyna.

- Prawda, on zmęczony...

Ale znowu pochwyciła zdrową rękę brata i zaczęła ją całować.

- Mammo!... mammo!... - mówił brat cofając się. Ale było widać, że nie ma sił.

Wtedy stary człowiek delikatnie odsunął mamę, wziął brata wpół i zaprowadził go na kanapę.

- Niech mu pani da kielich wódki - rzekł do mamy - bo on tego potrzebuje, a w mojej chacie nie było...

Pan Dobrzański pobiegł do szafy, nalał wódkę i podał bratu. Władek wypił duszkiem.

- Już mi dobrze!... - powiedział. - Już o mnie nie myślcie... Jestem lekarzem i znam się na takich skaleczeniach. Za miesiąc będę zdrowy...

- Ale już nie pójdziesz nigdzie!... - zawołała mama... - Naturalnie - odparł ze słabym uśmiechem, spoglądając na swoją rękę.

- Mamo - dodał po chwili, wskazując na siwego człowieka -podziękuj mu. Kiedym niedaleko jarów upadł ścigany, on mnie podniósł, zaprowadził do swojej chaty i - nie rozumiem nawet jakim sposobem - ocalił. Naraził się na oczywistą śmierć, bo żołnierze stali pode drzwiami i wołali: "On tu musi być!" Chyba cud zrobił, że odeszli...

Wszyscy zwróciliśmy oczy na siwego człowieka, a on odparł:

- Cud nie był trudny. Powiedziałem oficerowi: "Do mnie nikt nie przyjdzie ukryć się, bo mnie nazywają szpiegiem..." Oficer mruknął: "Łajdak!" - i natychmiast cofnął żołnierzy. Bał się widać, aby który z nich nie dotknął mego prog...

Taki cud zrobiłem - dodał potrząsając głową.

- Bóg policzy ci to za dawne winy - głucho odezwał się nauczyciel.

Starzec nagle wyprostował się.

- Winy?... - spytał, bystro patrząc na pana Dobrzańskiego. -Od piętnastu lat dźwigam ciężar jakiejś winy, ale może dopiero ty, dawny kamracie, powiesz mi: com ja komu zawinił?

Służyliśmy razem, pamiętasz? Odznaczyliśmy się jednakowo... A kiedy wyszliśmy z kraju, cierpiałem nędzę gorszą niż dziesięciu takich jak ty... Powiedzże teraz: na jakiej zasadzie - ty - robisz się moim spowiednikiem i obiecujesz mi odpuszczenie win?... Jakich?... Nazwij człowieka spomiędzy żywych czy umarłych, który by jedna łzę uronił z mego powodu?... Nie zważaj na tych świadków - dodał wskazując na matkę i brata. - Owszem, niech dowiedzą się, co myśleć o mnie... Nauczyciel wystąpił krok naprzód.

- Prawda - odparł - służyliśmy razem. Byłeś waleczny i zdolny. Ale na emigracji szatan cię opętał...

- No, i cóż zrobił ze mną ten szatan?

- Siałeś niezgodę... osłabiałeś ducha...

- A tak - westchnął starzec. - Ja osłabiałem, ale za to wy umacnialiście go. Zaręczaliście, że pomogą Francuzi; ja twierdziłem, że nie pomogą. Czy pomogli?... Wierzyliście w ruch piętnastu milionów chłopów, a ja nie wierzyłem. Gdzie dzisiaj są te miliony?... Dowodziliście, że rękami weźmiecie karabiny, a karabinami armaty, a ja was przekonywałem, że sto karabinów znaczy więcej aniżeli tysiąc gołych rąk. Zakrzyczeliście mnie. A teraz - masz odpowiedź!...

I wskazał krwawe piętna chustki, którą brat miał związane czoło.

Nauczyciel spuścił głowę. Matka przytulona do brata drżała, a mnie zdawało się, że między dwoma starcami odbywa się jakiś wielki sąd.

- I to nazywa się zdradą? - mówił gość z uniesieniem. -Wypowiadać swoje przekonania jest obowiązkiem obywatelskim i dopiero wy zrobiliście z tego występki. Powiesz, że

niezgadzanie się z wolą ogółu psuje karność publiczną; ale czy to wy byliście ogółem? Byliście partią i ja partią, a przecież ja was nie nazywałem zdrajcami.

- Różnica zdań to bagatela - mruknął nauczyciel. - Chociaż zniechęciła ona do ciebie ludzkie serca.

- Bagatela? - powtórzył gość. - A jednak na tej zasadzie odsunęliście się ode mnie na emigracji, a gdy wróciłem do kraju - nazwaliście szpiegiem...

- Nie na tej...

Stary człowiek cofnął się i zaciskając pięści wykrzyknął:

- Nie na tej? Więc na jakiej? Jak ty śmiesz teraz jeszcze kopać mnie - nędzarza, którego już zabiliście moralnie?... Wszakże ja ciebie rannego z placu uniosłem... W Paryżu dzieliłem się z tobą chlebem. I tak mi płacisz?...

- Prawda - rzekł nauczyciel - wspierałeś nas, nawet hojnie... Ale... skąd miałeś pieniądze?... - dodał prawie szeptem.

Gość nagle ochłonął z uniesienia. Uderzył się w czoło, jakby coś przypominając sobie.

- Żołdu nie brałeś - mówił nauczyciel.

- Mieszkałem z daleka od wszystkich i nikogo nie przyjmowałem. Czy tak?... - pochwycił stary człowiek z szyderym uśmiechem.

- Tak, wystrzegałeś się nas. Ale pomimo to... wiadano, że masz parę mieszkań, że w domu nie nocujesz, że nawet przebierasz się za wyrobnika.

Starzec śmiał się gorzko.

- Więc śledziliście mnie?... Nie wiedziałem!... I żaden mnie nie ostrzegł, żaden nie spytał, co robię?... nawet ci, którzy korzystali z podejrzanych pieniędzy...

- Wiesz, że przestaliśmy z nich korzystać.

- Wiem. I zaraz awansowaliście mnie na zdrajcę! Zbliżył się do nauczyciela i poklepał go po ramieniu.

- Ale czy wiesz, skąd ja nie biorąc waszego żołdu miałem jednak pieniądze?... Pracowałem, panie Dobrzański, pracowałem ciężko po nocach... Umiejąc tylko musztrę, aby nie umrzeć z głodu, zostałem - gałganiarzem.

Nauczyciel patrzył na niego z oznakami przerażenia.

- No, i musiałem kryć się przed wami - mówił starzec. - Bo cóż byście powiedzieli dowiedziawszy się, że wasz kolega i kapitan nocami przetrząsa śmietniki... Nie wierzysz?... Wstąp kiedy do mojej chałupy, to pokażę ci pamiątki z Paryża: bilety roczne na prawo zbierania gałganów. Mam nawet dowód, że kiedyś znalazłem kolczyk brylantowy, za który

dano mi tysiąc franków. Może i teraz powiesz - szydził starzec - żem słusznie nazwany zdrajcą, bom poniżył rangę? Naturalnie, podniósłbym ją biorąc żołąd i głosując z wami razem za wojną!...

- Straszna omyłka! - szepnął mój brat. Nauczyciel był bardzo zmieniony...

- Oburzały mnie twoje zdania - rzekł - ale... nie ja rozpuszczałem wieści o tobie, przysięgam na Boga!... - dodał uderzając się w piersi. - Owszem, broniłem cię wobec innych...

Władek wyciągnął rękę do starca.

- Panie - rzekł dławiąc się wyrazami - swoją drogą zrobię wszystko, aby ci powetować krzywdę. Ludzie dowiedzą się, że cierpiełaś niesłusznie.

Stary człowiek smutnie pokiwał głową.

- Nie zapomną mi inni, nawet ty sam, że jak mówi Dobrzański, osłabiałem ducha... Miałem czas zastanowić się nad moim położeniem. Rozsądek przepowiadający klęskę jest jak puszczyk na cmentarzu, który woła: "Nie wstaniesz!..." Taki głos jest zawsze nienawistny. A im dokładniej spełni się przepowiednia, tym większa niechęć do proroka... Dlatego - dodał po chwili - już nie spodziewam się ludzkiej życzliwości. Przestaną mnie nazywać zdrajcą, a zaczną wołać: "Patrzcie, to ten zły wieszczek, który widział niebezpieczeństwo i nie zaradził!" Świat nie pyta, cośmy mówili, ale - czyśmy zapobiegli nieszczęściu? Tego już nie umiałem zrobić.

Umilkł, a my odetchnęliśmy, bo każde jego słowo padało nam na duszę jak kamień.

Nagle pan Dobrzański zbliżył się do starego człowieka. Objął go rękoma za szyję i ze łkaniem oparł głowę na jego piersi. Mama całowała brata szepcząc: "Moje dziecko!... moje dziecko!...", a ja - już nic więcej nie widziałem, bo oczy zaszczyły mi łzami.

Po chwili odezwał się starzec:

- Czas do domu. Bądźcie zdrowi!

- Chodź do mnie-prosił ściskając go za rękę pan Dobrzański. Starzec uśmiechnął się.

- Oto zrobiłbym ci przysługę!... Jeszcze zaczęliby o tobie mówić to samo co o mnie... Bądźcie zdrowi - dodał podając rękę bratu.

- Panie - rzekła mama - panie... niech cię Bóg błogosławi... Odwiedzaj nas i pamiętaj, żeś znalazł wiernych przyjaciół... Czegokolwiek będziesz potrzebował, odwołaj się do nas... Rano i w wieczór modlić się będziemy za ciebie...

Uklonił się nisko i odpowiedział ode drzwi:

- Jeżeli pozyskałem waszą łaskę, proście Boga, ażeby mi śmierć zesłał. Oto, czego żądam.

I z wolna wyszedł z pokoju.

Teraz wszyscy zajęli się Władkiem. Niańka sprowadziła felczera, który opatrzył mu rany, a do saloniku wniesiono łóżko i kanapę dla nauczyciela. Ten bowiem oświadczył, że będzie pilnował rannego, dopóki nie odzyska sił.

Noc zeszła niespokojnie. Władek niewiele spał, nauczyciel wcale się nie rozbierał, ja miałem trochę gorączki, a mama po kolei zaglądała to do mnie, to do brata. Dopiero po wschodzie słońca zmorzył nas sen tak, że wstaliśmy około dziesiątej.

Brat nie miał się źle, ale dokuczaly mu świeże rany, i mówił, że jest rozbity ze znużenia. Istotnie, z trudnością poprawiał się na łóżku, sykając niekiedy z bólu.

Mama ukradkiem ocierała oczy; pomimo to dawno nie była tak rzeźwą jak dzisiaj. Wszystko ją interesowało, zaglądała do każdego kąta, nawet głos jej odzyskał siłę i dźwięczność.

Dzień był pochmurny i zimny. Na polach rozścielała się mgła; co godzinę padał deszcz, drobny jak rosa; powietrze było surowe. Zdawało się, że to nie maj, ale październik.

W sieni usłyszałem wycieranie nóg i głos pana kasjera. Po chwili weszła do saloniku mama.

- Kasjer - szepnęła do brata - chce cię przywitać. Czy można?...

- Ale bardzo proszę - odparł Władek. - Nawykłem do liczego towarzystwa i po prostu boję się tego, że dziś widzę tylko parę osób.

- Nie zmęczy cię?

- Przeciwnie, rozweseli...

- Gdy zacnie kłamać - mruknął nauczyciel.

Wszedł pan kasjer z zadartą głową i taką miną jak gdyby czegoś wielkiego dokazał. Zbliżył się do Władka i mocno targnąwszy go za rękę rzekł uroczyście te wyrazy:

- Czołem bohaterowi!

Brat mój, który miał wstręt do pozowania, skrzywił się na taki komplement. Spozrzęła to mama i szybko zwróciła się do kasjera z pytaniem:

- Gdzież to pan był dziś w nocy?

- Pamiętna noc - westchnął kasjer rozwalając się w fotelu. - Nie zapomnę jej, choćbym żył milion lat.

Pan Dobrzański wydał głos środkujący między śmiechem i kaszaniem. Kasjer spojrzał na niego spod oka i w znaczący sposób ruszył brwiami.

- Cóż to było? - pochwyciła mama.

- Opowiem państwu, bo to, co mi się trafiło, wygląda na wyjątek z historii Rinaldiniego. Nadzwyczajne wypadki - i tragiczne... Bardzo tragiczne!...

Poprawił się na fotelu, odchrząknął i mówił:

- Otóż przekonałem się na swoje własne oczy, że nasz pustelnik, ten zza olszyny, jest rzeczywistym szpiegiem... I to bardzo niebezpiecznym...

Pan Dobrzański podniósł się z krzesła, ale Włodek mrugnął na niego.

- Z ukrycia - ciągnął kasjer - widziałem, jak do jego chaty wstępował oficer z kilkoma żołnierzami i długo z nim rozmawiał. Ale to nic. Widziałem go bowiem drugi raz, jak, dobrze po pomocy, wracał z miasta. Byłem pewny, że znowu chodził porozumiewać się z wojskiem...

- Wojska już nie było - wtrącił gniewnie nauczyciel. Lecz mama spojrzała, i umilkł.

- Nie jestem obowiązany wiedzieć o tym, czy wojsko było lub nie - odparł kasjer rozdrażnionym tonem. - Dla mnie wystarcza, że widział szpiega, który idzie tam, gdzie spodziewa się znaleźć wojsko.

Brat niespokojnie poprawił się na łóżku i słuchał.

- Com przebył w tych jarach przez całą noc, trudno opisać - mówił kasjer. - Dostyc, gdy powiem, że za każdym krzakiem widziałem co najmniej dwu nieboszczyków...

- To nerwowe - odezwał się brat przygryzając usta.

- To jeszcze nic. Widma były, znikły, i basta. Ale nad ranem zdarzyła się gorsza rzecz: otoczyło mnie kilkunastu zbrojnych...

"Kto panowie jesteście?" - pytam.

"My, widzisz, kim jesteśmy - odpowiedział jeden - ale kto ty jesteś i co tu robisz?..."

Naturalnie powiedziałem, że ukrywam się, i pokazałem moją nominację... Co za szczęście, że jej nie połknął! - dodał patrząc na mamę.

- Ubyłby pomocnik pomocnika naczelnika parafii - mruknął pan Dobrzański. Jednocześnie zamknął oko i skrzywił się w sposób mało poważny.

Kasjer odwrócił się od niego wraz z fotelem.

- Pokazałem moją nominację - powtórzył - no i zaczęliśmy gawędę.

"Przegraliśmy na łeb i na szyję!" - mówił jeden ze zbrojnych. " Jakże nie mieliście przegrać - odpowiedziałem - jeżeli tu pod miastem siedzi szpieg."

I powtórzyłem wszystko, com widział i słyszał. Byli rozwścieczeni.

Brat z oznakami wzruszenia usiadł na pościeli. Pan Dobrzański wstał z krzesła i słuchał z szeroko otwartymi oczyma.

- No i cóż?... - spytał Władek.

- Ano i cóż... - roześmiał się pan kasjer. - Powiesili...

- Co?! - krzyknął nauczyciel.

- Powiesili starego szpiega...

- Jezus! Maria!... - jęknęła mama i schwyciwszy się oburącz za głowę wybiegła z saloniku.

- Człowieku - zawołał mój brat - ależ ten starzec niewinny!... Kasjer zbladł.

- Miałebym się omylić?... - szepnął kasjer. - Ale dlaczegoż on o tym nie powiedział, dlaczego nic nie chciał mówić?... Dlaczego wreszcie pan Dobrzański, który go podobno znał, nigdy go nie bronił?...

Nauczyciel chrząknął jakby pchnięty nożem, a w oczach błysnął mu niedobry płomień. Przyskoczył do kasjera i podniósł rękę chcąc go uderzyć, ale zastanowił się i schwycił go za kołnierz.

- Podły!... - mówił, strasznie patrząc na niego. -Podły!... bij się ze mną albo... nogami cię zdeptczę!...

- Dobrze! - odparł zuchwale kasjer, z wielką siłą wydzierając mu się z rąk. - Dobrze!... będę się z panem bił za takie zniewagi...

- Tu... w olszynie będziesz się bił!... - mruzczał nauczyciel i przypadł do brata.

- Władku - zawołał - wstawaj!... Zbierz na kilka minut- siły i wyjdź z nami.

Nagle odwrócił się - kasjera nie było w pokoju.

- O, nie uciekniesz! - roześmiał się. Pochwycił kij i czapkę i wyszedł na ulicę tak silnym krokiem, jak gdyby mu ze trzydzieści lat ubyło.

- Gdzie mama, Antku? - spytał brat. - Idź za mamą... Idź zaraz!... - dodał niespokojnie.

Na podwórzu nie było mamy, ale powiedziano mi, że poszła do ogrodu. W ogrodzie także jej nie było, lecz gdy zbiegłem na dół, zobaczyłem, że przez łąkę idzie w stronę jaru. Dopędziłem ją.

- Dobrze, że tu jesteś - rzekła matka dysząc ze zmęczenia. Mocno ujęła mnie za rękę i tak szliśmy oboje w kierunku pustej chaty. Deszcz padał, mgła zgęstniała jeszcze bardziej. Przy pochmurnym dniu ledwie mogłem rozpoznać wąwozy i krzaki, między » którymi niegdyś wymykałem się do pustelni nieszczęśliwego starca. Serce ścisnęło mi się, kiedym przypomniał sobie te słoneczne dnie, te roje ptaków i siebie samego, jak z ręką na pałaszu podkradałem się - o, tu...



Usłyszeliśmy szmer znajomego mi potoku i nagle zatrzymaliśmy się oboje. Ktoś prędko szedł ku nam. Kamyki staczały się ze wzgórza, a tuż za nimi ukazał się ów chłopiec, który służył u starca i odprowadził go od nas wtedy, w czasie zawiei.

Chłopak był ubrany w połataną koszulę i podarte majtki. Nie miał ani butów, ani czapki. Poznał nas z daleka i wołał:

- To pani idzie?... Pani!...

- Gdzie twój pan? - zapytała mama. Chłopiec pokazał ręką na wysychające drzewo.

- Oho! - odparł zacinając się - poszedł stary... poszedł na dyndus!...

I obtarł czerwone oczy wielkimi, brudnymi pięściami.

- Widzi pani ten stryk?... - dodał wskazując na kawałek powroza zwieszający się z gałęzi.

Matka ze zgrozą odwróciła oczy i usiadła na kamieniu. Odpocząwszy długą chwilę spytała:

- Gdzież jest?...

- Stary? - rzekł chłopak. - Stary leży w izbie. Zdjąłem go ładnie, zaniósłem jak się patrzy...

- Dosyć!... - przerwała matka i poczęła z trudnością wstępować na wzgórze.

Od tej pory, kiedym ją z bliska widział, chata skurczyła się jeszcze bardziej i zapadła w ziemię. Słomiany daszek zgnił, drzwi oberwane trzymały się tylko jednej zawiasy, ściany były pełne szpar.

Mama zatrzymała się u progu. Na twarzy jej ukazał się wyraz takiego żalu i trwogi, że byłem pewny, iż ucieknie nie zajrzawszy do wnętrza chaty. Wnet jednak przemogła się i weszliśmy.

Na klepisku w sionce połyskiwała kałuża ciemnej wody. Chłopiec stanął przy drzwiach na lewo i otworzył je z ciężkim zgrzytem.

Przy skąpym świetle, które zaglądało tu przez kilka szybek, zobaczyłem nędzną izdebkę z walącym się piecem. Był w niej pień, ława, stół ze zmurszałych desek i na pozór - nic więcej,  
1

Chłopak milcząc wskazał ręką w kąt, gdzie na ziemi leżał jakiś długi, szary przedmiot.

Mama uklękła i zasłoniwszy oczy zaczęła szeptać pacierz.

Stopniowo mój wzrok oswoił się z brakiem światła w izbie. Wtedy zobaczyłem, że pod ścianą leży człowiek zakryty czarną płachtą. Twarde jej fałdy ułożyły się w taki sposób, że można było poznać głowę mocno zgiętą na piersi i trochę wzniesiony łokieć lewej ręki.

Prawa ręka opadła na ziemię i spod płachty wysunęły się blade palce z niebieskawymi paznogciami.

"Wieczne odpoczywanie racz mu dać. Panie..." - szeptała matka.

"Wieczne odpoczywanie..." - powtórzyłem.

Potem na klęczkach zbliżyłem się do zwłok i pobożnie ucałowałem rękę, która mi ocaliła brata.

Dziś za miastem już nie ma samotnej chaty. Ale potok szemrze jak dawniej, na wzgórzach latem pachną wrzosa, a w wąwozach rozlegają się radosne śpiewy ptaków.

Nad źródłem stoi czarny ze starości krzyż, na którym jeszcze można wyczytać: ...światłość wiekuista... Resztę mchy zatarły. Gdzieś widać rdzawe, osobliwych form piętna, jak gdyby w tym miejscu, przed laty, nawet drzewo krwawymi łzami płakało.

## ON

Kilka lat temu, około południa, przez jedną z mniej ruchliwych ulic Berlina szli z wolna dwaj ludzie: wojskowy i cywilny. Wojskowy szedł, a raczej włókł się naprzód, cywilny o parę kroków za nim. Cywilny był odziany w eleganckie bobrowe futro i błyszczący cylinder, a stapał - jak generał na paradzie. Miał jasne rękawiczki, szare latające oczy i minę człowieka, który pozwala światu nie padać przed sobą na kolana. Na jego ruchliwej twarzy malowała się duma i niestrudzona czujność, której przedmiotem był wojskowy towarzysz. Chwilami zdawało się, że człowiek w bobrowym futrze posiada nieoceniony dar strzyżenia uszami, dzięki czemu słyszy nie tylko każde chrząknięcie wojskowego, ale nawet, tajemniczy szelest jego myśli, które wzbierały i opadały jak fale Bałtyckiego Morza.

Czujność ta jednak nie przeszkadzała cywilnemu krzywić się, jeżeli ktoś minął go nie otworzywszy ust ze zdziwienia, albo uśmiechać się do żołnierzy, którzy przed jego towarzyszem stawali wyprężeni jak struny, z ręką przy skroni i osłupiałymi oczyma.

Wlokący się naprzód wojskowy był człowiekiem olbrzymiego wzrostu. Miał długi płaszcz z peleryną i furażerkę z daszkiem. Twarzy jego trudno było przypatrzeć się, zasłaniał ją bowiem daszek i podniesiony kołnierz. Tylko jeżeli niekiedy kołnierz odchylił się, widać było wypukłe oczy z obwisłymi powiekami, siwiejące wąsy blond, także obwisłe, i policzki poorane zmarszczkami, jakby wykute z piaskowca.

O ile jego towarzysz w cylindrze zdawał się być bardzo interesowany tym, ażeby go cały Berlin widział i podziwiał, o tyle wojskowy był zupełnie obojętny. Stapał ciężko brzęcząc wielkimi ostrogami. Nie odpowiadał na ukłony, a nawet nie zwrócił uwagi na maszerujący oddział piechoty, który, mijając go, uderzył w bębny i sprezentował sztandar, co jego towarzysza napełniło taką dumą, że musiał użyć wszystkich sił, ażeby na nim nie pękło bobrowe futro.

Zwykli przechodnie zajęci świątecznymi sprawunkami mijali ich obojętnie. Zdarzało się jednak, że któryś uważniejszy spostrzegł olbrzyma w płaszczu i ustępował mu z drogi zdejmując czapkę. Jeden nawet zdawał się być tak zdziwiony, że zamiast ustąpić otworzył tylko usta i patrzył na wojskowego jak na widziadło. Para zaś starych berlińczyków, widocznie mąż i żona, bo mieli jednakowe zajęcze kołnierze i jednakowe bawełniane rękawiczki, zobaczywszy olbrzyma tręcili się jednocześnie w ręce:

- Patrz, to On!... - szepnął mąż.

- Patrz Fryc, to On!... - rzekła żona.

Na ten widok cywilny w bobrach począł jeszcze piękniej uśmiechać się, kiwać głową i strzyc uszami, jakby cieszył się z ich domyślności i chciał powiedzieć:

- Tak to on... a to – ja!...

Ale starszycy w zajętych kołnierzach nie spostrzegli tych przyjacielskich sygnałów. Ich oczy były przykute do wspaniałej figury wojskowego. Gdy zaś znikł na rogu ulicy, przypatrywali się ze czcią kamieniom, których dotknęły jego olbrzymie stopy.

Na zakręcie chodnika człowiek w bobrach jeszcze raz odwrócił się do starszycy i z wielką życzliwością kiwnął im głową niby potwierdzając: - Tak - to ja!...

Wojskowy włókł się ciężko jak człowiek, który na swoich niezmiernie szerokich barkach dźwiga losy czterdziestu pięciu milionów. Lecz choć oddychał z trudnością, zmęczony długim spacerem, mimo to zdawało się, że gdy zechce, jego płaszcz zamieni się w olbrzymie skrzydła, które porwą go i uniosą tam, skąd narody wyglądają jak mrowiska.

Na tej ulicy panował ruch większy. Było dużo sklepów i tłumy przechodniów. Wojskowy ocknął się i wypukłe oczy, które dotychczas patrzyły nie wiadomo gdzie, skierował na ruch uliczny. Jednym spojrzeniem ogarnął tysiące ludzi. Tu spostrzegł gromadę kobiet targujących się z przekupką o tłustą gęś - tam kilku robotników fabrycznych, bladych, uczernionych i spacerujących jak żołnierze. Widział żonę, która na próżno wyciągała męża z szynkowni, a dalej - kilka osób, które szły z węzłkami środkiem ulicy. Ktoś w tej gromadzie płakał, reszta zaś mówiła między sobą, że trzeba iść prędko, bo spóźnią się na pociąg do Hamburga, i okręt bez nich pojedzie do Ameryki...

Olbrzym zmarszczył krzaczaste brwi i odwrócił się w inną stronę. Wnet przecie kamienna twarz jego rozjaśniła się: zobaczył bowiem trzech bardzo małych chłopców, z których jeden miał pałasz, drugi dziecienny karabin, a trzeci tornister i papierową pikielhaubę. Błysnęła mu niewyraźna myśl, że choć kilku desperatów wyjedzie do Ameryki, to jednak na ich miejsce z tych oto dzieci wyrosną nowi zdobywcy.

Nagle cywilny w bobrach skoczył naprzód z taką gwałtownością, że zachwiał mu się cylinder. Zdarzyła się rzecz niesłychana. On, sekretarz, powiernik i biograf wielkiego człowieka nie spostrzegł, że jego pan zatrzymał się na ulicy...

Staął, stał i patrzył - a sekretarz nie mógł nawet odgadnąć, na co patrzy? Jest tu wprawdzie sklepik z kolonialnymi towarami, ale czyliż On nie zna cynamonu, muszkatołowej gałki, a choćby i kokosowych orzechów? ... Na cóż więc patrzy? ...

W tej chwili olbrzym z cicha westchnął. Nieba!... On westchnął? ... Sekretarz nie wierzy własnym uszom. Obchodzi pana z boku i na jego twarzy widzi nieomylnie znaki wzruszenia ... Czyżby go wzruszył cynamon? ...

- Ach!... - o mało nie krzyknął biograf, zobaczywszy w głębi sklepu małą choinkę obwieszoną kilkoma piernikami. Jego tak rozmarzył widok choinki ubogich... Cóż to za poetyczna dusza!... Byle tylko nie wymyślił nowego podatku na ubogie dzieci!...

Nareszcie olbrzym odszedł od sklepu z takim ruchem, jakby mu było trudno oderwać się od - choinki.

"Teraz już wrócimy do domu - pomyślał sekretarz, ciesząc się w duchu, że do biografii przybywa jeden z najbardziej interesujących rozdziałów. - On rozmarzył się wobec choinki!... Czy nie piękny temat?... Wspomnienia z lat dziecińczych, unoszące się nad krwawym, szlakiem od Saarbrücken do Paryża ... Nie ma wydawcy, który by tego rozdziału nie kupił na wagę stumarkowych banknotów!..."

Sekretarz, przywykły do trafnego odgadywania publicznych i prywatnych projektów pana, miał już cały pomysł w głowie. Oto On, zmęczony nocną pracą, wyszedł około południa na spacer. Był nieco zdenerwowany, a więc przystępniejszy dla ludzkich uczuć. Widok przedsięwziętego ruchu usposobił go jeszcze lepiej, a choinka - rozmarzyła do reszty.

"Jestem pewny - myślał sekretarz - że ta choinka stanie się źródłem mnóstwa nowych projektów dla klas pracujących, a może i... gratyfikacji?..."

- Oj! ci wielcy ludzie." - szepnęła sekretarz. - Ani wiedzą, jak łatwo przychodzi odgadywać ich zamiary tym, którzy dokładniej zbadali mechanizm geniuszu ....

W tym miejscu sekretarz nie mógł powstrzymać się od złożenia hołdu swojej przenikliwości. Jednocześnie obrzucił okiem Berlin i spostrzegł, że mu się jego pan znowu wymknął. Wprawdzie tylko o kilka kroków, gdyż od swego sekretarza i biografą człowiek dalej uciec nie może.

Tym razem wojskowy stał przed straganem z zabawkami, gdzie chudy i zmarznięty kupiec gromadce ciekawych zachwalał swoje towary.

- Oto jest pociąg kolei żelaznej, który sam jeździ - cztery marki!... Oto jest słoń, który sam chodzi i ryczy - dwie marki!... Nakręca się ogonem... Oto jest pajac, za dwadzieścia fenigów!...

Kolej i słoń mogli widzieć tylko ludzie dorośli, bo zabawki te biegały po stole. Ale pajac wisiał w górze. Miał odzienie złożone z płatków niebieskich, pąsowych i żółtych, spiczastą czapkę, a w rękach dwie blachy. Gdy kramarz pociągnął za sznurek, pajac rozrzucił nogi, uderzał w blachy, przewracał oczyma i pokazywał język.

- Ach! jaki on śliczny!... - odezwał się w tej chwili dziecięcy głosik.

Wojskowy spojrzał w tę stronę i zobaczył jasnowłosego chłopczyka, który zadarłszy głowę i złożony rękę, patrzył na pajaca jak na cud. Ile zaś razy pajac mocniej wyrzucił nogą albo lepiej wysadził język, chłopiec śmiał się na cały głos, uderzał w rękę i wołał:

- Ach, Boże! Boże! jaki on śliczny...

Radość dziecka była tak wielka i szczerą, że udzieliła się całej gromadce widzów. Nawet wojskowy olbrzym uśmiechnął się pod wąsem i - wydobył z kieszeni sakiewkę.

"Kupi chłopcu pajaca!..." - pomyślał sekretarz w bobrach, nie mogąc w dalszym ciągu powstrzymać się od kilku słów uznania dla swoich niepospolitych zdolności, które pozwalały mu odgadywać najdrobniejsze zamiary sfinksa XIX wieku.

W tej samej jednak chwili twarz wojskowego zachmurzyła się znowu. Prędko schował sakiewkę do kieszeni i odszedł od kramu.

Pajac tymczasem wciąż skakał i wywracał oczy, mały chłopiec śmiał się, a sekretarz myślał:

"Chciał kupić malcowi pajaca na choinkę, ale spostrzegł, że go poznali, i dał pokój... Oj! ta popularność..."

"Ja jednak - ciągnął w duchu sekretarz - mam prawo napisać, że pajac został kupiony i darowany dziecku ze słowami: "Masz, mój mały, to dają ci Niemcy na gwiazdkę!..." Ale ogłoszę to dopiero po śmierci..."

W pół godziny później wojskowy pan i jego sekretarz byli już w gabinecie... Sekretarz stał przy biurku, a wojskowy siedział w wysokim fotelu i palił fajkę.

Była to chwila, w której biografom wolno zadawać niedyskretne pytania. Sekretarz skorzystał z niej i rzekł:

- Dzień dzisiejszy będzie dla mnie pamiętny. Dawno już nie widziałem waszej książęcej mości w takim świątecznym nastroju ducha.

- Tak! - odparł powoli wojskowy. - Ten spacer przypomniał mi o kilku sprawach. Zaczynam już spotykać emigrantów do Ameryki nie tylko w raportach, ale - i na ulicach...

"Gadaj innym o emigrantach! - pomyślał sekretarz. - Przede mną nie ukryjesz swych uczuć!..."

A potem dodał głośno:

- Jestem pewny, że widok tej choinki obudził w księciu jakieś miłe wspomnienia z lat dziecińczych... Książę podniósł głowę.

-Jakiej choinki?...

- Tej... w sklepie kolonialnym - odparł domyślny biograf dyskretnie patrząc w ziemię.

Książę puścił ogromny kłęb dymu i niespokojnie poruszył się w fotelu.

- Ach, tak!... - westchnął - ten sklep i nasi emigranci, wyjeżdżający z domu na Boże Narodzenie, to ciekawa ilustracja niemieckich stosunków. Każdy taki sklep jest kasą, w której Holandia pobiera od nas haracz... Śmieszna historia, żeby Niemcy nie mogły mieć u siebie nawet laski cynamonu, na której nie położyłaby pieczęci Anglia albo Holandia...

Holandia! mniejsza od Brandenburgii, której jednak podoba się mieć kolonie prawie cztery razy rozleglejsze od całych Niemiec! ... No - i posiada je, a my pewnego poranku musielibyśmy pić na śniadanie cykorią zamiast kawy, gdyby tak się podobało Holandii...

"Więc jego nie choinka wzruszyła, tylko... holenderskie kolonie?" - pomyślał markotny sekretarz.

Wzburzony olbrzym pociągnął kilka razy dym z giętkiego cybucha; powoli jednak nabrzmiałe na czole żyły poblądły mu i - uspokoił się.

- Uważałem - rzekł sekretarz - że księciu podobał się ten mały chłopiec przed pajacem? ...

- A, tak! to był tego zbudowany malec! - odparł książę z uśmiechem znawcy mięsa dla armat.

- Zdawało mi się nawet, że książę miał zamiar ofiarować mu pajaca?

- No, alem przecież tego nie zrobił - odpowiedział olbrzym.

- Czy książę sądzi, że świąteczne podarunki nie są stosowne dla niemieckich dzieci?

- Przeciwnie... Zresztą dałem mu najlepszy podarunek, jaki mógł dostać. Sekretarz spojrział ciekawie.

- Dałem mu - niezaspokojone pragnienie - odparł książę, a potem dodał:

- Im więcej będzie takich pragnień, tym dla nas lepiej!

- Przed jedenastu laty jednak, w Wersalu, byłeś książę łaskawszy dla małej Francuzki, która dostała od was lalkę?

- Bo widzisz, im więcej - tam będzie zaspokojonych pragnień, tym znowu dla nas lepiej!

To powiedziawszy książę odwrócił się i utopił wzrok w wiszącej mapie holenderskich kolonii. Sekretarz posmutniał może słusznie domyślając się, że w tym kraju, gdzie mały chłopiec na próżno tęskni do pajaca, a wielki kanclerz do holenderskich kolonii, sekretarze, zamiast gratyfikacji, mogą otrzymać na gwiazdkę podarunek - z niezaspokojonych pragnień ...

## OPOWIADANIE LEKARZA

Kilkanaście lat tonu garstka "inteligentnych" warszawian zbierała się w pewnej cukierni. Schodziliśmy się nad wieczorem, pijaliśmy kawę i herbatę, jadaliliśmy ciastka i lody i naturalnie rozmawialiśmy o wypadkach bieżących. Zebrania te nazywały się "giełdą", albowiem prawie każdy uczestnik przynosił z sobą nowiny i sprzedawał je towarzyszom - za inne nowiny, takiej samej wartości.

- Słyszeliście, że A. przegrał w karty trzy tysiące rubli i nie zapłacił?

- A czy wiecie, że B. zeszedł pana C. na bardzo czulej rozmowie ze swoją żoną?...

- Stare dzieje!... Ciekawe jest to, że pana E. przydybano na kasowych nadużyciach i będzie proces...

Nowin tych między innymi słuchał zazwyczaj milczący lekarz, nazwijmy go - Steckim. Spokojnie oglądał ilustracje i nagle wybuchnął krótkim śmiechem.

"Giełdziarze" umilkli, a jeden z nich, może dotknięty śmiechem, zapytał:

- Cóż się to stało doktorowi?...

- Przypomniałem sobie pewne zdarzenie - odparł Stocki i w dalszym ciągu oglądał drzeworyty.

Śmiech jego zmroził towarzystwo. Przesztano opowiadać sobie "wiadomości giełdowe", a poczęto rozmawiać o pogodzie. Wreszcie ten i ów podniósł się z krzesła, a po upływie kilku minut

Zostaliśmy tylko we dwu: Stecki i ja.

- Przejdźmy się po ogrodzie - rzekł lekarz.

A gdy znaleźliśmy się w alei, dodał:

- My tu jednak nieźle oporzędzamy bliźnich!... Gdyby opinie miały moc urzeczywistniania się, jedna połowa naszych znajomych musiałaby iść do kryminału, druga do grobu.

- Chyba zanadto pesymistycznie sądzisz pan nasze... zamiłowanie nowin. Prawda, że niekiedy powtarzamy niemożliwe i nawet ohydne pogłoski, ale robimy to w sposób tak oględny, tak nieledwie serdeczny, że chyba nikomu nie wyrządzamy krzywdy. Przypomnij pan sobie choćby dzisiejsze anegdoty. Wprawdzie jeden mówił, że E. przyłapano na kradzieży, ale ktoś drugi zaraz temu zaprzeczył, a trzeci wspominając o romansie pani B. z panem C. nie omieszkał dodać, że wiadomość ta robi wrażenie plotki.

- A jednak bywają nieszczęśliwi, których zabija plotka nawet opowiedziana z poprawkami i zastrzeżeniami - odparł zamyślony lekarz.



- Znał pan takiego nieszczęśliwca?... - spytałem.

- Prawie że znałem - odpowiedział i po chwili zaczął historię, którą tu wiernie powtarzam.

-----

Z małych przyczyn niekiedy rodzą się duże skutki. W marcu 187\* roku, jako student piątego kursu medycyny, biegłem do szpitala, ażeby dowiedzieć się o rezultacie analizy zrobionej dla jednego z moich chorych.

Powtarzam: biegłem do szpitala, gdyż właśnie, podczas mojej wędrówki, ustępująca zima wysypywała resztę śniegu w postaci mokrych płatów padających tak gęsto, że przechodnie robili się podobnymi do białych niedźwiedzi. Gdyby nie ten śnieg, szedłbym znacznie wolniej, spóźniłbym się o parę minut i nie spotkałbym w szpitalnej sieni rzadko widywanego kolegi, zwanego Parmezanem, ponieważ chwalił się raz, że jego dziadek należał do farmazonów. Parmezan, przy pomocy szwajcara, oczyszczał swój wiotki paltocik ze śniegu wołając melodramatycznym głosem:

- Milion szkarlatyn i tyfusów!... Nie dość, że przemoczyłem nogi, ale jeszcze wpadła mi za kołnierz grudka śniegu. Brrr!...

Błysnął żółtawymi oczyma, otrząsnął się i poszliśmy razem na korytarz, właśnie w chwili kiedy po zawiei grudniowej w wysokich oknach szpitala ukazało się słońce prawie majowe.

- No spojrzysz, kolega - zawołał Parmezan - czy to podle słońce nie mogło wystąpić przed dziesięciu minutami ?...

Znowu otrząsnął się i tak energicznie tupnął w podłogę, że w korytarzu odpowiedziało dźwięczne echo. Na ten odgłos uchyliły się najbliższe drzwi i usłyszeliśmy upomnienie:

- Cicho tam!... w szynku jesteście czy w stajni?... Jednocześnie ukazał się nasz gromiciel. Był to kolega z powodu swojej figury przewany Basetlą. Spostrzegłszy nas zamknął drzwi i rzekł prawie szeptem:

- Ach, to wy!... Wielki los wygraliście!... Pokażę wam tak piękny okaz suchotnika, że bez preparowania można go umieścić w gabinecie osteologicznym... Skóra i kości... Niech pękne, jeżeli kiedy widziałem coś podobnego!...

- Cóż to za jeden?... - spytałem zaciekawiony.

- Wyobraźcie sobie, że jest to kolega medyk, z drugiego kursu. Odludek, pesymista, ale co za wściekła energia w tym facecie! Jeszcze tydzień temu chodził na własnych nogach i udzielał marnie płatnych korepetycji. (Winszuję uczniom i ich rodzicom!) A kiedy nareszcie legł w barłogu, nikomu nie dal znać, że jest chory. Dopiero stróżka zawiadomiła rządcę domu, rządca policję, policja uniwersytet, no i dostaliśmy go tutaj, wątpię jednak, czy na

dłużej niż tydzień. Dlatego radzę wam nasycić oczy widokiem jego szkieletu, dopóki jest w akcji...

- Jak on się nazywa?... - zapytał skrzywiony Parmezan.

- Szwarckopf... Szwarzman... czy coś w tym rodzaju. Zresztą nie pamiętam! - odparł Basetlą.

- Chyba zobaczymy go?... - odezwał się do Parmezana.

- Jak chcesz - odparł nie okazując ciekawości. Weszliśmy. Chory nie leżał na ogólnej sali, lecz w pokoju oddzielnym. Ponieważ słońce znowu zgasło i śnieg zaczął padać, więc nie bez trudności dojrzałem na łóżku pacjenta. Wyglądał na człowieka dwudziestokilkuletniego, miał rude włosy, rudy zarost i ciemne głębokie oczy. Basetlą zbliżył się do niego i zaczął mówić:

- Nasz chory kolega wyobraża sobie, że ma wadę serca. Słuchałem go, ale nic nie znalazłem. Zbadajcie wy, może który co odkryje, choć jestem pewien, że tam nic nie ma. Kolega zdaje się być trochę zagłodzony i w tym tkwi źródło choroby; musiał za często praktykować posty, choć jest, Boże odpuść, kalwinem.

- Musi tam jednak być jakiś nieporządek w sercu - odezwał się chory stłumionym głosem. - Czuję to po pulsie, który jest za prędko i nieregularny.

"Szczęśliwe złudzenia!" - pomyślałem widząc, że tego biedaka chyba już nic nie uratuje.

- A teraz przekonamy się, co znajdują koledzy - rzeki Basetlą. -Poznajcież się... kolega Parmezan...

Usłyszawszy nazwisko chory rzucił się w łóżku i usiadł. Istotnie był przerażająco chudy. Utkwił oczy w Parmezanie i zawołał chrapliwym głosem:

- Musisz pan być kontent, co?... Jesteś bodaj że na piątym kursie, a ja nie mogę wygrzebać się na trzeci.

- Ależ, kolego... ja nic... - szepnął jakby tłumacząc się Parmezan.

- Niechże się to raz skończy!... - krzyczał chory. - Słuchajcie, panowie - zwrócił się do nas. - Słuchajcie... Jak Boga kocham... daję słowo honoru, że tamtego jabłka nie chciałem schować, tylko poprawiłem je na koszyku, ażeby nie spadło...

- Ależ, kolego... nikt o tym nie mówił... nikt nawet nie myślał!... - jękał bardzo zmieszany Parmezan.

- Prześladowaliście mnie wszyscy... Przez was straciłem dwa lata, przez was musiałem uczyć największych osłów i biedaków!... - mruknął chory i upadł na poduszkę.

Po chwili zaczął szeptać:

- A mimo to skończę medycynę, choćbyście na łbach stawali!... Zresztą już zmienił się mój los. Już nie będę korepetytorem... Będę mieszkał w szpitalu... będę czytał kursa...

Nagle ukrył głowę pod kołdrę, z czego korzystając wymknęliśmy się, naprzód Parmezan, ja po nim, a za nami Basetlą.

- Cóż to znaczy?... Co znowu za jabłka?... - pytał Basetlą. Ale Parmezan machnął ręką i uciekł na salę gorączkową, gdzie miał pacjenta. Poszedłem i ja w stronę laboratorium, a Basetlą na pożegnanie przypomniał sobie, że jego chory nie nazywa się Szwarckopf, lecz Eisenfeder.

W kilka dni dowiedziałem się, że Eisenfeder stracił wzrok, a następnie, że umarł. Przez ten czas Parmezan nie pokazywał się, ale po pogrzebie zmarłego zaprosił mnie i Basetlą na piwo. Gdyśmy się zebrali w piwiarni, w domu Rezlera, Basetlą odezwał się:

- Aczkolwiek nie mam ducha proroczego, lecz gotów jestem założyć się, że Parmezan uprzyjemni nam wieczór jakąś niezwykłą historią o zmarłym Eisenfederze... Musiałeś ty, owczy serku, zmalować tęgie świństwo, jeżeli zapraszasz nas na kolację, przypuszczam, że za pokutę!

- Niech cię diabli porwą, żeś nas zwabił do tamtego pokoju i w dodatku zapomniałeś nazwiska Eisenfedera!... - wybuchnął Parmezan uderzając kuflem w stół. - Twoje gapiostwo zatruło mi cały tydzień.

- Uważacie, jak się rozwija ten Twarożek! - odpowiedział Basetla. - Jednym uderzeniem kufła o stół załatwia dwa interesy: wyładowuje swoją wściekłość na mnie i daje znać kelnerce, ażeby przyszła. No, ponieważ usłyszymy jakąś bardzo wzruszającą historię, więc pozwolicie, ażebym przede wszystkim coś zamówił. Panienko!... proszę pieczeni wołowej z kapustą i kartoflami, za dusze zmarłe... A płaci ten pokutnik... - dodał wskazując Parmezana.

- Dla ciebie nie ma nic świętego!... - syknął Parmezan. - Proszę o schab z kartoflami, bez kapusty...

Ja zamówiłem także schab, a kiedy skończyliśmy naszą nie-wykwintną ucztę, Parmezan oparł łokcie na stole, brodę na rękę i westchnął:

- Nie ma co mówić, udawało mi się z tym nieborakiem Eisenfederem! Ale zacznę od początku.

- Byle nie od początku świata - wtrącił Basetla wykluwając zęby.

Parmezan błysnął w jego stronę żółtawym okiem i powiedział:

- Jak wiecie, ukończyłem gimnazjum w mieście X...

- No... no... tylko bez przechwałek! - wtrącił Basetla. Parmezan ze wzgardą ruszył ramionami i mówił dalej:

- W mieście X oprócz gimnazjum znajdowała się czteroklasowa szkoła realna, a kiedy ja chodziłem do pierwszej klasy gimnazjalnej, Eisenfeder uczęszczał do pierwszej klasy realnej. Był on synem rymarza, o czym wiem, gdyż jakiś czas mieszkaliśmy w tym samym domu.

Znaliśmy się jednak z daleka i nie rozmawialiśmy z sobą, ponieważ gimnazjalistom nie wypadało wdawać się z "olejarzami". Tak nazywaliśmy realistów.

W jesieni roku 186\* w mieście X urządzono wystawę rolniczą z próbami machin i wyścigami. Próby i wyścigi odbywały się, dajmy na to, za rogatką wschodnią, maszyny stały przy rogatce zachodniej, obok koszar, zaś okazy zbóż, ogrodowin i owoców pomieszczono w sali popisowej naszego gimnazjum.

Był to początek roku szkolnego, więc miałem dosyć czasu i co dzień zwiedzałem wszystkie części wystawy. Przypatrywałem się próbom pługów, siewników i bron nowego typu za rogatkami wschodnimi; potem biegłem do koszar, ażeby po raz dziesiąty i piętnasty oglądać młynki, sieczkarnie i rozmaite maszyny, których znaczenia nawet domyślić się nie mogłem. Zaś na ukoronowanie moich agronomicznych uciech łąziłem do sali gimnazjalnej, ażeby tam podziwiać olbrzymie buraki, marchew, kalafior i kapustę.

Nie potrzebuję dodawać, że największą popularnością cieszyły się okazy istotnie pięknych owoców, między którymi wyróżniał się koszyk jabłek ciemnoamarantowej barwy. Muszę też nadmienić z przykrością, że co dzień, pomimo dozoru, ginął jakiś owoc. Pokazuje się, że...

- Że zakazane owoce smakują najlepiej - wtrącił Basetla. - Już znamy ten głęboki aforyzm!...

- Radzę ci wynajmować swój język do prania bielizny zamiast kijanki!... - burknął Parmezan i odetchnąwszy mówił dalej:

- Pewnego dnia, kiedy znowu szedłem do gimnazjum, rozumie się, nie na lekcję, tylko na wystawę, zobaczyłem przed szkołą zbiegowisko. Tłum, ciągle rosnący, kotłował się u drzwi głównych, w których policjant (czarny mundur z czerwonym kołnierzem, na głowie pikielhauba, przez ramię szabla na szerokim pasie) trzymał za rękę jakiegoś chłopca w ubraniu cywilnym.

W pierwszej chwili nie mogłem poznać twarzy, chłopak bowiem zasłaniał się drugą ręką, trzęsąc się i płacząc tak rzewnie, że łzy wypływały mu spomiędzy palców. Ale gdy zbliżył się jakiś pan ?. zapytaniem: "Co się stało?..." - policjant oderwał chłopcu rękę od twarzy, a wówczas... poznałem Eisenfedera!

"Kradł jabłka na wystawie, proszę wielmożnego pana, więc kazali zaprowadzić go do ratusza" - objaśnił policjant.

"Jak mamę kocham... jak Bożę kocham... nie brałem jabłek!... - krzychał chłopak bijąc się w piersi. - Ja chciałem tylko poprawić jabłko, żeby nie spadło, a pan Mateusz, woźny, powiedział, że kradłem..."

Owym jegomościa, który zatrzymał policjanta, był czcigodny D., nauczyciel matematyki, a zarazem inspektor szkoły realnej. Rozmówił się z obecnym przy awanturze członkiem zarządu wystawy i Eisenfedera uwolnił z rąk policjanta.

"Możesz iść do domu" - rzekł D.

Ale chłopak nie ruszył się z miejsca. Oparł się o ścianę i zasłoniwszy twarz obu rękoma, płakał, że się serce krajało, i powtarzał:

"Ja nie brałem... ja tylko chciałem poprawić jabłko. To pan Mateusz, który kłóci się z moimi rodzicami, przez zemstę nazwał mnie... O mój Boże..."

Zacny nauczyciel pogłaskał chłopca i odprowadziwszy go na bok, rzekł:

"Uspokój się, Eisenfeder, i idź do domu... Ja ci wierzę i mam nadzieję, że do jutra wyjaśni się nieporozumienie."

Istotnie sprawa wyjaśniła się o tyle, że znaleziono kilka osób, które widziały, iż Eisenfeder tylko dotknął jabłka leżącego na szczycie grupy, ale bynajmniej nie chował go do kieszeni.

- Dramat zakończony sielanką!... - rzekł Basetla.

- Zobaczysz, jaka to ładna sielanka - ciągnął Parmezan. - Zapominasz, że na aresztowanie Eisenfedera patrzyło kilkanaście osób i że chłopak miał kolegów, drugoklasistów. Dzieci zaś, jak wiadomo, niekiedy odznaczają się tygrysimi instynktami...

- I nie dzieci!... - wtrącił Basetla.

- Eisenfeder był usprawiedliwiony wobec władzy szkolnej, ale nie zdołał przejednać kolegów, którzy dla miłości sztuki dokuczania używali na nim, ile weszło. Z całego szeregu prześladowań, jakim ulegał, najmniejszymi były dwa przezwiska: "wystawca" i "jabłecznik"... Niech tylko Eisenfeder nie ustąpił komu z drogi albo nie zrobił, czego żądano, wnet "obrażony" kolega rzucał słówko: "wystawca" albo "jabłecznik", i - miał zupełną satysfakcję. Eisenfeder czerwienił się, cofał, a niekiedy rzucał się na ławkę i oparłszy głowę na rękę, płakał... Toteż niewielu "kolegów" odmawiało sobie uciechy pobudzenia do łez Eisenfedera. Nikczemność lubi triumfować nad niedolą.

W rezultacie Eisenfeder musiał usunąć się ze szkoły i dopiero po upływie dwu lat wstąpił do trzeciej klasy. Ja tymczasem doszedłem do czwartej, piątej. Eisenfeder przeniósł się do gimnazjum, gdzie niekiedy spotykaliśmy się na korytarzu. Czy wiedział, że byłem świadkiem jego aresztowania?... nie jestem pewien. W każdym razie spotkawszy się ze mną rumienił się i spuszczał oczy.

Skończywszy gimnazjum zapisałem się do Szkoły Głównej, przeszedłem na drugi kurs medycyny i znowu spotkałem Eisenfedera będącego na pierwszym kursie. W tej epoce naszego koleżeństwa zdarzyły się dwa wypadki, o których zawsze myślę z żalem, chociaż nie nie byłem winien.

Pewnego dnia zetknęliśmy się w prosektorium; ja, już nie pamiętam, z kim, preparowałem nogę, a Eisenfeder przy drugim stole obrabiał głowę. Wtem, licho wie z jakiej racji, przyszedł mi koncept zapytać mego towarzysza: czy był na wystawie sztuk pięknych?... Eisenfeder, który widocznie usłyszał tylko wyraz: "wystawa", nagle zaczerwienił się i zwróciwszy się do mnie z zakrwawionym skalpelem, zapytał:

- O jakiej to "wystawie" pan mówi?...

Na moje szczęście odpowiedziałem naturalnym głosem:

- No, o wystawie Zachęty. Nie słyszałeś pan?.. Eisenfeder popatrzył na mnie ze złością i na powrót wziął się do roboty. Ja zaś przypomniałem sobie jego wystawową awanturę i struchlałem pomyślawszy, że ten człowiek mógł posądzić mnie o zamiar szykanowania go...

Drugi raz zdarzyło się gorzej. Spotkałem Eiseniedera na obiedzie, wiecie, u Janowej. Diabli nadali, że usiadł przy mnie Jeżozwierz, który po czarnej kawie wydobyl z kieszeni kilka jabłek amarantowego koloni i zaczął nimi częstować naprzód mnie, potem Eisenfedera.

- Jedz kolego - mówił - to bardzo zdrowe po obiedzie... Co za głupi koncept i skąd mu przyszedł do łba! Eisenfeder na widok owocu, który zapewne przypomniał mu wystawę rolniczą w X, zerwał się od stołu, spojrział na mnie oczyma pełnymi łez i zapłaciwszy Janowej za obiad, wyszedł. W kilka zaś dni dowiedziałem się, że wziął urlop i wyjechał na wieś, na guwernerkę. Było mi wściekle przykro, ponieważ jestem pewny, że posądzał mnie o opowiadanie jego nieszczęścia na wystawie.

Tu Parmezan umilkł i napił się piwa. Po chwili zapytał go Basetla:

- Więc według twojej hipotezy, Parmezanku, Eisenfeder dlatego wyjechał na guwernerkę, że Jeżozwierz poczęstował go bardzo czerwonymi jabłkami?... A czy wypadkiem ty, filantrop, czy wypadkiem nie opowiedziałeś komu jego niemiłej historii?...

Parmezan zmieszał się...

- Czy ja pamiętam?... Może i opowiedziałem coś Jeżozwierzowi, ale... pod największym sekretem i nigdy w tym sensie, że Eisenfeder kradł jabłka, tylko że spotkało go takie dziwne zdarzenie.

- Tak... tak!... musiałeś coś. Twarożku, chlapnąć językiem, naturalnie pod największym sekretem, o Eisenfederze, a zaraz powiem ci dlaczego. Pamiętam, w tej chwili przypomniałem sobie, że w roku, kiedy Szkołę Główną zamieniono na uniwersytet, rozeszła się pod największym sekretem pogłoska o jakimś medyku drugokursiście, który w gimnazjum kradł jabłka, a później zegarki. Ludzie nie tylko powtarzali twoje słowa, ale jeszcze awansowali bursza na kompletnego złodzieja!... Toteż nie dziwię się, że wówczas wyjechał na guwernerkę, a później unikał kochanych bliźnich jak psów wściekłych... Za twoje zdrowie, Parmezanku!...

Basetla wypił kufel piwa, a Parmezan tłumaczył się bardzo strapiiony:

- To nie może być!... Ja nic podobnego nie mówiłem o Eisenfederze... Ja go nawet broniłem...

- Tylko już mnie nigdy nie broń w ten sposób!... - szydził Basetla.

-----

Stecki przerwał opowiadanie, zatrzymał się w alei i po dłuższej pauzie dodał:

- Na świecie robi się tak, że jedni powtarzają plotkę, choćby o niewinnym, inni bronią oskarżonego, rozumie się, specjalnym stylem, wszyscy zaś razem budują stos, na którym opala się mocniejszy, a ginie słabszy.

- A jakie zapisałby pan lekarstwo na tę chorobę?... - spytałem.

- Przez kilka lat mieszkałem za granicą - odpowiedział Stecki - i doszedłem do następującego wniosku. Inteligentny Niemiec lub Francuz, znalazłszy się w towarzystwie równie inteligentnych ludzi, rozmawia o ważnych kwestiach: naukowych, religijnych, społecznych, a choćby i artystycznych. Zaś my lubimy przede wszystkim zajmować się osobami i powtarzanymi o nich pogłoskami, choćby za grosz nie miały prawdy ani sensu. Skutek jest ten, że Francuz albo Niemiec kształci się w towarzystwie, a my psujemy się i krzywdzimy innych, dzięki czemu każdy z nas ma duszę pełną ukłuć, dopóki nie zabliźni ich pogarda.

## PAŁAC I RUDERA

### ROZDZIAŁ 1 w którym czytelnik poznaje wielką fajkę w niewielkim pałacu

Są wyspy wśród morza, oazy wśród pustyń, a ciche dzielnice wśród ruchliwego miasta.

Odludzia takie sąsiadują niekiedy z pryncypalnemi ulicami, niekiedy stanowią ich przedłużenie i jakby ciąg dalszy. Chcąc je odnaleźć, potrzeba z jakiejś głównej arterji ruchu i turkotu zejść na prawo, albo na lewo. Wówczas, po upływie kilku minut, gładki asfaltowy chodnik stanie się ostrym brukiem, bruk zwykłym gościńcem, miejski rynsztok ścieżyną albo rowem.

Wielkie kamienice ustępują miejsca żółtym, różowym, pomarańczowym i czarnym domkom, pokrytym przegniłemi gontami, albo parkanem ze starych desek. Jeszcze dalej spotkać można gołębniki, pochylone skutkiem wieku, studnie z żórawiami, przedhistoryczne olejne latarnie, grządki kapuścianych głów i drzewa, usiłujące okrywać się liściem i rodzić owoce.

W dzielnicach takich tłusciach, jadący odrapaną dorożką z pod Karasia, pozuje na milionera, przeglądającego place, a chłopak felczerski w zielonym krawacie i odprasowanym kapeluszu udaje urzędnika z banku. Młode kobiety nie uśmiechają się tu w przelocie, ponieważ nie ma kto podziwiać ich białych zębów; mężczyźni włóczą się jak żółwie, gotowi co chwilę stanąć i oglądać nawet chudego konia ze startym grzbietem, który, przymknąwszy oczy, z wyrazem melancholji szczypie suchotniczą trawkę.

Dokoła pustki sterczą wysokie kominy, czarne lub wiśniowe dachy i ostre wieże kościołów; dokoła kipi życie: słyhać gwar głosów ludzkich, turkot wozów, bicie w dzwony, albo świst lokomotyw. Lecz tutaj cisza. Do miejsc tych rzadko zajeżdża szlifierz ze swym przeraźliwie dźwięczącym młotkiem, a rzadziej jeszcze kataryniarz ze swym astmatycznym instrumentem. Żaden baryton nie ryczy tu: „Węgłe kamienne!” żaden dyszkant nie wrzeszczy: „Węgłe do samowara!” — i tylko czasem obdarty Żydek z Pocijowa mruczy pod nosem: „Handel! handel!” — umykając co rychlej do bardziej ucywilizowanych okolic.

Dobrzy ludzie żyją tu bez ceremonij. W dzień powszedni, ukryci za parkanami, doją swoje krowy, wołają: „Mal... mal... mal... maluśki!” na prosięta, lub dla pożytku bliźnich wyrabiają trumny i beczki; w niedzielę zaś, w barwistych kamizelkach i nocnych kaftanikach, zasiadają ławy, ustawione wzdłuż domów, i rozmawiają z sąsiadami przez ogrody. Tymczasem ich dzieci na środku ulic grają w kiczki, oblewają się wodą, lub rzadkich przechodniów obrzucają kamieniami, stosownie do okoliczności i humoru.

W takiej to dzielnicy, wśród różnobarwnych kletek, walących się szop, niedbale utrzymanych ogrodów i śmieciem okrytych placów, wznosił się blado-zielony, dwupiętrowy gmach, przez majątnego właściciela i ubogich sąsiadów tytułowany pałacem. Słuszność nakazuje wyznać, że pałac ten był zwykłą kamienicą, posiadającą ogródek i pompę w



podwórzu, ogród za podwórzem, na dachu sześć kominów i dwa konduktory, dwa duże głązy przy bramie, a nad bramą gipsowy wizerunek głowy baraniej.

Tyle o pałacu, w którym przez dwa otwarte na pierwszym piętrze okna przechodzień wysłuchać i zobaczyć mógł to, co następuje poniżej:

— Wandziu!... Wandziuniu!... Wandeczko! — wołał z przerwami basowy głos, zdradzający silne zmęczenie.

Jednocześnie błysnęła w pokoju łysina, po niej żółte nankiny, po nich para kolorowych skarpetek, i rozległ się głuchy łoskot niby upadku.

— Wandziuniu!... — powtórzył głos z tak szczególną intonacją, jakby na gardle osoby, wydającej go, próbowano wytrzymałości powrozów.

— Słuchani dziadunia! — odpowiedział z głębi mieszkania głosik dziewczęcy.

Łysina, nankin i kolorowe skarpetki przemknęły w oknie kilka razy raz po raz, poczem znowu rozległ się łoskot.

— A daj tam, koteczku, Czwartek! — wyjęczała osoba, tytułowana dziaduniem.

— Czy tytuń dziadzio ma?

Tym razem nankin i skarpetki uformowały w oknie figurę, podobną do widel — poczem znowu nastąpił upadek, o wiele cięższy niż poprzednio.

— A... zdrowo!... Janek, Janek!... a nalej wody w prysznic... Bodaj ciebie, jakaś ty roztrzepana, Wandeczko!

— Dlaczego, dziadziu? — spytało dziewczę.

— Jakże dlaczego? Ja kazałem Czwartek, a ty przyniosłaś Piątek. Czwartek przecie jest wiśniowy, ze śpiczastym bursztynem. Wstydz się!... Ooo! zdrowo!...

— A tak, dziaduniowi zdrowo, a ja się ciągle boję, żeby się co złego nie stało... Dziaduś taki gruby i takie koziołki wywraca!

— Gruby, powiadasz? No, więc kiedy taki gruby, to bierze się, ty cienka, za kółka i machaj!...

— Ależ, dziaduniu!...

— Machaj, powiadam!...

— Ależ, dziaduniu... moje ubranie! — Machaj, ty cieniutka, machaj!...

Po tych słowach mignęły w oknie ciemnoblond loki, za nimi węgierskie buciki, nastąpiły dwa wybuchy śmiechu — na bas i sopran, potem gonitwa i... cisza. Dopiero po upływie kilku minut, w tem samym co i pierwej oknie, ukazała się wielka piankowa faja, osadzona na

bajecznie długim cybuchu, a za nimi wzorzysty szlafrok, czapeczka ze złotym kutasem i twarz, z koloru i formy przypominająca niebывałych rozmiarów rzodkiewkę. Za chwilę wszystkie te szczegóły, należące, o ile się zdaje, do jednego tylko właściciela, znikły w gęstych tumanach wonnego dymu.

— Wandziu!... Wandeczko! — zaczął znowu rumiany staruszek.

— Słucham dziadunia!

Lekki powiew rozdarł kłęby dymu, wśród których, niby w obłoku, ukazała się biała i różowa twarz, wielkie szafirowe oczy i ciemno-blond pierścienie włosów piętnastoletniej dziewczynki.

Jednocześnie z pomiędzy parkanów wyszedł na ulicę wysoki, pochylony starzec w długim surducie, dużej watowanej czapce, i wspierając się na zakrzywionym kijku, z wolna kroczył po tej stronie drogi, która do pałacu przylegała.

— A zbytnico!... a niegodziwa!... — mówił siedzący w oknie właściciel piankowej fajki — to ty dziadunia od grubasów wyzywasz, hę? Przepróż zaraz!

— No, przepraszam, bardzo przepraszam, ale... da dziadzio kanarkowi siemienia?... — odparła wnuczka.

— Dam, ale pocałuj... Rozległ się całus.

— A da dziadzio grochu gołębiom?

— Dam, ale pocałuj...

Rozległ się drugi i trzeci całus, a oba tak głośne, że aż stary przechodzień zatrzymał się, nasłuchując tuż pod oknem.

— A da dziadzio gryki kurkom moim, da?

— Dlaczegożby nie? Ale pocałuj...

— Kurom? — szepnął starzec z ulicy. — Kostusia miała kury, ale zdechły!...

— A Azorkowi śmietanki dziadzio pozwoli dać?

— O! zbytki!... — oburzył się dziadek — tego to już nie dam, nie dam!...

— Daj, dziaduniu, śmietanki Azorkowi — prosiła dziewczynka, obejmując go rękoma za szyję.

— Moja Helunia, moje dzieciątko, już tak dawno nie piła śmietanki! — wyszeptał starzec z pod okna.

— Daj, dziadziu, Azorkowi... on taki mizerny! — wołała, coraz mocniej ściskając i coraz głośniej całując dziadka z pierwszego piętra, który się bronił, wymachiwał cybuchem i wogóle udawał wielkie oburzenie.

— Moja Helunia... taka mała... taka mizerna i kaszle — mruknął starzec z ulicy.

W tej chwili uczuł, że mu coś spadło na głowę; podniósł rękę i znalazł na swej czapce ogromną, jeszcze gorącą piankówkę.

— Ratujcie! — zawołał dziadek z pierwszego piętra — już po mojej fajce!

I wychylił się z okna tak energicznie, jakby miał zamiar razem z wiśniowym cybuchem, wzorzystym szlafrokiem i haftowaną czapeczką rozbić się o ten sam bruk, ku któremu podążyło jego faworytalne narzędzie.

— Jest fajka, jest! — odezwał się starzec zdołu, ukazując nietkniętą zgubę.

— Moja fajka cała!... Wandziu!... jest cała i zdrowa... spadła i nie rozbiła się! To ten pan taki grzeczny. Wandziu, poproś pana, przyprowadź pana z moją fajką — mówił żwawy dziadek z gorączkowym pośpiechem.

Dziewczynka szybko zbiegła na dół i przy akompaniamencie pensjonarskich ukłonów zaprosiła nieznanomego na górę.

— To nic!... nic... — szeptał zmieszany starzec. — Bardzo mi przyjemnie... Niema za co!

— Wandziu! Wandeczko! Nie puść pana, proś do nas; a jeżeli sam nie przyjdzie, to go przynieś! — komenderował popędliwy dziadek z okna.

Trudno było opierać się tak stanowczo sformułowanym zaprosinom; — nie dziw więc, że ubogi starzec i miła dziewczynka, wymieniwszy jeszcze po kilka ukłonów, weszli w bramę.

Przekonawszy się, że spełniono jego życzenie, dziaduś odstąpił od okna i wszedł do sali, aby tam z należytemi honorami przyjąć gościa.

W pierwszej chwili siadł na fotelu, — widać jednak, że nie było mu tam dogodnie, wnet bowiem przeniósł się na kanapę, z niej na krzesło, i posiedziawszy na niem około trzech sekund, wrócił znowu do pokoju, w którym były otwarte okna.

W czasie tych ewolucyj najmniej bystry obserwator bez wysiłku mógł dostrzec, że rumiany, okrągły i niespokojny staruszek miał bardzo krótkie nogi, i że śpiczasty bursztyń wiśniowego cybucha był osadzony nierównie wyżej nad ziemią, niż łysa głowa i haftowana czapeczka ruchliwego palacza.

Skrzypnęły drzwi sali, i ukazał się w nich ubogi gość w towarzystwie Wandzi, która sykając i strojąc zabawne grymasy, z rączki do rączki przerzucała gorącą jeszcze fajkę. Przybyły starzec zatrzymał się u progu, nieśmiało spojrzął po mieszkaniu i ukłonił się niezręcznie, zobaczywszy w bocznych drzwiach kraj wzorzystego szlafroka i spory kawał wiśniowego cybucha.

— Prosimy, prosimy! dobroczyńco, zbawco! — wołał pękaty gospodarz, drepcząc w kierunku swego gościa. — Poczciwa jejmość Czwartkowa nawet mi nie zgasła! — dodał, odbierając z rąk wnuczki olbrzymią fajkę i osadzając ją na cybuchu, który wnet ssać począł.

Ubogi starzec mieszał się coraz bardziej.

— Aha! prawda, będę miał honor zaprezentować się. To jestem ja, stary Klemens Piołunowicz, a to moja wnuczka, Wanda Cecylja Piołunowiczówna — mówił dziadzio, kładąc nacisk na nazwisko dziewczynki.

— A ja Hoff, Fryderyk Hoff — odparł gość.

— Bardzo mi przyjemnie! — upewnił gospodarz. — Proszę, niech pan spocznie. Wandziuniu, posadź pana na fotelu!

I to polecenie wśród ukłonów spełniono.

— Hola! Janek! A wlej tam wody w prysznic! Wandziulku, baw pana. Czyste sumienie, kochany panie Hoff, prysznic i gimnastyka: oto najpierwsze warunki szczęścia na ziemi. Przepraszam, ale na chwilę muszę wyjść, bom bardzo wzruszony: moja fajka spadła nadół i nawet nie zgasła. Janek! wody!

To powiedziawszy, staruszek wbiegł do swego pokoju i zamknął drzwi. Jednocześnie z innej strony weszła tam druga osoba, prawdopodobnie Janek z oczekiwaną wodą. W sali pozostała Wandzia i gość, niespokojnie kręcący się na fotelu.

— Pan pewnie nie z tych stron? — zaczęła dziewczynka.

— Owszem, z tych — odpowiedział Hoff.

— Co? co? — spytał dziadek z drugiego pokoju, z którego dochodziły odgłosy hydrodynamicznych operacji.

— Pan mówi, że jest z tych stron — odparła wnuczka, podnosząc głos o pół tonu. — Czy pan daleko mieszka? — dodała.

— A ot tam, z drugiej strony ulicy. Ten plac, co go widać, i na nim domek... to moje.

— Ten pomarańczowy?

— A ten.

— Dziadziu! pan mieszka w tym pomarańczowym domku, co to z okna widać.

— Patrzaj! — dziwił się w drugim pokoju dziadzio.

— A ta sadzawka to także pańska?

— Moja.

— I rybki tam są?

— Doprawdy, że nie wiem! — odparł zakłopotany gość.

— Co? co? Wandziulku? — spytał dziadek.

— Pan, proszę dziadunia, mówi, że nie wie, czy są rybki w sadzawce.

— Patrzaj! — wykrzyknął dziadzio, prowadząc dalej ćwiczenia wodne.

Gość siedział jak na szpilkach.

— Pan się nudzi u nas?

— Czasu nie mam... to jest...

— Proszę dziadunia, pan chce wyjść!

— A, nie pozwalaj, dziecko! Ja w tej chwili będę gotów do usług. Ot i jestem!

Jednocześnie otworzyły się drzwi tajemnicze, i ukazał się w nich dziadek, rzeźwiejszy niż poprzednio.

— Pan doprawdy chce już uciec?

— Muszę... to jest... — odparł gość, wstając z fotelu.

— To być nie może, żeby pan wyszedł, nie poznawszy talentów mojej Wandzi. Wandziuniu, bierz się za kółka i machaj kozła!

— Ależ, dziadziu!...

Teraz dopiero Hoff dostrzegł, że w drugim pokoju były przytwierdzone do sufitu dwa grube sznury, a na nich wielkie pierścienie, do których dziadek gwałtem przyprowadził wnuczkę.

— No, Wandziuniu... raz! dwa!... kozła naprzód! Zarumienione jak wiśnia dziewczątko, machnąwszy kozła

naprzód, chciało uciec, lecz zatrzymał je dziadek nową komendą:

— Kozła wtył... raz! dwa!

— Mój Boże! — uśmiechnął się Hoff, którego oryginalna rodzina poczęła interesować.

— A teraz ja! — rzekł dziadek, szybko zrzucając czapkę i szlafrok, i chwytając się rękami za pierścienie. — Ot tak się wywraca koziołki wtył i naprzód. Raz, dwa! raz, dwa!

— Mój Boże, mój Boże!... — wołał rozweselony gość, patrząc na nowego znajomego, który podczas koziołków robił się podobnym do kłęba różnokolorowych nici.

— O! zdrowo!... — westchnął dziadek, stając ciężko na podłodze i ocierając pot z czoła. — Krew, panie Hoff, należy rozgrzewać i rozprowadzać po całym ciele, bo inaczej... zakrzepnie. Wandziulku! zagraj teraz panu na fortepianie. Raz! dwa! wszystko, co umiesz!

Ani chwili nie ociągając się, dobre dziecko poczęło grać, a tymczasem dziadek badał gościa:

— Ten pomarańczowy domek to pański? — Tak, mój.

— A gimnastykę pan ma?

— Nie mam.

— U... to szkoda! A prysznic pan ma?

— Nie, nie mam.

— Szkoda! prysznic to najdoskonalsza machina pod słońcem.

Starzec wyprostował się, oczy mu błysnęły, a na twarz wystąpił rumieniec.

— Najdoskonalszej maszyny nie ma jeszcze, ale będzie. Tak, będzie!... Dwadzieścia lat pracuję nad nią...

— Nad prysznicem? — pytał zdumiony gospodarz.

— Nad maszyną, która zastąpi lokomotywy, młyny i... wszystko... wszystko!...

Mówiąc to, drżał.

— Jakaż to maszyna? — spytał dziadek, cofając się.

— Prosta, panie, najprostsza!... Kilka kół i kilka szrub... Im mocniej zaszrubować, tera prędzej idzie i więcej robi, bez wody, bez węgla... To skarb, panie... to zbawienie ludzkości!

— I pan wynalazłeś taką maszynę?

— Ja... tak, ja! Ach... com wycierpiał, com się napracowałem, nim wymyśliłem ostatnie koło bez osi. Ale już wymyśliłem.

— I maszyna idzie?

— Jeszcze nie, bo sztuki niedokładnie dopasowane i brak ostatniego koła. Ale niedługo... kilka dni jeszcze, a oddam ludziom mój wynalazek. Niech korzystają!

— Panie! — rzekł dziadek, zdejmując czapeczkę — dziękuję Bogu, że cię do mnie przysłał. Wielka to przyjemność pomyśleć, że człowiek, który mi uratował fajkę, jest znakomitym wynalazcą i pracuje nad dobrem ogółu.

— Chcę właśnie iść po kółko — przerwał Hoff.

— Idź pan! idź!... i pozwól, abym ci złożył uszanowanie w twym domu. Może też ja i moi przyjaciele pomożemy ci w zamiarach.

Ubogi gość był głęboko wzruszony, i biorąc pocziwego dziadka za rękę, ze łzami odparł:

— Panie, niech pana Bóg błogosławi za obietnice. Teraz nic nie chcę, prócz dobrego słowa. Ludzie nazywają mnie warjatem... więc... Ale kiedy skończę moją maszynę, poprociegujcie mnie panowie... Przecież to nie dla mnie, ja już stoję nad grobem!

I wstrząsając silnie ręką gospodarza, dodał:

— Muszę iść po kółko.

— Wandziu! —zawołał dziadek do grającej wnuczki — dość już! Pożegnaj pana Hoffa. Pan Hoff jest wielkim wynalazcą. Idzie po kółko!...

Z temi słowy i z oznakami najwyższego uszanowania odprowadził do drzwi swego gościa, który z gorączkowym pośpiechem opuścił mieszkanie, nie oglądając się i nie odpowiadając na ukłony.

Ale poczciwy dziadek nie zważał na podobne drobiazgi, ponieważ w chwili tej zwykły jego entuzjazm dosięgnął szczytu.

— Skarb! skarb znalazłem, jak pragnę zbawienia duszy!

Wynalazca dziwnej maszyny, dobroczyńca ludzkości w moim domu! A! to im na sesji pieprzu zadam!

Mein lieber Augustin Przy fajce miał bursztyn! Tra la la! tra la la!

Tak wyśpiewując, podkasał dziaduś poły szlafroka i tańczył po sali, jużto sam, jużto z wnuczką, która, przywykła do podobnych wybuchów, srebrnym głosem wtórowała dziadkowi:

Mein lieber Augustin Przy fajce miał bursztyn! Tra la la! tra la la!

Duet niebawem zamienił się w tercet i kwartet — w tej chwili bowiem kanarek, jakby zazdroszcząc śpiewowi dziewczęcia, począł wyświstywać wniebogłosy, a jednocześnie wpadła do sali wprawdzie młoda, lecz bardzo otyła psina, potęgując ogólną wesołość wrzaskliwym szczekaniem i niezgrabnymi skokami.

## **ROZDZIAŁ 2 przeznaczony dla rozrywki dam, nudzących się skutkiem braku zajęcia**

Kiedy przed trzydziestu laty Fryderyk Hoff młodą żonę wprowadził do swojej zagrody, wówczas wszystko tam było inaczej. Wprawdzie na ulicy, jak i dziś, z wiosną było błoto, a w lecie kurzawa, lecz ogród zielenił się od drzew i warzyw, w stajni mruczały krowy, po sadzawce pływały kaczki i gęsi, a w jednej połowie nowego domu od wschodu do zachodu słońca rozlegał się stuk młotów, zgrzyt pił i heblów stolarskich.

Dziś wyschła sadzawka, zamieniając się w bagnisko; z wesołego ogrodu pozostał plac pusty, a na nim kilka drzew obumarłych. Budynki znikły, do warsztatu od wielu lat nie otwierano zbutwiałych drzwi i okiennic, a dom pochylił się i zapadł w ziemię, która nietylko ludzi pożera.

Na tym pomniku ubiegłego szczęścia każda rana miała swoją historję. Komin przed dwoma laty rozwalila burza; szczyt dachu wygiął się w kabłak pod zaspami ostatniego śniegu, a bok załamał się pod nogami rozpustnego chłopca, który wybierał tu wróble. Z obwisłych i pogniłych okiennic nieznany sprawca powydobywał żelaza; tynk na środku ściany wybił głową jakiś pijak, ten sam, który przez zemstę wybił potem szyby, dziś zastąpione deszczułkami. Wkońcu, ponieważ grunt od strony ogrodu był miększy, dom więc wygiął się wtył, rozkraczył i wyglądał tak, jakby lada chwila miał zamiar przeskoczyć na drugą stronę niebrukowanej ulicy.

Bardziej zniszczona i skutkiem tego zamknięta połowa domu miała pozór trupiarni, od której sień, zbudowana na przestrzał, oddzielała izby mieszkalne.

Izb tych było dwie, jedna za drugą; każda oświetlona za pomocą dwóch okien — jednego od placu, drugiego od ulicy. W pierwszej stał komin, stara szafa, łóżko za parawanem, stolik, parę krzesel, ławka i maszyna do szycia; nadto przy drzwiach wchodowych wisiała kropielnica z krzyżem. W drugiej izbie był tapczan z pościelą, skrzynia, kulawy stół i stołek, mnóstwo metalowych i drewnianych o zagadkowych formach rupieci, tokarnia, na której Hoff od dwudziestu lat budował swoją machinę, wreszcie stary zegar ścienny, zwolna wybijający swoje: tak, tak, tak, tak...

Dnia, w którym zaczęło się opowiadanie, około szóstej wieczorem, trzy osoby siedziały w pierwszej izbie opisanego domu: Hoff, jego córka Konstancja i jej kilkoletnie dziecko, Helunia.

Uderzająco podobne do siebie były córeczka i matka. Te same włosy płowe, te same siwe, wielkie i zapadłe oczy, te same wynędzniałe i schorowane twarze, te same wreszcie suknie zniszczone i czarne, które matka nosiła od lat kilku, a dziecko nie zmieniało nigdy.

Z trojga obecnych chora kobieta szła coś w rękach, chore dziecko, siedząc w otwartym oknie, bawiło się odrzuconem kółkiem maszyny, a starzec monotonnym głosem czytał Biblię:

„Był mąż w ziemi Ur, imieniem Job; a ten mąż był doskonały i szczerzy i bojący się Boga i odstępający od złego.”

Stary umilkł i spojrział przez okno. Zielona trzcina chwiała się na bagnisku, pod tchnieniem wiatru drżały suche gałązki martwych drzew, a na niebie zwolna sunęły białe i wydłużone obłoki.

Hoff czytał znowu:

„I urodziło mu się siedmiu synów, a trzy córki.”



Na pusty plac spadło niewiadomo skąd kilka wróbli, szukających ziarn między kamykami i wołających: cirlik! cirlik!... na co odpowiadały im żaby z bagna: a hu rech! rech!... Do głosów tych przyłączyło się dolatujące z odległości gdakanie kury, która zwoływała pisklęta.

„I schadzali się synowie jego, a sprawowali uczty, każdy w domu swym, dnia swojego; i posyłali, a wzywali trzech sióstr swoich, aby jadały i pijały z nimi.”

Hoff odsunął książkę, oparł głowę na rękach i mruknął:

— Nie mam już synów, a moja córka...

— Ojcze! — szepnęła mizerna kobieta, patrząc z trwogą na twarz ojca.

— Córka i dziecko, obie chore i głodne. No, ale skąd ja wezmą? Ach! bieda!

— Bieda! — powtórzyła bawiąca się dziecina.

Tak, tak, tak, tak! — potakiwał bezmyślnie zegar w drugiej izbie.

Kobieta opuściła ręce.

— Najlepiej być wróblem — mruczał stary. — Wróbel ucieka od pustych śmieci, ale człowiek od swego nieszczęścia nie ucieknie... o, nie!... Wróblęta świergoczą po całych dniach, a moje dzieci kaszlą... Już nie dam rady!...

— Mój ojczuniu! mój ojcze! niech ojciec nie mówi tak. Poco się dręczyć? — błagała córka.

Stary machnął ręką.

— Cóż robić, kiedy złe myśli same przychodzą do głowy.

— Niech ojciec myśli o czym innym. Taki dzień ładny, słońce grzeje...

— Ale nasz piec już od bardzo dawna jest zimny. Na jutro też niema nic.

— Jest jeszcze rubel, ojczuniu. Niech się ojciec z Helką trochę pobawi...

— Helunia chora, o Boże! — westchnął Hoff.

— O lala! o lala! — zawołało dziecko, wyciągając ręce za okno.

— Co ona wygaduje? — zawołał Hoff, śmiejąc się — oto mi lala... no!

— To nie lala, Heluniu, to koza — odezwała się matka.

— Kozia — powtórzyła dziewczynka.

Twarz starca rozjaśniła się; przeszedł z krzesła na ławę i wziął dziecko na ręce, mówiąc:

— Wołaj, Heluniu, tak: koziu, koziu, be!

— Kozia — powtórzyło dziecko, klaszcząc w rączki.

— Koziu... be, be! — wołał starzec.

— Be! — odpowiedziała koza.

— Cha, cha, cha! — rozśmiał się Hoff i znowu zabeczał. Koza odpowiedziała znowu.

— Podziękuj, Heluniu, kozi, że się odzywa — wtrąciła matka.

— Dia, koziu, dia! — dziękowała Helunia, rzucając się na ręce zachwyconego dziadka.

— Poproś, Heluniu, kozi, żeby ci przyprowadziła koźlątko.

— Lototo — powtórzyło dziecko.

Koza potrząsała ogonem, kiwnęła parę razy brodą i odeszła, a na jej miejsce przyleciała gromadka wróbli.

— A tio! — zawołała Helunia.

— A tio! — zawtórował dziadek.

— Powiedz, Heluniu: wróble — uczyła matka. — Bubu! — powtórzyło dziecko.

Dziadek aż się trząsnął, tak się śmiał; z twarzy i z serca jego pierzchnął już smutek.

— Wołaj, Heluniu: wróbel — mówił starzec.

— Blabla!...

— Co to za dziecko! co to za dziecko! — dziwił się dziaduś.

— Poproś, Heluniu, dziadzi, żeby oddał mamie łódkę — wtrąciła matka.

— Lototo — odpowiedziała Helunia.

— Jaką łódkę? — spytał starzec.

— Od mojej maszyny, co to ją ojciec chciał naprawić.

— Naprawić? No, więc naprawię.

— Mój ojczuniu, niech ją lepiej ślusarz naprawi — błagała córka.

Starzec spochmurniał.

— Myślisz, że nie dam rady?

— Ależ...

— Myślisz — ciągnął, zapalając się — że stary warjat już nic więcej nie potrafi, tylko partolić swoją, jak mówicie, głupią maszynę?

— Czy ja tak kiedy mówiłam ojcu?

— Bubu! — zawołało dziecko.

Twarz starca znowu się wyjaśniła, co widząc, matka rzekła:

— Proś, Heluniu, dziadzi tak: daj, dziadziu, daj...

— Dia, dziadzi, dia! — powtórzyła Helunia.

— Cha, cha, cha! — śmiał się starzec, obcierając załzawione oczy — oddam wam już, oddam, kiedy dia.

W oczach biednej kobiety błysnęła radość. Może pomyślała, że naprawiona maszyna powróci zdrowie jej dziecku, a chleb wszystkim.

— Gdzież jest łódka, ojczuniu?

— Zaraz przyniosę — odparł Hoff, i posadziwszy dziecko na ławie, wyszedł do drugiej izby.

— Dziś Pan Bóg na nas łaskaw — szepnęła kobieta. Za chwilę starzec wrócił i, oddając łódkę, rzekł:

— Masz rację, Kostuniu, to nie dla mnie robota. Wolę ja zabrać się do mojej maszyny, a gdy ją wykończę...

Na twarzy córki ukazał się wyraz niespokojnego oczekiwania. Starzec dostrzegł to i mówił dalej:

— Ty znowu myślisz, że ja bredzę? Ale nie bój się, mnie to już nie drażni, a nawet i nic nie obchodzi. Jedno dobre słowo wystarczy za wszystko, a dobre słowo powiedzieli mi tam, ot widzisz, tam, w pałacu. Wy teraz gadajcie sobie, co chcecie.

Począł chodzić po izbie.

— Obiecał, że przyjdzie do mnie i że mnie poproteguje, byłem skończył. A ja skończę, o, skończę!

— Żeby choć przyszedł — szepnęła córka.

— Skończę — ciągnął Hoff — i powiem mu tak: Panie, mam panu coś zakomunikować. My, jak pan nas widzisz, jesteśmy bardzo ubodzy...

Mówiąc to, ukłonił się.

— Żli ludzie chcą nam ten oto plac i dom wydrzeć. Ratowałem go, dopóki sił starczyło, boć to przecie posag Heluni... Ale teraz wy musicie mi dopomóc!

Mówił to z trudnością i głosem przerywanym, gwałtownie gestykulując rękoma. Oczy błyszczały mu dziko.

— Panowie! ja wam ofiaruję moją maszynę, zbawienie ludzkości, miliony!... Wy mi za to dajcie... ot nic... Nie pozwólcie tylko sierotom moim umierać z głodu.

Zwrócił się do struchlałej córki:

— Może myślisz, że mnie nie wysłuchają? Co? czy tak myślisz?... To głupio myślisz! Ja ci powiadam, że nas złotem zasypią... Będziemy mieli znowu dom, ogród, krowy... Co? nie wierzysz?

— Wierzę — odparła córka cichym głosem.

— Dom, ogród, krowy... Krowy i codzień mleko dla ciebie i dla Heluni... Może nie wierzysz?

— Wierzę — odpowiedziała znowu córka.

— Dom, ogród... spokój i miłość ludzką... O, spokój!... Tak, tak, tak, tak!... — potakiwał flegmatycznie zegar. W tej chwili słońce stanęło wprost okna, i ubogą izbę zalały potoki światła; jednocześnie z odległej wieży kościelnej rozległ się głos dzwonu.

Starzec się ocknął.

— Co to jest?

Teraz Hoff wyglądał jak człowiek, rozmyślający nad snem przykrym.

Głos dzwonu, zrazu cichy, stopniowo potężniał i znowu słabnął, uciekał i znowu powracał, jakgdyby oblatywał wszystkie dworki cichej dzielnicy i wszędzie roznosił błogosławieństwo i spokój.

— „Anioł Pański zwiastował Pannie Marji...” — szepnęła klęcząca kobieta.

— Módl się, córko, za siebie i za Helunię naszą — rzekł Hoff, lecz sam nie ukląkł, był bowiem protestantem.

— „Zdrowaś Marja, łaskiś pełna, Pan z Tobą...”

— I za duszę matki twojej i braci.

Głos dzwonu spotężniał.

— „Otom ja służebnica Pana mojego...”

— I za wszystkich ludzi biednych jak my, i za tych, którzy nas nienawidzą — mrucał Hoff. Zdawało się, że dzwon jęknął.

— „A Słowo stało się ciałem i mieszkało między nami...”

— I za ojca twego, ażeby Bóg ulitował się nad nim.

— O Boże! ostatnia nadziejo nasza, zlituj się nad nami! — szepnęła córka.

— Zlituj się nad nami! — powtórzył starzec jak echo, składając ręce i patrząc w niebo załzawionymi oczyma.

Polem zbliżył się do stołu i złamanym głosem począł znowu czytać Biblię.

„I stało się niektórego dnia, gdy przyszli synowie Boży, aby stanęli przed Panem, że też przyszedł i szatan między nie.

„Tedy rzekł Pan do szatana: Skąd idziesz? I odpowiedział szatan Panu i rzekł: Okrążyłem ziemię i przechadzałem się po niej.

„I rzekł Pan do szatana: Przypatrzyłeś się słudze memu Jobowi, że mu nie masz równego na ziemi? Mąż to doskonały i szczerzy, bojący się Boga i odstępujący od złego.

„I odpowiedział szatan Panu i rzekł: Iżaż się Boga Job darmo boi?"

„Tedy rzekł Pan do szatana: Oto wszystko, co ma, jest w ręce twojej."

Gdy tak czytał starzec, dzwon umilkł i nastąpiła wielka cisza. Ptaki pierzchły, modląca się kobieta pochyliła głowę ku ziemi, a chore dziecko szeroko otworzyło oczy, jakby wpatrując się ze zdumieniem w tajemniczy blask, który zapełnił izbę nędzarzy. I zdawało się, że nagle bystry potok czasu wstrzymano, i że z odległości tysięcy lat dolatuje echo ponurej rozmowy, zakończonej wyrokiem: „Oto wszystko, co ma, jest w ręce twojej."

W tej chwili jakiś cień zwolna przesunął się poza parkanem zdziczałego ogrodu, a jednocześnie prawie zgrzytnęły drzwi.

Do sieni ktoś wszedł.

## ROZDZIAŁ 3 Szatan i rodzina Joba

Usłyszawszy łoskot, Konstancja zerwała się na równe nogi i machinalnie poprawiła fałdy zniszczonej sukni; Hoff podniósł głowę, a na twarzy jego błysnęła radość. W sieni tymczasem rozległ się cichy szelest kroków, a może i rozmowa paru osób.

— Pewnie ten pan!... — szepnęła córka.

— Z pałacu... — dodał Hoff.

— Ach, Boże! ojciec nie ma na sobie koszuli...

— Pfy! — syknął starzec i podniósł kołnierz surduta.

W tej chwili drzwi izby uchylily się zwolna i oczekujący z niepokojem nędzarze zobaczyli w nich chudą rękę, która wyciągnęła się w kierunku kropielnicy, do futryny przybitej. Zdawało się, że ręka chce zasłonić wizerunek ukrzyżowanego Zbawiciela, ostatnią ucieczkę tych, których już świat opuścił.

Jednocześnie suchy głos odezwał się:

— Niechaj będzie pochwalony Jezus Chrystus!...

Za ręką ukazała się wygolona twarz, szafirowe okulary i krótko ostrzyżone włosy, a następnie cały człowiek, szczupły i niski. Widmo to w długim paletocie, z okrągłym kapeluszem i laską w ręku, mówiło dalej:

— Pokój domowi uczciwego heretyka, który przecież boi się wody święconej. Chi, chi, chi!

— Pan Wawrzyniec — mruknął Hoff, patrząc niespokojnie na córkę.

— Ale pobożna córka ma obowiązek prostować ścieżki ojcowskie... o, ma! — ciągnął gość.

— Ja tylko zapomniałam nalać... — odparła Konstancja, składając ręce.

— Zapomniałam nalać wody święconej — mówił przybyły — chociaż codziennie powtarzani z psalmistą: Pokropisz mnie, Panie, hyzopem, a będę oczyszczony, obmyjesz mnie, a będę nad śnieg wybielony. Chi, chi, chi! Wieczór dobry, kochany panie Hoff.

— Upadam do nóg — odparł starzec, teraz dopiero powstając z krzesła.

— Wieczór dobry, kochana pani Gołembowska! Jakże zdrowie pani i kochanej naszej Heluni?

— Bardzo dziękuję za pamięć. Dość dobrze. Niechże pan z łaski swej siądzie.

Gość nie siadał, lecz stojąc na środku izby, oparty na swej lasce, mówił dalej:

— To prawdziwy dowód opieki Boskiej, kiedy dość dobrze!... Jakie tu surowe powietrze... chu, chu!... zdaje się nawet, że parę widać. Więc krwotok się już nie powtarzał?

— Co? krwotok?... jaki krwotok? — zawołał Hoff, postępując krok naprzód.

Mizerna kobieta załamała ręce i rzuciła błagalne spojrzenie na drewnianą twarz gościa, który tym samym spokojnym głosem mówił:

— Kochany pan Fryderyk nic nie wie? doprawdy?... mój Boże!... i pocóżem się odezwał!

— Kostunia krwotok miała? kiedy? — pytał Hoff z najwyższym niepokojem.

— Będzie ze cztery dni... — odparł gość — no, ale to nic! Oczyszczy się płuca... i, byle doktor...

— Dziecko moje, dziecko niedobre! — szeptał starzec, patrząc z bolesnym wyrzutem na córkę, która oparła głowę o ścianę i milczała. — O, moja maszyna!... ileż mnie ona już kosztuje!... — dodał.

— A jeszcze daleko do końca! — wtrącił przybysz.

— Co ja pocznę? Skąd ja wezmę?... Go ja pocznę? Skąd ja wezmę?...— powtarzał Hoff i począł chodzić po stacji.— Grosza niema... znikąd zarobku!...

— To córka jeszcze nie ma roboty? — spytał gość, ciągle stojąc na środku.

— Maszyna zepsuta! — odparł Hoff. — Maszyna zepsuta!... — powtórzył kilka razy.

— Doprawdy? To pan jej jeszcze nie naprawił?

— Czego?

— A maszyny.

Hoff stanął i, patrząc błędnie oczyma w róg izby, bezmyślnie powtarzał:

— Nie naprawiłem... nie naprawiłem!...

— Doprawdy? — zdziwił się gość — taka prosta rzecz!

— He?

— Naturalnie! parę razy pilnikiem pociągnąć, amen. Zawsze oszczędziłoby się parę rubli.

Hoff gwałtownie począł czegoś szukać po kieszeniach; nagle uderzył się w czoło, i zwróciwszy się do córki, rzekł zmienionym głosem:

— Oddaj łódkę!

— Ojcuniu! — jęknęła Konstancja.

— Słyszysz? oddaj łódkę!

Gość zlekka dotknął jego ramienia.

— Panie Hoff! słoweczko. Przyszło mi na myśl, że może lepiej oddaćby to ślusarzowi. Tu potrzeba bardzo delikatnego pilnika.

— Mam taki.

— Nie!... Tu potrzeba jeszcze delikatniejszego.

— Zaraz kupię.

— Szkoda pieniędzy...

— Ślusarz weźmie więcej. Daj łódkę.

— Niech się ojciec uspokoi! — błagała córka, powstając z ławy i zbliżając się do starca. — Panie! — zwróciła się do gościa — niech pan ojca uspokoi... Heluniu!...

— Widzisz pani, że go uspakajani — odparł gość, robiąc poza plecami Hoffa gest, oznaczający zwątpienie.

— Oddaj łódkę! — zaryczał Hoff, patrząc na córkę z wyrazem wściekłości.

— Panie Hoff, kochany panie Hoff! — mówił gość, chwytając go za ramiona. — Na co się zdała łódka, jeżeli niema pilnika?

— Pilnik zaraz kupię. Dawaj! — krzyknął, tupiąc nogą.

— Ojcie! — błagała córka, wyciągając do niego rękę — w domu już ostatni rubel... i czy ojciec chce, aby na jutro dla Heluni nawet kawałek chleba nie było?

— To ja chcę?... — zawołał nieszczęśliwy szaleniec — ja?... To ty chcesz, ty ją gubisz... ty... zła matko i zła córko!

— Uspokój się, kochany panie Hoff! — wtrącił gość. Oczy Konstancji błysnęły.

— Tom ja zła córka i zła matka dlatego, że nie chcę pieniędzy za okno wyrzucać?...

— Uspokój się, kochana pani Gołembowska! — upominał gość.

Hoff schwycił ją za rękę i, patrząc w oczy, zapytał głosem stłumionym:

— Oddasz, czy nie?

— Nie oddam! — odparła stanowczo. Stary zgniótł jej palce.

— Nie oddam! — krzyknęła, łkając. — Puść mnie ojciec!

— Nie puszcze, tygrysico! aż mi oddasz łódkę — szeptał stary, uśmiechając się i zbliżając swoją twarz do twarzy córki.

Biedna kobieta cofnęła się, Hoff szedł za nią i ciągle gniótł jej rękę. W tej chwili zapłakało dziecko.

— Puść mnie ojciec!

— Nie puszcze.

— A więc masz! — rzekła, wydobywając łódkę z kieszeni — poźryj nas wszystkich!...

Stary schwycił za łódkę i dodał:

— Gdzie pieniądze?

Za chwilę i ostatni rubel był już w jego rękach. Wziąwszy, co chciał, Hoff rzucił się ku drzwiom.

— Panie Fryderyku, a czapka? — zawołał gość. Czapka wisiała na szafie, Hoff włożył ją na głowę i usiadł na krześle.

— Ha! zła córka! — mruknął, dziko patrząc na kobietę. Polem zerwał się i szybko wybiegł na ulicę. Konstancja zdawała się nie zważać na to, zajęta utulaniem dziecka.



Po wyjściu szaleńca gość rozruszał się nieco, wyrzwał oknem, podслуchał pode drzwiami, wreszcie, siadając obok stołu na krześle, rzekł:

— Dziwny temperament. Czasami jest spokojny jak kamień, a dzisiaj tak się uniósł. Nadzwyczajny człowiek!

I począł ogryzać paznogie.

— O Boże! za co nas tak karzesz? — mówiła biedna kobieta, łkając.

— Nie tak! nie tak! kochana pani Gołembowska. Trzeba mówić: „O Boże! stań się wola Twoja! Jam aż nadto zasłużyła na utrapienie i ucisk.” Wszyscyśmy grzeszni, moja pani Gołembowska.

— Już chyba niema ludzi nieszczęśliwszych od nas.

— Nikt nie jest na świecie bez jakiegoś utrapienia lub kłopotu, choćby był królem lub papieżem.

— Wszystko się już sprzysięgło: bieda, choroba i taki jeszcze niepokój w domu.

— Dobrze to jest, że doświadczamy niekiedy przykrości i ucisków. A zresztą, czyż sami tylko cierpimy?... Ten, na przykład, poczciwy Jędrus...

— Co? — krzyknęła Konstancja, wpatrując się w gościa. Łzy jej obeschły.

Gość spokojnie wydobyl tabakierkę, obrócił ją parę razy w palcach, stuknął w wieko i dodał:

— Nieszczęśliwy chłopak! Niedość, że chory, głodny i niespokojny, ale jeszcze i ukrywać się musi przed surowością ludzką.

— Więc go wypuścili? — spytała Konstancja, odsuwając od siebie dziecko.

Gość flegmatycznie zażył tabaki.

— Gorzej, kochana pani Gołembowska, gorzej, bo sam uciekł...

Usta Konstancji pobladły.

— Szukają go dobrzy ludzie, jak ewangeliczna niewiasta zgubionego denara, a on tymczasem nieboraczek nocuje nad Wisłą, dniuje w gliniankach, a co jada, tego już nie wiem, bo u nas w kochanej Warszawie niema nawet szarańczy i miodu leśnego.

Konstancja oparła się plecami o okno, ręce jej opadły, głowa pochylila się na ramię.

— Był biedaczysko wczoraj w nocy u mnie, trochę mnie nawet coprawda przestraszył, i oddał ten liścik do kochanej pani.

To powiedziawszy, gość wydobyl z bocznej kieszeni list brudny i pomięty, i położył go na stole. Konstancja nie spojrzala nawet.

— Pusty chłopak! W największym utrapieniu trzymają się go figle. Patrz pani, jak list zaadresował:

„Wielmożna Konstancja z domu Hoff, z pierwszego męża Gołembiowska, obywatelka i dziedziczka. „Najdroższa żona moja...”

— Ach! Boże!... — Czy pani niedobrze, kochana pani Gołembiowska? — dodał.

— Niech pan przeczyta! — odpowiedziała cicho.

— Są to wprawdzie sekreta familijne, no! aleć któż może o nich wiedzieć, jeżeli nie doświadczony przyjaciel?

To powiedziawszy, otworzył list i czytał:

„Sercu Mojemu i Duszy Mojej Najdroższa żono Kosztancyjo!!!

„Renka Boska dobywszy mnie z tych tarapatóf, muszę do Ameryki robić zmyki, bo jak mnie drugi raz wsadzom w dziurkę, to już będzie forbai!!! Z takiej przyczyny potrzebóje pieniędzy, choćby z dziesięć rubli, jeżeli nie chcesz, ażebym na suchej gałęzi przed twojem oknem, na twoich się własnych troczkach nie powiessił!!!

„Rub co chcesz, czy tam mytlai głowę staremu, czy co sprzedaj, choćby ukradnij, belem tego co i owszem miał w te pendy, bo mnie już Holera bieżę, taka mi jest bida!!!

„Całuję cie w pysio milion razy i groszy 15!!! Helka niech się dobrze sprawuje, żeby Boże bruń Ojcu swojemu wstydu nie zrobiła!!!

„Kochający was Jędrus, ojciec i mąż, co mu w pułapce było ciasno!!!

„Jak mi nie dasz zara, to przyjdę do tego starego bonifrata i powiem mu tak: abo daj, abo ci z garła wyciągnę, bo pszecie ja twuj zienć i mąż twoi curki, więc i tam dali!!!”

Skończywszy czytanie, pan Wawrzyniec mruknął:

— Chłopak zdatny, ani słowa! Wypisać się umie, no, ale i cóż z tego?...

I podniósł swoje szafirowe okulary na twarz siedzącej bez ruchu Konstancji, lecz nie mogąc się doczekać odpowiedzi, dodał:

— Można zrobić i tak: nie dawać nic, czekać, aż sam przyjdzie, a tymczasem zawiadomić policję...

Kobieta drgnęła.

— Handel! handel! handel! — odezwał się nosowy głos na ulicy. — Sprzedaję, kupuję, wymieniam!...

— Trzeba zawołać handlarza — rzekła, powstając z ławy.

Pan Wawrzyniec zerwał się.

— Naco? Ja przecież znam jednego szlachetnego człowieka, który pani na kwitek pożyczy.

Przed oknem na ulicy przesunął się Żydek. Konstancja zapukała na niego.

— Pani Gołembiewska, cóż znowu? — reflektował ją gość.

Żyd wszedł i badawczo obejrzał izbę.

— Ny, co będzie?

— Jaka popędliwa kobieta! — mruknął pan Wawrzyniec, przechadzając się i gryząc paznogie. Konstancja opuściła ręce i milczała.

— Może stare garderobę? — spytał Żydek.

— Naco się to zdało? — mówił do siebie gość.

— Stare obuwie, stare bielizna, stare butelki?

— Jak tylko człowiek czego nieumiarkowanie pożąda, zaraz w sobie niespokojnym się staje.

— Może meble? może pościel?

— Materace — odpowiedziała Konstancja.

Pan Wawrzyniec skończył swój monolog i przysiadł się do dziecka.

— Jakie materace? gdzie ony są? — pytał Żydek. Konstancja weszła za parawan i powoli wydobyła trzy poduszki.

— Ile za to?

— Piętnaście rubli.

— Warto — odparł handlarz, oglądając — ale nie dla mnie.

— A ile dacie?

— Sześć.

— Nie sprzedam.

— W handlu niema gniewu... Ostatnie słowo?

— Piętnaście.

— Nie mogę, żeby tak zdrów był!...

— Dwanaście.

— Dam sześć i pół... na moje sumienie!

— Wstydz się, panie starozakonny — wtrącił gość — żeby się też tak targować z biednymi ludźmi!

— A ja to niej biedny? Mam żonę i sześcioro dzieci i zostawiłem im pół rubla na cały, dzień. Nawet cebuli za te pieniądze nie wystarczy. Dam sześć i pół, auf meine munes!

— Jedynaście — rzekła Konstancja.

— Nie targuj się, człowieku! — upominał gość. — Ta biedna kobieta dziś już ostatniego rubla wydała!...

— Ny! ny! — odparł Żyd z uśmiechem. — Pan dobrodziej w handlu to taki litościwy, że ja na pańskie słowo tobym za trzy ruble kupił te materace. Ja pani co powiem, moja pani! My wszystkie żyć potrzebujemy, ja dam pani sześć rubli i pół i... dwadzieścia groszy. Gut?...

Konstancja milczała.

— Pani dobrodziejko! siedem rubli, ani grosz więcej... Samemi nowemi pieniędzami. Eins, zwei, drei!

— Nie mogę — odparła Konstancja. Zdawało się, że za otwartym oknem ktoś stoi.

Żyd z różnych kieszeni wydobywał pieniądze, i odliczywszy, położył je na stole.

— Ny, pani dobrodziejko! Siedem rubli panine, a materace moje. Gut?

— Dziesięć — szepnęła kobieta.

— Dziesięć? ja sam nie wiem, czy siedem rubli wezmę; ja stracić mogę, żebym tak zdechł. Pani widzi, jakie to pieniądze? Ny, moje materace, co?...

— Twoje, parchu! twoje!... — odezwał się chrapliwy głos.

Jednocześnie w otwartym oknie stanął jakiś obdartus, pochylił się naprzód, zrzucił na ziemię siedzącą na ławie Helenkę i schwycił pieniądze.

— Giewał!... co to jest? — zawołał Żyd przerażony, cofając się ku drzwiom.

— Jędrus! — krzyknęła kobieta, rzucając się ku dziecku. — O Boże! moja Helunia!

Dziecko zanosilo się od płaczu.

— Któż znowu tak robi! — rzekł pan Wawrzyniec, zwracając się do obdartusa, który włożył ręce w kieszenie i śmiał się na całe gardło.

— Moje pieniądze! moje siedem rubli! — wrzeszczał Żydek. — Ja do policji pójde...

— A nie masz, psiawiario, materaców, co? — spytał obdartus z za okna.

Konstancja położyła dziecko za parawanem na łóżku i łkała. Za chwilę płacz jej przeszedł w gwałtowny kaszel.

— Fe! — oburzał się pan Wawrzyniec. — Któż słyszał być tak popędliwym! Dziecko rozbiło się, a ta biedna kobieta ma znowu krwotok. O Boże!

— Krwotok?... tam do djabła! Może pójść do Abrahama na ciepłe piwo... prawda, handele?  
— mówił obdartus, obojętnie przypatrując się swym ofiarom.

— Co ja mam robić? — pytał Żydek pana Wawrzyńca.

— Brać materace i umykać, bo tu są chorzy — odpowiedział zapytany.

Łkanie Konstancji rozdzierało serce.

Żyd szybko upakował poduszki i umknął. W sieni minął powracającego Hoffa, który wszedłszy do izby, jak skamieniały stanął naprzeciw okna.

— Gut morgen! stary trupie! — krzyknął obdartus. Hoff podszedł do stołu, oparł się na nim rękami i patrzył w twarz mówiącego.

— Cóżes tak gały wytrzeszczył, bonifratrze? Ludzi nie widziałeś, czy co?...

— Ten kajdaniarz wolny?... — mruknął starzec, jakby do siebie.

— Uspokój się, kochany panie Hoff! — prosił Wawrzyniec.

— Wolny! wolny! i przyszedł dowiedzieć się, kiedy kopyta wyciągniesz, stara purchawko!...

— Uspokój się, kochany panie Gołombiowski! — wtrącił gość.

— Aaa!... — jęknęła Konstancja. Hoff poskoczył za parawan.

— Krew?... Co tobie jest, córko moja... dzieci moje?..

— Co ci to... Brygito?... Co ci oczko podbito?... Podbiła mi matusia za zbytnika Jędrusia!...  
— śpiewał za oknem łotr.

— O Boże sprawiedliwy! — zawołał Hoff, siadając na ławie i obejmując głowę rękami. — Dzieci moje konają, a ja i grosza nie mam!...

— Znam pewnego szlachetnego człowieka, który na kwitek pożyczy — szepnął pan Wawrzyniec.

— No, bywaj zdrów, stary maśluchu! Ale, ale! muszę ci jeszcze na odjeźdnie zabić muchę na łysinie!

To powiedziawszy, łotr uderzył ręką w głowę starca i za chwilę znikł między parkanami.

W pół godziny potem opuścił rudere i pan Wawrzyniec, unosząc z sobą kwit na piętnaście rubli, za który dał Hoffowi pięć.

## ROZDZIAŁ 4 w którym pałac okazuje dużo sympatii dla rudery

Szanowny Klemens Piołunowicz wtorkowy dzień każdego tygodnia rozpoczynał i kończył uroczyście. Obudziwszy się około 6-tej z rana, dziękował naprzód Bogu za to, że mu dał wnuczkę — Wandzię, i że we wtorek, przed kilkunastu laty, pozwolił mu wygrać siedemdziesiąt pięć tysięcy rubli na loterii. Następnie szedł do swej ukochanej dziewczynki i winszował jej zarówno tego, że się urodziła we wtorek, jak i tego, że bez względu na datę została jego wnuczką. Następnie rozkazywał Jankowi wlewać do prysznica aż dwie konewki wody, którą do ostatniej kropli zużytkowywał. Potem kładł na siebie czystą koszulę, zapalał największą fajkę i bawił się nią aż do wieczora. Wreszcie idąc spać, dziękował powtórnie Bogu i za wnuczkę i za główną wygraną, błagając Go przytem, aby (jeżeli już lak musi być konieczny) powołał duszę jego w ten a nie inny dzień na sąd szczegółowy, a następnie umieścił ją wraz z fajkami i prysznicem w tym kącie nieba, który kiedyś, po najdłuższym i najszcześniejszym życiu, zajmie jego Wandziulka serdeczna, najlepsze dziecko na ziemi.

Koronę wtorków stanowiły naukowo-społeczne sesje z gorącą kolacją. Kolacją stawiał gospodarz, posiedzenie zaś organizował niejaki pan Damazy, najznakomitszy mówca w cyrkule IX-tym.

Ani w naukowych, ani w społecznych dyskusjach żwawy starzec zbyt wydatnej nie odegrywał roli, zasłaniając się skłonnością do apopleksji. Rozpraw jednak słuchał uważnie, podnosząc od czasu do czasu brwi w górę i pilnie bacząc, czy uczynił to w miejscu właściwym. Zresztą dawał dobrą herbatę, dobre wino, dobrą południcę i cieszył się nadzieją, że wcześniej lub później obradujący pozwolą mu użyć choć cząstki krociowej fortuny na urzeczywistnienie planów, jakie w jego salonie dojrzewały.

Na ten tylko wypadek rumiany starzec od bardzo dawna ułożył sobie mówkę. Miał on (według projektu) stanąć na środku sali, wydobyć z kieszeni pewien klucz i powiedzieć obecnym: „Panowie! tu jest mój klucz, a tam jest moja kasa; połowę tego, co w niej znajdziecie, zostawcie dla Wandzi, resztę weźcie i... basta!”

Czyby tak zrobił? niewiadomo; pewnym był jednak, że zrobi. Duszę ludzką od stóp do głów zapełniają tego rodzaju pewności.

Dzisiejszy wtorek do godziny dziewiątej wieczorem nie różnił się od poprzednich. Na schodach, jak zwykle, paliła się lampa, a w kuchni, jak zwykle, obok zapachu konfitur i przypalonego masła, rozlegało się parkotanie rzeczy smażonych, syczenie samowara i górująca nad niemi kłótnia kucharki z chłopcem, kucharki z pokojówką, chłopca z pokojówką, a wreszcie wszystkich razem.

Salon był pełen mężczyzn, z których jedni siedzieli na kanapie pod ścianą, inni na kanapie w rogu pokoju, inni na szezlongu, a jeszcze inni na fotelach i krzesłach, rozmawiając między sobą półgłosem. Widno tu było jak w dzień, co niektórzy przypisywali dwom lampom i ośmiu stearynowym świecom, pan Klemens swej wnuczce, rozdającej gościom herbatę, a pan sędzia — obecności pana Damazego.

Gospodarz obchodził wszystkie grupy, tu pytając o zdrowie, tam o politykę, ówdzie o widoki pogody na jutro. Rzucił też okiem na swoją fajczarnią, całował w przelocie zaczerwienioną jak wiśnia wnuczkę i zaglądał od czasu do czasu do przyrządów gimnastycznych w drugim pokoju, z miną człowieka, którego tylko ważność chwili powstrzymuje od wywrócenia dwóch koziołków wtył i dwóch naprzód.

Obecni tymczasem szemrali, jak pszczoły w ulu, akonv panując sobie brzękiem filiżanek i otaczając się kłębamii dymu.

Nagle skrzyknęły; drzwi wchodowe, szeslong umilkł, a na środku sali ukazał się rejent w towarzystwie wysokiego, przystojnego blondyna. Szmer w sali stopniowo ucichł, gospodarz wyszedł na spotkanie nowych gości, a rejent rzekł:

— Pan Gustaw Wolski, malarz! Onegdaj przyjechał z zagranicy, a pierwszą znajomość robi z panem dobrodziejem. Spodziewam, się, że dobrze trafił.

— Stokrotnie obowiązany! — odparł gospodarz. — Wandziuniu! pan Wolski, malarz... Panie Wolski, moja wnuczka, Wanda Piołunowiczówna. Podaj, serce, panom herbatę...

Zrobił się zgiełk, przesuwanie krzesel i tupanie nogami, zwykle towarzyszące powitaniom. Przybył nowy transport herbaty, i rzeczy wróciły do poprzedniego stanu.

— Zdaje mi się, że już jesteśmy w komplecie — szepnął ktoś.

Pan Damazy odchrząknął, a pan sędzia utarł nos w sposób bardzo znaczący.

— Moglibyśmy zatem przystąpić do dalszego ciągu — dorzucił ktoś drugi.

Gospodarz chciał w tej chwili odpowiedzieć, że dalszy ciąg jeszcze się nie upiekł; szczęściem, zamilkł wporę.

— Ośmielę się zaoponować — rzekł na to pan Piotr — z tego mianowicie względu, że przybył nam nowy członek.

Spojrzenia obecnych zwróciły się ku Wolskiemu, który wyglądał jak człowiek, oczekujący zstąpienia jasności niebieskiej na głowę.

— Damazy, pan Damazy! — szemrano.

Gospodarz uśmiechnął się do wszystkich, sądząc, że tym sposobem bez trudu stanie na wysokości sytuacji; pan Damazy zaś lekko przeciągnął się na fotelu, co miało oznaczać wprawnego mówcę, i rzekł:

— Jestem zdania, że szanowny przybyły najlepiej, najwszechstronniej i najdokładniej obezna się z naturą naszych zebrań, przysłuchawszy się biegowi rozpraw. Z tego to powodu proponuję, abyśmy posiedzenie uznali za otwarte i szanownego gospodarza naszego uprosili, aby na dzień dzisiejszy raczył zająć prezydjalne krzesło.

Gdy umilkł, .....wszystkim się zdawało,

Że to Wojski grał jeszcze, a to echo grało.

— Ośmielam się zaoponować... — zaczął pan Piotr.

— Prosimy, prosimy!... pana Piołunowicza na prezesa! — odezwały się głosy.

— A zatem — pochwycił pan Damazy — prosimy szanownego gospodarza, aby zajął prezydjalne krzesło.

Szanowny gospodarz bliskim był apopleksji; oprzytomniawszy jednak, rzekł nieśmiało:

— A czy nie mógłbym... chodząc?...

— Dlaczegożby nie? — odezwał się rejent — szanujemy pańskie przyzwyczajenia.

— Ośmielam się zwrócić uwagę, że nie widzę dzwonka — dorzucił pan Piotr.

— Dzwonek!... gdzie dzwonek? — zawołał gospodarz. — Wandziuniu! Wandeczko!... gdzie dzwonek, serce?

Dziewczynka stanęła w ognjach.

— Cóżto? zepsuty? zgubiony?... mów zaraz!

— Proszę dziadzi... dałam go tej chorej pani na górę... co to obiady...

— Kara boska! — irytował się dziadek.

— Można tymczasem uderzać łyżeczką w filiżankę! zaproponował rejent i zażegnał burzę.

Posiedzenie zostało otwarte.

— Czyby szanowny prezes nie zechciał panu Wolskiemu przedstawić w kilku wyrazach ostatecznych wyników naszych obrad? — spytał Damazy.

— Hum!... o ile pamiętam, mówiliśmy coś o potrzebie gimnastyki?...

— Ośmielam się zrobić uwagę, że na ostatnim posiedzeniu mówiliśmy o budowie tanich mieszkań dla ubogich — przerwał pan Piotr.

Piołunowicz zsiniał.

— I o ubezpieczeniach na życie — dodał pan Damazy.

— O potrzebie otworzenia stacji doświadczalnej — dorzucił ktoś z boku.

— O sposobach podniesienia rzemiosł — dodał ktoś inny.

— Na honor, panie! — szepnął rozpromieniony Wolski do rejenta — nigdy nie myślałem, że nasze kółka towarzyskie zajmują się podobnymi kwestjami.



— I ich urzeczywistnieniem, panie! — szepnął Damazy. Wolski i Damazy spojrzeli sobie w oczy i, jednym ożywieni natchnieniem, wyciągnęli do siebie ręce. Zrozumieli się.

— Przypominam panom, że na dzisiejszej sesji miałem odczytać swój memoriał o pauperyzmie — odezwał się w tej chwili pan Zenon, człowiek, posiadający niewątpliwie najgłębszą wiedzę i najwyższe czoło w Europie.

— Racja! — rzekł Damazy. — Słuchamy.

Wolski patrzył po zgromadzonych z uczuciem niewymownego zachwytu. Z niebieskich oczu malarza tryskało uczucie, które niewątpliwie streściłby w tych słowach: „Znam was od kilku minut, lecz niech mnie djabli porwą, jeżeli za każdego z Was nie dałbym się porąbać na sztuki!”

Tymczasem pan Zenon rozwinął papier i czytał: „Memoriał o pauperyzmie.

„Nie dotykając już kwestji, czy pierwsi nasi rodzice istotnie w początkach rajskie pędzili życie...”

— Proszę o głos!...

— Pan Piotr ma głos! — rzekł Damazy, czując się widocznie powołanym do zastępowania prezesa.

— Ośmielam się zauważyć, że, ze względu na niski stan oświaty u nas, kwestje dogmatyczne należałoby traktować ostrożnie. Słuchamy.

Pan Zenon ciągnął dalej:

— „Zwrócić przecież musimy uwagę na to, że w całym, że tak powiem, paśmie dziejów widnieje czarna nić niedoli i ubóstwa. W Sparcie niewolnik dostawał dwa razy mniej pokarmu, niż człowiek wolny; za Ludwika XIV dziesiąta część ludu żyła z jałmużny, a w Kantonie po dziś dzień tysiące ludzi mieszka na statkach wodnych, karmi się węzami i szczurami, i... niedość na tem, topi nowonarodzone dzieci!”

— Panie prezesie dobrodzieju! — szepnął sędzia.

— Słucham kochanego sędziego — odparł Piołunowicz. — Chciałem spytać szanownego prezesa, ile też może kosztować jego zbiór fajek?

— Około pięćdziesięciu rubli...

„Tamże mnóstwo robotników żebrze na ulicach o robotę.

„W Indjach znowu Wschodnich ubodzy jedzą padlinę i robaki, a w Bengalu pod koniec XVIII-go wieku trzecia część ludności umarła z głodu...”

Tu nastąpił mniej więcej ze trzy kwadrans trwający opis wszelkiego rodzaju nieszczęść, gnębiących rodzaj ludzki. Obecni siedzieli jak na szpilkach, aż wreszcie pan Damazy przerwał:

— Proszę o głos!

— Pan Damazy ma głos!

— Jakkolwiek tak skrzętnie i sumiennie zebrane przez szanownego pana Zenona szczegóły są niewątpliwie pod względem teoretycznym, ekonomicznym, a wreszcie i historycznym, niesłychanie ważne, przypuszczam jednak, że dla zapobieżenia naszej, miejscowej, najbliższej nas obchodzącej nędzy, niewielki przedstawiają interes. Sądziłbym więc, że tę zajmującą i pouczającą część dziejową moglibyśmy na teraz opuścić, a właściwie do następnej sesji odłożyć. Pan Damazy znowu umilkł i znowu

.....wszystkim się zdawało,

Że to Wojski grał jeszcze, a to echo grało.

— Więc mam przejść odrazu do czasów obecnych? — zapytał pan Zenon, usiłując pokryć wewnętrzną niesmak powierzchowną obojętnością.

— Prosimy! prosimy!

Piołunowicz zbliżył się do Wolskiego i szepnął:

— Pan dobrodzieju aktualnie maluje?

— Tak jest — odparł z uśmiechem Wolski.

— A Wandziunię moją odmaluje pan?

— Z największą chęcią! — A mnie?...

— Naturalnie!

— Ale w postawie siedzącej, przed tym oto stołem, na którym będzie dzwonek. Każę go zaraz przynieść.

Pan Zenon zaczął:

„Według tablic Ottona Hübnera, w roku 1867 z dziesięciu tysięcy mieszkańców w Belgii dwa tysiące pięćset żyło z jałmużny, w Prusach czterysta pięćdziesiąt siedem, w Austrii trzysta trzydzieści trzy, we Francji dwieście osiemdziesiąt...”

Tu znowu nastąpiła długa, nastrzępiona cyframi mówka, której słuchając, obecni mogli nabrać przekonania, że na kuli ziemskiej jest tylko dwie kategorie ludzi: zebrzący i dający jałmużnę.

— Sądzę, że i to możnaby do następnej sesji odłożyć — przerwał pan Damazy.

— Dlaczego, proszę pana? — spytał mocno dotknięty pan Zenon.

— Dlatego, że, według mojej opinii (której jednak nie śmiałybym narzucać szanownemu zebraniu), cyfry te, aczkolwiek w wysokim stopniu interesujące, nie mają przecież bezpośredniego związku z przedmiotem, który nas obchodzi.

— Za pozwoleniem! — odparł pan Zenon — ja z tych cyfr mogę wyprowadzić wnioski o stanie nędzy u nas.

— Słuchamy.

— Rzecz prosta. Jeżeli w Belgii, na przykład, na każde dziesięć tysięcy osób dwa tysiące pięćset żyje z jałmużny, to u nas, w kraju bezporównania mniej ucywilizowanym i zamożnym, musi być przynajmniej z pięć tysięcy żebraków na dziesięć tysięcy ludności.

Rejent podskoczył na krześle.

— A to skąd?

— Stąd, proszę pana rejenta, że w kraju mniej ucywilizowanym i zamożnym...

— Dobrze, dobrze! Pozwól pan jednak zapytać się, które z dwóch państw stoi wyżej pod względem cywilizacji: Austrija, czy Belgja?

— Naturalnie, że Belgja.

— A iluż jest żebraków w Austrii na dziesięć tysięcy ludzi?

— Trzystu trzydziestu...

— A więc prawie osiem razy mniej... Rozumowanie pańskie zatem nie wytrzymuje najłżejszej krytyki!...

Pan Zenon stracił resztkę zimnej krwi.

— No, jeżeli tak — zawołał — to będę musiał umyć ręce od spraw, ogół obchodzących!

Zrobił się zgielek w sali. Gospodarz zaklinał pana Zenona, aby nie wychodził przed kolacją. Pan Damazy wielkim głosem dowodził, że memoriał o pauperyzmie był najznakomitszą pracą literacką w XIX stuleciu, a pan Piotr oponował i panu Zenonowi, i rejentowi, i Damazemu nawet. Wreszcie z ogólnego zamętu wypłynęło postanowienie, na mocy którego rejent, przy odgłosie łyżeczki i filiżanki, przywołany został do porządku, pana Zenona zaś uproszono, aby czytanie swego zewszechmiar znakomitego memoriału odłożył do sesji następnej.

Teraz wyszedł na środek prezes a zarazem gospodarz, i ocierając kroplisty pot z czoła, rzekł:

— Ale, ale... chciałem też panom ciekawą zakomunikować wiadomość.

— Poważę się spytać, czy ma ona związek z celami naszych zebrań? — przerwał pan Piotr i spojrzał po obecnych, jak człowiek, który w danym razie potrafi miecz opozycji skierować nawet przeciw najwyżej położonym osobom.

— Chcę powiedzieć o jednym bardzo ciekawym wynalazku.

— Słuchamy! Prosimy!...

— Będzie tydzień po jutrze — ciągnął staruszek — siedzę ja sobie, panie, w moim pokoju w oknie, z tą oto fajką...

Oczy obecnych skierowały się ku fajczarni. — Patrzą sobie po ogrodach i palę, wtem paf!... fajka mi spadła, i zgadnijcie też, na co?

— Na podłogę!... na bruk!... na ogród!... — zgadywali obecni.

— Nie! spadła ona na czapkę jakiegoś staruszka i ani zgasła, ani się nawet stukła!...

Pan Piotr, zwyczajem wszelkiej opozycji, chciał przerwać, lecz powściągnęli go inni.

— Ha, myślę sobie, niema co mówić, człowiek opatrnościowy! Proszę go tedy do siebie; gadu... gadu, on chce iść. „Dokąd?” pytam. „Idę po kółko”. „Po jakie kółko?” „A do mojej maszyny?” „Do jakiej maszyny?” „A do takiej, co zastąpi lokomotywy, wiatraki, no... wszystko! Będzie parę szrub, parę kółek, a im mocniej nakręcić ją, tem więcej zrobi...”

Teraz zebranie rozpadło się na dwie grupy: jedni słuchali z uwagą, drudzy z niedowierzaniem.

— „Kto pan jesteś? jak się nazywasz?...” „Jestem Fryderyk Hoff,” mówi, „mam; plac i domek z drugiej strony ulicy i już dwadzieścia lat nad moją maszyną pracuję. Ludzie nazywają mnie warjatem...”

— To jest ważne! — przerwał pan Damazy.

— Wszystkich wielkich ludzi nazywali warjatami — dorzucił rejent i spojrzał na pana Zenona.

— Ośmielam się ostrzec, że może to być tylko zręczna mistyfikacja — dodał pan Piotr.

— Ach, zaraz mistyfikacja! — przerwał gospodarz. — Człowiek ten wcale nie wyglądał na oszusta. Wandziu! Wandziuniu!

— Słucham dziadzi.

— Powiedz, dziecko, jak ci się wydał Hoff?

— Mnie się zdaje, że... że on jest bardzo ubogi — odparła dziewczynka, oblewając się ponsem.

— Głos aniołka decyduje! — rzekł pan Damazy. — Zresztą oszust nie traciłby całego życia nad jedną maszyną!

— A czy pan dobrodziej widziałeś maszynę? — spytał rejent. — Obawiam się, aby to nie było bardzo zwykłe perpetuum mobile.

— Jeszczem nie widział — odparł Piołunowicz — ale zobaczę, bo mnie zaprosił do siebie. Ma ją podobno ostatecznie wykończyć w tych dniach i chce nas wtedy dopiero... powiadam: dopiero wtedy —prosić o protekcją.

Z dalszych części mieszkania doleciał chrzęst porcelany i srebra.

— Szanowny prezesie, proszę o głos!

— Pan Damazy dobrodziej ma głos.

— Sądzę, że będziemy mogli zreasumować rozprawy dzisiejszego posiedzenia?

— Prosimy! Słuchamy! — odpowiedzieli goście, ruszając z miejsc zapewne dlatego, aby lepiej słyszeć.

— Otóż, panowie, przede wszystkim uprosiliśmy i zobowiązaliśmy szanownego pana Zenona, aby nam na przyszłej sesji odczytał swój godny uwagi memoriał o pauperyzmie. Następnie obeznaliśmy się, powierzchownie wprawdzie i niedostatecznie, z nowym wynalazkiem niejakiego pana Hoffa. Co do tego ostatniego punktu naszej dyskusji, poważylbym się zrobić dwa przedstawienia: pierwsze jest to, aby dokładnie i wszechstronnie zbadać sam wynalazek, celem przekonania się i upewnienia, czy takowy zasługuje na poparcie. Drugie jest to, aby, po poprzednim zbadaniu wynalazku, przekonać się o majątkowym stanie wynalazcy, dla ofiarowania takowemu, jeżeli naturalnie okaże się godnym i potrzebnym, pieniężnego wsparcia w formie darowizny lub pożyczki.

— A czy nie możnaby zacząć od tego? — spytał nieśmiało gospodarz.

— Panie prezesie, dopuszczasz się pan wykroczenia przeciwko karności. Uchwały obowiązują wszystkich, a z drugiej znowu strony trudno przypuścić, aby człowiek, posiadający dom i plac, znajdował się w wyjątkowo przykrem położeniu.

— Powoli i systematycznie — dodał rejent.

— Pierwej skończmy z wynalazcą, później przejdziemy do człowieka — uzupełnił pan Zenon.

— Dziadziu... kolacja! — rzekła Wandzia. Goście ruszyli ku drzwiom.

— Za pozwoleniem! — przerwał rejent — a któż pójdzie do owego pana Hoffa zbadać wynalazek?

— Trzebaby wysłać specjalistę — odparł ktoś.

— Pan Piołunowicz mieszka najbliżej — dorzucił sędzia.

— I już go zna.

— A zatem — rzekł Damazy — prosimy szanownego prezesa o zbadanie kwestji na gruncie.

Goście weszli do sali jadalnej i obsiedli ogromny stół dokoła. Pan Damazy coś sobie przypomniał, i zwróciwszy się do pewnej bardzo ponurej osoby, rzekł:

— Pan Antoni dziś głosu zupełnie nie zabierał?

— Nie chcę psuć ogólnej harmonji — odparł spytany, podnosząc do ust ogromny kawał mięsa.

— Poglądy pańskie niejednokrotnie przyczyniały się do ożywienia dyskusji.

— O tyle, o ile!... Mam zwyczaj podejrzewać wszystkich wynalazców o bzika, i nie wierzę, aby ktokolwiek mógł usunąć nędzę ze świata.

— Ale ulżyć, panie, ulżyć...

— Chyba dlatego, aby próżniakom i łotrom uprzyjemnić pobyt na ziemi...

Nie dokończył, był bowiem mocno zajęty polędwicą.

— Proponuję — odezwał się pan Zenon — aby szanownemu prezesowi w czasie wizyty u owego mechanika towarzyszył pan Antoni. Szanowny prezes ma nazbyt dobre serce!

Poprawkę tę przyjęto jednomyślnie.

— Dziadziu! — rzekła w tej chwili Wandzia — dziadziu! proszę do mnie...

— A czego, serce?

— Proszę na minutkę.

— Kiedy nie mogę wyjść; mów głośno. — Czy mogę wziąć rubla z biurka?

— Na cóż to znowu?

— I, nic...

— Gadaj zaraz, mała, co się stało?

— Ta pani z góry nie ma na...

— Aha! weź! weź!...

— Panno Wando — odezwał się Damazy — czyliż nam nie wolno wiedzieć o sekrecie?

Dziewczynka nachyliła mu się do ucha i szepnęła:

— Widzi pan, to jest tak, że tamta pani nie ma na lekarstwo...

— Biedactwo!... A pani jej chcesz dać?

— Ośmielam się zaproponować, aby sprawa biednej kobiety, protegowanej przez pannę Wandę, na najbliższej sesji została przedstawioną — przerwał pan Piotr.

— Tego rodzaju kwestje najlepiej chyba rozstrzygać na miejscu — rzekł milczący dotąd Gustaw i sięgnął do portmonetki.

— I ja tak myślę! — poparł go Damazy. — Panno Wando, racz wziąć tacę do rączki i kwestuj.

Dziewczynka zrobiła tak; pan Damazy na początek położył trzy ruble, i niedługo taca napelniła się papierami bankowemi.

Mała kwestarka zkolei zbliżyła się i do Gustawa.

— To ode mnie — rzekł, kładąc srebrną monetę — a to składam w imieniu mego wuja — dodał stłumionym głosem i położył dziesięć rubli.

Obecni spojrzeli po sobie.

— Musisz pan, panie Wolski, bardzo kochać swego wuja?— szepnął Piołunowicz.

— Kocham go, jak matkę! — odparł Wolski. Wandzia, zobaczywszy taką masę pieniędzy, złożoną dla jej biednej, opuściła rumiane usteczka, poczęła mrugać oczkami zrazu powoli, a potem coraz prędzej, wreszcie rozplakała się i uciekła.

Obecni powstali.

— Zdrowie gospodarza i jego wnuczki! — zawołał ktoś.

— Niech żyją! — odpowiedziano chórem.

— Panowie! dziękuję wam najserdeczniej — odparł spotniały starzec — a zarazem piję zdrowie naszego nowego przyjaciela, pana Gustawa, i jego wuja, który musi być szlachetnym człowiekiem.

— Drzewo poznacie po owocach — wtrącił pan Damazy — a wuja po siostrzeńcu. Niech żyją!...

Wolski uklonił się, głęboko wzruszony. Chciał coś przemówić, ale umilkł nagle, jakgdyby wpadł w zadumę. Znajdował się on naprzeciw otwartego okna i patrzył w pomrokę, zalewającą pustkowie. Była już druga po północy, i tylko w dwóch odległych okienkach błyszczało jeszcze światło. Zdawało się Wolskiemu, że w jednym widzi cień szyjącej kobiety, a w drugim cień pochylonego nad jakimś warsztatem mężczyzny.

Na ten widok przeszło go dziwne przykre uczucie. Z jakiej racji? — nie wiedział, podobnie jak nie domyślał się nawet, że jeden z dwóch niewyraźnych cieni należał do Hoffa, drugi do jego córki.

Toast, wzniesiony na cześć pana Damazego, otrzeźwił Gustawa.

## ROZDZIAŁ 5 z którego widać, że dla ulżenia nędzy nie wystarcza ani dobre serce, ani chora wątroba

Nie jesteśmy pewni, którą już zkolei chustkę przymierzał szanowny Piołunowicz, gdy do mieszkania jego wszedł wiecznie ponury pan Antoni.

— Witam, witam! o zdrowie pytam. Cóż tam w mieście dobrego? — zawołał gospodarz.

— O ile wiem, było pięć wypadków cholery — mruknął gość, siadając na fotelu i wydobywając z kamizelki piórko od zębów.

Pan Klemens o mało nie wypuścił chustki na ziemię.

— Pięć... cholery?

— Nie ręczyłbym za dziesięć — dorzucił gość. — Przecież do tej pory nie słyszeliśmy o niej.

— To zależy!... Ja jestem przekonany, że cholera ciągle grasuje między ludnością, tylko nie wszyscy zwracają na nią uwagę.

— Wandziu! Wandziuniu! — zawołał pan Klemens.

— Słucham dziadunia! — odparła dziewczynka z drugiego pokoju.

— Każ kucharce natychmiast powyrzucać wszystkie ogórki z domu. Mizerji dziś nie będzie!...

Gość tymczasem najspokojniej dłubał piórkiem w zębach.

— Spiekota na dworze! — mruknął pan Klemens, widocznie chcąc odegnąć złe myśli.

— Ochłodzi się — odparł Antoni.

— Więc będzie deszcz?

— Będzie grad z piorunami, a może i trąba...

— Trąba?... — jęknął Piołunowicz, patrząc z niepokojem w oczy panu Antoniemu.

— Zauważyłem na zachodzie bardzo podejrzany obłok! — odparł pan Antoni, obojętnie spoglądając na sufit.

— Wandziu! — zawołał starzec.

— Słucham dziadunia.

— Już nie pojedziemy do Botanicznego ogrodu, bo będzie burza!...

— Dobrze, proszę dziadzi — odparła spokojnie dziewczynka.



— A możeby odłożyć na inny dzień naszą wizytę u tego biednego Hoffa? — spytał nieśmiało Piołunowicz, patrząc z pod oka na niebo, które nigdy tak czystym nie było, jak w tej chwili. — Sesja postanowiła dziś, więc pójść musimy — odparł Antoni, nie wyjmując piórka z zębów.

— Ależ trąba?...

— Punktualność przedewszystkiem.

— Więc poradź mi przynajmniej, szanowny panie Antoni, którą z tych chustek wypada włożyć, bo dalibóg!...

— Żadnej.

— Dlaczego?

— Dlatego, żeś pan zanadto skłonny do apopleksji.

Usłyszawszy to, Piołunowicz wykonał taki ruch ręką, jakby się chciał przeżegnać. Potem szybko pochował chustki do komody, zląkszy się samego ich widoku, a wreszcie wciągnął płócienny kitel na grzbiet, kapelusz panama na głowę i rzekł:

— Idźmy!

Pan Antoni flegmatycznie włożył piórko do kamizelki i za chwilę obaj znaleźli się na ulicy.

— Gdzież mieszka ten monoman? — spytał ponury towarzysz, który z niesłychaną uwagą badał niebo, jakby szukając tam owej bardzo podejrzanej chmury.

— Niedaleko!... Miniemy tę ulicę, potem pójdziemy na lewo, potem jeszcze na lewo... do tego oto pomarańczowego domku.

— Hum!... Szczególny biedak, który dom posiada. Znam lichwiarzy, mających własne domy, a mimo to żebrzących.

— Na miłość boską, panie Antoni, co mówisz?...

— Mówię, że jest wielu łotrów na świecie, zresztą nic więcej.

Piołunowicz począł sapać; ciążyło mu widać towarzystwo idealnego pesymisty. Mimo przyrodzonej gadatliwości, szedł jakiś czas, milcząc, z obawy usłyszenia czegoś jeszcze bardziej nieprzyjemnego, niż dotychczas. Że jednak słońce piekło, a pan Antoni wędrował środkiem ulicy, stary więc odezwał się:

— Nie wolelibyśmy to wejść w cień... pod parkany?

— Nie głupim! — mruknął pesymista. — Niezbyt dawno jeden taki parkan wywrócił się i zabił...

— Kogo zabił?...

— Dwoje cieląt, które pędzono do jatki.

Od tej chwili pan Klemens przysiągł już milczeć i trzymać się jak najdalej od parkanów.

W taki to sposób dwaj delegowani naukowo-społeczno-filantropijnego towarzystwa szli pocieszać strapionych. A słońce tymczasem piekło, ach, jak piekło!... Promienie jego, niby rozpalone szpilki, przebijały płócienny kitel, płócienne spodnie i panamski kapelusz szanownego pana Piołunowicza, dosięgając w ten sposób najgłębszych tajników jego serca i mieszając się tam z obawą cholery, trąby powietrznej, ze wstrętem do mizerji, lichwiarzy, chustek na szyję i tysiącami innych, nad wszelki wyraz niemiłych uczuć.

— To chyba tu! — przerwał nagle pan Antoni, stając przed domkiem Hoffa.

— Co tu? — spytał bezmyślnie Piołunowicz.

— A ten monoman... chciałem powiedzieć: mechanik. Cierpki ten frazes otrzeźwił nieco pana Klemensa, który

po chwilowym namyśle rzekł:

— Wiesz co, kochany panie Antoni, odłóżmy tę wizytę na inny raz. Jestem jakoś w niedyspozycji, a przecież wartoby pomóc...

— Tere... fere... przepraszam za wyrażenie. Pan ciągle zapominasz o uchwale sesji.

— Ale bo...

— Jakie alei jakie b o?... Sesja postanowiła na ten raz zbadać wynalazek, a następnie zająć się człowiekiem, ponieważ doświadczenie uczy nas, że owi mniemani wynalazcy są najczęściej oszustami, wydrwigroszami et caetera!... Musimy raz przynajmniej nauczyć się punktualności, uszanowania dla uchwał...

Z temi słowy zadziwiający pesymista wszedł do sieni i popchnął drzwi do izby.

Tu, na stole przed oknem, stał wyszczerbiony spodek z solą i misa krajanych ogórków, które Hoff jadł łyżką drewnianą, a Konstancja cynową. Chore dziecko spało za parawanem.

Na widok przybyłych ojciec i córka powstali. Konstancja oblała się ponsem, Hoff nie wiedział, co począć.

Przez chwilę trwało milczenie, które przerwał pan Antoni, mówiąc:

— Przyszliśmy tu obejrzeć maszynę, o której wspominałeś pan szanownemu prezesowi.

Wypowiedziawszy to głosem oschłym, wskazał na Piołunowicza.

Zmieszany Hoff ukłonił się tak, jakby chciał czołem o ziemię uderzyć.

— Mizerję jedzą! — szepnął pan Klemens, nie pomyślawszy nawet o tem, że obok złowrogich ogórków leżał bardzo duży chleb razowy.

— Możesz nam pan zatem pokazać swoją maszynę? — ciągnął dalej pan Antoni.

— Z największą chęcią... służę... proszę... — odpowiedział Hoff, drepcząc w miejscu i ukazując przybyłym drzwi drugiej izby.

Delegowani weszli tam.

— Bóg ich zsyła! — szepnął starzec.

Głęboko wzruszona córka pocałowała go w rękę i zlekka popchnęła za gośćmi. Potem sama weszła za parawan i pochyliła ucho ku ścianie, aby nie stracić ani jednego wyrazu z rozmowy.

— Poznaje mię pan? — spytał starca Piołunowicz.

— Jakżeby zaś nie? — odparł biedak. — Dnie i noce tylko o wielmożnym panu myślałem.

— Pan prezes życzy sobie maszynę obejrzeć — przerwał nieubłagany Antoni bardzo urzędowym tonem.

— Owszem! owszem! oto ona... — mówił Hoff, podnosząc drżącymi rękoma ciężki przyrząd dziwnej formy, złożony z mosiężnych kółek i żelaznych drążków.

— Do czego to ma służyć? — badał dalej pesymista.

— Do wszystkiego. Dwadzieścia lat...

— Czy funkcjonuje?... — Jeszcze nie, bo...

— Jakaż tu zasada? Co ją porusza, a raczej... co ją ma poruszać? — przerwał znowu pan Antoni.

— Zaraz ja wielmożnym panom wytłomaczę, tylko będę musiał...

Z temi słowy starzec począł na swej tokarni szukać jakiegoś narzędzia. Brał do ręki różne dłótka, obcęgi i szrubsztaki, lecz widocznie nie nadawały mu się, kładł je bowiem na warsztacie i znowu z gorączkowym pośpiechem szukał innych.

Pan Antoni bębnił palcami w krawędź tokarni, a Piołunowicz nie miał czasu zwracać uwagi na zakłopotanie biednego człowieka, myślał bowiem o mizerji i z niepokojem patrzył na niebo, gdzie zdawało mu się, że dostrzegł nareszcie ów podejrzany obłok, grożący trąbą i gradem.

W tej chwili na placu pod oknem ukazała się chuda suka. Od pierwszego spojrzenia łatwo było poznać, że ten zwierzęcy nędzarz ma szczenięta i że przybiegł tu znaleźć dla siebie pokarm między śmieciem.

— Może nam pan ustnie objaśni skutki swej maszyny — odezwał się pan Antoni do Hoffa z akcentem znudzenia i niecierpliwości w głosie.

— Widzi wielmożny pan, to jest tak... Trzeba przykręcić tę szrubkę, a wtedy ona przycisnie ten drążek... Ten drążek przycisnie to kółko, zupełnie jak waga...

— Cóż dalej?

— Dalej?... Dalej machina będzie szła.

— Nie będzie szła — przerwał bardzo stanowczo pan Antoni — bo tu niema pracy mechanicznej.

— Będzie, wielmożny panie... — odparł Hoff.

— Nie widzę iloczynu z przestrzeni przez siłę. To jest nic! — Koło powietrzne... — wtrącił Hoff.

— Złudzenia!...

— Ta szruba i ten drążek...

— Zabawki! — odparł niemiłosierny pesymista. Starzec przeciągle spojrzął w oczy oponentowi, potem

opuścił głowę i umilkł.

Pan Antoni począł znowu bębnić palcami po krawędzi tokarni, i znowu spojrzął na plac, gdzie od początku rozmowy patrzył Piołunowicz, nie rozumiejąc ani kółek, ani szrub, ani iloczynu z siły przez przestrzeń. Głodna suka leżała teraz pod oknem, przytrzymując łapami i gryząc czarny i twardy chleb, który jej wyrzuciła Konstancja.

— I poco to żyje na świecie? — mruknął pan Antoni, wskazując na sukę. — Głodne to, chude i jeszcze się wściec może...

— Prawda — odparł Piołunowicz, nie wiedząc, o co chodzi, zdawało mu się bowiem, że go w tej chwili żołądek zabolął.

— Prawdziwem dobrodziejstwem byłoby jej w łeb strzelić — dodał pan Antoni.

— To prawda — potwierdził pan Klemens, chwytając się za brzuch.

Nie jesteśmy pewni, czy osłupiały Hoff słyszał tę rozmowę filantropów; Konstancja przecież usłyszała ją i zalała się łzami.

O, nędzo! Jaka ty czujna i podejrzliwa jesteś!

— A zatem — odezwał się znowu pan Antoni do Hoffa — pan nie możesz nam objaśnić swej maszyny?...

Starzec smutnie spojrzął na swoich gości i milczał.

— Więc nic?... Hoff znowu milczał.

— Prezesie, chodźmy!

Piołunowicz ocknął się ze swych dumań o cholery i trąbie powietrznej i, wyciągając rękę do Hoffa, rzekł:

— Na drugi raz obszerniej pogadamy... Ale, ale! moja fajka ma się zupełnie dobrze. Do widzenia!...

I wyszli.

W drodze dobre serce pana Klemensa poczęło się niepokoić trochę.

— Panie Antoni dobrodzieju, zdaje mi się, że u nich straszna bieda.

— Skąpstwo i niechlujstwo, zwykle cechy naszych mieszczan — odpowiedział Antoni.

— Możeby się wrócić? — rzekł Piołunowicz, stając. Antoni ruszył ramionami.

— Pan prezes ładnie szanujesz uchwały!

— Ależ bieda, panie Antoni. Pesymista obruszył się.

— Może pan sądzisz, że mi żal kilku rubli?

— Gdzież znowu!

— No, więc czekajmy na to, co postanowi zebranie. Z zasady jestem przeciwny jałmużnom, które tylko demoralizują niższe klasy, i z zasady spełniam uchwały większości. Pozatem nie wiem nic, nie chcę słyszeć o niczem i panu radzę robić to samo. Zawsze brakowało nam karności i punktualności.

Energiczna ta argumentacja wywarła odpowiedni wpływ na panu Klemensie, który wyprostował się, jak żołnierz, stojący na warcie, i miarowym krokiem posunął się ku swemu domowi.

W ruderze tymczasem, nim goście zdążyli przestąpić próg sieni, odegrała się następująca scena:

— Ojczy — mówiła Konstancja — my już nie mamy nic w domu. Możeby tych panów poprosić?

— Kiedy nie śmiesz — odparł Hoff.

— No, to ja ich poproszę! — rzekła kobieta z rezygnacją i posunęła się ku drzwiom. Lecz chwilowa odwaga opuściła ją.

— Nie mogę! — szepnęła — a tu Helunia chora...

— Ha! trudno... Wyjdę za nimi! — przerwał starzec i wyszedł.

Parę minut córka z biciem serca czekała na rezultat: wreszcie udała się za ojcem, który stał w sieni, oparty o futrynę, i patrzył na ulicę.

— No i cóż? — spytała.

— Jeden chce wracać...

— Wracać?...

— Tak. Teraz stoją i coś mówią.

— Coś mówią?

— Już odchodzą!

— Odchodzą!... — jęknęła córka.

Nędzarze spojrzeli po sobie i wrócili do mieszkania zamyśleni. Hoff począł oglądać tokarnię, a Konstancja maszynę do szycia. Nastała cisza, wśród której słychać było niespokojny oddech śpiącego dziecka, brzęczenie muchy, zawikłanej w sieć pająka, i zegar, który bez pośpiechu, ale też i bez opóźnienia wybijał swoje: tak! tak! tak! tak!...

## **ROZDZIAŁ 6 w którym opowiadanie niejakiej pani Maciejowej okazuje się bardziej interesującym od obserwacji niejakiego pana Teofrasta**

Ponieważ pan Teofrast Jażdżewski od siedmiu lat był emerytem, miał więc dużo wolnego czasu — a ponieważ brzydził się próżniactwem, wymyślił więc sobie dwa uczciwe i nikomu nieszkodzące zajęcia. Pierwsze z nich polegało na tem, aby gwizdać i wyglądać oknem; drugie zaś na tem, aby uczyć gwizdać swego kosa i znowu wyglądać oknem.

Wyglądanie to nadzwyczaj wzbogaciło ubogi z natury umysł pana Teofrasta. Po kilkuletnich studjach, dobry ten człowiek znał już wszystkich dorożkarzy, mieszkających na jego ulicy, nauczył się odgadywać, kiedy mianowicie domy sąsiednie będą przemalowywane, i kiedy bruk, na który nieustannie patrzył, zostanie poprawionym. Niezależnie od tego pan Teofrast domyślił się, że któryś z jego współlokatorów hoduje gołębie, i zauważył, że liczba wymienionych ptaków zwiększa się ciągle, w sposób, zagrażający ogólnemu dobrobytowi.

Najciekawszych jednak materiałów do obserwacji dostarczała panu Teofrastowi kamieniczka, naprzeciw jego okien leżąca. Codziennie, nie wyłączając świąt i niedziel, skromny ten domek nawiedzało mnóstwo osób, niby jakieś miejsce cudowne. Ludzie wszelkiej płci, wieku i wyznań, pieszo, wózkami, dorożkami, a nawet własnymi powozami biegli tam na wyścigi. Z wysokości swojego okna pan Jażdżewski zauważył, że prawie każdy z pielgrzymów owych do wąskiej i brudnej sieni domu wchodził zakłopotany, prawie każdy wahał się i namyślał, i że każdy, raz wszedłszy tam, bawił niedługo i powracał w nierównie lepszym humorze.

To zbiegowisko tajemniczych interesantów było bardzo wygodnym dla pana Teofrasta, który nie miał o czem myśleć i w prostocie ducha sądził, że mrucząc takie frazesy, jak np.: „Po diabła ci ludzie tam chodzą?” — albo: „A to szczególne!” — wykonywa tem samem jeden z najzawilszych psychologicznych procesów.

Nie na tych jednak wykrzykniczkach kończyło się zajęcie, jakie dziwny dom budził w dziwniejszej jeszcze inteligencji pana Teofrasta. Emeryt nasz zbyt krochmalny posiadał temperament nato, aby mógł osobiście zbadać przyczynę owej procesji — a ponieważ sądził, że inni podzielają jego poglądy, nie pytał więc nikogo i poprzestawał na niewyjaśnionej tajemnicy.

Ciekawszy jednak człowiek, będący na miejscu naszego przyjaciela, pięknych przy tej sposobności mógłby się dowiedzieć rzeczy. Zauważyłby on przedewszystkiem, że od niepamiętnych czasów do kamienicy tej wchodził co kilka dni pewien niski, żółty, w szafirowych okularach człowieczek, około dziewiątej z rana, i wychodził stamtąd około dziewiątej wieczorem. Dalej zauważyłby, że pielgrzymi, dom nawiedzający, bardzo często przynosili większe lub mniejsze tłumoczki, wracali zaś z próżnymi rękoma. Wkońcu dostrzegłby, że najczęstszym i najśmielszym pielgrzymem był średnich lat, o sprytniej fizjognomji Żydek, który sam jeden wbiegał do sieni ze śpiewem na ustach, a powracając liczył na schodach, banknoty.

Gdyby ciekawszy ów człowiek dnia dzisiejszego wieczorem zdecydował się podążyć za opisanym Żydkiem, wówczas mógłby zobaczyć to, co opiszemy poniżej.

Żydek wymija sieni i wchodzi na podstarzałe schody, przy pomocy których dosięga drugiego piętra. Tam staje przed niskimi drzwiczkami, chwilę podsłuchuje, a następnie dotknąwszy klamki, znajduje się w pokoju, w którym pod okratowanym oknem siedzi stara kobiecina w okularach i robi pończochę.

— Wieczór dobry, pani Maciejowa! — zaczął Żyd. Stara podniosła oczy.

— A, pan Judka!... Dobry wieczór.

— Pan jest? — dodał przybyły nieco przyciszonym głosem.

— Ma się rozumieć.

— A goicie jakie są?...

— Jest Hoff... Musi on tu mieć kiepskie interesa, bo często zagląda.

— Ny! ny! — uśmiechnął się Żydek. — Tu nie takie jak on zaglądają.

Stara złożyła pończochę na kolanach i odparła:

— Zawsze to jemu niepotrzebne; ma pieniądze; a kiedy ma, to byłoby mu lepiej chwalić Boga za piecem i panu naszemu w oczy nie włożyć...

— Pani go zna? — spytał Judka.

— Jakże nie znam! Będzie temu ze dwadzieścia pięć lat, jakem służyła u niego.

— Ny, to go pani nie zna. On dziś zbiedniał.

— Zbiedniał i do naszego pana przychodzi? U... hu!...

— Co to u... hu?... Przychodzi, bo pożyczka pieniędzy, no, i plac swój panu sprzedaje.

— Plac naszemu panu sprzedaje? Ot, sądy boskie!... — szepnęła stara jakby do siebie.

Twarz Judki ożywiła się.

— Co pani tak wydziwia, pani Maciejowa?... — spytał.

— Ba! — odparła kobieta — żebyście wy to wiedzieli, co ja.....

— Dlaczego nie mam wiedzieć? Ja wiem dużo; a to, co nie wiem, to mi pani dopowie.

Stara podniosła palec w górę i wskazała na drzwi drugiego pokoju.

— Rozmawiają — szepnął Żyd.

— Judka wie, jak Hoffowie pokrzywdzili pana?...

— Słyszałem, ale nie pamiętam — odparł Żyd, robiąc minę człowieka, dobrze poinformowanego o wszystkim.

Maciejowa pochyliła mu się do ucha. — Judka wie, zem ja służyła u Hoffa?

— Ny! ny!...

— Powiadam wam, będzie ze dwadzieścia lat temu, Hoff wyprawiał chrzciny... Urodziła mu się wtedy ot ta... jakże jej tam?... Kostusia!

— Znam ją, ona teraz ma dziecko.

— Wyszła zamąż?

— Za tego Gołombiowskiego.

— Chryste Panie! — szepnęła przerażona kobieta — za tego, co go nasz pan do prochowni wsadził?

— O tem się nie mówi. On już chodzi po mieście. Wiadomość ta widocznie poruszyła starą, która dopiero

po kilkuminutowej przerwie wróciła do swej powieści.

— Powiadam Judce, na chrzcinach był gości huk, a mróz na dworze taki, że aż szyby pękały!... Jedli, bo jedli, a jak pili!...

— Teraz nie mają co w gębę włożyć — dorzucił Judka.



— Jednego razu — ciągnęła stara — była może dziewiąta w nocy, patrzę ja, aż tu wchodzi do sieni dwoje ludzi z dzieckiem na rękach. To był nasz pan z siostrą i jej chłopakiem. Obdarci, zmarzli... strach, powiadam, wam!...

— Ha, no tedy, mówi nasz pan (tak, jakbym go widziała): „Ludzie kochani! dajcie nam co w gębę włożyć i gdzie się zagrzać, bo mi chłopak i siostra skonają!...” A pijani goście, powiadam Judce, dalejże w śmiechy, chychy, dalejże ich wódką poić, zamiast im co dać do zjedzenia... Dość, że i pół godziny nie minęło, a kobiecina ci zgłodniała fajt na ziemię, i ani ręką, ani nogą...

— A wa!... — syknął Żyd.

— Żal mi się, powiadam Judce, ich zrobiło, i zaprowadziłam oboje do obory. Wykradłam trochę mleka krowom i napiłam chłopaka, bo kobiecina już pić nie mogła, a pan nie chciał nic do gęby wziąć. Na drugi dzień przychodzę z rana do obory, a oni śpią. Budzę jego... ledwie że wstał na nogi; budzimy ją, a tu ci trup z kobieciska... Umarła!...

Żyd słuchał z najwyższą uwagą.

— Jak ci to pan zobaczył, jak ci nie zacnie płakać, to powiadam Judce, że ryczał, jak ten wół, i całował siostrę... Zbiegli się Hoffowie, ich czeladnik i terminatorzy, a on ich dalej kłąć, dalej skarżyć, że mu siostrę zabili. Oni znowu na niego i zaczęli wmawiać, że on ją sam zabił, a na nich składa. Skończyło się na tem, że sąd zeszedł, nieboszczkę pochował, a nasz pan z chłopakiem poszedł znowu w świat.

— No, a jak on później panią Maciejową zdybał? — spytał Judka.

— Szukał mnie, to i zdybał; niech mu tam Pan Bóg krzywdy ludzkie odpuści. Spotkaliśmy się coś w sześć lat potem. Zaraz ci mnie poznał, a że już mieszkał tutaj, więc mnie wziął do siebie i jeszcze mi te słowa powiedział: „Dałaś ty oborę memu chłopcu na jedną noc, a ja tobie dam mieszkanie na całe życie. Dałaś ty mu łyżkę mleka, a ja tobie dam chleba do śmierci.”

— No, i od tej pory jestem u niego; byłoby mi nawet dobrze — dodała jeszcze ciszej — żeby tylko nie te łzy ludzkie...

— Będzie bieda z Hoffem — wtrącił Judka i spytał po chwili: — A pana młodego widzieliście?

— Juści widziałam, ale już dawno, bo ciągle zagranicą siedzi.

— Już wrócił, będzie z tydzień.

— Wrócił?

— I pan dla niego na placu Hoffa będzie pałac stawiał.

— Ba! — odpowiedziała kobieta — chłopak wart pałacu, bo i poczciwy, i rozumny, i przystojny. Żeby mu choć na dobre wyszedł!

— Stary go bardzo kocha; on dla niego wszystkie pieniądze zbiera, choć nie mówi, jakim sposobem.

— Co tam pieniądze! onby się dał za niego na kawałki porąbać.

Nie dokończyła, w tej chwili bowiem uchyliły się drzwi drugiego pokoju, i wyszedł z nich Hoff. Włosy jego były w nieładzie, wzrok osłupiały i nieprzytomny.

Szybko minął pokój, gniotąc czapkę w rękę. Obecni patrzyli na niego z przerażeniem, jak na widmo, potem przysłuchiwali się odgłosowi jego kroków na schodach, i wreszcie, popchnięci jednym uczuciem, pobiegli do okna, aby jeszcze raz za odchodzącym spojrzeć.

— Idzie bez czapki! — szepnęła Maciejowa.

— Czy jest tam Judka? — odezwał się suchy głos z drugiego pokoju.

Żyd drgnął i odpowiedział:

— Jestem, panie!

Poczem, złamany we dwoje, przestąpił próg, aby stanąć przed obliczem człowieka, który od chwili opowiadania Maciejowej stał się dla niego potężniejszym i straszliwszym, niż dotychczas.

## ROZDZIAŁ 7 pajak i mucha

W pokoju, do którego wszedł Judka, oprócz kilku mocno zbudowanych szaf, małego stolika i kilku krzeseł, nie było nic więcej — a co dziwniejsze, nie było w nim nikogo. Mimo to, Żyd uklonił się ścianie, naprzeciw drzwi stojącej, i czekał.

— A co tam słyhać? — zapytał nagle głos ten sam, co i pierwej.

Pochodził on z małego, umieszczonego w ścianie okienka, w którym jednocześnie ukazała się wyżółkła twarz i szafirowe okulary.

— Przyniosłem pieniądze za naftę — odpowiedział Judka.

— Czy wszystkie?

— Wszystkie. Trzysta piętnaście rubli.

— Od trzystu rubli sześć rubli, od piętnastu rubli trzydzieści kopiejek: to dla Judki — mruczał głos. — A mnie się należy trzysta osiem rubli i siedemdziesiąt kopiejek. Cóż dalej?

— Sklepiarka z Solca już umarła — szepnął Żyd.

— Wieczny odpoczynek!... Trzeba na jej miejsce wprowadzić tę Weronikę z Wróblej ulicy.

— Po tamtej dzieci dwoje zostało...

— Powiedziałem, że trzeba wprowadzić Weronikę... sklep próżnować nie może... Co dalej?

— Z wołami już skończone — mówił Judka.

— Zarobiliśmy co?

— Niewiele: sześćdziesiąt i trzy ruble.

— Od pięćdziesięciu rubli rubla, od trzynastu rubli dwadzieścia sześć kopiejek... dla Judki. Mnie się należy sześćdziesiąt jeden rubel i kopiejek siedemdziesiąt cztery. Co dalej?

— Z procentów przyniosłem dziewięć rubli i piętnaście kopiejek.

— Powinno być piętnaście rubli.

— Nie oddają.

— Będziesz Judka płacił... Ale! a czy z tą magazynierką skończone?

— Komornik był, ale wziął widać rebuches i nic nie zrobił.

— Od kogo on pożyczca? — badał dalej głos z okienka.

— Od Abramka, od Millerowej...

— Powiesz im, że jeżeli komornik z magazynierką nie skończy, to oni mi straty zapłacą. Rozumiesz?

— Co nie mam rozumieć? — odparł Żyd, drapiąc się w głowę.

— Ale, ale! pójdziesz mi do ratusza, z tym złotym zegarkiem, co go tu wczoraj ten stary zastawił. To skradziony zegarek... trzeba dać znać.

— Poco dawać znać? — zawołał przerażony Judka. — Straci pan pięćdziesiąt rubli... Wolę ja od pana kupić i dam czterdzieści, to i tak jeszcze pan zarobi...

— Pójdziesz do ratusza...

— Jak to można, żeby taki interes z rąk wypuszczać? — mruknął Żyd.

— Ci, co się pokusom oprzeć nie mogą, upadną i pójdą w odrzucenie. Pójdziesz do ratusza.

W tej chwili zapukano do drzwi.

— Wyjdź, Judka, do Maciejowej i zaczekaj tam. Ktoś idzie...

Za chwilę miejsce Judki przy progu zajęła jakaś uboga ubrana kobieta z zawiniątkiem w ręku.

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków, amen! — odparł człowiek z okienka i pobożnie pochylił głowę. — A czego to sobie pani życzy?

— Przyszłam prosić łaski pana o trzy ruble — odpowiedziała kobieta z ukłonem.

— Cóż to za węzelek?

— Salopa, proszę łaski pana. Daliśmy za nią, będzie dwa lata, jedynaście rubli i pół kwarty wódki...

— Pokażcie!

Kobieta zbliżyła się do okienka, za którym wkrótce znikł człowiek w szafirowych okularach wraz z salopą.

— Hum! hum! dobry interes, ani słowa... Mole futro zjadły, wierzch zniszczony... Cóżto pani myślisz, że ja na skład przyjmuję starzyznę? Kobieta milczała.

— Dam pani dwa ruble na miesiąc, po miesiącu odbiorę dwa ruble i sześćdziesiąt kopiejek, albo sprzedam salopę. To łach, dłużej trzymać nie można... Zgoda?

— Ha! jużci zgoda, co mam robić?...

— Imię i nazwisko pani i numer domu.

Kobieta podyktowała swój adres i po chwili opuściła pokój, unosząc z sobą dwa ruble.

— Judka! — zawołał człowiek z okienka. Skrzypnęły drzwi, lecz zamiast Judki ukazał się w nich elegancko ubrany młodzieniec.

— Ach! to pan dobrodziej? Przeczuwała pana dusza moja, odgadywała szanowną wizytę...

— A czy dusza pańska przygotowała moje dwieście rubli? — spytał z uśmiechem elegant.

— A czy pan dobrodziej kwiteczek przyniósł? — odparł tym samym tonem właściciel szafirowych okularów.

Młodzieniec zmieszał się.

— Widzisz pan... przyniosłem, ale bez... podpisu ojca, którego... słowo honoru daję, od rana nie mogę...

Okienko opróżniło się, a młodzik za chwilę usłyszał:

— „Jak cześć błogosławionego Prandoty statecznie się przechowała, tak i obrazy jego w wielkiem były u wiernych od niepamiętnych czasów poszanowaniu. Czytaliśmy...”

— Pan sobie kpisz ze mnie! — zawołał oburzony młodzieniec.

— Nie, panie! czytam tylko żywot błogosławionego Prandoty.

— Ależ ja pieniędzy potrzebuję natychmiast!...

— A ja podpisu pańskiego ojca... „Czytaliśmy w przytoczonej powyżej wizycie biskupa Zadzika, że Kretkowski archidiakon...”

— Skądże go panu wezmę? — spytał do najwyższego stopnia rozdrażniony młodzieniec.

— Skąd?... czy ja wiem! Pan może mieć w kieszeni drugi weksel z podpisem szanownego papy, czy ja wiem?

Młodzieniec przeszedł się parę razy po pokoju.

— Pióro leży — mówił głos z za ściany. — Ja nic nie widzę, nic nie słyszę!...

„Że Kretkowski archidiakon sprawił nowy obraz błogosławionego Prandoty, lecz ten, w miejscu wskazanem, nad ołtarzem świętych apostołów Piotra i Pawła, już się nie znajduje...”

Tymczasem elegant zbliżył się do stołu, i szybko podpisawszy weksel, rzekł głosem stłumionym:

— Masz pan! sam go podpisałem... Zdaje się, że to dostateczna gwarancja?

Pobożny starzec zbliżył się do okna i odebrał papier.

— Dobrze, dobrze! Rubli srebrem pięćset na pierwszego stycznia... Dobrze! Czy szanowny pan drobnemi życzy sobie, czy...

— Jakimikolwiek, byle prędzej!...

— Byle prędzej! Oj, ta młodość, jaka ona niecierpliwa... Proszę... Sto i dwieście... Na Nowy Rok.

— Bywaj zdrów, lichwiarzu! — mruknął elegant, schwyciwszy dwa storublowe papierki.

— Do widzenia, fałszerzu! — odparł spokojnie poźólkły człowiek, chowając weksel.

Tymczasem młodzieńca zluźował Judka.

— Cóżem to chciał powiedzieć? — zaczął lichwiarz — aha!... Masz Judka ten zegarek i idź dziś jeszcze na policję.

— Nie namyśli się pan? — odparł Żydek, biorąc piękny zegarek do ręki. — Ny, dam za niego całe pięćdziesiąt rubli.

— Dosyć!... Licz pieniądze. Należy mi się trzysta siedemdziesiąt dziewięć rubli bez siedmiu groszy.

Nastąpiły rachunki, po których lichwiarz rzekł:

— Możesz iść. Jutro przed ósmą rano bądź już tu, ja przez kilka dni nie mogę być... Ale, ale!... Zapowiedz tam, żeby mi od Hoffa nic nie kupowano, choćby nawet na pół darmo.

— A jak kupią?...

— Jak kupię, to porachuję się z tobą i z Dawidkiem. Dobranoc.

W tej chwili z pierwszego pokoju doleciał odgłos rozmowy.

— Któż tam? — zawołał kapitalista.

Uchyliły się drzwi i weszła czarno ubrana kobieta.

— Idź, Judka! Pani Gołembowska dobrodziejka, moje uszanowanie!

Konstancja padła na krzesło.

— Takam zmęczona! — szepnęła.

— Ciężkie jest brzemie życia, ale dźwigać je musimy — odparł lichwiarz. — Zapewne pani pieniędzy chce?

— Gdyby można... za moją maszynę...

— Nie trudnię się krawiectwem, droga pani Gołembowska!

— Kosztowała mnie osiemdziesiąt rubli, dziś oddam ją za dwadzieścia... Nie mamy już nic!...

— Plac kupię — odpowiedział lichwiarz — a właściwie dopłacę, ale maszynę...

— Pan Wawrzyniec wie przecież, że ojciec ani słyszeć o tem nie chce.

— A cóżem ja temu winien? — pytał okrutnik, wychylając się z okienka.

— O, gdyby pan wiedział, jacy my biedni!... Już trzeci dzień jemy tylko chleb i surowe ogórki.

— Moja pani, i ja nie więcej jadałem, kiedym był w pani wieku.

— Ojcu coraz gorzej, coraz mniej przytomny...

— I temu nie winienem.

— Helunia moja prawie że w oczach niknie...

— Sprzedajcie państwo plac, a i na doktora się znajdzie. Konstancja zerwała się z krzeselka.

— Pan nie ma miłosierdzia! — zawołała.

— Ale pieniądze na kupno placu będę miał. Oczy kobiety zaiskrzyły się.

— Panie! powiem ci coś. Ja wiem, że panu ludzie nic nie zrobią, ale pamiętaj, że Bóg jest sprawiedliwy i że cię skarże!

I odeszła ku drzwiom.

— Was już skarał! — wykrzyknął za odchodzącą lichwiarz i cofnął się do swej tajemniczej izby.

Pół godziny upłynęło, nim całkowicie już uspokojony wychylił się znowu i zawołał służącą. Gdy weszła, rzekł:

— Maciej wrócił?

— Wrócił, panie — odparła stara.

— Kilka dni nie będę w domu, Judka mnie zastąpi! Pamiętajcie o drzwiach.

— Dobrze, panie.

— A teraz dobranoc!

Stara zbliżyła się do okienka.

— Czego Maciejowa chce?

— Panie!... czy to prawda, że panicz nasz wrócił?...

— Wrócił, wrócił! — odparł lichwiarz z odcieniem zadowolenia w głosie — i kazał wam pensją podwyższyć...

— Pokornie dziękujemy panu — mówiła Maciejowa, całując w rękę lichwiarza — ale...

— Czegóż znowu?

— Czy nie mogłabym ja panicza zobaczyć?... Taż to już z osiem lat...

— Nie teraz. Kobiety mają za długi język.

— Nic nie powiem, panie mój złocisty, bodajem w ziemię wrosła... ale niech go zobaczę! On taki dobry, przysyłał nam gościńce, kazał się kłaniać, niechże go też choć raz jeszcze przed śmiercią oczy moje ujrzą...

Nastąpiła chwila milczenia, po której lichwiarz zmienionym głosem odparł:

— Chodź, stara!

I uchylił ukryte w ścianie drzwi do swej tajemniczej izby. Był to pokój ogromny i ponury, wypełniony mnóstwem szaf, skrzyń i kufrów.

Stara obejrzała się bojaźliwie dokoła.

— Spójrz tu! — rzekł lichwiarz, ukazując na ścianę, przeciwległą oknom.

Na ścianie tej wisiał przepyszny portret dwudziestokilkoletniego młodzieńca, o niebieskich oczach i jasnych kędzierzawych włosach. Twarz ta zdawała się żyć i uśmiechać.

— Patrz, stara, to on! Sam się namalował. Czy poznałabyś go?

— Jako żywo! — odparła kobieta, składając ręce.

— Prawda, że zmienił się, co?... Kiedyś go pierwszy raz widziała, był nędzniejszy od psa, który ma swoją budę, a dziś... on pan, krocie ma, pałac mieć będzie... Nie miał co jeść, a dziś... karmi ludzi przy sobie... ba! i jakich!... Prawda, babo, że się zmienił mój chłopak?... co?...

Gdy tak mówił lichwiarz, oczy pałały mu, ręce drżały, a cała postać zdradzała najwyższe uniesienie. Nie był to wylew uczucia, ale szalonej namiętności wybuch. W tej chwili zdawało się, że cały pokój stanął w potokach krwi. We krwi kapał się złowrogi pan tego domu i jego okute szafy, w tej samej krwi, która zalała cudnie piękne oblicze młodzieńca.

— Jezus! Marja! — krzyknęła stara. Lichwiarz zatrząsł się.

— Czego ty wrzeszczysz?... — zawołał.

— Ja nie winna, panie! to słońce tak zachodzi!... — odparła przerażona kobieta.

— Głupie słońce i tyś głupia, przesądna babo! mruknął lichwiarz i wypchnął precz kobietę. Wkrótce na wszystko zapadła pomroka nocy.

## **ROZDZIAŁ 8 z którego okazuje się, że nawet szczęśliwi ludzie mają swoje zgryzoty**

Stało się tedy, że już na drugi dzień po wtorkowej sesji Wolski złożył Piołunowiczowi uroczystą wizytę, w czasie której napomknął, że jeżeli „szanowny pan” i jego wnuczka nie przeciw temu nie będą mieli, w takim razie on gotów jest natychmiast przystąpić do zdejmowania obiecanych portretów.

— Że też, kochany panie Gustawie, pamiętałeś o takiej drobnostce? — dziwił się stary gimnastyk.

— Lubię być słownym — objaśnił Wolski.

— Ależ tak nagle!... Niedawno wróciłeś z zagranicy, nie przypatrzyłeś się jeszcze miastu...

— To najmniejsza! — odpowiedział Gustaw — przywykłem do pracy, i jeżeli mam panu wyznać prawdę, szczęśliwym się nazwę...

Piołunowicz przerwał mu uściskiem, Wandzia ukłonem, i nastąpiła zgoda. Tegoż dnia, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w salonie pana Klemensa pojawiły się farby, ołówki, stalugi i płótna; od południa w piątek rozpoczęły się posiedzenia, trwające do zachodu, a nawet i po zachodzie słońca, przerywane tylko wspólnymi obiadami, podwieczorkami, spacerami i kolacją.



Pierwszego dnia, a raczej pierwszych kilku godzin, dziadek zachowywał się poważnie, jak przystało na człowieka, który przez cały wieczór był prezesem naukowo-filantropijnego towarzystwa. Lecz po obiedzie staruszek zmiękł. Naprzód przypomniał sobie, że opłakany stan jego zdrowia wymaga ruchu — wyrzucił zatem parę koziółków. Następnie zdecydował się wziąć jedną dozę prysznic, ze względu na dzień gorący; potem włożył w szlafrok i czapkę z kutasem, a wkońcu, przed samą herbatą (nie zdejmując notabene szlafroka), pokazał, jak to za jego czasów tańczono obertasa; począł Wolskiego nazywać „kochanym Guciem”, a jego wraz z Wandzią „najukochańszymi dziećmi.”

Słowem, już w piątek trójka ta poznała się i pokochała; okazało się bowiem, że tak Wolski, jak Piołunowicz przechodzili w życiu ciężkie koleje, że tak Gustaw, jak Wandzia mają najlepsze serca, i że wreszcie wszystko troje potrafią być wesołymi aż do szaleństwa.

Tak było do ósmej rano w poniedziałek, w którym to czasie ogromnie zaperzony dziadek wpadł jak bomba do pokoju ubierającej się Wandzi.

— Nieszczęście! — zawołał — na śmierć zapomniałem!... a trzeba to już było przynajmniej od dwóch lat zrobić!...

— Go się dziadziowi stało? — spytała zaniepokojona Wandzia.

— Jakto co?... Więc ty nic nie wiesz, niedobra dziewczyno, że już niezadługo kończy ci się lat piętnaście i że zostajesz dorosłą panną?...

— Ach, jak to dobrze!...

— Wcale niedobrze, bo zapomniałem wyszukać ci ochmistrzyni.

— Naco? proszę dziadzi? przecież mi profesorowie dają lekcje.

— Co tam profesorowie! Dziewczyna powinna wychowywać się pod okiem kobiety, nie zaś jak wilk między samymi mężczyznami.

Z temi słowy pan Klemens wybiegł z pokoju Wandzi. Zwymyślał w sali podskakującego Azora, wyrzucił fotel i kazał Jankowi podać wszystkie, jakie tylko były w domu, numery „Kurjera”. Gdy rozkaz spełniono, zaniknął się w swym pokoju i do południa czytał, a potem wyjechał do miasta, skąd wrócił dopiero wieczorem.

Ponieważ we wtorek pan Piołunowicz z rana znowu czytał ogłoszenia, a w południe znowu wyjechał, Gustaw zatem i Wandzia byli już drugi dzień sami.

Na czym im czas schodził? Zobaczymy.

— Panno Wando! — mówił Gustaw — już trzeci raz proszę panią, ażebyś usiadła na fotelu i zachowywała się spokojnie.

— A ja już trzeci raz odpowiadam panu, że się z okna nie ruszę. Dobrze mi tu i basta! jak mówi dziadzio.

— Wybornie!... Otóż teraz w imieniu dziadka polecam pani, abyś koniecznie na fotelu usiadła, bo inaczej nigdy portretu nie skończę.

— Nie słyszę, co pan mówi, kanarek mi przeszkadza.

— Pięknie pani słuchasz dziadka, ani słowa!

— Dziadka słucham, ale pana nie będę.

— Ależ, panno Wando, ja go obecnie zastępuję!

— Ależ, panie Gustawie, ja pana nie będę słuchała, choćby nawet był pan moim prawdziwym dziadkiem.

Zrozpaczony Gustaw zaczął układać papiery w teczkę.

— Cóż to znaczy? — spytała dziewczynka, oglądając się przez ramię.

— Wychodzę!... ponieważ pani nie chce pozować...

— Doprawdy?

— Naturalnie!

— Ja jednak myślę, że pan nie wyjdzie.

— Upewniam panią, że wyjdę — odpowiedział Gustaw, udając wielką stanowczość.

— Upewniam pana, że pan zostanie — odpowiedziała Wandzia tym samym tonem.

— Ciekawym dlaczego?...

— Dlatego, że ja...

— Że pani tak chcesz?...

— Dlatego, że ja na fotelu usiądę.

— Tak, to co innego!... — rzekł Gustaw, podając rękę dziewczynie i ceremonjalnie prowadząc ją do fotelu. — A teraz — dodał — proszę panią w imieniu dziadka o kilka minut spokoju.

— Gdzież się mam patrzeć?

— Gdziekolwiek, choćby na przykład na kanarka.

— Czy to także dziadek mi kazał?

— Nie, to ja panią proszę.

— Dobrze! więc teraz ja pana proszę, ażeby puszczono tu Azora.

Nastała kilkominutowa cisza, w ciągu której tłusty Azorek wbiegł do salonu i umieścił się na kolanach swojej pani, Wolski zaś przystąpił do robienia studjów.

— Wie pan co?... — zaczęła Wandzia.

— Słucham!

— Już nic nie powiem...

— Dlaczego?

— Boję się, ażeby mnie pan nie wyśmiał.

— Nie wyśmieję.

— A więc... wie pan co? Oto chciałabym być ptakiem! Prawda, jakie to zabawne?...

— Prawda! Czy tym kanarkiem, na którego teraz pani patrzysz?

— O nie! Kanarek jest biedny, on nie może latać.

— Więc niech go pani wypuści.

— Zapewne! On już raz sam wyleciał i miał bardzo smutny wypadek.

— Cóżto, wróble go nastraszyły?

— Jeszcze gorzej! Niech pan sobie wyobrazi, że wyleciał na podwórze, ale się zmęczył... Azorek, bądź grzeczny!... nie można pani gryźć!...

— Cóż dalej?

— Usiadł sobie na płocie, na którym stał nasz kogut... Pan zna naszego koguta?

— Nie mam przyjemności.

— I otóż ten nieznośny dziobnął go w główkę tak, że aż zemdlał...

— Kanarek koguta?

— Ale gdzież tam! kogut kanarka, tak, że od tej pory, ale niech się pan nie śmieje z niego, jest łysy!...

— Ten kogut?

— Nie, kanarek... Zaraz go panu pokażę... I to powiedziawszy, pobiegła do okna, w którym wisiał wraz ze swoją klatką krzykliwy ptaszek.

— Panno Wando!... na miłość boską, nie wstawaj pani! — zawołał Gustaw. — Cały szkic, przepyszny szkic zepsuty!...

— Cha, cha, cha! — zaśmiała się dziewczynka. — Jak to dobrze, musi pan nowy robić!...

— W takich warunkach żadnego nie zrobię... skompromituję się... nie będę śmiało pokazać się dziadkowi... Żeby też dziesięciu minut nie usiedzieć spokojnie!...

I to mówiąc, zaczął znowu składać papiery. Wandzia wróciła na miejsce, a wzięwszy powtórnie na kolana Azorka, rzekła:

— Dam panu jedną radę. Jeżeli pan chce, ażebym siedziała spokojnie, niech mi pan opowiada jaką ładną historyjkę.

— Doskonały pomysł! — odparł Gustaw, rozkładając znowu swoje papiery. — Mam pani opowiadać ładne historie i rysować?... Spróbuję jednak!...

— Przepraszam, że przerwę. Czy wyjedziemy dziś do Łazienek?

— Wyjedziemy. O piątej przyjdą moje konie.

— Teraz słucham pana.

— Bardzo dobrze, a ja zaczynam.

— Otóż była sobie pewna panna Kręcicka, której dziadek polecił zrobić portret...

— Pewnemu malarzowi, który się nazywał pan Nudziarski!... Znam już tę historję!

— No, to już nie wiem, o czym mam pani opowiadać!

— Opowiedz pan o jakim chłopczyku, to mi się lepiej podoba.

— Opowiem pani o pewnym niegrzecznym chłopczyku, który trzymał palce w ustach...

— Pfe! nie będę tego słuchała! Ja lubię historie smutne...

— O chłopczyku?

— Tak!... i żeby do tego wchodziła panienka.

— Takiej historii nie umiem! — odparł Wolski, rysując.

— Więc niech nie będzie panienki, byle do niej wchodził chłopczyk i... i... już nie wiem co!

— Naprzykład kanarek albo piesek?

— Piesek, piesek! — zawołała Wandzia, sadowiąc się lepiej na fotelu i klepiąc otyłego Azorka, który spał, jak zabity. Wolski, ciągle rysując, zaczął:

— Był sobie pewien chłopczyk...

— Czy to był duży chłopczyk?

— Był to malec... w wieku pani.

— W moim wieku? — odparła oburzona dziewczynka — dziadek przecież powiedział mi, że już niezadługo zacznę rok szesnasty...

— Ale tymczasem skończyłaś pawi dopiero lat czternaście... Otóż był sobie tedy pewien chłopczyk i miał pieska...

— Gzy takiego, jak nasz Azorek?...

— Takie., to jest nie takiego. Tamten piesek był kudłaty i brudny, i nosił zawsze spuszczone ogon...

— Dlaczego spuszczone?

— Ponieważ był zawsze głodny, on i jego pan... — Czy pan jego był druciarczykiem?

— Nie. Dlaczego się pani o to pyta?

— Bo tylko druciarczyki mówią, że zawsze są głodni.

— Aha!... Otóż tedy chodził sobie ów chłopczyk po świecie i szukał...

— Czego, proszę pana?

— Szukał matki, ponieważ, kiedy jeszcze był dzieckiem, wykradli go cyganie i wprowadzili do lasu...

— Proszę pana... czy to jest prawdziwa historia?

— Najprawdziwsza! Opowiadał mi ją ten sam chłopczyk.

— Mój Boże!

— Wędrując tak — mówił dalej Gustaw — zaszedł do pewnego miasta, które jednak bardzo szybko opuścić musiał...

— Dlaczego, proszę pana?

— Dlatego, że mu kamienie raniły nogi, a co gorsza, rozpustne chłopaki jego psu przywiązywali pęcherze z grochem do ogona, co bardzo przstraszało i pieska, i chłopczyka...

— Jacy nieznośni!...

Przez ten czas Wolski naszkicował kilka fizjonomij, z których każda przedstawiała twarz Wandzi, lecz coraz to z innym wyrazem.

— Potem chłopczyk poszedł na wieś, a zobaczywszy pierwszą chatę, wstąpił do niej.

— Puk! puk!...

— Kto tam?... czego to chcesz, dziecko?

— Szukam mojej matki.

— Jakże się ona nazywa? — Kiedy nie wiem.

— Ha, to idź dalej, moje dziecko, tu nie mieszka.

I tak szedł dalej od chaty do chaty, od wsi do wsi, wszędzie kołacząc napróżno. Aż pewnego dnia spotkał się z siwym jak gołąb staruszkiem.

— Czego to szukasz, moje dziecko? — spytał go.

— Szukam matki.

— A byłeś we wsi?

— Byłem, i nie w jednej.

— A w mieście?

— I w mieście też ale nigdzie jej niema.

— Ha! — odpowiedział staruszek — kiedy tak, to już jej chyba niema na ziemi.

— Więc gdzież jest?

— Zapewne w niebie. Chłopczyk posmutniał i rzekł:

— Nie wiecie też, dziaduniu, którą drogą do nieba? Dziad rozejrzał się naokoło.

— Bóg wie — odpowiedział. — Tam słońce wschodzi, a tu zachodzi; tedyby chyba najbliższej. Idź, dziecko, prosto!

— Prosto? to do lasu, a potem, trzeba będzie na drzewo?

— Jużci chyba tak — potwierdził staruszek.

— A puszczą mnie tam, dziaduniu?

— Co nie mają puścić! Pan Bóg jest lepszy od ludzi...

— A pieska mego?

— Kto go tam wie! Spytasz się, może i puszczą. Poszedł tedy chłopczyk do lasu między wysokie drzewa,

spojrzał w górę i już chciał wylazić na sosnę, kiedy nagle przypomniał sobie pieska.

— Cóż ty tu, biedaku, sam będziesz robił? — pomyślał. Z drugiej znowu strony żał mu było matki, szedł więc dalej i upatrywał drzewa, na które oba z pieskiem wdrapaćby się mogli bez wielkiego zachodu.

Na tych poszukiwaniach zeszedł mu cały dzień, i zmęczony chłopiec pomyślał o odpoczynku. Legł więc pod jednym drzewem przy drodze, zmówiwszy pacierz, który zakończył temi słowy:

„Spraw, Panie Boże, ażeby nam kto z nieba rękę podał, bo jak wejść na drzewo razem z pieskiem, to jeszcze oba spadniemy...”

I zasnął.

Na drugi dzień o wschodzie słońca tą samą drogą przejeżdżała bardzo ładna karetka, a w niej jakaś wielka dama z małą panienką. Ponieważ ranek był piękny, więc panienka wychyliła głowę z powozu i dostrzegła naszych wędrowców.

— Patrz, mamó! — zawołała nagle. — Pod tem drzewem śpi jakiś ubogi chłopczyk z pieskiem u nóg...

Wielka dama, zobaczywszy to, wydobyła z woreczka parę sztuk pieniędzy, zawinęła je w papier i rzuciła na śpiących.

— To dla chłopca — rzekła.

— A to dla jego psa — dodała panienka, rzucając ciastko. I odjechały.

Minął ranek, minęło południe, minął wieczór i znowu noc nadeszła, ale ani chłopczyk nie dotknął wyrzuconych pieniędzy, ani jego piesek ciastka, ponieważ obaj nie żyli...

Dobry Bóg wyciągnął do nich rękę!...

Nastąpiła cisza, podczas której Gustaw spoglądał to na swój model, to na rysunki.

— Jakaż to smutna historja! — rzekła Wandzia. — Kto panu...

Zamyśliła się i nagle wybuchnęła śmiechem.

— Ach! Boże, Boże! jaki też pan niedobry, ażeby mi tyle zmartwienia narobić niepotrzebnie...

— Cóż się stało?...

— Niby pan nie wie? To panu ten chłopczyk opowiadał historja zapewne po swojej śmierci?... Cha, cha, cha!

— Hola! obiad dawajcie! — zawołał w tej chwili wracający z miasta Piołunowicz. — Wandziuniu! dopilnuj ich, ażeby się śpieszyli, i zaraz porozlewaj zupę.

Wandzia wybiegła na spotkanie dziadka, który niebawem wszedł do sali, niemiłosiernie spocony.

— Witam cię, Guciu!... Jakżeście się bawili? jak stoi robota? — pytał stary, całując w oba policzki promieniejącego z radości malarza.

— Cudowne posiedzenie! — odparł Gustaw. — Wyobraź pan sobie, że w ciągu kilkudziesięciu minut zrobiłem sześć szkiców, z których każdy przedstawia inny wyraz twarzy!... Oto są...

- Dalibóg, czysta Wandzia! — mówił starzec, oglądając rysunki,
- Nieoceniona fizjognomja, na której każde uczucie jak najdoskonalej się maluje. Spójrzj pan naprzykład na tę głowę.
- Wandzia!... Wandzia!... — odparł dziadek.
- Ale jakie uczucie ją ożywia?
- Zdaje się, że rysowałeś ją pan w postawie siedzącej.
- Co tam postawa! Tu jest najdokładniej scharakteryzowana ciekawość... No, a tu?...
- Naturalnie, że także ciekawość.
- Gdzież znowu! To litość i smutek... Na honor! stworzę arcydzieło!
- Żebyś pan wiedział, jakie gorąco! — przerwał pan Klemens, kładąc rysunki i ocierając pot z czoła.
- Boska piękność, niezrównana fizjognomja! Pięcioletnie studja nie nauczyły mnie tyle, co to jedno posiedzenie... Gdzie pan był?
- At! — mruknął dziadek, siadając na krześle — gdzie był! Szukałem ochmistrzyni dla Wandzi.
- Po co?
- On się jeszcze pyta! Toż nie zapominaj, że to już... już dorastająca panna...
- Pączek, który lada chwilę zakwitnie! — wtrącił Gustaw z zapalem.
- Tak, lada chwilę, a ja ochmistrzyni nie mam i nie mam.
- Na co się to zdało?
- Właśnie że się zdało! Dziewczyna potrzebuje nabrać manier.
- Czyli innemi słowy skarykaturować wdzięk naiwności...
- Co tam naiwność! Ochmistrzyni potrzebuję i basta!...
- Panie Klemensie! jeżeli przyjaźń...
- Kobiety przyzwoitej w pewnym wieku...
- Jeżeli rada najczystszej, najbezinteresowniejszej przyjaźni...
- Przyzwoitej, uczciwej i ukształconej...
- Która swoją pedanterją zepsuje najpiękniejszy twór boski!...
- Obiad na stole! — zameldował Janek.



— Oto grunt! — zawołał Piołunowicz. — Obiad, a po obiedzie prysznic i ochmistrzyni!...

— Po obiedzie spacer, panie, do Łazienek... Wszakżeśmy się tak umówili? — przypomniał Gustaw.

Obiad zeszedł bardzo wesoło. Zmęczony dziadek jadł za trzech i dowcipkował za dziesięciu. Wolski kłócił się z Wandzią.

Przy czarnej kawie biesiadnicy usłyszeli na ulicy turkot, który ustał tuż pod oknami.

— Konie! — rzekł Gustaw. Piołunowicz pobiegł do okna.

— Phy! co za konie, co za liberja, co za amerykan!.. Aleś ty pan całą gębą, kochany Guciu... Ten figiel musi cię z tysiąc rubli kosztować?

— To podarunek mego wuja — odparł Wolski.

— Brylantowy człowiek ten twój wuj, bodaj się tacy na kamieniu rodzili! Poznajże nas, mój drogi...

Tymczasem Wandzia ubrała się, i wkrótce wszyscy wyszli na ulicę.

Po wykonaniu wszechstronnych oględzin, pan Klemens wsadził do amerykana wnuczkę i sam siadł obok niej. Wolski umieścił się na koźle i ujął lejce do ręki.

— Niech pan z początku wolno jedzie, panie Gustawie — odezwała się Wandzia — bo muszę sobie kapelusz mocniej przypiąć.

Ruszyli noga za nogą.

W tym samym czasie Hoff szedł ku pałacowi ze swojego mieszkania. Dostrzegł jadących, poznał i przyśpieszył kroku, aby im drogę przeciąć.

Konie ruszyły cokolwiek prędzej, a Hoff zaczął biec. Zdjął nawet czapkę z głowy i dawał jakieś, znaki...

Na nieszczęście, nikt go nie dostrzegł. Wandzia była zajęta swym kapeluszem, pan Klemens wnuczką, Gustaw koźmi, a jego furman tem, aby się dobrze prezentować na koźle.

Konie ruszyły kłusa, i nim Hoff zdołał dosięgnąć przecięcia się dwóch ulic, powóz wyminął go.

— Państwo moi! państwo... — zawołał zrozpaczony starzec, machając czapką.

Nikt go nie słyszał.

— Ratunku! — jęknął. — Ratunku dla moich dzieci... Poczem zmęczony, zadyszany, padł na kolana i wyciągnął ręce ku niebu.

Ale i niebo milczało.

Prawie w tej samej chwili pan Klemens zrobił uwagę Gustawowi, że wcześniej wracać muszą, ponieważ dziś wypada posiedzenie, na którym on i pan Antoni złożą raport o wynalazku Hoffa.

## **ROZDZIAŁ 9 w którym pan Zenon wyzwał na pojedynek Rejenta, a pan marszałek Fajtaszko twardo zasnął**

W Łazienkach przyjaciele nasi przepędzili czas bardzo wesoło. Obiegli lub objechali wszystkie główne aleje, nakarmili łabędzie piernikami, po drodze kupili bukiet z róż i wreszcie koło ósmej powrócili do amerykana.

Przy wsiadaniu Wandzia wyjęła z bukietu trzy najpiękniejsze róże i jedną z nich przypięła do tużurka dziadkowi, drugą Wolskiemu, a trzecią do stanika sobie. Poczem udekorowany Piołunowicz zaczął wdrapywać się na kozieł.

— To moje miejsce, panie Klemensie! — odezwał się Gustaw.

— O, twoje!... Chciałbyś zawsze powozić... Niech-no i ja raz pokażę, co umiem...

Gdy młodzi usiedli, powozik ruszył. Po upływie jednak kilkunastu sekund jazdy furman odezwał się:

— Trzeba na prawo, jaśnie panie!...

— Aha! na prawo — odparł dziadek i skręcił konie tak, że o mało nie wpadły na barjerę... po lewej stronie.

— Cóżto za lejce! — oburzył się Piołunowicz, poczem oddał je furmanowi, sam zaś poprzestał na utrzymywaniu bata w kierunku pionowym.

Odtąd podróżnym nie groziło niebezpieczeństwo, i bez wypadku zajechali do mieszkania, gdzie w oknach już się świeciło.

— Goście są! — zawołał pan Klemens, zeskakując z kozła. Gdy weszli na górę, spotkali się oko w oko z posepnym panem Antonim, który wychodził z kuchni.

— Drogi prezesie! — wykrzyknął znakomity pesymista — sędzę, iż nie obrazisz się o to, że kazałem sobie zamiast poledwicy upiec parę kurcząt. Jestem trochę niezdrów.

— Ależ rozkazuj, jak u siebie, kochany panie Antoni! — odpowiedział gospodarz.

— Z czym mają być kurczęta, proszę łaski pana? — -spytała kucharka.

— Z... mizerją!... A mizerja ze śmietaną. Krowiarz mieszka niedaleko, i jestem pewny, że śmietaną ma!...

Około dziewiątej salon Piołunowicza zapełnił się. Dzięki wytrwałej i rozumnej agitacji pana Damazego, gości zebrało się więcej, niż kiedykolwiek. Obok kapitalistów, rejentów, sędziów i ludzi nieokreślonej pozycji, widziano tu wolno praktykujących lekarzy, inżynierów i literatów.

Pan Klemens witał wszystkich najserdeczniejszymi pocałunkami, chociaż był pewnym, że większości tych panów nie zna nawet z nazwiska.

Niebawem rozpoczęło się posiedzenie; postawiono dzwonek na stole i wśród przejmującej ciszy zabrał głos pan Damazy:

— Panowie! Dzięki szlachetnej, starodawnej i bezinteresownej gościnności szanownego, a obecnego tu pana Klemensa Piołunowicza, zebrania nasze z każdym dniem rozwijają się i, że tak powiem, dojrzewają, zarówno pod jakościowym, jako też ilościowym względem...

W tem miejscu sędzia, który uważał za najświętszy obowiązek część oratorskich triumfów pana Damazego przyjmować na swoje barki, rozejrzał się dokoła z miną osoby, posiadającej klucz do nakręcania wszelkiego rodzaju pozytywek.

— Panowie! — zaczął znowu Damazy — skoro powiedziałem, że sesje nasze rozwijają się jakościowo, miałem na myśli to, że zakres przedmiotów, o których dyskutujemy, powiększył się znakomicie. Lecz, panowie! jeżeli mówiłem o ilościowym rozwoju, wówczas możecie być pewni, że myślałem o tym nowym zastępie szanownych współpracowników, którzy dziś towarzystwo nasze obecnością swoją zaszczytili...

Końcówkę tę zagłuszył szmer nóg, który miał oznaczać, że nowy zastęp współpracowników akceptuje niezasłużoną pochwałę, a zarazem, że zastęp dawniejszy wita ich serdecznie i przyjmuje do swego grona.

— Panowie! — ciągnął dalej niepospolity mówca. — Nie widzę potrzeby streszczać tego, cośmy zrobili dotychczas...

Damazy urwał nagle, dostrzegłszy, że po tych słowach pan sędzia, stały jego adorator, gwałtownie unosi się z krzeselka. Sędzia zaś podniósł się, ponieważ był pewnym, że rejent, usłyszawszy wyrazy: „cośmy zrobili dotychczas...” zechce publicznie nazwać pana Damazego „bezcelnym kłamcą.” Szczęściem, rejent milczał, pan sędzia zatem usiadł.

— Co się stało, kochany sędzio? — spytał podniesionym głosem wielki mówca.

— Różnij pan dalej! — odparł zainterpelowany, przyjaźnie kiwając ręką.

— Ależ, panie!... ja nie lubię, ażeby mi przeszkadzano.

— No, co tam, panie Damazy... wszystko głupstwo! — odpowiedział sędzia, pragnąc z całego serca usłyszeć dalszy ciąg mowy.

W Damazym krew zakipiała.

— Panowie! — zawołał — pozwólcie mi, abym szanownemu sędziemu zwrócił to, że nie powiem, grubiańskie słowo, które on wystosował do mnie.

Dobre pół godziny upłynęło, zanim przerażony sędzia zdołał wyperswadować popędliwemu mówcy, że jest jego najzapamiętalszym wielbicielem, a oprócz tego człowiekiem niesłychanie delikatnym, i że tylko obawa nietaktowności ze strony rejenta wywołała opłakane i szkodliwe dla ogółu nieporozumienie.

Wspaniałomyślny Damazy dał się przekonać, lecz mowy swojej nie dokończył. Z tego powodu obecni musieli bez uroczystości przystąpić do wyboru prezesa, którym powtórnie mianowany został pan Piołunowicz.

Dla nadania dyskusjom jeszcze sprężystsze go kierunku, wybrany został na wiceprezesa Damazy, a Wolski na sekretarza. Sprowadzono papier i pióra, i rozprawy zaczęły się powtórnie.

— Panowie! — odezwał się znowu Damazy — proponuję, abyśmy szanownego prezesa wezwali o złożenie raportu w kwestji pewnej maszyny, zbudowanej przez niejakiego Hoffa.

— Jedno słówko! — przerwał pan Piotr. — Przypominam, że razem z prezesem oglądał ową maszynę pan Antoni, a oprócz tego przedstawiam wniosek, aby spisywano protokoły z naszych posiedzeń.

Wniosek przyjęto jednomyślnie i przystąpiono do wysłuchania delegatów.

Zaczął pan Antoni i w niewielu słowach objaśnił, że oglądana przez niego maszyna jest niedorzecznością, a jej wynalazca szarlatanem.

Drugi delegat, a zarazem prezes zebrania, pan Piołunowicz, wyznał wprost, że maszyny wyrozumieć nie mógł, lecz że mimo to Hoff musi być człowiekiem bardzo ubogim i potrzebującym szybkiej pomocy.

— Dom ich — kończył swoje sprawozdanie poczciwy starzec — wali się, sprzęty są ubogie i stare, w izbach zaduch i wilgoć...

— Panie sekretarzu! — przerwał w tej chwili nowo wprowadzony członek, którego zarekomendowano, jako znawcę muzyki. — Panie sekretarzu! proszę o zapisanie wyrazów: „wilgoć w izbach”.

— Czy szanowny pan ma zamiar zabrać głos w tej materji? — odezwał się pan Damazy.

— Owszem, zabiorę! — odparł bardzo stanowczo znawca muzyki. — Powiadam panom, że musimy coś obmyśleć przeciw wilgoci, coś, ale to coś!... Ja naprzykład mam mieszkanie tak wilgotne, że poprostu opalić go nie mogę, i skutkiem tego ponoszę wielki uszczerbek w zdrowiu, pieniądzech i meblach... Ja i moje córki!

— Czy kto z szanownych tu obecnych nie podjąłby się obrobić, opracować i przedstawić... kwestji wilgotnych mieszkań? — zapytał Damazy.

— Ja mogę! — pochwycił pan Zenon.

— Ach!... — wykrzyknął znowu wiceprezes. — Zapomnieliśmy, że pan Zenon miał nam odczytać swój ciekawy memorjał o pauperyzmie!... Panowie pozwolą...

Ponieważ z ilości wydobytego papieru członkowie towarzystwa odgadli, że studjum ukształconego Zenona nieprędko się skończy, zrobił się przeto ruch w sali.

Jedni ucierali nosy, inni wstawali, aby choć na chwilę wyprostować nogi, inni zajmowali miejsca w sposób najwygodniejszy. Amator muzyki usiadł na szeslongu, sędzia wcisnął się między kwiaty przy oknie, prezes zaś i wiceprezes zajęli kanapę przy stole głównym. Ślepy traf czy też rozumny porządek rzeczy sprawił, że pan Zenon umieścił się vis-a-vis przybitego do ściany pantofelka, co poniekąd mogło stanowić złą wróżbę. Szczęściem, pan Klemens usiadł pod gipsowem popiersiem Seneki, a pan Damazy ujrzał nad swoją głową podobnyż wizerunek Solona!

Symbol wzniosły, który rejentowi dał wiele do myślenia...

— „Memorjał o pauperyzmie” — zaczął Zenon.

— Proponuję, aby zmienić tytuł na „Pamiętnik o ubóstwie...” — wtrącił pan Piotr.

— Możeby lepiej „Memorjał o ubóstwie?...” — dorzucił Damazy.

— Albo krótko: „O ubóstwie...” — podszeptał ktoś inny.

— Nie wypada! — rzekł rejent. — Tytuł „O ubóstwie” zanadto przypomina wypracowania szkolne, których zapewne szanowny pan Zenon oddawna już nie pisuje...

Uszczypliwe te słowa żywo przypomniały Zenonowi porażkę, jakiej przed tygodniem doznał od rejenta w sprawie wywodów statystycznych, lecz myśliciel umiał milczeć. To zjednało mu sympatią kilku osób, którym szorstki rejent przy innej okazji także zarzucał niedość gruntowną znajomość elementarnych zasad logiki.

— Zwracani uwagę panów, że mój „Memorjał o pauperyzmie czyli, jak żąda szanowny pan Piotr: „Pamiętnik o ubóstwie”, zupełnie został przerobiony — ostrzegł Zenon.

— W takim razie nowi koledzy nasi mogą mieć do pana pretensją i zażądać odczytania obu pamiętników — zauważył znowu pan Piotr.

Opinia ta zrobiła pewne wrażenie na umyśle sumiennego Zenona, który wnet zaczął wydobywać z kieszeni inną, niemniej potężną plikę papierów. Szczęściem, dostrzegł to znawca muzyki i z największym pośpiechem zawiadomił autora, że tak on, jak i jego koledzy nie będą czuli się obrażonymi, nie wysłuchawszy poprzedniego memorjału.

Oświadczenie to jednomyślnie poparli wszyscy słuchacze, poczem pan Zenon zaczął:

— „Jakim sposobem zapobiec szerzeniu się pauperyzmu?...”

— Ubóstwa! — wtrącił Piotr.

— Dobrze: ubóstwa... „Oto pytanie, a raczej oto ponura zagadka, nad którą od najdawniejszych czasów zastanawiały się najznakomitsze umysły...”

Przy ostatnich wyrazach głowy słuchaczy pochyliły się, a pan Damazy rzekł:

— Pozwolę sobie powinszować szanownemu panu Zenonowi, który, o ile uważam, dziś właśnie trafił w jądro kwestji!

Tym razem pochylił głowę pan Zenon i czytał dalej:

— „Środki, a raczej lekarstwa, jakie ekonomiści, a raczej lekarze społeczeństw podawali przeciw tej strasznej chorobie ludów...”

— Co za język! co za język! — szepnął Damazy na ucho panu Klemensowi.

— „Otóż lekarstwa te podzielić można na dwie klasy. Pierwsze z nich miały na celu ograniczenie wzrostu ludności ubogiej; drugie zaś podniesienie płodności wspólnej wszystkich istot karmicielki...”

— Ziemi! — zawołał Damazy, który przez czas trwania tej pięknej mowy wybijał takt obydwoma rękami.

— Upraszam pana sekretarza o zapisanie wyrazów: „podniesienia płodności ziemi” — odezwał się znawca muzyki.

— Czy pan pragnie zabrać głos w tej kwestji?

— Nie. Chcę tylko spytać pana Zenona, czy między środkami, wpływającymi na żyzność ziemi, wymienił drewno.

Pan Zenon ze wstydem wyznał, że mu to na myśl nie przyszło, a jednocześnie obiecał napisać oddzielny memoriał o drewnach.

Tymczasem rejent deklamował komuś półgłosem:

Wpłynąłem na su-che-go przestwór oceanu,

Wóz nurza się w zie-lo-ność i jak łódka brodzi...

Szczyściem dwuwiersz ten, ozdobiony tak uszczypliwymi ekiwokami, nie doszedł do świadomości znakomitego Zenona, który znowu czytać zaczął i czytał całą godzinę bez przerwy.

Świetny był styl owego memoriału, w którym rozentuzjasmowany mówca zaklinał obecnych, aby jednej piędzi ziemi nie pozwalali leżeć odłogiem. Wspominał o okropnych skutkach tępienia lasów, o wyczerpywaniu się kopalni węgla; przepowiadał rychły upadek Anglii i stanowczą zagładę z powierzchni ziemi słoni, żubrów i wielorybów, „których (słowa mówcy) tylko wypchane i w nielicznych gabinetach pomieszczone skóry świadczyć będą przed wnukami naszymi o zaślepieniu dziadów i na popioły ich ściągną zasłużone przekleństwo!”

W drugiej części memoriału, gdzie była mowa o środkach zapobieżenia liczebnemu wzrostowi klasy ubogich, pan Zenon uronił następujący wykrzyknik:

— „Czy zatem sądzicie, panowie, że przeludnieniu w tej klasie 'zapobiegna epidemje? Mylicie się! Sądźcie, że wojna? Mylicie się! Może kolonizacja? Jesteście w błędzie! Może utrudnienie w zawieraniu małżeństw?... Łudźcie się!...

„Przebiegliśmy wszystkie ze znanych dotąd środków przeciw wzrostowi klasy ubogiej, i... opuściliśmy ręce... a z ust mimowoli wydarł się okrzyk: Ruina!... świat czeka ruina!...

„Lecz uspokójcie się. Ta natura, pod której ożywcem tchnieniem rozwinął się wspaniały kwiat cywilizacji, nie dozwoli mu zwiędnąć; ukazuje bowiem myślicielowi, jako środek zaradczy, cudowne społeczeństwa pszczół i mrówek...

„Panowie! tłumaczę się jaśniej: między pszczołami i mrówkami proletarjat jest niezdolnym do zawierania małżeństw... Oto nasz wzór, oto lekarstwo...”

— Nierozsądne, nieuczciwe i nieprzyzwoite! — wykrzyknął nagle rejent, trzęsąc się z gniewu. — To, co pan proponujesz — dodał — kwalifikuje się do rozbioru w sądzie kryminalnym, ale nigdy w towarzystwie filantropijnem, do którego mam zaszczyt należeć!

Powstał straszliwy zamęt. Całe zebranie rozpadło się na dwie grupy: progresistów i konserwatystów, z których pierwsi uważali pana Zenona za apostoła nowej i głębokiej idei, drudzy zaś traktowali go jak najniebezpieczniejszego pozytywistę.

Dopiero głos dzwonka uciszył wzburzone namiętności. Partje znikły, najgłośniejsi krzykacze pochowali się w kąty, zebranie zaś przyjęło następujące uchwały:

1. Rejent uroczyście przywołany zostaje do porządku.

2. Towarzystwo ma honor prosić pana Zenona, aby swój godny najgłębszej rozważliwej memoriał zmodyfikował powtórnie, a zarazem żeby przygotował dwa inne memoriały: jeden w kwestji drenów, drugi zaś w kwestji wilgotnych mieszkań.

Wysłuchawszy tej decyzji, pan Zenon z miną bardzo poważną odsunął się nabok w towarzystwie jakiejś pulchnej osoby, Wolski zaś poprosił o głos i rzekł:

— Panie Damazy! czy nie moglibyśmy zapytać pana, jaki był pierwotny cel naszych zebrań?

Tym razem znakomity mówca siedział cicho jak ryba. Wkońcu jednak, poszperawszy we mgłę wspomnień, odparł:

— O ile pamiętam, myśleliśmy od początku o jednym tylko, to jest o podaniu ręki ubogim...

— Bardzo dobrze! — rzekł Wolski. — A teraz ośmielę się zapytać, czy panowie gotowi bylibyście pośpieszyć im z materialną pomocą? — Rozumie się!

— Otóż, łaskawi panowie, zrobię wam nową propozycją. Jedną z najstraszliwszych plag, trapiących klasy uboższe, jest brak kredytu i lichwa; zapytuję więc panów, czy dla złagodzenia jej nie moglibyśmy tymczasem założyć jakiejś skromnej kasy pożyczkowej?

— Pyszna myśl! — zawołał Damazy.

— Kochany Guciu! — wykrzyknął pan Klemens, rzucając się malarzowi na szyję.

Reszta obecnych z niemniejszym entuzjazmem przyjęła projekt, i wnet zaczęto obrachowywać przypuszczalne fundusze.

— Panowie! — odezwał się rejent (nie wiedzący, jaka burza wisiała mu nad głową). — Radzę nie śpieszyć się z podawaniem cyfr, lecz zastanowić się chłodno i podać stanowcze. W tym celu proponuję nawet, abyście byli łaskawi zebrać się pojutrze, na przykład...

— Do mnie, panowie! — przerwał Piołunowicz, błagalnie składając ręce.

— Do prezesa!... zgoda! zgoda! — odezwały się liczne głosy. Towarzystwo ożywiło się. Jedni wieszowali "Wolskiemu

pomyślu, inni zastanawiali się nad trudnościami utworzenia kasy pożyczkowej, a tymczasem pan Damazy, wzięwszy Piołunowicza pod rękę, pociągnął go do kąta.

— Co się stało? — zapytał przerażony dziadek.

— Zenon chce wyzwać na pojedynek rejenta...

— Zwarjował, czy co?...

— Traktuj pan tę sprawę chłodno i poważnie — upominał go Damazy. — Sekundantów już naznaczył, doktora zamówił...

— A cóż rejent na to?

— Rejent jeszcze nic nie wie, ale obawiam się nieszczęścia, bo to człowiek popędliwy i stanowczy.

Zkolei Gustaw zbliżył się do Piołunowicza.

— Jakże będzie z Hoffem? — rzekł — bo z nim trzebaby już skończyć.

— Nie mogę myśleć w tej chwili o nim... — przerwał wzruszony starszek. — Zenon wyzywa na pojedynek rejenta...

— Więc możebyśmy, nie przedstawiając już sprawy towarzystwu, sami do niego jutro poszli? — spytał Gustaw.

— Owszem, owszem!... My dwaj, tak będzie najlepiej, ale...



— Drogi prezesie! — przerwał mu w tej chwili rejent. — Ten świszczypałka Zenon wyzwał mnie na pojedynek, proszę więc was z panem Damazym na świadków, jutro o jedynastej czekam!...

I nim pan Klemens zdążył mu odpowiedzieć rejent ścisnął go za rękę i wyszedł, nie pożegnawszy się z towarzystwem.

— Proszę panów na kolacją! — rzekł w tej chwili Janek, otwierając drzwi do stołowego pokoju.

Goście wyszli tłumem. W salonie pozostał tylko Wolski, Piołunowicz i... jakiś nieznajomy gospodarzowi jegomość na fotelu, w postawie bardzo zaniedbanej.

— Kto to jest? — spytał pan Klemens Gustawa.

— Nie wiem!... Musi być ktoś nowy.

— Panie Damazy! panie sędzio!... kto to jest? — pytał znowu zakłopotany gospodarz.

Lecz i ci nie wiedzieli.

Chwycono się ostatecznego środka i wywołano do sali prawie wszystkich gości, ale nikt siedzącego mężczyzny nie znał. Wkońcu dopiero przypomniano sobie, że pan ten przyszedł z rejentem.

— Niestety! co ja tu pocznę? — biadał pan Klemens, nie mogący wyperswadować sobie, aby któryś z jego choćby najnowszych przyjaciół nie siadł do wspólnej kolacji.

Tymczasem siła wypadków przyszła mu na pomoc. Zebrani bowiem otoczyli nieznajomego półkolem, i dotąd tupali nogami i chrząkali, aż się obudził.

— Aaa! Czy już jest kolacja? — spytał, powstając na równe nogi nieznajomy.

— Jestem Piołunowicz! — zarekomendował się gospodarz.

— Aaa!... bardzo mi przyjemnie. Jakże tu panno u pana!... Aaa!... Więc możemy iść na kolacją.

I poszedł pierwszy, a inni za nim, śmiejąc się do rozpuku i wzajemnie wypytujac o nazwisko nowego członka towarzystwa.

O nazwisku tem dowiedziano się dopiero po kolacji, wtedy mianowicie, gdy gospodarz, z pełnym kieliszkiem zwróciwszy się do gościa, rzekł:

— Panie! pragnąłbym wypić za twoje zdrowie, ale na honor, nie wiem, z kim mam przyjemność... bo rejent wyszedł...

— Jestem Fajtaszko, były marszałek szlachty powiatu... — Niech żyje! — odpowiedziano chórem.

I tak skończyło się drobne nieporozumienie ku uciesze wszystkich.

## ROZDZIAŁ 10 Sabbath

Na drugi dzień Wolski przyszedł do Piołunowicza dopiero o czwartej po południu.

Drzwi salonu zastał zamknięte; z kuchni dolatywały go wesołe śmiechy służby.

Gdy zadzwonił, wyszedł Janek.

— Proszę łaski pana — rzekł chłopak — pana niema i panienki niema, bo wszyscy wyjechali do matki chrzestnej panienki, ale pan prosił i panienka prosiła, ażeby pan z łaski swojej zaczekał!...

Wszystko to wypowiedział jednym tchem młodzieniec ów, na którego włosach i obliczu widniały ślady bezceremonjalności czy też złego humoru ze strony kucharki i pokojówki.

Dodać musimy, że dzień ten w miejscowych kronikach meteorologicznych upamiętnił się nadzwyczajnym upałem. Apopleksja raziła kilku zbyt otyłych pocziwców, w Wiśle utopiło się kilka osób z powodu natłoku do kąpielni, a wody sodowej zabrakło tak dalece, że zapalczywsii amatorowie jej decydowali się już na Hunyadi i magnezjową limonjadę.

Termometr dosięgnął 30 stopni, powietrze było niesłychanie parne.

Wolski wszedł do salonu i stanął na środku, nie wiedząc, co robić. Od rana stan atmosfery oddziaływał na niego w sposób gnębiący. Gustaw przyszedł tu, aby się otrząsnąć ze swej apatii i... nie zastał nikogo!

Z tem wszystkim był oczekiwany.

Ktoś położył jego tekę i ołówki na zwykłym miejscu, ustawił przed stalugami krzesło i fotel naprzeciw krzesła. Teraz malarz przyszedł, lecz modelu nie było.

Gustaw poczuł w tej chwili, że we wnętrzu jego istoty pojawiło się coś, niby punkcik nieskończenie mały i nieskończenie bolesny. Gdy chciał go lepiej zbadać, zjawisko znikало; gdy dziwił się swym przywidzeniom, występowało znowu. Były momenta, w których myślał, że ten punkt nieujęty, to cała dusza jego, przechodząca teraz jakąś tajemniczą i straszną chorobę.

Wolski rozejrzał się dokoła.

Wiszący w oknie kanarek, wypluskawszy się w wodzie po raz niewiadomo który, siedział najeżony w swej klatce. Pod fortepianem leżał z wyciągniętymi nogami i otwartym pyskiem tłusty Azor, ledwie dysząc.

Drzwi do pokoju Wandzi były otwarte; Gustaw chciał tam wejść, lecz nie mógł ani kroku postąpić. Teraz dopiero zrozumiał, co to jest być pastwą dwóch walczących między sobą

potęg, z których jedna w pewnych godzinach życia brutalnie popycha nas naprzód, a druga niemiłosiernie przykuwa do miejsca.

Idąc tu, wyobrażał sobie, że ich zastanie (o samej bowiem Wandzi bał się myśleć), wyobrażał sobie, że te dwie sympatyczne istoty rozproszą chmury, które niewiadomo z jakiego powodu zasepiły mu duszę, i nie zastał ich!

Szatan smutku triumfował.

Gustaw wydobył zegarek; od wejścia do salonu upłynęło zaledwie dziesięć minut.

— Niezadługo wróca! — szepnął, a jednocześnie pomyślał: „Jakby to straszne było, nigdy już nie zobaczyć Wandzi...”

Nigdy!... nigdy!...

I w tej chwili opanowała go nieokreślona tęsknota, bezprzedmiotowa trwoga, rozpacz bezprzyczynowa, które tak dobrze, niestety! znają ludzie chorzy na nerwy, lecz które przeraziły zdrowego dotychczas Gustawa.

— To upał winien! — szepnął znowu, a później zdziwił się niezmiernie, że do dziś dnia nigdy jeszcze o swojej przyszłości nie myślał. Nie myślał, on, ukochane dziecko bogacza, on podziwiany przez kolegów artysta, on młodzian pełen zdrowia i siły!

A któż ma większe prawo do jak najdłuższego korzystania z wesołej uczty życia, jeżeli nie tacy, jak on i jemu podobni?

W tej chwili zdawało mu się, że przed oczyma duszy widzi wyrastającą nagle niezmierną ścianę, przy której kończą się drogi wszelkich istnień.

To upał winien.

Zbliżył się do stołu, na którym leżały jego rysunki.

Podniósł jedną kartkę... twarz Wandzi... Odsunął ją... Podniósł inną... Kilka sarn wśród ponurego lasu. Inna kartka... Mnóstwo głów męskich i kobiecych, Żydów, pajaców, księży i uliczników; mnóstwa twarzy śmiejących się, bolejących, szyderczych... On im dał to trupie życie, on je powołał do tej niepełnej egzystencji, on stworzył te formy bezduszne i gwałtem domagające się o duszę, on je straszliwie skrzywdził!...

— Alboż moje życie nie jest tak samo złudzeniem? — perswadował sobie i odwrócił kartkę.

Tym razem trafił na jakiś sentymentalny nagrobek: strzaskaną kolumnę, sterczącą między bluszczami, różami i cyprysami.

— To upał winien! — westchnął, odrzucając tekę, i odszedł do okna.

Skazówka barometru stała na wielkim deszczu.

— Jeszcze nie wracają! — wyrzekł.

Spojrzał na ulicę, była pusta. Powietrze spokojne. Żaden listek nie ruszał się na drzewie. Ptaki milczały, kryjąc się przed spiekotą, a może czując nadciągającą burzę.

Spojrzał na niebo... Na zachodzie rozwalały się gęste, czarne chmury z białawymi brzegami.

Coś się gotowało wśród tej ciszy.

Naprzeciw niego leżała rudera Hoffa. W jednym z otwartych okien pomarańczowego domku wisiało prześcieradło; po placu chodziło kilku ludzi.

Wolski widział ich, lecz z powodu odległości nie mógł poznać. Przyszło mu na myśl, że Hoff jest ubogi (może chory?), że ludzie ci mierzą plac, i zdawało mu się, że tuż pod jego okiem dokonywa się jakaś zbrodnia, której nie rozumiał, lecz którą przeczuwał.

— Co mnie ci ludzie obchodzą? — szepnął, patrząc na mierzących, choć czuł, że go obchodzą.

Za lornetkę, gdyby mu ją podano, oddałby pół majątku, jakiś bowiem głos wewnętrzny a potężny rozkazywał mu iść tam i spojrzeć w oczy ludziom, którzy zdziczały plac mierzyli. W tej chwili dostał pierwszy raz w życiu bicia serca. Zerwał się od okna i chciał biec do rudery Hoffa, ale się upamiętał.

— To gorąco winno! — rzekł. — Jutro na sesji bezwarunkowo przedstawię sprawę Hoffa, albo wreszcie sam go wezmę w opiekę... Jutro!...

I wypowiadając słowo: jutro! uczył, że włosy podnoszą mu się na głowie.

Zamigotała błyskawica i przeciągły grzmot rozległ się na zachodzie. Wolski przymknął okno, i nad wszelki wyraz zmęczony, padł na fotel, ten sam, który wczoraj zajmowała Wandzia.

Głowa mu pałała, arterje uderzały jak młoty, aż wreszcie opanował go chorobliwy sen na jawie.

Zdawało mu się (rzecz śmieszna), że jest Zenonem, który wyzwiał na pojedynek rejenta, i że z przeciwnikiem swoim stanął na placu bitwy.

Dokoła widział drzewa i uśmiechniętych świadków, którzy szeptali do siebie, że sprawa skończy się na niczem, i że przeciwnicy strzelą do siebie tylko dla formy.

Potem zdawało mu się, że rejent uśmiecha się także i mierzy gdzieś wbok, a potem... usłyszał huk i z najwyższym zdziwieniem dostrzegł, że niebo i wierzchołki drzew ma wprost twarzą, i że świadkowie, którzy stali obok niego, stoją teraz nad nim...

— Upadłem!... — pomyślał. — Czyżbym był raniony?

Widział, że świadkowie nachylają się nad nim, lecz jednocześnie czuł, że między nim a nimi powstaje ciągle zwiększająca się odległość. Spostrzegł przerażoną twarz Wandzi i pomyślał, że dziewczynka zagłąda w tej chwili do niesłychanie głębokiej studni, w którą on szybko się zapada.

— Co to znaczy?

Stopniowo wizerunek Wandzi rozpląnął się jakby we mgle, a natomiast zdawało mu się, że słyszy rozpaczliwy okrzyk swego wuja:

— Zabity... Mój Gustaw zabity!...

Teraz dopiero uczył, że pojmuje dziwny stan swój. Był to jednak ostatni błysk świadomości, po którym opanowała go niepamięć i ciemność.

Wolski ocknął się i uczył krople zimnego potu na twarzy.

— Grenadjerski sen, jak pragnę zbawienia duszy! — zawołał stojący przed nim pan Klemens. — Deszcz leje jak z cebra, pioruny biją, aż dom drży, a ten, panie dobrodzieju, bawi się z Morfeuszem!

— Dawnościście wrócili? — spytał Wolski, zapominając o wszystkich ponurych widzeniach.

— W tej chwili! Spadliśmy jak żaby z deszczem. Wandzia się jeszcze nie przebrała. Byliśmy u jej chrestnej matki i mamy już ochmistrzynią — pytłował wesoly dziadek.

Gustaw coś sobie przypomniał.

— Jakże sprawa Zenona z rejentem? — spytał.

— Już się pogodzili. Będą jutro obaj na sesji: rejent z projektem kasy pożyczkowej, a Zenon ze swym memorjałem o pauperyzmie.

Teraz Wolski miał ochotę parsknąć śmiechem, wspomniawszy o swoich halucynacjach i niepokojach, lecz w tej chwili weszła Wandzia, więc tylko... zarumienił się.

Tymczasem na dworze zapadła noc, rozhulała się burza, a w ruderze...

Wejdźmy tam.

W izbie Hoffa, wśród kłębow tytoniowego dymu i wyziewów szkaradnej wódki, spostrzegamy cztery męskie postacie.

Najpoważniejszą postacią w tem zebraniu jest znany lichwiarz Wawrzyniec, wiecznie zamaskowany okularami, wiecznie zapięty pod szyję i spokojny jak drewno. Wolnym krokiem przechadza się on po ciasnym pokoju i od czasu do czasu ogryza paznogie.

Drugim był Hoff. Siedział pochylony na swem łóżku, z rękami opartymi o kolana i patrzył niewiedomo gdzie i na co. Zdawało się, że błyskawice i grzmoty już nie istnieją dla tej usypiającej duszy.

Dwaj pozostali ich towarzysze byli to obszarpańcy, jakich codzień napotkać można we wszystkich szynkach, cyrkułach i przysionkach sądowych. Należeli oni do tej klasy, która dostarcza społeczeństwu w najlepszym razie pokątnych doradców, faktorów lub kataryniarzy, w najgorszym złodziei, a w każdym razie pozbawionych cienia uczciwości pijaków i darmozjadów.

Ludzi tych sprowadził pan Wawrzyniec do podpisania kontraktu kupna nieszczęsnej Hoffowej siedziby.

W izbie drugiej, okryta dziurawą kołdrą, wychudła jak szkielet, żółta jak wosk, leżała za parawanem Konstancja. Obok niej, owinięta w łachmany, spoczywała chora Helunia, a u nóg, na połamanem krześle, siedziała stara, z trzęsącą się głową żebraczka i szeptała modlitwy.

Spowita w Inianki gromnica i czarny krzyż na stole dopełniały całości obrazu, na którego widok zdawało się, że martwe ściany zapłaczą.

Tymczasem w izbie drugiej towarzystwo bawiło się.

— Nasze kawalerskie! — wołał, podnosząc do góry szklanę, pan, którego nazywano Grzybowiczem, do pana, mianującego się Radziszkiem.

— Tyś taki kawaler, jak twoja żona panna! — odparł drugi, niemniej wychylając szklanę.

— Coprawda — rzekł po namyśle Grzybowicz — warto było pierwszej wypić na intencję naszego pana... Czy można?... — dodał z odcieniem nieśmiałości.

— Kończcie prędzej! — odparł lichwiarz i odwrócił się do stołu, na którym leżał papier i inne przybory piśmienne.

— Widzisz, gęsi łbie! spylił cię pan... Tyś zawsze za śmiały — rzekł do swego kolegi Radziszek.

— No, wódka, jak wódka, zwyczajna sobie gnojówka i bast!... Ale kielbasa ci od stu piorunów...

— Lakieros! — objaśnił Radziszek.

— Czy to prawda, panie — spytał Grzybowicz Wawrzyńca — że inne kielbasy to robią ze świń trupami wypasionych?

— Kończcie! — mruknął lichwiarz.

— Pyta się, a nie wie, że już ze trzy razy kosztował swojej matki nieboszczki — odpowiedział Radziszek.

— Y... y... y!... jaki mi elegant! Nie widzieli go na śmietniku ze skorupą pod pałkę, a podeszwą na przykrycie!... — oburzył się Grzybowicz.

— Cichobyś był, ty gnacie, bo jak każę, to cię piorun strzeli tak w łeb, że się zamroczysz!

— Nie bluźnij! — wtrącił Wawrzyniec.

— On tu będzie piorunami wyzywał, a nie słyszy cholera, co się wyrabia na dworze!... — dopełnił Grzybowicz, wskazując na okno, poza którym nieustannie migotały błyskawice.

We drzwiach ukazała się pomarszczona twarz żebraczki.

— Panie — szepnęła do Wawrzyńca — chora księdza żąda.

— Niema teraz czasu, później!

— A jeżeli jej się zamrze?

— Niech odmawia akty Wiary, Nadziei i Miłości ze skruchą, to tak samo, jakby się wypowiedziała! — odparł Wawrzyniec.

Zdawało się, że piorun, przelatujący w tej chwili czarne sklepienie chmur, zdruzgotuje nędznika; wyminął go jednak i rozdarł suche drzewo. Grom, na jego głowę przeznaczony, drzemał jeszcze we Wszechmocnej Prawicy.

— Piorun trzasł w drzewo! — szepnął blady Grzybowicz. — Zamknij okno, ty skurczypało!

— A djabeł ci go zamknie, kiedy nie dostaje do futryny! — odparł z gniewem Radziszek. — Nie bój się! — dodał — co cię ma nie minąć, nie minie cię, żeby cię nawet pod cztery zamki na Pawiaka schowali!...

— Siadajcie i piszcie! — rozkazał Wawrzyniec. — Panie Hoff, proszę uważać.

Hoff milczał, siedząc ciągle w jednej postawie.

— Panie Hoff! — powtórzył lichwiarz. Starzec ani drgnął.

— Panie, panie! hej!... — wrzasnął mu w ucho Radziszek, targnąwszy go za ramię. — Wracaj pan do numeru, kontrakt piszemy!...

— Jestem! — odparł Hoff i znowu wpadł w zadumę. Dwaj obdartusy usiedli przy stole i wzięli pióra do ręki.

— Co tam tak kłapie? — szepnął Grzybowicz, przysłuchując się łoskotowi, który z drugiej strony domu dolatywał.

— Pewno okiennice powyrywało, to i kłapie! — odparł niewzruszony Radziszek.

Na dworze przez mgnienie oka ucichło i runął znowu piorun tak blisko, że aż się dom zatrzęsł, a w kominie posypały się gruzy.

— Skaranie z tą burzą, czy co? — mruczał strwożony Grzybowicz, przytrzymując papier, który mu wylatywał z pod ręki.

— A to mi wydelikaciał, jak baba... widzisz go!... — wykrzyknął gniewnie Radziszek. — Pilnuj tego, czem pysk będziesz miał zatkać, a o piorunach nie myśl, bo choć cię palnie...

— Piszcie! — przerwał lichwiarz.

— „Działo się w domu Fryderyka Hoffa, obywatela, pod numerem...” No, sami przecież wiecie, jak to idzie — dyktował Wawrzyniec.

Żebraczka we drzwiach ukazała się powtórnie.

— Panie — rzekła do Wawrzyńca — zdaje się, że już kończy...

— Zapal gromnicę, podaj jej do ręki i módl się... Ja nie mam czasu!... — odparł lichwiarz.

Stara odeszła. Dwaj obdartusy, skończywszy pisać nagłówek, czekali na ciąg dalszy.

— „Między panem Fryderykiem Hoffem, obywatelem z jednej, a panem Wawrzyńcem... kapitalistą z drugiej strony zawarta została umowa następującej treści” — dyktował Wawrzyniec.

— Gdy wzrok mój będzie zmieszany i zaćmiony przychodzeniem śmierci, o Jezu miłosierny, zmiłuj się nade mną!... — mówiła w drugiej izbie podniesionym i drżącym głosem żebraczka.

— Zmiłuj się nade mną!... — powtórzyła Konstancja.

Dźwięczały szyby, dom drżał, z niezamieszkanego jego części jakieś krzykliwe i zmieszane dolatywały odgłosy, a lichwiarz dyktował dalej:

„Paragraf pierwszy. Pan Fryderyk Hoff, właściciel nieruchomości pod numerem... na ulicy... składającej się z placu, trzy tysiące łokci kwadratowych powierzchni mającego, domu mieszkalnego, parkanów i sadzawki, odprzedaje takową nieruchomość panu Wawrzyńcowi... kapitałście, za sumę rubli srebrem tysiąc, dobrowolnie oznaczoną...”

— Gdy twarz moja bleda i stygnąca przejmować będzie serca patrzących litością i trwogą i pot śmierci okrywać mnie zacnie, o Jezu miłosierny, zmiłuj się nade mną!. — mówiła żebraczka.

— Zmiłuj się nade mną! — powtórzyła ledwie dającym się słyszeć głosem Konstancja.

Ze wszystkich punktów widnokregu tryskały strumienie oślepiającego światła; zdawało się, że się ziemia kołysze i załamuje sklepienie niebieskie, lecz lichwiarz nie uważał na to i spokojnym i jednostajnym głosem dyktował dalej:

„Paragraf trzeci. Pan Wawrzyniec... u pana Fryderyka Hoffa ma należności rubli srebrnych dziewięćset osiemdziesiąt na zasadzie kwitów prywatnych, przez tegoż pana Fryderyka Hoffa własnoręcznie podpisanych, i takowa na poczet szacunku zaliczoną zostanie przy jednoczesnym zwrocie tychże kwitów... Resztę zaś, to jest rubli srebrem dwadzieścia, pan Wawrzyniec gotówką wypłaci.”



— Gdy myśl moja, uderzona straszliwym śmierci widzeniem, upadnie w przestrach ostateczny i struchleje w walce z nieprzyjacielem piekielnym, który będzie usiłował wydrzeć mi ufność w Twe boskie miłosierdzie i poddać mnie rozpaczy, o Jezu miłosierny, zmiłuj się nade mną!... — mówiła stara.

Głos Konstancji już umilkł.

„Paragraf czwarty. Posesja naturalna i cywilna przechodzi do nowonabywcy od chwili podpisania niniejszej umowy” — ciągnął dalej Wawrzyniec.

— Panie! — szepnęła żebraczka z progu — już skończyła!... Możeby mi pan dał wódki kapeczkę za fatygę?...

— Jeszcze chwilkę! — odparł Wawrzyniec i zaczął szybko dyktować zakończenie.

Gdy pomocnicy jego pisać przestali, zbliżył się do Hoffa, ścisnął go mocno za rękę i przyprowadziwszy do stołu, rzekł:

— Podpisuj pan. Hoff podpisał.

— Teraz tu...

Hoff znowu podpisał.

— Teraz świadkowie! panie Radziszek, panie Grzybowicz!...

Świadkowie oba arkusze ozdobili swemi szanownemi nazwiskami.

Jeden z tych arkuszy lichwiarz szybko obejrzał, osuszył bibułą i, starannie złożony, do bocznej kieszeni schował. Poczem rzekł:

— Panie Hoff!... kochana Kostusia nasza Bogu ducha oddała!...

— Co?... — spytał starzec.

— Córka umarła! — powtórzył Wawrzyniec.

Stary spokojnie wyszedł do drugiej izby, popatrzył na niezastygłe jeszcze ciało i wzięwszy na ręce śpiącą Helunię, wrócił z nią na swoje łóżko.

Niezadługo potem lichwiarz, pomocnicy jego i żebraczka opuścili dom nędzarza.

Byli już w sieni, kiedy z izby Hoffa doleciał ich drżący, lecz spokojny głos starca, który mówił:

— Pójdziemy hajty, Heluniu! pójdziemy hajty!...

Późno w nocy, gdy już ucichła burza i księżyc zaświecił, lekko przymknięte w pokoju Konstancji okno otworzyło się, i ukazał się w niem jakiś mężczyzna.

— Kostka! Kostka!... Kostusia!... — mówił stłumionym głosem przybysz.

Milczenie.

— No, no!... Nie przyczajaj się, głupia, tylko mi daj trochę bibuły, bom już dwa dni nic nie jadł.

Milczenie.

Człowiek przestąpił okno i zbliżył się do zmarłej.

— Patrzcie się, ludzie! — zawołał po chwili — taż ci tu ona bez żartów parę wypuściła!... Fiu! fiu!... zimna baba, jak lodownia... Pokaż-no puls!... Pocziwe żonisko, obrączkę po mnie do grobowej deski zachowała... Daj ją tu, nieboże! już ci się nie przyda! drugi raz chłopa nie dostaniesz!...

Z temi słowy zdjął z ręki trupa obrączkę i zwolna, potykając się, wszedł do pokoju Hoffa.

Starzec nieruchomy siedział na swem łóżku i trzymał na kolanach niespokojnie dyszącą Helunię.

— Stary! stary!... — odezwał się złodziej. — A co to moja naprawdę kopyta wyciągnęła?...

— Pójdziemy hajty, Heluniu!... pójdziemy hajty!... — wyszeptał starzec.

— Fiu! fiu! — świsnął złoczyńca. — Ten już widzę na amen zwarzjował. Trzeba dać nogę!...

I wyszedł tem samym oknem, a w nędznej lepiance pozostał tylko ostygły trup i głodny warjat, piastujący chore dziecię.

Kielich gniewu Bożego napełniony został po brzegi.

## ROZDZIAŁ 11 wuj i siostrzeniec

Pan Gwoździcki, wuj Gustawa, był finansistą i hipochondrykiem.

Nikomui wizyt nie składał, od nikogo ich nie przyjmował, i można było nawet sądzić, że dbał o to, aby go jak najmniej znano i jak najmniej o nim mówiono.

Z siedmiu pokoi, składających eleganckie jego mieszkanie, wybrał sobie mały, z osobnym wchodem gabinet, położony od strony podwórza, i tam, jeżeli był w domu, całe dnie przepędzał.

Z tem wszystkiem, gabinet ten widywał go bardzo rzadko, co bynajmniej nie dziwiło ani gorszyło służby, która regularnie pobierała dość wysoką pensją i wiedziała, że pan ma mnóstwo interesów za domem.

Niechętnie też Gwoździcki pokazywał się na ulicy, a jeżeli okoliczności zmusiły go do tego, wówczas nie chodził piechotą, ale jeździł zamkniętym powozem. Dodajmy jeszcze, że w teatrach nie bywał, ogród Saski znał niedokładnie, Botaniczny tylko ze słyszenia, a mieć będziemy obraz życia, jakie pędził ów człowiek, obracający się wyłącznie w kółku finansowych interesów.

Że jednak nikt przed okiem bliźnich ukryć się nie może, nie ukrył się więc i Gwoździcki. Sfery handlowe znały go dokładnie, dokładniej może, niżby sobie tego życzył i, powiedziawszy prawdę, szanowały dziwaka.

Wiedziano, że jeszcze przed dwudziestu laty człowiek ten był ubogim, i że tylko olbrzymią pracą, wytrwałością, a może i geniuszem, doszedł do milionowej fortuny.

Wiedziano dalej, że był niesłuchanie konsekwentny i słowny, choć obok tego puszczał się niekiedy na hazardowne spekulacje, z których szczęśliwie wychodził. Wiedziano wkońcu, co było podobno najważniejszym, że zapytany o radę, albo nie dawał żadnej, albo dał dobrą, a nadto, że w razie potrzeby pomagał pocichu, lecz skutecznie.

Krótko mówiąc, z Gwoździckim nie przyjaźnił się nikt, wszyscy go jednak cenili, a wielu obawiało się; chodziły bowiem głuche wieści, że człowiek ten w sztuce gnębienia nieprzyjaciół był mistrzem nad mistrze.

Stary lokaj finansisty głośno twierdził, że pan jego stworzony był na kamedulę, a jeżeli nim nie został, to dlatego tylko, że miał siostrzeńca, Gucia właśnie, którego do szaleństwa kochał.

Jeżeli Gwoździcki, pomimo podeszłego wieku, kupował jeszcze i sprzedawał dobra, kamienice, zboże, drzewo i tysiące innych przedmiotów, robił to tylko dlatego, aby Gucioowi jak największy majątek zostawić.

Jeżeli, mimo wrodzony pociąg do prostoty życia, trzymał zbyt kowny lokal i służbę, robił to znowu, przewidując, że Gucio lada chwila rzuci swoje malarskie studja i do domu przyjedzie.

Ale chłopak pracował z zapałem i o powrocie nie myślał; wuj zaś tęsknił, lecz milczał, szłać mu pieniądze i zaklinając na cienie matki i miłość dla siebie, aby hulał, co się zmieści, brał od niego, ile zechce, lecz długów unikał.

Wrócił nareszcie Gucio i zaledwie przestąpił próg domu, najpierwszą czynnością jego było otrzeźwić wuja, który, zobaczywszy go, wpał w omdlenie. Zbudzony finansista pocałował chłopca w głowę, spytał, czy nie potrzebuje pieniędzy, i w pół godziny później wyjechał kończyć interes, na którym znowu kilkanaście tysięcy zyskał.

We czwartek po owej nocy burzliwej, około jedenastej z rana wszedł Gustaw do gabinetu wuja, którego zastał nad planami i papierami.

Gwoździcki nie był sam: przy drzwiach stało jakieś indywiduum, które Gustaw miał ochotę wziąć za model do obrazu pokątnego doradcy.

— Może przeszkadzam? — spytał Gustaw, dostrzegłszy, że wizyta jego przerwała rozmowę.

— Boże uchwaj! — odparł Gwoździcki. — Posiedź chwilkę, zaraz ci służyć...

Potem zwrócił się do osoby, stojącej przy progu.

— Podatki naturalnie zalegają?

— Rozumie się, proszę łaski pana! — odparło indywiduum.

— Trzeba się dowiedzieć o ilości i zaraz zapłacić — mówił finansista. — Trzeba także sprowadzić ludzi do rozbiórki i splantowania... A to... na pogrzeb!...

I podał nieznanemu trzydzieści rubli.

— Proszę łaski pana, a jak będzie z nim? — spytało indywiduum, kładąc przycisk na ostatnim wyrazie.

— No, jak!... to już skończony niedołęga, trzeba pomyśleć o umieszczeniu go w Dobroczynności. Tymczasem nakarmić, trochę odziać, a nadewszystko wykapać, bo już chyba od roku niemyty... — odparł Gwoździcki.

— Proszę łaski pana, a z dzieckiem?

— Dziecko, Grzybowicz, oddasz zaraz do ochronki. Ono zdaje się jest chore i w tej wilgoci ani na chwilę dłużej pozostać nie może. Oto kartka!

Indywiduum wzięło kartkę i wśród najpokorniejszych ukłonów wyszło za drzwi.

Dziwna i straszna rzecz! Gustaw, słuchając tej rozmowy, dostał powtórnie bicia serca; nie chcąc jednak przerażać wuja, a pragnąc jednocześnie odegnać od siebie przykre myśli, spytał go:

— Cóż to za plany wuj ogląda?...

— Stawiamy chałupę, moje dziecko.

— Dla siebie?

— Dla ciebie.

— O, mój wuju — zawołał malarz — czy ja wart jestem tylu dobrodziejstw!...

Gwoździcki bystro spojrzął mu w oczy, lecz, zobaczywszy tam łzy, szybko odwrócił się i mruknął:

— Mazgaj jesteś!...

I wyszedł do sali, a Wolski za nim.

Kilka sekund wystarczyło do uspokojenia tych dwóch silnych ludzi, choć jeden z nich chorował na serce od wczoraj, drugi od lat dwudziestu pięciu.

— Mam do ciebie prośbę, kochany wuju — zaczął Gustaw.

— Słucham cię.

— Jest tu w mieście pewne kółko uczciwych dziwaków, naradzających się nad uszczęśliwieniem ludzkości. Otóż czybyś nie chciał się z nimi poznać?

— Nie.

— I dlaczego? — spytał Wolski, patrząc mu w oczy.

— Dlatego, że ja nie jestem ani poczciwym dziwakiem, ani też myślę o uszczęśliwieniu ludzkości.

— Przydałbyś się tam, wuju, wierz mi.

— Nic z tego! — odparł stanowczo Gwoździcki.

— Więc może zechcesz przynajmniej złożyć wizytę staremu Piołunowiczowi?

— Powiedziałem ci już, że złożę, ale za rok.

— Dlaczego nie dziś? — nalegał Gustaw.

Wuj zaczął gryźć paznokcie, co oznaczało niezadowolenie, i po chwili rzekł:

— Moje dziecko! Interesa, które prowadzę, nie pozwalają mi bawić się w towarzyskość, i dlatego znajomości nie robię. Przed upływem roku ukończę je, wycofam moje kapitały, a wówczas będę gotów do usług...

Wolski zrozumiał, że przedmiot ten można uważać za wyczerpany; przeszedł więc do innego i odniechcenią zapytał:

— Powiedz mi też, mój wuju, jak wielki jest naprawdę twój majątek?

Gwoździcki zamyślił się i odparł:

— Mówiąc między nami, nie wiem; zdaje mi się jednak, że masz kilka milionów.

— Cóż znaczy, to masz?

— Znaczy, że masz; jakże ci inaczej powiem?

— A ty, wuju, co masz?

— Ja?... mam ciebie.

W przedpokoju odezwał się dzwonek, a po chwili lokaj zameldował:

— Pan Dąbrowski!

Do sali wszedł człowiek młody, przystojny, posiadający wszelkie cechy obywatela ziemskiego.

Gustaw wybiegł naprzeciw niemu i przedstawił go wujowi, jako swego dawnego przyjaciela, poczem rzekł:

— Pozwólcie panowie, że ze względu na zajęcia wuja, który nigdy nie ma czasu, przystąpię odrazu do rzeczy.

— Prosimy! — odparł Gwoździcki. Nowoprzybyły zmieszał się.

— Drogi wuju! — ciągnął Gustaw. — Dąbrowskiemu spłonął folwark i potrzebuje pieniędzy...

— Guciu! — zawołał gość.

— Ile? — spytał wuj.

— Około pięćdziesięciu tysięcy...

— Stawiasz mnie w przykrej pozycji — szeptał gość.

— Kiedy? — spytał znowu wuj.

— Choćby natychmiast!... — odpowiedział, śmiejąc się, Wolski.

— O drugiej będę niemi panu służył — rzekł do przybyłego Gwoździcki i powstał z zamiarem wyjścia.

— Panie szanowny! — zawołał wzruszony gość — ja bardzo obowiązany jestem... ale... jeszcze warunki...

— Cóżto, chcesz nam procent płacić? — zapytał wesoło Gustaw.

— Ależ, Guciu, ja nie mogę...

— Cóżto, Guciu! — zawołał niemniej wesoło Gwoździcki — chcesz panu zrobić prezent, którego przyjąć nie może?...

A potem, zwracając się do Dąbrowskiego, dodał:

— Termin zwrotu i gwarancja zależą od pana, procent od nas; otóż my żądamy cztery od sta na rok...

I nie wysłuchawszy odpowiedzi rozrzewnionego szlachcica, ścisnął go za rękę i wyszedł do swego gabinetu.

Godzinę jeszcze bawił Dąbrowski u malarza, całując go co parę minut, unosząc się nad jego wujem i opisując radość swej matki i rodzeństwa.

Potem opuścił dom błogosławionego finansisty, a Wolski poszedł do wuja.

Zastał go spacerującego po gabinecie i rzucił mu się na szyję.

— Poczciwy! szlachetny!... nieoceniony wuju!... — wołał z zapałem artysta. — Wydobyłeś człowieka z okrutnej biedy!...

— Ach!... więc to jeszcze o owej pożyczce?... Cóż chcesz, musiałem mu pomóc, ponieważ naprzód ty tego chciałeś, a po wtóre młodzieniec ten nie robił dotychczas długów...

— Skąd to wiesz, mój wuju?

— O, ja bardzo wiele rzeczy wiem!...

— No, mniejsza o to!... Jak zwał, tak zwał, dość, że jesteś najszlachetniejszym człowiekiem na ziemi!

— Dodaj jeszcze: za to, że pożyczasz moim protegowanym na czwarty procent — dorzucił żartobliwie Gwoździcki.

— I za to i za wiele innych rozmaitych rozmaitości... A kto Władysławowi dopomógł zostać inżynierem, czy nie ty, wuju?

Finansista spoważniał.

— Władysław jest synem kobiety, która ciebie trzy lata wychowywała. Trzeba pamiętać o tem!

— T y... ciebie... tobie... dla ciebie... Ach, mój wuju! nudzą mnie już te deklinacje, przejdźmy więc do czego innego! — zawołał Wolski.

— Słucham! — rzekł wuj.

— Otóż rzecz jest taka. Podałem w pewnym towarzystwie projekt założenia kasy pożyczkowej...

— Co to znaczy? — spytał finansista, siadając na żelaznym łóżku.

— Znaczy to, że znowu będę potrzebował rad i pieniędzy wuja, a nadewszystko to, że czasby już nareszcie położyć tamę lichwiarstwu, wysysającemu krew z naszych klas mniej zamożnych...

Gwoździcki uśmiechnął się ironicznie.

— Na pieniądze zgoda! — rzekł wuj — o radach pomyślę, ale dajcie też raz pokój temu biednemu lichwiarstwu!...

— Wuj broni lichwiarzy?...

— Lichwiarzy?... nie! Bronię tylko wolnej konkurencji w handlu, choćby nawet pieniędzmi — odparł chłodno finansista.

— Wuju kochany! — zawołał Gustaw. — Nie jestem ekonomistą i nie umiem wojować argumentami, ale jako człowiek czuję, że lichwa jest straszną podłością.

Gwoździcki ruszył ramionami.

Nastąpiła chwila milczenia, w ciągu której młody zapaleniak chodził szybko po pokoju, a chłodny jego wuj gryzł paznogie.

— Powiedzie mi, mój drogi, a cóżbyś ty robił, gdybym ja na przykład był lichwiarzem?... Czy także nazwałbyś mnie podłym?...

— Ty, mój wuju, lichwiarzem? ty!... cha, cha, cha!... — rozśmiał się Wolski.

— Mówmy na serjo. Cóżbyś robił? — pytał finansista, patrząc w ziemię.

— Mój wuju! do czego prowadzi dyskusja o rzeczach niemożliwych?

— Hum?... Choćby do zbitcia pewnych niedojrzałych, a jednak bardzo stanowczych sądów.

— Do zbitcia!... niedojrzałych!... — powtarzał Wolski. — A więc zgoda, mówmy... Otóż, mój wuju, gdybyś ty był lichwiarzem, powiedziałbym ci tak: Naprzód wyrzeknij się swoich operacyj, a potem oddaj swój majątek...

— Oddaj?... a komuż to?... — spytał finansista. — Ludziom, naturalnie.

— A którym, jeżeli wolno spytać?... Czy lichwiarzom, czy tym, którzy od nich pożyczają, czy też tym, którzy nie potrzebują pieniędzy?...

— No, pogadaliśmy o tem!... — odparł Wolski.

— A gdybym ja na przykład nie oddał owych pieniędzy? — badał dalej finansista.

— Wtedy prosiłbym cię, ażebyś koniecznie oddał, a jeżeli nie, to...

— To?...

— To strzeliłbym sobie w łeb! — odpowiedział Gustaw stanowczo.

Żółta twarz finansisty stała się popielatą, pytał jednak dalej:

— No, mój drogi, przypuśćmy, że ja oddałbym jakimś tam ludziom moje, rozumiesz, moje pieniądze, lecz cóżbyś ty im oddał?...

Pytanie to zmieszało Gustawa, Gwoździcki jednak udał, że nie uważa tego, i mówił:

— Nazwałś lichwę podłością, otóż zwróć uwagę na to, że gdybym ja był lichwiarzem, a ty tym, kim jesteś, wówczas twoje wiadomości, towarzyska ogląda, twój talent, rozgłos, moralność, szlachetność, słowem, cała prawie dusza twoja, z jej wstrętem do lichwiarzy, byłaby. owocem, który wyrósł na tej mierzwie...



Niktby nie poznał, patrząc teraz na twarz Wolskiego, że człowiek ten śmiał się przed chwilą. Na wrażliwy umysł artysty każde słowo wuja padało jak roztopiony ołów.

— Tak! — szepnął Gustaw. — Gdybyś ty, wuju, był lichwiarzem, ja byłbym twym spółnikiem...

— Nie tak! — odparł Gwoździcki. — Gdyby lichwiarz był zbrodniarzem, obowiązany do wynagradzania swych domniemanych zbrodni, ty byłbyś jego spółnikiem, który nic zwrócić nie może!...

— A moja praca?... — spytał Wolski.

— Twoja praca! — odpowiedział smutnie finansista. — Twoja praca!... Czyżby ona wystarczyła nawet na utrzymanie nas obu?

Gustaw usiadł na krześle, i zakrywszy twarz rękami, rzekł:

— Bóg wskazałby mi, co zrobić. Wuj poklepał go po ramieniu.

— Rozumnieś powiedział! Bogu to zostawmy, On jeden umie sprawiedliwie rozstrzygać tego rodzaju zagadki, my zaś korzystajmy z tego, co jest. — No — dodał — szczęściem, ty nie potrzebujesz trapić się podobnymi kwestjami!...

— O, szczęście, wuju!... szczęście!... — zawołał z uniesieniem Gustaw, ściskając go za rękę. — A potem, przeskakując do innego zupełnie ciągu uczuć i myśli, spytał wesoło:

— A więc, mój wuju, ile mi dasz na założenie kasy pożyczkowej, czyli na podkopanie lichwy?...

— Na początek dziesięć do piętnastu tysięcy rubli, później zobaczymy!

— Wiwat! — krzyknął Wolski, rzucając się niewiadomo który raz na szyję poczciwemu wujowi.

## **ROZDZIAŁ 12 z którego widać, że w kółku ludzi bardzo znakomitych najtrudniejszą jest zgoda**

— Janek! Janek!... ty wisusie jakiś! — wołała rozgniewana kucharka Piołunowicza — nie mówiłam ci, żebyś szedł po węgle do piwnicy, co?...

— Ale! hale!... będę tam chodził po węgle, kiedy taki deszcz leje — mruknął chłopak.

— Nie bój się, nie roztopi cię, ty cukierku! Za dziewczętami toś latał wczoraj jak warjat, chociaż pioruny były.

— Co mi tam pani będziesz nogę zawracała! — odparł oburzony Janek. — Na dworze ciemno jak w maźnicy, gospodarz ze światłem chodzić nie daje, to co ja zrobię! Ślepiami będę świecił?...

— Znam ja cię!... Jakiś wczoraj wystawał na schodach z Joašką, to ci ciemno nie było, a teraz może chciałoby ci się pajaków do piwnicy? Widzisz go!...

Tak wykrzykując, gospoia przesuwała ogromne sagany i jeszcze większe rondle po rozpalonej do czerwoności kuchni angielskiej.

— Djabli nadali z tymi gościami, czy co? Złazą się codzień z końca świata jak pluskwy, a ty gotuj, a ty się parz do północks, i jeszcze ci pokraka węgla przynieść nie chce!... Ot los!

— Zasmakowały im panine kolacje, to się złazą — mruknął Janek.

— Stul pysk, ty wysmołku! — huknęła jejmość. — Jak ja im raz nagotuję kolację, co się patrzy, to żaden tu nosa nie wścibi... Kanalje!...

W taki sposób zapatrywała się służba pana Piołunowicza na jego znakomitych kolegów, którzy dziś znowu zastanawiać się mieli nad pomyślnością powszechną wogóle i nad kasą pożyczkową w szczególności.

Dzięki jednak niebu, stronnicze te poglądy nie dochodziły do uszów znakomitych członków towarzystwa naukowo-społeczno-filantropijnego, którzy bez względu na słoę, po jednym, po dwóch i po trzech, ściągali zwolna do miejsca narad, jako wytrwali i sumienni uprawiacze winnicy Pańskiej.

Co kilka minut któryś z nich, uzbrojony w parasol i gumowe kalosze, wchodził z ulicy w bramę i tam ocierał się o jakiegoś starca, który, siedząc na kamieniu, huštał na rękach białe zawiniątko i monotonnym głosem mrucał:

— Pójdziemy hajty, Heluniu! pójdziemy hajty!...

Lecz żaden z nich ani zapytał dziwnego piastuna, poco moknie na deszczu, ani nawet nie zwracał na niego uwagi, mając głowę nabitą kwestjami wielkiej doniosłości społecznej.

Ostatnim z zadumanych myślicieli, który wyminął bramę, był pan Damazy. Wdrapał się na górę, złożył w przedpokoju swoje antydeszczowe przybory i wszedłszy do domu, usłyszał następujące wyrazy:

— Ja zawsze gadał, co te warszawiaki to największe blagiery na kuli ziemskiej! Jak Boga kocham, jakim Fajtaszko i marszałek szlachty!

Zebrani goście z wielkim entuzjazmem rzucili się na powitanie Damazego, pragnąc w ten choć sposób odebrać głos marszałkowi Fajtaszce, który od chwili wejścia do domu pana Klemensa nie mówił o niczem więcej, tylko o bładze warszawskiej. Obecni z największym pośpiechem przyznawali słuszność marszałkowi i posiedzenie się rozpoczęło.

— Proponuję pana rejenta na prezesa, pana Zenona na wiceprezesa, a pana Wolskiego na sekretarza sesji — odezwał się Piołunowicz.

Wybór jednomyślnie zatwierdzono, i dwaj onegdajsi przeciwnicy znaleźli się na przydyjalnej kanapie. Rejent usiadł pod Seneką, pan Zenon pod Solonem, Wolski obok nich przy ogromnym stosie papierów, a pan Damazy zabrał głos:

— Dzień dzisiejszy, panowie! — rzekł zadziwiający ten człowiek — jest najpiękniejszym, najuroczystszym i najpłodniejszym w następstwa z pośród tych, jakie spędziłyśmy razem. Dziś bowiem zastanawiać się mamy nad sposobami założenia, utworzenia i zorganizowania kasy pożyczkowej; dziś jesteśmy świadkami pojednania się dwóch wrogich sobie dotąd zasad, uosobionych w szanownym panu rejencie i uczonym panu Zenonie. Dziś wreszcie przez szanownego pana Zenona odczytany nam zostanie memoriał o pauperyzmie, w którym autor, przez szacunek dla szlachetnego przeciwnika swego, pana rejenta, starał się pogodzić nieprzyjazne dotąd teorie postępowe z konserwatywnym widzeniem rzeczy.

Mowie tej towarzyszyło głośnie chrapanie leżącego na fotelu marszałka szlachty. Znakomity jednak Damazy nie zważał na to i tak zakończył:

— Z tych tedy powodów prosilibyśmy szanownego pana Zenona, a dzisiejszego naszego wiceprezesa, aby raczył nam memoriał swój odczytać.

— A który? — spytał z najwdzięczniejszym uśmiechem wiceprezes.

— Ten o pauperyzmie — objaśnił Damazy.

— Bo może woleliby panowie usłyszeć coś o mieszkaniach wilgotnych?

— Nie! Prosimy o ostatni, o pauperyzmie.

— Mam także o drenach... — przypomniał Zenon.

— Podziwiamy płodność pańską — wtrącił rejent — ale radziłyśmy skończyć już raz z tym nieszczęśliwym pauperyzmem.

Ponieważ fioletowy pan Klemens począł w tej chwili wyrabiać rozpaczliwe miny, rejent więc umilkł, a uczony Zenon przystąpił do czytania.

„Ze wszystkich klęsk, towarzyszących cywilizacji, niema straszniejszych nad te, które wpływają z wilgotnych mieszkań...”

— Ależ... — przerwał Damazy.

— Najmocniej przepraszam za omyłkę! — usprawiedliwiał się Zenon i wziął do rąk drugi rękopis.

— „Ze wszystkich środków, jakimi posługuje się cywilizacja, do osuszania gruntów, niema znakomitszego nad dreń...”

— Proszę o głos! — zawołał pan Piotr.

— Protestuję! — wykrzyknął Zenon. — Znowu się omyliłem, ale w tej chwili błąd poprawię:

— „Ze wszystkich klęsk, towarzyszących cywilizacji, niema straszniejszych nad te, które wpływają z ciągle szerzącego się pauperyzmu...”

— Wiosna jest najpiękniejszą porą roku... La Fontaine był największym poetą... Turenjusz był najznakomitszym wojownikiem... Ależ, panie Zenonie! pańskie memorjały djabelnie pachną drugą klasą! — wykrzyknął rejent.

— Panowie! — odezwał się błady z gniewu Zenon — proszę o uwolnienie mnie od obowiązków wiceprezesa!...

I powiedziawszy to, wstał tak gwałtownie z kanapy, że ledwie głową nie stracił Solonowego popiersia.

— Panie Zenonie dobrodzieju!... — błagał go Piołunowicz, lękający się pojedynków jak ognia.

— Nie!... muszę wyjść!... — mówił rozgorączkowany Zenon.

— I może wyzwąć mnie drugi raz na pojedynek... hę?... — pytał szyderczo rejent.

— Niewątpliwie!... niewątpliwie!... — powtarzał Zenon.

— Drogi, kochany panie Zenonie!... pohamuj się! uspokój się... — prosił ze łzami w oczach pan Klemens.

— Zgoda, uspokoję się, pohamuję się, ale nie pierwej, aż pan rejent wysłucha mego memorjału o pauperyzmie! — wołał drżącym głosem pan Zenon.

Tymczasem w bramie domu siedział na kamieniu ubogi starzec. Deszcz spływał mu z odzieży i włosów, a on, huśtając na rękach białe zawiniątko, mruzczał monotonnym głosem:

— Pójdziemy hajty, Heluniu... pójdziemy hajty!...

Piołunowicz starał się ułagodzić Zenona, a Damazy namawiał rejenta do spokojnego wysłuchania memorjału. Ale obrażony rejent podniesionym głosem odpowiedział:

— Mój panie Damazy! wolę sto razy umrzeć od kuli pana Zenona, niż zostać na śmierć zanudzonym przez wsłuchiwanie się w jego żakowskie memorjały!...

Wkońcu obaj przeciwnicy zażądali uwolnienia ze swych wysokich urzędów, na co zgodzono się. Ponieważ zaś pan Zenon honorem zaręczył, że rejenta na pojedynek nie wyzwie, pozostawiono więc ich losowi i zorganizowano się na nowo.

Teraz Wolski głos zabrał:

— Zdaje się, panowie, że obecnie nic nam już nie przeszkadza pomówić o kasie pożyczkowej?...

— Prosimy, słuchamy! — odpowiedziano chórem.

— Otóż w kwestji tej następują cztery następujące pytania. Pierwsze dotyczy koncesji...

— O niej pomówimy później — wtrącił rejent.

— Zgoda! Drugie dotyczy wysokości procentu. Otóż proponowałbym cztery od sta na rok...

— Osiem nie jest za wiele, a ściągnie kapitał — odezwał się rejent.

— Niech będzie osiem — rzekł Wolski. — Punkt trzeci dotyczy gwarancji...

— Gwarancje dostarczają poręczyciele, naturalnie odpowiedzialni...

— I na to zgoda! Punkt czwarty dotyczy wysokości naszych wkładów...

— To najmniejsza! — odezwał się milczący dotąd pan Antoni.

— Właśnie, że nie najmniejsza! — wtrącił Piołunowicz. — Ja ofiaruję... dwa tysiące rubli...

— Panowie! — zaczął Damazy — tak piękny początek robi mi otuchę, że ten najświeższy nasz projekt błogie wyda owoce. Panowie! ofiara szanownego prezesa wskazuje nam to, cośmy zrobić powinni, i dlatego pozwoli pan rejent zapytać się... o wysokość swego wkładu.

— Dam także dwa tysiące rubli. A pan dobrodziej?... — spytał rejent Damazego.

— A pan Piotr dobrodziej? — ciągnął Damazy.

— Pięćset rubli — odparł Piotr. — A pan Damazy dobrodziej?...

— Dwa a dwa: cztery... Cztery tysiące pięćset rubli. A pan sędzia dobrodziej?... — spytał Damazy.

— Sto pięćdziesiąt rubli. A pan dobrodziej?... — dowiadywał się sędzia.

— Cztery tysiące sześćset pięćdziesiąt rubli — rachował Damazy. — A pan Wolski szanowny?...

— Dziesięć tysięcy rubli: notabene nie ode mnie, tylko od mego wuja — odparł Wolski.

— Czternaście tysięcy sześćset pięćdziesiąt rubli — mówił Damazy. — A pan Antoni dobrodziej?...

— Ja tam nie bawię się w filantropją! — rzekł wielki pesymista, trzymając piórko w zębach.

— Drogi wiceprezesie, a ile też pan dobrodziej ofiarujesz? — spytał powtórnie pan Piotr Damazego.

Mówcę zniecierpliwiła ta natrętność, odparł więc:

— Sądzę, że zebraliśmy już dość wielki kapitał, dalsze więc wkłady byłyby zbyteczne... Ja zaś ze swej strony mogę, co najwyżej, dołożyć do okrągłych piętnastu tysięcy...

— To jest trzysta pięćdziesiąt rubli — odparł pan Piotr, usiłując tak niewinnym wyrazem nadać uszczypliwe znaczenie.

Pan Damazy, usłyszawszy to, zrobił się majestatycznym.

— Proszę pana — rzekł — cieszy, mnie to bardzo, żeś pan raczył zauważyć skromny mój udział w tem przedsięwzięciu. Nie lubię robić wymówek, lecz przypominam tylko, że plany, podawane przeze mnie, wogóle jakoś nie znajdowały pomiędzy panami poparcia...

— Drogi panie Damazy!... — błagał mówcę Piołunowicz, widocznie obawiając się nowego zajścia.

— Ja bo nie przypominam sobie pańskich planów! — odparł zuchwale Piotr.

— Nie przypomina pan sobie?... — ciągnął dalej z ironicznym uśmiechem mówca. — A mój projekt tanich mieszkań, na który ofiarowywałem pięć tysięcy...

— Był niepraktyczny — wtrącił Tejent.

— Zwracam uwagę szanownego pana Damazego — odezwał się uczony Zenon — że ja pragnąłem należeć z nim do spółki.

Pan Damazy rzucił okiem na dość wytarty tużurek mędrca i mówił dalej:

— Proponowałem założenie szkoły wyższej dla kobiet, pewnego rodzaju uniwersytetu, na który dawałem dwa tysiące rubli...

— To także było niepraktyczne — zauważył rejent.

— Przypominam szanownemu panu Damazemu... — wołał Zenon.

— Tanie mieszkania niepraktyczne, pensja niepraktyczna! — przerwał gniewnie Damazy. — Lecz zwracam uwagę panów, że również proponowałem założenie akcyjnej fabryki pudrety i dawałem na nią...

— Pozwoli pan Damazy... — wtrącił Zenon.

— I dawałem na nią trzynaście tysięcy rubli — mówił Damazy, nie zwracając uwagi na Zenona. — A kto mnie poparł? kto chciał należeć do spółki?...

— Ja, panie Damazy, ja! — wrzasnął Zenon. — Pisałem nawet o kwestjach tych memorjały...

— Mówimy o pieniądzach, ale nie o memorjałach...

— Talent mój, panie Damazy, talent... — wołał Zenon.

— Z tego powodu nie widzę dobrej racji popierania cudzych planów, lecz chętnie postąpię jeszcze tysiąc rubli, jeżeli upewnicie mnie, że którakolwiek z moich idei urzeczywistniona zostanie — mówił podniesionym głosem Damazy.

— To się na nic nie zdało — upewnił rejent.

— A więc jeżeli na nic, to cofani nawet moje trzysta pięćdziesiąt rubli z kasy pożyczkowej! — krzyknął wiceprezes.

— Dziś możesz pan cofnąć nawet trzysta tysięcy — rzekł pan Piotr.

— Jeżeli tak, to i ja cofam moje sto pięćdziesiąt rubli — odezwał się pan sędzia.

— A ja dołożę sto milionów rubli! — dorzucił rejent. — Jeżeli ze sprawy poważnej mamy robić zabawkę, to zróbmyż ją, bardzo proszę!...

Z temi słowy energiczny rejent począł się kręcić po salonie, jakby szukał swej laski. Manewry te, aczkolwiek miały na celu tylko znalezienie kapelusza, dziwnie jednak ochłodziły zebranych. Nastąpiła chwilowa cisza, wśród której do uszu członków naukowo-społeczno-filantropijnego towarzystwa od strony schodów doleciał jakiś hałas.

— Co to znaczy? — wykrzyknął Piołunowicz i pobiegł ku drzwiom, w których ukazała się Wandzia z jakimś zawiniątkiem na ręku.

— Dziadziu! — zawołała z głośnym płaczem dziewczynka — oni mówią, że to dziecko nie żyje!...

Szybko przeszła salę i złożyła przemokły swój ciężar na prezydjalnym stoliku.

— Mój memorjał!... — wykrzyknął przerażony Zenon. Już było za późno! Na wiekopomnym memorjale spoczął

istotnie blady, zimny i skostniały trup dziecka...

— Kto to przyniósł?... czyje to jest? — pytał w najwyższym przerażeniu pan Klemens.

— To tego pana, co dziadziowi fajkę uratował — odparła, łkając, Wandzia.

— Co?... Hoffa?... dziecko Hoffa?... Janek! Janek!... — wołał zrozpaczony starzec. Wbiegł Janek.

— Gadaj zaraz, co się stało... co to znaczy?...

— Proszę łaski pana, to było tak: stoję ja sobie w bramie z Joa... chciałem powiedzieć: stoję sobie w bramie i patrzę, a tu siedzi ten stary pan na kamieniu... Ja zaraz do panienki, panienka w te pędy zeszła i mówi coś do niego, a on mamrocze... Więc panienka wzięła od niego dziecko mówi: „Niech pan pójdzie za mną!...” A on sobie poszedł precz, na ulicę!

— Więc to był Hoff, Wandziu, Hoff?... — pytał znowu Piołunowicz tulącej się do niego i rzewnie płaczącej wnuczki.

— On, dziadziu, on!... poznałam go odrazu.

Wybity ze snu marszałek Fajtaszko stał między innymi milczący i przerażony, choć nie rozumiał, o co chodzi.

— Nieszczęście! — jęczał starzec. — Trzeba go szukać... on się jeszcze samobójstwa dopuści!...

— Trzeba przedewszystkiem iść do jego mieszkania — odezwał się struchlały Wolski.

— Idźmy! idźmy! — powtórzyło kilka głosów. Pan Klemens wpadł do swego pokoju przebrać się.

— Panowie, zróbmy składkę — rzekł nagle Damazy. — Pójść tam z gołemi rękoma niepodobna!...

Obecni sięgnęli do portmonetek i w okamgnieniu zebrano około stu rubli.

— Idźmy! — zawołał ubrany już Piołunowicz, wbiegając do sali.

Wszyscy ruszyli z miejsc, a Wolski razem z nimi. Za chwilę sala opróżniła się zupełnie; pozostały w niej tylko zwłoki biednej Heluni, złożone na memorjale o pauperyzmie i przykryte protokółami posiedzeń filantropijnego towarzystwa. Była to jedyna i ostatnia posługa, jaką pesymista Antoni wyświadczył rodzinie nieszczęśliwego Hoffa. Mizantrop lękał się trupów — nakrył więc dziecko tem, co miał pod ręką.

## ROZDZIAŁ 13 bez tytułu

Członkowie filantropijnego towarzystwa, wypadłszy na ulicę, biegli jak stado owiec, popędzanych przez psa i bat pasterski. Deszcz ciekł im za kołnierze, z pod stóp przyskała błoto, a oni tymczasem wymówkami obarczali się wzajem.

— Nasz formalizm zabił to nieszczęśliwe dziecko! — wołał Piołunowicz, wsparty na ramieniu Wolskiego.

— Go tam formalizm! Pański brak stanowczości zawinił najwięcej... — odparł Damazy.

— Mój brak stanowczości! Słyszałeś, Guciu?... — skarżył się pan Klemens.

— Ależ tak jest! — upewniał Damazy. — Pan byłeś u Hoffa, pan go widziałeś, pan z nim mówiłeś... Trzeba było zrobić coś na własne ryzyko, a mybyśmy zaakceptowali najchętniej.

— Racja! racja!... — powtarzali współwędrowcy, śmielsi wśród otaczającej ich ciemności.

— I ty im wierzysz, Guciu? — pytał prawie z płaczem obżalowany prezes. — Naturalnie, żebym mu był pomógł od razu, gdybyście mnie samego wysłali; ale Antoni wszystko sparaliżował... wszystko!



— Ach! ten Antoni, ze swem piórkiem i pesymizmem!... Od pierwszej chwili czułem do niego antypatją — wtrącił Damazy.

— Nieznośne indywiduum! — dorzucił ktoś w płaszczu. — Egoista! — rzekł ktoś w paltocie.

— Dba tylko o dobrą kolacją!...

— Wszyscyśmy winni potrochu, moi panowie! — odezwał się rejent. — Trzeba było zająć się tem, co jest pod ręką, ale nie szerokimi kwestjami, lub słuchaniem niedorzecznych memorjałów...

— Pan rejent wiecznie coś cierpi do mnie! — wykrzyknął Zenon. — Pan mnie systematycznie prześladowuje... pan mnie zmusi do żądania wyjaśnień!...

— Nieszczęście... zblądziliśmy! — przerwał nagle Piołunowicz. — Zamiast na lewo, idziemy na prawo. Guciu, może się zbyt mocno opieram na tobie?

— Bądź pan spokojny! — odparł zmienionym głosem Gustaw.

Podróżni skręcili na lewo.

— Uważam, że się świeci u Hoffa — szepnął pan Klemens.

Gustaw osłabł tak, że aż drzeć począł. Dziadek, dostrzegłszy to, puścił mu rękę i wysunął się naprzód.

— Jesteśmy już na miejscu — rzekł do idących za nim pan Klemens i z trudnością otworzył drzwi sieni ciężkie i skrzypiące.

Pierwszy pokój, do którego tłumem wspaniali się przybysze, był otwarty. Na stole niezbyt jasno paliła się lampa, na środku zaś izby stał niski człowieczek w szafirowych okularach.

Był to Wawrzyniec. Gustaw, który wchodził na ostatku, spojrzawszy na Wawrzyńca, zblądł i cofnął się do sieni. Ruchu tego nie dostrzegł nikt, wszyscy bowiem gadać poczęli.

— Czy to jest Hoff?...

— Co za okropny wypadek!

— Przyniesiono dziecko nieżywe...

— Panowie! niech mówi jeden — upominał ich Damazy. Zebrani ucichli, Piołunowicz zabrał głos:

— Czy zastaliśmy pana Hoffa?...

— Niestety! panie, niema go od południa — odparł Wawrzyniec, pobożnie składając ręce.

— Człowiek ten przyniósł do mnie martwe dziecko — ciągnął Piołunowicz.

— Doprawdy? — zdziwił się Wawrzyniec. — Biedna Helunia poszła za swą nieodżałowaną pamięci matką!...

W tej chwili pan Zenon szepnął do ucha sędziemu, że poźółkły człowiek musiał być kiedyś aktorem. Sędzia zgodził się na to i dodał, że sposób mówienia i ruchy jego wydają mu się istotnie nienaturalnymi.

— Pan znałeś tę rodzinę? — pytał dalej Piołunowicz.

— Byłem jej jedynym przyjacielem — odpowiedział Wawrzyniec.

— Musieli to być ludzie biedni?...

— Biedni, panie, ale bogobojni. Trzymali się zasady: „Znoś z Chrystusem i dla Chrystusa, jeżeli chcesz królować z Chrystusem...” — odparł lichwiarz.

— Przecież Hoff miał plac?

— Plac sprzedany został za długi. — Że też nikt im nie pomógł!...

— Ludzie biedni, jak my, mogą tylko pomagać radą, a tej nieszczęśliwy Hoff nie przyjmował, ponieważ...

I powiedziawszy to, lichwiarz wskazał palcem na czoło.

— Czy Hoff nie ma już nikogo z rodziny? — mówił znowu Piołunowicz.

— Nikogo. Córkę wczora Bóg Najwyższy powołał do swej chwały; wnuczka, jak pan! mówi, umarła dziś, a zięć...

Zakończył gestem, który oznaczał, że na zięcia liczyć nie można.

— Czy pan ma nadzieję zobaczyć się jeszcze z Hoffem?

— Będę go szukał i mam nadzieję, że Bóg pozwoli mi go znaleźć.

— Więc jeżeli znajdzie go pan, to prosimy o doręczenie mu tych pieniędzy — rzekł Piołunowicz, kładąc garść banknotów na stole. — My zajmiemy się pogrzebem jego wnuczki — dodał — a teraz żegnamy pana.

— Bóg Najwyższy wynagrodzi panom! — odpowiedział lichwiarz, kłaniając się do ziemi.

— A czy możemy wiedzieć nazwisko pańskie? — spytał nagle Damazy.

— Nazywam się... Grzybowicz!... — odparł, zająknąwszy się, lichwiarz.

Towarzystwo opuściło rudere. Byli już w połowie ulicy, kiedy Piołunowicz zawołał:

— Guciu!... Guciu!... gdzie jest Wolski?

— Nie widzę go — odezwał się Damazy. — Musiał wyjść pierwszej — dorzucił Zenon.

— Może zachorował? — mówił z niepokojem pan Klemens. — Już idąc tu, uważałem, że był jakiś nieswój...

— Szlachetne serce! — rzekł Damazy. — Widocznie obeszło go to, i uciekł... zapewne do siebie.

Po tem wyjaśnieniu wszyscy skierowali się ku pałacowi pod znakiem baraniej głowy.

Gdy goście odeszli, Wawrzyniec zbliżył się do stołu i począł rachować pieniądze, W tej samej chwili jakiś stłumiony, niby z pod ziemi wychodzący głos odezwał się:

— Oj!... chyba wylażę już...

— Wyleż pan, wyleż!... kochany panie Gołombiowski — odpowiedział lichwiarz, ciągle rachując pieniądze.

Teraz z pod łóżka, na którym umarła Konstancja, ukazały się dwie potężne, żyłaste ręce, kudłata głowa i zarośnięta twarz, za niemi szerokie plecy, a wreszcie cały człowiek, ogromnej budowy, ubrany w podarty kaftan i zgrzebne spodnie. Nogi miał zabłocone i bose.

— Aaa! — odetchnął bandyta. — Spociłem się!...

— Wierzę, wierzę! — odparł z uśmiechem Wawrzyniec.— Pan Gołombiowski myślał, że to już po niego...

Gołombiowski ciężko upadł na ławę, i patrząc z podelba na pieniądze, rzekł:

— To dla starego przynieśli te bankocetle?...

— Przecież pan Gołombiowski słyszał.

— Żeby to tak pan Wawrzyniec mnie ich z trochę udzielił.

— Doprawdy?... — spytał szyderczo lichwiarz.

— Abo nie?... Dalibóg, przydałyby mi się.

— Staremu się także przydadzą.

— Co mi tam stary!... — oburzył się bandyta.

— Jakże co mi tam? Stary nie ma gdzie głowy położyć, a pan Gołombiowski, byle chciał, darmo przytułek dostanie...

Słowa te, wymówione ze spokojnym uśmiechem, rozjątrzyły włóczęgę.

— O! jaki miłosierny z pana Wawrzyńca! — wykrzyknął. — Nie trzeba było placu zabierać staremu, toby miał gdzie głowę położyć... I ja bym tak nie biedował.

— Nie zabrałem, ale kupiłem, kochany panie Gołombiowski — odpowiedział słodziutkim głosem lichwiarz.

— A wiem! kupił pan za dwadzieścia rubli...

— Za tysiąc, kochany panie Gołombiowski.

— A zapłacił pan kwitami, temi, co to dawało się rubla, a brało dziesięć. I to wiem. Kostka mi gadała...

Lichwiarz ruszył ramionami i, zwinąwszy pieniądze w papier, schował je do kieszeni.

Włóczędzie zaiskrzyły się oczy; pokonywając jednak wściekłość, począł znowu prosić drżącym ze wzruszenia głosem:

— Panie Wawrzyniec, niech mi pan da!...

— Nie mogę.

— Choć trochę...

— Ani trochy.

— Choć z parę rubli...

— Ani grosza. To nie moje pieniądze.

— No, to niech pan da ze swoich.

— Nie mogę! Na pogrzeb świętej pamięci żony pańskiej wydałem trzydzieści rubli. Podatki zaległe opłaciłem.

— Jeszczeby panu nie zabrakło, choćby pan i mnie co ofiarował — rzekł włóczęga.

— Jestem biedny człowiek, panie Gołombiowski, i nie mogę rzucać pieniędzy w błoto.

Obdartus zakipiał gniewem.

— Biedny! biedny!... Znają tu pana ludzie i wiedzą, że, jak potrzeba, to pan Gwoździaki i kareta potrafi się przejechać!...

Słowa te straszną w lichwiarzu wywołały zmianę. Wyprostował się, spojrział wyzywająco w twarz bandyty i rzekł:

— Powiadasz, że mnie znają ludzie?... Gołombiowski już nie panował nad sobą.

— Co cię nie mają znać! — krzyknął. — I ja cię znam, ty... złodzieju!...

W tej chwili naprzeciw otwartych drzwi izby, w ciemnej sieni, mignęła blada i przerażona twarz Gustawa, lecz klóćący się nie dostrzegli go, a lichwiarz mówił tym samym ostrym i stanowczym głosem:

— To znasz mnie, Jędrusiu, znasz?...

— Znam cię, znam, Wawrzusiu!... — krzyknął bandyta.

— A ja ci powiadam — odparł Wawrzyniec — że mnie jeszcze nie znasz i dopiero teraz poznasz.

I z temi słowy zdjął swoje szafirowe okulary, z poza których ukazały się czarne, inteligentne oczy, a tak bystre, że włóczęga o krok cofnął się, nie mogąc wytrzymać spojrzenia.

— Wiesz ty, słuchaj — ciągnął lichwiarz — dlaczego żona twoja z głodu umarła? Oto dlatego, że jakby z jej przyczyny umarł tu u was z głodu kto inny... A wiesz ty, dlaczego ja was z tej chudoby wyrzuciłem?... Oto dlatego, że wyście mnie także wyrzucili z niej przed dwudziestu pięciu laty...

W sieni rozległo się głębokie westchnienie, ale Wawrzyniec nie słyszał go i mówił dalej:

— A wiesz ty, kto ciebie w kajdany oddał?...

— Milerowa... bodaj pięć lat konała!... — mruknął włóczęga.

— Nie Milerowa, synku, to ja... Ja, słyszysz?... A może ci powiedzieć, za co?...

Bandyta powoli wsunął rękę w kieszeń płóciennych spodni i milczał.

— Pamiętasz ty, słuchaj, tego małego Gucia, z którymeście się to razem bawili, kiedyś jeszcze był bachorem?...

— Tego z białym łbem? — spytał niby spokojnie włóczęga, stając naprzeciw drzwi od sieni.

— Tego samego, tego!... coś go w studnię wepchnął... On ma jeszcze znak na czole od krawędzi, ale ty masz za to na nogach i rękach znaki od kajdan... On jest dziś panem, a ty psem, którego jutro złapią i znowu w obrożę zakują... Teraz mnie znasz, Jędrusiu?... — spytał lichwiarz.

W ręku bandyty błysnął długi, składany nóż. Wawrzyniec, zobaczywszy to, rozśmiał się.

— Cóżto, Jędrusiu, igielka... he?...

— Nie wyjdiesz żywy!... — mruknął włóczęga, posuwając się krok naprzód.

— Ostrożnie, Jędrusiu, bo cię zdmuchnę jak stoczek!... — ostrzegł go Wawrzyniec, kładąc rękę do paletota i cofając się ku drugiej izbie.

Pół sekundy milczenia, w ciągu której Gołombiowski wahał się...

W izbie rozległ się cichy trzask...

W tej chwili rozbestwiony bandyta rzucił się z nożem na lichwiarza, a jednocześnie huknął strzał.

— Aaa!... — jęknął ktoś w sieni i padł na ziemię. Gołombiowski, zobaczywszy w ręku Wawrzyńca rewolwer, skoczył jak szalony w bok, wybił okno i znikł na placu.

W zadymionej izbie pozostał skamieniały Wawrzyniec. Potem z wolna przybliżył się ku sieni, i patrząc w ciemność, strasznym głosem zapytał:

— Kto tu?...

Odpowiedzi nie było. Na wilgotnej ziemi leżał jakiś człowiek krwią zbroczony.

— Gucio!... mój Gucio!... zabity!... — ryknął lichwiarz. — Zabiłem dziecko moje!...

Przeskoczył próg, padł na kolana i z rozdzierającym serce jękiem począł całować nogi Wolskiego.

Raniony poruszył ustami, zgiął konwulsyjnie palce i skonał.

## EPILOG

Czytelnik ma wszelkie prawo zapytać o dalsze dzieje osób, które większy lub mniejszy udział przyjęły w tej tragedji.

Otóż dla zaspokojenia chwalebnej skądinąd ciekawości, dodamy następujące wyjaśnienie:

Po śmierci Gustawa sesje naukowo-społeczno-filantro-pijne wegetowały jeszcze, ale już w mieszkaniu Damazego.

Słuszność nakazuje wyznać, że skromne butersznytę, jakie wielki mówca podawał na tych zebraniach, znakomicie ostudzały gorliwość jego kolegów.

Skończyło się wreszcie na tem, że idei pracy dla ogólnego dobra pozostali wiernymi tylko pan Damazy i jego wielbiciel — sędzia. Pierwszy z nich cały wieczór gadał, drugi drzemał, skutkiem czego oba byli z siebie zadowoleni.

Stary Piołunowicz stetryczał. Zarzucił gimnastykę, wyrzekł się prysznicą, zerwał z sesjami, a młodych malarzy unikał jak ognia. Najulubieńszem zajęciem jego w czasie lata było chodzić z piękną i dorosłą już Wandzią na Powązki i tam kwiatami ozdabiać grób Gustawa, o którym starzec wspominał zawsze z płaczem.

Zwiedzający szpital Jana Bożego, między stałymi lokatorami tej dobroczynnej instytucji, przez pewien czas pilną zwracali uwagę na trzy wyróżniające się od innych indywidua.

Jedno z nich całe dni spędzało nad pisaniem memorjału o pauperyzmie i nad obmyśleniem takiej teorii ekonomicznej, któraby zadowoliła wszystkie, stronnictwa.

Drugie indywiduum cały dzień siedziało bez ruchu, mrużąc tylko od czasu do czasu:

— Pójdziemy hajty, Heluniu! pójdziemy hajty!... Trzeci zachowywał się najprzystojniej. Zwykle czytywał

książki pobożne, lub robił nieskończenie długie rachunki; lecz gdy deszcz padał, a nadszedł wieczór, wówczas zrywał się ze swej pościeli i krzyczał nieludzkim głosem:

— Gucio!... mój Gucio!... zabity!... Zabiłem dziecko moje!...

Bolesław Prus - Pleśń świata

Zdarzyło mi się być w Puławach z pewnym botanikiem. Siadaliśmy przy Sybilli na ławce, pod olbrzymim kamieniem, porośłym mchami czy pleśnią, które od kilku lat badał mój uczony towarzysz.

Zapytałem: co ciekawego znajduje w przyglądaniu się nieregularnym plamom szarym, popielatym, zielonym, żółtym lub rudym?

Popatrzył na mnie z nieufnością, lecz przekonawszy się, że ma przed sobą profana, począł objaśniać:

— Te plamy, które pan widzisz, nie są wcale martwym brudem, lecz — zbiorem istot żyjących. Niewidzialne dla gołego oka, rodzą się one, wykonywają ruchy, których nie możemy dostrzec, zawierają związki małżeńskie, wydają potomstwo i wreszcie giną.

Co godniejsza uwagi, tworzą one jakby społeczeństwa, które tu widzisz w postaci różnobarwnych plam, — uprawiają pod sobą grunta dla następnych pokoleń, — rozrastają się, kolonizują niezajęte miejscowości, nawet toczą między sobą walki.

Ta popielata plama, duża jak dłoń, była przed dwoma laty nie większa od czterogroszniaka. To malutkie, siwe piętno przed rokiem nie istniało i pochodzi od tej wielkiej plamy, która zajmuje szczyt kamienia.

Te znowu dwie: żółta i ruda, walczą ze sobą. Niegdyś żółta była bardzo rozległą, lecz powoli sąsiadka wyparła ją i zajęła jej miejsce. A spojrzysz na zieloną — jak siwa sąsiadka zapuszcza w nią zagony, ile na zielonem tle widać szarych pasków, punktów, kęp?...

— To coś jak między ludźmi — wtrąciłem.

— No, nie — odparł botanik. — Społeczeństwom tym brakuje języka, sztuk, nauk, świadomości, uczuć; słowem — brakuje im dusz i serc, które my, ludzie, posiadamy. Wszystko się tu dzieje naoślep, mechanicznie, bez sympatyj i bez antypatyj.

W kilka lat później znalazłem się obok tego samego kamienia w nocy i, przy świetle księżycy, przypatrywałem się zmianom, jakie zaszły w formach i rozmiarach różnych pleśni.

Wtem ktoś mnie trącił. Był to mój botanik. Prosiłem go, ażeby usiadł; ale on stanął przede mną w ten sposób, że zasłonił księżyc, i coś szepnął bezdźwięcznym głosem.

Sybilla, ławka i kamień znikły. Uczułem dokoła siebie mdłą jasność i niezmierną pustkę. Gdym zaś odwrócił głowę na bok, ujrzałem niby szkolny globus, błyszczący słabym światłem, tak wielki, jak ów kamień, obok którego byliśmy przed chwilą.

Globus zwolna obracał się, ukazując coraz to nowe okolice. Oto ląd azjatycki z małym półwyspem Europą; oto Afryka, obie Ameryki...

Wpatrzywszy się lepiej, dostrzegłem na zamieszkałych lądach takie same plamy, szare, siwe, zielone, żółte i rude jak na kamieniu. Składały się one z mnóstwa nikłych punkcików, napozór nieruchomych, w istocie ruszających się bardzo leniwie: pojedynczy punkt posuwał się co najwyżej o dwuminutowy łuk w ciągu godziny, i to nie w linii prostej, lecz jakby wahając się około właściwego sobie środka ruchu.

Punkty łączyły się, rozdzielały, ginęły, występowały na powierzchnię globu; lecz wszystkie te zjawiska nie zasługiwały na szczególną uwagę. Poważny charakter miały dopiero ruchy całych plam, które zmniejszały się lub rosły, ukazywały się na nowych miejscach, przesiąkały się nawzajem lub wypierały z zajmowanych stanowisk.

Glob tymczasem wciąż krążył, i zdawało mi się, że wykonał setki tysięcy obrotów.

— Czy to ma być historia ludzkości? — spytałem stojącego przy mnie botanika.

Skinął głową na znak potwierdzenia.

— Dobrze — ale gdzie są sztuki, wiedza?... Uśmiechnął się smutnie.

— Gdzie świadomość, miłość, nienawiść, pragnienia?...

— Cha! cha! cha!... — śmiał się cicho.

— Słowem — gdzie tu są ludzkie dusze i serca?...

— Cha! cha! cha!... Zachowanie się jego oburzyło mnie.

— Kto ty jesteś?... — zapytałem.

W tej chwili znalazłem się napowrót w ogrodzie, obok kamienia, którego niekształtne plamy kąpały się w blaskach księżyca.

Towarzysz mój znikł, alem go już poznał po szyderstwie i melancholji.





## POWRACAJĄCA FALA

### Rozdział I

Gdyby zacność pastora Böhme posiadała trzy zwykłe, geometryczne wymiary i ciężar odpowiedni wielkości, wielebny ten mąż apostołskie i cywilne podróże odbywać by musiał towarowym pociągiem. Ale ponieważ zacność jest przymiotem substancji duchowej i posiada tylko jeden wymiar: czwarty, który dużo miejsca zajmuje w głowach matematyków, lecz w świecie rzeczywistym nic nie znaczy, więc pastor Böhme bez trudności mógł podróżować bryczuszką zaprzężoną w jednego konia.

Spasiony i czysto utrzymany koń po gładkiej szosie fabrycznej biegł wolnego truchta i zdawał się być więcej zajęty odpędzaniem much aniżeli cnotami szczupłej osoby duchownego pasterza. Gruby chomąt, hołoble, letnia spiekota i drożny pył wydatniejsze zajmowały stanowisko w wyobraźni zwierzęcia aniżeli wielebny Böhme, jego dwa małe faworyciki, jego panamski kapelusz, jego perkalowy kitel w białe i różowe paski, a nawet lakierowany bicz zatknięty z prawej strony siedzenia. Pastor tylko przez obawę śmieszności nie zostawiał bata w domu, ale go też w drodze nie używał. Co prawda, nie miał go czym używać. Jedną bowiem ręką trzymał lejce, ażeby mu się koń nie potknął, a drugą zlewał życzliwe i mało skuteczne błogosławieństwa na wszystkich przejezdnych i przechodniów, którzy bez względu na wyznanie uchylali przed "pocziwym Szwabem" głowy i czapki.

Obecnie (jest to dzień czwarty, godzina piąta po południu) wielebny miał do spełnienia mniejszą misję religijną, polegającą na tym, ażeby najprzód - zmartwić bliźniego, a następnie - pocieszyć go, gdy już będzie strapiony. Jechał do swego przyjaciela Gotlieba Adlera, żeby mu donieść, że jego jedyny syn, Ferdynand Adler, narobił długów za granicą. Doniósłszy zaś o tym ojcu, miał go później uspakajać i - wyjednać przebaczenie dla lekkomyślnego młodzieńca.

Gotlieb Adler był właścicielem fabryki bawełnianych tkanin. Szosa, nie wysadzona wprawdzie drzewami, ale starannie utrzymana, łączy fabrykę ze stacją kolei żelaznej. To, co z szosy widać na lewo, za gajem drzew, to nie jest jeszcze fabryka, ale miasteczko. Fabryka leży na prawo od szosy. Spomiędzy klonów, lip i topoli wyglądają czarne i czerwone dachy kilkudziesięciu robotniczych domków, a za nimi - gmach czteropiętrowy, zbudowany w podkowę i otoczony innymi gmachami. To właśnie fabryka. W długich szeregach okien przeziara się słońce i oblewa je plamami złota. Wysoki, ciemno wiśniowy komin wyziewa czarne kłęby gęstego dymu.

Gdyby wiatr powiał z tamtej strony, pastor usłyszałby huk machin parowych i chaotyczny szmer tkackich warsztatów. Ale wiatr wieje z innej strony i dlatego słychać tylko świst odległej lokomotywy, turkot bryczki Böhma, parskanie jego konia i śpiew ptaszka - może przepiórki nurzającej się w zielonym zbożu.

Tuż przy fabryce widać większe niż gdzie indziej skupienie drzew. Jest to ogród Adlera, z którego gdzieś tam przegładają białymi płatami - ściany wykwintnego pałacyku i budynków gospodarskich.

Ciągle zwracanie uwagi na tłustego konia, ażeby się nie potknął, znużyło wreszcie pastora. Ufając miłosierdziu Tego, który wydobył Daniela ze lwiej jamy, a Jonasza z wielorybiej paszczy, wielebny przywiązał lejce do poręczy kozła i złożył ręce jak do modlitwy. Böhme lubił marzyć, ale marzył tylko wówczas, gdy mógł puścić w młynka dwa wielkie palce u rąk, co zrobił obecnie. Taki młynek otwierał mu czarodziejskie wrota krainy wspomnień.

I otóż przypomniało mu się (zapewne czterdziesty raz w tym roku i w tym punkcie szosy), że fabryka Adlera i jej otoczenie bardzo przypominają inną fabrykę, gdzieś aż na brandenburskiej równinie stojącą, w której on, pastor Marcin Böhme, i jego przyjaciel, Gotlieb Adler, spędzili razem wiek dziecinny. Byli oni synami średniozamożnych majstrów tkackich, urodzili się w jednym roku i chodzili do tej samej elementarnej szkoły. Potem rozeszli się na całe ćwierć wieku, w ciągu której Böhme skończył wydział teologiczny w Tybindze, a Adler zebrał kilkadziesiąt tysięcy talarów.

Potem znowu zeszli się z daleka od ojczyzny, na ziemi polskiej, gdzie Böhme został pasterzem protestanckiej parafii, Adler zaś założył małą fabrykę tkacką.

Od tej pory przez drugie ćwierć wieku nie rozłączyli się i odwiedzali wzajemnie po kilka razy na tydzień. Przez ten czas mała fabryka Adlera stała się ogromną; obecnie zajmowała sześćuset robotników, a właścicielowi przynosiła po kilkadziesiąt tysięcy rubli czystego zysku na rok. Ale Böhme został tym, czym był: niebogatym pastorem. Tylko ponieważ skarby duszy ludzkiej zawsze procentować muszą, więc i pastor miał dochody wynoszące rocznie kilkadziesiąt tysięcy - błogosławieństw.

Były jeszcze między dwoma przyjaciółmi i inne różnice.

Pastor miał syna, który kończył obecnie technikę ryską i marzył o zapewnieniu sobie, obojgu rodzicom i siostrze - chleba na dalszy bieg życia; Adler zaś miał syna jedynaka, który nie ukończył gimnazjum, podróżował za granicą i marzył o jak najobfitszym korzystaniu z ojcowskiej kasy. Pastor frasował się tym: czy jego osiemnastoletnia Anneta dobrze wyjdzie za mąż? Adler frasował się tym: co ostatecznie będzie z jego syna? Pastor był w ogóle zadowolony ze swej majątkowej mierności i kilkadziesiąt tysięcy błogosławieństw rocznie; Adlerowi nie wystarczało kilkadziesiąt tysięcy rubli na rok a fundusz złożony w banku zbyt powolnie zbliżał się do upragnionej liczby miliona rubli.

Ale Böhme już o tylu szczegółach nie myślał. On był kontent, że widzi dokoła siebie zielone zboże, nad sobą niebios obrzucone białymi i siwymi obłokami i że ogólny wygląd fabryki Adlera przypomina mu miejscowość z dziecinnych lat. Takie same piętrowe domy ustawione we dwa szeregi, takie drzewa, taki zakład fabryczny zbudowany w podkowę, pałacyk właściciela, sadzawka w ogrodzie...

Szkoda, że nie ma tu ochrony dla małych dzieci, szkoły dla większych, domu dla starców, szpitala... Szkoda, że Adler nie pomyślał o tych budynkach, chociaż swoją fabrykę

ukształtował na wzór brandenburskiej. A należałoby przynajmniej zbudować szkołę. Boć gdyby nie istniała szkoła tam... ani on nie byłby pastorem, ani Adler milionerem!

Wózek zbliżył się do fabryki tak, że hałas jej obudził zadumanego pastora. Gromada dzieci brudnych i w podarte sukienki albo koszule odzianych bawiła się obok gościńca. Za murem otaczającym fabrykę widać było kilka wozów, na których ustawiono paki tkanin. Na lewo w całym wdzięku ukazał nie pałacyk Adlera zbudowany w stylu włoskim. Jeszcze kilkanaście kroków i otóż wychyla się pomiędzy drzew stojąca nad sadzawką altana, kędy fabrykant i jego przyjaciel piją zwykle reńskie wino gawędząc o dawnych czasach albo o wiadomościach bieżących.

Gdzieniedzie z otwartych okien mieszkań robotniczych zwieszają się szmaty świeżo upranej bielizny. Prawie cała ludność tych mieszkań jest obecnie przy warsztatach i ledwie kilka bladych kobiet z zapadłymi piersiami wita pastora słowy:

- Niech będzie pochwalony!...

- Na wieki wieków!... - odpowiada szczupły staruszek uchylając swój wieloletni panamski kapelusz.

W tej chwili bryczka skręciła na lewo, koń wesoło wyrzucił łbem i już kłusem, nie kierowany, wbiegł na dziedziniec pałacyku. Wnet ukazał się stajenny chłopiec, obtarł nos rękawem i pomógł wsiąść wielebnemu.

- Pan w domu? - spytał Böhme.

- Na fabryce. Zaraz powiem, że jegomość przyjechał.

Pastor wszedł na ganek, gdzie oczekujący lokaj zdjął z niego podróżny kitel. Teraz cały świat mógł przekonać się, że duchowny ma długi surdut, ale krótkie nogi, wobec których jego nos, ozdabiający zwiędłe i pełne dobroci oblicze, wydaje się nieco za duży.

Wielebny znowu ułożył ręce na piersiowym dołku i puścił w ruch dwa palce. Przypomniał sobie, że przyjechał tu celem zranienia, a następnie zagojenia ojcowskiego serca i z planem dobrze obmyślanym, który wedle prawideł retoryki dzielił się na trzy części. Pierwsza, przygotowawcza, miała obejmować rzut oka na niezbadane wyroki Opatrzności, która przez ciernie żywota wiedzie istotę ludzką do wiekuistego szczęścia, W drugiej miało być powiedziane, że młody Ferdynand Adler nie może wrócić z zagranicy na łono ojca, dopóki nie zostaną zaspokojeni jego wierzyciele na sumę taką a taką. (Tu powinien nastąpić wybuch ojcowskiego gniewu i wyliczenie przez starego Adlera wszystkich błędów, jakich się syn dopuścił.) W chwili przecież, gdy zagniewany fabrykant bawełnianych tkanin zapragnąłby wyrodnego jedynaka wyprzeć się, wydziedziczyć i wykląć, wyszłaby na jaw trzecia część misji pastora, pojednawcza. Böhme chciał przypomnieć historią marnotrawnego syna, z lekka nadmienić, że przyjaciel źle wychował potomka i że za ten grzech powinien bez szemrania ofiarować Bogu, rozumie się na ręce wierzycieli Ferdynanda, wymaganą przez nich sumę.

Gdy Böhme przepowiadał sobie plan działania, na drodze do pałacyku wiodącej ukazał się stary Adler. Był to człowiek olbrzymiego wzrostu, nieco zgięty, niezgrabny, z wielkimi nogami, odziany w długi, popielaty surdut niemodnego kroju i także spodnie. Na jednostajnie czerwonej twarzy jego uwydatniał się duży, okrągły nos i nie mniejsze wargi wywinięte jak u Murzyna. Wąsów nie nosił, tylko rzadkie jasnoblonde faworyty. Gdy zdjął kapelusz, aby obetrzeć pot z czoła, widać było wypukłe, jasnoniebieskie oczy bez brwi i krótko ostrzyżone włosy koloru lnianego.

Milioner szedł krokiem ciężkim, miarowym, chwiejąc się na potężnych nogach jak kawalerzysta. Gdy nie obcierał spoconej twarzy albo czerwonej szyi, zwieszona ręce z wielkimi dłońmi i krótkimi palcami odstawały mu od tułowia tworząc dwa zgięte łuki niby żebra przedpotopowego zwierzęcia. Szeroka pierś widocznie wznosiła się i opadała dysząc jak kowalski miech. Z daleka witał pastora flegmatycznymi ruchami głowy; otworzył przy tym szeroko usta i grubym głosem wołał: "Cha! cha! cha!" - ale nie uśmiechnął się. W ogóle trudno nawet zgadnąć, jakby wyglądał uśmiech na tej mięsistej i apatycznej twarzy, na której wszechwładnie zdawały się panować surowość i bezmyślność.

Z tym wszystkim ta grubo przez naturę wyciosana osoba nie była wstrętną, ale raczej dziwną. Nie budził on obawy, tylko uczucie, że mu się niepodobna oprzeć. Zdawało się, że w jego nieforemnych rękach żelazne sztaby powinny by giąć się z takim smutnym skrzypieniem, jak podłoga sal fabrycznych gięła się pod jego stopami. Na pierwszy rzut oka widać było, że do serca tego taranu o ludzkiej formie dopukać się niepodobna, ale że gdyby kto zranił mu serce, cała machina runęłaby jak gmach, któremu nagle zabrakło podstawy.

- No! Jak się ty masz, Marcinie! - zawołał Adler z najniższego stopnia schodów, chwytając za rękę pastora, którą potrząsnął mocno i niezgrabnie. - Prawda! - dodał - ty ale byłeś wczoraj w Warszawie... Czy nie słyszałeś czego o moim chłopcu? Ten wariat tak rzadko pisuje, że chyba tylko bank wie, gdzie on się obraca!...

Gdy stanął na ganku, wąty Böhme wyglądał przy nim jak - wedle słów Biblii - szarańcza przy wielbłądzie.

- No, ale gadaj co!... - powtórzył Adler siadając na żelaznej kanapce, która zatrzeszczała. Tubalny głos jego dziwnie harmonizował z rytmicznym łoskotem fabryki przypominającym odległe grzmoty.

- Czy mój Ferdynand nie pisał do banku?

Böhme mimowolnie znalazł się w środku kwestii, z którą tu przyjechał. Siadł na drugiej kanapce naprzeciw Adlera. Z zastanawiającą przytomnością umysłu przypomniał sobie początek pierwszej części mowy; o niezbadanych wyrokach...

Pastor miał jedną wadę. Oto - nie umiał płynnie mówić bez okularów, które zawsze w niewłaściwe miejsce chował. Czuł, że wypada zacząć wstęp, ale jakże zacząć bez okularów?... Odchrząknął, powstał z kanapy, zakręcił się wkoło... Nie ma okularów!

Sięgnął ręką do lewej kieszeni spodni, potem do prawej... Okularów ani śladu!... Czyby je zostawił w domu?... Gdzież znowu! Miał je przecie w rękach siadając na bryczkę... Sięgnął do jednej tylnej kieszeni surduta: nie ma... do drugiej - znowu nie ma! Biedny pastor całkiem zapomniał początkowych zdań części przygotowawczej.

Adler, który znał przyjaciela na wrywki, zaniepokoił się.

- Czego ty się tak, Marcinie, ale kręcisz?... - spytał go.

- Ech, mam kłopot... Gdzieś zostawiłem okulary...

- Na co tobie okulary? Kazania przecież nie będziesz do mnie mówił.

- Ale, bo widzisz...

- No, ja ale pytam się o Ferdynanda, czy nie ma od niego wiadomości?...

- Zaraz ci powiem!... - mówił Böhme krzywiąc się.

Sięgnął do bocznej kieszeni i nie znalazł okularów. Odpiął surdut i z kieszeni wewnętrznej dobył jakiś papier, wielki pugilares, wreszcie wywrócił kieszeń, ale i tu okularów nie było.

"Czybym zostawił w bryczce?" - rzekł do siebie i zwrócił się chcąc zejść z ganku.

Adler, który wiedział, że pastor w wewnętrznej kieszeni nosi tylko ważne dokumenta, wyrwał mu papier z ręki.

- Mój ty Gotlieb - mówił skłopotany Böhme - oddajże mi to, ja ci sam przeczytam, tylko... muszę pierwej znaleźć moje okulary... Gdzie one się podziać mogły?

Zbiegł na dziedziniec kierując się ku stajni.

- Proszę cię, zaczekaj, aż ja wrócę, bo to trzeba przede wszystkim wyjaśnić...

I poszedł trąc obiema rękami szpakowatą głowę...

W kilka minut później wrócił ze stajni, zupełnie zgnębiony.

- Musiałem zgubić okulary - mruzczał. - Pamiętam, że kiedym siadł na bryczkę, miałem w jednej ręce chustkę, a w drugiej bat i okulary...

Rzucił się z niechęcią na kanapę i przelotnie spojrział na Adlera.

Staremu fabrykantowi żyły nabrzmiały na czole, a oczy stały się wypuklejsze niż zwykle. Czytał on papier z wielkim zajęciem, wreszcie skończył czytanie i z gniewu - plunął na ganek.

- Och! jaki to szelma ten Ferdynand! - mruknął. - W ciągu dwu lat zrobił pięćdziesiąt osiem tysięcy trzydzieści jeden rubli długów, chociaż ja dawałem mu dziesięć tysięcy rubli rocznie!

- A wiem! - zawołał nagle pastor i wbiegł do przedpokoju.

Po chwili wrócił z triumfującą miną, niosąc swoje okulary w czarnej pochwie.

- Naturalnie - mówił Böhme - że nie mogłem ich włożyć gdzie indziej, tylko w kitel. Co za roztargnienie!

- Ty zawsze gubisz swoje okulary i potem je znajdujesz! - rzekł Adler oparłszy głowę na rękę.

Wydawał się zamyślonym i smutnym.

- Pięćdziesiąt osiem i dwadzieścia: siedemdziesiąt osiem tysięcy trzydzieści jeden rubli w ciągu dwu lat! - mruzczał fabrykant. - Kiedy to ja wszystko załatam? Dalibóg, nie wiem!

Pastor włożył już okulary i odzyskał właściwą sobie przytomność umysłu. Część pierwsza, przygotowawcza, mowy, z którą do Adlera przyjechał, była stracona. Część druga tak samo. Pozostała część trzecia.

Böhme orientował się w położeniu bardzo szybko i nie mniej szybko czynił postanowienia. Odchrząknął więc, rozkraczył nogi i zaczął:

- Jakkolwiek, miły Gotliebie, ojcowskie serce twoje błędami jedynego syna twojego ciężko musi być zranione; jakkolwiek na los poniekąd sprawiedliwie wyrzekać...

Adler ocknął się z zamyślenia i odparł spokojnie:

- Gorzej niż wyrzekać, bo trzeba ale płacić!... Johann! - krzyknął nagle głosem, od którego daszek ganku drgnął.

Służący ukazał się we drzwiach prowadzących do przedpokoju.

- Szklanę wody!

W okamgnieniu podano wodę; Adler wypił ją, zażądał drugiej szklanki i tę wypił, a potem mówił już bez cienia gniewu:

- Trzeba telegrafować do Rotszyldów... Jeszcze dziś wyślę depeszę i... niech już ten wariat wraca. Dostyc podróży!

Teraz Böhme poznał, że nie tylko trzecia część jego mowy jest bezpowrotnie stracona, ale co gorsza, że ojciec zanadto pobłażliwie traktuje postępek syna. Bądź co bądź, zrobienie pięćdziesięciu ośmiu tysięcy rubli długów stanowi nie tylko stratę, ale i nadużycie rodzicielskiego zaufania, a więc niemały grzech. Kto wie, czy Adler, mając te pieniądze w kieszeni, nie pomyślałby o założeniu szkoły, bez której dzieci fabrycznych robotników dziczeją i uczą się próżniactwa.

Z tych powodów pastor postanowił z obrońcy stać się - oskarżycielem lekkomyślnego młokosa, co mu tym łatwiej mogło się udać, że znał go jako urwisa od niemowlęcia - i że miał okulary na nosie, bez których ciężko mu było czegokolwiek dowodzić.

Adler tymczasem oparł się szerokimi plecami o poręcz ławki, splótł ręce na karku i pochyliwszy w tył ogromną głowę patrzył w sufit daszku.

Böhme odchrząknął, położył dłonie na kolanach i patrząc na krawat swego przyjaciela mówił:

- Jakkolwiek, miły Gotliebie, budujące jest twoje chrześcijańskie poddanie się nieszczęściu, z tym wszystkim człowiek dla osiągnięcia zupełnej doskonałości na tym świecie możliwej (a jest ona, ach! bardzo niedoskonałą wobec Stwórcy), człowiek tedy nie tylko musi być zrezygnowanym, ale i działającym. Pan nasz, Jezus Chrystus, nie tylko poświęcił się na śmierć, ale jeszcze nauczał, poprawiał. Więc i my, sługi jego, winniśmy nie tylko znosić cierpienia, ale jeszcze poprawiać błędzących...

Adler oparł ręce na kanapie i spuścił głowę na piersi.

- Syn twój cielesny, a mój duchowy, Ferdynand, pomimo wielu zalet serca i przyrodzonych zdolności, wcale nie pełni przykazania, które człowiekowi z raju wygnanemu zaleciło pracę.

- Johann! - krzyknął Adler.

Służący wbiegł na ganek.

- Tam maszyna idzie za prędko! Oni tak zawsze robią, jak mnie nie widzą. Kazać, żeby wolniej szła!

Służący znikł; pastor, niezrażony, mówił dalej:

- Syn twój nie pracuje, ale dane mu przez Stwórcę siły duchowe, fizyczne i pieniężne trwoni marnie. Mówiłem ci to już, miły Gotliebie, nieraz, a wychowaniem mego Józefa nie zaprzeczyłem własnym zasadom.

Adler posepnie rzucił głową.

- Co twój Józef będzie robił, gdy skończy technikę? - spytał nagle.

- Pójdzie do jakiej fabryki i może kiedy zostanie dyrektorem.

- A gdy zostanie dyrektorem, to co?

- Będzie dalej pracował.

- Na co ale on będzie pracował?

Pastor zmieszał się.

- Na to - odparł - żeby być użytecznym sobie i ludziom.

- No, a mój Ferdynand, jak tylko wróci, może u mnie zostać dyrektorem. No, on już dziś ludziom jest użyteczny, jeżeli siedemdziesiąt osiem tysięcy trzydzieści jeden rubli wydaje w ciągu dwu lat. A zapewne i sobie jest użyteczny!



- Ale nie pracuje! - zauważył pastor wznosząc palec do góry.

- Prawda! Ale ja pracuję za niego i za siebie. Ja przez całe życie pracowałem za pięciu ludzi, więc dlaczego mój jedyny syn nie ma użyć trochę świata za młodu? - Czego teraz nie użyje - dodał - później nie użyje... Wiem to z doświadczenia! - Praca jest przekleństwem. Ja całe to przekleństwo wziąłem na siebie, a że dobrze wziąłem, świadczy mój majątek. Jeżeli prawda, że Ferdynand powinien by tak męczyć się jak ja, to na co mi Pan Bóg dał pieniądze? Co chłopcu po tym, że z mego miliona zrobi dziesięć, jeżeli znowu jego syn ma żyć na to tylko, żeby do naszych dorobił - drugie dziesięć milionów? - Pan Bóg stworzył tak samo bogatych jak i ubogich. Wszyscy bogaci używają życia. Ja go już chyba nie użyję, bo nie mam sił i nie nauczyłem się tego. Ale dlaczego mój syn nie ma używać?

Służący wrócił już z fabryki. Maszyna parowa szła wolniej.

- Miły Gotliebie - rzekł pastor - dobry chrześcijanin...

- Johann! - przerwał mu fabrykant. - Wynieś do altanki butelkę reńskiego i piernik...  
Chodźmy do ogrodu, Marcinie!

Poklepał Böhme ciężką ręką po ramieniu i zawołał:

- Cha! cha! Cha!

Szli do ogrodu. W drodze zastąpiła im jakaś nędzna kobiecina i upadając do nóg Adlerowi szepnęła z płaczem:

- Jaśnie panie! choć trzy ruble na pogrzeb.

Adler bez trudności wyrwał jej nogę z objęć i odparł spokojnie:

- Idź do szynkarza, bo tam twój głupi mąż co dzień zostawiał pieniądze.

- Jaśnie panie!

- W kantorze załatwiają się interesa, nie tutaj - przerwał Adler - tam pójdz.

- Byłam, panie, ale mnie za drzwi wyrzucili.

I znowu objęła go za nogi.

- Precz! - krzyknął fabrykant. - Do warsztatów was nie ma, a na chrzty i pogrzeby umiecie zebrać!

- Po słabości byłam, panie; jakże mogłam iść na robotę?

- No, to niech ci się ale dzieci nie zachciewa, kiedy im nie masz za co sprawić pogrzebu.

I poszedł do ogrodu pchając przed sobą oburzonego tą sceną pastora.

Za furtką Böhme zatrzymał się.

- Wiesz, Gotliebie - rzekł - ja nie będę pił.

- O? - zdziwił się Adler. - Dlaczego tak?

- Łzy biednych psują smak wina.

- Nie bój się! Kieliszki są czyste, a butelki dobrze zakorkowane. Cha! cha! cha!

Pastor zaczerwienił się, odwrócił się od niego z gniewem i szybko wybiegł na dziedziniec.

- Stój, ty wariacie! - krzyknął Adler.

Pastor biegł ku stajni.

- Wróćże się!... Hej! ty głupia! - zawołał na nędzną kobietę, która płakała w bramie - masz rubla i wynoś się stąd, pókiś cała!

Rzucił jej papierek.

- Marcin Böhme! wróć się. Już wino jest w altance. Ale pastor wsiadł na swój wózek i bez kitla wyjechał za bramę.

"Wariat!" - mówił do siebie Adler. Zresztą nie gniewał się na pastora, który po kilkanaście razy na rok robił mu podobne sceny w podobnych okolicznościach.

"Tym uczonym zawsze jakiegoś trybu w głowie brakuje - myślał Adler patrząc na pył wzniecony bryczką przyjaciela. - Gdybym ja był uczonym, miałbym dziś tyle co Böhme, a Ferdynand męczyłby się w szkole technicznej. Jakie szczęście, że i on nie jest uczony!"

Obrócił się dokoła, spojrzął na stajnię, przed którą, parobek udawał, że pilnie bruk zamiata, wciągnął w nos; trochę fabrycznego dymu, który mu wiatr przyniósł, popatrzył na ładowne wozy i poszedł do budynku administracji.

Tam kazał odpisać w księdze pięćdziesiąt dziewięć tysięcy rubli dla Ferdynanda i wysłać do niego telegram, ażeby skoro tylko odbierze pieniądze, spłacił dług i natychmiast wracał do domu.

Gdy Adler wyszedł z kancelarii, stary buchalter, Niemiec, który od kilku lat nosił umbrelkę, a od kilkunastu siadywał na skórzanym krążku, obejrzał się podejrzliwie i szepnął do innego urzędnika:

- Oho! będziemy znowu mieli oszczędności! Młody stracił pięćdziesiąt dziewięć tysięcy rubli, a my zapłacimy...

W kwadrans później w biurze technicznym szeptano, że Adler obetnie pensje, bo syn jego stracił sto tysięcy.

W godzinę we wszystkich oddziałach fabryki o tym tylko mówiono, że mają zniżyć pensje i zarobki, a wieczorem - Adler wiedział, co mówiono. Jeden groził, że połamie kości

pryncypałowi, drugi, że go zabije, trzeci, że spali fabrykę. Niektórzy radzili wyjść tłumem z warsztatów, ale tych zakrzyczano. Bo i dokąd wyjść?

Większość kobiet, płakała, a większość mężczyzn przeklinała Adlera życząc mu, żeby go Bóg skarał.

Fabrykant był zadowolony z raportu. Ponieważ robotnicy tylko przeklinali, więc znaczy, że można bez obawy zniżyć zarobki. Ci zaś, którzy grozili, ci w części byli najwierniejszymi jego sługami.

W ciągu nocy plan oszczędności był przygotowany. Im kto więcej zarabiał, tym większy procent strącano mu z wynagrodzenia. Ponieważ zaś przy fabryce od paru lat mieszkał doktor (sprowadzony tu w czasie cholery) i felczer, którzy, według Adlera, nie mieli dziś nic do roboty, doktor więc z końcem miesiąca czerwca otrzymał dymisję, a felczerowi zniżono pensją do połowy.

Gdy na drugi dzień dowiedziano się o szczegółach planu oszczędności, wybuchło ogólne wzburzenie. Kilkunastu ludzi wyszło z fabryki, inni robili mniej niż zwykle, ale za to dużo gadali. Doktor zwymyślał Adlera i natychmiast przeniósł się do miasteczka; toż samo zrobił felczer. W południe i nad wieczorem tłum robotników chodził do pałacyku pryncypała z prośbą, ażeby ich nie krzywdził. Płakali przy tym, klęli, grozili, ale Adler pozostał niewzruszony. Straciwszy pięćdziesiąt dziewięć tysięcy rubli przez syna, musiał je odzyskać; oszczędności zaś miały mu przynieść piętnaście do dwudziestu tysięcy rocznie. Postanowienie żadną miarą nie mogło być cofnięte. Zresztą, dlaczego miałoby być cofniętym - co mu groziło?

Rzeczywiście po kilku dniach fabryka uspokoiła się. Niektórzy robotnicy wyszli sami, kilku niespokojniejszych wydalono, a miejsce ich zajęli nowi kandydaci, którym zarobek wydał się bardzo dobrym. W owej epoce panowała na wsiach bieda i ludzie natrętnie dopraszali się o robotę.

Miejsce felczera zajął "tymczasowo" stary robotnik, który według opinii Adlera był o tyle obeznany z chirurgią, że jakieś lekkie skaleczenie mógł opatrzyć. W wypadkach cięższych, nader rzadkich, miano posyłać do miasteczka, gdzie również udawać się musieli na własny koszt chorzy robotnicy, ich żony i dzieci.

Było więc w fabryce, pomimo tak wielkiego przewrotu, wszystko dobrze. Najdokładniej zebrane informacje wskazywały Adlerowi, że bez względu na krzywdy, jakie ludziom wyrządził, nie spotka go nic złego, że nie ma siły, która by mu mogła zaszkodzić.

Tylko pastor Böhme, do którego fabrykant pojechał pierwszy na zgodę, kręcił głową i poprawiając okulary mówił:

- Złe wyradza złe, mój miły Gotliebie. Tyś zaniedbał wychowania Ferdynanda, więc zrobiłeś złe. On stracił twoje pieniądze i zrobił gorzej. Teraz znowu ty z jego powodu zniżyłeś ludziom zarobki i zrobiłeś najgorzej. A co z tego jeszcze wyniknie?

- Nic! - mruknął Adler.

- Nie może być nic! - odparł Böhme trzęsąc rękami nad głową. - Najwyższy tak świat urządził, że w nim każda przyczyna musi mieć właściwy skutek: dobra dobry, zła – zły!

- Przynajmniej nie dla mnie - wtrącił fabrykant. - Bo i cóż mi się stanie? Kapitały leżą w depozycie. Fabryki mi nie spalą, a choćby i spalili, to jest asekurowana. Roboty nie porzucają, bo na ich miejsce znajdę innych, a zresztą - gdzież sami pójdą? Chyba myślisz, że mnie zabijają? Marcinie, czy tak myślisz? Cha! cha! cha! Mnie oni! - mówił olbrzym klaszcząc w potężne dłonie.

- Nie kuś Boga! - przerwał mu surowo pastor i zwrócił rozmowę na inny przedmiot.

## Rozdział II

Historia Adlera jest tak dziwna jak on sam.

Gdy ukończył szkołę elementarną (do której chodził razem z dzisiejszym pastorem Böhme), Adler nauczył się tkactwa i w dwudziestym roku miał niezłe zarobki. Już wówczas był to chłopak czerwonoskóry, silny, na pozór niezgrabny, w istocie sprytny i zręczny, który pracować mógł za kilku. Zwierzchnicy byli z niego zadowoleni, choć miał wadę, że lubił hulać.

Każde święto młody Adler przepędzać musiał w jakimś miejscu zabaw, w towarzystwie kolegów i kobiet, bo miał wiele kochanek. Jeżdżono tam na karuzeli, huściano się, pływano, objadano się i spijano, Adler zaś przodował. Hulał tak namiętnie, bawił się z takim szalem, że niekiedy przestraszał swoich towarzyszków. Ale w dzień powszedni pracował także szalenie.

Był to potężny organizm, w którym grały tylko mięśnie i nerwy, a dusza spała. Adler czytać nie lubił, sztuki nie rozumiał, śpiewać nawet nie umiał. Potrzebował tylko zużywać nagromadzone siły zwierzęce i robił to nie zachowując żadnych granic ani miary.

Z uczuć ludzkich panowało w nim jedno tylko: zazdrościł bogatym. Słyszał on, że na świecie są wielkie miasta, a w nich piękne kobiety, które można kochać pijąc szampańskie wino wśród salonów błyszczących od złota i kryształów. Słyszał, że bogaci podróżują po górach, na których kark można skrócić albo paść ze znużenia, i - tęsknił do tych gór. Gdyby on był bogatym, zamęczałby wierzchowe konie; kupiłby okręt, ażeby pełnić na nim obowiązki majtka; obszedłby cały świat od równika do biegunów; pędziłby na pola bitew i nurzałby się w krwi ludzkiej, a przy tym wszystkim - piłby i jadł najwykwintniejsze potrawy i woziłby ze sobą cały harem.

Ale gdzie jemu myśleć o bogactwach, kiedy puszczał wszystkie zarobki i jeszcze zaciągał długi!

W owym czasie zdarzył się szczególny wypadek.

W jednym z budynków fabryki, w której pracował, wybuchł pożar na drugim piętrze. Robotnicy uciekli, ale nie wszyscy: dwie kobiety i chłopiec zostali na czwartym piętrze i dopiero wówczas zobaczono ich, gdy ze wszystkich niższych okien buchały płomienie.

O daniu pomocy nikt nie myślał i może dlatego właściciel fabryki krzyknął do robotników:

- Trzysta talarów temu, kto ich ocali!

Wśród tłumu gwar i ruch spotęgował się. Radzono, zachęcano, ale - nie ratowano ofiar, które wyciągały ręce do stojących na ziemi i rozpaczały z bojaźni.

Wtedy wystąpił Adler. Zażądał długiej liny i drabinki z hakami. Liną przepasał się i podszedł do ognia.

Tłum oniemiał nie rozumiejąc, jakim sposobem Adler wejdzie na czwarte piętro? Na co mu lina?

Ale on miał sposób. Zaczepił drabinę na szerokim gzemsie pierwszego piętra i wbiegł tam jak kot. Stojąc na gzemsie zahaczył drabinę o gzems drugiego piętra i po chwili był już tam. Płomienie opalały mu włosy i odzież, dym gęsty owijał go jak płachta, ale on drapał się coraz wyżej, zawieszony nad ogniem i nad przepaścią jak pająk.

Gdy dosięgnął czwartego piętra, tłum wykrzyknął: "Hura!" i zaklaskał. Adler zaczepił drabinę na krawędzi dachu i z niepojętą zręcznością, on, chłopak niezgrabny i ciężki, wyniósł po kolei skazańców na dach.

Jedna ściana budynku nie miała okien. Adler tędy spuścił za pomocą liny ocalonych przez siebie, a wreszcie - zlął sam. Gdy stanął na ziemi poparzony, obłany krwią, tłum porwał go na ręce i poniósł krzyżąc.

Za ten czyn, prawie bezprzykładny, Adler dostał od rządu złoty medal, a od fabrykanta lepszą posadę i obiecane trzysta talarów.

Teraz w życiu Adlera nastąpił zwrot. Zobaczywszy się panem tak wielkiej sumy uczuł on przywiązanie do pieniędzy. Nie dlatego, że je nabył narażając się na śmierć, nie dlatego, że mu one przypominały ludzi, którym życie uratował, ale dlatego - że było ich aż trzysta talarów!... Jakby to pohulać można za taką masę pieniędzy... O ile świetniejszą byłaby hulanka za tysiąc talarów i jak to już do tysiąca talarów niedaleko!...

Pieniądz obudził w nim nową namiętność. Adler wyrzekł się swoich nałogów, stał się skąpym i lichwiarzem. Zaczął pożyczać kolegom pieniądze na krótkie terminy, ale na wielkie procenta, a ponieważ obok tego bardzo pracował i szybko postępował naprzód, więc po upływie kilku lat miał już nie trzysta, ale trzy tysiące talarów.

Wszystko to robił z myślą, że gdy zbierze większą sumę, pohula raz jak bogacz. Lecz gdy suma urosła, wyznaczał dla niej nową granicę, do której szedł z taką samą zawziętością jak pierwiej. W tym zbliżaniu się do ideału, którym miało być najwyższe użycie, Adler powoli

zatracił zmysłowe instynkta. Olbrzymie swoje siły topił w pracy, pozbył się dawnych marzeń i myślał o jednym tylko: o pieniądzach. Przez jakiś czas uważał je tylko za środek, widział poza nimi inny cel. Ale stopniowo i to znikło, a całą duszę jego wypełniły dwa pragnienia: pracy i pieniędzy.

W czterdziestym roku życia miał już pięćdziesiąt tysięcy talarów zebranych krwawym trudem, uporem, niezwykłym sprytem, skąpstwem i lichwą. W tym czasie przeniósł się do Polski, gdzie jak słyszał, przemysł wielkie daje procenta. Tu założył niedużą fabrykę tkacką, ożenił się z kobietą posażną, która wydawszy na świat jedyne go syna, Ferdynanda, umarła - i począł dążyć do milionowej fortuny.

Nowa ojczyzna okazała się dla Adlera prawdziwą ziemią obiecaną. On, wyćwiczony w zawodzie tkackim, i w wyścigu za groszem, znalazł się między ludźmi, z których jedni dawali się wyzyskiwać dlatego, że nie mieli pieniędzy, drudzy dlatego, że im łatwo przyszły i że mieli ich za dużo, inni dlatego, że im brakło sprytu, jeszcze inni dlatego, że wydawało się im, że mają spryt. Adler gardził społeczeństwem pozbawionym najelementarniejszych przymiotów ekonomicznych i siły do walczenia z nim; lecz poznawszy grunt dokładnie, umiał z niego korzystać. Majątek rósł, a ludzie myśleli, że szczęśliwemu fabrykantowi do jego zarobków dopływają z Niemiec jakieś fundusze.

Wraz z urodzeniem się Ferdynanda w drewnianym sercu Adlera zbudziło się uczucie nieograniczonej miłości ojcowskiej. Osierocone niemowlę nosił on na rękach, często nawet do fabryki, gdzie chłopak przestraszony hałasem siniał z krzyku. Gdy podrośł, ojciec spełniał wszystkie jego życzenia, obsypywał go łakociami, otaczał służbą, dawał mu do zabawy złote pieniądze.

Im więcej rozwijało się dziecko, tym mocniej kochał je. Zabawy Ferdynanda przypominały mu własne dzieciństwo, zbudziły w jego duszy jakieś echa dawnych instynktów i marzeń. I otóż Adler patrząc na syna myślał, że on za niego użyje świata, on prawdziwą korzyść odniesie z bogactw, on spełni wygaśnię, a tak niegdyś silne pragnienia owych odległych podróży, kosztownych uczt, niebezpiecznych wypraw...

"Byłe podrośł - myślał ojciec - sprzedam fabrykę i pojedę z nim w świat. On będzie hulał, a ja będę patrzył i chronił go od niebezpieczeństw."

Ponieważ człowiek nie może dać innym więcej nad to, co sam posiada, więc Adler dał synowi żelazną organizacją, fizyczne zdrowie, egoistyczne popędy, majątek i nieprzepartą skłonność do hulatyki, ale nie rozwinął w nim wyższych instynktów. Ani ojciec, ani syn nie rozumieli przyjemności płynących z badania prawdy, nie odczuwali piękna w naturze ani sztuce, a ludźmi obaj pogardzali. W organizmie społecznym, w którym każdą jednostkę świadomie czy bezświadomie łączą tysiączne węzły sympatii i współczucia, oni dwaj nie byli z niczym związani, zupełnie wolni. Ojciec kochał pieniądze nade wszystko, a syna więcej niż pieniądze; syn - lubił ojca, ale kochał tylko siebie i te przedmioty, które zaspokajały jego pragnienia.

Zresztą chłopiec miał guwernerów i uczęszczał do szkół włącznie do szóstej klasy. Nauczył się kilku języków, tańczyć, gustownie ubierać, elegancko mówić. Był łatwy w obejściu, jeżeli mu przeszkód nie stawiano, dowcipny, pieniędzmi hojnie rzucał. Lubiono go więc, chociaż głębiej na rzeczy patrzący Böhme twierdził, że chłopak niewiele umie i jest na złej drodze.

Ferdynand w siedemnastym roku życia był już donżuanem, w osiemnastym wydalony został ze szkół, w dziewiętnastym kilka razy zgrał się w karty, a raz wygrał około tysiąca rubli, nareszcie w dwudziestym roku wyjechał za granicę. Tam, oprócz dużej sumy wyznaczonej mu przez ojca, zrobił około sześćdziesięciu tysięcy rubli długów i tym sposobem, co prawda mimo woli, przyczynił się do zaprowadzenia w fabryce oszczędności, za które obu ich: ojca i syna, przeklinały setki ludzi.

W ciągu dwuletniej nieobecności w domu Ferdynand zwiedził całą prawie Europę. Wdrapywał się na alpejskie lodniki, był na Wezuwiuszu, puszczał się raz balonem, nudził się parę tygodni w Londynie, gdzie domy są z czerwonej cegły, a w niedzielę nie ma zabaw. Ale najdłużej i najweselej przepędził czas w Paryżu.

Do ojca pisywał nieczęsto. Ile razy jednak jakieś silniejsze wrażenie potrafiło jego stalowe nerwy, tyle razy donosił o tym z najdrobniejszymi szczegółami. Toteż listy jego bywały dla Adlera prawdziwymi uroczystościami. Stary fabrykant odczytywał je bez końca, nasycił się każdym wyrazem, bo czuł, że każdy wskrzesza w nim dawne i gorące marzenia. Jeździć balonem, zaglądać do wulkanu, tańczyć w tysiiąc par kankana w przebogatych salonach paryskich, kąpać kobiety w szampanie, wygrywać albo przegrywać na jedną kartę setki rubli: czyż to nie stanowiło ideałów jego życia, czy ich nie przewyższało?... Listy Ferdynanda były jakby tchnieniami jego własnej młodości i budziły w nim zamiast uniesienia, do którego był za stary, nowe, a dotychczas nie znane uczucie: rozrzewnienie.

Kiedy czytał opisy hulanki, kreślone na gorąco pod wpływem pierwszych wrażeń, w jego surowym i realnym umyśle poruszało się coś na kształt poetyckiej fantazji. Chwilami widział to, co czytał. Ale wnet zniknęły widzenia spłoszone rytmicznym łoskotem machin i szelestem tkackich warsztatów.

Adler miał teraz jedno tylko pragnienie, nadzieję i wiarę: zebrać milion rubli gotówką, sprzedać fabrykę i z całą masą pieniędzy wyjechać w świat razem z synem.

- On będzie używał, a ja będę patrzył po całych dniach! Pastorowi Böhme wcale nie podobał się ten program godny zniszczonych starców Sodomy albo cesarstwa rzymskiego.

- Gdy wyczerpiecie wszystkie rozkosze i wszystkie pieniądze, co wam zostanie? - pytał Adlera.

- Ach! takie ale pieniądze nie wyczerpują się łatwo - odpowiedział fabrykant.

## Rozdział III

Dzień powrotu Ferdynanda został oznaczony.

Adler wstał jak zwykle o piątej rano. O ósmej wypił kawę z kwartowego, fajansowego kubka, na którym niebieskimi literami było wypisane: Mit Gott für König und Vaterland. Potem zwiedził fabrykę, a około jedenastej wysłał na stację drogi żelaznej powozik dla syna i bryczkę pod jego bagaże. Potem usiadł na ganku przed pałacykiem z twarzą jak zwykle apatyczną i bezmyślną, chociaż - niecierpliwie spoglądał na zegarek.

Dzień był gorący. Na dziedzińcu woń rezedy i akacji mieszała się z ostrym zapachem dymu. Nieustannemu grzmotowi fabryki odpowiadał dwusylabowy krzyk pantarek. Niebo było czyste, powietrze spokojne.

Adler ocierał spoconą twarz i ciągle zmieniał pozycje na żelaznej ławeczce, która za każdym razem zgrzytała jak z bólu. Stary fabrykant nie jadł dziś mięsnego śniadania o dwunastej i nie pił piwa z wielkiego kufła zamkniętego cynową nakrywką, jak to robił co dzień od lat trzydziestu. Po godzinie pierwszej zajechał na dziedziniec powozik z Ferdynandem i - próżna bryczka.

Ferdynand był to wysoki, trochę mizerny, lecz tęgo zbudowany młodzieniec, blondyn z jasnoniebieskimi oczami. Miał na głowie szkocką czapkę z dwiema wstęgami, a na reszcie ciała lekki płaszcz kolisty z peleryną, bez rękawów.

Na jego widok fabrykant wyprostował olbrzymią postać i rozkładając ręce zawołał:

- Ha! ha! ha! No, jak się ty miewasz, Ferdynand?

Syn wyskoczył z powoziku, pobiegł na ganek, uściskał ojca i pocałował go w oba policzki mówiąc:

- Cóż to deszcz padał, że papa masz spodnie u dołu zawinięte?

Ojciec spojrział na spodnie.

- Jak ten wariat wszystko zaraz musi zobaczyć! - rzekł.

- Ha! ha! No, jak się ty masz? ... Johann! Śniadanie! ...

Zdjął z syna płaszczyk i torbę podróżną i podał mu rękę jak damie. Wchodząc do przedpokoju, jeszcze raz rzucił okiem na dziedziniec i spytał:

- Cóż to bryczka pusta? ... Dlaczego nie odebrałeś rzeczy ze stacji? ...

- Rzeczy? - odparł Ferdynand. - Papa myślisz, że się ożenił i wożę ze sobą kufry, kosze i pudełka? ... Moje rzeczy mieszczą się w ręcznej walizce. Dwie koszule: kolorowa do podróży i biała do salonu, garnitur frakowy, neseserka, krawat i kilka par rękawiczek - oto wszystko.

Mówił żywo, głośno, ze śmiechem. Uściskał kilka razy ojca za rękę i dalej ciągnął:

- Jakże się papa miewasz? ... Co tu słyszać? ... Mówiono mi, że papa robisz świetne interesa na swoich perkalikach i barchanach? Ale siadajmy!



Zjedli śniadanie prędko, trącili się kieliszkami, a następnie przeszli do gabinetu ojca.

- Muszę tu zaprowadzić francuski tryb życia, a nade wszystko francuską kuchnię - mówił Ferdynand zapalając cygaro.

Ojciec skrzywił się pogardliwie.

- Na co nam ale to wszystko! - odparł. - Alboż Niemcy mają złą kuchnię?

- To świnię!...

- He! - zapytał stary.

- Mówię, że Niemcy są świnię - ciągnął syn ze śmiechem. - Ani jeść, ani bawić się...

- No! - przerwał ojciec - więc co ale ty jesteś?...

- Ja? Ja jestem człowiek, kosmopolita, czyli obywatel świata.

To, że syn mianował się kosmopolitą, niewiele obchodziło Adlera, ale tak hurtowne zaliczenie Niemców do rzędu nieczystych zwierząt ubodło go.

- Ja myślałem, mój Ferdynand - rzekł - że za te siedemdziesiąt dziewięć tysięcy rubli niemieckich, któreś wydał, ty nauczysz się trochę rozumu.

Syn rzucił cygaro na popielniczkę i skoczył ojcu na szyję.

- Ach! wyborny papa jesteś! - krzyknął całując go - Cóż to za nieoceniony wzór konserwatysty! Prawdziwy baron średniowieczny!... No, niech się papa nie chmurzy. Dalej!... uszy do góry, mina gęsta...

Porwał go za rękę, wyciągnął na środek pokoju, wyprostował jak żołnierza i mówił:

- Z taką piersią!...

Poklepał go po piersi.

- Z takimi łydkami!...

Uszczypnął go w łydkę.

- Gdybym miał młodą żonę, zamykałbym ją przed papą w okratowanym pokoju. A papa mimo to masz odwagę solidaryzować się z teoriami pachnącymi o milę trupem? ... A pal diabli Niemców z ich kuchnią! - oto hasło godne wieku i ludzi prawdziwie silnych.

- Wariat! - przerwał mu nieco udobruchany ojciec. - Cóż ale ty jesteś, jeżeliś przestał być niemieckim patriotą? .

- Ja? - odparł z udaną powagą Ferdynand. - Ja tutaj jestem - polski przemysłowiec; między Niemcami - polski szlachcic: Adler von Adlersdorf; a między Francuzami - republikanin i demokrat.

Takie było przywitanie Ferdynanda z ojcem i takie duchowe zdobycze, kupione za siedemdziesiąt dziewięć tysięcy rubli za granicą; chłopiec tyle zyskał, że we wszystkim umiał upatrywać stronę uprzyjemniającą życie.

Tego samego dnia ojciec i syn pojechali do pastora Böhme. Fabrykant przedstawił mu Ferdynanda jako nawróconego grzesznika, który stracił dużo pieniędzy, ale nabył za to doświadczenia. Pastor chrześniaka swego czule uściskał i radził mu, ażeby wstąpił w ślady jego syna Józefa, który wciąż pracuje i pracować myśli do końca życia.

Ferdynand odpowiedział, że istotnie tylko praca nadaje człowiekowi rację bytu w społeczeństwie i że on dlatego był nieco trzpiotowatym dotychczas, ponieważ spędził młodość wśród narodu, który chełpi się lekkomyślnością i próżniactwem. Dodał w końcu, że jeden Anglik robi tyle, ile dwu Francuzów albo trzech Niemców, i że z tego powodu on, Ferdynand, nabrał w ostatnich czasach wielkiego szacunku dla Anglików.

Stary Adler był zdumiony powagą, szczerością i siłą przekonań syna, a Böhme zauważył, że młode piwko musi się wyszumieć i że korzystna zmiana, jaką swoim doświadczonym okiem spostrzeża w Ferdynandzie, warta jest więcej nawet aniżeli siedemdziesiąt kilka tysięcy rubli.

Po uroczystych przemówieniach pastor, jego żona i przyjaciel zasiedli do butelki reńskiego wina i poczęli rozmawiać o dzieciach.

- Wiesz, miły Gotliebie - mówił Böhme - że zaczynam podziwiać Ferdynanda. Z tego, powiem ci, wietrznika wyrobił się, jak widzę, prawdziwy mąż, verus vir. Sąd o rzeczach ma wytrawny, samopoznanie także - zasady zdrowe...

- O tak! - potwierdziła pastorowa - on mi całkiem przypomina naszego Józia. Czy pamiętasz, ojczu, że Józio, jak był zeszłego roku na wakacjach, mówił o Anglikach zupełnie to samo, co Ferdynand? Pocziwe dziecko!...

I dobra, szczupła żona duchownego westchnęła poprawiając stanik czarnej sukni, szytej, zdaje się, w, przewidywaniu lepszej tuszy.

Tymczasem Ferdynand spacerował po ogrodzie z ładną Annetą, osiemnastoletnią córką państwa Böhme. Oboje znali się od dziecka i młoda panna życzliwie a nawet z zapalem powitała dawno nie widzianego towarzysza. Chodzili z godzinę, ale że dzień był gorący, Annetta dostała widać nagłego bólu głowy i poszła do swego pokoiku, a Ferdynand wrócił do kółka starszych. Tym razem mówił niewiele, był skwaszony, czemu nikt się nie dziwił (najmniej zaś oboje pastorstwo), ponieważ młodemu miłszym jest towarzystwo ładnej panienki aniżeli najuczciwszych starców.

Gdy Adlerowie wrócili do siebie, Ferdynand powiedział ojcu, że musi jutro jechać do Warszawy.

- Po co? - krzyknął ojciec. - Czyby ci się w ciągu ośmiu godzin dom sprzykrzył?

- Ależ bynajmniej! Niech jednak papa zwróci uwagę, że potrzebuję bielizny, ubrania, a wreszcie powozu, w którym bym mógł składać wizyty sąsiadom.

Ojca wszelako nie przekonały te dowody. Powiedział, że do Warszawy pojedzie gospodyni po bieliznę i że o powóz on sam napisze do znajomego fabrykanta. Z garderobą było nieco trudniej; postanowiono jednak wysłać do krawca garnitur frakowy i według niego wybrać, co potrzeba.

Ferdynand skwasił się jeszcze bardziej.

- Czy masz papa choć aby jakiego wierzchowca na stajni?

- Co mi po nim? - odparł fabrykant.

- No, ale ja muszę go mieć i spodziewam się, że tego przynajmniej papa mi nie odmówisz...

- Bardzo naturalnie.

- Chciałbym zaraz jutro pojechać do miasteczka i dowiedzieć się: czy kto ze szlachty nie ma dobrego konia na sprzedaż. Myślę, że chyba i tego papa mi nie zabroni.

- Bardzo ale naturalnie.

Na drugi dzień Ferdynand już o dziesiątej rano wyjechał do miasteczka, a w kilka minut później na dziedzińcu ukazał się Böhme ze swoim wózkiem i konikiem. Pastor wydawał się niezwykle ożywiony; wbiegł do pokoju prędko. Między jego małymi faworycikami i nieco przydługim nosem paliły się mocne rumieńce.

Ledwie zobaczył Adlera, wykrzyknął:

- Jest ten twój Ferdynand? Adler zdziwił się zauważywszy, że pastorowi drży głos.

- Co ty ale chcesz od Ferdynanda? - zapytał.

- A to hultaj jakiś... nic dobrego! - krzyknął Böhme. - Czy ty wiesz, co on wczoraj powiedział naszej Annetce?

Z miny fabrykanta widać było, że nic nie wie i że nawet niczego się nie domyśla.

- Oto - ciągnął pastor zapalając się - prosił ją, ażeby mu... - w tym miejscu urwał. - Co za zuchwalstwo!... nieprzyzwoitość!...

- Co tobie jest, Marcinie? - pytał go zaniepokojony Adler. - Co Ferdynand powiedział?

- Powiedział... żeby mu w nocy okno otworzyła do swego pokoju!... I biedny pastor z nadmiaru oburzenia rzucił panamski kapelusz na podłogę.

Adler o rzeczach nie mających związku z fabrykacją i sprzedażą bawełnianych tkanin myślał bardzo powoli. Jego serce nie posiadało włókna, zdolnego natychmiast odczuć krzywdę dziewczęcia; ale tkwiło w nim uczucie przyjaźni dla pastora. Adler więc na tej

podstawie, rozumując flegmatycznie, lecz logicznie, doszedł do wniosku, że gdyby panna usłuchała rad Ferdynanda, to jego syn musiałby się z nią ożenić.

Ale to koniecznie musiałby się ożenić!... Stary nie pojmował innego wyjścia.

Więc Ferdynand w kilka godzin po przyjeździe do domu i w kilkanaście minut po świetnej mównicy o poprawie postawił się w tej pozycji, że on, syn milionera, musiałby połączyć się z panną bez posagu, z córką pastora... On, żenić się?... On, który miał hulać pod bokiem ojca, używać świata, pieniędzy, młodości i niczym niekrępowanej swobody? Toteż dopiero wówczas, gdy nerwowy Böhme już wyzłościł się, wykrzyczał i ochłonał, w Adlerze wybuchnął gniew. W starym tkaczu zbudził się tygrys.

- Ach! ten łajdak! - krzyknął Adler. - Tydzień temu zapłaciłem za niego pięćdziesiąt dziewięć tysięcy rubli, dziś znowu wyciąga ode mnie pieniądze i jeszcze takie historie wyrabia!

Podniósł obie ręce do góry i trzasnął nimi jak Mojżesz w chwili, kiedy rzucał kamienne tablice na głowy czcicieli złotego cielca.

- Kijem zbiję tego łotra!... - ryknął fabrykant.

Widząc uniesienie i odgadując, że kij w ręku Adlera oplakane może wywołać skutki, pastor zmiękł.

- Mój miły Gotlieb! - rzekł - to już jest całkiem niepotrzebne. Zostaw mnie tę sprawę, a ja Ferdynanda sam poproszę, ażeby albo omijał nasz dom, albo zachowywał się w nim z uczciwością i po chrześcijańsku.

- Johann! - wrzasnął fabrykant, a gdy służący ukazał się, rzekł podniesionym głosem: - Posłać mi zaraz do miasteczka po Ferdynanda. Kije dam temu łajdakowi!

Lokaj patrzył na pana zdziwiony i przestraszony. Pastor jednak mrugnął znacząco i domyślny Johann wyszedł.

- Miły Gotlieb! - mówił Böhme. - Ferdynand jest już za stary na to, ażebyś go bił kijem, a nawet strofował zbyt gwałtownie. Niepomiarowa surowość nie tylko go nie poprawi, ale, powiem ci, może go popchnąć do rozpacz i... do targnięcia się na własne życie... To chłopak ambitny...

Uwaga ta w oka mgnieniu oddziaływała na Adlera. Starzec otworzył szeroko oczy i upadł na krzesło.

- Co ty mówisz ale, Marcinie? - zapytał stłumionym głosem. - Johann! karafkę wody...

Johann przyniósł wodę, a fabrykant wypił ją chciwie i stopniowo począł się uspokajać. Już nie kazał sprowadzać Ferdynanda.

- Tak! ten wariat mógłby to zrobić - szepnął tkacz i zgnębiony spuścił głowę na piersi.

Olbrzymi i energiczny starzec jasno zrozumiał w tej chwili, że syn jest na złej drodze, z której należałoby go sprowadzić. Ale w jaki sposób - nie wiedział.

Pastor spostrzegł, że wybiła godzina, w której upomnienia jego mogą wywrzeć stanowczy wpływ na postępowanie fabrykanta z synem, a więc i na poprawę lekkomyślnego młodzieńca. W jednej chwili przy pomocy właściwych mu szybkich kombinacji ułożył stosowną mowę, wezwał Boga na pomoc i...

Wsadził prędko rękę do lewej kieszeni spodni, a drugą ręką pomacał prawą kieszeń... Potem zaczął rewidować tylne kieszenie surduta, następnie - boczną zewnętrzną, boczną wewnętrzną... Nareszcie zaczął kręcić się niespokojnie.

- Czego ty chcesz, Marcinie? - spytał Adler zauważywszy skomplikowane ruchy pastora.

- Znowu gdzieś zgubiłem okulary! - szepnął zgryziony Böhme.

- Okulary masz przecie na czole...

- Prawda! - krzyknął pastor chwytając oburącz cenne narzędzie optyczne. - Co za roztargnienie!... Jakie śmieszne roztargnienie!...

Zdjął z czoła okulary i wydobyl żółtą fularową chustkę, aby wytrzeć zapocone szkła.

Jednocześnie wszedł buchalter fabryki z depeszą, którą odczytawszy, Adler zawiadomił, przyjaciela, że musi go zostawić i odejść do kancelarii dla wydania nie cierpiących zwłoki rozporządzeń. Prosił go przy tym, aby został na obiedzie. Ale Böhme także miał obowiązki, więc wyjechał nie nauczony starym fabrykanta, jak winien postępować z synem w celu naprowadzenia go na drogę poczciwego i chrześcijańskiego żywota.

Późno wieczorem wrócił Ferdynand do domu w brylantowym humorze. Szukając po pokojach ojca zastawiał wszystkie drzwi otwarte, uderzał do taktu laską w stoły i krzesła jak w bęben i śpiewał mocnym, lecz fałszywym barytonem:

Allons enfants de la patrie,

Le jour de la gloire est arrive...

Doszedł do gabinetu i stanął przed ojcem w czapce szkockiej, osadzonej trochę na tył głowy, trochę, na bakier, w rozpiętej kamizelce, spocony i ziejący winem. W oczach paliły mu się iskry wesołości, nie krępowanej chłodnym rozsądkiem. Gdy zaś w śpiewie doszedł do wyrazów:

Aux armes, ertoyens!...

padł w taki zapał, że machnął parę razy laską nad głową życiodawcy.

Stary Adler nie przywykł do tego, aby nad nim machano kijem. Zerwał się z fotelu i groźnie patrząc na syna krzyknął:

- Tyś pijany, łajdaku!

Ferdynand cofnął się.

- Mój papo - rzekł chłodno - proszę mnie nie nazywać łajdakiem. Bo jeżeli nawyknę w domu do podobnych wyrazów, to później nie zrobi mi to żadnej różnicy, gdy ktoś obcy nazwie łajdakiem mnie albo mojego ojca... Człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego.

Umiarkowany ton i jasny wykład zrobiły wrażenie na tkaczu.

- Hultaj jesteś! - odezwał się po chwili, - Bałamucisz córkę Böhme.

- A cóż papa chciał, żebym bałamucił pastorową? - zapytał zdziwiony Ferdynand. - Stare babsko, sama skóra i kości!

- No, bez konceptów ale! - zgromił go ojciec. - Właśnie był tu dziś u mnie pastor i prosił, ażeby noga twoja w jego domu nie powstała. Nie chce cię znać!

Ferdynand rzucił czapkę i laskę na jakieś dokumenta fabryczne, sam legł na szezlongu, wyciągnął się jak był długi, a pod głowę złożył rękę.

- A to mnie Böhme zmartwił! - rzekł śmiejąc się. - Owszem, zrobi mi łaskę, jeżeli uwolni mnie od nudnych wizyt. To rodzina dziwaków! Stary myśli, że mieszka między ludożercami i wiecznie chce kogoś nawracać albo cieszyć się z czyjegoś nawrócenia. Stara ma w głowie wodę, po której ciągle pływa ten uczoney ślimak - Józio. A panna jest święta jak ołtarz, na którym tylko pastorom wolno odprawiać nabożeństwa. Po dwojgu dzieciach schudnie biedactwo jak jej matka, a wtedy winszuję mężowi! Co on będzie robił z takim klekotem?... Nudni ludzie... Obrzydliwi pedanci. ....

- No tak, pedanci! - przerwał ojciec. - Z nimi ale nie puściłbyś we dwa lata siedemdziesięciu dziewięciu tysięcy rubli.

Ferdynand chciał w tej chwili ziewnąć, lecz nie dokończył. Siadł na szezlongu nie zdejmując z niego nóg i spojrzał na ojca z wyrzutem.

- Papa, widzę, nigdy nie zapomnisz tych kilku tysięcy rubli? - spytał.

- Naturalnie, że nie zapomnę! - krzyknął stary. - Co to jest, żeby ale człowiek mający rozum strwonił taką masę pieniędzy, diabeł wie na co?... Ja ci już wczoraj chciałem to samo powiedzieć.

Ferdynand czuł, że ojciec gniewa się nieszczerze. Opuścił nogi na podłogę, uderzył ręką w kolano i począł mówić;

- Mój ojczy, pogadajmy choć raz w życiu jak ludzie rozumni, bo sędzę, że papa nie uważa mnie już za dziecko ...

- Wariat jesteś! - mruknął stary, którego powaga syna chwyciła za serce.

- Otóż papa - ciągnął syn - jako człowiek głębiej patrzący na rzeczy, pojmujesz, choć wyznać tego nie chcesz, że ja - jestem takim, jakim mnie zrobiła natura i nasz ród. Ród nasz nie składał się z jednostek podobnych do pastora albo jego syna. Ród nasz nazwano niegdyś Adlerami, a więc ani żabami, ani rakami, ale istotami posiadającymi naturę orłów. Ród nasz, nawet fizycznie biorąc, składa się z ludzi olbrzymiego wzrostu i w gronie swym posiada jednostkę, która dziesięcioma palcami zdobyła miliony i znakomite stanowisko w obcym kraju. A więc ród nasz ma siłę, ma fantazję...

Ferdynand mówił to z prawdziwym czy fałszywym uniesieniem, a ojciec słuchał go wzruszony.

- Cóż jestem ja winien - ciągnął chłopak stopniowo podnosząc głos - żem po przodkach odziedziczył siłę i fantazję? Ja muszę żyć, ruszać się i działać więcej aniżeli jakieś Steiny, Blumy i zwykłe Vogle, bo ja jestem - Adler. Mnie ciasny kąć nie wystarcza: ja potrzebuję świata. Moja siła wymaga wielkich przeszkód do zwalczania, trudnych warunków bytu albo - hulatyki, bo inaczej pękłbym... Ludzie mojego temperamentu trzęsą państwami albo zostają zbrodniarzami... Bismarck, zanim rozbił Austrię i Francję, rozbijał kufle na łbach filistrów, był tym - czym ja dziś jestem... Ja zaś, ażeby wypłynąć na wierzch i być prawdziwym Adlerem, muszę znaleźć odpowiednie warunki. Dziś - żyję w nie swoim świecie. Nie mam czym zająć uwagi, zużyć siły i dlatego hulam, muszę hulać, bo inaczej zdechłbym jak orzeł w klatce... Papa miałeś w życiu swoje cele: rozkazywałeś setkom ludzi, puszczałeś w ruch maszyny, szarpałeś się z innymi o pieniądze. Ja i tej przyjemności nie mam!... Cóż będę robił?

- A któż ci broni zajmować się fabryką, dyrygować ludźmi i mnożyć kapitały? - spytał ojciec. - To byłoby lepsze niż przedwczesna hulatyka, która zjada pieniądze.

- Owszem! - wykrzyknął Ferdynand zrywając się na nogi. - Niech mi ojciec odda część swej władzy, a zaraz jutro wezmę się do pracy. Ja czuję jej potrzebę... W pracy, ale ciężkiej, rozwinęłyby mi się skrzydła... A więc oddaje mi ojciec kierunek nad fabryką? Obejmę go jutro, byle działać, bo mnie już męczy takie puste życie!

Gdyby stary Adler miał do rozporządzenia trochę łez, zapłakałby z radości. Tym razem musiał ograniczyć się na wielokrotnym uściskaniu ręki syna, który przeszedł jego nadzieje.

Ferdynand chce kierować fabryką! Co za szczęście! Za kilka lat majątek ich podwoi się, a wówczas - zamieniwszy go na pieniądze pójdą obaj w świat szukać szerszych widnokręgów dla młodego orlęcia.

Fabrykant źle spał tej nocy.

Na drugi dzień Ferdynand istotnie poszedł do fabryki i począł zwiedzać wszystkie oddziały. Robotnicy patrzyli na niego ciekawie, prześcigali się w udzielaniu mu objaśnień i spełnianiu rozkazów. Wesoły i przyjacielski chłopak w porównaniu ze swym groźnym ojcem dobre robił na nich wrażenie.

Z tym wszystkim około godziny dziewiętej rano przyszedł do kancelarii jeden z podmajstrzych ze skargą, że panicz żonę mu bałamuci i że między pracującymi kobietami zachowuje się niesfornie.

- To głupstwo! - mruknął Adler.

W godzinę po nim wbiegł obermajster przedzalni, przestraszony i zaperzony.

- Panie pryncypale! - zawołał do Adlera. - Pan Ferdynand dowiedziawszy się, że robotnikom zniżono płacę, namawia ich, ażeby opuścili fabrykę. Powtarza to we wszystkich salach i opowiada inne niesłychane rzeczy.

- Czy zwariował ten hultaj? - wykrzyknął stary.

Posłał natychmiast po syna i sam wybiegł naprzeciw niego.

Zetknęli się przed składami. Ferdynand miał w ustach zapalone cygaro.

- Co?... ty palisz cygaro w fabryce! Rzuć mi zaraz! - I począł tupać nogami.

- Jak to, więc mnie nie wolno palić cygar? - zapytał Ferdynand. - Mnie? Mnie?

- Nikomu nie wolno palić w obrębie fabrycznego muru! - wrzeszczał Adler. - Ty mi cały majątek puścisz z dymem, ty mi ludzi buntujesz! Wynoś się stąd!

Ponieważ zajście miało mnóstwo świadków, Ferdynand obraził się.

- O! - zawołał - jeżeli papa myślisz mnie w taki sposób traktować, to basta! Daję słowo honoru, że odtąd nie przestąpię progu fabryki! Dostyc mam w domu podobnych przyjemności.

Zadeptał cygaro i poszedł do pałacyku nie spojrzawszy na ojca, który sapał rozgniewany, a trochę i zawstydzony.

Gdy powtórnie zeszli się przy obiedzie, stary rzekł:

- No! daj ty mi spokój z twoją pomocą. Będę ci wypłacał trzysta rubli miesięcznie; dam ci powóz, konie, służbę i - rób sobie, co ci się podoba, byłeś do fabryki nie chodził.

Ferdynand oparł łokcie na stole, brodę na rękach i począł mówić:

- Mój papo! pogadajmy jak ludzie rozsądni. Ja w tym pałacyku życia marnować nie mogę. Nie wspomniałem papie dotąd, że jestem zagrożony chorobą spleenu i że doktorzy kazali mi unikać nudów. Tymczasem u nas życie jest bardzo jednostajne, a ja zaczynam wpadać w tęsknotę. Nie chciałem martwić papy, ale jeżeli jestem przez niego skazany na śmierć...

Ojciec przestraszył się.

- Daję ci przecież, wariacie, trzysta rubli na miesiąc! - krzyknął.

Ferdynand machnął ręką.



- No, więc czterysta...

Syn smutnie pokiwał głową.

- Sześćset, do diabła! - wrzasnął Adler uderzając pięścią w stół. - Więcej nie mogę, bo oszczędności fabryczne wyciągnięte jak struna. Ty mnie doprowadzisz do bankructwa!

- Ha! spróbuję żyć za sześćset rubli miesięcznie - odparł syn. - O! gdyby nie moja choroba!...

Wiedział biedak, że z podobnymi dochodami do Warszawy jechać nie warto. Tu jednak, na prowincji, mógł być królem miejscowej złotej młodzieży i - na tym obecnie poprzestał.

Był to młodzieniec na swój wiek rozsądny.

Od owego dnia Ferdynand począł znowu hulać, co prawda w szczuplejszym niż dawniej zakresie. Przede wszystkim złożył wizyty okolicznym obywatelom ziemskim. Poważniejsi nie przyjęli go, przyjęli chłodno albo nie rewizytowali, ponieważ stary Adler nie cieszył się dobrą opinią w okolicy, młodego zaś uważano za łobuza. Pomimo to udało mu się zawiązać albo odświeżyć znajomość z kilkunastu młodszymi i starszymi panami, tego co on stylu. Odwiedzał ich, zjeżdżał się z nimi w miasteczku albo przyjmował ich hucznie w domu ojca, którego piwnica i kuchnia w krótkim czasie wielką zyskały popularność.

Podczas takich uroczystości stary fabrykant wymykał się z domu. Pochlebiały mu wprawdzie tytuły i ułożenie niektórych przyjaciół Ferdynanda, w ogóle jednak nie lubił ich i często mawiał do buchaltera:

- Gdyby ci panowie razem złożyli swoje długi, mielibyśmy pod bokiem trzy fabryki takie jak nasza.

- Znakomite towarzystwo! - szepnął uniżony buchalter.

- Błazny! - odparł Adler.

- Ja też w tym znaczeniu mówiłem - dorzucił buchalter uśmiechając się pokornie i szyderczo spod zielonej umbrelki.

Ferdynandowi całe noce schodziły na grze w karty i pijaństwie. Miewał też miłosne przygody i zdobył sobie wielki rozgłos. W fabryce tymczasem ugniatały ludzi wszelkiego rodzaju oszczędności. Ściągano kary za spóźnianie się, za rozmawianie za szkody, niekiedy urojone; tym zaś, którzy nie umieli rachować, wprost urywano zarobki. Urzędnicy i robotnicy klęli pryncypała i jego syna, którego rozpustę widzieli, a co gorsza- sami ją musieli opłacać.

## Rozdział IV

Przed kilkudziesięcioma laty mieszkał w tej okolicy majątny szlachcic, którego sąsiedzi nazywali "dziwakiem". Istotnie, musiał to być osobliwy człowiek. Nie ożenił się, choć go swatano do późnej starości; nie hulał i - co stanowiło najciemniejszą plamę jego życia - bawił się w nauczanie chłopów.

Otworzył elementarną szkołę, w której dzieci przede wszystkim uczyły się czytania, pisania, religii, rachunków, tudzież szewstwa i krawiectwa. Każdy chłopiec musiał umieć szyc buty, sukmany, koszule, czapki, kapelusze i to stanowiło początek edukacji. Potem sprowadził ogrodnika, a następnie: kowala, ślusarza, stolarza i kołodzieja. I znowu każdy wychowaniec, który poznał krawiectwo i szewstwo, musiał uczyć się ogrodnictwa, kowalstwa, ślusarstwa i kołodziejstwa, a obok tego: arytmetyki w obszernym zakresie, geometrii i rysunku.

Sam pan wykladał im jeografią i historią, czytał książki naukowe i opowiadał mnóstwo anegdot, z których zawsze wypływała zasada: że trzeba być pracowitym, uczciwym, rozumnym, cierpliwym, oszczędnym i posiadać wiele innych przymiotów, ażeby zostać prawdziwym człowiekiem.

Okoliczni panowie sarkali na niego, że psuł chłopów, a ludzie fachowi wyśmiewali go, że dzieci uczył wszystkich rzemiosł. Ale on na zarzuty wzruszał ramionami i twierdził, że gdyby na świecie było wiele Robinsonów, którzy za młodu ze wszelkimi rzemiosłami obeznać by się musieli, to - byłoby mniej ludzi ograniczonych, hultajów i przykutych do jednego miejsca niewolników.

- Zresztą - mówił dziwak - taki jest mój kaprys, jeżeli chcecie. Wam wolno hodować pewne gatunki psów, bydła i koni, niechże mnie będzie wolno hodować pewien gatunek ludzi.

Szlachcic umarł nagle. Majątek po nim odziedziczyła rodzina, strwoniła go w ciągu kilku lat, a o szkole zapomniano, Ale szkoła wydała pewną liczbę jednostek dużej wartości ekonomicznej, umysłowej i moralnej, choć żaden z nich nigdy nie zajął wybitnego stanowiska.

Duch szlachcica musiał cieszyć się w niebie z kierunku swoich wychowańców na ziemi; on bowiem nie kształcił ich na geniusze, ale na użytecznych obywateli średniej miary, jakich pewnym społeczeństwom zawsze braknie.

Jednym z wychowańców nieboszczyka był Kazimierz Gosławski. I on uczył się za młodu różnych rzemiosł, ale głównie umiłował twarde, to jest ślusarstwo i kowalstwo. Obok tego umiał wyrysować plan maszyny i budowli, zrobić powikłany rachunek, przygotować drewniany model do odlewni, a od biedy - uszyć sobie kapotę i buty. Gosławski, im dłużej żył, tym dokładniej rozumiał metodę swego mistrza i pojmował praktyczną doniosłość jego moralnych anegdot. Wspomnienie o nim czcił jak świętość i wraz z żoną i czteroletnią córeczką modlił się co dzień za dobroczyńcę, bodaj czy nie goręcej aniżeli za własnych rodziców.

Ten Gosławski od siedmiu lat pracował w mechanicznym oddziale fabryki Adlera; zarabiał po dwa, czasem i po trzy ruble na dzień i, co prawda, był duszą swego warsztatu. Kołatał się

tam jakiś naczelny mechanik, Niemiec, biorący półtora tysiąca rubli rocznie; ale ten więcej zajmował się fabrycznymi plotkami aniżeli mechaniką.

Rzecz prosta, że dla utrzymania powagi ów naczelnik wydawał rozkazy i objaśniał robotników, ale w taki sposób, że nikt go nie rozumiał i nie słuchał. Było to dla fabryki szczęście; gdyby bowiem mechaniczne idee jego przyoblekano jak należy w stal, żelazo i drzewo, większa część machin po pierwszym zepsuciu się musiałaby iść na szmelc albo pod kocioł.

Dopiero gdy Gosławski poznał się z machiną, wyrozumiał jej uszkodzenie i podał plan naprawy, a głównie, gdy sam przyłożył ręki, machina szła dobrze. Niejednokrotnie prosty ten ślusarz przekształcał pojedyncze organa machin na inne; czasami robił wynalazki, ale o tym ani on, ani nikt nie wiedział. Gdyby wiedziano, wynalazek porachowałby się na karb geniuszu naczelnego mechanika, który wciąż chwalił się robotami, jakie wykonywał za granicą, i twierdził, że tylko w ciemnej Polsce nie może stworzyć nic nowego i wzbic się na stanowisko dyrektora kilku fabryk. Jakich? - mniejsza o to. Człowiek ten był pewny, że mógł kierować wszystkim: fabryką lokomotyw i fabryką pudrety - byle nie w Polsce, gdzie polot jego geniuszu krępowały: dzikość robotników, klimat i tym podobne przeszkody.

Adler zanadto miał bystre oko, ażeby nie poznać się na wartości Gosławskiego a nieudolności naczelnika warsztatu. Ponieważ jednak Gosławski wydawał mu się niebezpiecznym jako materiał na samodzielny pryncypała, a naczelny mechanik był dobrym plotkarzem, więc pierwszego trzymał w ukryciu, a drugiego na posadzie. Tym sposobem wszyscy byli zadowoleni, a świat ani domyślał się, że znakomita fabryka opiera się na głowie "eines dummen polnischen Arbeiters".

Gosławski był średniego wzrostu. Kiedy z wywiniętymi rękawami pracował schylony przy śrubstaku, wydawał się pospolitym robotnikiem z grubymi rękami i nieco wygiętymi nogami. Ale gdy spojrzał spod ciemnych włosów, które mu spadały na czoło, poznawałeś - rozwiniętego duchowo człowieka. Jego szczupła i blada twarz ujawniała nerwowe usposobienie, a spokój i szare, myślące oczy - panowanie rozsądku nad temperamentem.

Mówił - ani za wiele, ani za mało, niezbyt cicho i niezbyt głośno. Ożywiał się, ale nie wpadał w uniesienie, i umiał słuchać patrząc przy tym ciekawie i rozumnie w oczy mówiącemu. Tylko plotek fabrycznych słuchał nie odrywając się od pracy: - "bo to - jak mówił - na nic!" - ale najpilniejszą robotę przerywał, aby dowiedzieć się objaśnienia z zakresu swego zawodu. Względem kolegów trzymał się nieco na uboczu, ale życzliwie. Rad udzielał chętnie, nawet pomagał w drobnych robotach, ale sam o nic nikogo nie prosił: nie śmiał prosić, bo cudze wiadomości i czas tak szanował jak i cudze pieniądze.

Celem jego życia było: założyć własny warsztat kowalsko-ślusarski. O tym zawsze myślał i głównie dlatego oszczędzał część zarobków. Pieniądze trzymał w domu, pożyczać innym nie lubił, wolał raczej darować jakies parę złotych. Ale skąpym nie był. Oboje z żoną mieli dostatek odzienia, jadali skromnie, lecz przyzwoicie, a sam Gosławski nie żałował sobie przy niedzieli kufelka piwa, czasami - kieliszka wina.

Żyjąc tym trybem zebrał około półtora tysiąca rubli i przez znajomych wywiadywał się: czy który z obywateli ziemskich nie dałby mu budowli na otworenie warsztatu w majątku? W zamian za to Gosławski dworskim obstalunkom dawałby pierwszeństwo przed innymi. Układy takie między obywatelami i majstrami wyrobów żelaznych dokonywają się niekiedy, a Gosławski miał nawet upatrzone jedno miejsce od św. Michała.

Zarobki jego w fabryce były dość chwiejne. Gdy przyszło wyrabiać nowy przedmiot, w czym Gosławski był nieporównany, płacono mu od sztuki doskonale; lecz gdy wyrobił kilka sztuk i poduczył innych, niżano mu płacę do połowy, do czwartej, a niekiedy i do dziesiątej części. Czasami za to, za co przed kwartałem brał rubla, po kwartale brał 20 lub 10 kopiejek. Wówczas dla wyrównania zarobków przesiadywał w fabryce po kilka godzin dłużej; przychodził wcześniej i wychodził później.

Gdy inni skarżyli się, że pryncypał wyzyskuje wszystkich, Gosławski zwykle odpowiadał:

- Z nim tak samo robili, nie ma się czemu dziwić!

Ale niekiedy tracił cierpliwość i szeptał przez zaciśnięte zęby:

- Złodziej Szwab!

Żona dla zrobienia mu ulgi chciała także chodzić do fabryki, ale ją zgromił:

- Pilnuj lepiej dziecka i obiadu! Zarobisz dwa złote na fabryce, a w domu przez ten czas zginie rubel.

Wiedział on wprawdzie, że żona mogła zarobić i więcej, a dom straciłby mniej, ale - był ambitny i nie chciał, ażeby przysłała pani majstrowa zadawała się z pospolitymi robotnicami.

Mężem był dobrym. Czasami marudził, że jedzenie jest niesmaczne albo późno ugotowane, że dziecko zawałało się albo że bielizna zbyt mocno jest zafarbkowana. Ale nigdy nie wymyślał, a nawet nie podnosił głosu jak inni. Co niedzielę prowadził żonę o parę wiorst do kościoła, a jeżeli dzień był pogodny, brał córeczkę i niósł ją na rękach. Ile razy był w mieście, przynosił gościńca: dziecku obarzanek albo piernik, żonie tasiemkę, wstążkę, nici albo cukier i herbatę.

Córeczkę kochał i pieścił się z nią, ale tęsknił do syna, którego nie miał.

- Co to za pociecha z dziewczyny? - mówił nieraz. - Chowa się ją dla ludzi i jeszcze dopłacać trzeba, ażeby ją wzięli. - A syn - to podpora na starość, on by mógł i warsztat objąć...

- Miej ty najprzód warsztat, a syn się znajdzie - odpowiedziała żona.

- I, i, i!... gadasz mi to od trzech lat... Z ciebie już chyba nie będzie pociechy - kończył ślusarz.

Tymczasem żona nie na próżno chwaliła się i w szóstym roku małżeństwa, właśnie gdy młody Adler powrócił z zagranicy, powiła syna. Ślusarz był zachwycony. Na chrzciny wydał

ze trzydzieści rubli, a żonie sprawił nową suknię, nie licząc wydatków, jakie za sobą pociągnęła słabość. Z oszczędzonych pieniędzy ubyło mu około stu rubli, które do świętego Michała postanowił odzyskać.

Na nieszczęście w fabryce zaprowadzono oszczędności. Tym razem Gosławski kłął po społu z innymi, ale z podwojoną gorliwością pracował. Przychodził do fabryki o piątej, wracał do domu czasem o jedynastej w nocy, taki zmęczony i senny, że niekiedy z żoną się nie witał, dzieci nie ucałował, tylko upadał w ubraniu na łóżko i zasypiał jak kamień.

Taka nadzwyczajna gorliwość gniewała jego kolegów. Najbliższy zaś przyjaciel, Żaliński, który prowadził maszynę parową (człowiek otyły i prędko), rzekł raz do Gosławskiego:

- Cóż ty, Kazik, u diabła, tak podlizujesz się staremu i innym psujesz interes!... Kiedy wczoraj poszło do niego kilku skarżyć się, że zarobki są za małe, to im powiedział: "Róbcie jak Gosławski, to wam ale wystarczy".

Gosławski tłumaczył się:

- Mój kochany! - mówił - żona mi była chorą, po doktora musiałem trzy razy posyłać do miasta i płacić mu po dwa ruble; inne wydatki także były spore. Chciałbym odbić co się da, bo przecież idę na swój chleb. A że jeszcze ten kundel zniżył zapłatę, więc cóż mam robić?... Muszę orać do czasu, choć mnie i w piersiach kole, i w głowie się kręci.

- Bah! - wtrącił Żaliński - odbijesz to na czeladzi w swoim warsztacie.

Gosławski machnął ręką.

- Ja nie chcę korzystać z cudzej krzywdy. Nie dam swego, ale i nie zabiorę cudzego.

I wziął się znowu do roboty, która go tak już wyczerpywała, że czasami myśli zebrać nie mógł.

Byle doczekać własnego chleba, a wtedy o wszystkim się zapomni!

Praca jednak była za ciężka. Można zdobywać utrzymanie dla kilku osób, można część sił zamieniać na oszczędności dla jutra. Ale żywić rodzinę, oszczędzać, odzyskiwać poniesione wydatki na słabość żony i w końcu - płacić za podróże młodego Adlera, to przechodziło siły zwyczajnego człowieka. Gosławski czerpał już z kapitału zdrowia. Schudł, pobladł, zesmutniał. Czasami, obłany potem, zwieszał ręce na śrubsztaku i dziwił się, że w myśli jego, tak zwykle pełnej ruchu i kombinacji, dziś jest ciemno i pusto. Może ustałby w pracy, gdyby wśród owych ciemności nie czytał ognistego szyldu z napisem; "Mechaniczny warsztat Gosławskiego!"

Dalej!... już tylko trzy miesiące.

Tymczasem los znowu dopisał Adlerowi. Wyroby jego, rzeczywiście doskonałe, zyskały szerszy zbyt, a w lipcu fabryka otrzymała podwójną ilość obstalunków. Stary tkacz po naradzie z zaufanymi urzędnikami przyjął wszystkie zamówienia i jednocześnie za całą prawie gotówkę, jaką posiadał w banku, kazał kupić bawełny. Robotnikom zapowiedziano, że

będą pracowali do dziewiątej godziny co wieczór i że za godziny dodatkowe otrzymają półtora raza większą zapłatę. Postanowiono także urządzić kilkanaście nowych warsztatów i rozmyślano nad tym: w jaki by sposób zużytkować można było dni świąteczne? Adler i pod tym względem miał już gotowy plan. Za robotę w święta płaciłoby się z początku - ceny podwójne, w miarę zaś przyzwyczajania się robotników do nowości, zniżano by im płacę.

Według obrachowań fabrykanta, gdyby wszystko szło pomyślnie, bez nieprzewidzianych wypadków, to rok bieżący pozwoliłby mu ostatecznie zamknąć rachunki z tkactwem. Wówczas sprzedałby fabrykę, na którą chętnych nie brakło i zabrawszy kilka milionów rubli wyjechałby z synem za granicę.

W taki to sposób Gosławski i Adler, robotnik i pryncypał, prawie współcześnie zbliżali się do urzeczywistnienia swych nadziei: jeden do własnego warsztatu, drugi - do użycia nagromadzonych pieniędzy.

Spotęgowana działalność fabryki odbiła się przede wszystkim na warsztatach mechanicznych. Przyjęto kilku nowych ludzi, czas pracy obowiązkowej przedłużono do godziny dziewiątej, a nadobowiązkowej - do dwunastej w nocy. Za pierwsze dwie godziny płacono półtora raza, za następne trzy - dwa razy więcej niż zwykle. Jednocześnie zaprowadzono ściślejszą kontrolę, a jeżeli kto opuścił robotę przed terminem, wytrącano mu w taki sposób, że zysk redukowal się prawie do zera. Toteż robotnicy pilnowali się, a najwięcej Gosławski, który jako najbieglejszy w zawodzie musiał przesiadywać do północy.

Teraz już sam Gosławski uczuł, że ma za wiele obowiązków i poprosił Adlera o ulgę. Fabrykant przyznał mu słusność i zaproponował nowy układ. Gosławski odtąd miał brać zapłatę dzienną, robić własnoręcznie tylko te części machin, które wymagały największej dokładności, przeważnie zaś - pilnować biegu prac i udzielać objaśnień. Faktycznie więc był naczelnikiem warsztatu, do czego jednak dołączono mu zajęcia zwykłego robotnika z pensją majstra.

Takie warunki, których nie przyjąłby żaden Niemiec, z początku pochlebiały Gosławskiemu. Niebawem jednak przekonał się, że go i tym razem wyzyskano: pracę bowiem fizyczną miał wciąż tak wielką jak dawniej, a nadto - musiał wyteżać umysł. Cały dzień upływał mu na przebieganiu od kowadła do śrubsztaka, od śrubsztaka do tokarni, przy czym nieustannie nachodzili go koledzy, którym zdawało się, że Gosławski nie tylko powinien ich objaśnić, ale i sam wszystko robić.

W końcu lipca Gosławski wyglądał jak automat. Nie uśmiechał się, o rzeczach nie mających związku z warsztatem prawie nie rozmawiał, a nawet zaniedbał się w ubraniu, on, tak lubiący porządek. Z żoną nie chodził w niedzielę do kościoła, a natomiast spał do południa. W stosunkach bywał opryskliwym.

Największą przyjemność znajdował w spaniu, jak człowiek powracający do zdrowia. Żywsze zaś uczucie błyskało w nim chyba wówczas, gdy całował syna na dzień dobry i na dobranoc.

Gosławski rozumiał swój stan, wiedział, że pożera go praca, ale usunąć się od niej nie miał sposobu. Z owym obywatelem, który dawał mu budowlę na warsztat, umowa miała być podpisana dopiero w sierpniu, a przeprowadzić się na miejsce mógł dopiero w październiku.

Cóż zatem robić? Jeżeli dziś rzuci fabrykę, musi żyć z gotówki i przez dwa miesiące straci paręset rubli, tak ciężko zapracowanych i tak na początek niezbędnych. Trzeba więc trzymać się obecnego stanowiska i wyęczać siły. Miał zresztą nadzieję, że tygodniowy odpoczynek po przeprowadzeniu się na własne gospodarstwo orzeźwi go i przywróci zachwianą równowagę sił.

Swoją drogą, tak dalece obrzydła mu fabryka, że nosił przy sobie kalendarzyk i każdy upłyniony dzień wykreślał. Już tylko półtrzecia miesiąca... Już sześćdziesiąt pięć dni... Już dwa miesiące!...

## Rozdział V

Pewnej soboty, w sierpniu, w nocy, warsztat mechaniczny kipiał bieganiną i pracą.

Warsztat składał się z obszernej sali, pełnej okien jak oranżeria. Pod jedną ścianą leżała parowa machina, nadająca ruch wykonawczym mechanizmom, pod drugą - stały dwa ogniska kowalskie. Znajdował się tu jeszcze mały młotek, podrzucany palczastym kołem, kilkanaście śrubstaków ślusarskich, tokarnia, bormaszyny i inne przyrządy.

Zbliżała się północ. W reszcie fabryki światła dawno pogasły, znużeni tkacze spali w mieszkaniach; ale tu panował ruch. Przyśpieszony oddech maszyny parowej, tętnienie tłoków, huk młotów, turkot tokarni, zgrzyt pilników - potęgowały się na tle nocnej ciszy. W atmosferze nasyconej parą, pyłem węgla i delikatnymi opiłkami żelaza, jak błędne ognie migotały płomienie kilkudziesięciu lamp gazowych. Przez wielkie okna, nieustannie drgające od łoskotu, zaglądał księżyc.

W sali prawie nie rozmawiano. Robota była pilna, godzina późna, więc ludzie spieszyli się w milczeniu. Tu grupa czarnych kowali dźwiga wielką, rozpaloną do białości sztabę żelaza pod młot. Tam szereg ślusarzy jak na komendę schyla się i podnosi nad szeregiem śrubstaków. Naprzeciw nich zgięci tokarze pilnują obrotu swoich machin. Spod młotów pryskają iskry. Czasami rozlega się rozkaz albo przekleństwo. Niekiedy kucie i piłowanie przycicha, a wówczas słychać żalostny jęk wiatraków dmuchających na kowalskie ogniska.

Największą tokarnię obsługuje Gosławski. Obtacza on duży stalowy walec, który musi być wyrobiony bardzo dokładnie. Ale praca idzie niesporo. Gosławski dziś miał tyle zajęć, że nie mógł nawet opuścić warsztatu w czasie pauzy wieczornej: jest więc bardzo zmęczony i senny. Trapi go lekka gorączka; strugi potu oblewają mu ciało.

Chwilami skutkiem zmęczenia doświadcza sennych halucynacji i zdaje mu się, że jest gdzie indziej, nie w warsztacie. Wnet jednak otrząsa się, zasmolonymi rękami przeciera oczy i z trwogą spogląda: czy nóż nie za wiele zebrał z walca?

- Oto spać się chce! - rzekł do niego sąsiad.

- Prawda! - odparł Gosławski siadając na stolku.

- Chyba tak z gorąca - zauważył sąsiad. - Maszyna ogromnie rozpalona, kowale robią przy obu ogniskach... Zresztą już późno... Zażyj pan tabaki!

- Bóg zapłać! - podziękował Gosławski. - Fajka by mnie orzeźwiła, ale nie tabaka... Napiję się lepiej wody.

Odszedł parę kroków i zardzewiałym kubkiem zaczerpnął wody z beczki. Ale woda była ciepła i Gosławski, zamiast orzeźwić się, uczuł, że jeszcze bardziej potnieje i opada z sił.

- Która u pana godzina? - zapytał sąsiada.

- Trzy kwadransy na dwunastą... Skończysz pan dziś robotę?

- Zdaje się, że skończę - odparł Gosławski, - Jeszcze trzeba na jaki włos zebrać... a tu mi się tak dwoi w oczach.

- Z gorąca! Z gorąca! - mówił sąsiad.

Zażył znowu tabaki i poszedł do swojej tokarni.

Gosławski zmierzył średnicę toczzonego walca, posunął nóż, ścisnął go śrubą i znowu puścił w ruch maszynę. Po chwilowym wysiłku uwagi nastąpiła w nim reakcja i począł drzemać stojąc, z oczyma wlepionymi w błyszczącą powierzchnię walca, na którą upadały krople wody.

- Czyś pan do mnie co mówił? - zapytał nagle sąsiada.

Ale sąsiad, pochylony nad swoim warsztatem, nie słyszał pytania. Teraz wydało się Gosławskiemu, że jest u siebie w domu. Żona i dzieci śpią, na komodzie pali się przykręcona lampa, jego łóżko już rozebrane. Oto stół, przy nim krzesło... Znużony, chciał usiąść na krześle, więc - oparł ciężką rękę na krawędzi stołu...

... W tej chwili tokarnia dziwnie zgrzytnęła. Coś w niej pękło, zaczęło się łamać i - straszny jęk ludzki rozległ się po warsztacie,...

Prawa ręka Gosławskiego dostała się między tryby, które zajęły mu naprzód palce, potem dłoń, potem kość łokciową. Krew trysnęła. Nieszczęśliwy oprzytomniał, jęknął, szarpnął się i - padł obok tokarni. Przez mgnienie oka wisiał jak przykuty do maszyny, ale zmiażdżone kości i poszarpane mięśnie nie mogły utrzymać ciężaru, przerwały się i Gosławski runął na ziemię.

Wszystko to stało się w ciągu kilkunastu sekund.



- Wstrzymać maszynę! - krzyknął sąsiad Gosławskiego.

Ślusarze, tokarze, kowale porzucili robotę i zbiegli się do rannego. Maszynę wstrzymano. Jeden z robotników wylał na Gosławskiego konewkę wody. Jakiś młody robotnik, zobaczywszy fontannę krwi, tryskającą na tokarnią, na podłogę i na obecnych, dostał spazmów; kilku wybiegło z warsztatu, nie wiadomo po co.

- Doktora!... - zawołał zmienionym głosem ranny.

- Bierzcie konie! Biegnijcie do miasteczka! - krzyczeli robotnicy jak nieprzytomni.

- Krew! krew! - jęczał ranny.

Obecni nie wiedzieli, czego chciał.

- Na miłość boską, zatamujcie krew! Zwiążcie rękę.

Ale nikt się nie ruszył. Jedni nie wiedzieli, jak związać rękę, drudzy osłupieli.

- Oto fabryka! - krzyknął sąsiad Gosławskiego. - Ani doktora, ani felczera. Gdzie Szmit? Biegnijcie po Szmita!

Kilku ruszyło po Szmita, owego robotnika, który miał zastępować felczera. Tymczasem stary kowal, przytomniejszy widać od innych, ukląkł przy rannym i ścisnął mu palcami rękę powyżej łokcia. Krew poczęła spływać wolniej. Rana była straszna. Zamiast dłoni zostały tylko dwa palce, wskazujący i wielki.

Reszta ręki prawie do łokcia była poszarpana i jakby usiekana z zakrwawionymi szmatami koszuli.

Ledwie w kwadrans zjawił się Szmit, przerażony nie mniej od innych. Obwiązał on zmiążdżoną rękę mnóstwem gałganów, które natychmiast przesiąkły krwią, i kazał zanieść rannego do domu.

Koledzy położyli go na warsztatowych noszach; dwu niosło go, dwu podtrzymywało mu głowę; reszta otoczyła ich - i tak szli gromadą.

W kantorze nie było nikogo; w pałacyku Adlera nie świeciło się. Psy zwietrzywszy krew zaczęły wyć. Nocny stróż zdjął czapkę i patrzył wyblakły na orszak posuwający się z wolna po gościńcu oświetlonym blaskami księżyca.

W otwartym oknie robotniczego domu ukazał się człowiek ubrany w bieliznę i zapytał:

- Hej! a co tam?

- Gosławskiemu urwało rękę! - odpowiedziano z gromady.

Chory cicho jęczał.

Z daleka na gościńcu rozległ się turkot i kłus. Ujrzano parę siwych koni, stangreta w liberii na koźle, a w głębi powozu - rozwalonego Ferdynanda Adlera, który z pijatyki wracał do domu.

- Na bok! - krzyknął stangret na gromadę.

- To ty zjedź na bok, bo my niesiemy rannego.

Smutny orszak zrównał się z powozem. Młody Adler ocknął się z drzemki, wychylił się z powozu i zapytał:

-A to co?

- Gosławskiemu urwało rękę.

- Czy temu, co ma ładną żonę?

Chwila milczenia.

- Widzisz, jaki mądry! - mruknął ktoś.

Ferdynand oprzytomniał i zmieniając ton mowy zapytał:

- Doktor opatrzył go?

- Doktora nie ma przecież w fabryce!

- Ach prawda!... A felczer?

- I felczera nie ma!

- Aha! To trzeba posłać konie do miasteczka.

- Jużci że trzeba - odpowiedział ktoś. - Może wielmożny pan zaraz z miejsca każe zawrócić?

- Moje konie są zmęczone - odparł Ferdynand - ale wyślę inne. Powozik ruszył.

- Podły! - rzekł jeden z robotników. - Jak my zmęczymy się przy robocie, to nas nie zmienia, ale o konie dba!

- Bo konia trzeba kupić, a ludzie są darmo - wtrącił inny.

Gromada doszła do domu, w którym mieszkał Gosławski. W oknie paliła się jeszcze lampa. Jeden z robotników ostrożnie zapukał.

- Kto tam?

- Niech pani Gosławska otworzy!

Po chwili we drzwiach ukazała się do połowy rozebrana kobieta.

- Co to jest? - zapytała patrząc na gromadę przerażona.

- Mąż pani trochę skaleczył się i przynieśliśmy go.

Gosławska podbiegła do noszów.

- Jezu mój! - krzyknęła. - Co tobie, Kaziu?

- Nie budź dzieci - szepnął mąż.

- Matko miłosierna, krew!... Tyle krwi!

- Cicho! cicho! - szeptał ranny. - Rękę mi urwało, ale to nic. Poślijcie po doktora.

Kobieta zaczęła łkać, trząść się. Dwaj robotnicy wzięli ją pod rękę i wprowadzili do pokoju. Inni wnieśli rannego, który siniał z bólu i gryzł wargi, lecz obawiał się jęknąć, aby nie obudzić dzieci.

Z rana doniesiono Adlerowi o wypadku. Wysłuchał pograżony w zamyśleniu i spytał:

- A doktor był?

- Posłano do miasta w nocy, ale i doktor, i felczer rozjechali się do chorych.

- Trzeba sprowadzić innego. Trzeba także wysłać ale depeszę do Warszawy po ślusarza na miejsce Gosławskiego.

Około godziny dziesiątej poszedł do warsztatu obejrzeć tokarnię, która zepsuła się.

Przy nieszczęsnej maszynie stąpił niechcący w kałużę krwi i drgnął, ale wnet zapanował nad sobą. Uważnie przypatrzył się zębatym kołom, na których widać było zsiadłą krew, ciało ludzkie, parę kawałków płótna z koszuli i kilka szczerb.

- Czy mamy jeszcze takie same kółko? - zapytał mechanik.

- Tak! - szepnął blady Niemiec, którego widok krwi przyprawiał o mdłości.

- A doktor jest?

- Jeszcze nie ma.

Adler syknął. Nieobecność lekarza robiła na nim przykre wrażenie.

Około południa dano znać fabrykantowi, że doktor przyjechał. Stary szybko wyszedł z domu. Przechodząc około drzwi Ferdynanda, który po pijatyce jeszcze spał, zapukał w nie kijem; ale syn nie odezwał się.

Przed mieszkaniem Gosławskiego stało dużo robotników. W kościele mało kto był. Wszyscy pragnęli dowiedzieć się o losie rannego i usłyszeć szczegóły wypadku. Gosławską i dzieci wzięła do siebie sąsiadka.

Tłum szemrał, ale gdy zobaczono Adlera, umilkły rozmowy. Tylko najbojaźliwsi witali się z nim, inni odwracali się, a śmielsi patrzyli na niego nie uchylając czapek.

- Fabrykanta coś tknęło.

- Czego oni chcą ode mnie? - pomyślał.

Zaczepił jednego z robotników Niemców i spytał, jak się chory ma.

- Nie wiadomo - odparł zapytany pochmurno. - Podobno mu odjęli całą rękę.

Adler posłał po doktora, aby wyszedł do niego.

- No, jak tam? - zapytał fabrykant.

- Umiera - odpowiedział lekarz.

Adler zatoczył się i rzekł podniesionym głosem:

- To nie może być! Ludzie przecież tracą obie ręce, nawet obie nogi, a jednak nie umierają...

- Opatrunek był zły, krew uszła. Przy tym chory jest przepracowany.

Odpowiedź ta rozeszła się prędko między stojącymi przy domu. Tłum znowu począł szemrać.

- Ja ale dobrze panu zapłacę! - rzekł Adler. - Niech pan tylko jego pilnuje starannie. To nie może być, ażeby mężczyzna z takiego skaleczenia umierał!

W tej chwili chory odezwał się. Lekarz pobiegł do mieszkania, a fabrykant zwrócił się z powrotem ku domowi.

- Gdyby doktor był przy fabryce, nie stałoby się nieszczęście! - zawołał ktoś z tłumu.

- Nam wszystkim zejdzie na taki koniec, jeżeli będą nas trzymali w warsztatach do północks! - krzyknął drugi.

Tu i ówdzie poczęto kląć i grozić. Ale olbrzymi tkacz włożył ręce do kieszeni i z podniesioną głową szedł przez największy tłum. Tylko oczy miał przymknięte i szyja mu zbladła. Zdawał się nie słyszeć tego, co mówią dalsi, a bliżsi rozstępowali się przy nim instynktownie odgadując, że człowiek ten nie lęka się ani klątw, ani pogrózek, ani nawet otwartej napaści.

Nad wieczorem Gosławski, którego nie odstępował doktor, wezwał żonę; weszła na palcach chwiejąc się i powstrzymując łzy, które jej wzrok zasłaniały.

Ranny leżał dziwnie wynędzniały, z osłupiałymi oczyma. Przy mroku zdawało się, że twarz jego ma barwę ziemi.

- Gdzie jesteś, Magdziu? - spytał niewyraźnie, a potem mówił z długimi przerwami. - Już nic z naszego warsztatu! Nie ma ręki! Za nią i ja pójdę, bo po co bym miał darmo chleb zjadać?

Żona zapłakała.

- Czy jesteś tu, Magdziu?... Pamiętaj o dzieciach. Pieniądze są w tej szufladce, wiesz... Na mój pogrzeb... Tyle much lata mi przed oczami... Tak piszczy...

Zaczął się niespokojnie poruszać i chrapać jak człowiek, który twardo zasypia. Doktor dał znak ręką i ktoś gwałtem wyprowadził Gosławską do mieszkania sąsiadów.

W kilka minut wszedł tam lekarz. Biedna kobieta spojrzała mu w oczy i z płaczem uklękła na ziemi.

- O panie! dlaczego pan wyszedł od niego?... Czy z nim tak źle? Czy może...

- Bóg panią pocieszy - rzekł doktor.

Otoczyły ją kobiety i starały się uspokoić.

- Nie płaczcie, pani Gosławska. Bóg dał, Bóg wziął!... Wstańcie. Nie płaczcie, bo was dzieci usłyszą.

Wdowa aż zatchnęła się.

- O, zostawcie mnie na ziemi, mnie tu lżej - szepnęła.- Niech wam Bóg da wszystko dobre, tak jak mnie dał złe. Już nie ma Kazika!... O mój ty człowieku kochany, po cóżeś tyle pracował i cierpiał?... Jeszcze onegdaj mówił, że w październiku będziemy na swoim... Masz swój grób, ale nie warsztat... Och...

Aż czkawki dostała z płaczu i poczęła gryźć chustkę, byle łkań nie usłyszały dzieci.

Ale gdy do mieszkania nieboszczyka weszło kilku robotników i poczęli odsuwać sprzęty, gdy zrozumiała, że męża jej żaden hałas już nie obudzi, jęknęła straszonym głosem i wpadła w omdlenie.

Śmierć Gosławskiego stała się źródłem zaburzeń w fabryce i kłopotów dla Adlera. We wtorek przyszła do niego deputacja prosząc, aby pozwolił wszystkim robotnikom wyjść na pogrzeb. Fabrykant uniósł się gniewem, pozwolił wysłać po kilku delegatów z każdej sali, a jednocześnie zapowiedział, że każdy inny robotnik, który poważy się opuścić warsztat, zapłaci karę.

Pomimo to większa część robotników tłumem wyszła. Adler nakazał zrobić apel, każdemu nieobecnemu strącić z płacy połowę dziennego zarobku i dwa złote za karę.

Wówczas gorętsi zaczęli namawiać kolegów do porzucenia fabryki, a jeden z palaczy bąknął, że warto by kocioł wysadzić w powietrze. W każdym innym razie Adler gawędy te

puściłby mimo uszu, ale teraz wściekłość go ogarnęła. Szemrania nazwał buntem, zażądał straży z miasta, śmielszych wygnał raz na zawsze, a palaczowi wytoczył proces.

Wobec tak stanowczych kroków robotnicy zmiękli. Przestali grozić bezrobociem, lecz natomiast żądali, ażeby Adler przyjął na powrót wygnanych, a za pieniądze z kar ażeby choć felczera ugodził do fabryki.

Adler odpowiedział na to, że zrobi tak, jak jemu się podoba i kiedy mu się podoba, a o wypędzonych ani chciał słuchać.

W następny poniedziałek było już cicho w fabryce, a pastor Bohme przyjechał do Adlera, ażeby go udobruchać i skłonić do słusznych ustępstw dla robotników. Nadspodziewanie zastał przyjaciela swego bardziej zaciętym niż kiedykolwiek. Na wszystkie przedstawienia stary tkacz odpowiadał, że jeżeli miał co zrobić, to już teraz nic nie robi. Raczej zamknie fabrykę.

- Ty ale wiesz, Marcinie - mówił Adler - że oni nas w gazetach opisali? W jakimś piśmie humorystycznym wyśmiewają mego Ferdynanda, a w dziennikach mówią, że Gosławski zginął z powodu nadmiaru pracy i braku doktora!...

- Juźci w tym jest część racji... - odparł Bohme.

- Nie ma żadnej! - krzyknął fabrykant. - Ja więcej pracowałem niż Gosławski i każdy niemiecki robotnik więcej pracuje. A doktor mógł być tak samo wyjechać z fabryki do chorego, jak wyjechał z miasteczka...

- Zostałby jednak felczerek... - wtrącił pastor.

Adler na ten zarzut nic nie odpowiedział. Chodził po pokoju wielkimi krokami i sapał; w końcu zaproponował gościowi, ażeby przenieśli się z mieszkania do ogrodu.

- Johann! - krzyknął na odchodnym - wynieść flaszkę reńskiego wina do altanki.

Przyszli do altany, która stała nad sadzawką. Łagodny powiew wiatru, chłód drzew, a może i kielich dobrego wina uspokoiły Adlera. Bohme przypatrywał się olbrzymowi przez wierzch złotych okularów, a widząc w nim zmianę na lepsze umyślił przypuścić jeszcze jeden atak.

- No! - rzekł trącając jego kieliszek swoim. - Człowiek, który pije takie doskonałe wino, nie może mieć twardego serca. Daruj im karę, miły Gotliebie, przyjmij wypędzonych i zgódź doktora... Za twoje zdrowie...

- Piję za twoje zdrowie, Marcinie, i powiadam: nic z tego!... - odparł fabrykant już bez gniewu.

Pastor potrząsnął głową.

- Hm!... - mruknął - to źle żeś taki zacięty.

- Nie mogę moich interesów poświęcać dla sentymentu. Jeżeli dziś ustąpię im na tysiąc rubli, to oni jutro zechcą miliona.

- Przesadzasz! - odparł Bohme kwaśno. - A ja ci powiem, że jeżeli za dziesięć tysięcy rubli możesz skończyć tę historię, to daj piętnaście - i kończ!...

- Już się ale wszystko skończyło - rzekł Adler. - Hultaje poszli precz, a inni dowiedzieli się, że u mnie jest rygor. Gdybym ja był taki miękki jak ty, cała fabryka chodziłaby mi po głowie.

Pastor umilknął, podniósł oczy do góry, zamyślił się. Potem począł rzucać na czystą powierzchnię sadzawki to korek, to kawałki drzewa...

- Czego ty ale, Marcinie, rzucasz śmiecie na wodę? - spytał go Adler. Pastor pokiwał głową i wyciągnął rękę w kierunku sadzawki, na której każdy rzucony przedmiot wytwarzał coraz szersze koła.

- Czy widzisz, Gotliebie, te fale?... - spytał fabrykanta. - Widzisz, jak one rosną i płyną coraz dalej?...

- Tak się zawsze robi - odparł Adler. - Cóż w tym dziwnego?

- Masz rację - rzekł pastor. - Tak się robi zawsze i wszędzie: na sadzawce i w naszym życiu. Kiedy złe czy dobre upadnie na świat, powstają około niego fale coraz większe i idą dalej a dalej...

- Nic nie rozumiem! - przerwał Adler pijąc flegmatycznie wino z kielicha.

- Zaraz ci wytłumaczę, tylko nie gniewaj się.

- Ja się na ciebie nigdy przecie nie gniewam - odpowiedział fabrykant.

- Otóż, widzisz, jest tak. Ty źle wychowałeś syna i rzuciłeś go w świat, jak ten patyk na wodę. On narobił długów, i to jest pierwsza fala. Ty zniżyłeś płace robotnikom i oddaliłeś lekarza, a to jest druga fala. Śmierć - to trzecia. Nieporządki w fabryce i opisy w gazetach - czwarta. Wypędzanie robotników, procesy - to piąta fala... A jaka będzie szósta i dziesiąta?...

- Nic mnie to nie obchodzi! - rzekł Adler. - Niech sobie twoje fale idą w świat i trapią głupich, mnie nic do tego...

Pastor rzucił korek przy brzegu sadzawki i znowu wskazał go tkaczowi. - Patrz, Gotliebie! Niekiedy dziesiąta fala odbija się od brzegu i wraca... tam, skąd wyszła.

Starego fabrykanta zastanowiło to porównanie, bardzo zresztą jasne. Przez chwilę można było myśleć, że się waha, że zbudziła się w nim jakaś nieokreślona obawa.

Ale trwało to tylko chwilę. Adler miał umysł zbyt realny i zbyt słabą wyobraźnię, ażeby mógł bawić się w przeczuwanie odległych wypadków. Osądził więc, że pastor bredzi po kaznodziejsku, i odparł, śmiejąc się, grubym głosem:

- Ho! ho! mój Marcinie, toteż ja postarałem się, ażeby twoja fala nie wróciła do mnie.

- Kto wie?...

- Ani doktor nie wróci, ani podżegacze do bezrobocia, ani pieniądze za kary, ani... ani nawet Gosławski!...

- Nieszczęście może wrócić...

- Ho! ho!... nie wróci, nie!... A jeżeli wróci, rozbije się o moją pięść, o fabrykę, o towarzystwo asekuracyj, o policję, a nareszcie - o mój majątek...

Późno w nocy rozeszli się przyjaciele.

- Jaki to wariat z tego Marcina! - myślał fabrykant. - On mnie chce nastraszyć!...

A pastor jadąc swoim wózkiem do domu patrzył w niebo i z trwogą zapytywał:

- Jaka tu fala powróci?...

Porównanie to przyszło mu na myśl znieczeka i Bohme uważał je za pewien rodzaj objawienia. Wierzył, że fala krzywdy wrócić musi, ale kiedy i która?...

Tej nocy miał niespokojne sny. Rzucił się i krzyczał, aż zbudziła go żona.

- Marcinie! co ty wygadujesz?... Czyś chory?...

Bohme siadł na łóżku oblany zimnym potem.

- Czy ci się śniło co strasznego?... - zapytała żona.

- Tak, ale nie pamiętam... Czy ja co mówiłem?...

- Wołałeś coś nie do rzeczy. "Fala!... wraca!... wraca!..."

- Niech nas Bóg ma w swojej opiece! - szepnął pastor czując w głębi serca wielką trwogę.

## Rozdział VI

W oczach ludzkich złe czy dobre życiowe fakta wówczas dopiero zdają się nabierać znaczenia, gdy odbiją się w druku. O starym Adlerze od dawna wiadano, że jest egoistą i wyzyskiwaczem, o Ferdynandzie, że jest egoistą i rozpustnikiem; ale dopiero artykuły wydrukowane z powodu śmierci Gosławskiego oburzyły przeciw nim opinią.

Teraz cała okolica poczęła zajmować się fabryką. Opowiadano o wszystkim, co się tam działo, i komentowano w odpowiedni sposób. Ludzie wiedzieli o najdrobniejszych szczegółach. Wiedzieli, ile Ferdynand narobił długów za granicą, ile obecnie tracił, i co jego ojciec odbijał na zmniejszaniu zarobków a powiększaniu pracy robotnikom. Nade wszystko jednak oburzano się z powodu śmierci Gosławskiego, który w oczach ogółu był ofiarą chciwości starego fabrykanta i rozpusty jego syna.



Wprawdzie niektórzy wspominali, że w każdym zakładzie przemysłowym i przy każdej maszynie, nie wyłączając młocarni i siewczarni, może trafić się nieszczęście. Ale ich łatwo pokonywano. Jak to, mówiono, więc w fabryce godzi się trzymać robotników od świtu do północy? Więc w zakładzie posiadającym setki maszyn nie powinien być lekarz i felczer? Czy Adler jest tak ubogi, że tysiąc rubli wydanych na obsługę sanitarną zrobi mu różnicę? Wszakże dawniej był tam lekarz i felczer i dopiero gdy młody narobił długów, stary spłaca je krwią ludzi, których i bez tego wyzyskiwał.

Taki nastrój opinii niebawem dał się uczuć Ferdynandowi. Paru ludzi młodych na wyraźny rozkaz swoich rodziców zerwało z nim stosunki. Inni bardzo ochłodli i postępowali z Ferdynandem raczej przyzwoicie aniżeli serdecznie. Nawet i od tych przyjaciół, jacy mu pozostali, a pozostali nie najświetniejsi, słyszał nieraz zdania wyglądające na przycinki.

Nie dość na tym. W hotelu, w restauracji, winiarni, cukierni, które to zakłady wiele na nim zarabiały, podsuwano mu, jakby umyślnie, pisma, w których znajdowały się korespondencje o przyczynach śmierci Gosławskiego. A gdy raz otoczony swoim sztabem zapytał subiekta: czy jest w sklepie dobre czerwone wino? - odpowiedziano mu:

- Jest, panie!... czerwoniutkie jak krew...

Może w kim innym podobne objawy zbudziłyby zastanowienie. Ktoś inny widząc powszechną niechęć może usunąłby się na jakiś czas, a nawet zmienił tryb życia i starał się oddziaływać na ojca. Ale Ferdynand nie należał do rzędu tych innych. On przede wszystkim nie mógł pracować, chciał hulać, nie słuchał opinii, lecz przeciwnie - drażnił ją i wyzywał. Sądząc po swoich marnych przyjaciółkach, był pewny, że prędzej lub później wszyscy ugną się przed nim, że nikt nie ośmieli się stawić mu oporu. Głucha walka tocząca się między nim i ogółem gniewała go i podniecała. Widział w niej nie tylko źródła przykrości, ale i przyszłego tryumfu; był bowiem zdecydowany pierwszemu człowiekowi, który mu wejdzie w drogę, zrobić awanturę. A tak czuł potrzebę awantury, czegoś, co by mu wstrząsnęło nerwy i wyrobiło opinię niebezpiecznego!

Był to syn ojca, który także lubował się w druzgotaniu przeszkód, chociaż na innej drodze.

Niemiałą osobą dla Ferdynanda był niejaki Zapora, obywatel ziemski i sędzia gminny. Człowiek ten, wzrostu średniego, gruby, niezręczny, miał powierzchowność surową i odpychającą. Patrzył spod oka, mówił niewiele, głosem stanowczym, nie robiąc z nikim ceremonii i nazywając ludzi i rzeczy po imieniu. Pod tą jednak skorupą ukrywał się wielki rozum i obszerna wiedza, serce pełne szlachetnych uczuć i nieugięty charakter.

Zapory nie można było przekupić uprzejmością, dowcipem, stanowiskiem ani ładnymi teoriami. Słuchał wszystkiego obojętnie, ponuro patrząc na mówcę; ale rachował tylko czyny i starał się wnikać w głębię człowieka. W kim poznał prawość, ten stawał się jego przyjacielem w dobrej i złej doli. Ale ludźmi złymi, pozbawionymi charakteru, próżnującymi, hulakami, gardził i nie starał się tego ukrywać.

Młody Adler spotykał niekiedy chmurną osobę sędziego, ale nie rozmawiał z nim ani razu - nie miał sposobności. Zapora ze swej strony nie szukał go i nie unikał, nie zajmował się nim, a w rozmowie z przyjaciółmi nazywał go "błaznem".

Ludzie żyjący w bliższych stosunkach z Zaporą wiedzieli, że słówko: "ten błazen", oznaczało młodego Adlera. Doświadczeni przewidywali, że wcześniej lub później Zapora i Ferdynand w ciasnej sferze małomiasteczkowego życia zetkną się muszą i że młody hulaka usłyszy niejedną gorzką prawdę.

Jak zwykle w podobnych wypadkach Ferdynand podejrzewał, że Zapora nie lubi go; z robieniem więc znajomości nie spieszył się. Zresztą posądzał on Zaporę o pisanie korespondencji o Gosławskim i obiecywał sobie, że przy okazji odpłaci mu pięknym za nadobne.

W początkach września był w miasteczku jarmark. Zjechało się dużo szlachty z kilku powiatów, przyjechał i Zapora, który miał w mieście kancelarię. Załatwił najpilniejsze sprawy urzędowe, kupił, co mu było potrzeba, i około drugiej w południe poszedł do restauracji na obiad.

W największej sali znalazł tłum znajomych. Wszystkie stoły ustawione w jeden szereg nakryto i ozdobiono mnóstwem butelek wina, przeważnie szampańskiego. Przygotowania zdawały się zapowiadać niezwykłą pijatykę.

- Cóż to znaczy? - spytał Zapora. - Czy kto zamówił obiad?

- Wyobraź sobie - rzekł ktoś ze śmiechem - że młody Adler zakupił wszystkie obiady i każdego, kto tu wejdzie, zaprasza na bankiet.

- Spodziewam się, że i sędzia nie odmówi nam swego towarzystwa - odezwał się jeden z przyjaciół Adlera.

Zapora spojrzał na niego z boku.

- Odmówię! - odparł.

Młody człowiek, nie odznaczający się nadmiarem taktu, począł nalegać.

- Dlaczego to, szanowny sędzio?

- Dlatego, że na obiad, wydany za pieniądze starego Adlera, mógłby mnie prosić tylko stary Adler, a gdyby on mnie zaprosił - także bym odmówił.

Do rozmowy wmieszał się drugi przyjaciel Ferdynanda.

- Czy sędzia masz co do zarzucenia Adlerowi?

- Niewiele. Stary jest eksploatatorem, młody próżniakiem, a obaj przynoszą nam więcej szkody aniżeli pożytku.

Sumienie publiczne pierwszy raz odezwało się tak wyraźnie, przez usta człowieka mającego cywilną odwagę. Przyjaciele Adlera umilkli, inni goście byli zakłopotani, kilku wrażliwszych wzięło kapelusze z zamiarem opuszczenia sali.

W tej chwili wbiegł młody Adler z innym swoim przyjacielem. Przy pierwszym kroku spostrzegł on oryginalną figurę sędziego i nie wiedząc o tym, co się stało, szepnął do towarzysza:

- Zapoznaj mnie z nim!... Podobno dobrze pije?

- Cudownie! - odparł towarzysz i nie zwłóczęc poskoczył do Zapory.

- Cóż to za szczęśliwy traf! - rzekł. - Adler w tej knajpie wyprawia dziś miastu ucztę, sędzia zatem wpadłeś w sidła, z których go nie wypuścimy. Ale panowie jeszcze nie znają się...

W sali zrobiła się cisza. Wszyscy patrzyli.

- Pan Adler!... Pan Zaporą!

- Dawno już pragnąłem poznać sędziego - rzekł Ferdynand i wyciągnął rękę.

- Miło mi! - odparł Zaporą i swoją rękę cofnął.

Niektórzy z obecnych poczęli sznurować usta. Ferdynand poblądł; przez chwilę stał zmieszany, ale odzyskał przytomność i nagle zmienił grę.

- Pragnąłem poznać sędziego - mówił dalej - ażeby podziękować mu za... korespondencją o moim ojcu do pism...

Zaporą utopił w nim surowe spojrzenie.

- O pańskim ojcu - rzekł spokojnie - pisałem jedną tylko korespondencję, mianowicie: do wójta gminy, ażeby go wezwał na sprawę.

Adler zakipiał z gniewu.

- Ach! Więc w takim razie pisywałeś pan tylko o mnie do pism humorystycznych?

Zaporą ani na chwilę nie stracił zimnej krwi. Ścisnął w rękę laskę i odparł:

- Mylisz się pan. Korespondencje do pism humorystycznych zostawiam młodym ludziom bez zajęcia, którzy chcą zostać sławnymi w jakikolwiek sposób.

Adler już nie panował nad sobą.

- Pan mnie obrażasz! - krzyknął.

- Przeciwnie. Nawet nie zaprzeczę ostatniemu twierdzeniu, ażeby nie obrażać pana.

Zdawało się, że rozdrażniony młodzieniec rzuci się na Zaporę.

- Pan mi dasz satysfakcją! - krzyczał Adler.

- Z przyjemnością!

- Ale natychmiast!

- No, naprzód muszę zjeść obiad, bom głodny. Zresztą za godzinę będę u siebie na pańskie usługi- odpowiedział Zaporą chłodno.

Potem kiwnął głową paru znajomym i z wolna opuścił salę.

Uczta, urządzona przez Adlera, odbyła się dosyć kwaśno.

Wielu z gości wyszło przed obiadem, inni udawali wesołość. Ale za to Ferdynand miał doskonały humor. Pierwszy kieliszek wina uspokoił go, a dalsze podnieciły. Był kontent, że ma pojedynek, jeszcze z Zaporą! I ani wątpił o triumfie.

- Dam mu lekcją strzelania - szepnął do jednego z sekundantów - i basta!...

A w duchu pomyślał:

- To mi lepiej wyreguluje stosunki anizeli wszystkie obiady.

Doświadczeński awanturnicy, jakich nie brakło w sali, patrząc na młodego siłacza przyznawali mu charakter i fantazją.

- Dzięki niebu – mówił jeden z nich - i nasz partykularz będzie miał głośną sprawę.

- Żal mi tylko... - rzekł inny.

- Czego?

- Tych butelek, które padną trupem...

- Myślę, że im sprawimy świetny pogrzeb.

- Byle nie któremu z przeciwników.

- Wątpię. A jakież są warunki?

- Pistolety i walka do pierwszej krwi.

- Aj, do diabła! Czyjże to pomysł?

- Adlera.

- Czy on taki pewny siebie?

- Ogromnie strzela!...

W ten sposób rozmawiali przyjaciele Ferdynanda, ludzie obeznani z pojedynkami. Przy końcu obiadu dowiedziano się, że Zapora przyjął wszelkie warunki i że walka odbędzie się nazajutrz rano.

- Panowie! - rzekł na zakończenie Adler - proszę was dziś na stypę. Będziemy pili całą noc.

- Czy to praktycznie? - spytał ktoś.

-Ja tak zawsze robię przed kontredansem, wprowadzie ... dopiero czwarty raz! - odpowiedział Ferdynand.

W innej restauracji zebrali się ludzie poważniejsi, przyjaciele Zapory; i ci także rozprawiali o zajściu.

- Fatalność! - mówił jeden - ażeby taki poważny człowiek musiał strzelać się z chłystkiem.

- Co prawda, to Zapora niepotrzebnie włąził w ten pasztet.

- Włąził przypadkiem, a cofnąć się już nie mógł.

- Dziwna historia - odezwał się milczący dotąd siwy szlachcic - że świszczypałka i, powiem nawet, ladaco, jak Adler, nie tylko wchodzi w towarzystwa ludzi przyzwoitych, ale nawet ma sposobność zrobić awanturkę takiemu Zaporze. Dawniej nie ścierpiano by między ludźmi podobnej osobistości, choćby ze względu na postępowanie jego ojca.

- Toteż dlatego, panie radco, że opinia jest u nas trochę za miękka, ludzie uczciwi i silniejszego charakteru muszą nadstawiać głowy. Mnie po prostu żal Zapory.

- Czy on nie umie strzelać? - Strzela jako tako, ale tamten jest artystą.

- Za pozwoleniem! - krzyknął młody blondyn. - Ponieważ panowie weszliście na moje terytorium, więc mam honor przypomnieć, że nie zawsze ten ginie, kto źle strzela. Pamiętam, jakem był sekundantem Stasia w pojedynku z Edziem, Staś nie umiał trzymać pistoletu, a przecież...

- No, ale w każdym razie bezpieczniej jest dobrze strzelać.

- Naturalnie! naturalnie! - pochwycił młody blondyn. - Ja, kiedy miałem pojedynek z jednym austriackim kapitanem, to zapowiedziałem mu, że dostanie kulą...

Tu szepnął coś do ucha staremu szlachcicowi.

- I trafiłeś?

- Jak w tarczę, panie radco, jak w tarczę.

- A może to źle, że Zapora jest mańkut? - odezwał się ktoś inny.

- Przy pistoletach nic nie szkodzi - mówił blondyn - a przy pałaszach nawet dużo pomaga. Ja, kiedy się bił na rapiery z jednym mańkutem, to mnie tak trzepnął w czoło, że doktorzy przez dwie godziny uważali mnie za umarłego... O, tu jest blizna.

- Bój się Boga! przez dwie?

- No, może przez półtorej.

- Półtorej godziny nie biło ci serce?

- No, może przez pół godziny. Tego przecież nie pamiętam ... leżałem jak trup. Jeszcze mi wtedy mój służący, Niemiec, wyciągnął sakiewkę z lewej kieszeni.

- Skądże wiesz, że on?

- Jakże, skąd? Złapałem hultaja na gorącym uczynku. Ja nie jestem skory do posądzania kogoś na wiatr!

Okolo godziny 6-ej wieczorem Ferdynand wrócił z restauracji do swego numeru. Chciał podrzemać trochę między pijatyką dzienną i nocną, ale nie mógł zasnąć. Począł chodzić po pokoju i wtedy spostrzegł, że naprzeciw jego okien leżą okna kancelarii Zapory.

Ulica była wąska, kancelaria znajdowała się na dole, a numer, w którym stał, na piętrze. Ferdynand jak na dłoni miał przed sobą mieszkanie Zapory i począł je obserwować.

Sędzia był tam i w tej chwili rozmawiał z ławnikiem i pisarzem pokazując im jakieś papiery. Trwało to przez pewien czas. Potem ławnik pożegnał Zaporę, pisarz wyszedł do siebie, a sędzia został sam.

Ustawił lampę na biurku, zapalił cygaro i zaczął pisać na arkuszu papieru. Naprzód dość długi tytuł, potem dalszy ciąg, szybko i równo. Adler był pewny, że sędzia na wszelki wypadek pisze testament.

Pomimo młodego wieku pojedynkował się już kilka razy. Walki te uważał za pewien rodzaj niebezpiecznej zabawy. Teraz przecie uczuł, że pojedynek może być posępną uroczystością, do której wypada się przygotować.

W jaki sposób?

Oto pisząc testament!

Położył się na kanapie.

Na korytarzu hotelowym słycać było co chwila głosy dzwonek i bieganinę służby. Ferdynand począł marzyć.

Kiedy był jeszcze małym chłopcem (działo się to w początkach rozwoju fabryki), zauważył w budynku maszyny parowej niewielkie drzwi, przybite gwoździem. Drzwi te zaciekawiały go i niepokoiły. Pewnego dnia zdobył się jednak na odwagę, odchylił zgięty gwóźdź, drzwi odskoczyły - i ujrzał za nimi kilka miedzianych rur, zwiniętą linę i miotłę.

Wypadek ten utkwiał mu w pamięci i przypominał się przy każdym pojedynku. Ile razy świadkowie postawili go już na mecie, gdy ujrzał wymierzoną lufę przeciwnika i uczył swój palec na cynglu, przychodziły mu na myśl owe niepokojące drzwi i zgięty gwóźdź. Wtedy przyciskał cyngiel, jak niegdyś gwóźdź, i - sprawa się kończyła. Za tajemniczymi drzwiami losu, jakie czasem otwiera kula, Ferdynand nie spotykał nic osobliwego: co najwyżej rannego przeciwnika albo - kilkanaście butelek szampana wypitych w dobrym towarzystwie.

Takie też to i bywały owe pojedynki. Strzelało się o śpiewaczkę, o zakład na wyścigach, o potrącenie na ulicy...

Ale jutrzejszy pojedynek miał być różny od poprzednich. Tu występował do walki z jednej strony on, syn nielubianego ojca, a z drugiej strony człowiek szanowny, niejako reprezentant obrażonego ogółu. Za jego przeciwnikiem stali wszyscy ci, którzy mieli odwagę unikać Adlera, wszyscy robotnicy i prawie wszyscy oficjaliści fabryki. A za nim kto?

Nie ojciec, bo ten nie pozwoliłby mu strzelać się. Nie przyjaciele, którzy z nim pili, ponieważ ci zdawali się zakłopotanymi i czekali tylko na możliwość opuszczenia go przy lada sposobności.

Któż więc jest z nim? - nikt. A przeciw niemu cały tłum. Jeżeli rani Zaporę, da powód wrogom do nowych krzyków. Jeżeli sam zostanie raniony, powiedzą, że jest to kara boska na niego i na ojca.

Co to znaczy? Jakim sposobem znalazł się sam przeciw wszystkim, on, który chciał tylko hulać ze wszystkimi! Skąd między zbiorowiskiem ludzi delikatnych, miękkich, bojaźliwych, pobłażliwych, zresztą w najgorszym razie odwracających się od niego, wziął się człowiek szorstki, który mu w oczy mówił impertynencje? Jeżeli on istotnie był złym, to dlaczegoż inni go nie ostrzegli? Dlaczego błędy młodości mają kończyć się tragicznie?

Jak niegdyś, tak i dziś, ale już w wigilią pojedynku, Ferdynand przypomniał sobie owe drzwi w fabryce ojca, lecz tym razem wyglądały one inaczej. Zdawało mu się, że gdyby je otworzył, zobaczyłby zamiast rur, liny i miotły - trumnę z napisem: "Mieszkanie dla osoby pojedynczej". Trumnę z taką kartką widział raz przed sklepem stolarza w Warszawie.

- Mieszkanie dla osoby pojedynczej! - szepnął Ferdynand. - Zabawny stolarz!

Kanapa hotelowa nie odznaczała się miękkością. Ferdynand trzymał głowę na krawędzi i przypomniał sobie swój powozik, którym po pijanemu wracał niekiedy do domu. Powozik, wygodny dla siedzącego, dla leżącego był tak niewygodny jak ta kanapa. Zdawało mu się, że jedzie nim, że czuje lekkie drganie, słyszy turkot, tętent koni...

Jest już północ; szosę oświeca księżyc, stojący wysoko. Powozik drży i turkocze, nagle - staje.

"Co to znaczy?" - pyta Ferdynand w marzeniu.

"Gosławskiemu urwało rękę" - odpowiada mu jakiś cichy głos.

"Czy temu, co ma ładną żonę? ..." - pyta znowu Ferdynand, jak wówczas na jawie.

"Widzisz, jaki mądry!" - odpowiada mu ten sam głos.

"Mądry? Co to jest mądrość?..." - mówi do siebie Ferdynand przewracając się na kanapie, jak gdyby nie chciał patrzeć na widziadła.

Ale widziadła nie znikają. I widzi, jak wówczas na jawie, gromadę ludzi otaczających kogoś, co leżał na noszach. Widzi jego rękę sterczącą nad piersiami i owiniętą w gałgany, na których czernią się wielkie pląty krwi. Przeciera oczy... Na próżno! Ludzie stoją i nosze stoją, a wszystko jest tak wyraźne, że na tle szosy widać nawet skrócone cienie przedmiotów i osób.

- Jak ten człowiek cierpi - szepnął Ferdynand. - I musi umrzeć! - dodał. - Ach! Umrzeć.

Zdawało mu się, że on jest człowiekiem na noszach, że zdruzgotaną ręką, bolejącym, pozbawionym nadziei, że to jego wybladłe ciało oświetla ten straszny księżyc.

Skąd podobne myśli? Od kiedyż to szampan nasuwa tak smutne wizje?

Nagle doświadczył nieznanego dotychczas wrażenia. Czuł, że coś go nęka, obezwładnia, szarpie mu serce, świdruje w mózgu. Czuł, że chce krzyczeć, uciekać, schować się gdzieś.

Ferdynand skoczył na równe nogi. W pokoju był już zmrok.

- Do diabła! Ależ ja się boję!... - szepnął. - Ja się boję?... Ja?...

Z trudnością znalazł zapalki, rozsypał je, podniósł jedną, potarł - zgasła; drugą zapalił, a od niej świecę.

Spojrzał w lustro. Miał twarz szarą, oczy podkrojone, źrenice bardzo rozszerzone.

- Ja się boję? - pytał.

Świeca trzęsła mu się w rękę.

- Jeżeli jutro pistolet będzie mi tak skakał, to dobrze wyjdę! - rzekł.

Spojrzał przez okno. Tam w mieszkaniu na dole, po drugiej stronie ulicy, siedział Zapora przy biurku i pisał wciąż - równo i spokojnie.

Widok ten otrzeźwił Ferdynanda. Dzielny temperament wziął górę nad przywidzeniami.

- Pisz sobie, kochanku - pomyślał patrząc na sędziego - a ja ci postawię kropkę!

Na korytarzu rozległo się stapanie. Zapukano do drzwi.

- Wstawaj, Ferdynandzie, biba gotowa! - zawołał ktoś.

Usłyszawszy znajomy głos Ferdynand był już zupełnie sobą. Gdyby mu przyszło skoczyć w przepaść, najeżoną bagnietami, nie zmrużyłby oka. Czuł znowu siłę lwa i tę szaloną odwagę młodości, dla której nie ma niebezpieczeństw, nie ma granic.



Kiedy otworzył drzwi i zobaczył swoich towarzyszków, wybuchnął serdecznym śmiechem. Śmiał się z chwilowego rozdrażnienia, z przywidzeń i z tego, że mógł pytać siebie: "Czy ja się boję?"

Nie - on się niczego nie boi, nawet tego, ażeby niebieskie sklepienie nie upadło mu na głowę. Jeżeli nie geniuszem, którego bynajmniej nie posiadał, to odwagą był on prawdziwym orłem, który siada na piorunach, jak na gałęziach, i śmiało patrzy na boskie oblicze samego Jowisza.

Do wschodu słońca biesiadowali towarzysze Adlera pod jego przywództwem. W restauracji okna drżały od śmiechów i wiwatów, a po wina trzeba było chodzić do obcych sklepów.

Okolo godziny szóstej wyjechały z miasta cztery powozy.

## Rozdział VII

Od kilku dni do składów fabrycznych nadchodziły wielkie transporta bawełny. Adler w przewidywaniu, podwyżki cen całą gotówkę obrócił na zakup tego produktu. Do fabryki sprowadzono obecnie ledwie cząstkę nabytku, którego ogromna ilość znajdowała się jeszcze w składach angielskich i niemieckich.

Rachuby tkacza nie zawiodły go. Już w kilka tygodni po zawarciu umów o dostawę, cena bawełny podniosła się i od tej pory podnosiła się wciąż. Zapytywano go: czy by nie odstąpił produktu o dwa procent wyżej? -lecz Adler słuchać o tym nie chciał. Zacierał tylko ręce z zadowolenia. Dawno nie pamiętał tak korzystnej operacji i dziś widział, że nim przerobi surowy towar, majątek jego powiększy się przynajmniej o trzecią część.

- Wkrótce skończę z fabryką! - mówił do siebie.

Dziwna rzecz. Od chwili, w której zobaczył na odległym widnokręgu kres swojej kilkudziesięcioletniej pracy, uczuł nieznaną dotychczas osłabienie. Fabryka poczyniła mu się przykrzyć. Chciał gdzieś wyjechać; tęsknił. Nieraz prosił syna, ażeby tak ciągle nie przebywał za domem, ale raczej siedział z ojcem i opowiadał mu o swoich podróżach. Coraz częściej wymykał się do pastora Böhme i tam całymi godzinami rozprawiał o czekającym go wypoczynku.

- Jestem znużony - mówił. - Śmierć Gosławskiego i fabryczne awantury stoją mi już kością w gardle.

Zamyślił się i nagle dodał:

- Czy ty uwierzysz ale, mój Marcinie, że niekiedy, szczególnie z rana, gdy o człowieka kłóci się praca z łóżkiem, zazdroścę ci twego trybu życia. I nieraz mówię sobie: czy nie

lepiej być pastorem, któremu ludzie nie klną, syn nie traci pieniędzy i nie wymyślają gazety?... Ale te głupstwo! Widać, że się zestarzałem.

I jak niedawno Gosławski, na którego grobie nie osiadła jeszcze ziemia, liczył dni pobytu w fabryce, tak dziś, stary tkacz rachował miesiące.

- Do lipca roku przyszłego powinienem wyrobić wszystką bawełnę. W czerwcu trzeba ogłosić sprzedaż fabryki. Najdalej w sierpniu wypłacę mi, bo w kredyta bawić się nie myślę, a we wrześniu... No! ja nic nie powiem Ferdynandowi do ostatniej chwili. Dopiero chłopak ucieszy się!... Swoją drogą pieniądze oddam do banków i żyć będę tylko z procentu, bo inaczej ten hultaj straciłby wszystko w parę lat, a ja musiał bym jeszcze zostać gdzieś obermajstrem. Ha! Ha!

Niekiedy śniła mu się wielka góra, sięgająca prawie do nieba, z której buchał ogień i na którą on wdrapywał się ze zwykłą mu zaciętością. Czasami marzył, że jedzie balonem coraz wyżej i wyżej, aż tam - skąd gwiazdy zdają się być większymi. To znowu widział tłumy tancerzy strojnych i pięknych, przebiegających bogate salony, które ciągnęły się nieskończenie daleko. Ale wszędzie był sam, Ferdynanda nie spostrzegał przy sobie.

Wtedy myślał:

- Ten hultaj tak odzwyczaił mnie od swego towarzystwa, że mi się nawet nie śni. Gdybyśmy jeszcze kilka lat pomieszkali w tej okolicy, zapomniałbym, jak wygląda.

Mimo to syna swego coraz mocniej kochał i jedynie dlatego pozwalał mu szaleć za domem i nie śmiał dłużej zatrzymywać przy sobie, że - go bardzo kochał.

- Co ja mam chłopca przykuwać do fabryki, która obmierzła mnie samemu? Co go może obchodzić, że ja za nim tęsknię? On przecież młody, a ja - stary dziad! On musi bawić się z młodymi, a ja mam także swoją zabawę – pracę.

Na drugi dzień po jarmarku w mieście stary tkacz obchodził jak zwykle wszystkie warsztaty i biura. Kilkudziesięciu robotników było na kiermaszu, więc w fabryce opowiadano sobie o figlu pana Ferdynanda wiele przesadzając. Mówiono, że panicz zakupił, obiady we wszystkich restauracjach i że każdy szlachcic chcący co zjeść albo wypić musiał pierwej kłaniać się młodemu panu.

Adler z początku śmiał się z figla, ale później obliczywszy naprędce ile podobna zabawa mogła kosztować, spochmurniał.

- Hultaj Ferdynand - rzekł do buchaltera - wszystko nam ale strwoni, co zyskamy na podwyżce cen bawełny. Wielki kłopot mam z tym wariatem!

Na podwórzu stały fury z bawełną, którą najęci robotnicy przenosili do składów. Adler przypatrywał się robocie, obszedł składy surowo nakazując, aby nikt nie ważył się palić papierosów, i powrócił do kantoru. Przy bramie dwie kobiety żywo rozmawiały ze szwajcarem, lecz zobaczywszy Adlera uciekły.

Tkacz nie zwrócił na to uwagi.

Z kantoru wybiegł urzędnik, jakiś zmieszany. W kasie - buchalter, jego pomocnik i płatnik, zbici w ką, naradzali się nad czymś, z wyraźnymi oznakami wzburzenia. Ale na widok pryncypała rzucili się szybko do swych biurków pochylając twarze ku papierom.

Adlerowi i to nie wydało się dziwne. Wczoraj był jarmark, więc pewnie urzędnicy opowiadają sobie jakieś plotki.

W salonie dla interesantów Adler spotkał się oko w oko z nieznanym mężczyzną. Gość był zniecierpliwiony i niespokojny. Chodził prędko po sali i rzucał rękoma. Spostrzegłszy olbrzymiego fabrykanta, nagle stanął i zapytał zmieszany:

- Wszak pan Adler?

- Tak! - odparł tkacz. - Pan ma do mnie interes?

Gość przez długą chwilę nic nie odpowiadał, tylko mu usta lekko drżały.

Fabrykant pilnie mu się przypatrywał chcąc odgadnąć: kim jest i czego chce? Nie był to wcale kandydat na posadę fabryczną. Wyglądał raczej na bogatego panicza.

- Mam do pana ważny interes - rzekł gość.

- Może pan chcesz, ażebyśmy przeszli do mego domu? - spytał Adler domyślając się, że z tak wzburzonym człowiekiem lepiej będzie nie rozmawiać przy urzędnikach: może ma jaką pretensją?

Gość zawahał się, ale wnet odparł:

- Ha!... to pójdźmy do domu... Ja już tam byłem...

- Pan mnie szukał?

- Tak... Bo... widzi pan, panie Adler, my... przywieźliśmy Ferdynanda...

Myśl o jakimkolwiek nieszczęściu była tak daleką od fabrykanta, że prawie wesoło spytał:

- Czy Ferdynand tak się spił na jarmarku, że go aż odwieźć było potrzeba?

- On jest ranny - odparł gość.

Byli już na dziedzińcu przed domem. Adler zatrzymał się nagle.

- Kto ranny? - zapytał.

- Ferdynand.

Starzec rozłożył ręce.

- Połamał nogi, kark skręcił? Co to znaczy?

- Ranny jest... kulą.

- Kulą? On? Jakim sposobem?

- Miał pojedynek.

Czerwona twarz fabrykanta miała teraz kolor cegły. Byli na ganku. Adler rzucił w sieni kapelusz i wpadł w otwarte drzwi. Nawet nie spytał: przez kogo syn został raniony? Cóż go to obchodziło?

W pierwszym pokoju zobaczył służących i jeszcze jednego nieznanego mężczyznę. Fabrykant odepchnął ich i stanął przed szezlongiem, na którym leżał Ferdynand.

Ranny nie miał na sobie surduta ani kamizelki. Twarz jego była tak strasznie zmieniona, że tkacz w pierwszej chwili nie mógł poznać własnego syna. W głowach siedział doktor.

Adler patrzył... patrzył... Potem upadł na niezajęte krzesło i oparłszy potężne dłonie na kolanach rzekł stłumionym głosem:

- Co ty wyrabiasz, łajdaku!

Ferdynand spojrzał na niego z nieopisanym smutkiem; Ujął ojcowską rękę i - pierwszy raz od bardzo dawna - pocałował ją.

Adler wstrząsnął się. Oniemiał.

Ferdynand począł mówić cicho, z przerwami:

- Musiałem, papo... musiałem!... Wszyscy na nas krzyczeli. .. szlachta, kelnerzy, gazety. Mówili, że ja tracę pieniądze, a ty obdzierasz robotników... Niedługo... pluliby nam w oczy...

- Nie męcz się pan! - szepnął doktor.

Starzec otworzył duże usta, pochylił się nad synem, patrzył, słuchał. Postawa jego wyrażała najwyższe zdziwienie, żal.

- Ratuj mnie, papo! - rzekł Ferdynand podniesionym głosem. - Ja obiecałem doktorowi dziesięć tysięcy...

Chmura niezadowolenia przemknęła po twarzy Adlera.

- Dlaczego aż tyle? - zapytał machinalnie.

- Bo ja... ginę... Czuję, że ginę!...

Starzec zerwał się.

- Tyś wariat! - zawołał. - Zrobiłeś głupstwo, łajdactwo!... No, ale jeszcze nie umierasz...

- Umieram! - jęknął ranny.

Adler klasnął w rękę.

- Oszalał! Jak Boga kocham, oszalał!

Zaczął biegać po pokoju, wyciągać palce aż trzeszczały, i nagle stając przed doktorem zawołał:

- No, powiedzże mu pan, że on jest głupi... Mówi o śmierci i myśli, że ja mu dam umrzeć!... Tobie umrzeć?... Obiecałeś doktorowi dziesięć tysięcy? To za mało. Doktorze - mówił starzec gorączkowo - ja za mego syna dam sto tysięcy rubli, jeżeli jest chociaż cień niebezpieczeństwa. Bo za to tylko, że on głupi, ja płacić nie będę. Jakież jego stan?

- Nic wprawdzie niebezpiecznego - mówił doktor - zawsze jednak kuracja musi być staranna.

- No, tak! - przerwał mu Adler. - Czy słyszałeś, Ferdynand, co powiedział doktor?... A jeżeliś słyszał, więc mnie i sobie głowy nie zawracaj... Johann! Wysłać depesze do Warszawy, niech zjadą się najlepsi doktorzy, ekstra cugiem. Jeżeli potrzeba, posłać do Berlina i Wiednia, wreszcie do Paryża. Pan doktor niech da adresy najślawniejszych. Ja zapłacę..., ja mam czym płacić!

- O! jak mi straszno! - jęknął Ferdynand rzucając się na szeslongu.

Ojciec przypadł do niego.

- Uspokój się pan! - mówił lekarz.

- Papo! - krzyknął ranny. - Papo mój, ja już ciebie nie widzę...

Na ustach pokazała mu się krwawa piana. W oczach i na twarzy malowała się trwoga i rozpacz.

- Powietrza! - zawołał.

Zerwał się z szeslonga i wystawiając ręce naprzód jak ślepy pobiegł do okna. Wtem ręce zwisły mu. Zwrócił się znowu, zatoczył do szeslonga i upadł nań uderzając głową o ścianę.

Jeszcze raz zwrócił się do ojca, szeroko i z trudem roztworzył oczy i dwie łzy zwisły mu na powiekach.

Adler cały drżący, obezwładniony, usiadł przy nim i swoimi wielkimi rękoma otarł mu łzy i pianę z ust.

-Ferdynandzie! Ferdynandzie! -szeptał-uspokój się. Będziesz żył; ja oddam cały majątek.

Wtem uczuł, że syn cięży mu w objęciach i upada.

- Doktorze! ocuć go, on mdleje!

- Panie Adler, wyjdź stąd!- rzekł doktor.

- Dlaczego mam wyjść? Ja nie mogę wyjść, kiedy syn potrzebuje mojej pomocy...

- Już nie potrzebuje - odparł cicho lekarz.

Adler patrzył na syna, trząsł go, szczypał. Na bandażu okrywającym piersi ukazała się duża plama krwi. Ferdinand był trupem.

Starca szal ogarnął. Zerwał się z szezlonga, kopnął nogą krzesło, potrącił lekarza i wybiegł na dziedziniec, potem na szosę.

Na szosie spotkał jednego z furmanów, którzy przywieźli bawełnę. Schwycił go za ramiona i krzyknął:

- Czy ty wiesz?... Syn mój umarł!

Rzucił człowieka na szosę i pobiegł do budki szwajcara.

- Hej! zwołać mi przed dom wszystkich ludzi, niech przyjdą... Natychmiast!

Tym samym pędem wrócił do pokoju, gdzie leżał zmarły syn, usiadł naprzeciw niego i patrzył; patrzył...

Ocknął się dopiero w jakie pół godziny.

- Dlaczego tak cicho? - zapytał. - Czy się maszyna zepsuła?

- Pan kazał zwołać robotników, więc maszynę zatrzymali i wszyscy czekają na dziedzińcu - odparł Johann.

- Po co? Na co? Niech idą do roboty! Ja nie chcę, żeby było tak cicho. Puścić maszynę i wszystkie warsztaty w ruch. Niech tkają, niech przędą, niech się kręcą, niech krzyczą!...

Schwycił się oburącz za głowę.

- Mój syn... syn... syn! - szeptał.

Od dawna już wysłano po pastora, który w tej chwili przyjechał i wbiegł z płaczem do pokoju.

- Gotlieb! - zawołał - ciężko nas dotknął Bóg, ale ufajmy Jego miłosierdziu...

Adler przeciągle spojrzał na niego i rzekł wskazując na zwłoki syna:

- Patrz, Marcinie! to ja jestem. To nie jego, to mój trup. Gdybym nie wierzył w to, chybabym oszalał!... - Patrz - mówił dalej - to leży moja fabryka, mój majątek, moja nadzieja. Ale on żyje! Mów mi to i wy wszyscy... To mnie uspokoi... O serce, serce moje! Jak mnie boli!

Fala krzywdy wróciła.

Gdy doktor i sekundanci wyjechali, pastor począł namawiać Adlera, ażeby wyszedł. Usłuchał go i wyszli do ogrodu. Tam stary fabrykant stanął na jednym wzgórku, rozejrzał się i począł mówić:

- Gdybym mógł objąć...

Rozkrzyżował ręce.

- Gdybym mógł objąć wszystko, zdusić, rzucić na ziemię i skopać nogami, o tak, o!...  
Gdybym mógł! gdybym mógł!... Marcinie, ty nie wiesz, co się dzieje w mojej głowie i jak  
mnie serce boli!...

Upadł na ławkę i ciągnął dalej:

- Tam leży martwy syn mój, a ja - nic mu poradzić nie mogę. I wiesz, co ci powiem? Zdaje  
mi się, że za rok, za miesiąc, a może za tydzień, doktorzy wynajdą sposób budzenia i leczenia  
takich rannych. Ale cóż, kiedy mnie nic z tego, choć za taki sposób oddałbym cały majątek i  
siebie!... Sprzedałbym siebie jak psa, jak sztukę perkalu. A jednak - nic zrobić nie mogę!

Pastor wziął go za rękę.

- Gotliebie, dawno ty się modliłeś?

- Czy ja wiem? Może trzydzieści, a może czterdzieści lat.

- Pamiętasz pacierz?

- Pamiętam, że... miałem syna.

- Syn twój jest u Boga.

Adler spuścił głowę.

- Jaki ten wasz Bóg drapieżny!...

- Nie bluźnij! Jeszcze spotkasz się z nim.

- Kiedy?

- Kiedy wybije twoja godzina.

Starzec zamyślił się, potem wydobył repetier z kieszeni, nacisnął sprężynę, przysłuchał się  
dźwiękowi zegarka i rzekł:

- Moja godzina już wybiła, a ty, Marcinie, wróć do domu. Żona czeka cię, córka, kościół.  
Ciesz się nimi, odprawiaj swoje nabożeństwa, pij reńskie wino, a mnie - zostaw... Zdaje mi  
się, że czekam na pogrzeb całego świata i tylko słucham, szybko uderzą w jakiś wielki dzwon,  
od którego głowa mi pęknie. Zginie cały świat i ja w nim... Wróć do domu, Marcinie! Mnie  
przyjaciel niepotrzebny, a jeszcze mniej - pastor! Twoja wylękniona twarz nudzi mnie i  
drażni. Zresztą - ja obejdę się bez niańki; sam przecie wypiąstowałem mego syna.

- Gotliebie, uspokój się - pomódl! Adler zerwał się z ławki.

- Idź do licha! - krzyknął.

Potem szybko pobiegł w głąb ogrodu i przez furtkę wymknął się na pole.

Pastor nie wiedział co począć. Wrócił do pałacu, pełen złych przeczuć. Chciał wysłać kogo, aby z daleka pilnował Adlera, ale służba lękała się swego pana.

Pastor wezwał do siebie buchaltera i opowiedział mu, że jego pryncypał niezupełnie przytomny wybiegł w pole.

- Ech! to nic - odparł buchalter. - Zmęczy się i wróci spokojniejszy. On tak zawsze robił, jeżeli się czym bardzo zmartwił.

Upłynęło kilka godzin, nadszedł wieczór, ale starego tkacza nie było widać.

Nigdy jeszcze nie rozprawiano z takim zajęciem we wszystkich warsztatach, jak dziś od chwili przywiezienia rannego Adlera i jego śmierci. Nieszczęście Gosławskiego poruszyło wprawdzie całą fabrykę, przypomniało ludziom ich krzywdy, a surowość pryncypała rozdrażniła ich; ale w obecnym wypadku działało się wcale inaczej.

Pierwszym wrażeniem tłumu na wieść o szybkiej śmierci Ferdynanda było zdziwienie i przestraszanie. Zdawało im się, że z pogodnego nieba uderzył piorun, że fabryka zachwiała się w posadach, że słońce cofnęło się w biegu. Nikomu, począwszy od naczelnego buchaltera, a skończywszy na ostatniej robotnicy i nocnym stróżu, nie mogło pomieścić się w głowach, że Ferdynand nie żyje. On, taki młody, silny, wesoły, bogaty! On, który nic nie robił, przy żadnej maszynie nie wystawał! On, syn potężnego ojca, nie żyje! Zginął prędzej aniżeli mizerny robotnik Gosławski, zginął jak zając od strzału, prawie w oka mgnieniu!

Ci ludzie prości, ubodzy, zależni, dla których Adler był bóstwem groźnym, wyższym nad wszelkie władze, największym magnatem i najsilniejszym człowiekiem - ci ludzie przestraszyli się. Zdawało im się w pierwszej chwili, że średni szlachcic i skromny sędzia gminny Zapora, który zabił Ferdynanda, popełnił świętokradztwo. Jak on śmiał strzelać do panicza, wobec którego najzuchwalsi robotnicy spuszczały oczy, najmocniejsi tracili siłę? Co się to dzieje?

I zdarzyła się rzecz osobliwa. Ci sami, którzy co dzień przeklinali fabrykanta i jego syna, ci sami złorzeczyli jego zabójcy. Niejeden gorętszy wołał, że takiego łotra trzeba zabić jak psa. Ale - gdyby ów łotr ukazał się nagle między nimi - uciekliby.

Po pierwszym wybuchu nastąpiła chwila rozważenia. Maszyniści i obermajstrzy wytłumaczyli im, że Zapora nie strzelał do Ferdynanda jak myśliwy do ptaka, ale że Ferdynand sam chciał, ażeby do niego strzelano, i sam strzelał pierwszy. Była to więc walka. Ale po co Ferdynand mieszał się do takiej walki, jeżeli nie mógł zabić przeciwnika? Dlaczego chybił? Za co ci dwaj ludzie, a raczej dwie potęgi nadziemskie - starły się ze sobą?

Ktoś szepnął, że tu chodziło o nich, o robotników, że Zapora zabił panicza, bo on tracił pieniądze, zebrane z krzywdy ludzkiej. "Zresztą - dodawali starsi - Bóg skarał Adlera. Przekleństwa zostały wysłuchane".



Tym sposobem w ciągu kilku godzin utworzyła się legenda. Łzy i krew ludzka doszły do boskiego tronu i cud się stał tu, w oczach całej okolicy. Pobożni zatrwożyli się, libertyni nadrabiali miną, ale w sercu czuli jakiś dreszcz.

- Co to jeszcze będzie? - pytali wszyscy.

- A wiecie wy, że podobno stary zwariował?

- Juźci chyba tak, kiedy furmana cisnął na szosę, nas wszystkich zawołał nie wiadomo po co, a teraz wyleciał z domu i tuła się po polu.

- On tak zawsze robi, jak jest czego zły...

- Na kogoż on jest zły?... Chyba na Pana Boga!

- Nie pyskuj tam!... Nie wzywaj imienia boskiego, bo się jeszcze co stanie!...

- Ciekawość, co teraz zrobi stary?

- A cóż?... może nas już krzywdzić nie będzie?

- W kantorze mówią, że pewnie sprzeda fabrykę i wyjedzie do swoich. - Przecież on nikogo nie ma.

- Oj! znajdzie... Szwaby są pełne.

Tak szeptali robotnicy. Obermajstrzy byli powarzeni. Nie pytali o robotę, tylko biegali do kantoru po wiadomości. Jeden radził, ażeby na znak żałoby wstrzymać fabrykę; ale stary buchalter zgromił go.

- Niech wszystko idzie, jak szło - rzekł. - Pryncypał i tak jest niespełna rozumu: po cóż go drażnić?... Mnie samego największy żal i strach ogarnął wtedy, gdy fabryka stanęła i wszyscy poszli do pałacu. Kiedy trąkoczą maszyny, człowiekowi na sercu lżej i wydaje mu się, że się nic złego nie stało.

- Prawda!... prawda!... - potakiwali obecni.

Około szóstej wieczorem w kantorze ukazał się Adler. Wszedł jak widmo nie wiadomo kiedy. Jego odzież powalana była ziemią, jak gdyby się tarzał. Krótkie, lniane włosy jeżyły mu się. Był spocony i zdyszany. Białka oczu zaszyły mu krwią; źrenice miał nierówno rozszerzone. Wszedł do kantoru, począł prędko obiegać wszystkie sale i strzelać z palców. Urzędnicy drżeli na krzesłach.

Młody korespondent czytał jakąś depezę. Adler przystąpił do niego i spytał zmienionym głosem, choć spokojnie:

- Co to jest?

- Znowu bawelna poszła w górę - odparł korespondent. - Zyskaliśmy dziś sześć tysięcy...

Nie dokończył. Adler wyrwał mu depeszę z ręki, zmiął ją i rzucił mu w twarz.

- Podły jesteś!... - krzyknął na urzędnika. - Podły! Jak śmiesz mi coś podobnego mówić?...

Począł znowu biegać po salonach i mruzczyć:

- Człowiek jest najgorszym bydlęciem!... Psy widząc moją boleść nie śmiały łąsić się i uciekają z podtulonymi ogonami... A on mówi o sześciu tysiącach rubli!...

Stanął nad wyleknionym urzędnikiem i wytrząsając rękoma mówił chrapliwie:

- Zrób mi to, ty kamienny łbie, ażeby czas cofnął się o jeden tydzień... o jeden dzień, a ja ci oddam wszystkie moje zarobki. Wyjdę z przeklętego kraju bosy i nagi, wyczołgam się na kolanach, będę tłukł kamienie przy drodze, będę marł głód i jeszcze będę szczęśliwy No ty!... czy potrafisz czas cofnąć o jeden dzień?... O pół dnia!...

Do kantoru wbiegł Böhme, zawiadomiony, że Adler wrócił.

- Gotliebie - rzekł pastor - konie czekają, jedź do mnie...

Fabrykant wyprostował się, włożył obie ręce do kieszeni i zablocony, zziębnięty, patrząc z góry na niego mówił z ironią:

- Mój ty święty Marcinie, ja nie pojedę do ciebie!... Więcej ci powiem: ja - ani tobie, ani twojej Annie, ani twemu Józiowi nie zapiszę jednego grosza!... Słyszysz?... Ja wiem, że ty jesteś sługa boży i że twoim językiem przemawia mądrość Pańska... Ale ja ci nie dam złamanego szeląga!... Mój majątek należy do mego syna i wcale nie jest przeznaczony na to, ażeby wspierał cnotę pastorskich dzieci... Idź ty, poczciwy Böhme, idź!... Idź do swojej chudej żony i do skromnej Annety opowiadać im, żeś trafił na bardzo mądrego wariata, którego nikt nie oszuka ani sztucznymi łzami, ani prawdziwie głupią miną!... Albo idź ty, Böhme, tam... do trupa... i mruż nad nim pacierze... Ale ja ci powiadam, że prędzej jego znudzi twoja modlitwa, aniżeli mnie opęta twoja świątobliwa przezorność...

- Co ty mówisz, Gotliebie?... - pytał zdziwiony pastor.

- No, przecież ja mówię wyraźnie!... Spiknęliście się wszyscy, ażeby zabrać mój majątek, ażeby kiedyś twój Józio, technik, rządził się jak szara gęś w tej fabryce... Zabiliście mi syna... Chcecie zabić mnie... Ale nic z tego!... Ja nie należę do rzędu głupców, którzy za miliony rubli kupują zbawienie duszy u księży albo pastorów!...

- Gotliebie!... - przerwał mu pastor - ty mnie posądzasz?... mnie?...

Adler schwycił go za rękę i z wściekłością patrząc w oczy mówił:

- Czy ty pamiętasz, Böhme, ile razy groziłeś mi karą bożą?... Dawniej robili to samo jezuici z głupimi bogaczami i wydrwiwali od nich majątki... Ale ja nie dałem się odrwać, trzymałem mój majątek, więc... Bóg mnie skarał!... Nie udawaj zdziwionego, Böhme!... Wszak nie tak dawno rzucałeś na sadzawkę korki i drzewo, i pokazywałeś mi jakieś fale, mówiłeś, że powrócą... No - i powróciły twoje fale!... Tylko mój biedny syn już nie wróci... Pojechał w

podróż, na którą potrzeba wiele, bardzo wiele pieniędzy i serca ojcowskiego, ażeby go strzegło od jezuitów i pastorów!... Idź, Böhme!... Mdło mi się robi, kiedy patrzę na twój długi nos, który ci się tak brzydko zaczerwienił... Idź, Böhme, do mego syna, a ponieważ głos twój słyhać podobno aż na tamtym świecie, więc powiedz mu...

Adler nigdy nie był tak wymownym, jak w tej chwili, gdy go opuszczał rozum. Chwycił pastora za ramię i wyprowadził go za drzwi. Potem zaczął znowu obchodzić wszystkie biura.

Nareszcie wybiegł z kantoru. Wieczorny mrok zasłonił go, a huk maszyn fabrycznych zagłuszył jego kroki.

Urzednicy byli przerażeni. Nikt już nie wątpił, że Adler jest obłąkany, przynajmniej chwilowo. Ale o śledzeniu go, o rozciągnięciu nad nim opieki nikt nie myślał. Wobec wielkich i szybko rozwijających się nieszczęść wszyscy potracili głowy. Umieli machinalnie odrabiać zwykłe czynności, ale na jakiś samodzielny krok wobec pryncypała, nawet oszalałego, nikt zdobyć się nie potrafił.

Pastor Böhme rozumiał grozę położenia. Znając charakter Adlera przewidywał jakieś nowe niebezpieczeństwa i choć w części zapobiegłby im, ale nie śmiał wydawać żadnych rozporządzeń. Komu tu rozkazywać? kto by go słuchał?

Tymczasem wypadki szły naprzód. Około siódmej jeden z robotników spostrzegł, że małe drzwi do składu bawełny są otwarte. Lecz nim zawiadomił o tym magazyniera, nim ludzie przybiegli, drzwi zamknęły się.

W fabryce poczęto szeptać o kradzieży, to znowu o pokutującym duchu Ferdynanda... Dano znać urzednikom, którzy już wyszli z biura. Paru z nich przybiegło. Tknięci przecuciem, obejrzelikantor i przekonali się, że braknie najważniejszych kluczy od fabryki.

Kto je zabrał?... Bez kwestii pryncypała. Ale gdzie on sam jest w tej chwili?... Szwajcar zapewniał, że widział Adlera wchodzącego przez bramę; pomimo jednak czujności nie spostrzegł, ażeby wychodził. Adler więc znajdował się w obrębie fabryki; ale kto go zechce szukać w gmachu tak wielkim wśród nocy?

Tym razem, zdaje się, że stary buchalter odgadł rodzaj niebezpieczeństwa grożącego fabryce. Zwołał obermajstrów, kazał ustawić wartę przy kantorze, wstrzymać maszynę i cofnąć robotników ze wszystkich sal.

Nim jednak wysłuchano tych rozporządzeń, rozległ się głos dzwonu na trwogę. Ze składów bawełny przez wszystkie otwory poczęł wydobywać się gęsty dym i gdzieś tam płomyki ognia.

Na to hasło robotnicy już zdemoralizowani dotychczasowymi wypadkami ulegli panice i tłumem opuścili warsztaty. Przestрах był tak wielki i ucieczka tak szybka, że w żadnej sali nie zgaszono świateł, nie zamknięto drzwi, nie wstrzymano nawet maszyny parowej.

Popłoch jednak był prawdziwym szczęściem uciekających. Zaledwie bowiem robotnicy zebrali się na dziedzińcu w celu ratowania składów bawełny, a już ogień pokazał się w magazynie tkanin.

- Co to znaczy? To ktoś podpala! - odezwały się głosy wśród tłumu.

- Sam pryncypał podpala fabrykę! - odpowiedział ktoś - Gdzie on jest?

- Nie wiadomo, ale jest w obrębie gmachów... Teraz ogień wybuchnął w gremlarni i w przędzalni.

- Widocznie sam Adler podpala

- Ale którądy wchodzi do sal?

- Zabrał klucze z kantoru.

- Więc po cóż my mamy ratować fabrykę, jeżeli on ją niszczy?

- Któż nam każe ratować?

- A co będziemy jutro jedli?

Takie wykrzykniki i płacz kobiet rozlegały się w zbitym tłumie kilkuset ludzi, bezsilnych wobec klęski. Rzeczywiście ratunek był niepodobny. Zebrani w osłupieniu przypatrywali się pożarowi, który w jednych miejscach potęgował się, w innych dopiero poczynał.

Fabryka przedstawiała szczególny obraz.

Na tle pochmurnej nocy jesiennej widać było kilkanaście olbrzymich gmachów, dziwnie uiluminowanych. Z każdego otworu składów wydobywały się czerwone płomyki jak pochodnie. W budynku głównym, mającym kształt podkowy, na lewym skrzydle paliło się czwarte piętro, na prawym - dół. Wszystkie sale środkowego gmachu oświetlały lampy gazowe, przy których było widać szybko poruszające się tkackie warsztaty. Na podwórzu, oblanym czerwoną, coraz jaśniejszą łuną, stał ogromny tłum ludzi przestraszonych i narzekających.

Szmerowi głosów ludzkich wtórował huk, turkot i szelest machin.

Z każdą chwilą ogień potężniał; ściany składów prawie zniknęły pod zasłoną dymu i płomieni. Na lewym skrzydle zapalił się dach, na prawym pożar wdarł się na pierwsze piętro i wybuchał oknami parterowymi. Na dziedzińcu robiło się coraz widniej.

Nagle szmer ludzi umilkł. Wszystkich oczy zwróciły się na korpus główny, dotychczas nietknięty. Tam, na drugim piętrze, między warsztatami, przy świetle gazowych lamp, ukazał się olbrzymi cień człowieka. Cień chodził tam i na powrót, a gdziekolwiek zatrzymał się dłużej, tam po chwili robiło się widniej. Wyciągnięte na warsztatach tkaniny i osnowy, podłoga napojona tłuszczem, drewniane ramy maszyn: wszystko to chwyciło ogień z niesłychaną łatwością. Po upływie kilku minut drugie piętro głównego korpusu było już

podpalone. Cień ludzki ukazał się na trzecim piętrze, przeszedł je z wolna i znowu znikł. Wkrótce zobaczono go na sali najwyższej, na czwartym piętrze.

- To on! to on! - mówiono.

Teraz już cała fabryka stała w ogniu. Ze składów bawełny buchał płomień jak z wulkanu, aż pod obłoki. Ze wszystkich okien prawego skrzydła wydobywał się dym i ogień; na lewym skrzydle dach wyginał się i trzeszczał. Szyby pryskały i z dźwiękiem wylatywały na dziedziniec. W niektórych salach pod cięższymi machinami załamywała się podłoga.

Wśród piekielnego łoskotu, deszczu iskier, obłoków dymu, nad powodzią płomieni, które w korpusie głównym ogarnęły wszystkie piętra, w najwyższej sali wyraźnie widać było cień ludzki. Poruszał się on spokojnie, bez pośpiechu, jak czuwający nad robotnikami dozorca. Niekiedy stawał w którym z mnogich okien i patrzył - nie wiadomo, czy na tłum zebranych, czy na pałacyk.

Wtem z ogromnym łoskotem zapadł się dach lewego skrzydła. W chwilę później runęło drugie piętro prawego skrzydła. Olbrzymie snopy iskier wzbily się do góry. Było jasno jak w dzień. W składzie bawełny załamały się od razu dwa piętra i na tłum robotników spadł deszcz gorącego popiołu. Zrobiło się duszno. Niektóre maszyny głównego korpusu poczęły dziwnie zgrzytać, nareszcie wywracać się. Skutkiem zmniejszenia się oporu koło rozpedowe maszyny parowej obracało się z szaloną prędkością wydając przy tym głos podobny do wycia. Ściany pękały, w jednym miejscu spadł komin, a gruzy jego zatoczyły się aż pod nogi zebranych.

W gmachu głównym dym i ogień chwilami zasłaniał czwarte piętro, na którym widać było cień człowieka spokojnie chodzącego wzdłuż oświetlonej sali.

Wśród tłumu rozległ się szmer zgrozy, niepodobny do głosów ludzkich. Tłum zaczął poruszać się, krzyczeć, wskazywać na okna... W stronie fabryki gazu rozległ się stłumiony huk. W sali na czwartym piętrze płomienie lamp błysnęły jaśniej i - zgasły. Ogień ukazał się w dymnikach głównego korpusu. Zatrzeszczał cały gmach i z łoskotem piorunu zapadło się kilka sufitów.

Na dziedzińcu zrobiło się tak gorąco, że tłum cofnął się. Koło rozpedowe maszyny parowej toczyło się już wolniej, wreszcie – stanęło.

...W fabryce, jeszcze przed godziną bogatej i ożywionej, wszechwładnie panował ogień. Słychać było trzeszczenie płonących belek, pękanie murów i ciężkie upadki żelaznych części machin.

Adler, znakomity przemysłowiec, nieugięty wyznawca walki o byt, zebrawszy w ciągu kilkudziesięciu lat miliony, dobrowolnie przywalił się ich gruzami.

---

Fala krzywdy wróciła.

Warszawa w czerwcu 1880 r.

## SEN

Był na czwartym kursie medycyny pewien ubogi student.

Miał jedną korepetycję za sześć rubli miesięcznie, na Pradze, u maszynisty kolei terespolskiej, i jedną na Podwalu, u sklepikarza, za trzy ruble. Sam zaś mieszkał na Piwnej, na czwartym piętrze, za cztery ruble, której to sumy systematycznie nie płacił; nie dlatego, ażeby zrujnować gospodarza domu, ale że nigdy nie cuchnął pieniędzmi.

Nosił mundur wybielony na szwach, a przy nim guziki wytarte aż do czerwonej miedzi. Jego spodnie były tak filigranowe, że ledwie można je było uważać za logarytmy spodni rzeczywistych; kieszenie zaś on sam nazywał próżnią Toricellego. Nie było w nich nic, tak dalece, że w końcu zawstydzone pouciekały z ubrania, a miejsce ich zajęły dziury, aż do środka ziemi głębokie.

Skutkiem tak szczególnych warunków finansowych ubogi student miał zakłęśnięte piersi, mocno zapadły brzuch i głowę zwieszoną; nie ze smutku bynajmniej, ale z tej racji, że jego biedna głowa posiadała nierównie więcej nauki, aniżeli można było udźwignąć na tak bardzo chudej szyi.

- Gdybym był Panem Bogiem, inaczej bym świat urządził - mówił niekiedy. - Wynałazłbym sobie korepetycję za trzydzieści rubli na miesiąc, jadłbym co dzień obiad, sprawiłbym palto na zimę, płaciłbym za mieszkanie... A tak...

Niekiedy sięgał fantazją w przyszłość i myślał:

- Dałbym sto dukatów temu, kto by mi powiedział: czy ja skończę medycynę, czy nie?... Bo z tym głupim kaszlem, z tym gorączkami, z tym pluciem... Zresztą, co mi tam! Nie ja będę winien, jeżeli Europa straci doskonałego lekarza... Jakbym ja pysznie leczył!... Każdemu pacjentowi jedna recepta: mieszkanie suche, codziennie opalane; śniadań i kolacyj można nie jadać, ale obiad bezwarunkowo; odzienie powinno być całe i zastosowane do pory roku. Przy tym, co najmniej, trzeba mieć dwie własne koszule i... wystrzegać się lekarzy i lekarstw.

Pewnego dnia przed świętami Bożego Narodzenia, odebrawszy za lekcje na Pradze pięć rubli, nasz przyjaciel znalazł się w dużym kłopotcie. Chciał gospodarzowi opłacić komorne za lipiec, a tu... masz!... Oddał wyjeżdżającemu koledze trzy ruble długu, sklepikarzowi osiemdziesiąt pięć kopiejek za artykuły kuchenne, stróżowi był winien rubla... Skąd tu wziąć na komorne za lipiec?...

Tak był zafrasowany brakiem równowagi w swoim budżecie, że dopiero w południe wrócił na Piwną. Gdy zaś oddał rubla zasług stróżowi i zażądał klucza od mieszkania, stróż odparł, drapiąc się w głowę:

- Bo, proszę pana, tam się już wprowadzili na czwarte piętro...

- Kto?... jakim sposobem?... co to za rozbój?... - zawołał student, sięgając machinalnie do kieszeni, w której u bandytów bywają pistolety, a u zwykłych śmiertelników pieniądze.

- Gospodarz powiedział - mówił stróż - że pan nie płaci pół roku, więc kazał pańskie rzeczy wynieść do mojej izby, a mieszkanie wynajął dekarzowi. Bieda tam, panie - dodał - żona, troje dzieci... i już dzisiaj pożyczyci ode mnie kartofli i węgla. Żeby nie pański pokój, to, mówił dekarz, że pewnie przyszłoby im zmarznąć z dziećmi na ulicy...

Ubogi medyk głęboko się zamyślił.

- Ha, jeżeli tak - rzekł - to mogę ustąpić. Ale gdyby się tu sprowadził Bloch albo Kronenberg, pokazał ja bym gospodarzowi, co to znaczy lekceważyć zobowiązania.

Kiwnął głową i wyszedł na ulicę, nie pytając nawet o swoje rzeczy - co było godnym prawdziwego mędrca, który z bogactw doczesnych posiada szczoteczkę do zębów, pół ręcznika i bardzo piękny atlas anatomiczny.

Już nie myślał ani o dekarzu, ani o gospodarzu. Zdawało mu się, że ma trochę gorączki i że po całodziennym poście warto by coś przekąsić, chociaż nie czuł głodu. Gorączka, a może i wprawa, dużo znaczy w tych wypadkach. Więc wstąpił do sklepiku, wziął, jako smakosz, dwie suche kielbaski, a jako człowiek praktyczny - kawał razowego chleba, i cały ten sprawunek z wielką dumą kazał sobie zawinąć w gruby papier od cukru. Zdawało mu się, że sklepikarka posądza go o wybieranie się w podróż do bieguna północnego i że ogląda go z podziwem; tymczasem sklepikarka posądzała go tylko o chroniczną goliznę i pilnie przypatrywała się, czy moneta, którą jej dał, nie jest fałszywa.

Otrzymawszy dziesięć groszy reszty, nasz przyjaciel znalazł się już stanowczo na ulicy, gdzie po śniegu, rozpuszczającym się w błocie, jeździły wozy z mięsem albo z pieczywem, i sanki, napelnione amatorami poetycznych wzruszeń. Wtem, na rogu chodnika, porwała go za rękę jakaś stara kobieta, ubrana w stos łachmanów, i na cały głos poczęła krzyżeć:

- Panie!... panie!... jacy my biedni!...

- Oczywiście poczuła zapach suszonej kielbasy (te głodomory mają pyszny węch!) - pomyślał medyk i, ażeby uniknąć kompromitacji, dał babie ostatnią dziesiątkę.

- Niechaj Bóg da ci szczęście!... - zawołała osoba w łachmanach, która kiedyś musiała być wielką damą. Tak przynajmniej wskazywały jej wykrzykniki, pełne deklamacyj, zdradzających subtelne uczucia.

Ubogi medyk wyrwał się z jej objęć, jak goły z ukropu.

- Kompromitująca baba! - myślał. - Jej chustka i mój mundur są tak podobne do siebie, że ludzie gotowi nas posądzić o kuzynostwo.

Swoją drogą, na tle dźwięczenia dzwonek, stukania sanek o bruk uliczny i turkotu dorożek, zdawało mu się, że słyszy jej błogosławieństwo, wypowiedziane równie wykwinnym, jak i zakatarzonym głosem:

- Niechaj Bóg da ci szczęście!...

- Szczęście? - myślał, idąc chodnikiem, na którym potrącali go przechodnie.

Co to jest szczęście? Niejednokrotnie słyszałem ten wyraz, ale choć niczego nie brak mi w życiu i mam prawo nazywać się kompletnie zadowolonym, nie śmiałybym jednak twierdzić, że kiedykolwiek byłem szczęśliwym.

No, wieczorek w domu Bajera jest przecie coś wart... Niech mnie diabli wezmą, jeżeli nie zjadłem na samego siebie pięciu serdelków i pół funta sera, nie licząc bułek. A poncz, co?... Oryginalny arak Goa od Fuksa, burgund od Maliniaka, cytryny... Cytryny były, zdaje się, prawdziwe... Piłem i jadłem, jak arcyksiążę. Nawet były panny, jeżeli się nie mylę, z pierwszorzędnej restauracji, gdzie obiady wydają tylko na porcje... Nie mogę jednak powiedzieć, ażeby to było szczęście; choć po tym ponczu już na drugim piętze tak mnie rozebrało...

Ponczowe uniesienia, nawet towarzystwo panien z pierwszorzędnej restauracji, nie są prawdziwym szczęściem. Czegóż bo tam brakło na tym wieczorku?... Był przecie śpiew, wino, kobiety, a jednak wszystko skończyło się nudnościami. Więc - co to jest szczęście?

Przed dwunastoma laty, kiedy jechał w lekkim płaszczku na Boże Narodzenie do domu, było mu tak strasznie zimno, że myślał, iż zmarznie w drodze. Palce i uszy piekły go, nosa nie czuł, nogi miał drewniane, a po całym ciele przebiegały mu dreszcze. Lecz gdy stanął w domu i dano mu kubek gorącej herbaty z mlekiem, gdy położył się do łóżka i skostniałe nogi zaczęły mu się ogrzewać, poczuł nieznaną dotychczas rozkosz.

Z przyjemnością myślał o tym, jak go paliły uszy, o tym, że dreszcze zostały gdzieś na dworze - i wydawał mu się bardzo pociesznym cień głowy ojca, z nienaturalnie dużym nosem, który poruszał się na ścianie. A jak wesoło paliła się ta świeca i jak spokojnie zasypiał on sam, ciesząc się, że mróz tak dobrze go wymęczył.

Później w jego życiu było więcej takich mrozów, deszczów, głodów i wszelkiego rodzaju utrapień. Ale, dziwna rzecz: żadnej z tych przywacj nie oddałby za wieczorek z ponczem i pacanami, a nawet za trzydziestorublową korepetycję. Bo każde cierpienie zostawiało w duszy jego jakby blask, słodycz i ciepło, którego niczym niepodobna było zastąpić.

- Więc to ma być szczęście?... - myślał. - Zabawna historia!...

W tej chwili spostrzegł, że jest w Saskim ogrodzie, na który zaczął już padać mrok wieczorny. Poza czarnymi gałęzmi drzew i żelaznymi kratami ogrodu widać było tu i ówdzie zapalane w oknach światła.

Po alejach snuło się ledwie kilku przechodniów, biegnących ku bramom, jakby ich goniła noc i zimno. Po śniegu figlowało kilku psów, a jeden, odznaczający się cienkością talii i podwiniętym ogonem, przypatrywał im się z daleka, wykonywając zadem takie ruchy, jakby miał zamiar usiąść na tylnych nogach, ażeby rozetrzeć sobie przednie.



Ten widok przypomniawszy ubogiemu studentowi, że i on sam zmarzył diabelnie. Więc położył swoją paczkę z chlebem i kiełbaskami na ławie i zaczął biegać po alei, bić się rękoma o boki i rozgrzewać uszy.

- Trzeba przyznać - myślał, czując błogie skutki ćwiczeń - że człowiek jest o wiele doskonalszą istotą od psa, który nie potrafi rozetrzeć sobie uszu.

Wtem pod ławką usłyszał niepokojące kłapanie. Spojrzał... Jego paczka leżała na śniegu potargana, kiełbasek już w niej nie było, a nad resztką chleba znęcał się okrutnie ten sam pies, który przed chwilą z taką melancholią patrzył na gonitwę swoich kolegów. I teraz przysiadł na zadzie i miał ogon bardzo podwinięty; ale jego szczupła talia zdawała się być nieco pełniejsza...

- Bodajże cię!... - wrzasnął ubogi student. Jednym skokiem znalazł się obok psa i potężnie kopnął go w garnitur białych zębów.

Pies zaskowyczał, zatoczył się i pędem uciekł w stronę najbliższej bramy, żałośnie jęcząc:

- Aj - aj!... aj - aj!... aj - aj!... aj - aj...

Teraz dopiero, patrząc na potargany papier i resztkę niedogryzionego chleba, przyjaciel nasz jasno sformułował sobie, że mu jest zimno, że mu się bardzo chce pić, że nie ma dachu, nad głową i że, bądź jak bądź, ale student czwartego kursu medycyny nie może znajdować się w tak dwuznacznej pozycji.

- Co ja tu będę czekał na ulicy, aż mnie przemarzniętego wezmą do cyrkułu? - myślał. - Mam przecież bardzo przyzwoite locum: któryś z naszych musi być dyżurnym w klinice u Dzieciątka Jezus, więc pójdę tam i zastąpię go. Wyśpię się za to jak anioł, zjem, wypiję...

W dziesięć minut później był już w klinice, gdzie istotnie zastał dyżurnego kolegę, któremu oświadczył chęć zastąpienia go na noc przy chorych. Kolega pilnie mu się przypatrzył, zapewnił go, że swoich chorych nie odstąpi za żadne w świecie skarby, ale że jemu da łóżko w osobnym pokoju, który akurat jest wolny. Kolega był nawet tak uprzejmy, że pomógł mu rozebrać się, kazał przynieść herbaty, położył go, okrył i nawet wsadził mu termometr pod pachę.

- No, przecie nie myślisz kolega, że jestem chory? - zapytał, śmiejąc się, nasz przyjaciel. - Cała rzecz w tym, że wyrzucił mnie dziś gospodarz i nie mam gdzie spać... Gdyby nie to, ani myślałbym zaglądać do kliniki...

Dyżurny potakiwał gościowi, dodając w duchu, że gdyby nie dziwnie pusty żołądek, lekkie zajęcie płuc, czterdziestostopniowa temperatura i sto dwadzieścia uderzeń pulsu na minutę, to nasz przyjaciel mógłby się uważać za człowieka kompletnie zdrowego.

Tymczasem ubogi medyk czuł się z każdą godziną, lepiej. Był zachwycony szpitalnym łóżkiem, co chwilę wyzywał kolegę na dysputy filozoficzne o tym: czym właściwie jest szczęście i... na co jest życie ludzkie? — a już około dziesiątej wieczór był tak zdrów, że nie tylko ciągle śmiał się i śpiewał, ale nawet chciał koniecznie wyjść na miasto, gdzie, podług

jego spostrzeżeń, było już słońce i lato. Prawie siłą musieli go zatrzymywać w łóżku, dopóki po szamotaniach się nie wpadł w zupełne odrętwienie, w którym nie słyszał głosów i nie widział snujących się ludzi.

Przed jego oczyma, zamkniętymi dla rzeczy ziemskich, otworzył się inny świat.

Zdawało mu się, że jest na wsi i patrzy na niebo podczas zachodu słońca. Niebo wyglądało jak szmaragdowy ocean, pokryty złotymi i srebrzystymi wyspami, które zaludniały dziwne postacie ludzkie, zwierzęce i roślinne.

- Oczywiście mam gorączkę - myślał chory - ale co mi szkodzi patrzeć, kiedy to takie zabawne?...

Więc patrzył na ów nowy kraj, uśmiechając się sceptycznie, jak człowiek, któremu pokazują nienawne obrazy i opowiadają bajki.

Przede wszystkim uderzył go wygląd przedmiotów. Liście drzew miały, jak i u nas, kolor zielony, kora brunatny, piasek był żółty, ziemia szara, kwiaty różowe, białe, niebieskie, ale wszystkie te barwy cechowały się niepojętą delikatnością i blaskiem. Takie barwy można widzieć tylko na obłokach, albo w kroplach rosy. Nadto zaś wydawało się medykowi, że każdy przedmiot nie tylko odbija jakieś potężne światło zewnętrzne, ale jeszcze prześwieca i jeszcze sam świeci niepojętym własnym światłem. Wytwarzała się z tego dziwna gra kolorów, pełnych subtelności i życia.

Dzięki temu oświetleniu, wpatrzywszy się lepiej, można było widzieć pulsujący ruch kamieni, które kurczyły się, rozszerzały, falowały na powierzchni i wewnątrz za każdą zmianą temperatury, ciśnienia powietrza, a nawet za każdym ruchem i odgłosem, jaki rozległ się w ich sąsiedztwie. Można było widzieć niekiedy bystre, niekiedy powolniejsze krążenie soków w roślinach, dyszenie ich liści i wykluwanie się nowych pączków. Zdawało się też, że przy mocniejszym natężeniu wzroku można dojrzeć snujące się, jak obłoki, myśli w głowach i zmieniające barwy uczucia w sercach ludzkich.

Prócz tego każde drgnienie kamieni, szelest liści, powiew wiatru, nawet zmiana człowieczej fizjonomii, ogłaszały się delikatnym szmerem, który środkował między melodią a mową, i albo coś sam od siebie tłumaczył i opowiadał słuchaczowi, albo z innymi głosami łączył się w jakąś obszerniejszą melodię, czy rozleglejsze opowiadanie. Tym sposobem, nie przeszkadzając sobie, rozmawiały pojedyncze kwiatki i cały las, krople wody i ocean, ziarna piasku i niezmierne łańcuchy gór. Dla zbadania zaś tajemnic natury nie było potrzeba żadnych specjalnych metod, bo każda rzecz sama odsłaniała i opowiadała swoje tajniki zarówno malowniczym i dźwięcznym, jak prostym i jasnym językiem.

W tym osobliwym kraju, gdzie ludzie, zwierzęta, nawet rozbite cegły żyły, czuły i rozmawiały, gdzie piasek lśnił jak złoto, a brukowiec załamywał światło nie gorzej od diamentu, ubogi student, przypatrując się uważniej, dostrzegł niespodziewane zjawisko.

Wszystko tam było piękne: mężczyźni, kobiety, rośliny i kamienie; ale najpiękniejsze było to, co w ziemskim życiu nazywa się ubogim i cierpiącym. Jedwabie, aksamity, perły i złoto

wśród ogólnego przepychu wydawały się powszednimi i wyblakłymi; natomiast grube płótno, siermięgi, lipowe łapcie chłopów i łachmany nędzarzy miały w sobie coś oryginalnego, co zwracało uwagę. Regularne twarze i posagowe kształty nużyły jednostajnością; zaś chude, połamane i okryte bliznami ciała budziły interes. Na widok pięknego człowieka ubogi student machał ręką i myślał:

- Eh! taki on jak miliony innych, widocznie o nic się nie rozbił.

Ale każda ułomność i rana zaciekawiały go i mówił sobie:

- Tego faceta musieli jednak diabelnie przejechać!...

Ten sam interes budziły strzaskane drzewa, ruiny budynków i całe okolice, zburzone trzęsieniem ziemi. Student nie pytał, skąd biorą się rzeczy foremne i ozdobne, bo na tym świecie wszystko było foremne, ozdobne i jaśniejące barwami; lecz w wysokim stopniu zajmowała go każda nieforemność, każde złamane istnienie. Było ono jakby księgą, w której zapisywały się ważne wypadki.

- Szczególna rzecz - mówił - jak mi to przypomina zdanie: "Błogosławieni maluczcy i ci, którzy cierpią..." Muszę wyznać, że ci maluczcy wyglądają bardziej malowniczo, a cierpiący mają w sobie coś dramatycznego.

Niedaleko skały z szafirów i topazów, skąd wypływał strumień wody, podobny do tęczy, i gdzie krył się nieszczęsny Cezar przed widziadłami setek tysięcy pobitych wojowników, student zobaczył grupę kobiet. Były tam bankierowe w naszyjnikach z pereł, hrabianki w bransoletach z diamentów, hrabiny w koronkach i strusich piórach, które z zazdrością i żalem tłoczyły się około starej Żydówki, która siedziała przy beczce śledzi.

Stroje tych dam, na tle łąki ze szmaragdów, upstrzonej rubinami, szafirami, ametystami, którą przerzynał strumień diamentów, wyglądały jak stare ścierki. Tymczasem barchanowa watówka Żydówki, skąd tu i ówdzie wylaziła wata, miała kolor i połysk szlachetnego brązu, ozdobionego klaczkami srebra. I piękne twarze kobiet były jakies smutne, a nawet (strach powiedzieć!) bezduszne. Zdawało się, że są to trupy, w których ledwie tli się isierka świadomości, ciągle przygasającej i drżającej o to, że zgaśnie.

Wpatrzywszy się bliżej, student poznał, że damy te nic nigdy nie robiły i niczego przykrego nie doświadczyły w życiu. Ich zasób duchowy był prawie żaden, wciąż przyćmiewał się i groził zamienieniem się w nicość. Ażeby nieco orzeźwić obumierającą myśl, nieszczęśliwe istoty skupiły się około starej śledziarki, która z litości pozwalała im patrzeć w okienko swego życia i stamtąd czerpać jakby oddech dla wiecznie konających piersi.

Historja śledziarki była bardzo prosta: dawała ona co tydzień, przez trzydzieści lat, po śledziu i po kawałku chleba biednemu człowiekowi, który w piątek z rana przechodził około jej beczki najwcześniej.

Student spojrział w okienko jej życia i zobaczył jakby aleję ludzi, rozmaitego wieku, siedzących, stojących, albo leżących, na chodniku, na śniegu, pod parkanem, na schodach, na

rusztowaniu mularskim, a każdy jadł śledzia z chlebem, i nad każdym widać było obrazy jego życia. Ten chciał się zabić z głodu, lecz, obdarowany przez handlarkę, nabrał ochoty do życia. Tamten miał kraść, lecz w porę dany posiłek uratował go od więzienia. Inny chciał porzucić drobne dzieci, inny zabić człowieka dla pieniędzy, lecz każdego zawrócił ze złej drogi mały śledzik i kromka chleba.

Student czuł głód i gniew tych biedaków, a potem radość i budzące się lepsze myśli. Widział ich rodziny, uratowane od niedoli, i ludzi, którzy mogli się stać ofiarami ich dzikości. Pomiedzy zaś całą tą gromadą snuł się otyły bankier, który, zobaczywszy raz, jak litościwa Żydówka obdarowywała biedaka śledziem, zaprowadził bezpłatne obiady dla ubogich i, również jak ona, uratował niejednego od zguby.

Słowem, przez okienko życia starej Żydówki widać było ogromny świat ludzi cierpiących a uradowanych, gniewnych a uspokojonych i desperatów, którzy znaleźli nadzieję. Wszyscy oni mnożyli się i dawali początek nowym cierpieniom i ucieshom. Taki zaś między nimi panował ruch, że biedne, salonowe damy, w których gasła dusza, popatrzyszy na ten kipiący obraz, ożywiały się, odzyskiwały niksącą świadomość bytu, po to, niestety! ażeby jeszcze boleśniej czuć jego pustkę.

Stara zaś Żydówka w oberwanej watówce, z rękoma splecionymi na brzuchu, przymrużyła oczy i kiwała głową, uśmiechając się litościwie. Ona nie potrzebowała patrzeć w okienko swego życia, bo miłosierna jej dusza była zasypana wspomnieniami, jak drzewo kwiatem na wiosnę.

- Tamta baba, której dałem dyskę, istotnie wywróżyła mi szczęście - mówił student. - Z tego, co widzę, zaczynam domyślać się, że największym zaszczytem jest cierpienie, a największym szczęściem dobre czyny. Mnożą się, bestie, jak szczury: każdy wydaje setkę nowych czynów, a każdy z tej setki nową setkę... Tymczasem biedny Cezar wygląda na faceta, którego inwalidzi rzymscy od wieków procesują o zgubione nogi i głowy (dragoński los!), a damy wielkiego świata nieustannie konają na pewien rodzaj duchowej anemii.

Tym sposobem ja - dodał - mogę pędzić tu bardzo przyjemne życie. Mam mundur dziurawy, żołądek o tyle pusty, że mógłby robić konkurencję okienku śledziarki, i w rezultacie nie zrobiłem nic tak złego, co by mi tu psuło humor... W tej chwili usłyszał okropny głos, wołający:

- Aj - aj!... aj - aj!... aj - aj!...

Dreszcz go przebiegł, i zdawało mu się, że w uszy wbijają mu sztylety. Uczuł ból tak dotkliwy, że wobec niego zbladły wszystkie piękności snu.

Skomlenie oddaliło się i powoli ucichło, a przestraszony student myślał:

- Co, u diabła! (jeżeli podobnego wyrazu godzi się używać w podobnym miejscu...) to chyba ten pies, któremu dałem w zęby w Saskim ogrodzie? Padam do nóg!... Jeżeli mi urządzi drugi podobny koncert, to choć zmykaj!...

No, jeżeli za tego rodzaju krzywdę mam taki bał, to ciekawym, jak wyglądają ci szlachcice, u których dać furmanowi w zęby należy do szyku?

- Warto by jednak zobaczyć - mówił po namyśle - jaki jest mój kapitał zasług. Czym podobny do szczęśliwej śledziarki, która przez swoje okno widzi legiony obdarowanych, czyli też do tych pięknych pań, które duszą się tu, jak ryby wyjęte z wody?

Ledwie to powiedział, spostrzegł, że z jego serca wysnuwa się tysiące promieni, jakby złotych nici, które biegły w stronę ziemi i czepiały się jedne grobu rodziców, inne domu, gdzie przepędził dzieciństwo, inne drzew, pod którymi biegał, kamieni, na których siadał zmęczony, krynicy, skąd pijał wodę. Jeszcze inne serdeczne promyki zahaczały o jego kolegów, o ulubione książki, o znajome panny, nawet o gazety i paradyż w teatrze.

Były to wszystko przedmioty i ludzie, których kochał. Dzięki zaś promieniom, czy nitkom, co połączyły go z nimi, jego własne życie w tej chwili spotężniało mu tysiąc razy. Czuł radość jednego z kolegów, który o tej porze dojeżdżał do domu na święta; drugiego, co wybierał się z wizytą do pewnej miłej pani; śledził bieg myśli trzeciego, co grał w szachy, i czwartego, który uczył się na egzamin. Słodki smutek płynął mu do duszy od drzew, pokrytych śniegiem, i od starego domu, w którym wiatr kłapał spróchniałymi okiennicami. Ale między tysiącem złotych promieni, co przynosiły mu cudzą radość albo żal tkliwy, znalazło się kilkanaście nici czarnych, łączących go z nielubianymi ludźmi i rzeczami. Te zatruwały mu szczęście, bo, czy cieszył się, czy smucił człowiek nielubiany przez niego, czarna nić zawsze jednakowo targała mu serce jakimś ostrym i piekącym bólem.

- Więc naprawdę miłość daje szczęście, a nienawiść cierpienie?... - mówił zadumany, czując, że żadnej z tych złotych ani czarnych nici zerwać niepodobna. - A może ma realną wartość przestroga: "Miłujcie nawet nieprzyjacioły wasze?..." I byłoby faktem, że przez miłość i nienawiść współzjemy z bliźnimi, którzy stają się jakby nierozdzielną częścią naszej duszy?...

Ehe! - zawołał - stare bajki... Muszę mieć tęgą gorączkę, jeżeli nawet na czwartym kursie medycyny przychodzą mi do łba podobne głupstwa... Miałyby mnie już na zawsze udreć te czarne nici? — myślał w dalszym ciągu. I rozum mówił mu, że na zawsze, bo co raz stało się faktem, nie może zginać ani w naturze, ani w duchu. Jeżeli każdy przybór wód znaczy się na wybrzeżach, jeżeli każda epoka geologiczna zapisuje się nawet w skałach, dlaczego nie miałyby się gdzieś zapisywać fale ludzkich myśli i uczuć? Z czasem mogą je pokryć nowe warstwy, ale zatrzeć - nigdy!...

- Głupia historia - mruknął ubogi student i, ażeby odpędzić smutne myśli, które po nitkach nienawiści pełzały mu do serca jak robactwo, postanowił zbadać nową kwestię: "Na co w życiu ludzkim są cierpienia, a na co radości?" Gdy to pomyślał, w marzeniu jego zaszła wielka zmiana: zamiast barwnej, jaśniejszej okolicy, zobaczył ciemną kuźnię, w której pracowały dwie olbrzymie istoty nieokreślonej formy. Jeden olbrzym dął miechem na ognisko, z którego wyskakiwały iskierki, mniejsze od ziarna maku, a drugi chwytął iskry i zamykał je w granitowych kulach, dużych jak karmelicka bania.

- Dzień dobry! - rzekł student - a co to robicie majsterkowie?...

- Ja - odpowiedział ten od miecha - spędzam tu nasiona dusz.

- A ja - dodał drugi - zamykam je w ciała ludzkie. - Fiu! - gwizdnął student. - Ośmielam się wątpić, ażeby takie marne nasienie przebiło taką tęgą doczesną powłokę. Przecież ta granitowa kula ma ze trzy łokcie średnicy, jakim więc sposobem drobne nasienie duszy może z niej wypuścić kiełek?

- Gdyby wam dać mniej grubą powłokę doczesną - mruknął drugi olbrzym - prędkobyście się z nią załatwili, łajdaki!...

- Trzeci majster powie acanu, jak się to robi - odpowiedział ten od miecha, widocznie łagodniejszy.

Teraz ubogi medyk zobaczył na progu kuźni trzecią, jeszcze posepniejszą istotę, która wykonywała dziwną pracę. Brała ona granitowe kule z zamkniętymi wewnątrz iskierkami, i strasznym stalowym kolcem, przy pomocy tysiącfunтового młota, dziurawiła granit aż do środka. Za każdym uderzeniem granit jęczał i płakał krwawymi łzami. Ale wnet z jego wnętrza wydobywała się cieniutka łądyżka światła. Wtedy olbrzym wysadzał kulę z kuźni na powietrze, tam łądyżka rosła i pokrywała się gałązkami (albo wiedzłą), a olbrzym brał znowu kulę, znowu wbijał jej kolec, aż do środka, znowu wydobywał nową łądyżkę światła, która, wystawiona na powietrze, znowu rosła.

I tak wciąż.

- Za pozwoleniem - rzekł do straszdyła ubogi student, dotykając palcami czapki - a co to majsterek robi?

- Pomagam rozwijać się duszom - odpowiedział strach.

- Aż granit skwierczy - rzekł student.

- Ale za to, spojrzysz acan, co się robi z duszą...

Medyk wyszedł przed kuźnię i patrzył na stopy brył granitowych. Każda z nich miała po dwie, po trzy, a czasem i po dwadzieścia świetlnych łądyżek, na które stąd i owad dmuchały wiatry. Gdy wiał wiatr łagodny i spokojny, jak czysta radość ludzkiego serca, łądyżki pokrywały się mnóstwem gałązek i dokoła granitowej bryły tworzył się niby las światła. Lecz jeżeli zionął wiatr gwałtowny i palący, jak namiętność, niektóre gałązki, ba! nawet cały las duszy - usychał.

A straszdyło wciąż dziurawiło granit, który płakał i z kamiennego łona wypuszczał coraz nowe pędy.

- Któż pan jesteś, panie majster?... - spytał student zdumiony i przerażony krwawą robotą.

- Ja jestem Cierpienie - odpowiedziało widmo z okrutnym kolcem. - Gdyby nie ja, dusze wasze zostałyby do końca świata ziarnami maku, które śpią w bryle materii...

- Oj!... muszę mieć diabelną gorączkę - myślał student, pędem uciekając od kuźni.

Ten stan zaniepokoił go, więc rzekł:

- Spróbujmy rozumować trzeźwo, wedle wskazówek anatomii, fizjologii, farmakologii i akuszerii. Ponieważ mój mózg funkcjonuje nieprawidłowo, więc mający mi się, że nawet cierpienia mają swój cel, że powodują rozwój ludzkiego ducha. Gdybym zaś sądził rzeczy naukowo, w takim razie jasno rozumiałbym, że nie tylko w cierpieniu, ale nawet w całej naturze nie ma celu. Dowodzi przecież tego w sposób niezbity istnienie sutek piersiowych u mężczyzn, tudzież ludzkie ucho zewnętrzne, które jest organem bezcelowym, ponieważ nie możemy się nim oganiać nawet przeciw muchom, jak to robią, dajmy na to, krowy. Dalej... ponieważ jestem chory, więc marzy mi się, że nasze ziemskie życie przygotowuje duszę ludzką do życia wyższego, jak gimnazjum do uniwersytetu. Gdybym zaś był zdrow na ciele i umyśle, wierzyłbym z filozofem Hartmannem, że cały świat żyjący dąży do tego, ażeby unicestwić bezświadomy absolut, jak robaki w serze szwajcarskim dążą do zniweczenia szwajcarskiego sera. Ten zaś hartmannowski absolut, czyli bezświadomy ser szwajcarski, sam się stworzył i swoje robaki także stworzył, ale bezświadomie, po to, ażeby go zjadły i ażeby zjadły samych siebie, także bezświadomie.

Skończywszy rozumowanie, ubogi medyk zawołał z radością:

- Widzę, chwała Bogu, że moja gorączka nie musi być zbyt wielką, jeżeli nie przeszkadza mi myśleć ściśle i zgodnie z najnowszymi rezultatami filozofii.

Wtem spostrzegł, że stoi na niezmiernej płaszczyźnie białych, wełniastych obłoków, na środku której wznosił się przepiękny posąg jakiejś osoby, większy od najwyższych gór ziemskich. Osoba ta miała błękitną szatę w mnóstwie fałdów, sięgających aż do stóp, ręce skrzyżowane na piersiach i twarz głęboko zamyśloną. Fałdy jej sukni wyglądały jak pasma wzgórz, oddzielonych głębokimi przepaściami: po tych zaś wzniesieniach i zagłębieniach uwijały się istoty wielkości mrówek, nadzwyczajnie podobne do ludzi w uczonych biretach i togach.

Ubogi student od razu pojął, że olbrzymia ta osoba jest obrazem Rzeczywistości, i że łażące po niej mrówki usiłują za pomocą lunet, cyrklów, kątomiarów i odczynników chemicznych zbadać prawdziwy kształt owego posągu.

Widoczne było, że mrówki pracują usilnie i ze znajomością rzeczy. Na nieszczęście, posąg był miliard miliardów razy większy od nich, skutkiem czego żaden badacz nie tylko nie mógł wzrokiem ogarnąć całości, ale nawet jakiejś większej części. Mierzyli więc po omacku, z wielkimi trudem i bardzo powoli, tak, że nad poznaniem jednej fałdy pracowało kilkanaście pokoleń, myląc się i kłócąc między sobą. Dla pojęcia formy Rzeczywistości, należało zbadać kilkaset poziomych i pionowych przekrojów, których obwody tworzyły linię długą na paręset wiorst. Tymczasem badano ledwie kilkanaście przekrojów, i to w niższych częściach posągu, zrobiono zaś kilkanaście metrów.

Mimo to rozprawiano o całości, którą jedni uważali za figurę prawidłową i celową, inni za martwą i bezładną kupę wypadków - i ci byli najzuchwalsi.

- Mam lunetę - wołał jeden - tak potężną, że widzę przez nią aż koniec mego nosa, lecz nie dojrzałem myśli w naturze.

- Co tam luneta! - odparł drugi. - Ale ja zbadałem kilkanaście nagniotków wielkich ludzi i wcale nie znalazłem duszy.

- A ja nawet życia nie widzę w naturze - dodał trzeci - choć zrobiłem sztuczny mocz, nieróżniący się ciężarem, kolorem, zapachem, ani smakiem...

- Każdy osieł robi to lepiej i taniej - przerwał mu właściciel lunety.

- Ale ja jeszcze w moim dystylatorze uniwersalnym zrobię sztucznego człowieka...

Matematycy badali stopę Rzeczywistości, a ponieważ pracowali najdawniej i najporządniej, więc prędko skończyli swój kontur i odkryli w nim uderzającą prawidłowość. To upoważniło ich do wniosku, że całość musi być wysoce prawidłowa, i twierdzili, że można zastosować ich formuły nawet do tych części posągu, których jeszcze żadne doświadczenie nie tknęło.

Ale badacze nagniotków i wynalazcy sztucznego moczu zakrzyczeli ich, więc praca posuwała się z wolna i wśród ogólnego zamętu.

Widząc to, ubogi student pomyślał:

- Oczywiście jestem najdoskonalszy z ludzi, bo dokładnie zrozumiałem to, czego nie mogą pojąć najmędrsi. Rzeczywistość nie jest chaosem, ale całością, nie tylko prawidłową, lecz i piękną, ja zaś...

W tym momencie rozległo się skomlenie psa: „aj - aj!...” - które tak wstrząsnęło chorym, że otworzył oczy...

Tym razem nie był już ani w krainie szczęścia, ani w ciemnej kuźni, gdzie wykuwano życia ludzkie, ani na płaszczyźnie obłoków, nad którą wznosiła się Rzeczywistość, ale na szpitalnym łóżku. Otaczali go koledzy, na których twarzach spostrzegł niepokój i zdumienie.

- Cóż mi się tak przypatrujecie? - zapytał.

- To ty mówisz? — zawołał jeden. - No, więc będziesz żył...

- A stałeś już obcasami w grobie - dodał drugi.

- Chyba na tamtym świecie - odparł rekonwalescent, przypominając sobie dziwny sen.

- Aż na tamtym?... Cóż tam słyszeć?... Jakie wiadomości?... - żartowali koledzy.

Ubogi student machnął ręką i pomyślał:

- Żartujcie wy sobie, a ja co wiem, to wiem...



Gdy zaś przyszedł do zdrowia, nie tylko nie narzekał na swoją biedę, ale owszem cieszył się z niej. A ile razy spotkała go ciężka zgryzota, przypominał sobie promienie światła, wytryskujące z granitowej bryły pod ciosami Cierpienia, i mówił, że w takiej chwili dusza mu się rozrasta.

**WIDZIADŁA**

Oto jest dokładna opowieść litewskiego szlachcica Wzdychajły o dziwnym wypadku, jaki zdarzył mu się w Warszawie. Opowieści tej chciałoby się nie wierzyć, gdyby nie została potwierdzona przez dwu świadków zasługujących na zaufanie.

- Przyjechałem - mówi Wzdychajło - do Warszawy nie tyle z gotowymi pieniędzmi, ile z przekazami na parę tysięcy, chcąc sobie tutaj u was nabyć chatę niedrogą, ale dochodową, może za sto pięćdziesiąt, może za dwieście tysięcy rubli, gdyż na więcej mnie nie stać, biedaka. Że zaś dużo słyszałem w Wilnie o waszych złodziejach i okpiszach, więc zamiast stanąć w oberży, odnalazłem sobie dawnego kolegę, jeszcze z Syberii, Poniewolskiego, i u niego zamieszkałem na Podwalu.

Ledwie się sprowadziłem i ledwie wyszliśmy z kolegą na ulicę, zaraz przyplątał się do nas jakiś jegomość średnich lat, z różowym nosem, wygadany, a znajomy mego kolegi, i ten jegomość, nazwiskiem Pijankiewicz, z miejsca wybadawszy ode mnie, po co przyjechałem, poradził nam, ażebyśmy poszli na Stare Miasto.

- Nie dlatego, Boże uchowaj - mówił jegomość - że w Rynku siedzi Fukier, ale - może nasz kochany Litwinisko właśnie tamtędy upatrzy sobie kamienicę, którą kupiwszy odnowi. Na chlubę własną i pożytek całego narodu.

"Ha! - myślę - jeżeli cały naród bez wyjątku ma mieć z tego pożytek, to może i trzeba kupić dom w Rynku..."

Minęliśmy parę uliczek, aż Pijankiewicz odzywa się:

- O, tu siedzi Fukier, ale do niego nie namawiam, bo teraz ciężkie czasy... A oto jest Rynek naszego kochanego Starego Miasta...

Rozejrzałem się... Cóż, domy jak domy. Jedna rzecz mi się tylko nie bardzo podobała, że plac zastawiony kramami, że pełno Żydów w onych kramach, na chodnikach i w sieniach i że czuć fetor... W takim miejscu nikt porządny nie zechce wynająć komornego...

Ledwie to powiedział, aż Pijankiewicz w krzyk:

- A jakże nie ma być Żydów, kiedy chrześcijanie domów nie kupują?... Gdyby każdy bogaty Litwin kupił choć jedną kamienicę w Rynku i utrzymywał ją porządnie, to i fetoru nie znalazłbyś nawet za pieniądze.

Spalić Warszawę - krzyczał dalej - toście umieli, ale do pokuty, ale do zadośćuczynienia za grzechy to was nie ma!...

- Przechęgnaj się, acan - mówię - któż tam znowu spalił Warszawę?...

- A Litwini - odpowiada jegomość - w roku 1669... Do śmierci im tego nie zapomnę...

"Rany Chrystusa Pana!..." - myślę sobie. Ale że w historii nie jestem biegły, więc zamiast spierać się, odpowiedziałem:

- Cóż to za jeden ten Fukier?... On, zdaje się, wino sprzedaje, ha?... Może by do niego wstąpić na naparsteczek?...

- Dajże spokój!... - wtrącił mój kolega z Syberii, u którego zatrzymałem się. - Kto teraz wino pije?... Czasy nie po temu...

Ale jegomość, który przyczepił się do nas na Podwału, znowu w krzyk:

- Dlaczego nie pić wina?... A cóż kupiec zrobi z winem: w rynsztok wyleje?... Kiedy Litwinom podobało się spalić Warszawę, to niech teraz gaszą - choćby pragnienie potomków nieszczęśliwych obywateli, których domy zamieniły się w perzynę...

Boże miłosierny! jak żyję, nie myślałem, że rodzę się z podpalaczy!... No, ale jeżeli człowiek uważa się za pokrzywdzonego, to trudno, niech sam wyznaczy pokutę...

Więc pomimo oporu mego kolegi Sybiraka weszliśmy do sklepu.

- Przynajmniej - odzywa się zmartwiony Poniewolski - nie pijcież wina drogiego... Krymskie tu powinno być niezłe... - Krymskie u Fukiera?... - wrzasnął Pijankiewicz. - Pan wiesz, co ja płuczę krymskim winem?... z pewnością, że nie gardło!...

- Więc lekki sotem - szepnął mój kolega Poniewolski, któremu nakazano wystrzegać się trunków z powodu sklerozy.

Ale Pijankiewicz ani słuchał. Zbliżył się do subiekta i zaczął dysponować półgłosem:

- Daj no pan buteleczkę tego mojego, którym ja zawsze zaczynam... Potem buteleczkę tego mojego, co go piję później... Potem zobaczymy, a na samym końcu dasz nam buteleczkę tego, którym ja zawsze kończę, jeżeli jestem w towarzystwie dobrych patriotów.

"No - myślę - Warszawa nieszczęśliwe miasto, ale też w nim ludzie umieją się pocieszać... Co prawda, to i w Wilnie znalazłby takich samych; choć i my też nacierpieliśmy się, oj!... nacierpieli..."

Pijankiewicz zaprowadził nas do ciemnego osobnego pokoiku, usadowił za stołem, a gdy subiekt przyniósł butelkę, sam zaczął nalewać kieliszki.

Powiadam tobie, moje serce, jak skosztowałem tego wina, które miało iść na początek, to zrobiło mi się błogo w ustach; a kiedym wypił tego - co szło na numer drugi, to zachciało mi się śpiewać. I co powiesz, zaśpiewałem tak cudnie, tak od duszy, że mi się łzy w oczach zakręciły. Więc pomyślałem: "Boże miłosierny!... trzeba było aż do Warszawy jechać, ażeby człowiek dowiedział się, że jest śpiewakiem."

Spojrzę, aż widzę, że nie ja sam płakałem. Pijankiewiczowi łzy jak groch płynęły z oczu, a mój kolega Sybirak, Poniewolski, oparł głowę na rękę i tylko się trząsał.

- Zjedzą nas Żydy - mówił Poniewolski - zjedzą jak amen w pacierzu... Zjedzą, zwymiotują do Wisły i popłyniemy do Gdańska...

- Gwałciński... bracie Polaku, nie mów tak!... - przerwał Pijankiewicz.

- Ja przecie nie jestem Gwałciński, tylko Poniewolski...

- Wszystko jedno... nie masz się co spierać o głupie nazwisko. .. A Żydy nie zjedzą nas... Jak ta kępa na środku Wisły bywa co roku pod wodą, a potem wydobywa się na wierzch, tak i nasze Stare Miasto nieraz tonęło w klęskach i zawsze wypływało... Tombalski...

- Ja przecie nie jestem Tombalski, tylko Poniewolski...

- Wszystko jedno... Aleś mój brat... Polak... Więc daj pyska, a bestia Litwin niech płaci, kiedy spalił Warszawę...

W tej chwili dopiero, mówię ci, serce, przypomniałem sobie, że pośrodku nas jest jeden Litwin. Myślę sobie: „Któryż by to?...” Obejrzałem się i... spostrzegłem na ciemnej ścianie izby jasny krążek, który z wolna powiększał się, a w środku jego coś ruszało się jak różnobarwne robactwo i nawet szemrało. Więc pytam moich towarzyszków, kolegę Sybiraka i Pijankiewicza: „Widzicie wy, co się wyrabia na ścianie?”, a kolega mówi: „Widzimy.” Zaś Pijankiewicz dodał:

- To musi być kinematograf!... I jak szczęścia pragnę, tak on nam pokazuje coś, niby nasze kochane Stare Miasto... Nawet słyszę głosy...

- Bo widać jest to kinematograf gadający... - dorzucił Poniewolski.

Czy moi towarzysze jeszcze co mówili, nie wiem, ponieważ cały zatopiłem się w tym, com widział i słyszał. A oto jakie było nasze nadzwyczajne widzenie:

Lato, świt. Oczywiście Rynek Starego Miasta. Na środku placu, nieosobliwie zabrukowanego, wznosi się dziś nie istniejący ratusz. Dokoła niego widać dwa szeregi domów: jedne tworzą część północnej, inne część zachodniej ściany Rynku. Domy o grubych murach, malowane barwami: czerwoną, zieloną, niebieską, i ozdobione wizerunkami świętych, lwów, gryfów, okrętów. Niektóre wizerunki i gzemysy są złoczone; drzwi żelazne, okna potężnie zakratowane.

Z bocznej ulicy wyjeżdża kilka fur, wielkich jak chaty, zaprzęgniętych we cztery i sześć koni; furmani mają przy bokach ciężkie szable. Fury stają, z bram wybiega służba męska i zdejmuje ładunki. Oto skrzynie aksamitu, sukna, tkanin jedwabnych i lnianych. Oto beczki wina, wory korzeni z ciepłych krajów. Oto szkło, zegary, broń, sztaby żelaza. Wszystkie te towary i mnóstwo, mnóstwo innych wnoszą do składów i piwnic, gdzie służba ustawia je, a urzędnicy sklepowi zapisują.

Na dworze robi się coraz widniej; Rynek znika, a zamiast niego widać mieszkanie kupca. Ogromne szafy i łóżka z baldachimami, ciężkie stoły i krzesła rzeźbione, także kredensy. Na stolikach drobiazgi z chińskiej porcelany i kości słoniowej; w kredensie srebrne talerze i złociste puchary. Przez pokój przechodzi pani domu; na sukni błękitnej jedwabnej ma drugą suknię z dużym ogonem, z przodu otwartą. Na głowie aksamitny kapturek, haftowany złotem, w uszach brylanty, na szyi perły, w rękach książka do nabożeństwa spięta złotymi klamrami.

To jest pani kupcowa. Cudnie piękna idzie do kaplicy na mszę ranną, w godzinie, kiedy tam bywa dwór królewski.

A tymczasem kupiec, Gize czy Baryczka, w czarnym aksamitnym kaftanie i obcisłych spodniach wydobywa z torby u pasa klucz i otwiera żelazne drzwi w ścianie. Tam stoją dwie ćwierci srebrnych talarów i trzygarncowe beczułki napełnione złotem. Wola jednego ze swych pomocników i sypie mu w fartuch kilka garści pieniędzy dla furmanów za przywieziony towar.

Mniej więcej to samo powtarza się we wszystkich domach Rynku. Wszędzie sprzęty wytworne, bogate dywany, kobiety strojne w jedwab i drogie kamienie, kupcy dumni, za żelaznymi drzwiami beczułki srebra i złota. Bogactwo leje się wrotami i oknami.

Po mszy Rynek zapełnia się. Szlachta i szlachcianki, przekupnie uliczni, rycerstwo w wysokich butach z dźwięcznymi ostrogami, mnichy, księża świeccy, rzemieślnicy, mieszczanie, mieszczanki, żebracy, wszystko to dąży do sklepów, jedni za sprawunkami, inni za zarobkiem lub jałmużną.

- Zdaje się, że to będzie początek siedemnastego wieku... Piękna wtedy była Warszawa, co?... - wyszlochał Pijankiewicz, jedną ręką ocierając łzy, drugą podnosząc do ust kieliszek.

Obraz gaśnie i po chwili pokazuje się inny. To samo miasto, ale w Rynku jakiś niepokój. Tłum biegnie w stronę północną, słysząc pospieszny dźwięk dzwonów. Wkrótce nad domami ukazują się gęste kłęby czarnego dymu i jaskrawe płomienie, które wypełniają cały widok.

- To ten pożar, co go Litwini zrobili!... - szepcze Pijankiewicz.

- O... dałbyś spokój!... - gromi go rozezłoszczonym głosem Poniewolski.

A ja, serce moje, nic... tylko patrzę... słucham i zalewam się łzami. Już nie mój cudny śpiew tak mnie usposabia, ale wspomnienia... Cóż to było?... Gdzież to jest?...

Ciemnokrwawe tło obrazu poczyną się wyjaśniać. Dym powoli opada, a na miejscu przebogatych domów widać okna bez szyb, ściany czarne, sterczące kominy, a w mieszkaniach stosy kamieni i opalonego drzewa.

- Wtedy było gorzej w Warszawie aniżeli dziś!... - szepnął Pijankiewicz.

- Jak tam komu... - odpowiedział Poniewolski. - Lepiej pod własnymi zgliszczami aniżeli pod cudzym butem...

"Święte słowa!..." - chciałem powiedzieć. Ale pomyślawszy, że może to zabronione, ukąsiłem się w język.

Nowy obraz. Rynek, lecz w nim ani śladu pożaru. Domy białe, w oknach dywany, kwiaty i strojne kobiety, na ulicy tłum kłęczy z obnażonymi głowami. Słysząc dźwięk dzwonów i strzały armatnie, sztandary cechowe łopocą na wietrze, skądś dolatuje muzyka i śpiew kościelny. Ludzi mnóstwo, odzież ich czysta a nawet bogata, twarze pogodne. Odbywa się

uroczystość dziękczynna, może na intencję jakiegoś zwycięstwa?... W każdym razie ani w budynkach, ani w fizjognomiach nie ma śladu minionej klęski.

- Widzisz, jak zmartwychwstała Warszawa z pożogi?... - krzyknął Pijankiewicz.

W naszej izbie znowu robi się ciemno; obraz znika, a w chwilę później ukazuje się coś zupełnie innego. Rynek prawie pusty, żelazne drzwi domów pozamykane, okna zabite deskami. Przed ratuszem kilku żołnierzy, którzy nikomu nie pozwalają się zbliżyć grożąc strzelaniem. Kilku ludzi czerwono ubranych, z krzyżami na piersiach, niosą mary nakryte czarnym suknem, na widok czego rzadcy przechodnie klękają, a potem szybko uciekają.

Na rogu ulicy jakiś dostatnio ubrany człowiek upadł z krzykiem. Spoza węgła wysunął się obdartus, rozejrzał się i upadłemu począł rewidować kieszenie. Wtem - nadeszła warta. Na głos rogu przybiegli czerwono odziani ludzie i leżącego zabrali; obdartusa zaś wartownicy wzięli pod ręce, podprowadzili do dwu słupów złączonych u góry belką i na tej belce powiesili.

- Wiem!... wiem!... - zawołał Pijankiewicz - to jest dżuma w Warszawie.

Na obrazie tymczasem ludzie stopniowo znikli; w Ryнку pozostało kilka trupów, a nad nimi modlący się dominikanin.

- Wiem!... wiem!... -powtarza Pijankiewicz.-Wtedy prawie całe miasto wymarło. Gorzej było anizeli dziś!...

- Nie wiadomo, co gorsze - odmruknął mój kolega Sybirak - umrzeć czy zgałganiec?...

Tymczasem powoli z ciemności wydobył się nowy obraz. Ten sam Rynek staromiejski, ale pełen ludzi, pogody i krzyków radosnych. Domy nowe, ozdobne, w niektórych oknach dywany i chorągiewki. W stronę kościoła posuwa się orszak, oczywiście weselny: pan młody konno w fiołkowym fraku jedwabnym, druźbowie w barwnych strojach cudzoziemskich lub kontuszach, biało ustrojona panna młoda i jej drużki w lektykach, za nimi kilka ozdobnych powozów ze starszymi paniami. Słychać strzały pistoletowe, okrzyki ludu, muzykę... Przed ratuszem pieką się dwa woły, nieco dalej - leży góra chlebów i stoi kilkanaście beczek piwa dla pospólstwa. Patrząc na te domy jasne i ozdobne, na mnóstwo ludzi sytych, śmiejących się, śpiewających, człowiek nie może przypuścić, że widzi to samo miasto, w którym niedawno panowała morowa zaraza!...

- A nie mówiłem, psia... kość - zawołał Pijankiewicz - że nasza kochana Warszawa i z tego się wykaraska?... Jak wyspa na Wiśle: co ją zaleje woda, to ona znowu się wydobywa na wierzch.

- Dopóki ze szczętem nie utonie... - wtrącił Poniewolski.

- Tyś pijany, Bą...Bączkiewicz?...

- Nie nazywam się Bączkiewicz!... - odparł z gniewem mój kolega Sybirak.

Tymczasem przesunęły się jeszcze dwa obrazy. Na jednym było widać dzisiejsze Stare Miasto z jego kramami. Żydami, niechlujstwem. Zdało się, że na chodnikach nigdy błoto nie wysycha i że ściany domów składają się nie z cegieł, ale z brudu.

- Oto skutki naszego niedbalstwa!... - wrzeszczał Pijankiewicz. - Gałgany jesteście, i basta!...

- Staraj się mówić w liczbie pojedynczej... - upomniał go Poniewolski.

Ostatni obraz był po prostu cudownym zjawiskiem. To chyba nie Stare Miasto, ale jakiś gród fantastyczny! Domy wszelkich możliwych, ale jasnych, delikatnych barw, pokryte malowidłami i płaskorzeźbą, niby szkatułki bezcenne. Treścią zaś malowideł: historia każdego domu i jego właścicieli od kilku wieków!... Rynek, zamiast zwykłych kamieni, wyłożony różnokolorową mozaiką; na środku śliczny ogródek płonący żywymi kwiatami. Pełno dzieci, uczniów, strojnych kobiet, cudzoziemców, którzy po to tylko przyjechali, ażeby zwiedzić nasze dziwo i złożyć hołd jego pięknościom i ciekawościom. Niektóre bowiem domy Rynku stały się muzeami zbiorów z całego kraju...

- Ot, widzisz, że znowu Warszawa wykaraskała się! - rzekł Pijankiewicz.

Obraz zniknął, w naszym pokoiku ukazał się subiekt. Spojrzeliśmy na zegarki - już późno!... Zapłaciłem rachunek, zresztą niezbyt wielki, jak na takie nadzwyczajności...

- Ale też macie piękny kinematograf!... - odezwał się Poniewolski.

- Jaki, przepraszam, kinematograf?... - zapytał zdziwiony subiekt.

- No, ten, co pokazuje Stare Miasto...

- Przepraszam, ale to chyba nie u nas...

- Co się masz tłumaczyć!... - przerwał Pijankiewicz, gwałtem wyprowadza jąć mego kolegę Sybiraka. - Poniewolski nazywa się.

Gdy znaleźliśmy się za progiem, usłyszałem, że subiekt mówi do drugiego:

- Różnych pijaków zdarzało mi się spotykać: takich, co widywali diabły, węże, robactwo... Ale takiego, który zobaczył kinematograf w pustym pokoju, to jeszcze nie spotkałem...

- To o nas!... - oburzył się Pijankiewicz. Chciał wrócić do sklepu i zrobić dużą awanturę, ale - nie mógł znaleźć klamki, a gdy nareszcie znalazła się, zapomniał, o co mu chodziło.

Więc smutni wróciliśmy do domu.





## Z LEGEND DAWNEGO EGIPTU

Patrzcie, jak marne są ludzkie nadzieje wobec porządku świata; patrzcie, jak marne są wobec wyroków, które ognistymi znakami wypisał na niebie Przedwieczny!...

Stuletni Ramzes, potężny władca Egiptu, dogorywał. Na pierś mocarza, przed którego głosem pół wieku drżały miliony, padła dusząca zhora i wypijała mu krew z serca, siłę z ramienia, a chwilami nawet przytomność z mózgu. Leżał, jak powalony cedr, wielki faraon na skórze indyjskiego tygrysa, okrywony nogi triumfalnym płaszczem króla Etiopów. A surowy nawet dla siebie, zawołał najmędrszego lekarza ze świątyni w Karnaku i rzekł:

- Wiem, że znasz tęgie lekarstwa, które albo zabijają, albo od razu leczą. Przyrządź mi jedno z nich, właściwe mojej chorobie, i niech mi się to raz skończy... tak albo owak.

Lekarz wahał się.

- Pomyśl, Ramzesie - szepnął - że od chwili twego zstąpienia z wysokich niebios Nil wylewał już sto razy; możesz ci zadać lekarstwo, niepewne nawet dla najmłodszego z twoich wojowników?

Ramzes aż usiadł na łożu.

- Muszę być bardzo chory - zawołał - kiedy ty, kapłanie, ośmielasz się dawać mi rady! Milcz i spełnij, com kazał. Żyje przecież trzydziestoletni wnuk mój i następca, Horus. Egipt zaś nie może mieć władcy, który by nie dosiadł wozu i nie dźwignął oszczepu.

Gdy kapłan drżącą ręką podał mu straszne lekarstwo, Ramzes wypił je, jak spragniony pije kubek wody; potem zawołał do siebie najsłynniejszego astrologa z Tebów i kazał szczerze opowiedzieć, co tam pokazują gwiazdy.

- Saturn połączył się z księżycem - odparł mędrzec - co zapowiada śmierć członka twojej dynastii, Ramzesie. Złe zrobiłeś pijąc dzisiaj lekarstwo, bo puste są ludzkie plany wobec wyroków, które na niebie zapisuje Przedwieczny.

- Naturalnie, że gwiazdy zapowiedziały moją śmierć - odparł Ramzes. - I kiedyż to może nastąpić? - zwrócił się do lekarza.

- Przed wschodem słońca, Ramzesie, albo będziesz zdrow jak nosorożec, albo twój święty pierścień znajdzie się na ręku Horusa.

- Zaprowadźcie - rzekł Ramzes cichnym już głosem - Horusa do sali faraonów; niech tam czeka na moje ostatnie słowa i na pierścień, ażeby w sprawowaniu władzy ani na chwilę nie było przerwy.

Zapłakał Horus (miał on serce pełne litości) nad bliską śmiercią dziada; ale że w sprawowaniu władzy nie mogło być przerwy, więc poszedł do sali faraonów, otoczony liczną zgrają służby.

Usiadł na ganku, którego marmurowe schody biegły w dół, aż do rzeki, i pełen nieokreślonych smutków przypatrywał się okolicy.

Właśnie księżyc, przy którym tliła się złowroga gwiazda Saturn, złościł spiżowe wody Nilu, na łąkach i ogrodach malował cienie olbrzymich piramid i na kilka mil wokoło oświetlał całą dolinę. Mimo późnej nocy w chatkach i gmachach płonęły lampy, a ludność pod otwarte niebo wyszła z domów. Po Nilu snuły się łódki, gęsto, jak w dzień świąteczny; w palmowych lasach, nad brzegami wody, na rynkach, na ulicach i obok pałacu Ramzesa falował niezliczony tłum. A mimo to była cisza taka, że do Horusa dolatywał szmer wodnej trzciny i jęśliwe wycie szukających żeru hien.

- Czemu oni tak się gromadzą? - spytał Horus jednego z dworzan, wskazując na niezmierzone łany głów ludzkich.

- Chcą w tobie, panie, przywitać nowego faraona i z twoich ust usłyszeć o dobrodziejstwach, jakie im przeznaczyłeś.

W tej chwili pierwszy raz o serce księcia uderzyła duma wielkości, jak o stromy brzeg uderza nadbiegające morze.

- A tamte światła co znaczą? - pytał dalej Horus.

- Kapłani poszli do grobu twojej matki, Zefory, ażeby zwłoki jej przenieść do faraonówskich katakumb.

W sercu Horusa na nowo wzbudził się żal po matce, której szczątki - za miłosierdzie okazywane niewolnikom - srogi Ramzes pogrzebał między niewolnikami.

- Słyszę rżenie koni - rzekł Horus nasłuchując. - Kto wyjeżdża o tej godzinie?

- Kanclerz, panie, kazał przygotować gońców po twojego nauczyciela, Jetrona.

Horus westchnął na wspomnienie ukochanego przyjaciela, którego Ramzes wygnał z kraju za to, że w duszy wnuka i następcy szczepił odrazę do wojen, a litość dla uciśnionego ludu.

- A tamto światełko za Nilem?...

- Tamtym światłem, o Horusie! - odparł dworzanin - pozdrawia cię z klasztornej więzienia wierna Berenika. Już arcykapłan wysłał po nią łódź faraonską; a gdy święty pierścień błysnie na twojej ręce, otworzą się ciężkie drzwi klasztorne i powróci do ciebie, stęskniona i kochająca.

Usłyszawszy takie słowa Horus już o nic nie pytał; umilkł i zakrył oczy ręką.

Nagle syknął z bólu.

- Co ci jest, Horusie?

- Pszczoła ukąsiła mnie w nogę - odparł pobladły książę. Dworzanin przy zielonawym blasku księżycy obejrzał mu nogę.

- Podziękuj Ozyrysowi - rzekł - że to nie pajak, których jad o tej porze bywa śmiertelny.

O! jakże mamę są ludzkie nadzieje wobec niecofnionych wyroków...

W tej chwili wszedł wódz armii i skłoniwszy się Horusowi powiedział:

- Wielki Ramzes czując, że mu już stygnie ciało, wysłał mnie do ciebie z rozkazem: "Idź do Horusa, bo mnie niedługo na świecie, i spełniaj jego wolę, jak moją spełniałeś. Choćby kazał ci ustąpić górny Egipt Etiopom i zawrzeć z tymi wrogami braterski sojusz, wykonaj to, gdy mój pierścień ujrzysz na jego ręce, bo przez usta władców mówi nieśmiertelny Ozyrys."

- Nie oddam Egiptu Etiopom - rzekł książę - ale zawrę pokój, bo mi żal krwi mego ludu; napisz zaraz edykt i trzymaj w garści konnych gońców, aby gdy błysną pierwsze ognie na cześć moją, polecili w stronę południowego słońca i zanieśli łaskę Etiopom. I napisz jeszcze drugi edykt, że od tej godziny aż do końca czasów żadnemu jeńcowi nie ma być wrywany język z ust jego na polu bitwy. Tak powiedziałem...

Wódz upadł na twarz, a potem cofnął się, aby pisać rozkazy; książę zaś polecił dworzaninowi znowu obejrzyć swoją ranę, gdyż bardzo go bolała.

- Trochę spuchła ci noga, Horusie - rzekł dworzanin. - Cóż by się stało, gdyby zamiast pszczoły ukąsił cię pajak!...

Teraz wszedł do sali kanclerz państwa i skłoniwszy się księciu, mówił:

- Potężny Ramzes widząc, że już mu się wzrok zaćmiewa, odesłał mnie do ciebie z rozkazem: „Idź do Horusa i ślepo spełniaj jego wolę. Choćby ci kazał spuścić z łańcucha niewolników, a lud obdarować wszystką ziemią, uczynisz to, gdy zobaczysz na jego ręce mój święty pierścień, bo przez usta władców mówi nieśmiertelny Ozyrys."

- Tak daleko nie sięga serce moje - rzekł Horus. - Ale zaraz napisz mi edykt, jako ludowi zniża się czynsz dzierżawny i podatki o połowę, a niewolnicy będą mieli trzy dni na tydzień wolne od pracy i bez wyroku sądowego nie będą bici kijem po grzbietach. I jeszcze napisz edykt odwołujący z wygnania mego nauczyciela, Jetrona, który jest najmędrszym i najszlachetniejszym z Egipcjan. r Tak powiedziałem...

Kanclerz upadł na twarz, lecz nim zdążył cofnąć się dla napisania edyktów, wszedł arcykapłan.

- Horusie - rzekł - lada chwila wielki Ramzes odejdzie do państwa cieniów i serce jego na nieomyślnej szali zważy Ozyrys. Gdy zaś święty pierścień faraonów błysnie na twojej ręce, rozkazuj, a słuchać cię będę, choćbyś obalić miał cudowną świątynię Amona, bo przez usta władców mówi nieśmiertelny Ozyrys.

- Nie burzyć - odparł Horus - ale wznosić będę nowe świątynie i zwiększać skarbiec kapłański. Żądam tylko, abyś napisał edykt o uroczystym przewiezieniu zwłok matki mojej, Zefory, do katakumb i drugi edykt... o uwolnieniu ukochanej Bereniki z klasztornej więzienia. Tak powiedziałem...

- Mądrze poczynasz - odparł arcykapłan. - Do spełnienia tych rozkazów wszystko już przygotowane, a edykty zaraz napiszę; gdy ich dotkniesz pierścieniem faraonów, zapalę tę oto lampę, aby zwiastowała ludowi laski, a twojej Berenice wolność i miłość.

Wszedł najmądrszy lekarz z Karnaku.

- Horusie - rzekł - nie dziwi mnie twoja bladość, gdyż Ramzes, dziad twój, już kona. Nie mógł znieść potęgi lekarstwa, którego mu dać nie chciałem, ten mocarz nad mocarze. Został więc przy nim tylko zastępca arcykapłana, aby gdy umrze, zdjęć święty pierścień z jego ręki i tobie go oddać na znak nieograniczonej władzy. Ale ty bledniesz coraz mocniej, Horusie?... - dodał.

- Obejrzyj mi nogę - jęknął Horus i upadł na złote krzesło, którego poręcze wyrzeźbione były w formę głów jastrzębich. Lekarz ukląkł, obejrzał nogę i cofnął się przerażony.

- Horusie - szepnął - ciebie ukąsił pająk bardzo jadowity.

- Miałebym umrzeć?... w takiej chwili?... - spytał ledwie dosłyszalnym głosem Horus. A później dodał:

- Prędkoż to może się stać?... powiedz prawdę...

- Nim księżyc schowa się za tę oto palmę...

- Ach, tak!... A Ramzes długo jeszcze żyć będzie?...

- Czy ja wiem?... Może już niosą ci jego pierścień. W tej chwili weszli ministrowie z gotowymi edyktami.

- Kanclerzu! - zawołał Horus chwytając go za rękę - czy . gdybym zaraz umarł, spełnilibyście moje rozkazy?...

- Dożyj, Horusie, wieku twego dziada! - odparł kanclerz. -Lecz gdybyś nawet zaraz po nim stanął przed sądem Ozyrysa, każdy twój edykt będzie wykonany, byleś go dotknął świętym pierścieniem faraonów.

- Pierścieniem! - powtórzył Horus - ale gdzie on jest?...

- Mówił mi jeden z dworzan - szepnął naczelnny wódz - że wielki Ramzes już wydaje ostatnie tchnienie.

- Posłałem do mego zastępcy - dodał arcykapłan - aby natychmiast, gdy Ramzesowi serce bić przestanie, zdjął pierścień.

- Dziękuję wam!... - rzekł Horus. - Żal mi... ach, jak żal... Ale przecież nie wszystek umrę... Zostaną po mnie błogosławieństwa, spokój, szczęście ludu i... moja Berenika odzyska wolność... Długo jeszcze?... - spytał lekarza.

- Śmierć jest od ciebie na tysiąc kroków żołnierskiego chodu -odparł smutno lekarz.

- Nie słyszycie, nikt stamtąd nie idzie?... - mówił Horus.

Milczenie.

Księżyc zbliżał się do palmy i już dotknął pierwszych jej liści; miałki piasek cicho szeleścił w klepsydrach.

- Daleko?... - szepnął Horus.

- Osiemset kroków - odparł lekarz - nie wiem, Horusie, czy zdążysz dotknąć wszystkich edyktów świętym pierścieniem, choćby ci go zaraz przynieśli...

- Podajcie mi edykty - rzekł książę nasłuchując, czy nie biegnie kto z pokojów Ramzesa. - A ty, kapłanie - zwrócił się do lekarza - mów, ile mi życia zostaje, abym mógł zatwierdzić przynajmniej najdroższe mi zlecenia.

- Sześćset kroków - szepnął lekarz. Edykt o zmniejszeniu czynszów ludowi i pracy niewolnikom wypadł z rąk Horusa na ziemię.

- Pięćset...

Edykt o pokoju z Etiopami zsunął się z kolan księcia.

- Nie idzie kto?...

- Czteryście... - odpowiedział lekarz. Horus zamyślił się i... spadł rozkaz o przeniesieniu zwłok Zefory.

- Trzysta...

Ten sam los spotkał edykt o odwołaniu Jetrona z wygnania.

- Dwieście...

Horusowi zsiniały usta. Skurczoną ręką rzucił na ziemię edykt o niewyrywaniu języków wziętym do niewoli jeńcom, a zostawił tylko... rozkaz oswobodzenia Bereniki.

- Sto...

Wśród grobowej ciszy usłyszano stuk sandałów. Do sali wbiegł zastępca arcykapłana. Horus wyciągnął rękę.

- Cud!... - zawołał przybyły. - Wielki Ramzes odzyskał zdrowie... Podniósł się krzepko z łoża i o wschodzie słońca chce jechać na lwy... Ciebie zaś, Horusie, na znak łaski, wzywa, abys mu towarzyszył...

Horus spojrział gasnącym wzrokiem za Nil, gdzie błyszczało światło w więzieniu Bereniki, i dwie łzy, krwawe łzy, stoczyły mu się po twarzy.

- Nie odpowiadasz, Horusie?... - spytał zdziwiony posłaniec Ramzesa.

- Czyliż nie widzisz, że umarł?... - szepnął najmędrzy lekarz z Karnaku.

Patrzcie tedy, że marne są ludzkie nadzieje wobec wyroków, które Przedwieczny ognistymi znakami wypisuje na niebie.

## ŻYWY TELEGRAF

Pani hrabina podczas wizyty w zakładzie sierot spostrzegła na korytarzu niezwykłą scenę: czterech chłopców wydzierało sobie podartą książkę, dość żwawo okładając się kulakami.

- Zdaje mi się, dzieci, że się bijecie?... - zawołała przestraszona dama. - Za to żaden nie dostanie pierniczka i jeszcze pójdzie klęczyć.

- Bo, proszę pani, on mi zabrał Robinsona! - tłumaczył się jeden chłopiec.

- Nieprawda, bo to on!... - zaprzeczył drugi.

- Widzisz, jak kłamiesz! - zawołał trzeci. - To ty odebrałaś mi Robinsona.

Zakonnica wyjaśniła damę, że mimo pilnego dozoru podobne wypadki trafiają się dosyć często, dzieci bowiem łakną czytania, a książek zakład nie posiada.

W sercu pani hrabiny zatliła się jakaś iskra. Ponieważ jednak nużyło ją myślenie, więc starała się zapomnieć o tym. Dopiero w salonie radcy, gdzie wypadło mówić o rzeczach pobożnych i dobroczynnych, opisała wypadek w zakładzie wraz z objaśnieniem zakonnicy.

Radca słuchając doznał też niezwykłego uczucia i jako biegłej-szy w sztuce myślenia, zawnioskował, że należałoby wysłać książki dla sierot. Przypomniał sobie nawet, że w szafie czy w kufrze posiada cały stos butwiejących druków, które niegdyś kupował dla swych dzieci; lecz... za ciężki już był do grzebania w rupieciach.

Wieczorem radca znalazł się u pana Z., któremu całe żyde upływało na oddawaniu drobnych usług ludzkości, zawartej między siódmą a trzecią klasą urzędowej hierarchii. Chcąc mu zrobić przyjemność radca opowiedział panu Z. to, co hrabina widziała w zakładzie i słyszała od zakonnicy, dodając ze swej strony, że - wypada postarać się o książki dla sierot.

- Nic prostszego! - wykrzyknął pan Z. - Wstąpię jutro do redakcji "Kurier" i wpłynę na nich, ażeby zrobili ogłoszenie.

Na drugi dzień pan Z. wbiegł zadyszany do "Kurier", na wszystkie świętości błagając redakcję, ażeby wezwała ogół do składania książek dla sierot.

Trafił szczęśliwie, ponieważ brakowało do numeru kilkuwierszowej wiadomości sensacyjnej. Jakoż referent wydziału uczuciowego siadł i napisał:

"Gromadka dzieci, zostających pod opieką publiczną, cierpi na brak książek.

Maleństwo tęskni.

Pamiętajcie o duszach głodnych!"

Potem gwizdząc wyszedł na obiad.

W parę dni później, w niedzielę, przed zamkniętymi drzwiami redakcji spotkałem ubogo odzianego człowieka z rękoma czarnymi jak u kominiarza, a wraz z nim szczupłą dziewczynkę niosącą pakę starych książek.

- Czego pan sobie życzy?

Ufarbowany człowiek uchylił czapki i odparł nieśmiało:

- Przynieśliśmy, proszę pana, kilka książek dla tych "głodnych", co panowie pisali...

A szczupła dziewczynka dygnęła rumieniąc się, o ile jej na to pozwalały początki blednicy.

Wziąłem od niej książki i oddałem redakcyjnemu chłopcu.

- Jakże się pan nazywa? - spytałem.

- Proszę pana, a na co to? - odparł zmieszany.

- Musimy przecież wydrukować, kto dał książki.

- O! to nie potrzeba, proszę pana; ja przede jestem ubogi człowiek z fabryki kapeluszy... To nie potrzeba...

I odszedł wraz z mizerną córeczką.

Obok mnie stał uczony profesor fizyki i zapewne skutkiem tego przyszedł mi na myśl - telegraf nowej konstrukcji.

Główną stacją był zakład sierot, boczną - robotnik z fabryki kapeluszy; gdy jeden zasygnalizował "baczność", drugi natychmiast odpowiedział. Gdy jeden zażądał, drugi przyniósł.

My inni spełniliśmy funkcję słupów telegraficznych.